

STYRON

POGRAŻYĆ SIĘ
W MROKU



WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

WILLIAM STYRON

*Pograćzyć się
w mroku*

Przełożył
Tadeusz Jan Dehnel



Wydawnictwo Dolnośląskie
Wrocław 1996

Skoro więc śmierć musi być Luciną życia i nawet poganie podejrzewali, czy tak żyć nie znaczy umierać; skoro letnie słońce zachodzi prostymi skłonami i zatacza łuki prowadzące jedynie ku zimie, przeto nie będzie trwać długo, nim pogrążymy się w mroku, a nasze światło obróci się w proch; skoro każdego dnia nęka nas brat śmierci przypominkami o umieraniu, zaś czas, co sam w sobie się starzeje, nie pozwala nam spodziewać się dłuższego trwania, przeto nadzieja na długie bytowanie marzeniem jest jeno i pustym szaleństwem.

Sir Thomas Browne *Urna grobowa*

Prowadź mnie, dziecko, tak jak prowadziłeś mnie przez targowisko zabawek.

James Joyce *Finnegans Wake*

TOM PIERWSZY

1

Pociąg z Richmond do Port Warwick zaczyna nabierać szybkości na krańcach miasta. Mija fabryki tytoniowe z ich wiecznie obecną mgłą kwaśno-słodkawego pyłu, mija szeregi jednolicie brunatnych tynkowanych domków ciągnące się milami wzdłuż przecinających wzgórza uliczek, gdzie wszystkie dachy odbijają blade światło brzasku. Mija podmiejskie drogi, senne jeszcze, ożywione jedynie leniwym ruchem pierwszych minut dnia, głośno stuka na moście rozdzielającym dwa ostatnie wzgórki, skąd widać nowe rzędy takich samych domków, a także rzekę James wijącą się w dolinie i obok zakładów chemicznych ustrojoną w kożuszek szarozielonej piany.

Następnie pociąg tonie w lesistej okolicy, a kiedy sunie pośród sosen, w wagonie pojawia się i prosi o bilety konduktor – mężczyzna w średnim wieku o budzącym szacunek wyglądzie dobrego wujaszka. Jeżeli jesteś czujny mimo tak niedorzecznej pory, zwrócisz uwagę, że jego głos dźwięczy gardłowo na murzyńską modłę i wydaje się dziwnie oleisty po akcencie z Columbus, Detroit czy też innego miejsca, skąd jedziesz. Jeżeli zapytasz, jak daleko do Port Warwick, usłyszysz w odpowiedzi: „Mniej więcej osiemdziesiąt mil”, a zabrmi to nutą, która upewni cię ostatecznie, że znajdujesz się w Tidewater. Zasiadasz wygodniej, ale czujesz, że twarz masz nie domytą i nabrzmiałą od przerywanego snu, bo całą poprzednią noc przesiedziałeś w wagonie i wypaliłeś za dużo papierosów, więc dziąsła bolą cię dotkliwie. Próbujesz zasnąć, lecz szafirowy plusz oparcia drażni szyję, wobec czego prostujesz się, zakładasz nogę na nogę i tępo patrzysz na siedzącego obok komiwojażera z Allentown (stan Pensylwania), który wieczorem poinformował cię o swoim hobby (modelach pociągów) i opowiedział anegdotę o dwu uczennicach w hotelu „Astor”. Obecnie komiwojażer siedzi bez ruchu, oddycha sapiąc cicho, a jego układna twarz, pokryta szpakowatą runią jednodniowego zarostu odprężyła się we śnie i wygląda naturalnie. Dla odmiany możesz odwrócić wzrok ku sosnowym laskom przemykającym za oknem z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę. Zielone

drzewa drzemią stojąc gęsto, a brązowawa ściółka igliwia lśni ciepło w blaskach wczesnego poranka, dopóki biały dym z parowozu nie przesłoni widoku uderzywszy o szybę poszarpaną wstęgą.

Słońce już wzeszło. Wyraźnie widać mgłę powstającą na polach i pośród pól samotne domki i cienkie smugi dymu nad kominami, a tu i ówdzie odbłask ognia w otwartych drzwiach. Na przejeździe miga nagły obrazek: Murzyn na wozie siana zaprzęgniętym w kłapouchego muła. Murzyn ma otwarte usta i odsłaniając różowe dziąsła gapi się na rozpędzony pociąg, póki nie pochłonie go i nie zasłoni tuman dymu. Przez moment tylko jedna ciemna dłoń idiotycznie sterczy ku górze.

Komiwojażer porusza się, spogląda sennie w okno i mamroce: „Gdzie my jesteśmy?” „Chyba już niedaleko Port Warwick” – odpowiadasz szeptem, a kiedy sąsiad sadowi się do dalszej drzemki, sięgasz po numer „Times-Dispatch”, który przed godziną kupiłeś od gazeciarza. Nie czytałeś dziennika i nie masz ochoty przeczytać, ponieważ myśl zaprzętąją ci być może inne sprawy. Wolisz patrzeć znowu na krajobraz późnego lata i spokojny, melancholijny urok podsycanych przypływem morza strumieni, które wiją się pośród bagien pełnych stłumionych, przerażających odgłosów, na ogół jednak spowitych martwą ciszą, przerywaną niekiedy odległym gwizdkiem i równie odległym turkotem kół na szynach. Pociąg zaczyna znowu zostawiać za sobą małe leśne stacyjki o nazwach takich, jak Apex lub Jewel, a dwaj Murzyni zajęci piłowaniem drzewa prostują się na dźwięk gwizdka parowozu i jeden z nich ściera ręką krople potu, co okrywają czoło niby drobne krosty. „Pociąg do Richmond, ha?” – mówi zapewne, a drugi protestuje: „Nie, do Port Warwick”. „To miasto pierwsza klasa, jak się patrzy” – podejmuje pierwszy i obydwaj wybuchają śmiechem, a następnie biorą się do przerwanej pracy. Piła zaczyna chodzić i wypełnia zgrzytem wrażliwą leśną ciszę.

Port Warwick to miasto stoczni okrętowych. Domki robotnicze zaczynają się tam na skraju bagien. Tanie budynki z dykty wyrastają pod lasem zwartymi grupkami, niby bedłki. Z rana, kiedy mężczyźni spieszą do pracy, samochody mkną szosą ku wschodowi i po drodze mijają dalsze zbiorowiska domków zbudowanych na bagnistym pustkowiu, niemal opartych o las podwórkami, gdzie kobiety wieszają upraną bieliznę i wolno zwracają wybladłe twarze w stronę przemyskających wagonów. Pociąg zwalnia. Komiwojażer budzi się z potężnym ziewnięciem i pożycza od ciebie gazetę. Kiedy po chwili spoglądasz znów w okno, widzisz, że bagniste pustkowie ustąpiło miejsca szarym, anonimowym uliczkom, rzędom jednakowych ciasno stojących domków i szyldom supermarketów. Następnie widzisz bocznice kolejowe i pociąg hamuje gwałtownie na Dworcu Portowym, gdzie znajduje się koniec linii, gdyż za dachami leżą już tylko zielonkawe, słone wody głębokiej pięciomilowej zatoki.

Wstajesz i mówisz do widzenia komiwojażerowi, który promem ma się przeprawić na drugi brzeg tej zatoki. Później ściągasz z półki torbę podróżną i wychodzisz na peron, gdzie po zaduchu i upale wagonu powietrze pachnie przyjemnie morską wodą, a w odległości trzydziestu kroków czeka twoja dziewczyna albo przyjaciele. „Jest, jest!” – wołają, kiedy zbliżasz się do nich, zapomniawszy już raz na zawsze o komiwojażerze i całej podróży z Richmond.

Zapowiada się upalny dzień.

Był sierpień 1945 roku, dzień powszedni, godzina punktualnie jedenasta przed południem. Na peronie nadbrzeżnym Dworca Portowego w Port Warwick zahamował czarny, lśniący karawan o silniku tak bezszelestnym, jak gdyby go wcale nie było. Za karawanem nadjechał samochód, zwany w gwarze zakładów pogrzebowych „limuzyną” – packard nie mniej czarny i lśniący niż poprzedzający go wehikuł. Kierowca limuzyny, pan Llewellyn Casper – szczupły mężczyzna w okularach – miał rękawiczki mysiego koloru, a jego twarz wyrażała baczne i współczujące skupianie. Była to pospolita, lekko piegowata twarz o jasnoniebieskich, mętnych oczach spotykanych często u osób tak płomiście rudych, jak pan Casper. Gdy kierowca wysiadł z limuzyny na peron i ostrożnie otworzył tylne drzwiczki, tchnął spokojną, układną godnością, jak ktoś, komu niewątpliwie można zwierzyć bolesne szczegóły śmierci bliskiego krewnego. Zagląając do wnętrza wozu powiedział:

– Do nadejścia pociągu mamy piętnaście minut, proszę szanownego pana. Czy zechcą państwo poczekać na stacji?

Z limuzyny wyłonił się Milton Loftis, a za nim niejaka Dolly Bonner oraz stara Murzynka, Ella Swan, ubrana w czarną jedwabną suknię z kołnierzem i mankietami z białej koronki.

– Myślę, że zostaniemy na peronie – powiedział Loftis.

– Jak szanowny pan woli. Wracam za minutę. Co tam znów, Barclay?

Casper ruszył szybko i cicho ku swojemu pomocnikowi, ubranemu w workowaty czarny garnitur blademu młodzieńcowi, który nachylił się nad otwartą maską karawanu i uważnie oglądał dymiący silnik.

Pozostała trójka odeszła bez słowa w cień, pod daszek, gdzie inne grupki również oczekiwały pociągu. Skądś spod peronu para dobywała się z natrętnym syczeniem. Nad daszkiem widać było czyste, bezchmurne niebo – niebo jaskrawoszafirowe, co wróży upał i całodzienną niechęć do wszelkiej aktywności. Wilgotne powietrze zdradzało cechy wspólne wybrzeżom we wszystkich południowych miastach, ów cierpki zapach kreozotu, smoły i ryb zaprawiony po trosze odorem czegoś, co smaży się na płycie kuchennej. Statek towarowy przycumowany do nabrzeża stał po przeciwnej stronie kanału, oddzielony od peronu dwudziestoma jardami zatłuszczonej wody. Brygada robotników zaczynała właśnie wypełniać jego hołd ładunkiem boksytu. Z nabrzeża dochodził ostry zgrzyt elektrycznego żurawia i galwaniczny zapach przypalonego metalu. Z hołdu, niby z grobowego lochu, dudniący głos zawołał: „Zwalnij! Zwalnij!” Nad pokładem statku wykwitnął obłok pyłu, opadł w dół, na peron i gęstą mgłą jął osiadać pod daszkiem, pokrywając wszystko delikatnym nalotem, chropowatym przy dotknięciu. Większość czekających umknęła do budynku stacyjnego otrzepując odzież rękami, lecz Loftis i dwie towarzyszące mu kobiety stali cierpliwie w pobliżu toru, a pył spływał na nich nieustannie, wsiąkał w ubranie i zmieniał twarz starej Murzynki w popielatą maskę.

– ... ale nie chciała pojechać, nie chciała – rozprawiał Loftis. – Na próżno prosiłem, zaklinałem: „Heleno – mówię – prosta przyzwoitość wymaga, żebyś pojechała, żebyś pojechała chociażby dzisiaj. Czy nie rozumiesz – mówię. – To nasza córka, nasza, nie tylko moja. Jak możesz wymagać, abym ja to wytrzymał – mówię. – Jak możesz wymagać...”

Jego głos brzmiał donośnie, nutą bezradnej, tragicznej rozpaczki, a kobiety, jak gdyby powodowane jedną myślą, jęły głaskać go po ramionach i jednocześnie szeptać kojąco.

– Niech się pan tak nie przejmuj, bo... – zaczęła Ella Swan, a Dolly jej przerwała:

– Musisz być dzielny, kochany Miltonie. Ach, kochany Miltonie, czy sądzisz, że istotnie powinnam znajdować się tutaj? Gorąco pragnę być przy tobie, najdroższy. Ale, rozumiesz, Helena i to wszystko, i...

Dolly Bonner – kobieta mniej więcej czterdziestoletnia – była ubrana w czerń i miała żałośnie chytre oczy.

– Nie wiem – szepnął Loftis zdławionym głosem.

– Co się stało? Czy coś ci się nie podoba, kochany?

Nie odpowiedział. Nie słuchał jej, a co więcej, myśl miał zajęta wyłącznie własnym szarpiącym bólem. Wczoraj był szczęśliwy, ale wieczorem ból poraził go i pochłonął bez ratunku, gdyż po raz pierwszy w życiu Loftis nie był w stanie poskromić trosk, omotać je jak gdyby w dziwaczny, niepożądany kokon i ostatecznie odpędzić zdaniem: „Zdarzają się gorsze rzeczy”. Twarz zmartwiała mu z rozpaczy, a na wodę w kanale spoglądał zdziwionym wzrokiem, jak gdyby nigdy dawniej nie widział Dworca Portowego. Miał pięćdziesiąt kilka lat i za młodu odznaczał się urodą, co było widać nadal. Jakkolwiek jednak zachował nieco dawnych regularnych rysów, jego twarz wydawała się zniszczona, chorobliwie zaniedbana: skórę na poprawnie ukształtowanych kościach szpeciły niezliczone zmarszczki i głębokie, nieładne pory. We włosach miał od młodości siwe pasmo, które nie umniejszało, lecz wzmagало wdzięk jego powierzchowności, stanowiąc w pewnym sensie punkt magnetyczny, przyciągający pełne podziwu spojrzenia ludzi obcych. Loftis był próżny z racji tego siwego pasma, wobec czego rzadko nosił kapelusz.

– Pociągu tylko patrzeć. Peyton tu będzie kwadrans po jedenastej. Kochane dziecko!... – powiedziała Ella Swan i zaczęła szlochać cicho w ogromną koronkową chustkę do nosa.

Pomarszczoną, zboląłą twarzą przypominała sędziwą małpę, a płacząc zerkiała wokół wilgotnymi oczyma poprzez fałdy koronki.

– Cicho – szepnęła Dolly i położyła dłoń na ramieniu Murzynki. – Cicho, Ella. Daj spokój.

Pył opadał, spowijał peron niby mgła. Przy końcu toru dwaj tragarze dźwigający jakiś bagaż ze stacji zniknęli niby widma. Loftis spoglądał tępo ich śladem i myślał: Nie będę zastanawiał się nad tym wszystkim. Lepiej patrzeć na wodę”. Na statku samotna, ceglasczerwona postać z liną w ręku wskoczyła na obudowę luku i wrzasnęła do hołdu: „Puszczaj!” Loftis medytował dalej: „Może pociąg wcale nie nadjedzie, jeżeli będę myślał tylko o tej minucie, o tej sekundzie. Tak. Myśleć o wodzie, o bieżącej chwili”. Mimo wszystko jednak wiedział, że jest za stary, zanadto zmęczony, by pozwalać sobie na paradoksy, że nie zdoła uniknąć najbliższej przyszłości, a pociąg nadjedzie wreszcie wraz z ostatecznym dowodem przeznaczenia i zbiegu okoliczności– pojęć, których Loftis nie rozumiał nigdy, bo należał– przynajmniej nominalnie – do Kościoła episkopalnego i sumienie nie pozwalało mu kłopotać się zbyt długo abstrakcjami. Pociąg nadjedzie i dostarczy również świadectwo wszystkich jego błędów i całej miłości, gdyż Loftis kochał córkę bardziej niż kogokolwiek i grozą przejęła go nagła myśl, że tego dnia musi spotkać ją cichą, niewidzialną w trumnie. „Pociąg jest teraz na skraju miasta – pomyślał. – Dudni potwornie nad ostatnim wąwozem, mija murzyńskie rudery”.

– Mój Boże! – westchnął cicho.

Ella Swan spojrzała na niego i powiedziała ocierając oczy:

– Niech się pan o nic nie kłopoce. My z panią Bonner wszystko załatwimy – zaczęła znowu płakać i zawodzić.

– O Jezu! Zmilkuj się, dobry Jezu!

– Cicho, Ella! – syknęła powtórnie Dolly.

Przerażony, zgnębiony Loftis odwrócił się, jął znów patrzeć na wodę, nasłuchiwać. „Nie zamierzam przekonywać cię...” Tak mówił jego ojciec przed trzydziestoma laty, w bladym świetle marcowego popołudnia, kiedy dom nie był jeszcze ostatecznie skazany na śmierć, lecz wkrótce przed tym terminem; w owym czasie nawet najlżejsze kroki na schodach budziły smutny drewniany oddźwięk krokwi i belek, przypominając nie tylko o szybko starzejącym się domu, lecz również o mijaniu lepszych, spokojniejszych czasów...

„Nie zamierzam przekonać cię, po prostu daję rodzicielską radę, którą bez wątpienia odtrącisz, ponieważ masz wypaczony pogląd na obowiązki syna. Spodziewam się jednak, że ocenisz należycie przestrozę kogoś, kto widział, jak dużo wody przepływa pod mostem, i muszę przyznać, doznawał licznych i gwałtownych pokus cielesnych. Spodziewam się, że przynajmniej w pewnej mierze zaniechasz trybu życia, który w najpomyślniejszym razie musi prowadzić do zmartwień, a może nawet przywieść do kompletnej ruiny. Jestem dziś stary...”

Zatem ojciec zdawał sobie sprawę, że syn dorósł po to, by go ostatecznie zdradzić, chociaż nie mógł przewidzieć końcowej klęski (starzejący się, zramolały już nieco syn stoi tutaj i czeka na symbol swojego losu), podobnie jak nie mógł przewidzieć, że kulą ziemską wstrząśnie druga, bardziej okrutna wojna albo że długo po jego śmierci, niepojętym sposobem demokraci dojdą do władzy na czas być może nieograniczony. Ojciec. Dziś tylko cień. Loftis uległ współczuciu dla samego siebie. Odniósł wrażenie, iż został oszukany, przekonany, że ogrom bólu to zbyt ciężkie dla niego brzemie.

Nie o to chodzi, papo. W czymś innym sedno sprawy. Życie zmierza do pewnego momentu. Jako poeta ani jako złodziej nie mógłbym kierować się wolną wolą.

A zresztą... Loftis spojrział na statek, obłok pyłu, trzy pikujące mewy rozkołysane na połyskliwych skrzydłach. A zresztą... Chodzi o własną młodość, która mknie nieopatrnie, by w rezultacie zdradzić człowieka. Nie pamięta się własnej młodości, a później żal zapomnianego życia, zaczętego przed z górą pół wiekiem, w przeładowanym niczym muzeum domu w Richmond, gdzie pierwsze wspomnienie stanowi słoneczny pokój pełen stłumionych, smętnych dźwięków niedzielnego popołudnia i defilada na ulicy, i dziarskie, lecz niepokojące zarazem dalekie dźwięki orkiestry, i szept matki: „To muzyka, Miltonie, muzyka... muzyka... Słuchaj, kochanie moje”. Blask słońca spływa przez szeleszczące cicho zasłony, a gdzieś, jak gdyby bardzo daleko w górze, majaczy twarz kobieca niewidzialna i w rezultacie nieznana, gdyż matka umarła, zanim Milton zdążył odmalować w świadomości jej rysy – jak mawiał później ojciec – subtelna i piękna. Były również spacer z ojcem w parku i wilgotny świerkowy zapach lasów, i najlepszy przyjaciel Milтона, Charley Quinn – chłopczyk o bladej cerze, zapadłych policzkach głodomora i szpecącym czoło znamieniu w kształcie kwiatu z brązowymi płatkami – który poległ później nad Sommą.

Mój synu...

„Pierwszy twój obowiązek, synu, jest wobec samego siebie...”

Ojciec był prawnikiem, potomkiem wielu pokoleń prawników, i do śmierci w 1920 roku nosił stojący kołnierzyk z różkami i wąsy *à la* Edward VII.

„Nie śmiem kwestionować twojego zdrowego rozsądku, cechy, którą, jak mniemam, odziedziczyłeś szczerze nie po mnie, lecz po czcigodnej matce. Kiedy więc ruszasz w świat, chcę udzielić ci jedynie szkockiego napomnienia, a mianowicie: Podnoś czoło wysoko, a kilt obciążaj nisko i niechaj wieją przeciwne wiatry”.

Jednakże ojciec nie miał daru przewidywania. Nie potrafił uchronić syna od zepsucia i nie rozumiał, że wysłanie siedemnastolatka na uniwersytet musi przynieść skutki takie, jakie przyniosło. W dziewiętnastym roku życia Milton był typem znanym na uczelni pod przezwiskiem „Gąbka”, opojem nawet według lokalnych pojęć, a pił nie tylko dlatego, by upijać się whisky, lecz również z racji odkrycia, że nagła wolność z dala od ojca jest poniekąd uciążliwa. Miał dar wymowy i wrodzone, szerokie zainteresowania. Spodziewano się, że będzie z niego dobry prawnik. Kiedy otrzymał dyplom, przyjemnie zaskoczyły go osiągnięte rezultaty i uzyskane oceny, gdyż pamiętał, jak wiele czasu poświęcił pijaństwu i odwiedzinom w miejskim domu publicznym, żerującym przede wszystkim na studentach – szykownym zakładzie z żyrandolami o uniwersyteckich herbach na abażurach, prowadzonym przez efektowną blondynkę, niejaką Carmen Metz.

Podczas pierwszej wojny światowej Milton Loftis podejmował pewne gesty, by zaciągnąć się do szeregów – gesty, jak po wielu latach przyznawał ze wstydem wobec samego siebie, bardzo niezdecydowane – i doznał znacznej ulgi, gdy ojciec dzięki swoim stosunkom rządowym uzyskał dlań stopień oficerski w służbie sprawiedliwości. Cały niebezpieczny okres spędził na Wyspie Gubernatorskiej, gdzie w sposób prostszy, niż mogłoby się na pozór zdawać, został mianowany najprzód pełnym porucznikiem, następnie kapitanem i wojnę pożegnał w tym stopniu i ze zdobyczą w osobie córki pułkownika.

Spotkali się podczas zabawy tanecznej w kasynie oficerskim na Wyspie Gubernatorskiej. Panienska nazywała się Helena Peyton, a jej ojciec pochodził ze starej wirgińskiej rodziny i był wychowankiem akademii wojskowej w West Point. Tańcząc z Miltonem powiedziała, że dziwnym zbiegiem okoliczności jej dziadek studiował na tym samym uniwersytecie. Tegoż wieczora wybrali się mimo ulewy na samotny spacer nad morze, a kiedy młody oficer, mocno pijany i trochę chwiejny na nogach, nachylił się, aby ją pocałować, latarnie miejskie błyszcząły we mgle niby rozżarzone węgle. Panienska umknęła zwinnie, otrząsając z kapturka migotliwe krople deszczu.

Zapewne obydwójce byli za młodzi, by zdobyć się na trafniejszy osąd. Tak czy inaczej, zaręczyli się po paru miesiącach znajomości. Byli przystojni i szalenie zakochani. Lubili przyjęcia, tańce, a w soboty chętnie jeździli konno w Parku Centralnym. Ale Helena była raczej powściągliwa, hołdowała surowym zasadom. „Nie, Miltonie – mówiła – na to przyjdzie czas później. Musimy poczekać”. W grę wchodziło również picie. Panienska uwielbiała zabawę, ale zabawę na trzeźwo.

– No, no, miła skromnisio, nie bój się – mówił z uśmiechem. – Tylko jeden malutki...

– Nie, Miltonie – odpowiadała. – Bardzo cię proszę. Dostyc wypieś. Ja nie chcę.

I z tymi słowy uciekała popłakując trochę.

Nic nigdy nie wiadomo. Nieregularny i ruchliwy tryb życia wojskowego stwarza pokusy. Ale Milton był zakochany – diabelnie zakochany. Przez długi czas nie pił wcale. Dla niej.

O przyszłości rozmawiali ufnie, radośnie. Jego ojciec ma trochę pieniędzy i synowi zapewni praktykę w Port Warwick – „rosnącym mieście”, jak powszechnie mówiono. Będą tam spędzać czas rozkosznie. Ojciec da zapewne niewiele, ale to będzie chwilowe. Poradzą sobie doskonale.

Następnie zaczęła mówić Helena. Po śmierci matki ma otrzymać w spadku sto tysięcy dolarów. „Daj spokój, maleńka” – protestował łagodnie, lecz nie bez zadowolenia i otuchy.

I tak pobrali się z czczą, efektowną paradą stosowaną przy takich okazjach w wojsku. Ceremonia niepokoiła Milтона, ponieważ wywoływała w nim beztroski dreszcz uniesienia. Flagi, orkiestra budziły miłe, po trosze wstydlive podniecenie wynikające nie tylko z czystego patriotyzmu. Przyczyną była raczej duma z posiadanego stopnia, który, chociaż zdobyty tylko dzięki oblubienicy, z czego pan młody dokładnie zdawał sobie sprawę, rodził młodzieńczą, arogancką pewność siebie. Bądź co bądź, to dwa srebrne prostokąty i galowy mundur, idealnie wyprasowany, niepokalanie biały! Podświadome uczucie wstydu i fałszu podsycala nowina przywieziona przez ojca – obecnie łagodnie rozczarowanego starszego pana, u którego cierpliwość przestała być cnotą, ponieważ weszła w nawyk. Podczas przyjęcia w kasynie oficerskim ojciec stał nieśmiało na uboczu i korzystając ze sposobności powiedział Miltonowi grobowym, przeprasającym tonem, że Charley Quinn poległ na polu chwały. To szkoda... wielka szkoda... Końce zawadiackich niegdyś wąsów starego Loftisa drgały żałośnie.

Tłumiony gniew wzbierał w Miltonie, gdy bez przekonania wyrażał żal z powodu śmierci chłopca, z którym kontakt dawno utracił. Prawie nie maskował urazy, iż powiedziano mu o czymś takim w dniu wesela. Zupełnie jak gdyby ojciec próbował okupić swoje błędne posunięcie, zapewniające młodemu człowiekowi przydział w bezpiecznym miejscu, i napomknął, że wojna to nie tylko szampan i kwiaty, i dźwięczny śmiech żon oficerskich. Pan młody ledwie powstrzymał się od powiedzenia czegoś przykrego, szczególnie zjadliwego ojcu, gdy ten stał nieśmiało, a jego wilgotne, mrugające oczy wyrażały słabość – a zatem coś, czym gardził przez całe życie. Tamtego dnia on gardził ojcem. Chciał, by stary wyniósł się jak najprędzej, wrócił do Richmond. Miał go zupełnie dosyć.

„Mój synu...”

Ojciec mieszkał wtedy w pensjonacie, bo stary dom został doszczętnie zburzony; na jego miejscu stanęła fabryka papierosów i żelazobetonowymi ścianami urągała snującym się widmom spokojnej, przebrzmiałej tradycji, a nawet pamięci dwunastu odwiecznych cedrów, które rzucały niegdyś tkliwe, rozedrgane światła na nie istniejącą dziś murawę.

„Mój synu, twoja matka była mi pociechą i ostoją, modłę się tedy pełen nadziei, że bodaj przez szacunek dla pamięci tej, co na świat cię wydała, będziesz, jak powiada kaznodzieja, żył ze swoją małżonką w radości i miłował ją do końca doczesnego żywota, jaki ci dany został pod słońcem, albowiem taki jest twój udział w marnościach na tym padole wśród ciężkich trudów aż po kres twoich dni. Mój synu...”

Milton odczuł nagle bolesny skurcz smutku, litości i niedorzecznie począł szukać w pamięci stosownego słowa. Ale w tej chwili zamajaczyła przed nim niewyraźna, daleka twarz Heleny, która pocałowała go i odprowadziła, by komuś zaprezentować. Ojciec pozostał skromnie w kącie i ugrzązł w rozmowie ze znudzonym młodym porucznikiem, a on – świeżo upieczony kapitan – słuchał rytmicznej weselnej paplaniny żony generała, kłaniał się, uśmiechał i myślał o mizernym chłopcu ze znamieniem w kształcie kwiatu, o bracie, którego nie miał, i nie poznanym nigdy ojcu.

– Słowo daję, Heleno, dostała ci się największa ozdoba armii. Chłopak jak złoto – powiedziała żona generała i jej śmiech przeszył powietrze, niby brzęk rzuconego na podłogę kielicha.

Myśleć o chwili bieżącej. Gdzieś na statku gwizdek zabrzmiał donośnie. Loftis spojrzął przez pył, jak przez drgające ramy światła.

– Heleno – szepnął półprzytomnie i począł szukać dłoni żony, ale to rękawiczka Dolly spoczywała pocieszającym gestem na jego ramieniu.

Odwrócił się, aby spojrzeć w oczy, i wtedy właśnie usłyszał turkot pociągu na szynach.

– Nie! – zawołał głośno. – Ja tego nie wytrzymam.

Karawan stał zaparkowany w pobliżu żurawia węglowego. Za każdym razem, gdy pan Casper nachylał się chcąc wytłumaczyć Barclayowi, co niedomaga w silniku, wywracał się czerpak żurawia i słowa ginęły w łoskocie i głuchym dudnieniu, z jakim węgiel spadał do okrętowego hołdu.

– Lyle – zaczynał pan Casper – może pasek wentylatora nie chodzi. Słyszysz, Lyle? – nerwowo strzepywał pył z mankietów, starał się zachować spokój. – Może pasek wentylatora nie chodzi...

Barclay usiadł przy kierownicy i zapalił silnik, aby zgasić go po kilku sekundach, gdyż pasek działał jak należy.

– Czy sprawdziłeś...

– Gotów! Puszczaj!

Pan Casper odczuł posępne zniechęcenie. Prawie nie spał poprzedniej nocy, a to, co działo się wokół, było jakieś niewyraźne, mgliste.

– Słuchaj, Barclay – podjął. – Czy na pewno sprawdziłeś wodę?

– Tak, proszę pana.

– Ostatnim razem było to samo. Ostrzegałem cię przecież. Ten wóz kosztuje, synu, blisko sześć tysięcy dolarów. Nie chcemy, żeby mu się coś stało. Rozumiesz, Barclay?

Chłopiec odwrócił głowę i z nad silnika spojrzął na pracodawcę, który patrząc nań z góry uśmiechnął się łagodnie. Traktował Barclaya ciepło, po ojcowsku, bo nie miał własnych dzieci. Lyle jest powolny, ale przyjemny chłopiec. Tak, zupełnie przyjemny, tylko... jakby tu powiedzieć?... no, powolny. A to dopiero dzień!

– Ha! Trzeba, żebym sam spojrzął – podjął pan Casper ściągnając rękawiczki.

Na wierzchu dłoni miał piegi – duże czerwone piegi usiane kępkami włosów koloru marchwi. Pochylił się nad silnikiem i poczuł gryzący zapach dymu. Na oślep sięgnął przed siebie i straciwszy równowagę oparł się ręką o chłodnicę. Ostry ból dotarł aż do ramienia.

– Bodaj to lichy, Barclay!

Pan Casper odwrócił się na pięcie, odskoczył od samochodu i palcami ścisnął skaleczoną dłoń. Lękliwie patrzył na powstający już siniec – niewielki, lecz bolesny siniec, który budził w nim niedorzeczną irytację.

– Popraw tę chłodnicę, synku – podjął łagodnie, możliwie najłagodniej. – Popraw zaraz. Jeżeli nie potrafisz, sam się tym zajmę.

Dwaj Murzyni, robotnicy portowi, przeszli opodal wlokąc między sobą brzęczący łańcuch. Pan Casper usłyszał śmiech i słowa: „Patrzaj. Trumna na kółkach...” Wstyd mu się zrobiło niemądrej złości.

Kiedy tak stał i wysysał ranę, Barclay odnalazł defekt: gumowa rurka chłodnicy odłączyła się i w rezultacie wyciekła prawie wszystka woda. Chłopiec osadził rurkę na właściwym miejscu i oszedł, aby ze stacji obsługi przynieść wiadro wody. Pan Casper opuścił maskę i ocierając smar z rąk stanął sztywno opodal karawanu. Naciągnął rękawiczki i w tym momencie złowił uchem daleki gwizd parowozu. Spojrzał na zegarek: jedenasta dwadzieścia. To pociąg. W górze czerpak żurawia zgrzytnął przejmująco stalą o stal. Nowy hałas zdenerwował niemiłosiernie pana Caspera. Bodaj to lichy! Spiesznie ruszył w kierunku grupki oczekującej na peronie i natychmiast zderzył się z obładowanym walizami tragarzem.

– Bardzo przepraszam wielmożnego pana – powiedział ten ostatni.

Pan Casper wszedł po schodach na peron i poczuł na twarzy prąd czystego, słonawego powietrza. Odetchnął głęboko i w tej chwili usłyszał głos Loftisa – odległy, schrypnięty głos, piskliwy teraz, wibrujący na pograniczu hysterii, tak dobrze znanej przedsiębiorcy pogrzebowemu.

– Nie wytrzymam tego – mówił Loftis wystarczająco głośno, by grubas mijający właśnie Caspera przystanął z zaciekawioną miną. – Mówię wam, nie wytrzymam... Nie mogę! Nie chcę!

Pan Casper był zyczliwy ludziom, więc niepokój udzielił mu się z szybkością błyskawicy. Żałobne doświadczenia nauczyły go odróżniać rzeczywistą rozpacz od udanej. Tu w grę wchodziła ta prawdziwa. Zbliżył się i delikatnie dotknął ramienia Loftisa.

– Spokojnie, proszę pana, spokojnie. Trzeba się trzymać.

– Nie pójde tam! Nie chcę tego widzieć! Nie chcę. Nie mogę. Ucieknę.

– Spokojnie, proszę pana, spokojnie – powtórzył przedsiębiorca pogrzebowy. – Nie musi pan tam iść, skoro nie życzy sobie. Może pan przecież posiedzieć w limuzynie.

Pociąg wtoczył się dostojnie na Dworzec Portowy spowijając oczekujących wirami białego, wilgotnego dymu. Parowóz hamował z wolna, dygocąc i sapiąc niby ogromna bestia, a słońce połyskiwało jasno na jego dwunastu ociekających oliwą kołach.

– Dobrze – podjął Loftis spokojnie i posłusznie. – Posiedzę w samochodzie. Wolę na to nie patrzeć.

– Racja – przyznał pan Casper. – Najlepiej niech pan posiedzi w limuzynie.

– Tak... tak – podchwyciła zapłakana Ella. – Biedaczek! Najlepiej niech posiedzi w limuzynie.

– Słusznie, kochany. Idź do samochodu – dodała Dolly.

Loftis spojrział na przedsiębiorcę pogrzebowego błędnym, błagalnym wzrokiem, który poczciwego Caspera wzruszył głęboko.

– Racja – powtórzył. – Najlepiej niech szanowny pan posiedzi w limuzynie. Wszystko jest w moim ręku.

Loftis pospieszył w stronę samochodu pomrukując po drodze: „Tak... tak...”, jak gdyby słowa pana Caspera definitywnie rozstrzygnęły zawiłą sprawę.

Gdy się oddalił, Dolly wybuchnęła płaczem.

– Biedna Peyton – jęknęła. – Biedna, nieszczęśliwa dziewczyna.

Casper pomyślał, że jej rozpacz brzmi niezbyt uczciwą nutą. Ostatecznie trudno powiedzieć coś pewnego, gdy chodzi o kobietę. Kobiety powinny płakać... Ale jakie związki łączą tę osobę z Loftisem? Coś – posłyszane zdanie lub słowo – przemknęło w myślach Caspera i uleciało szybko. Miał przecież wiele do roboty. Ruszył wzdłuż toru, by wśród obłoków pyłu wypatrywać wagonu bagażowego. Dręczył go przykry niepokój, który odczuwał po trosze z rana i w ciągu bezsennej nocy w łóżku. Ale naprawdę poczuł się źle dopiero przed chwilą – może na skutek szczególnego wyrazu oczów Dolly Bonner? „Coś się psuje w państwie duńskim” – pomyślał. Był dumny ze swojego fachu, a więc fakt, że państwo Loftis odnoszą się tajemniczo, niemal nie po chrześcijańsku do zwłok córki, poczytywał za zniewagę nie tylko dla siebie, lecz również dla zawodu przedsiębiorcy pogrzebowego.

Poprzedniego wieczoru odebrał telefon Loftisów nie w domu, lecz w zakładzie, gdzie z powodu głupiej omyłki w zesłomiesięcznych rachunkach wertował księgi z panem Hugginsem, inspektorem Ligi Przedsiębiorców Pogrzebowych okręgu Tidewater. Od razu poznał głos pani Loftis, bo spotykał ją od czasu do czasu w sprawach Komunalnej Kasy Zapomogowej. Był to głos osoby kulturalnej – spokojny i uprzejmy, lecz nie pozbawiony subtelnej nuty wyższości. Zapisywał w notesie dane, komunikowane przez panią Loftis tonem dziwnie rzeczowym, ogołoconym z uczucia, i dopiero gdy odłożył słuchawkę zakończywszy rozmowę przyjętymi w takich przypadkach wyrazami współczucia, najprzód pomyślał, a następnie powiedział panu Hugginsowi:

– To dziwne... Ona mówiła tak... tak chłodno.

Pan Casper nie lubił emocjonalnego wzburzenia, jakiemu kobiety ulegają na ogół w ciężkich chwilach, i niejednokrotnie powtarzał Barclayowi, że „płacząca kobieta jest gorsza niż dziki kot ze skrzydłami”. Było to jedno z żartobliwych powiedzonek, które gromadził troskliwie i przekazywał chłopcu, aby podobnie jak stary wiarus gawędzący przed bitwą z rekrutem, łagodzić przykre strony rychłego zadania. Zarazem jednak poczucie godności nieodłączne od powołania przedsiębiorcy pogrzebowego domagało się, by osoba osierocona – szczególnie kobieta – zdradzała pewne oznaki bólu i chociażby blade wargi, zacięte i nieudolnie próbujące ułożyć się do uśmiechu, albo oczy suche, lecz pełne bezdennej rozpacz. Pan Casper dobrze pamiętał chłodny, mało serdeczny dźwięk głosu Heleny Loftis, więc rano wkraczał do jej domu nie bez pewnego zaciekawienia. Otworzyła mu drzwi frontowe, a minę miała tak opanowaną, jak gdyby przyszedł dostawca produktów żywnościowych. Co prawda twarz Heleny Loftis była zmięta, powleczonej siecią bruzd i zmarszczek. „To smutne, bardzo smutne” – pomyślał Casper. Ale wszystkie zmarszczki i bruzdy widywał już dawniej. Jakieś inne troski musiały być przyczyną ich oraz pięknych, śnieżnobiałych włosów, jakkolwiek pani Loftis nie miała jeszcze pięćdziesiątki. Później przypomniał sobie nagle wydarzenie sprzed kilku lat: śmierć drugiej córki, kaleki. Czy tamta nie była trochę niespełna rozumu? Pogrzebem zajmował się

konkurent – Barnes. „Dobry Boże...” – pomyślał Casper.

Pani Loftis usiłowała zdobyć się na uśmiech.

– Proszę – powiedziała. – Mąż jest na górze. Zaraz zejdzie.

– Dziękuję szanownej pani. Chciałem powiedzieć... – delikatne słowa pociechy grzechotały mu w gardle niby kamienie domina. – Chciałem powiedzieć...

– Pozwoli pan dalej, panie Casper – przerwała.

Zbity z tropu, onieśmielony wszedł z wahaniem na ganek we wnęce. Powietrze było ciężkie od zapachu powoju i werbeny, a nad kwiatami polatywały pszczoły i dwie maleńkie muchołówki.

– Pragnąłbym, szanowna pani... – zaczął znowu.

– Zechce pan spocząć tutaj – przerwała szorstko i szeleszcząc jedwabnym szlafrocikiem zniknęła w głębi domu.

Pan Casper usiadł w fotelu pachnącym rozgrzaną skórą i zaczął ociekać potem. Przez drzwi balkonowe widział pokój jadalny – cienisty, pusty. Stożące na kredensie kryształły i srebra rzucały świetlne plamy na ścianę. „Jej robota-pomyślał. – Bardzo porządna i schludna”.

Milton Loftis nadszedł niebawem. Oczy miał przekrwione, ubranie zmięte. Mówił cicho, ochryłym zmęczonym głosem. Wszystko ma być załatwione dyskretnie, bez nekrologów w prasie. Kwiaty? Nie. Nie trzeba kwiatów. Naturalnie to odbiega od zwykłych praktyk, ale proboszcz wyraził zgodę. Milton Loftis dorzucił jeszcze, że jest całkiem wytrącony z równowagi.

– Niech się szanowny pan uspokoi... – zaczął raz jeszcze Casper, lecz zorientował się, że Loftis zniknął, wobec czego usiadł w fotelu i spoconymi dłońmi dotknął rozgrzanej, zielonkawej skóry.

Wszystko wydawało mu się dziwne. Patrzył na gładką, błękitną zatokę drzemiącą w słonym skwarze. Po przeciwnej jej stronie rysowała się purpurowo sylwetka okrętu wojennego, drobna niby dziecinny stateczek pływający po jeziorze wanny. Mewa wrzasnęła złośliwie nad plażą i wystrzeliwszy w górę zniknęła z oczu.

Ella Swan wybiegła na ganek, lecz zobaczywszy pana Caspera, cofnęła się wśród wiru wstążek i koronek.

– Mój Boże! – zawołała. – On już tu jest, proszę pana.

Przedsiębiorca pogrzebowy usłyszał głosy dobiegające z balkonu. Wstydliwie pochylił się do przodu.

– Więc nie pojedziesz ze mną? – mówił Loftis, a jego żona na to:

– Dlaczego miałabym jechać? Mówiłam przecież, że pojedę z Careym Carrem.

– Heleno, czy nawet...

– Daj spokój. Powiedziałam swoje. Nie chcę więcej rozmawiać na ten temat.

– Prosta przyzwoitość wymaga...

– Właśnie! Przyzwoitość. Pozwól sobie. Mów o przyzwoitości.

– Heleno, ty nie rozumiesz...

– Nic podobnego. Rozumiem. Wszystko.

– Ale nie mogę jechać sam... Zastanów się... Mój Boże... Co ludzie pomyślą?

– Właśnie! Co ludzie pomyślą? W tym sęk. Co ludzie pomyślą? Śmiać mi się chce.

– Heleno! Wysłuchaj mnie. Bardzo proszę, Heleno...

– Dobrze. Wysłucham, ale...

– Wiem, że bez celu byłaby propozycja załagodzenia tamtych okropnych spraw. Ale spodziewam się, że to jedno zrobisz nie dla mnie... przez wzgląd na Peyton.

– Jestem zmęczona, Miltonie. Pójdę na górę. Bardzo niedobrze spałam. Na stole leży list do ciebie.

– Proszę cię Heleno...

– Ella z tobą pojedzie, prawda? Ona uwielbiała Peyton.

– Proszę cię, Heleno...

– Nie! – odgłos kroków zadudnił na schodach.

– Heleno!

– Nie!

Na piętrze trzasnęły drzwi.

- „Dobry Boże...” – pomyślał pan Casper.
- Proszę cię, Heleno...
 - Nie – dobiegło ciszej, z większej odległości.

Helena zamknęła drzwi za sobą. W jej pokoju było słonecznie i jasno. Łagodny wietrzyk muskał firanki, które drżały, jak gdyby pod dotykiem niewidzialnej, słabej ręki. Za oknami liście ostrokrzewu potraçały o balustradę ganku i szeleściły sucho. Nagle ustała dobrze znajoma bryza, której regularne nadejścia i odejścia można przepowiadać niemal dokładnie. Firanki opadły ciężko, bezdźwięcznie. Nieznośny, ohydny upał wypełnił dom pozbawiony dopływu świeżego powietrza – żar niby z odemkniętego pieca.

Na parterze trzasnęły drzwi ganku, później kroki zachręściły na zwirowanej ścieżce. Nikt nie odezwał się słowem. Limuzyna i karawan ruszyły i niemal bezgłośnie potoczyły się aleją wjazdową. Dom ucichł, zamarł. Milczenie spowijało Helenę gorącymi, wilgotnymi zwojami – milczenie, które po jakimś czasie zakłócił świergot pojedynczej cykady. Z początku był niewyraźny odległy jak zapowiedź deszczu lub śmierci. Następnie zabrzmiał głośniejszy, niby coś, co wspięło się ze zgrzytem po drucie i w odległości dwu cali od ucha podjęło natarczywe, wyzywające *staccato*. Zgiełk ustał raptownie. Cisza wydała się Helenie jego dudniącym echem.

Helena spostrzegła na prześcieradle wilgotny ślad w miejscu, gdzie spała minionej nocy. „Ile to razy – pomyślała – łóżka zostały nie zasłane przeze mnie albo Ellę? Chyba niewiele ostatnimi czasy”. Usiadła na skraju łóżka i sięgnęła po gazetę – pierwszą, którą odkąd pamięta, ona wzięła o świcie ze stopni ganku, nie Milton albo Ella. Odczuła nieokreślone rozdrażnienie, gdyż była to czynność niezgodna z jej uregulowanym, godnym trybem życia.

„Co ja robiłam? – pomyślała. – Nie mogę sobie jakoś przypomnieć...”

Nic podobnego. Dobrze pamiętała, jakie to wszystko było dziwne. Zeszła po schodach i w hallu ominęła Milтона, który kompletnie ubrany leżał na otomanie i chrapał cicho, bełkotliwie. Później stanęła na ganku i spoglądając przez chłodny brzask w perspektywę ulicy szepnęła do siebie głucho:

– Dwa razy rodziłam i przez dwadzieścia trzy lata byłam matką. Dopiero dziś obudziłam się świadoma, że matką już nie jestem i nie będę nigdy.

Jakie to dziwne...

Rozłożyła gazetę. Druga bomba – zapowiedź rychłego rozejmu z Japończykami. Na zamieszczonym niżej zdjęciu słynna z pięknych nóg aktorka i głośny właściciel kawiarni – jegomość o twarzy przypominającej mysz – którzy dnia poprzedniego pobrali się w Las Vegas w Newadzie. Nowożeńcy! Helena nie potrafiła zebrać myśli, więc odłożyła dziennik. Poczęła ją ogarniać niezmierna pustka – dobrze znajome uczucie niemocy, bezwładu, jak gdyby opadały w jej ciele wszystkie siły, pozostawiając ją chłodną i bezkształtną, niby te galaretowate stwory pływające w morzu. Wstała i podszedłszy do okna, dotknęła parapetu końcami palców. Za ogrodem i pergolą obrosłą rozkwitłym powojem, za zwiędłymi azaliami samochód przejechał uliczką. Odgłos zbliżył się, przycichł, zamarł...

Życie innych ludzi...

Odwróciła się, stanęła przed toaletą i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

„Twarz starej baby – pomyślała – wymizerowana, gąbczasta. A nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat!... Pół wieku zawieszona poza czasem, jak wspomnienie zburzonych murów”.

Błądą, niemal przejrzystą ręką odgarnęła do tyłu siwe włosy. Pod błyszczącą skórą dłoni niebieskawe żyłki rysowały mozaikę, niby zawyły błękitny deseń nakryty szkłem. Później Helena zrobiła coś, co wielokroć robiła już dawniej: oburącz ściągnęła do tyłu skórę na kościach policzkowych, tak że siatka bruzd i zmarszczek zniknęła, jak gdyby za dotknięciem czarnoksięskiej różdżki odrodzenia. Zezując w stronę lustra, podziwiała niedorzeczną, uroczą przemianę. Patrzyła na skórę białą i gładką, niczym płatek gardenii, na szesnasto- czy dwudziestoletnie wargi, równie nietknięte troskami jak te, które przed trzydziestoma laty przyciskała do tafli innego lustra, szepcząc: „Najdroższy!”, pod adresem niewidzialnego, urojonego kochanka. Opuściła ręce, odwróciła się od toalety i po krótkim namyśle ruszyła w stronę łóżka, aby sięgnąć znów po gazetę. Przebiegła wzrokiem stroną bez celu i nie spodziewając się niczego, gdyż wiedziała, że nie znajdzie tam nekrologu. Z pustki wyłoniło się wspomnienie Milтона, którego poprzedniego wieczoru widziała pierwszy raz od miesiąca. Telefonował do Franka Downsa, wydawcy miejscowego dziennika. „Tak, Frank. Moja córka... moje małeństwo... Tak, to była gwałtowna śmierć, gdybyś więc zechciał nie zamieszczać... Tak, Frank. Bardzo ci dziękuję... – zaszlochał w słuchawkę aparatu. – Frank! Nie ma jej! Odeszła ode mnie!”

Przyjechał ubiegłego wieczora, gdy stała w hallu po samotnej kolacji. (Ella powiedziała: „Czy jutro mogę mieć wolny dzień, proszę pani? Przyjeżdża Ojczulek Wiernych”. „Dobrze” – zgodziła się i Ella wróciła do kuchni.) Helena usłyszała hamujący samochód i szelest niepewnych, powolnych kroków na ścieżce. Było już prawie ciemno. Po burzy z gwałtowną ulewą ogród ociekał kroplami wody. Kiedy pojawił się tam Milton, z trawnika frunęło rozświergotane stadko wróbli – jak gdyby raptowny podmuch wiatru chwycił skrawki papieru. Wróble zniknęły w gęstym bukszpanie, stały się niewidzialne, lecz szczebiotały nadal, wystraszone zapewne miniaturowym deszczem, który same wywołały. Loftis stał przez moment w drzwiach. Nie mówił nic. Twarz miał zaczerwienioną, zmieszaną. Wreszcie wykrztusił:

– Heleno... Peyton odebrała sobie życie – i wszedł do hallu.

Nie odpowiedziała. Czuła, że gwałtowny wstrząs, jak prąd elektryczny, powstaje w głębi jej piersi, przebiega końce palców, poraża policzki. „Aha... Tak...” – pomyślała i wstrząs począł ustępować równie szybko jak burza, która z głuchym pomrukiem odpływała nad ocean. Niewidoczna chmura ocieniła ogród różowawym, śpiesznie tracącym barwę półmrokiem. W kuchni Ella Swan grzechotała rondlami i patelniami. Śpiewała jakąś pieśń. O Chrystusie.

Helena zauważyła, że jej mąż jest już lekko pijany. Usiedli naprzeciw siebie, ona na sofie, on w fotelu obok sekretery, w której trzymał trunki – nie otwieranej od blisko dwu lat, kiedy wyprowadził się z domu. Helena patrzyła na jego drżące palce, gdy Milton z butelki whisky „Old Forester” nalewał do pełna zakurzony, znaleziony na półce kieliszek od wina. Później zaczął mówić. Potok słów hamował jedynie po to, żeby się napić. Dobrze znajomym, automatycznym ruchem pochylał w tył głowę, która następnie opadała do przodu, niby na sprężynie. Twarz była wykrzywiona nagłym grymasem obrzydzenia, jak gdyby Loftis nie mógł po tylu latach przywyknąć do zapachu i smaku płynu, który od dawna był dlań ucieczką i pociechą.

– Harry zatelefonował do klubu – mówił. – To okropne! Nie rozumiem...

Urwał niepewnie. W oczach nie miał jeszcze rozpacz, lecz otępienie, ten zastrachany wyraz kogoś, kto szuka ocalenia, myśli, jak wymknąć się z matni. Helena dobrze zdawała sobie z tego sprawę.

– Nie rozumiem dlaczego! Nie rozumiem – ciągnął coraz to mocniejszym głosem. – Dlaczego ona...

– Ciszej, Miltonie – przerwała – nie tak głośno.

Tamtego wieczora tylko dwukrotnie odezwała się do męża. To był pierwszy raz, a wypowiadając krótkie zdanie Helena myślała, że jego rozpacz jeszcze nie nadeszła. Za wcześnie. Rozpacz wymaga czasu. Na razie Milton nie może uwierzyć, bo z przekonaniem prawdziwego egoisty sądzi, że nie dla niego nieszczęście. Ale cierpienie obudzi się niespodziewanie i rychło.

Noc nadciągała. Ciemności zapadały niemal tropikalnie. Nagle zmrok zapanował i Helena wstała, aby zapalić lampę. W ogrodzie żaba zarechotała natarczywie i przeciągle. Helena usiadła znów na sofie, spłotła ręce przed sobą i spoglądała na człowieka, który nie był jej mężem ani obcym, lecz zajmował jakieś pośrednie miejsce.

– Nic nie rozumiem – mówił – przysięgam, Heleno! Jadąc tutaj zastanawiałem się, co powiedzieć. Zastanawiałem się, bo przecież coś utraciliśmy wspólnie. Zastanawiałem się, bo trzydzieści lat temu, nie podejrzewałem nawet, że to wszystko może się zdarzyć.

Umilkł. Na moment ścisnął głowę rękami, jak gdyby chciał zebrać rozpierzchłe myśli. Później nieporadnym poządlwym gestem sięgnął po kieliszek, opróżnił go jednym łykiem i postawił na brzegu stolika, skąd bez szkody spadł na podłogę. Milton nachylił się niezręcznie, podniósł kieliszek.

– Nie podejrzewałem nawet, że to wszystko może się zdarzyć – powtórzył i znów zrobił pauzę. – Nie zechcesz mi wierzyć, prawda?

Nie patrzyła na niego. Przez okno spoglądała w stronę drzewka mimozy, spowitego mrokiem, ociekającego deszczem.

– Nie uwierzysz mi też, że przede wszystkim pomyślałem o tobie – podjął Loftis. – Jesteś pewna, że kłamię, prawda? Wyobrażasz sobie, że mówię tak, ponieważ... Wyobrażasz sobie... – ponownie chwycił się za głowę. – Bóg wie, Heleno, co ty sobie wyobrażasz!

„Teraz przychodzi rozpacz – myślała. – On zaczyna rozumieć sens cierpienia. Zapewne to dobrze, nawet dla niego. Zapewne to dobrze dla mężczyzny, gdy zaczyna rozumieć sens cierpienia, czegoś, co kobieta zna niemal od narodzin”.

Loftis podniósł wzrok. Milczał przez czas pewien. Słysząc było, że znowu nalewa sobie whisky. Za oknem mimoza zdawała się powracać do życia, chłonać powietrze pełnymi kiściami kwiatów. Wraz z powiewem wczesnej nocy coś zaczynało szeptać, drzeć, wzdychać. Zabrzmiało znów rechot żaby – odgłos życia zamierającego pod koniec lata – nikły, ale wytrwały, wolny od strachu.

– Dlaczego nic nie mówisz? – odezwał się Milton.

– O co ci chodzi? Dlaczego nic nie mówisz?

Odczuła, że mąż pochyla się w fotelu. Jego głos dobiegał jak gdyby z wielkiej odległości – zaczepny, półpijany, bardzo utrudzony.

– Odpowiedz coś, Heleno. O co ci chodzi? Czy nic nie czujesz? Od początku nie usłyszałem od ciebie ani słowa.

Urwał znowu. Helena patrzyła na mimozę i odbłask padający z okna kuchni. Słuchała odległego, cichego głosu Elli Swan, która zawodziła cierpliwie przy akompaniamencie pobrząkiwania naczyń. Milczała.

– Odezwijże się do mnie! Słyszysz, Heleno? Zaraz! Powiedz coś, Heleno!

„Może to jeszcze nie rozpacz ani cierpienie – pomyślała.
– Ale nadejdzie niedługo, bardzo niedługo”.

Helena Loftis zażyła łyżkę lekarstwa, popiła wodą ze szklanki stojącej na toalecie. Papierosa... Dałabym wszystko za papierosa, ale doktor Holcomb... Położyła się na łóżku, rozciągnęła wygodnie na wygniecionym miejscu. Blask słońca nie łagodniał, zalewał ściany i sufit. Na toalecie cztery dalie wędły w wazonie. Tyle jest do zrobienia, a ja o wszystkim zapominam... Tyle jest do zrobienia... Zamknęła oczy... Wydało jej się, że w ciemności czuje kwaśny zapach zatęchłej wody... Muszę wyrzucić te dalie, zanim stąd wyjdę. Podniosła powieki. Światło słoneczne padało na stojącą obok dalii lampę przerobioną ze starej figuryнки. Strojni w szarfy osiemnastowieczni panowie i damy zastygli w niezależnym od czasu tańcu sztywnym i sztucznym... Światło, upał i panująca w domu cisza zlały się w jedno, zmieniły w materię scaloną i nieustępliwą. Helena przymknęła znowu oczy i pomyślała o ciężale: „Trzeba będzie założyć wentylator... Koniecznie trzeba... W południe przyjdzie Carey Carr... Muszę być gotowa...” Nie wstawiała, nie ruszała się. Była zmęczona, absolutnie pusta. „Zawsze byłam taka słaba... Przez całe życie tęskniłam do snu...” Niezależnie od zalegającej dom ciszy zdawała sobie sprawę z nikłych odgłosów na dworze. Podświadomie rejestrowała półsłyszalne i półzapamiętane dźwięki: krzyk mewy, samochód przejeżdżający ulicą, szum fal oblizujących wybrzeże. Na pograniczu snu i jawy oglądała ponownie

spłoszone stadko wróble i bukszpan ociekający kroplami deszczu... „Popełniła samobójstwo” – wymamrotał Milton i wszedł do hallu. Później mówił złamanym, drżącym głosem:

– Mój Boże! Ona była taka młoda, taka piękna! Jak mogła! Powiedz coś!

Wśród męki musiał podzielić się z kimś swoim cierpieniem, a więc pobiegł do kuchni, powiedział Elli Swan.

– Zniknij się, Boże! – zawołała Murzynka i wkrótce lamentując wytrwale powędrowała do domu obładowana pudłami i torbami odpadków kuchennych dla swoich świń. W drzwiach przystanęła i zwróciła ku Helenie twarz – czarną maskę z żółtawymi, wodnistymi oczyma. – Mój Boże... Może coś będę mogła pomóc, proszę pani?

Milton potrafił ją wracając z kuchni. Ella odeszła, a on padł znów na fotel. Butelka whisky była próżna. Milton nie mógł znaleźć drugiej, zaczął więc myszkować w szufladach i szafkach, mamrocząc do siebie jak stary nałogowiec szukający narkotyku. Wreszcie natknął się na butelkę słodkiego wermutu i ją się raczyć do woli. Przez dłuższy czas milczał. Później znów zaczął mówić.

– Pokornie, Heleno, z całą skru... – przyglądała się cierpliwie, gdy próbował dobierać słów, a język lgnął mu do podniebienia, jak pijawka. – Z całą skruchą proszę, żebyś mi pozwoliła wrócić – nieoczekiwanie zmienił ton na wyzywający, dobitny; rękę wznosił w górę, może ku Bogu, jakiemuś niewidzialnemu świadkowi, lub niczemu. – Ona jest dla mnie niczym. Słowo uczciwości! Jest dla mnie niczym. Nie sądz, że z Dolly łączy mnie coś więcej niż przyjaźń, prawdziwa przyjaźń – wylewnie pochylił się do przodu. – Słuchaj, kochanie, jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi, i tyle. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć. Ale naprawdę jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi, i tyle. Przyjaźń... prawdziwa przyjaźń.

Zdawać się mogło, że na razie zapomniał o Peyton. Twarz miał skupioną, jak gdyby w całym zamęcie niedoli poszukiwał pamięcią jaśniejszych, miłszych punktów, bardziej kojących, krzepiących...

– Pamiętasz, Heleno, jak w lecie jeździliśmy samochodem do Connellsville, do Marion i Eda? Pamiętasz, że raz pszczoły omal nie pokłuły Peyton? Pamiętasz, jak wrzeszczała: „Pszczoly, tatusiu! Pszczoły, pszczoły!”

Roześmiał się, zachichotał głucho i głos załamał mu się w cichym westchnieniu, niby wiatr za okiennicą.

– Aa... hau... – Biegła z góry i wrzeszczała: „Pszczoly, tatusiu! Pszczoły!”

Kiedy tak mówił, Helena prawie zobaczyła dom swojego brata w górach Pensylwanii, dokąd jeździli w dwudziestych i trzydziestych latach. Było tam dostatnio, miło, bezpiecznie dzięki dobremu górskiemu słońcu i jeszcze lepszym pieniądzom Mellonów i Fricksów. Wspaniałe, radosne życie, odległe o setki lat. Wielkie dęby otaczały duży, bogaty dom. Stał wysoko, na wzgórzu, a z doliny ledwie widocznej przez dąbrowę dobiegał odgłos ruchu drogowego – jedyne ogniwa łączącego z innym zgiełkliwym światem.

– Wrzeszczała: „Pszczoły, pszczoły!” Widzę teraz, jak biegnie i krzyczy: „Pszczoły, tatusiu! Pszczoły!” Nie słyszysz jej, Heleno?

Drzemiąc spokojnie Helena nie spała ani czuwała. Sen był jak światło – co błyska i przygasa – wzdymał się i opodal niby fale morskie, niezgłębiony na mieliznach zatopionych wspomnień. Widziała drzewa, basen skalny, chłodne światło głębokie niczym ocean... „Pszczoły! Tatusiu, pszczoły!” odwróciła wzrok od basenu, gdzie podzwrotnikowe złote rybki pływały niespokojnie w cieniu zielonej gmatwaniny górskich cierni. Zdziwiona, później rozbawiona patrzyła na Peyton, która wybiegła z odległego gaju, przez moment zatrzepotała jak motyl na skąpanym w słońcu szczycie wzgórza i spływała jasnym, porośłym mchami zboczem z donośnym, przeraźliwym krzykiem obawy i radości: „Pszczoły, tatusiu! Pszczoły!” Helena pomyślała: „Malańka, poszła w las sama” – i tkliwie zaniepokojona wstała z ogrodowego fotela, wyciągnęła ręce do dziecka: „Co się stało najmilsze biedactwo?” Ale Milton zerwał się również i wyprzedziwszy żonę porwał na ręce małą, uniósł ją w górę, aż wzorzysta spódniczka zarysowała się na tle nieba niby wielobarwny kwiat. Później przytulił twarz do karczku małej i poniósł ją w ramionach w stronę domu. Obydwoje chichotali, obydwójce brzęczeli jak pszczoły.

Helena usiadła, odczuła przyływ zniechęcenia. Kawa na tacy ze śniadaniem straciła smak. Milton chichotał i Peyton chichotała, a na werandę wybiegli brat Heleny, jej szwagierka i posępna kucharka, Polka. Wszyscy troje zaczęli coś mamrotać serdecznie z tklwym, pogodnym zadowoleniem i uznaniem.

– Pogryzły cię, kochanie? – zapytała Marion.

Edward przykucnął.

– Chodź tu, moja śliczna – powiedział i dziewczynka zaczęła zaraz biec do wujka.

Helena usłyszała własny głos spokojny, nie zdradzający rozdrażnienia:

– Przyjdź do mnie, Peyton. Muszę cię uczesać. Nie powinnaś chodzić sama do lasu. Mówiłam przecież.

Dziewczynka zawróciła niechętnie w kierunku matki.

– Ale, mamusiu...

– Chodź tu zaraz.

– Bądź posłuszna. Mamusia cię uczesze – powiedział Milton; miał na sobie biały flanelowy garnitur, w którym mu było bardzo do twarzy. – Idź do mamy. Później pobiegniemy we troje z wujkiem Eddem i obejrzymy te pszczoły.

Podczas czesania Peyton stała sztywno obok Heleny.

– Nic się nie stanie, moja droga, jeżeli Peyton pójdzie do lasku – powiedział Milton. – Przecież jest tam płot.

– Wiem, wiem... – rzuciła Helena swobodnie, bez przekonania; było jej trochę głupio i na twarzy czuła gorący rumieniec. Miała wrażenie, że wszyscy ją obserwują, roześmiała się więc z przymusem i powiedziała:

– Mamusina córeczka okropnie się umorusała.

Peyton próbowała wymknąć się, pobiec do ojca.

– Tatusiu! Chodźmy obejrzyć te pszczoły. Zaraz, tatusiu! Chodźmy obejrzyć te pszczoły!

– Stój spokojnie – szepnęła Helena i spróbowała przytrzymać małą, ale zaraz zwolniła uścisk. Peyton skoczyła w stronę Milтона.

– Przyjemnie iść na spacer z taką śliczną panną – odezwał się Edward.

Helena spojrzała na stolik i tacę ze śniadaniem. Szybkim, nerwowym ruchem naciągnęła żakiet na ramiona. Nagle odczuła chłód i dziwną pustkę. Za nią głosy cichły oddalając się z boczem wzgórza. Służącą kręciła się opodal z miotłą i zgrzytliwie pomrukiwała coś po polsku. Wreszcie odezwała się do Heleny:

– Ta mała jest okropnie kapryśna, proszę pani. Pani ją psuje i pan także. Trzeba uważać.

– Aha.

– Jak dorośnie, będzie z nią kłopot. Ja miałam pięcioro dzieci i prawie każdego dnia trzepałam im skórę.

– Aha.

– Dlatego nie miałam później zmartwień.

– Tak...

– Ale to śliczna dziewczynka. Ma pani ładną córeczkę, proszę pani. Ja bardzo lubię dzieci, bardzo...

„To nie ja psuję Peyton. Nie ja...” – pomyślała Helena; jej rozgoryczenie czy irytacja (sama nie wiedziała tego) minęło jakoś. Wypiła resztę kawy i nieoczekiwanie zateęskniła do domu, zapragnęła wrócić do Wirginii; ale i to uczucie było przelotne.

„To nonsens, niedorzeczność wyobrazić sobie... – myślała. – Czysta głupota! Przecież wczoraj wieczorem Peyton przyszła do mnie do łóżka i zapytała, czy mamusia ją kocha?... A ja powiedziałam... Jestem niemądra egoistka!”

W tym momencie przypomniała sobie Maudie. Raptownie wstała i potrąciwszy stolik rozlała śmietankę. Minęła bratową, która zrywała w ogrodzie tulipany, wbiegła do domu pełna nadziei, oczekiwania... Nie mogła i nie chciała wyzbyć się podniecenia, a wchodząc szybko na wysłane dywanem schody była przejęta jak dziecko w Boże Narodzenie. Przystanęła i ostrożnie, na palcach weszła na cienistą werandę, gdzie Maudie siedziała samotnie, z nogą w szynach opartą o stołeczek. Helena chwyciła dziewczynkę w ramiona.

– Moja Maudie, kochana. Mama przyszła do małej, biednej, Maudie.

Pierwsze dziecko, najdroższe! Usiadła obok córki i wkrótce zadowolenie spowiło ją niby gorący, miły płomień. Była już spokojna, czuła, że jest młoda i bardzo silna, jak gdyby jej macierzyństwo mogło trwać zawsze.

Miała wtedy dwadzieścia cztery lata.

Helena była bliska snu. Ledwie czuła na twarzy strumyki zimnego potu. Szarańcza odezwała się znowu grożąc deszczem. Głos dźwięczał nadal.

– Pamiętasz Heleno, nasze mieszkanie przy Wilson Court, w kamienicy czynszowej? Pamiętasz, jak budził nas wtedy gwizdek? Pamiętasz? Kiedy na świat przyszły Maudie i Peyton, było okropnie ciasno. Pamiętasz te upały... Pamiętasz? – Milton napił się jeszcze raz, do dna opróżnił kieliszek. – A czy pamiętasz...

Pamiętać! Właśnie... Jak zachować w pamięci strzępy zapomnianego czasu? Gdzie podziąła się ścieżka przez las na zboczu wzgórza? Liść, szarańcza, blask słońca wśród cieni... Wszystko odpłynęło jak lata. Teraz cisza dźwięczy tam, gdzie nie błyska światło i Helena zgubiła drogę. Bogaci. Biedni. Byli biedni, póki po śmierci matki nie dostali spadku. Kochali się wzajemnie. Nie z racji ubóstwa, ale dlatego że byli jeszcze młodzi, niedorośli do zrozumienia spraw tego świata. Dom, w którym mieszkali, przylegał do muru stoczni okrętowej. W zimowe ranki z rzeki powstawała lodowata mgła, spowijała w welony latarnie uliczne. Tak wyglądało za oknami. A w domu było ciepło, kiedy leżeli w łóżku i słuchali rozmaitych odgłosów życia w innych mieszkaniach. Było zacisznie, bezpiecznie. Dla nich taki tryb życia mógł pozostać na zawsze. Długo sypiali wtedy. Latem Maudie zaczęła płakać. („Co dolega temu dziecku? – mówił Milton. – Nie powinna tak drzeć się ciągle”.) Co dolegało małej? Co było nie w porządku? Gwizdek ze stoczni odzywał się upiornym głosem, budził niespodziewanie. W letnie poranki Milton odrzucał koce. Nogi miał białe, trochę spocone. „Kochanie– szeptał. – Najmilsza...”

Prawie przez sen przypomina sobie głos gwizdka, słyszy go. Pokonał przestrzeń, czas, senne wieczory lata, które minęło bardzo, bardzo dawno. Odległy, smutny dźwięk sprowadza sen, pamięć i w pewnym sensie miłość. Klócili się w tamte letnie noce, bo było gorąco, Maudie płakała, lodówka pomrukiwała irytująco... No i ten gwizdek!... Ale kochali się i lubili gwizdek. Teraz znajduje się w sferze snu, ciemności, spraw od dawna minionych. Ponury, zagubiony ton, niby głos miłości, który odzywa się w mrocznym pokoju, a następnie odchodzi w bezdźwięczny świat milczenia.

– To były czasy! Czy pamiętasz, jak Peyton... Ach...

– Milton urwał, zrobił zdziwioną, wystraszoną minę, jak gdyby wsunął rękę w płomień i nagle odczuł ból. Wargi mu drżały. Helena pomyślała, że ten człowiek zaraz się rozplącze.

Peyton.

Teraz uprzytamnia sobie rozpacz. Cierpienie nadciąga z szybkością wiatru.

Oto ściska głowę rękami.

– Moja maleńka – szepcze.

Tak. Może teraz właśnie przeleje się czara bezmiernego samolubstwa – niezupełnie złego, ale mniej silnego niż grzech – czara, którą Loftis nosił tak długo.

– Moja maleńka...

Ocknął się w momencie boleści i wstydu, by spostrzec, że nie odczuwa dumy, którą przytuliłby tkliwie, jak kochanek, lecz rozpacz, samą rozpacz.

Dźwignął się z fotela, rozpostarł ramiona, wyciągnął ku Helenie. Ledwie trzymał się na nogach. Pasma siwych włosów było zjeżone, potargane.

– Kochanie – zaczął znowu. – Bądźmy dla siebie dobrzy. Od razu. Bądźmy dla siebie dobrzy. Pozwól mi zostać tutaj na noc.

Spokojnie wstała i ruszyła w stronę schodów.

– Pozwól mi zostać, kochanie! Pozwól zostać!

Bez słowa zaczęła wchodzić na schody.

– Mogłabyś zatelefonować do pana Caspera... w moim imieniu – podjął Milton. – Ja nie mogę. Zatelefonujesz, dobrze? Nie wiedziałbym, co mu powiedzieć.

Na moment zapadło milczenie.

– Kochanie, pozwól mi zostać. Pozwól, chociaż to twój dom – zająknął się i dodał półgłosem: – Tak... chociaż to twój dom.

Przez chwilę Helena miała wrażenie, że dźwięk muzyki odebrał jej poczucie czasu i pamięć. Krótkie błagalne zdania uprzytomniły jej pustkę, jakiej nigdy dawniej nie odczuwała. Zdawać się mogło, że dzięki tym właśnie słowom zrozumiała sens ich wspólnego życia, i mąż stał jej się nagle bliższy niż w ciągu wielu minionych lat. Poczwała łyż pod powiekami i odpowiedziała zdławionym głosem:

– Dobrze. Możesz zostać... Możesz zostać, jeżeli chcesz– wbiegła na schody i z podestu, gdzie przystanęła oszołomiona, powtórzyła ochryple: – Możesz zostać, jeżeli chcesz.

Płacząc rozpaczliwie, nieznajomymi dawniej łzami, pobiegła do swojego pokoju, a z parteru dobiegał ją głos:

– Heleno! Kochanie! Heleno! Heleno!

Poruszyła się.

Za oknem szeleściły cicho liście ostrokrzewu.

Ach, weź mnie teraz...

Usnęła.

Znad zatoki przyszła bryza. Ogromne kłęby żelazście czerwonego kurzu spowiły stację i od czasu do czasu strzelały w górę porywane nagłymi podmuchami. Rozprzestrzeniały się wysoko, sunęły po niebie niby chmury, malowały barwą rdzy wszystko znajdujące się w dole – dworzec i ludzi. Przez te mgły słońce połyskiwało mętnie, posępnym, niewymiernym światłem, jak na krajobrazie Turnera, gdzie nawet ruchome przedmioty zdają się zawieszane w przestrzeni, na kształt much w bursztynie. Wnętrze limuzyny, w której Loftis siedział obecnie, było wysłane niebieskawą tkaniną, przypominającą kolorem świeży siniec. Przed sobą miał utrzymane w tym samym niemłym tonie, złożone teraz dodatkowe siedzenia. Opierał o nie nogi i przytupywał w takt muzyki, która dobywała się z restauracji po przeciwległej stronie ulicy. Słyszał żalony głos z szafy grającej, który śpiewał smutno i wyraźnie:

Wiesz, że wolno ci odejść, mój miły.

Nie martw się, jeżeli mój płacz usłyszysz...

Loftis chciał przede wszystkim zapomnieć o strasznej męce, łowił więc uchem słowa i do wtóru próbował nucić tenorowym falsetem. Za oknem, które zamknął z powodu kurzu, przesunął się zwariowany damski kapelusz z woalką i różowymi kwiatami. Loftis zobaczył grzbiet tęgiej kobiety, ubranej suto w jaskrawą tandetę. Grubym, opalonym ramieniem odgarnęła kłęby pyłu, jak gdyby to był śnieg lub grad, a jej afektowany głos mamrotał słabo: „No, no... A to dopiero!” Śladem kobiety podążał Barclay z wiadrem wody.

Przyglądając się mu Loftis poczuł nagle mdłości. Głowa bolała go tępo od whisky wypitej poprzedniego wieczora. Wskoczył z samochodu i za Barclayem ruszył w kierunku karawanu. Brodząc pośród tumanów pyłu sapał trochę.

– Hej, chłopcze! Chłopcze!

Barclay przystanął obok swojego pojazdu, obejrzał się zdziwiony.

– Hej, chłopcze!

– Słucham, proszę pana? – powiedział Barclay.

Był szczupły, błydy, liczył około dziewiętnastu lat. Miał pryszcze i na górnej wardze cień chłopięcego zarostu. Niespokojnie gapił się na pana Loftisa, który zbliżał się dysząc ciężko.

– Ha... Czy to?... – zaczął Milton i urwał.

Chłopiec milczał. Wiedział, że to nie jego wina, lecz obawiał się pretensji z powodu uszkodzonej chłodnicy. Przez cały ranek dręczyły go inne zmartwienia: chodziło o to, czy się spodoba ludziom, i o krój nowiuteńkiego czarnego garnituru. Był solidnym, prostolinijnym młodym człowiekiem – po prostu stworzonym do zmartwień. Sam fakt, że został karawaniarzem, oraz inne komplikacje życiowe wydawały mu się przykre i niesprawiedliwe. Bolał również z ich racji. Od rana miał tylko kłopoty, a ponieważ trapił się z ich przyczyny, ledwie zapamiętał Loftisa, chociaż był poinformowany, że to najbliższy krewny zwłok, po które on przyjechał z daleka.

– Słucham, proszę pana? – powtórzył z wahaniem.

Loftis uśmiechnął się mętnie.

– Co? Jakiś defekt?

Chłopiec odpowiedział wymuszonym uśmiechem.

– Tak... Tak, proszę pana. Ale teraz już wszystko w porządku – odwrócił się i podniósł maskę silnika. – O, ta rurka – dodał i pomyślał: „Biedak! Pomieszało mu się w głowie z rozpaczy”.

Milton spojrzał mu przez ramię.

– Tak, silnik packarda lubi robić kawały – usłyszał Barclay. – Bardzo lubi. Raz, w trzydziestym szóstym roku, miałem packarda. Lubię tę markę, chociaż teraz mam oldsmobile... Tak, lubię packardy. Ale ze swoim miałem piekielne kłopoty... Gaźnik, rozumiesz, chłopcze? Z pięć razy musiałem oddawać wóz do Pritcharda, nim uregulowali wszystko.

– Rozumiem, proszę pana – bąknął chłopiec.

Nalewał właśnie wodę do chłodnicy. Wysoko podnosił wiadro, łokciem prawie dotykał twarzy starszego pana.

– Oldsmobile – ciągnął ten ostatni – podoba mi się z racji hydraulicznych hamulców... Zaraz, pomogę ci – stanął obok chłopca, sięgnął po wiadro i dodał ze stłumionym śmiechem: – Jestem wyższy...

Woda zaczęła spływać po silniku, więc Barclay pomyślał z gniewem.

„Do diabła! Trzeba będzie jeszcze raz chodzić”.

– Niektórzy nie lubią hydraulicznych hamulców – mówił Loftis. – Wolniejszy zryw, słusznie... Ale to dobra rzecz, jak kto jeździ po mieście tyle, ile ja – postawił wiadro na ziemi. – Córka wciąż mi się naprzykrzała, żeby kupić kabriolet. Koniecznie chciała mieć własny kabriolet packard. Sam wiesz, chłopcze, jak dzisiejsza młodzież pali się do samochodów – zerknął na Barclaya. – Ile masz lat? Mniej więcej dwadzieścia, co? Moja córka była parę lat starsza od ciebie – spojrzał na swoje dłonie. – Masz coś do wytarcia rąk?

Chłopiec podał mu szmatę i przypatrując się, jak Loftis mocno trze rozdygotane nerwowo palce, myślał:

„Biedak. Nieszczęśliwy człowiek... Co też pan Casper mu powie, żeby poczuł się lepiej?”

Po chwili Milton znieruchomiał. Bezradnie rozejrzał się dokoła, jak gdyby miał ochotę ruszyć w stronę miasta. Chłopcu wydało się, że w oczach starszego pana nie ma lęku ani rozpacz. Nagle uprzytomnił sobie ze zdziwieniem, iż jest to wzrok absolutnie pozbawiony wyrazu. Loftis stał bez ruchu, w rękę mocno ścisnął brudną szmatę. Na twarzy miał krople potu, ale była to twarz najzupełniej zastygła.

„Można by powiedzieć – pomyślał Barclay. – Można by chyba powiedzieć...”

W tej chwili skóra na twarzy Loftisa zbieła niczym kreda – przybrała zadziwiający odcień, którego Barclay nie potrafiłby sobie wyobrazić nawet u trupa, nie mówiąc już o żywym człowieku. Twarz była nadal nieruchoma, ogołocona z wyrazu, ale tak pozbawiona barwy, jak gdyby barwy nigdy nie zaznała. Chłopiec patrzył ze zdziwieniem na suche, posiniałe wargi, które rozchyliły się, aby wymówić:

– Niedobrze mi.

Loftis nie powiedział nic więcej. Zdawał sobie sprawę tylko z nieokreślonego ruchu wokół siebie. Widział sylwetki wśród kłębow pyłu, słyszał głosy – niespokojne, piskliwe głosy, jak gdyby dzieci zaskoczonych nagle przez ulewę. Lekko, prawie bezwiednie opierał jedną dłoń na masce karawanu, w drugiej nerwowo ścisnął szmatę. Wreszcie wypuścił ją z palców i ociężałym, miarowym krokiem lunatyka odszedł pośród kłębow kurzu. Przecinając jezdnię myślał tylko, że tutaj nie może zachorować, że musi znaleźć miejsce, w którym zrobi to dyskretnie. Uparcie zwalczając mdłości, które gorącymi falami podnosiły się z głębi żołądka, wszedł do niemal wyludnionej restauracji. Szafa grająca była teraz niema i połyskiwała jaskrawymi jak w kalejdoskopie barwami – błękitem, purpurą, zielenią. Loftis zamknął się w brudnej toalecie i tam pochylony nad nie splukaną miską począł spazmatycznie wymiotować.

Następnie wrócił do salki i usiadł na wysokim stołku przy bufecie, skąd mógł obserwować limuzynę. Drżał nadal, ale po torsjach czuł się niewątpliwie lepiej. Myślał: „Trzeba się opanować... Trzeba być mężczyzną...”

Kierowca taksówki, który jadł coś przy drugim końcu bufetu, wstał i zapłacił.

– Do widzenia, Hazel – powiedział wychodząc.

Loftis obserwował go posepnie przez zapstrzoną szybę, gdy kierowca ssąc wykałaczkę szedł człapiącym, a mimo to swobodnym krokiem właściwym taksówkarzom na południe od rzeki Potomac. Później kierowca zniknął za okienną ramą. Loftis rozejrzał się dokoła i stwierdził, że w restauracji nie ma nikogo prócz Hazel.

– Co pan każe? – odezwała się kobieta. – Okropny kurz, prawda?

– Proszę o kawę.

– Nietęgo pan wygląda, słowo daję – podjęła. – Wczoraj wieczorem musiał być dobry gaz, co?

Podeszła do ekspresu. W knajpie panował dobrze znany zaduch, ani przyjemny, ani szczególnie odrażający: tłuszcz, zastale pomyje, czerstwiejące od kilku dni niejadalne ciastka z piekarni. Milton czknął i pomyślał, że znowu go zemdli, co stałoby się z pewnością, gdyby przed chwilą nie skończył wymiotować. Zapragnął wyjść i prawie zsunął się już ze stołka, ale kobieta przyniosła kawę mówiąc:

– Ma pan kaca. Najbardziej przydałaby się woda sodowa.

Nie odpowiadał. Myślał:

„Jeżeli uda mi się przetrwać dzisiejszy dzień, może być dobrze. Czas wszystko leczy... Musi leczyć...”

– Powiedziałałam Haywoodowi, temu kierowcy, który dopiero co wyszedł, że dobrze pan przepity. Sama nie piję, chociaż zawsze mówię, że co dobre dla gąsiora, dobre i dla gęsi. Tak zmieniam trochę stare przysłowie.

„Helena... Odzyskam ją dzisiaj, a później ulecę, przywrócę do równowagi, powiem, że nasza miłość nigdy nie minęła...”

– Jak Boga kocham, kobieta ma tyle zmartwień, że czasami może jej przyjść chęć na jednego. Prawdę mówiąc...

Loftis myślał: „Cicho. Uspokój się. Cicho” – chociaż przy innej okazji sam poruszyłby jakiś temat: pogodę, ceny, nawet Boga baptystów, cokolwiek, byle ożywić rozmowę. Był prawnikiem, odczuwał potrzebę kontaktu z ludźmi, a przede wszystkim pragnął, by traktowali go życzliwie ci, w których towarzystwie ulegał naturalnemu skrępowaniu. Mając do czynienia – bodaj przelotnie – z niżej od siebie postawionymi czuł się zawsze zbity z tropu, nieufny, jak gdyby winny. Robotnicy z pralni, ogrodnicy, Murzyni, którzy stukali do drzwi kuchennych i z przymilnym uśmiechem prosili o starą garderobę – wszyscy ludzie takiego pokroju budzili łagodne zakłopotanie Milтона. Od dawna jednak, dzięki świadomemu wysiłkowi, który stopniowo przeszedł w przyzwyczajenie, odkrył, że najłatwiej pozbyć się nie milego nastroju, po prostu mówiąc. Mówił zatem, z reguły sam rozpoczynał rozmowę i wynajdywał najcudaczniejsze nawet tematy. Chodziło nie tylko o to, żeby podobać się wszystkim, na czym mu rzeczywiście zależało. Loftis lubił mówić, lubił krągłe, pełne znaczenia kształty słów, a także obawiał się samotności.

Ale tym razem kobieta odpychała go, przejmowała odrazą, chwilami budziła przestraszona, bo Loftis miał wrażenie, że nie rozumie ani jednego jej słowa. W pewnym sensie utożsamiał ją z rozpaczą, kurzem, dokuczliwymi nudnościami, czynił z niej symbol wszystkiego, co może dręczyć w chwilach, gdy człowiekowi najbardziej trzeba spokoju i odprężenia. Była to wysoka, koścista, mniej więcej czterdziestoletnia blondynka o wyłupiastych oczach i grubych, męskich rysach. Leniwie opierała się o szklaną gablotę, zawierającą ostrza do golenia i zwietrzałe cygara, i gadała wytrwale, płynnie, bez zapału i przekonania. Zdawało się nie sprawiać Hazel różnicy, że nikt nie przytakuje jej nigdy ani nie słucha – czy to obecnie Loftis, czy ów obojętny jak echo chór kierowców taksówek i kolejarzy, którzy w każde południe ściągają do knajpy niby muchy i czasami zdobywają się na nieartykułowane pomruki pod adresem gospodyni, między łykami piwa i nieustannym szmerem własnych rozmów.

– Osobiście nie mam nic przeciwko picciu – ciągnęła Hazel – i jak nadmieniałam, nie rozumiem, dlaczego nie miałyby pić także kobieta. To rzecz dowiedziona, że doktorzy często zalecają trunki przy pewnych niedyspozycjach nerwowych, a kiedy moja szwagierka z Newark cierpiała na chroniczne zapalenie jajników i trzeba je było usunąć, doktor przepisał jej kieliszek whisky każdego wieczora, przed snem...

„Peyton. Peyton” – myślał Loftis.

Od wielu godzin udawało mu się nie pamiętać o niczym prócz poniesionej straty. Teraz jednak Peyton wróciła nagle, a wspomnienie o niej uderzyło świadomość jak gdyby pięścią. Mucha wylądowała na ladzie przed Miltonem. Włochatą trąbką dotknęła jakiejś lepkiej plamy. Zaczęła podnosić i opuszczać zalotnie błoniaste skrzydełka. Elektryczny wentylator warczał gdzieś nieustannie w przytłumionej, monotonnej tonacji minorowej.

– ...mówię o siostrze mojego, że się tak wyrażę, małżonka... – Hazel urwała, a Milton zwrócił ku niej mętny wzrok i zobaczył usta ściągnięte lekceważeniem, nawet pogardą. – Myślę, że nie widział go pan nigdy, bo i ja pana nie pamiętam. Pewno bywa pan tutaj rzadko albo wcale. To fujara. A więc moja biedna szwagierka miała tę okropną historię...

Peyton! Loftis widział ją teraz cielesną, żywą... Obraz przybierający taką formę rozpalił w piersiach nagle ognie. Teraz odeszła... Przepadła... Oby dzisiejszy dzień nie nastał nigdy, oby rozproszył się jak mgła. Boże! Wszystko za jeden kieliszek! Podniósł dłoń do serca i usłyszał, że coś, jak gdyby papier, zaszeleściło w krytej kieszeni marynarki.

– Mężczyźni! – rzuciła Hazel. – Mężczyźni! – powtórzyła i zaczęła znów mówić uparcie, jednostajnie, przy akompaniamencie wentylatora i wolno kapiącej gdzieś wody.

Mucha odwróciła się i odleciała z bzykaniem.

„Prawda, list! Zapomniałem”.

Przed godziną, wyjeżdżając z domu Loftis schował go lękliwie, a teraz, równie lękliwie wydobył z kieszeni drżącymi palcami i jął oglądać kopertę. Zielony znaczek, na którym upamiętnia jakieś wydarzenie zakotwiczony trójmasztowy szkuner, zamazują równoległe, faliste linie stempla pocztowego. Loftis położył kopertę na ladzie... „Nie mogę – pomyślał. – Nie mogę!” Ale rozdarł ją po chwili i zobaczył sześć kartek pokrytych dobrze znajomym, kobiecym charakterem pisma. Coś ścisnęło mu serce, jak ręką. Rozdygotany, opanowany strachem zabrał się do czytania...

Najdroższy Staruszkule! Dziś skończyłam dwadzieścia dwa lata. Obudziłam się rano w czasie burzy z piorunami. Czułam się bardzo stara i naprawdę chora. Później dostałam przekaz od Ciebie i te miłe kochane życzenia (w urzędzie telegraficznym myślę chyba, że jesteś moim lubym) i jest mi teraz znacznie łatwiej i lepiej. Wysłałam na miasto, żeby kupić dwie butelki mleka i koncert Mozarta. Tak! Jest mi łatwiej i lepiej. Kupiłam także śliczny, duży budzik.

Staruszkule! Nie masz wyobrażenia, jak brak mi Ciebie, jak ucieszył mnie ten długi, serdeczny telegram! Robisz, co możesz, starasz się być nowoczesny, ale wciąż jesteś beznadziejnie konwencjonalny. Nic nie szkodzi. I tak kocham Cię i okropnie mi za Tobą tęskno. Po odejściu Harry'ego jestem bardzo samotna... (Czy nowina rozeszła się już po mieście? Jaką truciznę rozpowszechniają lokalni, dobrze poinformowani? Co ONA mówi?...) Kochany Staruszkule! Podejrzewam, że Ty jeden rozumiesz i nie za bardzo się przejmujesz – przynajmniej z plotkarskiego punktu widzenia. W każdym razie jestem samotna. Ze wstrętem przyznaję się do tego, lecz sądzę, że to prawda. Po przeżyciu z kimś pewnego czasu pozostaje straszna pustka, kiedy ten ktoś odejdzie, jeżeli nawet był nieznośny (tak sobie myślę) i krótko mówiąc nie do wytrzymania (może i tak myślę). Odczuwa się wtedy wokół siebie próżnię i ciszę, kiedy sprząta się mieszkanie albo kładzie do łóżka (to najgorszy moment), nawet gdyby się tentu komuś zamknęło drzwi przed nosem w razie jego powrotu (to nieprawda!).

A więc, Staruszk, wczoraj wieczorem leżałam i myślałam o Tobie. Latem panują w Nowym Jorku piekielne upały. Na parterze mamy w naszym domu bar (dobrze pamiętam, że nie widziałeś tego mieszkania, bo nie byłeś po przeprowadzce) pełen nieprawdopodobnie hałaśliwych Włochów. Szafa grająca ryczy wciąż na cały regulator, co oczywiście jest bardziej dokuczliwe w lecie, kiedy otwiera się wszystkie okna. Nakryłam głowę poduszką i zaczynałam już drzemać, gdy wybuchła awantura u tych Cecchino, którzy mieszkają naprzeciwko. On (śniady, wąsaty południowiec – stanowczo młody człowiek o złowróżbnym wyglądzie) wrócił pijany. Ona zaczęła wrzeszczeć na całe gardło, walić pięściami w moje drzwi. Nie zasnęłam aż do zamknięcia baru. Nasłuchiwałam przejeżdżających autobusów i medytowałam o różnych sprawach. Były to myśli niezbyt wesołe – raczej ponure, bolesne, przytłaczające. Wydaje się, że zaczęły mnie nawiedzać dopiero teraz. Dawniej miewałam również podobne chwile, ale nigdy nie trwały tak długo. Są okropne, okropne! Najgorsza sprawa, że te moje myśli me mają określonego sensu i właściwie nie odnoszą się do niczego konkretnego. Przypominają raczej czarny, mglisty nastrój, taki jak przy początku choroby, kiedy na przykład człowiek dostaje grypy. Usiłuję z tym walczyć, ale przygnębienie ogarnia mnie i nie ma na to żadnej rady. Czasami robią mi dobrze myśli o Tobie, o domu, ale w gruncie rzeczy wydaje mi się, że nic nie pomaga na dłużej. Czuję się zagubiona, jak gdybym tonęła beznadziejnie w mrocznej przestrzeni i nic nie było w stanie ściągnąć mnie z powrotem na ziemię. Myślisz może,

Staruszkę, że tak tonąć to miłe uczucie. Nic podobnego. To jest naprawdę straszne. Później, kiedy dostrzegam ptaki, mam wrażenie... (W tym miejscu coś skreślone.)

Ach, Tatusiu! Nie wiem, na czym polega zło. Staralam się wyrosnąć na dobrą, małą dziewczynkę (jak Ty powiedziałabyś niewątpliwie), ale dokąd się nie zwróć, zapadam coraz głębiej i głębiej w otchłań beznadziejnej rozpacz. Na czym polega błąd, Tatusiu? Gdzie szukać zła? Dlaczego szczęście jest tak niezmiernie cenne i rzadkie? Dlaczego kierujemy naszym żydem tak, że zawsze i wszędzie, wbrew najusilniejszym staraniom zadajemy ból innym?

Nigdy, Najdroższy, nie rozmawiałam z Tobą o takich sprawach. Nie wiem dlaczego... Dziś chcę po prostu zapoznać Cię z nimi. Nie przejmuj się zbytnio.

Prawda! Wszyscy byliśmy niedobrzy. Ja też byłam bardzo niezyczliwa wobec ludzi. To jest... (w tym miejscu coś skreślone...) daje skrzydła.

(Później.) Nie cierpię tego miasta, Staruszk! Wszystko jest tutaj sztuczne, ordynarne, brzydkie. Może to moja wina, bo na początku tak gorąco kochałam Nowy Jork. Pierwsze wrażenia, koleldy ze szkoły, spotkanie z Harrym... Któregoś dnia przyszedł tutaj po jakieś swoje rzeczy. Kiedy go zobaczyłam, odczułam dziwny niepokój, lęk graniczący z paniką. Byłam zdziwiona, że mogłam niegdyś kochać tego człowieka. A przecież go kochałam, bardzo kochałam. Może w istocie rzeczy ja byłam zła i doprowadziłam do zerwania? Ale nie potrafiłam przyznać się do tego przed samą sobą, nie mogłam. Było gorąco i zapewne oboje czuliśmy się kiepsko, więc w rezultacie doszło do wymiany przykrych słów. Powiedziałam mu coś okropnego i wybiegłam trzasnąwszy drzwiami. Kiedy wróciłam wieczorem, nie zastałam Harry'ego i po prostu żyć mi się odechciało. Czy ja go jeszcze Kocham, Staruszk? Czy ja go jeszcze Kocham? Nie wiem. Wiem tylko, że dzieje się ze mną coś strasznego. Odkąd rzuciłam pracę, nie robię prawie nic. Budzę się późno i wrogie, skwarne słońce świeci mi prosto w twarz. Później siedzę w domu i czytam, a niekiedy wychodzę na spacer. To prawie koniec. Nie powinnam pisać do Ciebie o tych okropnościach, chcę jednak, żebyś wiedział mimo wszystko.

Czasami widuję Laurę... Przypominasz ją sobie? Tamtego wieczora byliśmy wszyscy razem w Vanguard. Jest wyjątkowo męcząca, ale zazdroścę jej trochę. Może to właśnie klucz do szczęścia być manekinem, nie chcieć znać żadnych odpowiedzi.

Myślę o Maudie. Dlaczego musiała umrzeć? Dlaczego wszyscy musimy umrzeć?

Tak mi brak Ciebie, Tatusiu! Chciałabym Cię zobaczyć, pogawędzić z Tobą, usłyszeć od Ciebie miłe słowa. Chciałabym wrócić do domu, gdyby to było możliwe. Ach, Staruszkule! Tak bardzo chciałabym wrócić do domu! Ptaki nawiedzają mnie niewiarygodnie często. Ptaki bez skrzydeł...

List był dłuższy, lecz Loftis nie czytał dalej. Wszystko stawało się niedorzeczne, szalone. Ostrożnie odłożył kartki i spojrzał w górę, na dużą ćmę, która oślepią światłem wirowała błędnie wokół wiszącej żarówki.

– Co się z panem dzieje? – zapytała Hazel, a gdy Loftis nie odpowiedział, powtórzyła: – Co się z panem dzieje? Czy nie mogłabym pomóc jakoś?

Podniósł wzrok i z bezgranicznie smutnym spojrzeniem wyszeptał:

– Moja córka...

– Biedaczek...

Milton uprzytomnił sobie, że nie może liczyć na żadną zmianę. Oparł czoło o ladę i zamknął oczy. „Powróć do mnie, Heleno!”

– Biedaczek – powtórzyła Hazel.

Dolly Bonner zeszła z peronu stacyjnego ostrożnie, jak gdyby podejrzewała, że jeżeli nie będzie uważać zrzucą ją ze schodów wysokie obcasy i opięta spódnica z dżerseju. Szybko zbliżyła się do Barclaya, który nadal wojował z silnikiem.

– Gdzie jest pan Loftis? – zapytała. – Nie widział go pan?

Chłopiec wzdrygnął się i wskazał ręką w kierunku restauracji. Dolly okropnie go zaskoczyła.

– Tam, proszę pani – bąknął. – Tam.

Głośno zatrzasnął maskę wozu, bo w tym momencie spostrzegł, że pan Casper stoi obok wagonu bagażowego, w którym niewątpliwie znajdowały się zwłoki, i gestem wydaje rozkaz, by karawan podjechał. Kłęby pyłu wzbiły się w górę, lecz tu i ówdzie widać było jeszcze pomniejsze wiry i obłoczki. Przez jeden z takich tumanów Dolly śpieszyła w stronę knajpy, otrzepując kurz ze spódnicy. Usłyszała donośne, żalosne tony gitary i ocieniwszy oczy dłonią spojrziała przez brudne okno. We wnętrzu Loftis siedział pochylony nad filiżanką kawy, a kobieta zza lady otwierała i zamykała usta, szybko, bezdźwięcznie. Biedny, kochany Milton! Tęcza z szafy grającej spowijała restaurację uroczą zjawą zmiennych wciąż barw. Głęboki męski głos śpiewał smutno: „Pozwól mi wrócić i spróbuj raz jeszcze”. Banalna piosenka przejęła Dolly szczerym żalem. Biedny, kochany Milton!

Chusteczką otarła pył z twarzy, upudrowała się i mimochodem zerknęła na swoje odbicie w szybie. Była ciemnowłosa i ładna, prawie piękna, gdyby nie cofnięty podbródek, który nadawał jej wyraz nie tyle słabości, ile mazgajstwa. Łatwo było sobie wyobrazić, że ta dolna szczęka i usta mogą w każdym momencie zacząć drgać płaczkliwie – jak u małej dziewczynki. Dolly Bonner zyskała szeroki rozgłos jako działaczka Czerwonego Krzyża, Klubu Kobiet i różnych podobnych instytucji. Od z górą dwudziestu lat często ukazywała się w lokalnej prasie – niekiedy aż dwukrotnie w ciągu miesiąca – jej fotografia zrobiona wkrótce po ślubie. Wreszcie grzywka i kapelusz kształtu klosza zaczęły budzić w mieście tajone drwiny, więc nie bez żalu Dolly musiała zmienić zdjęcie na nowsze, pozbawione dziewczęcego uśmiechu, lecz ukazujące dokładnie worki pod oczyma i zmarszczki na sflaczałej nieco szyi.

Dolly pogładziła puszką nos – pieścizotliwie, po raz ostatni – i weszła do restauracji. Delikatnie położyła dłoń na ramieniu Loftisa.

– Kochany, należałoby pójść zaraz. Wszystko gotowe i...

– Kiedy zawita wielki Dzień Sądu – mówiła Hazel bezbarwnym głosem – wraz z nią wkroczy pan na złociste ulice. Nie trzeba się martwić, proszę pana. Oto co powiada Pismo, u świętego Jana w rozdziale trzydziestym szóstym. Powiada: „Królestwo moje nie jest z tego świata”.

Loftis stęknął i z lękiem spojrział na Dolly.

– Wszystko gotowe, mówisz?

– Tak, kochanie. Chodźmy.

– Nasz padół płaczu spowijają żałobne dymy – ciągnęła

Hazel.

– Ile płacę? – przerwał Loftis.

– Ile? Pięć centów.

Rzucił na ladę monetę, a Hazel powiedziała:

– Całym sercem jestem z panem. Naprawdę.

– Dziękuję – mruknął i odruchowo otworzył drzwi, żeby przepuścić Dolly.

Wyszli na ulicę, gdzie kurz rozproszył się tymczasem i słońce świeciło jasno. Szafa grająca ścigała ich stłumioną, smutną śpiewką: „Pozwól mi wrócić i spróbuj raz jeszcze”. Węgiel sypał się z dźwigu z łoskotem, który wstrząsał ziemią. Spróbuj raz jeszcze...

Należało zająć miejsca w limuzynie. Ella Swan zgramoliła się z peronu stacyjnego i bez słowa zasiadła w głębi wozu. Karawan nadjechał z powagą, godnością i stłumionym żałobnym szelestem opon. Przechodnie, którzy znaleźli się na jego drodze, umykali niby robactwo ku chodnikowi. Dolly zniknęła we wnętrzu samochodu, za nią Loftis. Pociąg miał zaraz ruszyć z powrotem do Richmond, co oznajmił posepnym świstem parowozu. Odprawivszy karawan pan Casper zatrzymał się dostojnie obok drzwi limuzyny – niby biskup, który ma coś konsekrować.

– Załatwione – powiedział zaglądając do wnętrza wozu.
– Czy wszyscy gotowi? – uśmiechnął się blade i sam odpowiedział: – W porządku. Zaraz jedziemy.

Ruszyli wreszcie. Dolly i Loftis siedzieli obok siebie. Ella Swan tkwiła na podnoszonej ławeczce – sztywna, w czarnych rokokowych koronkach; opuściła głowę ruchem wyrażającym zamyślenie lub żalobę i milczała nadal. Na przednim siedzeniu pan Casper zapuszczał silnik. Loftis widział w małym lusterku piegowate czoło i rude włosy przedsiębiorcy pogrzebowego. Jechali za karawanem, ale ten nie przebył nawet stu jardów, gdy zboczył w kierunku krawężnika i zahamował. Barclay wysiadł z zakłopotaną miną i gestem ręki wezwał na pomoc szofera.

– Mój Boże – westchnęła Dolly. – Mój Boże...

– Co się znów... – zaczął Loftis, ale pan Casper zatrzymał limuzynę, wyskoczył na chodnik i podszedłszy do karawanu jął konferować z Barclayem, pochylonym już nad silnikiem.

– Wielki Boże! Czy nie wystarczy to, co mnie spotkało?
– powiedział Loftis pod niczym adresem. – Nie może obejść się bez dodatkowych zmartwień? – Dłonią dotknął czoła. – Jezu Chryste! Nie wytrzymam dłużej!

Dolly dotknęła znów jego ramienia.

– Musisz być dzielny, Miltonie.

Nie odpowiedział. Podniósł wzrok i spojrzawszy na karawan wzdrygnął się nerwowo, bo w oszklonym zdobnym chwastami, ponurym pudle dostrzegł trumnę – przybytek całej swojej miłości – trumnę, która jak uprzytomnił sobie ze zgrozą, zniknie rychło na zawsze. Pomyślał, że to dla niego zbyt wiele, odwrócił głowę i wykręcił szyję tak, by widzieć zatokę. Dolly szemrała coś niedorzecznie, tonem łagodnej pociechy. Nie chwytając jej słów myślał: „Boże! To nie do zniesienia... Nie do zniesienia...” Nie dostrzegał zatoki, ale na wybrzeżu widział skrawek murawy i sykomor. Pod drzewem mocowało się dwoje Murzyniątek – chłopiec i dziewczynka. Dziewczynka była roześmiana, radosna, duże usta miała otwarte szeroko. „Ja ci pokażę” – zawołał chłopiec i obydwójce upadli za gęsty krzak, gdzie leżeli spokojnie. Lato. Blask słońca spoczywał dostojnie na zatoce. W oddali stała zakotwiczona flotylla łodzi rybackich. Wraz ze zmianą wiatru wszystkie zwracały się prawie niedostrzegalnie w jednym kierunku – jak krowy na pastwisku. W górze ogromna kopuła nieba odzwierciedlała blade światło, które jaskrawymi barwami malowało nieruchome obłoki, wiszące nad widnokregiem. Było to światło jasne, jak gdyby lepkie– złowróżbne w pewnym sensie. Nie wiedzieć czemu wydało się Loftisowi zapowiedzią burzy, groźby nadchodzącego zniszczenia.

„Boże – pomyślał. – Co ja będę robił jutro?”

Zapewne westchnął bezwiednie, bo jeszcze raz poczuł na ręku dotknięcie miękkiej dłoni w rękawiczce.

– Jestem przy tobie, kochany – usłyszał głos Dolly.

– Jestem tutaj. Nie martw się, jestem przy tobie.

Spojrzał na nią i spróbował zdobyć się na uśmiech.

– Źle się czuję – powiedział i na wspomnienie sceny w restauracji doznał kurczów żołądka. – Nic gorszego nie spotkało mnie jeszcze nigdy.

– Kochany – podjęła kobieta. – Musisz być dzielny. To wszystko.

W oczach miała wyraz współczucia i tego bezgranicznego uwielbienia, które z bezsensowną stałością nawiedzało ją zawsze, gdy była przy Miltonie.

– Słabo mi się zrobiło – powiedział.

– Mój Boże! Najdroższy.

– Wymiotowałem żółcią. Każdego innego dnia położyłbym się do łóżka.

– Biedny... Kochany...

Znowu pogłaskała dłoń, którą Loftis cofnął gwałtownie, gniewnie. Dawniej pochłaniałby żarłocznie uczucia Dolly, z lubością wygrzewałby się w słonecznej atmosferze bezwarunkowego oddania. W ciągu kilku ostatnich lat liczył na takie wierne spojrzenia pełne miłości i pragnienia. Podświadomie uważał je (podobnie jak whisky i Peyton) za laski czy kule, na których wspiera się walcząc z przekonaniem, że życie nie jest bogate ani celowe, że mało w nim radości. Ta twarz, te oczy pełne uwielbienia wydawały mu się niemal zadowalającą rekompensatą. Kochał Dolly, ponieważ była uległa, ponieważ go ubóstwiała. Tak działo się od początku: on mówił, ona słuchała, a na dziwnym styku samolubstwa i samozaparcia płynął tajemny nurt, który obydwójce musieli nazywać miłością.

W tej chwili jednak – podobnie jak w ciągu paru ubiegłych miesięcy – obecność Dolly zaczynała niepokoić Miliona, przytłaczać. Każde kolejne jej słowo rozstrajało go coraz bardziej i bardziej. Żałował, że ją zabrał w tę drogę. Zdawał sobie sprawę, że po odmowie Heleny tylko tchórzostwo nakazało mu pojechać po Dolly. Nie potrafił obejść się bez towarzystwa. Gorąco pragnął mówić do kogoś.

– Co się stało, kochany? – zapytała Dolly.

Spojrzał na nią. Sprawiała wrażenie urażonej dlatego, że cofnął rękę.

– Co się stało? – powtórzył. – Na Boga...

Odwrócił wzrok.

– Tak, tak – podjęła łagodnie. – Rozumiem, najdroższy. Oczywiście. Bardzo chciałabym powiedzieć coś, co mogłoby poprawić twój nastrój – sięgnęła do torebki po chusteczkę, otarła oczy. – Ale w takich chwilach nic stosownego powiedzieć niepodobna.

Loftis milczał. W limuzynie było nieznośnie gorąco. Ella Swan bez słowa otarła czoło ręką. Powietrze pachnące solą i słomą przywodziło na myśl morze, upalny bezwład, zastój.

Milton skrzyżował nogi, później je rozprostował i całkiem niespodziewanie kichnął. Czy nigdy nie poradzą sobie z tym silnikiem? Dobiegało szybkie stukanie. Z limuzyny widać było plecy ubranego czarno pana Caspera, który stał pochylony nad zderzakiem karawanu.

– Wszystko, co próbuje się mówić w takich chwilach – ciągnęła Dolly – brzmi poniekąd fałszywie... Tak... fałszywie i niestosownie.

– Na Boga! Nie mów nic! Siedź cicho!

Ogromna ciężarówka wyjechała z za rogu i z łoskotem przemknęła zmierzając w stronę dworca. Na boku miała wielkie, czerwone litery: SCANNELL. Załadowana była wysoko belami tytoniu. Przemknęła z łoskotem i zniknęła pozostawiając za sobą kwaskowaty odór.

Jeszcze raz maska karawanu opadła z łoskotem. Pan Casper wyprostował się, wytarł ręce. Barclay wrócił na swoje miejsce. Silnik chrząknął jak pies, co dławi się kością, począł kasłać równomiernie. Parasol siniego dymu wystrzelił w górę. Barclay energicznie machnął ręką przez okno. Pan Casper wrócił z zakłopotaną miną i usadowił się przy kierownicy. Karawan wystartował wreszcie.

– Niewypowiedzianie mi przykro – odezwał się przedsiębiorca pogrzebowy. – W taki dzień, proszę pana... – zniżył głos do niezrozumiałego pomruku ubolewań.

Limuzyna ruszyła za karawanem.

Po obu stronach drogi były pustkowia, suto porośnięte bagienną trawą, która cicho szeleściła pod gorącym tchnieniem wiatru. Przed nimi rysowały się pierwsze obskurne zabudowania miasta. Do samochodu wdzierały się powietrzne prądy, cuchnące śniętą rybą i gnijącą trawą. Ze stoczni po przeciwległej stronie bagna dobiegał szczeł rzucanego żelastwa, łoskot nitownic, pogwizdywanie lokomotywy. Limuzyna minęła małego czarnego chłopca, który dął w blaszaną trąbkę i wielkimi czarnymi oczyma spoglądał ze zdziwieniem śladem karawanu. Loftis poruszył się, spojrzął na zegarek i krzyżując znów nogi myślał: „Czy skrucha nie wystarczy? Czy taką drogą nie można załatwić wszystkiego? Jak długo to potrwa? Co robić? Co robić?” Nieustannie nawiedzało go widmo ojca, nawiedzały go wypowiedane niegdyś słowa starego prawnika, który upodabniał obskurantyzm do godnej powagi, a godną powagę do mądrości. W mętnych oparach dogmatyzmu i błędnych zapatrywań, protestując przeciwko porządkowi świata, który od dawna go prześcignął, starzec wyrzucał czasami spod niemodnych wąsów w stylu Edwarda VII zapewne niegłębokie prawdy, lecz trwałe, dobrze wypróbowane truizmy.

„Mój synu, niechaj nigdy nie włada tobą pasja. Pielęgnuj nadzieję, jak kwiat na jałowej glebie trosk. Skoro miłość podsyci płomień najpiękniejszych twoich marzeń, namiętności spłoną w tym ogniu, a pozostanie tylko miłość... Słuchaj, o synu... Możesz mi wierzyć, że posiadasz dobrą kobietę”.

Loftis opuścił powieki, kichnął raz jeszcze. Widmo ojca zniknęło uśmiechając się z upiorną dobrocią. Niby dym rozwiało się drzenie obwisłych zaniedbanych wąsów...

W młodości Milton odnosił się do ojca pobłaźliwie, ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem. Stary był napuszony i bez wątpienia jakoś nie wiodło mu się w życiu. Syn wcześniej to zrozumiał i zapewne z tej racji nie zwykł traktować serio rodzicielskich napomnień. W okresie swojego ślubu, przed ćwierć wiekiem, z pewnością zdawał sobie sprawę, że „posiada dobrą kobietę”. Resztę maksym, które tak uparcie wracały w dniu, kiedy dopełniał się okrutny wyrok losu, skwitował wzruszeniem ramion – lekceważąco, lecz być może nie bez żalu, bo odczuwał podświadomie, że słowa ojca mogły zawierać prawdę. Miłość? Jak to było z miłością? Namiętności od dawna spłonęły w tym ogniu, lecz w swoim czasie Milton puścił w niepamięć ojcowskie nauki i był zdania, że miłość zgorzała również. To nieprawda! W przypływie tkliwego rozmarzenia powiedział sobie, że miłość nie opuściła go nigdy.

Nagle straszliwy ból przeszył mu piersi jak nieoczekiwany ogień. Peyton. Peyton nie żyje. Harry zawiadomił go o tym. Loftis przypomniał sobie szaleńczy list córki.

Śmierć skutkiem upadku ze znacznej wysokości... Ptaki. Ptaki?

Obecnie nie pamiętał, kiedy namiętności odpłynęły pozostawiając pustkę, niepewność, zbłąkanie... Czy człowiek jest w stanie pamiętać takie rzeczy?

Przed wieloma laty, w wiosenny ranek, gdy rosa prawie już stopniała na murawie, Loftis opity kawą siedział wygodnie w ogrodowym fotelu i dzielił uwagę między wydawane w Port Warwick pismo „Sunday Tribune” a grę słonecznych blasków na swojej prywatnej plaży. Nagle usłyszał za sobą tupot kroków i pełen upojenia dziecinny głosik: „Tatusiu! Tatusiu! Jestem piękna!” Odwrócił się i z uwagą, jaką ojcowie darzą zazwyczaj małe córeczki, spojrzął na dziewięcioletnią Peyton, która stojąc na trawniku spoglądała w małe lusterko.

– Tatusiu! Jestem piękna!

Na moment serce zamarło w Miltonie. Tak! Ona była piękna. Może od pierwszego porannego papierosa, może od kawy kręciło mu się wówczas w głowie. Tak czy inaczej, na zawsze zapamiętał tamtą scenę na trawniku. W nagłym, gwałtownym porywie uczuć podniósł Peyton, przytulił i dziwnym, stłumionym szeptem przyznał:

– Tak. Moja maleńka jest piękna.

Z podziwem i swojego rodzaju zakłopotaniem składał hołd wspaniałej części samego siebie, w której życie ma trwać przez czas nieograniczony.

– ...piękna – powtórzył i drżąc przygarnął nieporadnie Peyton do piersi. Jej długie ciemne włosy muskały mu twarz, przesłaniały oczy.

Dziewczynka zachichotała, piąstkami uderzyła ojca w plecy. Lusterko wysunęło się jej z ręki i cicho upadło na murawę.

– Ale nie powinnaś być taka próżna – powiedział Loftis.

– Nie powinnam.

– No dosyć. Zejdź już.

– Nie.

– Co nie?

– Nie zejdziesz. Jesteś głuptasek.

– Czy to ładnie? Dosyć, zejdziesz, proszę.

– Niech będzie.

Zeskoczyła z kolan Milтона, padła na trawę, rozpostarła szeroko boscie nogi. Zrobiła szelmowską minę.

– Uważaj – podjął ojciec – bo buzia ci tak zastygnie. Do końca życia będziesz wyglądała jak zła czarownica.

– Wszystko mi jedno – zawołała. – Chcę oglądać obrazki.

Gazeta na kolanach Loftisa była beznadziejnie zmięta, poznaczona brudnymi śladami drobnych stóp. Udał, że nie zauważył tego. Ziewnął, zapatrzył się w błękitne wiosenne niebo, na wzdęte chmurki pierzaste na krańcach jak dymy. Zatoka była szczególnie spokojna, przyjemnie pachniała solą. Z wystudiowaną powagą Loftis spojrzał nad Peyton ku ogrodowi swojej żony – istnej orgii nie nazwanych kolorów: róż, bratków, rozmaitych kwiatów, których nazw nie potrafił zapamiętać. Drozd wielogłosey pokrzykiwał gdzieś wesoło, koniki polne ćwierkały pośród grządek, trawa pachniała ciepło, wypełniała nozdrza słodkim, surowym zapachem wiosennego dnia w Wirginii. Loftis ziewnął raz jeszcze, spojrzał znów w górę.

– Zanosi się na deszcz – bąknął bez przekonania.

– Aha. Zanosi się – powiedziała dziewczynka. – Tatuś mi da obrazki.

– Tak się nie mówi.

– No to, proszę mi dać obrazki.

– Tak już lepiej, maleńka – pochwalił. – Dam ci obrazki, ale pod jednym warunkiem. Widzisz tamten krzew róży? Idź, zerwij jeden kwiatek i przynieś mi tutaj. Tylko uważaj. Nie pokłuj się kolcami.

Peyton odbiegła posłusznie i wróciła z wielką szkarłatną różą, ociekającą rosą.

– Dziękuję, maleńka – powiedział Milton i pomyślał z uśmiechem, że ofiaruje żonie różę w taki piękny, słoneczny ranek.

– Teraz proszę mi dać obrazki – zawołała Peyton i rozłożyła obok fotela ilustrowany arkusz gazety; wrywając trawę palcami bosych nóg pogrążyła się w „kąciku humoru”.

Później, jak gdyby nagle przypomniała coś sobie, powiedziała niedbałym tonem:

– Bardzo tatusiowi dziękuję.

Loftis spojrział na nią z góry i bąknął bez przekonania:

– Dzieci powinny szanować rodziców.

Peyton nic nie odpowiedziała, bez pośpiechu odwróciła stronę, więc ojciec poprawił się w fotelu, wygodnie rozłożył nogi i wrócił do lektury wiadomości. Burmistrz miasta przyznaje... Kobieta zaprzecza... coś na temat NRA¹... „Roosevelt...” – pomyślał Loftis. Cóż, głosował na niego, ale Bogu wiadomo, dokąd zawiodą poczynania prezydenta. To najprawdopodobniej solidny człowiek, demokrat, lecz trzeba się z nim mieć na baczności... Paradoks: młody jeszcze, zamożny adwokat Milton Stewart Loftis szykuje się zapewne do kariery parlamentarnej; może zostać senatorem stanowym, prezydentem (Naród wita radośnie pierwszego od dni Wilsona prezydenta-południowca)... Pytanie: Panie senatorze, jakie jest pańskie stanowisko wobec zwyczajnego człowieka? Odpowiedź: Cóż, jako demokrat... Pytanie: Dziękuję panu. Panie prezydencie, jaki jest pański stosunek do zwyczajnego Murzyna? Odpowiedź: Cóż, jako południowiec... Pytanie: Dziękuję panu A ubezpieczenia społeczne? Odpowiedź: No cóż... Dziękuję panu, dziękuję, dziękuję...

1 NRA (*National Reccroery Administration*) – Administracja Odrodzenia Narodowego, organizacja powołana przez prezydenta Roosevelta celem zwalczania skutków wielkiego kryzysu gospodarczego.

Ojciec mówił niegdyś: „Mój synu, pozwolę sobie na paradoks. Jako południowiec, Wirgińczyk i oczywiście demokrata, znajdziesz się w jedynej w swoim rodzaju sytuacji. Staniesz w obliczu wyboru między (a) ideałami zakorzenionymi jako słuszne od czasów Jezusa Chrystusa, a niewątpliwie jeszcze dawniej we wszystkich ludziach, a szczególnie w Wirgińczykach, (b) ideałami przekazanymi ci przez kulturę socjologiczno-ekonomiczną, których nie będziesz w stanie odrzucić. W rezultacie, radzę ci, mój synu, z całym przekonaniem, abyś był zawsze dobrym demokratą, lecz również i dobrym człowiekiem w przypadkach, gdy się to okaże wykonalne”.

Niewątpliwy paradoks... Ale to było bardzo dawno i... Do licha z takimi medytacjami! Loftis odczuł gwałtowną potrzebę whisky... ciekawe... Nie powinno się to zdarzyć. Nie miał przecież zwyczaju pijać od rana. W tym momencie zmienił nieco pozycję i zobaczył Helenę, która prowadząc Maudie za rękę schodziła szerokim, pochyłym trawnikiem. Ukrył różę pod gazetą. Matka i córka zbliżyły się wolno. Helena ostrożnie wiodła Maudie po stromej, skąpanej w słońcu powierzchni murawy aż do kamiennych schodków tarasu na niskiej skarpie. Tam matka zeszła pierwsza, a następnie troskliwie piastowała rękę Maudie, utykającej na stopniach. Później ruszyły znowu ramię w ramię. Identyczne czerwone wstążki, które obie nosiły, powiewały przy łagodnym wietrze. Maudie kuląła mocno, wydawała się bardzo mała i wątła. Helena spoglądała na nią z góry tkliwym, zatroskanym wzrokiem...

– Tatusiu, co to znaczy kontrabanda? – zapytała Peyton.

– To znaczy... – zaczął Loftis, ale Helena i Maudie znalazły się już w kręgu foteli ogrodowych.

Helena usadowiła Maudie na trawie, następnie zaś opadła ciężko na fotel stojący obok mężowskiego.

– Miltonie – powiedziała – znów dywan wypalony papierosem. Wczoraj wieczorem...

– Który? – zapytał.

– Tebriz.

– Do diabła. To Larry Elie...

– Nie. Dolly Bonner. Nie można zapraszać takiej osoby.
– Tatusiu – wtrąciła Peyton – co to znaczy...
– Cicho bądź, Peyton – skarciła ją Helena. – Teraz my...
– Chwileczkę, moja droga – podchwycił Loftis. – Nie wolno przerywać starszym, maleńka. Kontrabanda to znaczy... jakby tu powiedzieć?... widzisz, coś nielegalnego, co policjant może skonfiskować...

– Skonfis... – dziewczynka spojrzała na ojca pytająco.

– Zaraz. Najprzód jedno – podjął. – Zajmijmy się kontrabandą. Co ty właściwie czytasz, córeczko? Mniejsza o to. A więc w Stanach Zjednoczonych obowiązuje prawo zakazujące cudzoziemcom przywozić perfumy, broń palną...

– Albo whisky – dokończyła Helena i sięgając po papierosa do kieszeni żakietu, roześmiała się lodowato.

– Whisky może być także kontrabandą.

Milton zapalił papierosa.

– Whisky? – bąknął niepewnie.

– Już rozumiem, o co chodzi – powiedziała Peyton z domyślną miną i wróciła do „kącika humoru”.

Helena poruszyła się niespokojnie w fotelu.

– Jeżeli na przykład, proszę tatusia – podjęła – żeby nie pił, kiedy będą u nas państwo Appleton, a on wychodzi kupić świeżą butelkę, można to nazwać kontrabandą.

Loftis zirytował się nie na żarty. Poczł nagły przyplw krwi do twarzy. Spod oka spojrzł na żonę, w momencie gdy mówiła: „można to nazwać kontrabandą”, a nikłe obłoczki dymu – błękitne na tle słonecznego blasku i trawy – ulatywały z jej ust i szybko rozplwały się w powietrzu.

– Mogłabyś... – zaczął, lecz pomyślał zaraz: „Mniejsza o to... mniejsza o to” – kiedy Helena, zdając sobie sprawę z rozdrażnienia męża, pogładziła delikatnie jego rękę. – No, no, mój drogi. Bez nerwów – szepnęła.

Nie patrzyła nawet na niego. Z uśmiechem spoglądała na Maudie, która – wiotka, bezbarwna – siedziała wśród murawy na poduszce i zwracała ku niebu pustkę pięknych oczu bez wyrazu.

Gniew minął. Milton spojrzł również na Maudie i ogarnęło go tkliwe współczucie połączone z rozczarowaniem, przykrością. Lekarz z Richmond – stary pocziwina, sepleniący zabawnie – powiedział z wahaniem, że mała wie już tyle, ile w ogóle wiedzieć może. To niedobrze, bardzo niedobrze. Kwestia nie do wyjaśnienia. Zagadka cech wrodzonych.

„Na Boga! Czy to moja wina? – pomyślał Loftis. – Kto jest odpowiedzialny? Co? Nie, z pewnością nie należy tego dochodzić. Nie warto... Zagadka cech wrodzonych...”

Tragedia może wydarzyć się każdemu, wszędzie, nawet w najlepszej rodzinie. Trzeba zachować spokój – powtarzał sobie ustawicznie. Kochają przecież starszą córkę, dbają o nią, są dla niej dobrzy. Wszyscy o tym mówią. Dawne znajome – smutne, prostoduszne kobiety o szarych, łagodnych twarzach pocieszają Milтона: „Ach, Helena to święta. Jest taka dobra dla Maudie. Masz wielkie szczęście”. Przyjmował podobne zdania z rozgoryczeniem. „Wynikałoby z tego – myślał – że ona jest dla nas ciężarem, zamiast, mimo swojego niedomagania, radością”. Ale niepokoił go stan małej. Kochał ją, tęsknił do uczuć, które nie mogły naprawdę rozkwitnąć, chwilami jednak nie mógł ścierpieć widoku tych tępych oczu. Przed urodzeniem Peyton dręczyły go ponure wątpliwości. Podejrzliwie spoglądał na ciało żony, a na własne z gniewnym poczuciem winy. Zagadka cech wrodzonych... Nieszczęsne, kochane dziecko – takie spokojne, łagodne... Serce rwało mu się tęsknie do Maudie, nie miał jednak wątpliwości, że chwilami cierpi straszliwie z jej powodu.

Helena wstała, uklękła i zaczęła czesać włosy kaleki. Tkliwym gestem ujmowała ją pod brodę, obracała jej głowę delikatnie, jak gdyby miała do czynienia z kruchą porcelanową lalką. Nieustannie szeptała coś przymilnie, śmiała się cicho, powtarzała: „Widzisz, kochanie, widzisz...” i „Moja ślicznotko...” Loftis podniósł się również, przykucnął obok żony i córki i z uśmiechem podał różę Helenie.

– Moja miłość – powiedział – jest jak szkarłatna, purpurowa róża.

Ale Helena była pochłonięta swoją czynnością. Spoglądając na męża przymrużonymi oczyma uśmiechnęła się blado.

– Oo... Dziękuję...

Położyła kwiat na trawniku i znów zajęła się Maudie. Ledwie zwróciła uwagę na pogodny, słoneczny gest, który prysnął jak bańka mydlana.

„Bodaj to lichy” – pomyślał Milton. Wyprostował się, postąpił krok w stronę córki i pogładził jej włosy.

Podniosła ku niemu oczy – poważne, tępe – ciemne i duże, jak kulki, co jesienią spadają z sykomor.

– Dzień dobry, papotato.

– Mówi się tylko tato, kochanie.

– Papotato.

– Niech i tak będzie – zgodził się Loftis i stokiem ruszył po murawie w stronę domu.

Dyszał lekko, czuł dotkliwe klucie w boku. To wczorajsze przyjęcie... Naturalnie wypił za dużo, jak zawsze... Dolly Bonner... Niecierpliwie odpędził przykre myśli. Spowijał go olśniewający blask słońca. Skoszona poprzedniego dnia trawa była zielona i wonna. Wokół roiły się niezliczone drobne owady. Koniki polne umykały szalonymi susami, a dom, ku któremu Loftis zmierzał, pysznił się przed nim świeżą farbą– okazały, przestronny, otwarty gościnnie na powitanie dnia. Był to piękny dom w wirgińskim stylu kolonialnym, szykowny i wygodny, ale stanowczo za duży dla czterech osób. Wystawili go kosztem dwudziestu tysięcy dolarów, dzięki matce Heleny, która usłużnie zmarła przed dwoma laty. Milton szedł w kierunku tej budowli i w piersi jego wzbierała duma. Gonty na dachu połyskiwały wdzięcznie, pęd bluszczu wyrastał z bukszpanowej kępy i zaczynał oplatać jedną z rynien. Ten bluszcz pnący się ku słońcu znaczył dom piętnem trwałości, może nawet tradycji. Milton odczuł dziwne podniecenie. Nie spowszedniała mu jeszcze świeża pozycja posiadacza.

Na ocienionym markizą tarasie przystanął, bo zmęczyła go trochę wędrówka pod górę. Czy to Helena go woła? Odwrócił się, przebiegł wzrokiem krajobraz: drzewa, trawnik, szarą smugę wody. Zobaczył Helenę, która stojąc znacznie niżej, istotnie krzyczała pod jego adresem:

– Czas do kościoła, Miltonie!

„Do kościoła – pomyślał. – Bodaj to licho”.

– Nie pójdę – odkrzyknął. – Sama odwieź dziewczynki do niedzielnej szkółki! Weź samochód!

– Co takiego?...

– Nie pójdę do kościoła... – zaczął znowu i wydało mu się, że Helena odpowiedziała: „Nie słyszę!”, lecz nagły podmuch wiatru uniósł jej słowa.

Bezradnym gestem rozłożył ręce, odwrócił się na pięcie. W jadalni nalał pół szklanki whisky z karafki stojącej na kredensie. Później pospieszył do kuchni, gdzie pochyłona nad stołem Ella Swan w milczeniu obierała kartofle. Począł wojować z zamrażalnikiem lodówki, skaleczył się w wielki palec, lecz ostatecznie wy dostał dwie kostki lodu i z brzękiem wrzucił je do szklanki.

– Ee-hem – mruknęła Ella Swan podejrzliwie i z wyrzutem, jak gdyby pragnęła skarcić grzech, zwłaszcza grzech popełniony w niedzielę.

Loftis słyszał już takie westchnienia i z pewnością nieraz jeszcze usłyszy. Przypomniwał sobie dziesiątki czarnych kucharek, nianiek, praczek, które od urodzenia do śmierci gorszą się i w poczuciu własnej cnoty wymownie spoglądają ku niebu w czasie sobotnich przyjęć albo w niedzielę nad parującymi płytami kuchennymi.

Z wesołą, pełną oczekiwania miną podniósł szklankę.

– Twoje zdrowie, Ella – powiedział i na początek pociągnął długi łyk.

– Ee-hem – powtórzyła i schyliła nad kartoflami czarną twarz gnoma, istną sieć bruzd i zmarszczek. – Na mnie nikt dziś nie patrzy. Ale wie pan, kto patrzy na pana? Dobry Bóg patrzy na pana, a On powiada: „Ja jestem prawdą i drogą, i życiem”. Dobry Bóg powiada także...

– Słusznie, Ella, słusznie – przerwał. – Masz rację. Ale daj spokój kazaniom. Nie nudź mnie dzisiaj, jeżeli kochasz Chrystusa – uśmiechnął się z fałszywą pogodą.

– To mowa Belzebuba – odrzekła Ella. – Widać diabelskie racice i złe oczy. Wstydziliby się pan wymawiać słodkie imię Jezusa.

Loftis oparł się o lodówkę i drugi raz pociągnął whisky. Zadowolenie z życia poczynało spowijać go niby peleryna. Kuchnia – podobnie jak zawsze i wszędzie wszelkie inne pomieszczenia i miejsca – ulega miłym przemianom. Stół, lśniący piec, Ella, białe niby w laboratorium ściany – wszystko to zdawało się sunąć w anielskiej procesji ku ostatecznej prawdzie, przybierać kształt doskonałości. Nawet igrające na podłodze kałuże i plamy blasków porannego słońca stanowiły poniekąd cząstkę cudownego domu – jego domu.

Loftis wyszedł na mały ganek przy kuchni, stanął i zapatrzył się przed siebie. Z tej strony szereg cedrów wytyczał granice jego posiadłości, opadającej łagodnym stokiem ku zatoce. Naga, nieporosła murawą ziemia pod drzewami, wyglądała cieniście, chłodno. Jak nieraz uprzednio, Milton odczuł nagły przypływ nostalgii. Tyle już czasu upłynęło!

Podobne cedry rosły na gruntach szkoły, w której kształcił się jako mały chłopczyk. Była to szkoła Św. Stefana – stojąca na skraju mokradeł, grupa starych budynków z poczerńiałej cegły. Dalej płynęła rzeka – płaska, szeroka, błękitna – o brzegach milami ogołoconych z życia, nie licząc samotnej szkoły. Czasami, kiedy stał pod cedrami i wdychając zapach soli oraz wiecznie zielonej roślinności spoglądał na zimową rzekę, nieskończenie długie rzędy wierzb i cyprysów po jej przeciwnej stronie, wyobrażał sobie niczym w transie, że nie znajduje się w Tidewater, a wierzby, cyprysy i cała zlodowaciała, skąpana w słońcu przestrzeń leży w jakimś obcym kraju. Mogłaby to być Rosja: znane Miltonowi z geograficznych ksiązek arktyczne pustkowia, gdzie Lena i (jak mu się zdawało) Jenisej płyną krętym nurtem ku oślepijącemu słońcu Oceanu Północnego; cyprysy, wierzby, cedry rosną także wzdłuż tamtych rzek o bezludnych wybrzeżach spowitych mrozem i ciszą. Pewnego razu, ostatniej swojej wiosny w szkole, Milton uległ rzadko wracającemu w późniejszych latach napadowi introspekcji i wybrał się pod cedry, zabierając herbatniki i książkę – jakieś wiersze: Keats, a może Shelley? Leżąc w ciepłych promieniach porannego słońca, czytał leniwie i nasłuchiwał dobiegających zewsząd wiejskich odgłosów: krowy ryczały, w bagnach wrzeszczało przeraźliwie ptactwo morskie, gdzieś nawoływał głos chłopca... Wreszcie zadzwięczał sennie dzwonek i Milton

wraz z kolegami musiał pójść na poranne nabożeństwo, oglądając się tęsknie w stronę miejsca, gdzie leżał tak niedawno, na rzekę, cedry... Niepokoiło go coś – może miniony urok, może po prostu wrażenie, że jeden z pięknych momentów dzieciństwa związał się tajemniczo i na zawsze z subtelnym, nieuchwytnym aromatem cedrów.

Obecnie Loftis wchłaniał ten sam zapach brzemienny poczuciem czasu i rzeczy przebrzmiałych – spraw, o których wolałby nie pamiętać? Tyle już czasu upłynęło!

Kaplica. Kościół. Pośepnie zaczął medytować nad zagadnieniem łaski. Jeżeli nie pójdzie do kościoła, Helena zrobi piekło. Nie, ona nigdy nie robi piekła, bywa za to spokojnie i zjadliwie nieprzyjemna. Wszystko jedno. Nie pójdzie i nie będzie się tym kłopotał.

Zajrzał do kuchni.

– Ella – odezwał się kusząco. – Nie napiłabyś się ze mną?

– Kto? Ja? – obruszyła się zgorziona. – Nie. Nawet za milion dolarów. Pan może sobie grzeszyć, bardzo proszę. Ja nie chcę.

Gniewne pomruki dążyły jego śladem, gdy wracał do jadalni, by ponownie napełnić szklankę z karafki stojącej na kredensie. Wyszedł na taras i z przykrym zdziwieniem zobaczył, że Helena z dziewczynkami wspina się zboczem. Odruchowo spróbował ukryć whisky, ale po zastanowieniu stanął we drzwiach ze szklanką w ręku.

– Pierwszy dziś z lewej ręki – powiedział z podrabianym humorem i dodał w myśli: „Do licha! Nieporeczna sytuacja...”

Helena nie odezwała się. Zmierzyła tylko męża oskarżycielskim wzrokiem. Poprowadziła dzieci w stronę drzwi.

– Peyton – powiedziała spokojnie – teraz weźmiesz na górę Maudie. Pomożesz jej ubrać się do niedzielnej szkółki.

– Chodź, Maudie – przemówiła łagodnie młodsza siostra.
– Pójdziemy razem na górę. Chodź, Maudie.

Dziewczynki zniknęły w bawialni. Maudie stukała miarowo nogą w butcie ortopedycznym. Ponury odgłos oddalił się, ucichł, aby zabrzmieć znowu na schodach i ponownie ucichnąć. Helena zwróciła się do męża, a on spojrzał spod oka na jej twarz, ściągniętą hamowanym gniewem.

– Cóż to za pomysł? – powiedziała. – Co cię napadło znowu?

– Widzisz, Heleno... – zaczął i niepewnym gestem wyciągnął rękę.

To dokładnie w jej stylu. Odprawiła dzieci, a teraz pokaże, co potrafi: robi piekło. A od rana wszystko układało się tak przyjemnie...

– Napijesz się? – zaproponował i znowu pożałował niewczesnych słów, ale...

„Na Boga? Co się dzieje” – pomyślał.

Helena uśmiechnęła się zagadkowo, nieśmiało, prawie tkliwie. Za rękaw powiodła go w stronę kanapy.

– Siadaj, kochanie – powiedziała.

Siedząc obok niego w cienistym hallu wyglądała bardzo ładnie, jak przed dziesięcioma laty: blade policzki nie naznaczone wiekiem, dziewczęca twarz bez zmarszczek, zapadlin i obrzmień – twarz znowu piękna... Ha! Może to tylko skutek wypitej whisky?

– Posłuchaj – rozpoczęła łagodnie – sam wiesz, że nie wolno ci pić nieustannie. Sam wiesz, że to ruina dla zdrowia. Nie chodzi, kochanie, o kwestię moralności lub niemoralności. Po prostu w takim stanie nie możesz zaprowadzić dziewczynek do niedzielnej szkółki. Sam wiesz, że należy chodzić do kościoła. Już dawno obiecaliśmy sobie przecież. Sam wiesz, mój kochany...

„Sam wiesz... Sam wiesz...” Loftis nie słuchał dalej. Jednakowa wciąż stara śpiewka. Na Boga! To okropne! Skąd taka właśnie macierzyńska nuta? Dlaczego ona nie wyzna otwarcie, że gardzi nim z powodu pijaństwa – pijaństwa i wszystkiego? Nic z tego! Woli uparte, chłodne rozgoryczenie i od czasu do czasu desperackie tony dobrej matki – oczywiście nieszczerze. Dlaczego bodaj raz nie urządzi sceny, nie zrobi piekła? Wówczas on mógłby wybuchnąć bohatersko, za jednym zamachem rozładować napięcie systemu nerwowego. To okropne... Bogu tylko wiadomo jak okropne!

Loftis nie słuchał. Na moment wrócił mu niedawny podniosły nastrój i załamał się zaraz. Omijając wzrokiem twarz Heleny patrzył na zatokę drzemiącą pod oparami. Nieliczne mewy krążyły ociężale. Gdzieś daleko niewidoczna motorówka zakasłała pracowicie i umilkła. W zimie zatoka będzie szara, pokryta lodem przy brzegu – myślał – obramowana śniegiem, akrami i akrami zmarzłej soli. A w ciepłym domu pozostaną tylko on i Peyton. Może będą wyglądać oknem, patrzeć na drzewo wyrzucone przez fale, na kołujące mewy i niebo powleczone chmurami koloru sadzy. On i Peyton... Znajdą się razem w dobrze ogrzanym domu... Ale to będzie nowa zima. On postarzeje znowu i najprawdopodobniej nie wkroczy nawet na drogę do stanowiska senatora ani sędziego...

Czknął głośno. Helena wyłoniła się z alkoholowych obłoków, zbudziła żywe niezadowolenie.

– Posłuchaj, mój drogi, nie powinieneś tak postępować... Sam wiesz. Przrzekliśmy sobie dawno...

Istotnie: bardzo dawno!

Wstał, z góry spojrzął na żonę.

– Teraz ty posłuchaj, moja droga – rozpoczął starając się, by jego głos dźwięczał chłodno. – Mogłabyś też sama wiedzieć, że do wielkiej cholery, będę prowadził takie życie, jak zechcę...

Helena otworzyła usta. Protest wzbierał w jej gardle.

– Zaraz, zaraz, momencik – ciągnął śpiesznie. – Nie myślę być krnąbrny. Po prostu chcę, żebyś zrozumiała parę rzeczy, a wśród nich to, że w niedzielę lubię leniuchować i przy leniuchowaniu popijać.

Kobieta zerwała się z kanapy.

– Egoizm... – zaczęła.

– Daj spokój – przerwał i spuścił wzrok, bo nie wiadomo czemu obawiał się patrzeć na żonę. – Do licha, zaczekajże minutę. To nie sprawa egoizmu. Nie chcę nikogo gorszyć. Bywam w kościele wystarczająco często, by wyborcy wiedzieli, że nie jestem ateistą. Dawno już powiedziałem ci, jakie ma dla mnie znaczenie religia czy też brak religii. Jestem zmęczony tym, że niedziele psuje mi stek komunałów, które gada Carey Carr, że...

Helena odeszła bez słowa, lecz przy drzwiach odwróciła się nagle.

– Wyborcy – szepnęła. – Śmiechu warte!

Przez moment milczała na pograniczu łez. Następnie, zanim wyszła, dodała z akcentem rozpaczki:

– Ach, Miltonie, Miltonie...

Loftis pogodnie spojrział w niebo. Nareszcie powiedział jej swoje.

Jednakże coś psuło mu uciechę, budziło niemiłe poczucie winy. Nie należało mówić tyle. „Ach, Miltonie, Miltonie” – westchnęła. Czuł potrzebę jakiejś pokuty, odkupienia, lecz był zmęczony i tylko pod tym wrażeniem ocenił, że już późno. Niech to piekło pochłonie! Pociągnął łyk whisky i w tym momencie usłyszał głos. Spod markizy zerknął ku oknu, w którym Peyton stała w bieliźnie.

– A kuku! Głuptasku! – powiedziała z uśmiechem.

– Zdrowie mojej ślicznotki! – wznosił szklanekę.

Helena zawołała coś i Peyton umknęła. Okno opadło z trzaskiem.

Tamta dawno miniona niedziela doprowadziła Loftisa niebezpiecznie blisko do zrozumienia czegoś – być może samego siebie. W łagodnym popołudniowym blasku snuły się po trawniku widma rzeczy dokonanych i rzeczy niedokonanych. Gdyby odwrócił się wystarczająco wcześnie, zobaczyłby je i przeraził się, jak należało. Ale kiedy wykonał zwrot, było za późno, nadchodził wieczór i chwila rozpoznania przepadła na zawsze.

Dolly Bonner mówiła wtedy przymilnie z drugiego końca czegoś, co wydawało się aktem skąpanego w słońcu trawnika:

– Miltonie, będziesz aniołem, jeżeli podasz mi jeszcze jedną szklanekę, mój kotku.

Gdzieś daleko zegar kościelny uderzył trzy razy. Cienie zaczynały się wydłużać.

Ton, jakim powiedziała „mój kotku”...

– Służę ci, Dolly, oczywiście. Z prawdziwą przyjemnością, kochanie.

Niechętnie wstał z fotela ogrodowego. Był pod muchą, trochę zanadto pod muchą, musiał więc poruszać się ostrożnie. Przystępując nogę męża Dolly, Sclatera (zwanego „Pookie”), na moment posłużył się jego kolanem niby podporą.

– Przepraszam, Pookie – bąknął i dobrnąwszy do fotela Dolly sięgnął po jej szklankę z uśmiechem i ledwie zaznaczonym ukłonem.

Później ruszył z boczem pod górę, ściskając w ręku szklankę trochę lepką, przyjemnie ciepłą od palców Dolly.

Po kilku krokach obejrzał się niespokojnie, zerknął na szklankę swojej żony i Sclatera, o których zapomniał w pośpiechu. Ale szklanki były prawie pełne, a Helena i Pookie zajęci rozmową nie zwrócili na niego uwagi. Spojrzał na Dolly, która z uśmiechem „zrobiła oko” – kłopotliwy nieco, a zarazem dziwnie podniecający gest dyskretnego porozumienia. Widział ten uśmiech nawet wówczas, gdy odwrócił się; odszedł i na grzbiecie wzgórza zobaczył dom wyłaniający się z mętnego wiru.

Szalone, niepoczytalne upojenie ogarnęło Loftisa. Może obecnie umysł miał nieco zaćmiony, bo wypił zbyt dużo whisky. Ale tak czy inaczej przeżył pięciogodzinną pauzę błogiego zadowolenia. Wstrętne sceny domowa uległa kompletnej przemianie. Po rozstaniu z Heleną i kolejnej szklance przybrała pełną wyrazu postać oczarowania samotnością. Bezpieczny we własnym mglistym raj, Loftis spacerował po domu, patrzył na kotary w oknach, wydęte wiatrem jak balony. Na podjeździe usłyszał gradową nawałnicę żwiru, kiedy Helena ruszała z miejsca. Zadzwęczał klakson, Peyton roześmiała się w oddali. Później ucichło wszystko.

Loftis pozostał sam. Włączył radio, nowy wspaniały odbiornik „Atwater Kent”, który pół roku temu kupił za trzysta dolarów. Szybko sięgnął do gałki, kiedy rozległo się wstępne charczenie. Później usłyszał falsetowe trele chóru z niedzielnej szkółki. „Jak Boga kocham – pomyślał – to chyba metodyści”. Wydało mu się, że widzi rząd jesionowych krzesel, a na krzesłach młode kobiety z nieświeżym oddechem i przepoconymi półksiężycami pod pachami. Jakaś suterena cuchnąca stojącą w zlewie wodą i spleśniałą religijnością. Posępne, mroczne miejsce, gdzie oderwane od czasu mamrotanie Salomonowych maksym i Przykazań Bożych panuje nad wiekami, rozkładem, nawet nad ukośnymi, pełnymi drobin kurzu promieniami niedzielnego słońca, które padają na zniszczone śpiewniki, oberwane przewody elektryczne, spowite pajęczyną betonowe ściany. Metodyści– ludzie nienawidzący piękna. „Mój Boże” – pomyślał Milton. Ziewnął i pociągnawszy następny łyk wyłączył radio.

Zamyślony spuścił wzrok ku podłodze, zobaczył na dywanie ciemną plamę w miejscu, gdzie dopalił się papieros. Dolly Bonner... Cóż, uszkodzenie można będzie pewno naprawić... Dolly Bonner... Wieczór dnia poprzedniego. Papieros w białej ręce. Popiół sypie się na dywan, więc Loftis przynosi popielniczkę – jest diabelnie nadskakujący, uprzejmy. „Słowo daję, wstydziłabyś się, Dolly” – szepce, a ona kładzie mu na ramieniu białą rączkę. „Ach, Miltonie, przepraszam – mówi. – Co też powie Helena? To tebriz... Strasznie mi przykro, kochanie...” Błada twarz, usta o opadających kącikach, urocze, trochę wilgotne po ostatnim koktajlu, ponętnie pełne. „Dlaczego jesteś taka blada?” – pyta Loftis. „Ach, Miltonie... Ja nigdy nie wychodzę na słońce. Taka jestem wrażliwa, mój kotku” – odpowiada. Dotknięcie jej palców budzi nieuchwytny, rozkoszny dreszcz. Od prawie niedosłyszalnego śmiechu piersi Dolly falują, ukazują w dekolcie drobne białe łuki...

Rano ukośne promienie słońca zaglądały do pokoju. Milton wygodnie rozparł się na kanapie. Gdzieś daleko pies zaszczekał i męski głos krzyknął: „Korsarz!” Odpowiedziało piskliwe ujadanie, które wnet roztopiło się w miłej niedzielnej ciszy.

– Dzień dobry, proszę pana.

Do pokoju wkroczyła ze szczotką i ścierką La Ruth, córka Elli Swan – wielka i ciężka otyła Murzynka. Nosiała okulary w drucianej oprawie i miała wiecznie zboląłą minę. W niedzielę przychodziła do pomocy w domu.

– Dzień dobry, La Ruth – odpowiedział Loftis. – Jak tam twoje bóle w krzyżu?

Minęła go szurając nogami, mamrocząc coś o biedzie i chorobach. Potem jęła dźwigać na schody ciężar swojego ciała. Stąpała głośno jak osoba cierpiąca na płaskostopie.

„Ha... Dolly – pomyślał Milton, sadowiąc się jeszcze wygodniej. – Dolly...”

Raptem wstał i podszedł do telefonu.

Obecnie schodząc trawnikiem balansował ostrożnie, bo na srebrnej tacy niósł flaszkę whisky, lód i czyste szklanki, a nie chciał nic uronić. Ktoś, może dzieci, włączył radio: urywek Brahmsa – potężne, tęskne zawodzenie – wzleciał w powietrze, aby zaraz umilknąć. Pod cedrami bawiły się dzieci. Loftis zadarł głowę w ich stronę i uśmiechnął się szeroko. Odpowiedziały zgodnym trzepotaniem rąk.

– Czy możemy wziąć sobie lemoniady? – krzyknęła głośno Peyton.

Wciąż uśmiechnięty przytaknął skinieniem głowy, więc Peyton i Melvin – synek Dolly – pobiegli w stronę kuchni, porzucając Maudie, która siedziała smutna pod drzewami.

Kiedy Loftis był blisko grupy foteli ogrodowych, Pookie wstał i wyszedł mu naprzeciw.

– Pomogę ci, stary! – zawołał tonem natrętnego zapалу.

Był krępy, łysiejący i miał na sobie lawendową jedwabną koszulę, tak nie dopiętą, że odsłaniała górną część różowego brzucha, krągłego niby melon. Na spotkanie gospodarza szedł po trawie właściwym mu krótkim, niepewnym krokiem, jak niewprawy jeździec na wrotkach. Był zupełnie pijany, co zdarzało mu się zawsze po dwu lub trzech kolejkach. Loftis czuł do niego odrazę i pogardę. Łagodnie pozbył się natręta.

– Dobrze, dobrze, Pookie. Dam sobie radę – powiedział i ustawił tacę na murawie, obok Dolly.

Z ukosa zerknął na Helenę. Niewątpliwie nadal gniewała się na niego. Jej twarz pochylona nad czymś, co robiła na drutach, była mocno zaróżowiona.

– Miltonie – odezwała się Dolly – mówiłam właśnie Helenie, że gdybym zafundowała Pookie'emu flanelowe spodnie takie, jak ty masz na sobie, mogłaby mi go sprzątnąć sprzed nosa jakaś dzierlatka...

Zachichotała, a jej mąż usadowił się znów w fotelu.

– Nie chodzi o spodnie, aniołku. Chodzi... chodzi o moją indywidualność.

Pookie wybuchnął donośnym, zenującym śmiechem, po którym nastąpiła kłopotliwa cisza, ponieważ nikt mu nie zawtórował. Dolly zapełniła próżnię jakąś uwagą na temat rozmiarów męzowskiego zadu. Helena pochyliła się niżej nad robotą, nie podjęła tematu.

– Mój aniołeczek... – bąknął Pookie.

Dolly poruszyła się w fotelu. Drgnęły nagle jej biodra ciasno opięte czarnym jedwabiem... Ach, ta szykowna czerń, nawet latem! Loftis nalewał whisky i spod oka przyglądał się grubasowi. Że też ona żyje tyle lat z taką małpą! Pookie trudnił się pośrednictwem przy sprzedaży nieruchomości w odpowiedniej chwili dopisało mu szczęście. Podczas wysokiej koniunktury, krótko przed krachem giełdowym, zarobił tyle, że mógł jeździć buickiem, bywać na najwytworniejszych przyjęciach i odnowić dom według projektu młodego, modnego dekoratora wnętrz z Richmond. Czuł się nawet tak pewnie i bogato, że kilkakrotnie podejmował nieśmiałe i daremne starania o przyjęcie do klubu wiejskiego. Milton podejrzewał, że serdeczna życzliwość, którą okazuje mu Pookie, to nieudolnie maskowane zabiegi, by on właśnie napomknął kilka ciepłych słów komisji balotującej. Pookie i Dolly byli baptystami. Ponura szarlataneria! Loftis gardził tym człowiekiem. Gardził nim ponieważ Pookie gadał głośno i nie był nigdy na uniwersytecie, a na domiar złego... Na domiar złego („Wielki Boże! W tym sedno sprawy” – pomyślał Milton i doznał nagłego wstrząsu) Dolly to od dnia jego ślubu pierwsza kobieta, której miłości rzeczywiście pragnął.

Zaczął podawać szklanki. Helena, jak się okazało, nie chciała więcej.

– Piłam tylko dla towarzystwa – wyjaśniła z bladym uśmiechem pod adresem Dolly. – Alkohol mi nie odpowiada.

– Wybornie cię rozumiem, moja droga – powiedziała znacząco Dolly, a Helena zajęła się tym gorliwiej robotą na drutach.

Rozmowa nie kleiła się przez czas pewien. Dolly mówiła nudno o jakichś kołdrach, materacach i kapach., i o małym miasteczku Emporia, gdzie spędziła dzieciństwo i pierwszą młodość. Loftis siedział w ogrodowym fotelu, bezmyślnie skubał jego płócienne siedzenie... Zdawał sobie sprawę, że nudziłby się śmiertelnie, gdyby nie odczuwał gorącego dreszczu pożądania za każdym razem, gdy Dolly szeleściła jedwabiem, krzyżując nogi. Prosta historia! Pochłaniał wzrokiem łydki Dolly, a umysł zaprzętały mu pozornie kapy i kołdry, i „malutkie jak orzeszek miasteczko”, z którego Pookie wyzwolił Dolly. Kiedy zrobiła krótką pauzę, by się napić, Loftis pomyślał, że jest pospolita, ale ma nieokreślony, naiwny wdzięk podlotka – trudny zapewne do zniesienia na dłuższą metę. Począł snuć plany... Można by ją kiedy zabrać do Richmond... Nikt nie dowiedziałby się o tym...

„Na Boga! Co mi chodzi po głowie? – pomyślał. – Dawniej nie nawiedzały mnie nigdy podobne myśli”.

Z uczuciem winowajcy spojrzął ku Helenie, później przeniósł znów wzrok na łydki Dolly. Napił się whisky. Nad zatoką wykwitwały podłużne, lekko ukośne chmurki. Słońce – idealnie równy, miedziany krążek – wisiało nad Cedrami. Drozd, który wrzeszczał od rana, odleciał widać, bo już nie mącił ciszy. Nad fotelami unosił się senny szmer rozmów niby brzęczenie trzmieli. Stokiem spływała znowu ledwie dosłyszalna muzyka Brahmsa, rozpraszała się melancholijnie wśród wieczornego powietrza.

Loftis napił się raz jeszcze. Nagle zobaczył przed sobą twarz Pookie'ego – uśmiechniętą twarz, przypominającą mglisty, czerwony globus.

– A co powiesz, stary, na New Deal?² – Pookie zmierzał w kierunku whisky; jego szerokie spodnie przesłoniły na moment kolana Dolly. – Trzeba będzie oddawać całą forszę facetom, co na nią nie zarobili. Trzeba będzie bulić forszę takim bęcwołom...

– Bęcwołom – poprawiła Dolly.

– Niech będzie bęcwołom.

W polu widzenia Milтона przesunęły się znowu luźne spodnie na wielkim tyłku.

– Co ty na to, Milt?

2 New Deal – polityka ekonomiczna zapoczątkowana przez rząd Roosevelta w 1933 r., zmierzająca do opanowania skutków wielkiego kryzysu (ingerencja państwa w życie gospodarcze, zasiłki dla bezrobotnych, obniżka kursu dolara itp.).

– Powiem, niech to wszystko piekło pochłonie – odburknął Loftis znad swojej szklanki i zaraz pomyślał: „Dlaczego ja to gadam?”

W oddali zegar kościelny wybił czwartą. Dolly podciągnęła spódnicę, odsłoniła sześć cali uda, prawie do...

„Niech to lichy! – pomyślał Loftis. – Zachowuję się jak uczeń, jak mały zdemoralizowany uczeń”.

– Katastrofa, Milt. Nie kapujesz? Kraj idzie do socjalizmu. Zabija się prywatną przedsiębiorczość. Wiesz co, Milt?

Ci faceci przedstawiają już projekty ustaw Kongresowi. Poczekaj, a sam zobaczysz.

Dolly wstała, obciągnęła spódnicę.

– Zaczyna się gadanie o polityce – powiedziała. – Wolę skorzystać z okazji i pójść na chwilę w pewne miejsce.

– Znaczą się do pokoju dla panienek – podchwycił Pookie z domyślną miną. – Poczekaj trochę, aniołku... Pójdziemy razem.

Roześmiał się odrażająco, zmrużył małe oczki i wziął żonę pod rękę tak, jak gdyby miał wspierać kroki kaleki.

– Przypomniało mi się... – rozpoczął i zapuścił się w mętłą anegdotkę na temat jakiejś wyprzedaży w Chicago.

– Rusz się, wesółku – rzuciła niechętnie Dolly i pociągnęła za sobą męża.

Razem jęli piąć się pod górę, przy czym on otaczał żonę ramieniem, chronił ją przed potknięciem czy też możliwą napaścią. Loftis spoglądał na nich, dopóki nie zniknęli. Słuchał głosów dzieci, które nawoływały się i śmiały pod cedrami. Usłyszał też za sobą chrzęst papieru, bo Helena podniosła się raptownie i wepchnęła swoją robotę do torby. Stała odwrócona plecami, więc nie widział jej twarzy, lecz szybkie, gwałtowne ruchy wskazywały, że przed odejściem Helena powie coś przykrego, poniżającego, pełnego lekceważenia. Odwrócił wzrok, ale kobieta milczała. Spojrzał znów w jej kierunku i przez beztroskie, pijackie opary, zobaczył ogromnego żółtego motyla, cedry, zamierający odblask słońca i zwróconą teraz ku niemu twarz żony – nieładną, nerwową twarz z niesfornym kosmykiem włosów na czole – twarz pełną niechęci i urazy.

– Zadowolony jesteś, prawda?

– Dlaczego? O co ci chodzi, Heleno?

– Nie powiedziałaś nic, że telefonowałeś do nich, że znów ich zaprosiłeś.

– Kochanie... zapomniałem – bąknął. Mętny pochód kłamstw i wymówek przemknął mu w myślach. – Nie sądziłem, że to ważne – podjął układnie. – Słowo ci daję. Gdybym przypuszczał, że chcesz... że chcesz, abym cię zawczasu powiadomił... uprzedził...

– Nie opowiadaj takich rzeczy – przerwała. – Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Nerwowo przesunęła dłonią po czole, wzniosła wzrok ku niebu, co wydało się Loftisowi gestem teatralnym. „Ona jest pomyłona – pomyślał z niezrozumiałą ulgą. – Naprawdę coś z nią nie w porządku”.

– Miltonie... – zaczęła i spojrzała na niego tak, że mimo pijackiej odporności odczuł pokusę, by wzrok odwrócić, i pokusie tej uległ. – Oni... są strasznie wulgarni, pospolici. Obydwoje... Wiem, że jego nie cierpisz. Czy szukasz jej towarzystwa? Powiedz. Czy jej towarzystwa szukasz?

Loftis doznał nie lada wstrząsu.

„Nie przypuszczałem, że ona wie” – pomyślał.

– Nie jestem ślepa! – rzuciła szorstko Helena, odwróciła się i odeszła.

Pozostał sam.

Później był zmrok i Loftis, zupełnie wolny od wyrzutów sumienia i myśli o Helenie, opowiedział pieprzny kawał. Śmiech zadźwięczał nad trawnikiem, uleciał ku niebu. Błękitnawy cień przesycił powietrze, lekki wietrzyk poruszał nadciągające ciemności; sucho, ochryple szeleścił w koronach cedrów.

– Fe! Wstydzilibyś się, Miltonie! – syknęła Dolly, ale wraz z mężem wybuchnęła śmiechem.

Loftis, kontent z siebie, odwrócił głowę i z dyskretnym uśmiechem gapił się na wspaniałą zorzę rozlaną niby krew na zachodnim widnokręgu. W górze błysnęło światło w kuchennym oknie. Loftis wdychał z lubością upajający wieczorny zapach róż i trawy.

– Przypomniało mi się... – zaczął Pookie, ale na stoku zadudniły kroki i obok Dolly zjawił się Melvin, który miał dziewięć lat i zdradzał już niepokojące podobieństwo do ojca.

– Mamo, dostałem od Peyton po twarzy – zawołał chłopiec.

Niewątpliwie dostał, bo na policzku miał różowy ślad wielkości orzecha. Kiedy spostrzegł, że wzbudził zainteresowanie, uczeplił się kurczowo ramienia Dolly i zaczął beczeć.

– Wszystko będzie dobrze, synku – powiedziała obojętnie. – Za minutkę przestanie boleć.

Pośród krzyków i szlochów, które zmąciły ciszę, Pookie wstał z fotela, by klęknąć obok malca.

– Wszystko dobrze, zuchu – powiedział. – Nie drzyj się tak.

Chłopczyk przestał płakać. Oparł głowę o ramię ojca i pochlipywał cicho, bez przekonania.

– Ja chcę do domu... Chcę do domu... Jestem głodny...

Tyle zrozumiał Loftis. Był wściekły, więc jeszcze raz dolał sobie whisky, w chwili gdy Dolly, zajęta chwilowo dzieckiem, wyjmowała z torebki chustkę, aby mu twarz obetrzeć.

– Dobrze, zuchu, dobrze – dobiegł Loftisa jej głos drżący irytacją. – Zaraz pojedziemy do domu.

Przestraszył się. Pierwszy raz od wielu godzin odczuł dziwne przygnębienie. Dolly odejdzie, a on zostanie sam. Lękiem przejmowały go nadchodzące chwile w domu, z Heleną. Przekłęty smarkacz. „Zuch!” Dlaczego nie usunęli mu adenoidów? Wyrośnie na młodego niedorajdę i rodzice będą go pewno musieli oddać do szkoły wojskowej, żeby synalka trzymać z dala od podlotków. Loftis napił się znów bez entuzjazmu.

W tej chwili Pookie i Melvin ruszyli stokiem pod górę, w kierunku cedrów, gdzie bawiły się nadal dziewczynki. Chodziło o załagodzenie sporu. Pookie obejrzał się raz, z pociesznym uśmiechem zerknął w kierunku foteli, powiedział coś, czego Loftis nie dosłyszał, a następnie powędrował dalej.

Loftis odwrócił głowę i zobaczył znad szklanki, że Dolly obserwuje go z wielką powagą. Spojrzeniem odpowiedział na jej spojrzenie – mętnie, bez uśmiechu. Był pijany, lecz zdawał sobie sprawę z gorącego, beznadziejnego požądania i z tego, że porusza się coś i szmerze delikatnie w letnim powietrzu. To świetliki wirowały w półmroku niby ogniste krople.

– Zadowolona jesteś? – odezwał się cicho.

– Nie – potrząsnęła głową.

– Dlaczego?

– Bo Pookie to nie mężczyzna jak się patrzy.

– Co ty mówisz?

– Chodzi o to, że taki z niego wesolek...

– Błazen – poprawił gładko Loftis.

Przez pewien czas milczeli.

– Ale jest bardzo miły – podjęła Dolly z westchnieniem.

– Bodaj go licho! – rzucił Loftis.

Pookie zszedł z boczem i przyjaźnie zamachał ręką w ich kierunku. Minął fotele zmierzając ku plaży.

– Idę popatrzeć na tę łódkę, o której mówiłeś – oznajmił.

– Nie poszlibyście także?

Loftis podniósł butelkę.

– Może napijesz się jeszcze? – zawołał.

– Nie. Dziękuję, stary! – odrzyknął Pookie; oczy miał szkliste, jak gdyby zatroskane, uśmiechał się głupkowato.

– Ja jestem taki człowiek, że wiem, kiedy przestać.

Loftis wesoło skinął ręką, a Pookie zniknął za falochronem.

– Bodaj go lichy! – powtórzył Milton. – Człowiek zawsze i gdzieś musi się o coś zahaczyć.

Parę minut siedzieli spokojnie, bez słowa. Wreszcie Dolly drgnęła i zmierzyła Loftisa spojrzeniem, jak wydawać się mogło, bezbrzeżnej tkliwości. Była wytrącona z równowagi, bo wypłała za dużo i łatwo mogła ulec wszelkim emocjom, zwłaszcza pożądaniu.

– Jesteś piękny – szepnęła. – Cudowny...

Postąpił ku niej wśród gęstniejącego mroku.

– Dolly, kociątko słodkie... – zaczął i w tym momencie uświadomił sobie mimo wszystko, że rozpoczyna urzekającą, lecz niebezpieczną podróż.

Nagle przerażający wrzask rozległ się w górze i przebił zmrok i ciszę. Milton i Dolly zwrócili się w stronę domu. Ona wydała zdławiony okrzyk i do połowy dźwignęła się z fotela. On zdrętwiał z wyciągniętymi łakomie rękami, zapatrzył się w kierunku tarasu, gdzie pod drzwiami La Ruth, potworna i przerażona, w rozwianym fartuchu z rękami przy twarzy miotała się na grzbiecie skarpy gwałtownie i niezdarnie, niby dziwaczne, czarne ptaszysko.

– Ojej! Ojej! – zawodziła powtarzając od czasu do czasu:
– Mój Boże! Zmiłuj się nad nami!

Loftis zdrętwiał, później począł się trząść gwałtownie, bo był pewien, że kogoś zamordowano. Oszołomiony alkoholem i niecodziennymi wzruszeniami, nie mógł sobie przypomnieć później, jak i kiedy znalazł się na tarasie. A przecież dokonał tego z szybkością błyskawicy, wyprzedzając znacznie Dolly, która była również przerażona i nawoływała, by zaczekał na nią. Potknął się na kamiennych schodkach, a następnie omal nie upadł zaplątawszy się pod cedrami w leżące na ziemi gałęzie. Wreszcie dotarł do miejsca, gdzie La Ruth lamentowała, obejmując twarz rękoma i wznosząc wzrok ku Bogu.

– Co się stało? Gadaj? – zawołał zdyszany.

Murzynce, która cuchnęła kuchnią i smażonym tłuszczem, odjęło mowę.

– Gadaj, u diabła, co się stało? – krzyknął Loftis trzęsąc nią gwałtownie, ale La Ruth przewracała tylko czarnymi oczami i dobywała z gardzieli głuche i zdławione jęki.

Odepchnął ją i skoczył pod cedry, w kierunku, z którego dobiegały inne głosy. Zobaczył Helenę i Ellę Swan. Klęczały na murawie i pośpiesznie wyzwały Maudie z zawilej plataniny łyka i sznurków. Zdziwiony i wystraszony nachylił się chwiejnie, lecz Helena rzuciła szorstko:

– Wynoś się! Odejdź!

Tymczasem Ella rozluźniała drżącymi palcami pętlę ściskającą szyję Maudie.

– Związali ją – biadała. – Prawie zabili biedactwo. Nieznośne dzieci!

Tymczasem Dolly i Pookie zdążyli nadbiec i potykali się o korzenie cedrów, a Maudie, która przez moment miała twarz zupełnie siną, uwolniona od kneblującej usta chustki, zaczęła wreszcie oddychać. Twarz jej spurpurowiała ze strachu czy bólu – a może z obu tych przyczyn – i dziewczynka rozkrzyczała się na dobre, co połączone z dochodzącymi z tarasu zawodzeniami La Ruth wywarło na Loftisie dziwaczne, niesamowite wrażenie. Helena chwyciła w ramiona małą, której uschnięta noga zwisała bezwładnie, i tuląc do piersi rozekłane żałościem dziecko jąła chodzić dokoła pod cedrami, szeptać cicho i tkliwie. Daremnie Milton kręcił się niespokojnie, usiłował zrobić coś albo powiedzieć. Kiedy na koniec stanął bezradnie, świadomy, że Maudie nic już nie grozi, cała scena utraciła realne cechy, zapragnął więc, by wszystko rozwiało się jak dym. Zapragnął wrócić na swój fotel ogrodowy. Ale mógł tylko wymachiwać nerwowo rękami i po kieszeniach szukać papierosa.

– Biedna dziecina – powiedziała Dolly i z pocieszającym gestem zbliżyła się do Heleny.

Jednakże Helena ominęła ją, odwróciła się i z Maudie na rękach ruszyła w stronę kuchennych drzwi w momencie, kiedy Peyton i Melvin wysunęli się spod rozrośniętego krzewu hortensji i spojrzeli na całą scenę czworgiem rozszerzonych przestrachem oczu.

Wszyscy znieruchomieli. Bardzo ostrożnie Helena oddała córkę Elli Swan, a następnie odwróciła się, stanowczym krokiem podeszła do Peyton i na oczach wszystkich – nie wyłączając dużego psa czau-czaua, który przywędrował z sąsiedniego domu i stał wywiesiwszy pocieszny fioletowy język– wymierzyła dziewczynce siarczysty, mocny policzek.

– Ty mała diablico – syknęła szeptem, lecz tak dobitnie, że usłyszeli ją wszyscy.

Z tymi słowy odwróciła się, wzięła z ramion Elli rozszlochaną jeszcze Maudie i nie mówiąc nic więcej weszła na schodki domu. Drzwi trzasnęły za nią. Peyton zaczęła płakać głośno. Wszyscy, znieruchomieli pod pochyłymi cedrami, bez słowa obserwowali przebieg wydarzeń – Loftis, jego goście i dwie Murzynki. Te ostatnie przysunęły się do siebie, świadome być może czystego wiosennego zmierzchu, pełnego zapachu cedrów i morskiej wody, a także czegoś więcej: stojących wokół spokojnych mieszczańskich domów, schludnych, otoczonych żywopłotami i starannie opielonymi grządkami – domków, z których każdy przeżywa w tym momencie własne posępne troski. Może w tej chwili myśli wszystkich zwróciły się do wewnątrz, jak dusze, które zawsze szukają grobu, gdzie pochować by mogły własne winy. W oddali wydzwoniło donośnie siedem uderzeń zegara. Zapłakana Peyton wpełzła z powrotem pod krzew hortensji.

Drzwi, przed którymi Loftis stał trzymając za rękę Peyton, były mrokiem, jak oglądana nocą z brzegu przestrzeń nad powierzchnią morza. Za drzwiami, pośród cieni, trwały tajemnicze wonie pudrów i perfum – znane dobrze obydwójgu, lecz obfitujące w aromat dziwnej obcości i zagadki. Loftisowi działały na zmysły, ponieważ przypominały mu dawne, bardzo dawne przyjęcia i zabawy, i miłość, która zachowała na zawsze zapach gardenii. W Peyton budziły niezdrowe podniecenie, gdyż zapowiadały przyszłe zabawy i przyjęcia oraz – jako że miała dopiero dziewięć lat– nadzieję, że gdy Królewicz nadejdzie wreszcie z wesołym brzękiem ostróg i przyniesie miłość, ów dzień połączy się na zawsze z zapachem róż. Wietrzyk wtargnął do któregoś z pokoi, popchnął jakiś papier ze stłumionym jednostajnym szmerem – jak gdyby kopyta konika-zabawki zadudniły na miniaturowej drodze. Loftis i Peyton stali spokojnie, nasłuchiwali. Papier chrzęścił wciąż: małe kopytka cwałowały przez ciszę. Nagle wietrzyk zamarł z westchnieniem i papier, kopyta, koń, jeździec – wszystko zniknęło bezgłośnie, zapadło w maleńką otchłań dla zabawek. Ojciec i córka nasłuchiwali pełni wahania i wystraszeni po trosze, bo gdzieś za nimi budzik naśladował świerszcze ćwierkające w ciemności i miarowym tik-tak-tik-tak zapowiadał niewiadome okropności.

– Heleno – odezwał się cicho Loftis, a gdy nie było odpowiedzi, powtórzył: – Heleno...

– Słucham.

Tylko tyle. Głos pozbawiony zainteresowania i nadziei, zupełnie bez wyrazu. Obydwoje słyszeli oddech Heleny i jednocześnie nawiedziła ich przelotna wizja: leżąca postać, matka i kochanka, wolna od wszelkich pasji, zobojętniała, chora. Gdzie podziały się ciepłe, serdeczne dłonie, które niegdyś dbały o nas tak troskliwie? W ciemnościach nic się nie poruszało. Ręce były beczynne. Budzik powtarzał jednostajnie swoje tik-tak-tik-tak...

– Możemy wejść, Heleno?

– Tak.

Wolno przeszli przez ciemny pokój, poruszając się po omacku, jak gdyby zdejmowali pajęczyny z niewidzialnej ściany. W sypialni stały dwa bliźniacze łóżka, a między nimi leżał mały puszysty dywanik. Loftis i Peyton stanęli przy łóżku Heleny. Nic nie mogli widzieć, lecz dobrze znali otoczenie, więc rozróżniali pośród nocy dywanik, łóżka, dziesiątki bibelotów i figurynek, spoglądających na nich z ciemności. Rozróżniali też maleńkie buteleczki i słoiki z jakimiś miksturami i pigułkami i niską komórkę z lustrem, pachnącą syropem i chemikaliami. Dźwięk oddechu Heleny wrócił teraz głośniejszy, kiedy się zbliżyli, a gdy ich oczy przywykły do mroku, odnalazły miejsce, gdzie leżała biało ubrana postać z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami, które przypominały upiorne białe skrzydła – skrzydła ptaka morskiego.

– Heleno – szepnął łagodnie Milton.

– Słucham.

– Heleno, przyprowadziłem Peyton. To Peyton i ja...

Usiedli na skraju wolnego łóżka i w tym momencie ogromny, płomienisty kwiat rozjaśnił mroki. To Helena zapaliła papierosa, dźwignęła się, podparła łokciem. Na moment ukazała twarz wykrzywioną grymasem gniewu lub troski – trudno było rozpoznać. Helena opadła znowu na poduszki, zdmuchnęła zapalną. Ognisty kwiat zniknął, ciemność ogarnęła wszystko. Jaśniała tylko mała iskierka na końcu zapalniczki, niebawem jednak i ona zgasła. Spowiała ich noc, noc woniejąca gardenią i różą, lecz noc pozbawiona również aptecznych zapachów – tego niepokojącego, nikłego odoru, który przypomina o słabości, niedomaganiach, chorobach.

– Heleno – zaczął Milton bardzo wolno. – Peyton przysłała ci powiedzieć, że... że jest jej przykro... z powodu Maudie.

– Mamo, przykro mi, że zrobiłam krzywdę Maudie. Strasznie mi przykro. Ja naprawdę nie chciałam, mamo.

– Tak – powiedziała Helena.

Siedzieli w ciemnościach, wśród zapachu perfum i leków, nie mogli widzieć niczego. Gdzieś wysoko zabrzmiało i ucichło warczenie samolotu. Poruszyli się lekko, zaczęli nasłuchiwać. Dokąd on leci? Na skrzydłach światła połyskują czerwono i zielono, niby szatańskie ślepie w mroku.

– Bardzo jej przykro, Heleno – rozpoczął znowu Loftis.

– Ach, mamó. Bardzo mi przykro – potwierdziła Peyton chwytając oddech tak, jak gdyby zaraz miała się rozpląkać.

– Tak...

– Bardzo mi przykro, mamó.

Z ciemności dobyło się westchnienie wraz z szelestem pościeli. Ręka wyciągnęła się ku Peyton, przygarnęła ją czule.

– Tak, tak, kochanie moje. Wiem, że ci bardzo przykro. Wiem. Wiem. Mnie również.

Popłakując trochę matka i córka jęły szeptać serdecznie, pojednawczo, jak dwie kobiety, które próbują wybaczyć sobie wzajemnie. Loftis siedział beczynnie, póki wreszcie Helena nie zwróciła się do małej:

– A teraz, kochanie moje, idź na dół. Koniecznie umyj buzię. Musi być okropnie brudna, no i najwyższy czas do łóżka.

Peyton potknęła się mijając ojca. Nie widział jej, ale na nodze poczuł palce, które zadrzały jak skrzydła motyla, gdy dziewczynka szepnęła czepiając się jego spodni:

– A tatuś?

– Chwileczkę, małeńka. Zaraz przyjdę do ciebie.

Wychodząc z sypialni dziewczynka zderzyła się po drodze z toaletką i stołeczkiem pod nogi. Przez czas pewien Loftis siedział bez słowa.

– Myślę, że naprawdę jej przykro – odezwał się wreszcie.

– To nie ja... nie ja byłem inicjatorem. Podsunąłem jej tylko to, co należy powiedzieć. Myślę, że jej istotnie przykro.

– Tak. Z pewnością.

– Czy Maudie czuje się już dobrze?

– Tak – zabrzmiał znowu zmęczony głos.

– Chyba się tylko przestraszyła – zaryzykował Milton.

– Tak.

Wówczas Loftis powiedział coś, czego wolałby nie mówić, by nie poniżyć swojej dumy, zarazem jednak był pewien, że powiedzieć to musi.

– Heleno, mnie również bardzo przykro z powodu dzisiejszego dnia. Naprawdę mi przykro. Cała historia wypadła diabelnie głupio, ale spodziewam się, że nie ocenisz jej błędnie. Nie powinienem tak postąpić.

– Nie powinienes.

– Chodzi mi o zaproszenie tamtych...

– Rozumiem.

– Heleno! Ja cię kocham. Wierzysz mi?

– Nie wiem.

Z ciężkim westchnieniem przekreśliła się na bok. Loftis nie mógł jej widzieć, lecz brzmienie głosu wskazywało, że nadal jest zwrócona twarzą w jego stronę. Słowa rzucała bez wahania, jednostajnie, z utrudzeniem. Słuchając jej Milton czuł, że zimny pot go oblewa.

– Nie wiem. Nie zdaje mi się, żebyś mógł mnie kochać. Usiłowałam postępować słusznie. Próbowałam nawet schlebiać ci, chociaż zdawałam sobie sprawę, że w takich razach postępuję niesłusznie. Zapewne jesteś tylko dzieckiem, zapewne nigdy nie rozumieliśmy się nawzajem. To wszystko. Myślę, że w różny sposób szacujemy te same wartości.

– Czy ty mnie kochasz? – zapytał cicho i spokojnie.

Przyszło mu na myśl, że od bardzo dawna nie zadawał żonie takiego pytania, a jednocześnie uprzytomnił sobie, że boi się tego, co może usłyszeć w odpowiedzi.

– Nie wiem...

– Jak to nie wiesz, Heleno?

– Gdyby nie Maudie... Ach, gdyby nie Maudie...

– Do czego zmierzasz?

– Nie wiem... Mam wrażenie, że nie potrafiłabym żyć dłużej z tobą. Mam wrażenie, że ty musisz zniszczyć nas wszystkich.

Loftis wstał. Odczuł gwałtowny przypływ rozgoryczenia, niechęci, a także wstydu – wstydu, że ich wspólne życie, rozpoczęte, jak prawie wszystkie małżeństwa, radośnie i z wielkimi nadziejami, obróciło się w pustkę i zamęt.

– Cóż... – zaczął i pomyślał: „Cóż, pieniądze są twoje, to najprzykrzejsza strona medalu”. – Cóż, szczerze mi przykro – dokończył.

– Tak...

– Poruszyliśmy przykrą kwestię. Trzeba ją doprowadzić do końca.

– Tak – zabrzmiał głos chłodny, zmęczony, obojętny.

Helena dźwignęła się znów na łokciu i świetlną tarczę budzika zwróciła ku sobie. Spowił ją blady, zielonawy odblask. Następnie sięgnęła po szklankę z wodą i połknęła jakąś pigułkę. Milton miał ochotę krzyknąć, gorąco pragnął powiedzieć żonie: „Wara od mojej córki!” Zarazem jednak chciałby usiąść przy niej, ująć jej rękę, bo chociaż coś było nie w porządku, kochał Helenę i powinien rozumieć różne bolesne, zawiłe sprawy. Ale nie wiedział, co i jak rzec, odwrócił się więc i na oślep wyszedł z pokoju.

Na dole zastał Peyton czytając spokojnie *Kubusia Puchatka*. Zawołał ją i razem wyszli z domu. Wsiedli do samochodu, aby pojechać za miasto i odbyć wielomilową, jak się zdawało, przejażdżkę przez pustkowia sosnowych lasów i bagna pełne żab, które rechotały przeraźliwie, a oślepione reflektorami wozu wyskakiwały masowo na szosę i miażdżone kołami ginęły. Peyton była ożywiona, lecz Miltonowi dokuczał ból głowy. Spadł deszcz – półgodzinna, gwałtowna ulewa, która ustała równie nagle, jak przyszła. Wreszcie około dziesiątej dziewczynka oznajmiła, że jest głodna, więc w rybackim miasteczku wstąpili do wyludnionej restauracji, gdzie uraczyła się krabami i oranżadą. Przez cały czas szczebiotała wesoło, mówiła ojcu, żeby patrzył na nią, podziwiał jej nową bransoletkę. Loftis wypił wino. Później kobieta o czerwonej twarzy z brodawką na policzku – zapewne właścicielka restauracji – przyszła z wiadrem trocin i miotłą i oznajmiła, że lokal się zamyka.

Ojciec i córka siedzieli długo w samochodzie, zaparkowanym opodal restauracji, na ciemnym bulwarze. Patrzyli w stronę zatoki. Połyskujący fosforescencją przypływ łagodnie obmywał brzegi. Zaczynało być chłodno, więc Peyton zwinęta w kłębek przytuliła się do Miltona. – „... tym bardziej marzną mi paluszki” – szepnęła.

Loftis spojrzał z góry na córkę.

– Jak dorośniesz, maleńka – powiedział – będziesz cudowna.

Puściła tę uwagę mimo uszu i dopiero po chwili podjęła:

– Tatusiu, przykro mi, że związaliśmy Maudie, Melvin z mną.

– Tak. To nie był najlepszy pomysł. Ale mówi się „Melvin ze mną”.

– Melvin ze mną... Dlaczego mama dała mi tak po buzi! Przecież nigdy dawniej...

– Pewno źle się teraz czuje, maleńka – przerwał Milton i otoczywszy dziewczynkę ramieniem przygarnął ją do siebie.

– Tak... Pewno źle się teraz czuje... Naprawdę bardzo mi przykro, że zrobiłam krzywdę Maudie.

– To dobrze.

– Dzieci powinny być dla siebie dobre.

– Aha.

Dziewczynka usnęła wkrótce przytulona do ojca. Zerwał się lekki wiatr od lądu, począł rozwiewać jej włosy, niosąc ze sobą zapach bagien i cedrów – wspomnienia minionych okresów miłości i deszczu.

W połowie drogi między stacją kolejową a właściwym miastem Port Warwick (cały ten dystans wynosi dwie mile) moczary zmieniają się w rzadkie, mizerne kępy sitowia i stopniowo ustępują miejsca gruntom wyżej położonym. Przy szosie krzewi się tutaj nieładne zielsko, a dalej brudno bezbarwne głogi i tarnina, która z niezmiernym wysiłkiem zdołała przebić warstwę gliny. Rośnie w szarej gęstwinie – powyginana, rozchwiana na wietrze. Z plantacją chwastów sąsiadują tereny miejskie – puste i nad wyraz ponure. Widać je z drogi, następnie zaś droga skręca i biegnie pośród nich. Wznoszą się tam wysokie wysypiska śmieci, powietrze przesycane stale słodkawym fetorem gnijących jarzyn, a nad hałdami kłębią się ledwie widoczne z dala roje ogromnych much. Tu i ówdzie plądrujące wśród odpadków szczury stają słupka, jak wiewiórki, i kaprawymi ślepkami spoglądają ciekawie na przejętego obrzydzeniem turystę z Północy.

Mniej więcej w tym rejonie – gdy limuzyna sunęła w stronę miasta mlaskając oponami na rozpalonym asfalcie – złe przecucia opadły znowu Dolly. Upał był coraz większy; tłuste fale żaru biły z rozpalonej jezdni. Wiatr ustał zupełnie, a stłoczone przy drodze zarośla i chwasty – suche, spieczone, nieruchome – wydawały się zatrważająco bliskie pożaru. Pot zaczął gromadzić się pod pachami Dolly i spływać cienkimi strugami. Za oknem przemknęły ziejące okropnym smrodem stosy śmieci. Limuzyna podskoczyła nagle na mostku. Niżej płynął mętny strumień, zanieczyszczony ściekami miejskimi, wrogi wszelkiemu życiu z wyjątkiem rzęsy koloru zupy z zielonego groszku. Nad brudną wodą unosiły się niezliczone ważki, jak gdyby zawieszone w powietrzu na niewidzialnych nitkach. Dolly spojrzała niechętnie na strumień, o którym opowiadano niedorzeczną historyjkę. Jakiś Murzyn, zbiegły więzień, miał tam rzekomo utonąć i nie wiadomo czemu ciała jego nie odnaleziono; podobno ów topielec zjawia się nocą w każdą rocznicę swojej śmierci i pokryty wodorostami, ośliniony plugawie, przebiega ulice miasta, aby porwać i zawlec do tajemniczej głębinie grobu jakąś piękną białą kobietę. Pookie opowiadał żonie te brednie, ilekroć przejeżdżali nad strumieniem, a ona nie wierzyła w nie, lecz zawsze odczuwała miły dreszczyk strachu.

Samochód zjechał ze stromego mostku i Dolly odniosła wrażenie, że żołądek wzlatuje w niej ku górze, niby balon. Gwałtowny wstrząs wraz z męczącym skwarem, widokiem chwastów i usypisk śmieci przejęły ją niewysłowionym smutkiem. Krzyknęła cicho i opadając na gorące, wilgotne siedzenie limuzyny, uczepiła się kurczowo ręki sąsiada. Cofnął ją szybko, więc pomyślała:

„To już drugi raz dzisiaj...”

W tej właśnie chwili ogarnęło ją de przeczucie.

„Nie kocha mnie już. Z pewnością chce odejść”. Podobne myśli nawiedziły ją poprzedniego wieczoru. Teraz wróciły. Dolly była zagubiona, bezradna, skuliła się więc w kącie samochodu, zapatrzyła w Loftisa. Z mętym zainteresowaniem wyglądał oknem. Mignęła samotna przydrożna wierzba. Dolly podążyła wzrokiem w kierunku spojrzeń Milтона i zobaczyła kilka zbiorników gazu – ogromnych, zardzewiałych, sterczących na ugorze, jak odrąbane, poczerńiałe kikuty jakichś straszliwych olbrzymów. Były jeszcze daleko, ale samochód zmierzał systematycznie w ich kierunku, a perspektywa bliskiego sąsiedztwa kolosów przejmowała Dolly nie uzasadnioną odrazą i trwogą. Spowita szarą, posępną mgłą współczucia dla samej siebie zaczęła popłakiwać cicho w kąciku limuzyny. Drobne łzy spływały wolno po jej twarzy.

„Nie myślę się – myślała. – Jak on się zachowuje... Już mnie nie kocha. Dzisiaj wstąpił po mnie tylko dlatego, że Helena nie chciała z nim pojechać”.

Przez obłok melancholijnych myśli zobaczyła na szyi Elli Swan brunatną brodawkę, pod roztarganymi kosmykami siwiejących murzyńskich włosów.

„Jakie to brzydkie – pomyślała. – Ohyda!” Odwróciła się i żalnym wzrokiem spojrzała w okno. „On zachowuje się tak nie z powodu Peyton, ale dlatego, że mnie odtrąca... Wiem, że się nie myślę”.

Dwa myszołowy zerwały się bezszelestnie z usypiska śmieci, odleciały w kierunku ciemnych zarośli, zniknęły.

Dolly snuła dalej gorzkie myśli. Od paru miesięcy żywiła pewne podejrzenia, obawy. Ale naprawdę zrozumiała, że źle się dzieje, dopiero poprzedniego wieczora. Przecież Milton opuścił ją już raz i wrócił do Heleny. Teraz jego sprawa rozwodowa dobiega końca. Czy zechce wycofać się w ostatniej chwili? Chyba właściwie do tego zmierza. Wczorajszy wieczór...

Wczorajszy wieczór był straszny. Myśl o nim, wspomnienie wstrząsu, jaki przeżyła, i świadomość, co ów wstrząs znaczy, podnosiły świeżą, druzgocącą falę udręki i obaw. Dolly rozpłakała się na dobre, zaczęła tłumić szlochy. Uczepiła się aksamitnego chwastu, żałośnie pochylała do przodu i do tyłu w rytmie wstrząsów limuzyny i spoglądała na zbliżające się nieubłagane zbiorniki gazu – ponure, tajemnicze, podobne ociosanym palom, ustawione na równinie niby grupa totemicznych słupów.

Milton... Kochany...

Ubiegłego dnia zrobiło się pod wieczór szczególnie gorąco. Krótco przed zachodem słońca Dolly i Loftis siedzieli na tarasie klubu wiejskiego, który znajdował się na wysokim brzegu rzeki James. Była to kosztowna budowla w wątpliwie gotyckim stylu – sztywna i okazała. W pobliżu osiemnastego dołka kortu golfowego urządzono basen pływacki. Skoczek w niebieskich kąpielówkach zakreślił piękny łuk w powietrzu – dobrze widzieli go z tarasu – zniknął za ogrodowymi parasolami przypominającymi szaleńcze sombrera i bez plusku pogrążył się w wodzie. Dolly i Milton pili martini – on trzeci, ona drugi – z prywatnych zapasów, które Loftis przechowywał w klubowym kredensie. Niżej, na stoku skarpy, jakieś dzieci w opalaczach dokazywały kreśląc różne desenie na murawie. Woń mięty i pyłku kwiatowego przesyciła zmierzch. Z kortów golfowych wracali gracze, a za nimi wlekli się obojętnie posługacze obarczeni torbami, w których kije postukiwały dziarsko. Na tarasie było kilkanaście osób. Senna, przedwieczorna pogawędka szemrała cicho, milkła, przybierała na sile, spływała w kierunku sadzawki, gdzie tłusta kobieta opalała się na nienasłonecznionym już trawniku, wchłaniając przez sen długie cienie.

– Za Dzień Zwycięstwa – odezwała się Dolly.

Było to ich osobiste powiedzonko. Dniem Zwycięstwa nazywali dwudziesty pierwszy października, kiedy to rozwód Loftisa – rezultat dwuletniej separacji – miał stać się wreszcie faktem dokonanym. Zazwyczaj Loftis wznosił ów toast, skoro więc Dolly przejęła inicjatywę i żarcik wypadł nie najlepiej, słów jej nie powtórzył. Zdobył się tylko na wymuszony uśmiech i poświęcił uwagę swojemu martini. Lśniący czerwony kabriolet zahamował na podjeździe i wysypał z drzwi białe suknie – jak lekka, zwiewna piana. Trzy roześmiane dziewczęta ruszyły w stronę schodów, a za dziewczętami trzech młodzi ludzie w smokingach, uroczyście niczym grabarze.

– Dziś dansing – odezwała się Dolly. – Chyba nawet klubowa kolacja z tańcami.

– Aha...

– O czym tak dumasz, kochanie? – zapytała.

– Czy ja wiem – odpowiedział. – O niczym.

„Mój Boże” – westchnęła w myśli Dolly.

W ciągu lat znajomości kojarzyła zawsze Milтона z mową, słowami, bo jego talent w tym kierunku stanowił fundament trochę jednostronnego zapewne porozumienia. Przepadała za jego przemówieniami, była najpilniejszym słuchaczem, chociaż musiała przyznać, że niekiedy w chwilach marzącego roztargnienia łowi uchem nie treść, lecz melodię słów, ich piękny rytm, sam sposób, w jaki Milton je wymawia. Maniera groteskowego parodiowania wyrazów, wykrzykniki: „Wielki Boże!” lub „Panie Jezu!”, które rzucał z niezwykłą swadą, kiedy mu coś nie szło, specyficzny dowcip, nie zawsze rozumiały dla Dolly, raz wspaniały entuzjizm, raz zjadliwa druzgocąca krytyka wszelkich spraw świata i wartki nieustający potok słów... Wszystko to brzmiało prawdziwie, władczo, inteligentnie, więc Dolly mogłaby słuchać i słuchać bez końca. Naturalnie podzielała zazwyczaj zdanie Loftisa. Tego potrafił ją nauczyć.

Ale poprzedniego wieczora była zatroskana, bo Milton miał zaabsorbowaną, tajemniczą minę, którą przybierał czasami od kilku miesięcy. Zawsze niepokoiło to Dolly jako wróżba, że wkrótce on zacznie ją traktować szorstko, co najmniej z rozdrażnieniem, ona zaś będzie nieszczęśliwa. Postanowiła rozweselić ukochanego. Pociągnęła łyk martini, aż zapiekło ją w żołądku. Nie mogła nigdy zdecydować, czy lubi ten napój, czy go nie lubi; piła martini naśladując Loftisa. Podniosła wzrok i ponad stojącym pośrodku stolika bukietem kwiatów zobaczyła pochmurną twarz.

„Troski, troski...” – pomyślała.

– Masz zmartwienie? – powiedziała. – Co cię trapi, kochany? Powiedz swojej Dolly.

– Nic.

– Mnie możesz powiedzieć... Zwierz się Dolly – podjęła przymilnie.

– Nic mnie nie trapi, do licha!

Szorstki ton puściła mimo uszu. Miała nadzieję udobruchać go łagodnością.

– Ach, mój kotku – szepnęła. – Bądź miły.

W tym momencie, przy sąsiednim stoliku, ruda kobieta o odsłoniętych pulchnych ramionach pochyliła się w tył na krześle i wybuchnęła donośnym, przeciągłym śmiechem. Wśród spokojnej, trochę sennej atmosfery wywołało to takie wrażenie, jak gdyby do kościoła wtargnęło stado gęsi. Wszyscy zastygli z nożami i widelcami w rękach i wzrokiem poszukali źródła zgiełku. Następnie stwierdziwszy, że chodzi o znaną osobę, podatną tego rodzaju napadom, schylili się znowu nad stolikami, kiwając domyślnie głowami i uśmiechając się pobłaźliwie.

– Co to za jedna, kochanie? – zapytała Dolly.

Romans ich trwał wprawdzie lata, lecz od niedawna dopiero pozwalali sobie bywać jawnie w klubie podmiejskim, więc Dolly nie znała wielu postaci popularnych w tym nowym, ekskluzywnym i cudownie podniecającym środowisku. Według protokołu Port Warwick należała do „towarzystwa”, ale nie do towarzystwa z klubu wiejskiego. Bywała tam niekiedy, zawsze jednak w charakterze gościa, bo biedny Pookie nie mógł nigdy uzyskać karty członkowskiej.

Loftis spojrział na hałaśliwą damę. Uśmiechnął się dyskretnie.

– Sylwia Mason – bąknął i pozdrowił ją gestem ręki.

– Ja się masz, Syl?

– Oo, Milton Loftis! Jak leci? – odpowiedziała życzliwie i zdawkowo.

Przy stoliku zatrzymał się kelner z promiennym uśmiechem i ciężko obciążoną metalową tacą rozmiarów pokrywy kubła na śmiecie. Zdumiewająco zręcznie balansował nią na czterech palcach.

– Pan kapitan rozkaże?

Loftis podniósł wzrok.

– Dobry wieczór, Luther. Co nowego? Ostrygi i klubowa kolacja ze stekiem.

Kelner odszedł.

– Myślałem o Peyton – powiedział nagle Loftis i dokończył martini.

– Aa... Czy coś się jej stało?

W gruncie rzeczy było to obojętne Dolly, bo Peyton, do której Milton wracał ustawicznie, śmiertelnie ją nudziła. Ale to nie wszystko. Kiedy rozprawał o tej swojej córce, Dolly usiłowała słuchać z zainteresowaniem, często jednak dręczyło ją uczucie, którego mimo najlepszej woli nie mogłaby nazwać inaczej niż piekielną zazdrością. Tytuł „jego kochanka” stosowany przez dzieci najdroższego mężczyzny może stać się przyczyną trosk i niepokojów, a nawet nocą spędzać sen z powiek. Dolly – zwolenniczka rozwiązywania spraw po prostu – nienawidziła Peyton z racji poczucia własnego grzechu. W trakcie minionych lat unikała tej osóbki w miarę sił i możliwości, co było oczywiście jedyną rozsądną drogą. Mimo to zdawała sobie sprawę, że nawet z oddalenia Peyton rzuca złowróżbne cienie na pełną tkliwości i nadziei przyszłość, określoną zwrotem: „Milton i ja”.

W półmroku Loftis wyglądał bardzo ładnie. Ach, to wyzywające pasmo siwych włosów, koloru spatynowanej cyny! Mężczyzna przystojny, ale pospolity nie potrafiłby nosić czegoś takiego z równym wdziękiem. No i mówi teraz rozumnie, trzeźwo... Dolly uwielbiała Milтона, gdy nie był pijany, co zdarzyło się stosunkowo rzadko. W takich momentach jego umysł – ten umysł głęboko świadomy życia, powikłań ich osobistego problemu i spodziewanej rychło pomyślnej odmiany – umysł trzeźwy i dobrotliwy zdawał się spowijać Dolly na kształt przyjaznych płomieni siejących wokół błogą radość. Miała wrażenie, że czuły, stłumiony głos szemrze: „Zaopiekuję się tobą. Możesz pożegnać troski. Nauczę cię, co znaczy miłość i prawda”.

Ale Loftis mówił o córce.

– Coś z nią niedobrze. Odkąd zerwali ze sobą, Peyton traci równowagę... błąka się. Widzisz, pisuje do mnie, a te jej dziwne listy martwią mnie piekielnie. Biedna mała przeżywa ciężkie chwile. A wiesz, co ja jej radzę? Żeby się nie przejmowała. Uszy do góry! Wielki Boże. Już ja wiem, że małżeństwo potrafi być trudne... A to dopiero kłopot. Biedna mała... Myślę, że w przyszłym tygodniu wybiorę się do Nowego Jorku. Koniecznie trzeba z nią pogadać.

Dolly nie była w stanie skupić uwagi. Błądziła wzrokiem po innych stolikach, zerkając na tę Mason, która miała na tłustej łapie co najmniej dziesięć srebrnych bransoletek, pobrzękujących głośno podczas jedzenia. Patrzyła na obrus, srebra, wspaniałe kwiaty, na całe to nowe otoczenie tchnące atmosferą bogactwa i komfortu. We wnętrzu klubowego budynku, za oszklonymi drzwiami, dziewczęta i chłopcy spacerowali bez celu parami lub czwórkami – czekając rozpoczęcia tańców. Chłopcy byli sztywni i poważni: bez powodzenia starali się nosić nowe smokingi z niedbałym wdziękiem dojrzałych mężczyzn. Dziewczęta śmiały się, czepiały ramion chłopców albo unosząc długie suknie próbowały tanecznych kroków. Orkiestra stroiła instrumenty. Dolly unosiła wzrok w kierunku okna na drugim piętrze, gdzie za delikatną przesłoną zielonego bluszczu był jego pokój– miejsce, w którym Milton mieszka od czasu, gdy wyprowadził się z domu. Jego pokój! W ciemnym wnętrzu widniały dobrze znajome przedmioty, dyskretnie rozjaśnione blaskiem zachodzącego słońca: narożnik biurka, abażur na lampie, drewniane oparcie fotela z rzuconą niedbale białą koszulą, którą niewątpliwie miał na sobie tego popołudnia, kiedy grał w golfa. Tkliwość wezbrała w sercu Dolly na widok nie upranej koszuli. Spojrzała znowu na Milтона, na tę twarz poważną, szczerą, pełną trzeźwego rozsądku...

„Jaki on słodki!” – pomyślała.

– Nie spodziewam się sprowadzić Peyton do Port Warwick – ciągnął Loftis. – Po swoim weselu powiedziała, że za nic tutaj nie wróci. To nawet niewskazane. Nigdy nie mogła zgodzić się z Heleną, no i jest teraz w stosownym dla siebie miejscu. Biedna mała! Ma niezwykle zdolności... albo przynajmniej wydaje mi się, że je mieć powinna...

Mówił teraz szybko, z nerwowym, przykrym dla Dolly ożywieniem. Nie lubiła patrzeć na niego w takich chwilach, bo zmienne obrazy i myśli o Peyton zostawiały wyraz troski na czole Milтона. Na tle zachodzącego słońca jego ucho było przezroczyście, zebrana w muszli odrobina krwi wydawała się bardzo czerwona.

„Kiedy się pobierzemy – myślała Dolly – nie pozwolę mu pić tak ciągle...”

Wszystko to słyszała już dawniej. Była znudzona. Chciała, żeby Milton zaczął mówić o ich wyjeździe do Skyline Drive. Ze szklanej salaterki wzięła kawałek selera, położyła go na talerzu i zaczęła ssać dojrzałą oliwkę. Trochę podchmielona koktajlami usiłowała słuchać, ale jej myśli ulatywały lekko, niby nasiona mlecza na wietrze: miłość, ślub... może w Nowym Orleanie... Skyline Drive...

– Przeżywa ciężkie chwile...

„Ach! Zaczynj mówić o kimś innym. Mów o nas”.

– Peyton i Harry... Cóż, Harry to sympatyczny facet, ale od początku nie mogli się dogadać... Drażnili się nawzajem. Peyton powinna była poczekać trochę dłużej. Na Północy łatwo wynarodowić się, zostać uchodźcą. Bez namysłu chwyta się pierwszy z brzegu symbol świeżo przyjętej herezji: można zostać działaczem społecznym, wyjść za Żyda... Robi się to w dobrej wierze, aby odtrącić błędy, wśród których się wzrosło, a w rezultacie człowiek zostaje w dwójnasób uchodźcą. Dwie przegrane nie dają w sumie wygranej. Wyjść za Żyda, Chińczyka, Szweda... W porządku, jeżeli działa jakikolwiek motyw, bodaj pieniądze – byle nie poczucie winy. Ojciec powiedział, kiedy wybierałem się radośnie na uniwersytet: „Mój synu, nie musisz być poplecznikiem reakcji, ale pamiętaj zawsze, skąd przybyłeś. Ziemia, która cię na świat wydała, jest zroszona krwią i obarczona grzechem, musisz więc zdążyć ku swojemu przeznaczeniu długą i wąską ścieżką. Jeżeli, mój synu, poczną nęcić cię błędne, boczne szlaki, zastanów się i co najmniej spojrzysz wstecz w stronę Monticello”. Rozumiesz to, Dolly?

Z niewyraźnym uśmiechem przytaknęła skinieniem głowy. Z całej gadaniny wyłoniła słowo „Żyd”. Znów się zirytowała. Dlaczego on nie mówi o nas? Żydzi... Na pewno... Nie inaczej niż Milton skłaniała się ku liberalnemu odłamowi demokratów. Mniej więcej sześć lat temu (od niedawna byli wtedy kochankami, ale polityczne nadzieje Loftisa nie rozwiały się jeszcze nieodwołalnie) napomknął coś, że po ich ślubie mogłaby zostać przewodniczącą stanowego komitetu kobiet. Strasznie się tym przejęła, chociaż poniekąd zdawała sobie sprawę, że zdanie padło tak sobie, od niechcienia pewnej ciepłej, uroczej nocy w hotelu „Patrick Henry” w Richmond. Cudownie było wówczas. To ich dzień najlepszy z najlepszych. Nie groziło odkrycie, a świadomość grzechu potęgowała urok nocy, zwłaszcza dla Dolly, osoby mało doświadczonej, która miewała wprawdzie pewne fantazyjki, lecz po raz pierwszy łączyła zdradę małżeńską z wyjazdem z miasta. Miała wrażenie, że mówi staroświeckim, wirgińskim akcentem: „Pani Roosevelt, jestem Dolly Loftis, przewodnicząca stanowego komitetu kobiet z Wirginii. Jak się pani czuje? Dużo słyszałam od męża o pani i prezydencie Rooseveltcie... A może mam mówić o Franklinie?” Jakiś neon mruga bezwstydnie; pokój wypełnia światło – jasne, rozpustnie szkarłatne. Dolly wstaje z łóżka, opuszcza roletę, w ciemności kryje swoją winę. Czy dobrze robię? Czy mam tak postępować w przyszłości? Przecież to człowiek żonaty.

Pot oblewa ją na myśl o maksymach z małego, prowincjonalnego miasteczka – ponurego niczym listopad. Odżegnaj się od cudzołóstwa i wszelkich nieprawości... Strach mija. Dolly wraca pod kołdrę, kładzie się obok niego. Głaszcząc twarz Loftisa myśli z upojeniem: „Nie dbam o nic. Jestem mu potrzebna...” „Miltonie – mówi – zbudź się, ukochany”.

Milton rozprawiał nadal o Peyton i wieczór stawał się nieznośny. Żal, zniechęcenie ogarniały Dolly, jak żółte, galaretowate fale gęstej mgły. Odbijało jej się po ostatnim, źle połkniętym martini, w nosie czuła wciąż delikatny zapach jałowca. Rozejrzała się wokół spod oka i odniosła wrażenie, że jest przedmiotem bacznej obserwacji co najmniej dwóch osób. Gorąco zapragnęła widoku znajomej twarzy, ponieważ ci wszyscy obcy zdawali się oskarżać ją i potępiać. W dole rudawy odblask leżał na trawniku; w tym świetle motorowa kosiarka holowała za sobą bardzo sennego Murzyna, a przed sobą miotała pieniste fale szmaragdowej trawy. Jakiś mężczyzna wszedł na trawnik i ściągnął z masztu flagę. Dolly zrobiło się przykro, bo mały purpurowy proporczyk ślicznie wyglądał w poświacie zachodu. Orkiestra zaczęła grać i nie wiedzieć czemu również muzyka zbudziła w Dolly uczucie nieokreślonego smutku, tęsknoty głodnej wspomnień o dawnych miejscach, dawnych wydarzeniach...

Jego pokój.

„W jakich wyrazić to słowach? Jak mówić komuś o serdecznym upojeniu? Kocham tego mężczyznę przez tyle lat. Dziś jestem wolna od starych więzów. Biedny Pookie przeniósł się do Knoxville w Tennessee, Melvin jest na uniwersytecie. Tylko z Miltonem wszystko mnie łączy. Nie możemy nigdy umrzeć, póki jesteśmy razem. Dziewczyna z farmy w Emporii! Co papa powiedziała by dzisiaj? Ja – trochę obłudna i szykowna wiceprezeska Czerwonego Krzyża, wpływowa członkini Tidewater Garden Club. Uroczą i niszczyielską, powiada Milton z tym swoim cynicznym uśmiechem. Jak ja go kocham! Pragnąć przez czas tak długi, z konieczności tłumić pragnienie, odmawiać tego, co, jak on mówił, przywodzi go do szaleństwa... Jak święta tęsknić do idealnego zjednoczenia... Pracować nad sobą i być zmuszoną to czynić, ponieważ według jego słów, oboje jesteśmy uwikłani w tragedię mieszczańskiej moralności.

Plotki kursują nadal, ale teraz chodzimy do jego pokoju, tam na piętrze, bo, jak powiada, uwolnił się od wampirzycy, która długo trzymała go w szachu, uwolnił się niezawodnie i formalnie, do diabła zatem z nędznymi złośliwostkami zazdrośników – jakichś osłów i strasznych bab. Mogą gorszyć, ale są bezradni. Tak on powiada, więc chodzimy do jego pokoju, tam na piętrze. Dobrze znam ten pokój. Panuje tam atmosfera szczególnie droga mi, pociągająca – ów męski zapach, a może cień zapachu, przypominający tweed i wrzos... Wszędzie wiszą jego używane koszule – koszule, które zabieram do domu, by je własnoręcznie prać i prasować. Kocham go. Jak to cudownie wiedzieć, że i on mnie pragnie...

Powiada, że jestem najdroższą mu istotą i z biegiem czasu coraz droższą. Powiada, że obydwójce jesteśmy uwikłani w tragedię mieszczańskiej moralności. Nie dbamy o to, bo wszystko skończy się dwudziestego pierwszego października.

Nieraz chcę, żeby przepędził z oczu ten wyraz odległego roztargnienia. Bardzo się niepokoję. O czym on tak medytuje? Często zupełnie nie wiem, o czym może myśleć.

Powiada, że jestem najdroższą mu istotą. Chyba kocha mnie bardziej niż Peyton. Peyton to dziwka, ale nie z jego winy, tylko przez tę wampirzycę, która ją źle traktowała. On mówi, że to zgadza się jakoś z teorią Freuda.

Jego pokój. Zaraz pójdziemy tam i on da dolara Murzynowi, który zamknie na klucz drzwi hallu. Dlatego w niedzielę rano będę mogła obudzić się tam i czuć na twarzy promień słońca, i myśleć, że Dolly Loftis przebyła długą drogę od dziewczyny z farmy i że jak on powiada czasami w słoneczne ranki, do następnego snu mamy przed sobą wiele, bardzo wiele mil wędrówki...”

Nad Loftisem pochylił się kelner. Szepnął coś o telefonie z Nowego Jorku.

– Dziękuję, Joe – powiedział i wstał rozprawiając nadal, bardzo ożywiony, jak wydało się Dolly – zły, że wytrącono go z nurtu wymowy.

– Cóż, zapomniałem już o zakusach na karierę męża stanu. Wystarcza mi spisywanie umów. Z wszystkiego jestem zadowolony.

Włókno selera przywarło Dolly do podniebienia, przykro drażniło w gardle.

– Bodaj to diabli! – ciągnął z przejściem Milton.

– Mogę zacząć chodzić znów do kościoła. Mogę też... – nie dokończył zdania: zapewne spostrzegł, że Dolly go nie słucha, bo w wieczornym świetle jej twarz była podobna do twarzy małej dziewczynki, jeszcze bardziej niż zwykle.

Dolly pomyślała z nagłym przestraszaniem, że zdradziły ją błędzące bez celu oczy. Loftis spojrział na nią z góry, uśmiechnął się blado, smutnie.

On musi wiedzieć. Musi wiedzieć.

– Miltonie... – zaczęła.

– Co ty możesz we mnie widzieć? – przerwał jej, a następnie odwrócił się i odszedł przez taras i salę balową.

Śledziła go wzrokiem, póki nie zniknął za palmą w donicy. Później z ciężkim westchnieniem opadła na krzesło.

„Mój Boże! – pomyślała. – Coś się zaraz stanie. Na pewno coś się stanie”.

Z sali balowej dobiegały okruczki muzyki – saksofon, bębny... Łoskot gromadził się, tworzył bezładne stopy, niby śnieg w Boże Narodzenie. Dolly myślała, że będą musieli wyjść stąd, wrócić do miasta. Wokół niej ludzie rozmawiali cicho, śmieli się dyskretnie, wesoło. Miała wrażenie, że wszyscy ją obserwują, ale fragmenty beczenia saksofonu skierowały jej myśli ku innej zabawie tanecznej, która tu właśnie miała miejsce. Bardzo, bardzo dawno. Były to urodziny Peyton. Ona i Milton pierwszy raz, po długim oczekiwaniu, pozwolili sobie wówczas na miłość.

Dolly czekała długo. Na koniec pojawił się Milton. Twarz miał szarą jak popiół, pełną cierpienia i grozy. Zaczął iść ku niej, lecz bez słowa przystanął, zmienił kierunek, podszedł do Sylwii Mason. Kobieta zerwała się z głuchym okrzykiem, zadzwięczały jej bransoletki, pochwyliła Loftisa w krzepkie, macierzyńskie ramiona.

– Ach, Miltonie – dobiegł Dolly głos Sylwii Mason.

– Ach, Miltonie...

Wszyscy zaniepokoiili się, poruszyli na krzesłach, wynikło pewne zamieszanie.

– Ach, Miltonie – mówiła Sylwia Mason. – Serdecznie ci współczuję.

Jednakże Milton milczał, a przynajmniej Dolly nie mogła słyszeć go ani widzieć jego twarzy, bo stał odwrócony do niej tyłem. Jego grzbiet, pochylony, zgarbiony rozpaczliwie, zdawał się rosnać, przesłaniać bezmiar wieczornego nieba.

Dolly wstała od stolika.

– Miltonie! Co się stało... – zaczęła, ale oni szli już przez salę balową; ta Mason obejmowała Milтона, grubym, tłustym ramieniem.

Dolly opadła na krzesło. Nie wiedziała, co zaszło ani dokąd on odchodzi. Cóż, miała złe przeczucie... W oczach zawirowały jej ogniste wężyki i gwiazdki.

On mnie nie kocha – już nie kocha!

Odruchowo sięgnęła po torebkę, kapelusz; podbiegła do balustrady tarasu i zobaczyła, że Loftis odjeżdża samochodem – sam.

Nie zawiodła jej kobieca intuicja. Dobry Boże! Znowu... On wraca do Heleny... Jeszcze raz wraca...

W tym samym klubie podmiejskim w sierpniu 1939 roku Peyton obchodziła szesnaste urodziny, w dniu (aby wspomnieć prastarą historię) poprzedzającym wybuch wojny. Mówiono o jakimś korytarzu i czymś tam jeszcze, ale w Port Warwick wśród (wyrażając się dziennikarskim stylem) podniosłego i radosnego nastroju trzydziestotysięczny tłum powiewał flagami i wiwatował, gdy spuszczano na wodę największy w kraju statek turystyczny, który miał wkrótce popłynąć do Brazylii i Francji z gromadą dobrze sytuowanych pasażerów na pokładzie. Tamtego popołudnia Port Warwick tchnęło dobrobytem, na tarasie, gdzie odbywały się tańce, grał pięcioosobowy zespół, Murzyni w białych kurtkach stali w drzwiach za kolumnami, a przy kilkunastu rozstawionych na trawniku stolikach śmiech pięknych dziewcząt wtórował tonem odległej, urzekającej muzyki. W powodzi świateł Helena tańczyła z Miltonem, otoczona szelestem tafty i organdy. Letnie powietrze przesycił zapach młodych dziewcząt – niewinny i słodki.

– Ach, Miltonie – powiedziała. – Darujmy sobie ten taniec. Tak mi gorąco.

– Kochanie – uśmiechnął się szeroko. – Przecież zaczęliśmy dopiero co.

Wymknęła się z jego ramion.

– Nie działaj na mnie...

– Jak zimna kąpiel... – Tak się zabawnie wyraził.

– Tak mi gorąco. Jestem zmęczona.

Później Milton z Peyton i z Dolly Bonner trzymając ją za blisko, i znowu z Peyton. Śmiał się głośno, bo jak zawsze w podobnych sytuacjach, przebrał trochę miarkę. Palcami ścisnął mocno plecy Dolly Bonner. (Chyba mnie nie zdradza?) Na prawo i lewo kiwał głową tańczącej wokół młodzieży.

„To czysty zbieg okoliczności, że ona jest tutaj – myślała Helena. – Przyjechała ze względu na Melvina. Nie, on mnie nie zdradza. Z pewnością to czysty zbieg okoliczności”.

Osamotniona siedziała na krześle w głębi tarasu. Nad sobą miała czyste, błękitne niebo, pod nogami śliską posadzkę, wywoskowaną starannie z powodu tańców. Na przeciwległej ścianie tarasu znajdowało się długie lustro, gdzie przez wir kolorowych sukien wciąż ukazywały się tańczące młode dziewczęta, które nieśmiało zerkwały na własne odbicia, jak gdyby chciały zobaczyć wpięte we włosy gardenie. Helena widziała też siebie, a że znajdujące się za nią lustrzane drzwi ukazywały jej plecy, miała wrażenie, że nie jedna, lecz dwie Heleny siedzą na krzesłach zwróconych tyłem do siebie, jak podczas gry towarzyskiej „w zgadywanke”. Blask słońca padał na jej policzki. Miała wtedy niewiele ponad czterdziestkę, jednakże wyglądała znacznie starzej. Od dawna zrezygnowała z niemałej zresztą urody na rzecz przemijającego czasu, ale ślady piękności pokutowały nadal na jej twarzy. Była to twarz o wyrazie niezadowolenia i goryczy, nie pozbawiona wszakże delikatnych rysów, a jej subtelne łuki, zagłębienia i wypukłości tworzyły całość ujmująco symetryczną. Kiedy Helena siedziała tak nie wznosząc wzroku, zapatrzona w przemykające w lustrze talie i spódnice, twarz jej przybierała od czasu do czasu przykry, pochmurny wyraz: marszczyły ją myśli, niedobre myśli. Niekiedy jednak rozjaśniała się, a przelotny wyraz zadowolenia przywracał jej urok.

Helena nie mogła oderwać wzroku od lustra, gdy kelner szarpnął znajdujące się za nią drzwi, a te jeły zamykać się i otwierać na przemian, ukazując nad i za sylwetkami tancerzy pomnożone w nieskończoność bliźniacze Heleny siedzące na dwu krzesłach plecami do siebie. Dziwnie to wyglądało w świetle żółtawych, ukośnych promieni popołudniowego słońca.

„Trzeba zobaczyć, co się dzieje z Maudie” – pomyślała Helena.

Jakiś pryszczaty, niemądrze uśmiechnięty chłopak z obowiązku poprosił ją do tańca. Odmówiła krótko. Zajęta była obserwacją, bo odniosła wrażenie, że Peyton pije: twarz miała rozgorączkowaną, zachowywała się zbyt wesoło. Chłopiec nalegał słabo, więc Helena powiedziała kilka zdawkowo-uprzejmych słów, omijając go spojrzeniem, patrząc w kierunku rzeki. Odszedł z tym samym niemądrym uśmiechem. Pod drzwiami orkiestra grała:

Kiedy na senne ogrodowe mury
Wieczorem spływa blask purpury...

Taras dźwięczał echem wesołej muzyki i muzyki smutnej, niby zawodzenie fletu. Powietrze pod szkarłatnymi festonami i białymi dzwonami z bibułki wibrowało stłumionym śmiechem i uroczą melancholią pierwszej młodości. Helena wstała, przecisnęła się przez tłum tańczących par. Prawie otarła się o Milтона, uśmiechniętego promiennie do Dolly. („On mnie nie zdradza” – pomyślała.) W pokoju dla pań pachniało pudrem. Młoda Murzynka powitała ją uśmiechem.

– Dobry wieczór, proszę pani...

– Słuchaj – zwróciła się do niej Helena. – Chcę, żebyś mi powiedziała, jeżeli która z pańienek będzie piła. Czy znasz moją córkę?

– Znam, proszę pani.

– Powiedz mi, gdybyś coś zauważyła. Rozumiesz?

– Tak, proszę pani.

– Podejrzewam, że niektóre pańienki piją.

– Tak, proszę pani. Ja także podejrzewam.

– Powiesz mi, prawda?

– Tak, proszę pani.

„Czarna diablica... Z pewnością nic nie powie”.

Helena otworzyła drzwi i wyszła z toalety. Muzyka owionęła ją niby tropikalny upał. Wróciła na dawne miejsce na tarasie, gdzie przysiadła się do niej pani La Farge, której syn, Charles, został zaproszony na przyjęcie.

– Ach, Heleno! Co za urocza zabawa! Masz czarującą córkę! Doprawdy prześliczna!

Pani La Farge, zamaszysta niewiasta, miała szeroką, pogodną twarz i od czasu do czasu wytrzeszczała oczy, co nadawało jej wyraz gapiowatego zdziwienia.

Helena uśmiechnęła się do niej życzliwie.

– Miło dziś, prawda? – powiedziała. – Ale to wcale nie moja zasługa. Milton i Peyton przygotowali wszystko. Ja stałam na uboczu, zajmowałam się tylko drobiazgami bez znaczenia.

– Ale blagierka z ciebie, kochana Heleno!

Pani La Farge wybuchnęła śmiechem i pochylając się do tyłu odsłoniła dekolt upstrzony licznymi piegami, które spływały kaskadą w tajemnicze zakątki obfitego biustu.

– Kochana Heleno... – powtórzyła i dodała po krótkiej pauzie: – Słyszałam od mojego syna, że Peyton wybiera się w przyszlým miesiącu do Sweet Briar.

– Tak – przyznała Helena.

Chętnie pozbyłaby się tej baby. Jeszcze chętniej odeszłaby sama. Klub, zgiełk, muzyka budziły w niej niepokój, lęk – jak zawsze. Co? Gdzie? Była trochę oszołomiona, bardzo zmęczona. Doktor Holcomb powtarza wiąz, że nie powinna się wysilać... Słowo *thrombosis* dźwięczny jak gong, jak dzwon alarmowy. Jeżeli dostanie *thrombosis*... Gong!

– Jak to miło – ciągnęła pani La Farge. – Należałam do reprezentacji hokeja, kiedy byłam w Hollins. Jednego roku grałyśmy w Sweet Briar i...

Helena uśmiechała się, kiwała głową w stosownych odstępach, powtarzała „tak... tak...” Wiedziała, że wzrokiem wyraża żywe zainteresowanie, chociaż nie słucha wcale.

Co? Gdzie?

Wkrótce zapadnie zmierzch. Będzie urodzinowa kolacja, a później znowu tańce i może pływanie w basenie. Helenie robiło się słabo. Od parkietu buchał żar – natrętny, ciężki, astmatyczny. Na rzece było widać łodzie żaglowe. Przedwieczorna poświata rozjaśniała ciszę; nieruchome żaglówki zdawały się spoczywać na żywym srebrze. Nagle cień ogarnął porośniętą murawę zbocze; pod przelotną chmurą rzeka przybrała chłodną, dymną barwę. Łodzie drgnęły lekko. Żagle wydęły się jak skrzydła, by opaść bezwładnie. Na taras wrócił blask słońca – natarczywy, wilgotny, brzemienisty zapowiedzią deszczu. Milton tańczył znów z Dolly, a Melvin z Peyton. Wirowali pośród jedwabi, taft, markizet. W orkiestrze trąbka buchnęła ośmioma taktami. „Zatańczymy swinga, mama” – sfalszował chłopięcy dyszkant i śmiech, młody, radosny śmiech, otoczył Helenę, jak chłodne, splecione fale.

– Nie postanowiliśmy jeszcze nic – biust pani La Farge podnosił się i opadał, cekiny na jej sukni połyskiwały jak oczy – ...postanowili... postanowili... Charles jest taki młody... To poważny, bardzo rozsądny chłopiec... najprawdopodobniej niewinny.

„Milton i Dolly. Oni mnie nie zwodzą... Doktor Holcomb powiada, że po czterdziestce zaburzenia emocjonalne mogą wywołać fizyczne dolegliwości. Klimakterium stawia surowe wymagania. Chodzi o przystosowanie się w sposób harmonijny. Coś okropnego!”

Helena zapaliła papierosa zapominając zupełnie o pani La Farge.

– Bardzo przepraszam – ocknęła się i podsunęła jej papierosnicę.

Ale pani La Farge odrzekła:

– Dziękuję, moja droga. Przestałam palić. Obydwoje, Chet i ja, odzwyczajiliśmy się ze względu na Charlesa, ponieważ...

Ponieważ...

Coś okropnego!... Ponieważ wlecze się to od sześciu lat: Milton i ta kobieta mają romans. A ona wie. Czy mogą łudzić się, że nie wie? Żeby tak powiedzieć...

Ale co i jak?

Mogłaby na przykład powiedzieć pani La Farge:

„Posłuchaj, moja droga. Dotąd nie chciałam mówić z nikim, ponieważ... ponieważ ja także mam dzieci. Ale wyobraź sobie... Posłuchaj, moja droga. Stało się. Milton i Dolly Bonner. Mogłaś nic nie zauważyć. Ale ja... Sprawa dojrzała do rozwodu. Tak, moja droga. Nie rób zgorzzonej miny. Stało się”.

Mogłaby również powiedzieć:

„Ach, gdybyś wiedziała, jakie okropności znoszę od lat. Czy byłaś na przyjęciu u Lenhartów w zaprzeszłe Boże Narodzenie? Naturalnie, że byłaś. Może nic nie spostrzegłaś, ale ja spostrzegłam. Widziałam, jak spotykały się ich ręce, jak całowali się niby to żartem. Fakt, że to było żartem, nic nie zmienia. Ja widziałam. Myślę, że spotykali się także gdzie indziej. Nie mam dowodów, ale jestem pewna... A w zeszłym roku byłaś na tańcach u Paige'ów? W przedpokoju prowadzili jakieś konszachty. Wiem o tym... Jak im oczy błyszcząły... Jak ściskali sobie ręce...”

Ale Helena zdawała sobie sprawę, że nigdy nic nie powie.

Pani La Farge zachichotała:

- Oto mój Chester – ciężko dźwignęła się z krzesła.
- Muszę z nim zatańczyć. Na razie, moja droga.

Helena została sama. Na widnokręgu kłębiły się czarne chmury. Słysząc było daleki pomruk grzmotów. Zmrok już zapadł. Czuła się słaba, opuszczona. Po tamtym przyszczytym chłopcu nikt nie prosił jej do końca.

Nieoczekiwanie, pośród muzyki, śmiechów, dnia który wraz z szarym, pokonanym światłem zdawał się dogorywać na trawniku, Helena miała widzenie. W domu pośród ciemności budzi się w pościeli na odgłos kroków. Milton stoi obok łóżka, spogląda na nią z góry tak jak niegdyś. „Heleno, Heleno – zaczyna z tym swoim chłodnym, ironicznym śmieszkiem – takie historie nie mogą wlec się dłużej. Wszystko da się jeszcze naprawić...”

Odpowiada, że niedobrze się czuje, ale myśli: „Widziałam tych dwoje. Widziałam ich pragnienie. Jak spotykały się te ręce...”

– Niedobrze się czuję...

Myśli jednak: „Ja chcę go kochać. Kocham. Kocham zawsze”.

Milton odchodzi bez słowa, a po jego odejściu ona w tym znajomym marzeniu – realnym, lecz zarazem dziwacznym i mglistym – opada znów na pościel, tonie w nieprzeniknionym mroku. Dobrze wie, że jednym słowem: – „tak” albo „przebac”, albo „miłość” mogłaby naprawić wiele, przepędzić w ciemności nocy natrętne, mściwe, złe demony, że wszystko ułożyłoby się znów pomyślnie. Jednakże tonie w mroku, a drzwi zamykają się, pieczętują czworobok światła, który wtargnął na chwilę do jej pokoju, jej schronienia, pieczętują cały zewnętrzny świat. Rozmarzona, drzemiąca, rozpaczliwie tęskniona do snu zaczyna myśleć o dawnych latach w koszarach... Wspomina odległy, przytłumiony dźwięk trąbki z placu alarmowego... Wspomina ojcowski mundur tak kojący przy dotknięciu i w półśnie tęskni do uścisku tamtych silnych i zawsze wiernych ramion.

Helena podnosi wzrok. Widzi szesnastoletnią Peyton nadchodzącą z szelestem błękitnego jedwabiu.

– Mamo, mamo! Nie burmiesz się. Chodź tańczyć.

– Co ty piłaś?

Dziewczynka rumieni się, spuszcza oczy.

– Tylko poncz, mamo.

– Chodź ze mną.

Peyton była posłuszna, więc razem utorowały sobie drogę pośród tłumu chłopców i dziewcząt, pośród wesołej wrzawy i zapachu perfum. „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!” W pokoju dla pań młoda Murzynka usunęła się dyskretnie, przeczuwając zapewne coś przykrego, jakieś dziwne nieporozumienia białych ludzi.

– Daj mi swoją szklanę – rzuciła szorstko Helena.

Posmakowała. Whisky. Odwróciła się i wylała resztkę do miski klozetowej.

– Dostałaś to od ojca, prawda?

– Tak... – przyznała z lękiem Peyton. – Powiedział, że dziś moje urodziny, więc...

Była śliczna, młoda; to właśnie podsyciło gorycz i gniew Heleny.

– Wypraszam sobie takie rzeczy – syknęła. – Od dawna patrzę, jak twój ojciec niszczy się pijaństwem. Wypraszam sobie takie rzeczy. Rozumiesz?

Peyton spojrzała na nią.

– Ależ, mam... – zaczęła.

– Cicho bądź! Wypraszam sobie takie rzeczy. Weź płaszcz i wszystko. Zaraz wracamy do domu.

Przez moment Peyton milczała. Później podniosła wzrok. Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Gwiżdżę na ciebie! – zawołała i wyszła z toalety. Helena wracała na taras zirytowana, drżąca. Odwróciła się, kiedy po drodze Milton obdarzył ją wesołym uśmiechem. Chmura zawisała nad trawnikiem, przesłoniła dzień, jak kotara przesłania zaciemniony pokój. Wiatr zaszemrał pośród drzew okalających budynek klubowy, poruszył włosy młodych dziewcząt i ucichł z łagodnym westchnieniem, gdy dzień powracał w potokach światła. Cień umknął z trawnika, ogarnął basen pływacki, zniknął.

W dole, pośrodku słonecznej plamy, Helena zobaczyła dobrze znajomą sylwetkę.

Maudie. Kochana.

Podtrzymując długą suknię szybko zeszła stokiem. Samotna Maudie siedziała w fotelu opodal basenu. Zajadała lody w stożkowatym wafle. Nogę w błyszczącym bucie ortopedycznym wyciągnęła przed siebie. Tępo spoglądała na rzekę i nadciągającą burzę. Helena podeszła do córki i patrząc jej w oczy powiedziała:

– Chodź, kochanie. Chodź ze mną. Zaraz pojedziemy do domu.

Kaleka podniosła wzrok, spojrzała na matkę spokojnymi oczyma bez wyrazu.

– Dobrze, mamusieczko.

– Chodź. Już idziemy.

– Dobrze, mamusieczko.

Helena ujęła rękę Maudie. W tej chwili zagrzmiało nad rzeką. Kąpiący się jęli umykać z basenu. Na tarasie niespokojny gwar powitał pierwsze krople deszczu. Orkiestra ruszyła do wnętrza budynku klubowego, dźwigając pulpity do nut i saksofony. Pośrodku parkietu Milton rozmawiał z Peyton...

„Ona nie może nienawidzić. Nie może! Nie może!”

Kiedy Peyton wyszła godnie z pokoju dla pań, w hallu czekał na nią Charlie La Farge.

– Peyton – odezwał się – dokąd idziesz? Peyton! Ty piękna! – gwizdnął z uznaniem.

Dziewczyna minęła go bez słowa i przez salę balową poszła na taras, gdzie metaliczne tony orkiestry wtórowały jeszcze porywom wiatru zapowiadającego burzę.

– Hej, Peyton! Co się stało? Ty piękna!

Wszyscy chłopcy nazywali ją piękną. Istotnie była piękna. Piwne, zawsze skupione oczy, nie inaczej niż usta nadawały jej twarzy wyraz myślący, dociekliwy. W miarę pełne wargi były lekko rozchylone, jak gdyby cicho, z umiarkowanym pobłażaniem pytała „dlaczego?” wszystkich młodych ludzi, którzy krążyli wokół niej, a ich niewyraźne, anonimowe głosy brzęczały stale niby dziesiątki pracowitych pszczoł. Ciemne, zazwyczaj krótko ostrzyżone włosy tworzyły obramowanie jej twarzy. Od dwunastego roku życia straciła rachubę chłopców, którzy prosili, by zechciała ich poślubić.

Obecnie skróciła sobie drogę idąc przez muzeum golfowe – dumę klubu – przestronny, słoneczny pokój, gdzie zgromadzono troskliwie różnego rodzaju kije, używane na tych lub innych zawodach przez graczy takich, jak Bobby Jones lub Tommy Armour. Były tam również piłki golfowe, porządnie ułożone, jak nieskończone rzędy gołębic jaj – między innymi te, którymi Johny Revolta posługiwał się, kiedy wygrał Zachodni Turniej Otwarty w 1929 roku. Peyton nie zaszczyciła uwagą eksponatów. Gwałtownie pchnęła drzwi i wyszła na taras, gdzie wstęga zielonej serpentyny jak wąż przecięła powietrze i dosięgła jej włosów. Krople deszczu, wielkie niby srebrne dolary, zaczynały bębnić o parkiet, więc ścigający ją wytrwale Charlie La Farge chwycił dziewczynę za rękę i powiedział:

– Pozwól, piękna! Zatańczymy, nim rozpada się na dobre.

Cofnęła rękę i odmówiła gestem głowy. Baczenie rozejrzała się po tarasie.

– Pozwól, aniołku – zabrzmiał natrętny, błagalny głos chłopca.

Nie odpowiedziała. Szybko podeszła do ojca, który – uśmiechnięty, rozpromieniony – patrzył w oczy Dolly Bonner.

– To się nazywa prawdziwe bogactwo – mówił właśnie.

– Staruszkule – zagadnęła go Peyton – chodź ze mną na chwilę. Muszę z tobą pomówić. Muszę!

Loftis i Dolly Bonner przestali tańczyć.

– Dlaczego? – zapytał ojciec. – Co się stało, małeńka?

– Chodź, chodź, staruszkule. Muszę z tobą pomówić.

Bardzo przepraszam – dodała pod adresem pani Bonner.

Dolly zmarszczyła brwi, zrobiła niezadowoloną minę.

– Oczywiście, kochanie...

– Chodźmy, tatusiu!

– Zechcesz mi wybaczyć, Dolly – powiedział Loftis.

Peyton dała szorstką odprawę spragnionemu tańca z nią chłopcu, a ojca pociągnęła w stronę muzeum golfowego. Było tam prawie ciemno. Powietrze przesycił zapach ceraty i starannie oliwionych eksponatów. Loftis i Peyton usiedli ramię w ramię na sofie. W sąsiedniej sali balowej orkiestra ustawiała pulpity. Słychać było gwar chłopców i dziewcząt uciekających przed deszczem z tarasu.

– O co chodzi, małeńka?

Dziewczyna zaczęła płakać. Nisko opuściła głowę.

– Mama powiedziała, że mam zaraz wracać do domu.

„Bodaj ją diabli” – pomyślał Loftis.

Po drodze zabrał ze stołu z ponczem własną szklanekę, o którą dbał troskliwie od początku zabawy. Pociągnął tęgi łyk i pogładził włosy córki, zanim bąknął niepewnie:

– Dlaczego, małeńka? Co mówi mama? Dlaczego chce cię zabrać do domu?

– Bo... – zająknęła się Peyton. – Bo... bo mama mówi, że ty dałeś mi whisky, a ja mówię, że dzisiaj są moje urodziny, więc dałeś mi tylko troszkę... troszeczkę... Ach, staruszkule! – usiadła prosto, chwyciła ramię ojca; łzy w jej oczach zniknęły równie nagle, jak się pojawiły. – Przecież to był żart... Prawda, staruszkule? Prawda? Wyłumacz jej wszystko, tatusiu! Ja nie chcę do domu! – krzyknęła ze złością.

– Nie mogę! To byłoby coś najgorszego, co mnie spotkało w życiu.

Zrobiła taką minę, jak gdyby miała się znów rozpłakać, więc Loftis przygarnął ją do siebie, poczuł na boku ramię córki.

– Cóż – zaczął po namyśle. – Nie należało dawać ci whisky. Co najmniej od tygodnia nie zrobiłem większego głupstwa.

W myśli przyznał, że bez wątpienia postąpił idiotycznie. Whisky to przecież najdoskonalszy powód nieporozumień. Od dwudziestu lat Helena martwi się, że on pije. A teraz... Jak można było stworzyć wrażenie, że zaczyna demoralizować młodą... A niech to licha!

Peyton odsunęła się od ojca, położyła dłoń na jego ramieniu.

– Staruszkule, wyłumacz jej wszystko. Powiedz, że nie chciałeś... że... Powiesz jej, prawda?

Loftis ujął jej rękę.

– Powiem, maleńka, powiem. Nie wrócisz do domu. Załatwimy to jakoś. A teraz proszę się uśmiechnąć.

Peyton nie posłuchała. Zamyślona przechyliła na bok głowę tak, że fala ciemnych, krótkich włosów zasłoniła jej część twarzy. Później zaczęła mówić z powagą, a słowa trafiające jedno po drugim do świadomości Loftisa przejmowały go groteskowym niesamowitym lękiem.

– Staruszk, nie wiem, co właściwie jest nie w porządku. To straszne, takie straszne, że nie mam pojęcia, jak to wyrazić. Staruszk, ona zawsze robiła takie różne rzeczy. Myślę, że nie chciała źle i... i w ogóle... Ale ja nic nie poradzę, staruszk, że jej wcale nie kocham – urwała, spoglądając na ojca pokręciła głową. – Myślę – podjęła – że wcale jej nie kocham, tatusiu.

Zerwała się. Stała obok sofy odwrócona plecami do ojca. On również wstał chwiejnie, przyciągnął do siebie Peyton, przytulił jej skroń do policzka.

– Kochanie – szepnął – nie wolno tak mówić. Twoja matka... widzisz, była zawsze nerwowa, napięta jak struna i... widzisz, ona naprawdę nie chce źle... Ona...

– Nie zabierze mnie do domu! – podchwyciła dziewczyna.

– Nie zabierze, kochanie. Załatwimy to jakoś... Nie zabierze... Ale, maleńka...

Wyrok przesłoniła mu posępna, wilgotna mgła. Był to półmrok i po trosze alkohol, i własne zaniepokojenie. Pomyślał, że kocha Peyton nad wszystko w świecie. Pocałował ją mocno. A Helena... Niechaj piekło pochłonie takie niemądre historie! Własną szklanę z whisky podniósł do ust córki.

– Nie martw się, maleńka – podjął. – Wracaj na salę, tańcz, baw się wesoło. Nie pojedziesz do domu.

Dziewczyna pociągnęła długi łyk.

– Dziękuję – spojrzała na ojca. – Ach, staruszkule! Jaki ty jesteś kochany!

Jej pocałunek musnął policzek Milтона – delikatnie, jak kropla rosy. Odwróciła się i wyszła z pokoju. Loftis patrzył jej śladem, póki samoczynnie działające drzwi nie zamknęły się z przeciągłym westchnieniem. Później został w żółtawym półmroku sam z piłkami golfowymi i pucharami. Ciężko opadł na sofie. Przez kilka minut siedział zapatrzone w okno. Po grze w golfa tańce go wyczerpały. Zdawał sobie sprawę, że jest pijany bardziej, niż być powinien, a ma jeszcze przed sobą cały długi wieczór. Zajrzał do szklanki, lecz na jej dnie zobaczył tylko dwie kostki lodu.

Tęsknie pomyślał o uzupełnieniu zawartości.

Przez drzwi docierały dźwięki muzyki i donośne tupanie przy, jak wydało się Loftisowi, jakimś tańcu zbiorowym. Otwartym oknem przenikały nie tylko fale orzeźwiającego powietrza, lecz również strumienie deszczu. Loftis zamknął okno i zaraz odczuł sportową, ciężką atmosferę muzeum. Przeciwległy brzeg rzeki zasłaniała ściana ulewy i niskie letnie chmury, białe jak mleko. Skarpa i wszystko położone dalej sprawiało wrażenie krajobrazu oglądanego przez zieloną mikę: rozmokły kort golfowy, opustoszały, szary pod zamętem deszczu i wichury; nadrzeczne wierzby, spokojne i dziewczęce przy dziennym świetle, a obecnie rozchwiane, wyciągające ku pochmurnemu niebu gałęzie podobne do rąk zrozpaczonych kobiet. Łódź rybacka płynie bezszelestnie z biegiem rzeki, zupełnie blisko brzegu... Loftis oszołomiony ciepłem i zbyt dużą dawką whisky zdrzemnął się widać na moment, bo gdy otworzył oczy (jeżeli je zamknął w ogóle?), łódź przesunęła się ledwie o kilka jardów. Przygnębiony, pełen dziwnego niepokoju patrzył spod ciężkich powiek w kierunku rzeki i próbował przypomnieć sobie, co mu się śniło. Znowu uległ sennieści. Zobaczył przed sobą ognisko i kolumnę dymu wiszącą nad jakimś odległym widnokregiem, i podobne do trawy, szarpane wiatrem strugi deszczu, które natychmiast przeradzały się w światło. Szybko otworzył oczy. Było prawie ciemno. Łódź rybacka zniknęła za kurtyną rozchwianych wierzb...

„Koniecznie muszę się napić”.

Na dole, w szatni dla graczy w golfa, gdzie miał własną szafkę, wyłowił ze swojego worka na kije butelkę „Hiram Walker”. Napił się i wracając do sali balowej, spotkał Dolly na podeście schodów.

– O, Milton – powiedziała. – Wszędzie cię szukam, kochanie.

– Aa... Co u ciebie słychać?

– U mnie? Co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jak gdybyś dopiero co zobaczył upiora.

– To przez Helenę – odrzekł. – Powiedziała, że zaraz weźmie Peyton do domu.

– Niedorzeczność!

– Słusznie – przyznał.

– Ale dlaczego?

– Czy ja wiem. Żartem dałem małej trochę whisky do skosztowania, więc...

– Niedorzeczność, słowo daję!

– Aha – westchnął. – Nie powinienem...

– Nic podobnego – przerwała Dolly. – Chciałam powiedzieć, że Helena postępuje niedorzecznie... – urwała, aby po chwili dodać z wyniosłą obojętnością: – Cóż, wiem, że to nie moja sprawa.

Uśmiechnęła się lodowato.

– Dlaczego? – powiedział Loftis. – Wolno ci mówić. Wszystko w porządku. Obydwoje postępujemy głupio... ja i ona. Ale... – zamyślił się na chwilę. – Ona nie zabierze Peyton do domu.

– Kiedy wybuchła awantura?

– Kilka minut temu – odparł Loftis – jak deszcz zaczął padać. Tak mi się przynajmniej zdaje. Ona chyba coś podejrzewa...

– Zapewne – przyznała Dolly z nieuchwytnym akcentem ironii. – I ja tak sądzę.

Loftis oparł się ciężko o poręcz schodów.

– Dziś rano rozegrałem dwie partie golfa. Okropnie się zmęczyłem.

Umilkł, a kiedy Dolly przysunęła się bliżej, poczuł jej perfumy – słodką, przenikliwą woń, dyskretnie zalotną, zniewalającą, jak aromat, który przesycza rozsyłane reklamy perfum, delikatny, zmysłowy zapach pełen skojarzeń ze sprawami namiętności i ciała. Zawsze działało się tak samo. Ów zapach był dla Loftisa związany wyłącznie z Dolly. Podobnie, kiedy podczas jakiegoś przyjęcia czekał na nią lękliwie, nerwowo, a ostatnio – ku własnemu zdziwieniu – nawet bez uzasadnionej przyczyny wyłącznie z Dolly łączył głośnie trzaśnięcie frontowych drzwi i powitania, niekiedy zbyt hałaśliwe, ale zawsze serdeczne i wesołe. Często odczuwał jej bliskość, zanim jeszcze zdążyła wejść do pokoju.

Spojrzał na nią. Odsunęła się i stała teraz oparta także o balustradę schodów. Odgłosy zabawy były dalekie, zagłuszane przez ściany.

– Do diabła z całą załganą moralnością! – wybuchnął nagle. – Wszystko to bujda, co? Niby dlaczego muszę tolerować taką sytuację? Niby dlaczego?...

Umilkł zbity z tropu. Nigdy dotąd nie był równie szczery wobec Dolly, to znaczy równie szczery co do Heleny. Zdał sobie sprawę, że dobre wychowanie czy też mętne poczucie przyzwoitości, która zabrania człowiekowi mówić źle o własnej żonie, zaleca teraz korektę popełnionego błędu.

– Bodaj to lichy! – powiedział i wymierzył poręczy potężny cios dłonią. – Może to ja nie wiem, jak wychować dzieci?

– Ależ, Miltonie – zaprotestowała żywo Dolly. – Teraz jesteś naprawdę niemądry. Oczywiście to nie moja sprawa, ale jak żyję, nie słyszałam o niedorzeczności równej tej, jaką Helena chce zrobić. Na twoim miejscu... Powtarzam, że to nie moja sprawa, ale na twoim miejscu powiedziałabym, co o tym sędzę. Także pomysł!

Loftisowi wydało się nagle, że drobna kwestia urasta do gigantycznych, przytłaczających rozmiarów, staje się dylematem, schizmą, herezją, problemem moralnym tak zawiłym, że wybór stosownej drogi działania przekracza możliwości skromnego prawnika. Przez ściany dobiegały stłumione, sentymentalne tony muzyki. Deszcz ustał. Za oknami snuł się odbłask mętnego, wilgotnego światła. Bardzo daleko, na wschodzie słychać było ostatnie odgłosy burzy, jak gdyby ktoś przerzucał setki beczek przez krawędź nocy. Zaraz zrobi się zupełnie ciemno...

– Dolly... – zaczął Loftis; był zbyt pijany, by rozumować logicznie, lecz podświadomie zdawał sobie sprawę, że jego dziwne podniecenie przechodzi gładko w tanie sentymenty.
– Dolly, tylko ty jedna mnie rozumiesz.

Spod opuszczonych lekko powiek spojrzała na niego czule i (jak był przekonany) z doskonałym zrozumieniem.

– W Port Warwick mieszkam od dwudziestu lat – ciągnął. – Miałem wielkie nadzieje, kiedy się tu osiedlałem. Chciałem być diabelnie wielkim politykiem. Chciałem przewrócić do góry nogami miasto, stan, wszystko. Spodziewałem się, że zostanę co najmniej ministrem sprawiedliwości.

I co? Spójrz na mnie teraz. Zupełna klapa. Pasożyt, który ssie majątek swojej żony, żeby radzić sobie jakoś, to znaczy pompować się whisky, jak najgorszy w mieście opójk... To znaczy...

Urwał. Spowiedź nie należała do jego specjalności, więc dech mu trochę zatykało, chociaż umiarkowanie tragiczne uczucie, jakiego doznawał, sprawiało mu pewne zadowolenie.

Dolly uczepiła się jego ramienia.

– Nic podobnego! – zawołała z pasją. – Nic podobnego! Zostaniesz jeszcze wielkim człowiekiem. Jesteś wspaniały, cudowny. Masz w sobie coś takiego, że wszyscy szukają twojej przyjaźni. Wszyscy chcą z tobą rozmawiać. To wielki dar. Z pewnością jesteś... jesteś promienny!

– Pozwól, że dokończę to za ciebie – powiedział Loftis i sięgając po szklankę Dolly, figlarnie zmrużył oko.

Z pałającym wzrokiem wręczyła mu szklankę niby kielich, który on opróżnił jednym potężnym haustem. Na niewielkim podeście zrobiło się gorąco, więc Loftis otworzył okno i usiadł na brzeżku parapetu – ostrożnie, żeby wodą deszczową nie zamoczyć spodni. Dolly pospieszyła za nim szeleszcząc spódnicami. Stanęła obok i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Widzisz... – podjął Loftis i spojrzał w górę. – Widzisz, tak mi się zdaje, że dzisiaj pierwszy raz rozmawiamy tylko we dwoje... Rozumiesz? Z dala od wścibskich oczów i uszów. Zawsze musieliśmy być tacy oględni.

– Oględni, Miltonie?

– No, ostrożnie, przezorni, nieśmiali.

– Nie zawsze, Miltonie – roześmiała się wesoło. – Zapomniałeś, jak to było raz, bardzo dawno u ciebie? Wtedy rozmawialiśmy tylko we dwoje – ścisnęła jego ramię, budząc przyjemny, podniecający dreszczyk. – Pierwszy raz nazwałeś mnie słodkim kociańkiem... Dobrze pamiętam. A ty zapomniałeś, kochany Miltonie?

– Nie.

On też pamiętał. Było to dawno, w pijackie, katastrofalne popołudnie, którego wspomnienia mroziły chłodem. Odpędził je i zaczął myśleć o Helenie. Na pewno zbiera teraz rozmaite graty – parasolki, nieprzemakalne płaszcze – a on, będzie musiał pójść tam stawić jej czoło z lękiem bardzo bliskim panice.

„Ja się boję Heleny” – pomyślał niechętnie.

Ramieniem otoczył Dolly, przyciągnął blisko, poczuł rozkoszną miękkość jej kibici i nim zorientował się, co robi, wsunął palec wskazujący w jakieś wycięcie czy zapięcie jej sukni. Pod jedwabiem dotknął wałka nagiego ciała, które było pulchne i bardzo ciepłe. Dolly nie wzięła mu tego za złe, pozostawił więc palec w jedwabnym gniazdku, ona zaś delikatnie, pieszczotliwie, zrazu trochę nieśmiało zaczęła głaskać go po głowie.

– Na Boga – szepnął nagle, bo onieśmielony ciszą odczuł potrzebę słów. – Ja cię nie unikałem, Dolly.

– Ani ja ciebie – zawtórowała z powagą.

Na dworze było już ciemno i mgliście. Reflektory oświetlały basen pływacki. W sąsiednich zaroślach brzmiały donośne chóry tysięcy żab i cykad. Zabłyły gwiazdy i sierp letniego księżycy. Rozstawione na trawniku stoliki, błyszczące buicki i oldsmobile na podjeździe zdawały się tonąć w upiornym, gęstym półmroku, przesyconym odległymi echemi muzyki, której niewinne tony snuły się nad tarasem i wznosiły ku niebu. Powoli, ale z rozmysłem Loftis sięgał pod elastyczny pas Dolly. Myślał: „Młoda... Młodość...”

– Miltonie – szepnęła. – Tak bardzo chciałam... – pogładziła jego policzek.

Mocniej przygarnął ją do siebie.

– Dolly – powiedział. – Kociątko słodkie... Ja cię kocham.

Porwał ją w objęcia i na jej wargach wycisnął długi, desperacki pocałunek.

Nad tarasem rozkwitały lampiony – pełne, pastelowe księżycy; malowały kamienną posadzkę w egzotyczne barwy storczyków, bzu, nocnego lazuru. Na stolikach poniewierały się chorągiewki z krepiny, papierowe czapki, przeróżne drobne pamiąteczki, zmięte kotyliony i topniejące smętnie kostki lodów waniliowych. Młodzież poszła pływać w basenie. Loftis, Dolly i państwo La Farge siedzieli nad whisky z wodą sodową – w każdym razie tyczyło to pierwszej pary, gdyż państwo La Farge, którzy pochodzili z Durham w Północnej Karolinie, byli abstynentami. Kolacja udała się znakomicie. Towarzyszył jej umiarkowany zgiełk i zamęt. Teraz trzy murzyńskie dziewczęta robiły porządki snując się między stolikami, przy których popijali ojcowie i matki.

Pan La Farge mówił:

– Pani jest żoną Sclatera Bonnera, prawda? Jakże się miewa stary Pookie? Nie widziałem go od zamierzchłych czasów.

Był to niski, przysadzisty mentyka o przeredzonych włosach i ogromnych, żółtych zębach. Prowadził miejscową hurtownię spożywczo-kolonialną, namiętnie grywał w golfa i najzupełniej ginął w cieniu małżonki, która biła go o czterdzieści funtów wagi i ustawicznie podkpiwała z jego błędów gramatycznych.

– Pookie jest w tym tygodniu w Richmond. Jak się wyraża, „ubija interes” – odpowiedziała Dolly. – Cóż, w handlu nieruchomościami wszystkim teraz ciężko.

– Wojna... – zaczął La Farge.

– Właśnie – podchwyciła jego żona. – Wojna! Coś potwornego. Ale wszyscy mówią, że musi się skończyć lada chwila. Biedna, mała Polska!

– Lepiej powiedziałaabyś, my biedni – pan La Farge rozsiadł się wygodniej na krześle i pociągnął łyk imbirowej lemoniady odsłaniając przy sposobności szereg żółtych siekaczy, bardzo podobnych do zębów konia. – Tak... tak... My biedni – powtórzył.

Zapadła nieporadna cisza; zakłócały ją tylko odległe głosy żaby i cykad, a także krzyk i śmiechy z basenu pływackiego.

– My biedni – powtórzył jeszcze raz stary nudziarz i rozprawiał dalej przeciągłym akcentem z Północnej Karoliny.

Loftis przyglądał mu się sennie. Wypił i zjadł tego wieczora o wiele za dużo i marzył, żeby się gdzieś wyciągnąć. Czuł, że grozi mu załamanie nerwowe, jeżeli zaraz nie umknie z Dolly od tych ludzi. Dlaczego muszą otaczać go ciągle umysły niższe – jacyś dentyści, pośrednicy w handlu nieruchomościami, właściciele zakładów pogrzebowych pierwszej klasy? Powinien częściej wrywać się do Nowego Jorku, słuchać muzyki, spotykać interesujących ludzi, bywać w klubie „Alumni”. To byłoby życie! Dolly stuknęła go kolaniem pod stolikiem. Może odejść z nią zaraz? Ale Chester La Farge ciągnął:

– Najlepiej trzymać się z dala od cudzoziemskich powikłań. Kto nas wciągnął do wojny? Syjoniści z Wall Street, międzynarodowi prowokatorzy.

– Prowokatorzy, koteczku – zachichotała pani La Farge.

Jej małżonek lekceważąco machnął ręką.

– Prowokatorzy, prowokatorzy, co za różnica? Wiem tyle, że międzynarodowi, żydowscy bankierzy zmówili się, by mojego syna Charlesa wysłać na wojnę.

Dolly i pani La Farge odpowiedziały jednogłośnie pomrukiem uznania, a Loftis – znudzony, roztargniony – odwrócił wzrok. Basen pływacki wydał mu się bardzo odległy – niewyraźny, zniekształcony, spowity intensywną zielenią; w chłodnym nieprzyjemnym świetle młode półnogie ciała pojawiały się i niknęły w jakimś opętanym kłębowisku. „Hej, Peyton!” Chłopięcy głos wraz z nagłym pluskiem wody wzniósł się nad cienistym stokiem i nie wiadomo czemu przejął Milтона nieokreślonym smutkiem. Spod oka zerknął na Dolly. „Niezręczna sytuacja – pomyślał. – Siedzę z nią na tarasie publicznie, na oczach Boga i Bóg wie kogo: na przykład Millie Armstrong, najlepiej przyjaciółki Heleny”. Bezwiednie skurczył się, wsunął głowę w ramiona, jak gdyby sądził, że w tej pozycji może go ktoś wziąć za męża Dolly albo jej starego wuja z Emporii. Nagle pani La Farge zwróciła się do niego z pytaniem kłopotliwie bezpośrednim:

– Gdzie, u Boga Ojca, podziewa się Helena, Miltonie?

– Musiała odwiedzić Maudie do domu – odpowiedział swobodnie i zdziwił się trochę, że tak łatwo przyszło mu kłamstwo.

– Biedulka – westchnęła pani La Farge. – Nieszczęśliwe dziecko. Łatwo się męczy, prawda? Naturalnie mam na myśli Maudie.

– Aha – bąknął Milton i opróżniwszy do dna szklanę, dolał whisky z butelki, którą trzymał pod stołem przez wzgląd na przepisy stanowe, zakazujące wystawiania na widok publiczny wysokoprocentowych trunków.

Kiedy pochylał się, musnął ramieniem ramię Dolly i uprzytomnił sobie nie bez umiarkowanego zawstydzenia, że długi pocałunek piecze mu dotąd wargi. Myślami sięgnął wstecz o parę godzin. Tak nagle się rozstali! Pocałunek podniecił go – niewątpliwie – zarazem jednak oszołomił, nawet przestraszył. Rozstali się nie z jego woli. Bynajmniej. Był rozgorączkowany, pragnął, by u progu nocy trwała atlasowa pieszczota, by długo tulili się do siebie. Na chwilę odsunął się od Dolly. Serce biło mu mocno, czuł dotyk jej rąk, twarzy, włosów, na ustach miał smak lepkiej szminki... Ale uzgodnili zdyszonym szeptem, że muszą być ostrożni.

– No, to na razie, najdroższa – powiedział Loftis i dziarsko wbiegł na schody.

Później przysłała ta historia z Heleną, niewątpliwie okropna historia. Opanował się, rzucił w kąt poplamioną karminem chustkę do nosa i spokojnie wkroczył do hallu, dokąd (co przewidział z góry) Helena wprowadzała właśnie z sali balowej Peyton i Maudie.

– Spotykamy się, kochanie – powiedział niedbałym tonem.

Helena sprawiała wrażenie kłębka nerwów i cierpienia. Miała na sobie czarną pelerynę i (jak już uprzednio wyobrażał sobie Loftis) dźwigała różne przeciwdeszczowe części garderoby: dwie parasolki, płaszcz nieprzemakalny Maudie, jej deszczówki oraz – niby końcowy żałosny akcent kurczowo zaciśnięty w palcach słoik aspiryny.

– Ktoś zachorował? – podjął Loftis.

Helena usadowiła Maudie na kanapie i, zgięta we dwoje, jęła zapinać sprzączki jej deszczówek.

– Maudie przeziębła się trochę – odburknęła.

Peyton podeszła godnie do ojca, wsunęła rękę pod jego ramię.

– Dobry wieczór, papotato – odezwała się Maudie z bladym uśmiechem.

– Dobry wieczór, córeczko. Posłuchaj – Milton schylił się, dotknął ramienia żony: był spokojny, ale czuł silne pulsowanie w skroniach. – Trzeba wyjaśnić nieporozumienie. Peyton zostanie tutaj.

Helena wyprostowała się, spojrzała na niego z odpychającym, złym uśmiechem. Loftis zobaczył jej falujące piersi i jednocześnie, kącikiem oka, spostrzegł, że zastępca kierownika klubu, blady, przekarmiony jegomość, siedzi za swoim biurkiem i licząc rulony monet zerka ciekawie na scenę rodzinną. Jego szkła o podwójnych soczewkach – dwa puste krążki – połyskiwały fosforycznym odbłaskiem światła.

– Dobry pomysł – Helena nadal uśmiechała się krzywo. – Peyton zostanie tutaj z tobą, żebyś mógł ją poić whisky – z nieodmiennym uśmiechem pochyliła się nad sprzączkami deszczówek Maudie i troskliwie poprawiała skórzane sznurowadło buta ortopedycznego. – Masz błędny pogląd na tę sprawę. Zupełnie błędny pogląd.

„Właśnie: błędny pogląd” – powtórzył w myśli Milton.

Stał sztywno, z rękami w kieszeniach. Patrzył na żonę. Nikt nie odzywał się słowem. Przytulona do niego Peyton również obserwowała matkę. Maudie siedziała cicho na kanapie – jak z grędy spoglądała tępo na ręce zajęte klamrami, sznurówkami, paskami. Żalodne przedstawienie! Helena była zbyt roztrzęsiona, by zręcznie przeprowadzić zabieg, który z racji długoletniej wprawy wcale nie wymagał zręczności. Daremnie usiłowała wciągnąć deszczówkę na metalową szynę buta ortopedycznego. Nie szło jej. Loftis, zbity z tropu, wystraszony, nie kwapił się z pomocą. Prawdę mówiąc, był tylko zbity z tropu, bo przestрах minął. Przez moment miał wrażenie, że uczestniczy w przypadkowej, niemiłej scenie, że scena ta rozgrywa się bez uprzednich prób – jak arcynudne dramaty wystawiane w szkółce niedzielnej, w których występował bardzo dawnymi czasy – jest więc nieznośna, nedorzeczna z racji mętnej bezcelowości poruszeń i kwestii. Zdarzają się chwile, kiedy akcja bywa jasno wytknięta, lecz niewykonalna, a gniewne słowa – tak potrzebne i pilne – po prostu nie padają. To przytłaczające: z niewiadomych przyczyn niepodobny sypać złośliwościami, obelgami, może dlatego, że w atmosferze niechęci i troski trwa mimo wszystko czujne tchnienie miłości.

Zapewne Loftis był zbyt pijany. Zapewne pocałunek Dolly, który przyszedł wreszcie po tylu latach, zniszczył coś i wymazał. Na trzeźwo obawiał się Heleny. Żył z nią długo – miał wrażenie, że od wieków – w stanie nie tyle małżeńskim, ile w stanie ustawicznego rozdrażnienia. Byli jak przeciwne bieguny magnesu – nierozłączne, lecz wytrwale, stanowczo odpychające się wzajemnie. Ale pijany, świadomie arogancki, przyglądał się Helenie, która walcząc rozpaczliwie z deszczówkami i sznurówką buta ortopedycznego, mamrotała do siebie gniewnie, niezrozumiale. Spokojnie czekał swojej kwestii.

Wreszcie chwila nadeszła. Peyton wysunęła dłoń spod ojcowskiego ramienia; ręka jej opadła. Helena wyprostowała się, odwróciła, uśmiechnęła się do Loftisa, a on odpowiedział uśmiechem, postąpił krok i wziął ją za rękę.

– A teraz, moja droga, chodź ze mną – przemówił i z wielką godnością pomaszerował do muzeum golfowego.

Kiedy jednak zamykał drzwi, uprzytomnił sobie, że dziwna scena rozpływa się, oczekiwanie było złudzeniem, które minęło na zawsze. Oto Maudie siedzi zapatrzona bezmyślnie w przestrzeń; obok niej smutna i piękna Peyton. Nawet zastępca kierownika klubu – człowiek o chytrych, przysłoniętych oczach – powrócił do liczenia pięcio- i dziesięciocentówek, a muzyka, której przez czas pewien Milton nie słyszał wcale, wypełnia znowu noc nieszkodliwym echem.

– Zaczekaj z Maudie, maleńka – rzucił pod adresem Peyton i zamknął drzwi muzeum za Heleną i sobą.

Zapalił światło. Helena stanęła pod fotografią bardzo zadowolonego z siebie głośnego zawodnika w turniejach otwartych. Odwrócona plecami do męża, zapalała już papierosa. Loftis usiadł w fotelu krytym skórą.

– Posłuchaj teraz... – zaczął.

Odwróciła się szybko. Spojrzała na niego złym wzrokiem.

– Lepiej ty posłuchaj...

– Tylko nie tak głośno. Zachowajmy się chociaż jak ludzie dobrze wychowani.

– Dobrze – rzuciła krótko.

Ku pewnemu zakłopotaniu męża cień uśmiechu pojawił się w kącikach jej ust. Podeszła do jego fotela, usiadła na poręczy. Loftis odniósł wrażenie, że pozostało jej coś imponująco młodzieńczego – mimo wszelkich niedomagań, migren, nieobliczalnych, strasznych napadów hysterii. Nie wiedzieć czemu zobaczył ją na moment taką, jaka była przed laty, gdy jeździła konno w Parku Centralnym. Skąd przyszło to późniejsze? Kiedy?

– Co się właściwie stało? – zapytał. – Skąd ta cała historia?

– Ach, Miltonie! – spojrzała na niego z góry, z tym samym rozbijającym echem uśmiechu. – Dlaczego dałeś Peyton to paskudztwo? Doprawdy, Miltonie, wydaje mi się czasami, że postradałeś zmysły. Powiedz, dlaczego pozwalasz Peyton tak się zachowywać?

– Na miłosierdzie boże – westchnął – na miłosierdzie boże, przecież to był drobiazg, Heleno. Jak Boga kocham, pozwoliłem jej skosztować tylko trochę. Dziś są jej urodziny, prawda? Pozwoliłem sobie na żart, jedynie żart. Do licha, co mam zrobić z tej dziewczyny? Zakonnicę?

– Nie bądź śmieszny... – zaczęła znowu.

Jej ton nielogicznie mentorski zaniepokoił Loftisa. Znał go dobrze, a chociaż umiał przystosować się w pewnym stopniu do humorów żony, był pewien, że z takimi nagłymi zmianami nastrojów nigdy się nie pogodzi. Oto kobieta przez duże K – zwodnicza, groźna, niestała niby pogoda.

– Chodzi o zasadę – ciągnęła. – Czy ty tego nie rozumiesz? Czy nie rozumiesz podstawowych kwestii przyzwoitości i dobrych obyczajów? Nie wiesz, że taki, jak wyraziłeś się, drobiazg może prowadzić do znacznie gorszych następstw? Chyba zdajesz sobie sprawę...

– Moja kochana – przerwał świadomie bezradnie, że to, co zaraz powie, będzie okrutne i niesprawiedliwe – gdybyś dotarła wyżej niż szkoła dla pańienek panny Whozis, inaczej zapatrywałabyś się na moralność i zasady. To nie zdawkowa moneta, ale...

– Miltonie! – krzyknęła rozpaczliwie. – Co ty mówisz? Jak możesz?

Szybko wstała z poręczy fotela. Czoło, twarz, nawet szyję miała zorane zmarszczkami, pobladła.

„Pewno się zaraz rozplacze” – pomyślał Loftis.

– Jak śmiesz tak mówić? Obelgi! Zniewagi!

Odwróciła się, zgrabiła, opuściła ręce – jak obraz ponizenia i urażonej dumy. Loftis usłyszał jej zdławiony szept:

– Ja kocham mojego Boga...

– Dobrze, już dobrze – powiedział dźwigając się z fotela.

– Bardzo mi przykro. Przepraszam – westchnął. – Wybacz, Heleno.

Spojrzała na niego i zaczęła znów mówić. Jej lodowaty, zjadliwy ton zapowiadał bez wątpienia długą tyradę i od początku budził w Loftisie żywe pragnienie ucieczki.

– Są sprawy, których nigdy nie zdołam ci wybaczyć. Są liczne sprawy, których nie wybaczę ci, chociażbym żyła z tobą nie wiedzieć jak długo. Zmierzaaliśmy w takim kierunku krok po kroku. Ja kocham mojego Boga, ty nie kochasz. Od tego się zaczyna. Zdradziłeś nas, kiedy przestałeś chodzić do kościoła. Zdradziłeś nie tylko mnie, lecz również całą rodzinę. Zdradziłeś Maudie i Peyton, która cię uwielbia. Ja kocham mojego Boga – powtórzyła prostując się dumnie i syknęła przenikliwym szeptem: – A ty? Ty nie masz żadnego Boga.

– Posłuchaj, Heleno...

– Chwileczkę, Miltonie. Nie skończyłam jeszcze. Chcę też powiedzieć swoje. Pozwól, że ci to powiem. Ja wiem niejedno. Wiem, co to znaczy grzech. Wiem, co to znaczy grzech. Wiem, co to znaczy grzech – powtórzyła i ów „grzech” szcęknął jak klinga pogrążająca się w ciało.

– Wiem! Wiem! I tą świadomością będę cię zawsze przerastać – zadławiła się okruczem śmiechu, który przeraził Milтона. – Tak! Będę cię zawsze przerastać!

– Heleno! – prawie krzyknął.

– Cicho bądź! Zaczekaj! Pozwól, niech powiem wszystko. Nie wrzeszcz! Myślisz, że ja nie wiem? Wyobrażasz sobie, że nie wiem o tobie i Dolly? Zdaje ci się, że nie zwietrzyłam tych brudów? Myślisz, że jestem ślepa? – szeroko otwartymi oczyma spoglądała na męża i powolnym oskarżycielskim ruchem kręciła głowę w prawo i w lewo.

– Słuchaj, Miltonie... – zdradzała coraz większy niepokój; strącone gwałtownym ruchem dwie piłki, cenne pamiątki, spadły na dywan i dokądś się potoczyły. – Słuchaj, Miltonie. Nie dbam zupełnie, co ty robisz. Ale okropnie psujesz Peyton. Zapominasz o Maudie. Tak! Zapominasz o niej! Zabijasz miłość. Niszczysz wszystko. Słuchaj... – urwała znowu, podniosła rękę. – Słuchaj! Jeżeli zrobisz coś, co skrzywdzi Maudie, jeżeli bodaj raz okryjesz wstydem to dziecko, to ja... – zachłysnęła się, przez chwilę spoglądała groźnie w oczy męża, jak gdyby chciała tam dostrzec całą podłość, o której mówiła, cały brak serca; wreszcie ukryła twarz w dłoniach.

– Boże! Mój Boże! Maudie niedługo umrze – zawołała.

Loftis chciałby ją trochę pocieszyć, lecz nie był w stanie zmusić się do tego.

„Gdyby nie tamten pocałunek – myślał – byłbym czysty, sprawiedliwy. Wolny od winy, miałbym prawo pocieszać Helenę. Ona myli się, ale poniekąd ma słuszność”.

Ścieżki Milтона i Heleny rozłączyły się w lesie i zawędrowały tak bezgranicznie daleko, że nie mogły spotkać się nigdy. Obydwoje byli zbłąkani. Ona płakała samotnie. On nie potrafił zbliżyć się do niej. Pocałunek złożony na ustach Dolly przypieczętował jego los poczuciem winy; odciął wszelką możliwą drogę powrotu.

Wyszedł z muzeum za Heleną, która zbliżyła się zaraz do kanapy i pomogła wstać Maudie. Peyton chciała jej również pomóc, lecz była widać zawadą, bo matka odepchnęła ją mówiąc:

– Daj spokój, Peyton. Przestań mnie drażnić.

Poprowadziła Maudie w stronę wyjścia, natomiast Peyton nie ruszyła się z miejsca. Sztywno stała koło kanapy Milтона. Policzki miała zaróżowione.

Maudie odwróciła się w drzwiach. Podniosła rękę.

– Do widzenia, Peyton kochana. Do widzenia, papatato.

Peyton odpowiedziała życzliwym gestem. Loftis też podniósł rękę.

„Gdyby tylko... – myślał – gdyby tylko... Gdyby ona знаła całą prawdę, gdybym ja znał całą prawdę, moglibyśmy kochać się wzajemnie”.

– Staruszkule, ona nie pozwoliła nawet, żebym pomogła Maudie.

– Jest okropnie nerwowa. Wiesz o tym, maleńka.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie powiedziała słowa o moim powrocie do domu. Po prostu wyszła.

– Tak, maleńka – uśmiechnął się Loftis. – Potrafiłem ją przekonać.

Poprawiła mu krawat.

– Kup mi samochód na wyjazd do Sweet Briar – zmieniła temat.

– Jesteś za młoda.

– Kochanie, kup mi samochód!

Na szyi Loftisa pozostał duży, czerwony ślad szminki.

– Ty naciągaczko! Jaki to ma być samochód?

– Packard. Stary, poczciwy packard. Czerwony kabriolet.

– Zobaczymy.

Loftis uśmiechnął się i ruszył w stronę drzwi, bo miał nadzieję, że świeże powietrze rozjaśni zamęt w jego głowie.

Gdzieś za podjazdem krople deszczu kapąły smutno z drzew.

– Zastanowię się – powiedział. – A teraz zmykaj! Potańcz jeszcze.

Loftis słuchał ponurej rozprawy Chestera La Farge o wojnie oraz losach handlu spożywczego i nagle uprzytomnił sobie po prostu, jak gdyby w łunie olśnienia, że na tym świecie niepodobna odróżnić dobra od zła. Bodaj to wszyscy diabli! Co było, było – co ma przyjść, przyjdzie. Bezpieczny w obejmującym wszystko kręgu deterministycznej logiki, napił się i przycisnął kolanem kolano Dolly. Uczucie zawstydzenia minęło, a historia z Heleną wydała się mniej groźna.

„Mój synu – mawiał ojciec Milтона – większość ludzi, świadomie lub nieświadomie, idzie przez życie drogą prymitywnego fatalizmu, tylko poeci i złodzieje mogą powodować się wolną wolą, ale ci najczęściej umierają młodo”.

Bodaj to wszyscy diabli! Loftis poczuł, że wycierpiał już dosyć. Pociągnął łyk. Na tle jednostajnego monologu La Farge'a usłyszał szept:

– Jak się czujesz, najmilszy?

Znowu dotknął nogą nogi Dolly, spojrzął jej w oczy radośnie, z utęsknieniem, jak gdyby chciał wyrazić, że w jego życie wkroczyły niespodzianie miłość i radość, aby zapełnić pustkę panującą dotychczas z racji ich niedostatku.

– Sam prezydent może się podobać – gadał La Farge – ale, na Boga, nie można lubić jego famieli.

Loftis przechylił się do tyłu, wybuchnął gromkim śmiechem. Zawtórowały mu kobiety i zgodnym, wesołym chórem wszyscy śmieli się, trzęśli, przytupywali na kamiennej posadzce.

Zadowolony La Farge odsłonił zęby i niedbałym ruchem wysunął z rękawów mankiety.

– He... he... – zaczął – że tak powiem...

Ale w tej chwili, daleko w dół rzeki, syrena stoczni zawyła długo, bezdusznie.

– Wielki Boże! – pani La Farge zerwała się z krzesła.

– Jedenasta! Idziemy, Chet.

– Tak, lalczko, idziemy.

– Charlie jeszcze, zdaje się, pływa – podjęła pani La Farge. – Bądź tak dobry, Miltonie, dopilnuj, żeby go ktoś odwiózł do domu.

Loftis musiał dźwignąć się z krzesła.

– Oczywiście, Alicjo – powiedział wspaniałomyślnie.

– Z największą przyjemnością.

– Dobranoc... branoc... branoc.

Wszyscy rodzice wybierali się do domu. Jedni zabierali swoje dzieci, inni od niechcienia prosili gospodarza, by nie pozwolił Jimmowi albo Betty zasiedzieć się zbyt długo.

Loftis i Dolly zostali sami. Lampiony zaczynały mrugać, gasnąć. Liliowe cienie kładły się na tarasie. Butelka była próżna. Księżyc – wielki jak złoty dublon – wypłynął zza przelotnej chmurki i obojętnym blaskiem objął rzekę, trawnik i wiotkie niby pajęczyna kosmyki włosów Dolly. Obydwoje milczeli, próbowali odpędzać komary. W pobliskim zagajniku nawoływał lelek.

– Cóż – odezwał się wreszcie Loftis – niczego nie można być pewnym... nigdy.

Dolly spuściła wzrok.

– Co masz na myśli, Miltonie? – zapytała cicho.

– Zabawna historia... dokąd zawędrujemy w tym świecie – podjął.

Spojrzała znów na niego.

– Co takiego, kochanie?

– Ach, nic – roześmiał się cicho, wypił resztkę ze szklanki. – Czasami zastanawiam się, dokąd zmierzamy. Czasami...

Mówił coś o „głębi”, mówił coś o „bezkresnej nocy”, a Dolly – senna, podniecona, spragniona jego pocałunków – myślała leniwie, że Pookie nie potrafiłby rozprawiać o „głębi” ani „bezkresnej nocy”. Wiedziała, że Milton znów ją pocałuje. Noc spowijała ich wonią sosen i trawy, i morza – wielkiego odpływu za plażą, gdzie muszle, odłamki skały, rozmaite morskie stworzenia leżą w poświacie letniego księżycyca – smutne jak wszechświat. Ramię w ramię minęli pustą salę balową i w hallu napili się wody sodowej z automatu. Loftis stał niepewnie na nogach, ale schylił się i pocałował Dolly w czoło. W ciemnym muzeum golfowym skierował ją ku sofie, i po drodze – dobrze to zapamiętał – zdziwił się nieco, kiedy usłyszał jej szept:

– Najdroższy, kochany... Głębia, bezkresna noc...

Później drzwi syknęły raz jeszcze, odgradziły od wszelkiego światła pokój i drżące, na poły tylko chętne ręce Milтона.

Charlie La Farge miał szesnaście lat. Był średniego wzrostu, przystojny i włosy nosił krótko ostrzyżone, jak w tamtym roku nakazywała uczniowska moda. Pomyślnym przypadkiem dziedziczości uniknął ojcowskiego nudziarstwa i otrzymał nieco pogody ducha i humoru matki. W rezultacie nie odznaczał się niczym szczególnym, ale przynajmniej miał przyjemny charakter. W danym okresie żywił bliźniacze ambicje i chciał zostać komandorem porucznikiem, dowódcą okrętu podwodnego, a jednocześnie dyrygować orkiestrą jazzową. Sprzeczne marzenia potrafił łączyć tak, że dyrygenckie frywolności nie przeszkadzały poważniejszej stronie medytacji, które obracały się zwykle wokół podwodnych katastrof i heroicznej grozy bomb głębinowych. Niemało rojeń poświęcał też kobietom – często z krzywdą wspomnianych ambicji – niekiedy zaś tak go myśli o kobietach pochłaniały, że naprawdę pragnął tylko utracić cnotę. Piersi, łydki, uda malowały w wyobraźni chłopca zmysłowe obrazy – tym bardziej mgliste i oszalamiające, że nie miał dokładnego pojęcia, jakie wrażenie sprawia dotknięcie dziewczęcego ciała. Co prawda czternastoletnia siostra cioteczna z Durham, Isabel, pozwoliła mu pewnego razu musnąć dłonią – delikatnie i przez bluzkę – maleńkie, ledwie zarysowane piersi, ale przyniosło to tylko rozczarowanie. W letnie poranki Charlie budził się niemiłosiernie zgrzany, półprzytomny od mrocznych, wezbranych namiętnością snów, których

strzępki pokutowały na skraju świadomości. Z głuchym jękiem ulegał wówczas potajemnemu grzechowi (w dwunastym roku życia brał już za to w skórę od ojca), patrząc na rozchwiane lekkim wietrzykiem sykomory i stadka wróbli przelatujące hałaśliwie na tle nieba.

Przed rokiem Charlie La Farge zakochał się w Peyton. Pośród wszystkich znanych mu ładnych dziewcząt tylko ona nie brała udziału w porannych wybrykach. Kochał ją, więc była niedosiężna, nieskalana. Na swój sposób pielęgnował to oddalenie, wykluczał Peyton z grzesznych medytacji, wielbił ją, ubóstwiał. Mimo dziesiątków spotkań nie pocałował jej nigdy: lęk mu przeszkadzał. Rozstawał się z nią przed drzwiami, a następnie krążył wolno samochodem wokół jej siedziby i – nie pocałowany, zawiedziony, przybity – spoglądał smętnie w oświetlone okno. Miał nadzieję zobaczyć przelotnie tę, która przed kilkoma minutami wcale nie zwracała uwagi na jego dumne panowanie nad sobą, lecz mówiła zdawkowo: „Dobranoc, Charlie”, i lekko uściskawszy mu rękę, odchodziła. W takich przypadkach wracał do domu zabawiając się myślami o samobójstwie i szedł do łóżka umęczony, wstrząśnięty, dręczony nie znaną dawniej bezsennością! Słuchał popłakującej w sąsiednim pokoju małej siostrzyczki i w samotności snuł ulubione wizje. Oto po kilku latach szczęśliwego współżycia małżeńskiego z Peyton wynika jakieś drobne nieporozumienie. Ona odwraca się do niego tyłem, szlocha, przez okienko ich poddasza patrzy na wieże Manhattanu spowite płaszczem szarego jesiennego zmierzchu – zupełnie jak w filmie. Dziwaczny odbłask zdaje się wpinać w jej włosy złote szpilki. Gdzieś w głębi pokoju radio gra „Maria Elan” – płytę nagrałą przez jego zespół,

nim jeszcze poszedł na wojnę i objął dowództwo okrętu podwodnego. Peyton płacze zapatrzona w dal. On nie widzi jej twarzy. Jednakże przesilenie odbywa się cudownie prosto. On podchodzi cicho, kładzie dłonie na jej ramionach, odwraca ku sobie ukochaną.

„Peyton, najdroższa – mówi – ty nie możesz płakać”.

„Precz, brutalu!”

„Jedyna, ja cię kocham”.

„Tak... tak... Charlie! Nie będę płakać” – szepce Peyton i pokonana przemożną siłą jesieni, muzyki, miłości, pada z tłumionym okrzykiem w jego objęcia i przebacza, i zyskuje przebaczenie.

Tę najbardziej upadającą wizję obracał w wyobraźni, upiększał, zagłębiał, póki nie roztopiła się wreszcie w śnie. Inne marzenia miały za temat niezliczone bale, wspaniałe apartamenty hotelowe w Miami i wielkie, problematyczne całowanie.

Peyton była smukła w obcisłym kostiumie kąpielowym z czerwonego „lastexu”, który w świetle lamp łukowych lśnił niczym skorupa homara. Ociekająca wodą, opalona, stała na cembrowinie basenu i zdjawszy czepkę pływacki układała włosy. W płytkim końcu basenu Eddie Collins przysunął się do Charlie'ego i próbował go skłonić, by wybrał się z nim do zagajnika, gdzie czeka schowana flaszka whisky. Ale zapatrzonej w Peyton Charlie z roztargnieniem pokręcił głową. W tym momencie woda plusnęła głośno, rozległ się krzyk. To jakiś chłopiec wystrzelił niby foka nad powierzchnię basenu i gumową piłką trafił Peyton w głowę. Dziewczyna roześmiała się, odrzuciła piłkę i zaczęła naciągać włochaty płaszcz kąpielowy.

– Peyton! – zawołał Charlie, lecz muzyka z amplifonu, krzyki, plusk wody zagłuszyły jego głos, a Peyton w pantoflach na sznurkowej podeszwie przesunęła się wzdłuż basenu i zniknęła za występem skarpy.

Chłopiec wyskoczył z wody, osuszył się, naciągnął spodnie i sportową bluzę. Idąc za ukochaną w stronę budynku klubowego miał nadzieję, że przestraszy ją nagłą sówką w bok albo straszliwym indiańskim wrzaskiem, którym zyskał sobie niemałą sławę. Dziewczyna weszła na słabo już oświetlone główne schody i ruszyła w stronę hallu, lecz cofnęła się nagle, przystanąła na moment, zaczęła obserwować, nasłuchiwać. Charlie ukrył się za błotnikiem jakiegoś wozu, skąd widział, jak Peyton weszła do budynku klubowego i cicho zamknęła drzwi. Pośpieszył za nią, ostrożnie zajrzał do hallu. Była tam tylko Peyton i stara, otyła Murzynka poruszająca się ciężko z obładowaną tacą. Elektryczny wentylator mruczał dyskretnie. Jakiś owad uderzył głośno o szybę, tuż koło nosa chłopca. Stara Murzynka zniknęła, a Peyton podeszła ostrożnie do drzwi muzeum golfowego i delikatnie nacisnęła klamkę. Parę razy powtarzała tę czynność, lecz drzwi były widać zamknięte na klucz. Przez chwilę stała na miejscu z głową przechyloną na ramię, a była taka śliczna, że Charlie myślał tylko o pocałunkach, o miłości...

Odwróciła się wreszcie i ruszyła w jego stronę. Chłopiec ukrył się w cieniu, gotów do akcji.

– Hi – ho – wrzasnął, kiedy otworzyły się oszklone drzwi.

Peyton pisnęła cicho i z niebywałym wdziękiem padła w jego ramiona. Zaraz jednak cofnęła się gwałtownie. Była roztrzęsiona, wylękła.

– Charlie. Ach, Charlie... – szepnęła i po schodach zbiegła w ciemność.

„Co ja najlepszego zrobiłem” – pomyślał chłopiec.

Zaniepokoił się na serio. W swoim uregulowanym, drobnomieszczkańskim życiu nie widział nigdy na twarzy dziewczyny, ani otwarcie mówiąc, na żadnej twarzy, wyrazu równej grozy i rozpacz. Nagle zrozumiał. Stojąc pod drzwiami muzeum Peyton musiała usłyszeć albo zobaczyć coś mrożącego krew w żyłach, strasliwego.

Później, gdy inni chłopcy i dziewczęta rozjechali się do domów, Charlie począł gorliwie szukać Peyton, bo bardzo zależało mu na przeprosinach. Wreszcie znalazł ją pośród ciemności. Samotnie siedziała nad basenem pływakim.

– Peyton – powiedział.

Podniosła głowę. Jej twarz rozjaśnił blask księżyca.

– Oo... Charlie.

– Co się stało, laleczko? – usiadł obok niej i wymamrotał nieporadnie: – Słuchaj... bardzo mi przykro, że cię przestraszyłem. Ja wcale...

– Ach, nie o to chodzi...

– Więc o co? Powiedz swojemu Cholly... Co się tam stało?... w klubie?

– Nic.

Na wznak wyciągnęła się na murawie. On położył się obok i drżąc lekko, otoczył ją ramieniem, co stanowiło przyjęty obyczaj.

– Udana zabawa, laleczko – zagał rozmowę.

– Nie bardzo – odpowiedziała po chwili. – Nawet zupełnie nieudana.

– Daj spokój, mała. Jesteś niemożliwie ponura. Otrząśnij że się, dobrze?

Pocałować ją – to zaprzętało głównie jego myśli. Ale leżąc tak czuł włosy Peyton na podbródku, zdawał więc sobie sprawę, że jest za wysoko, za daleko. Stopniowo zaczął osuwać się niżej.

Peyton milczała.

– Kochanie... – zaczął.

– Cicho! – przerwała. – Nic nie mów. Tak mnie tylko trzymaj.

Zadygotał znowu.

– Dobrze, kochanie. Zawsze jestem do usług.

– Trzymaj mnie – powtórzyła.

Stało się! Gwałtownie pochylając głowę zaryzykował pierwszy, upragniony od roku pocałunek.

Odwróciła twarz.

– Nie – szepnęła i znów spojrzała na niego.

Z przerażeniem zobaczył, że dziewczyna płacze. Bliżej przygarnął ją do siebie.

– Nie płacz – powiedział. – Ja cię kocham, Peyton.

– Trzymaj mnie mocno.

Tyle się wydarzyło. Ona objęła go również i długo, cicho leżeli w letnią noc na opustoszałym terenie zabaw.

Hałdy i stosy śmieci zostały w tyle. Karawan i limuzyna sunęły teraz szosą równoległą do strumienia, który krętym biegiem przecinał śliczne łąki. Spokojny urok mącił tylko wyrastające za pobliskim bagnem zbiorniki gazu i ruiny opuszczonego browaru. Dalej, jak wzrok sięgnie, rozciągała się zatoka, rzeka i przesłonięte dymami odległe morze. W upalne południe chłopcy brodzili po łąkach i płyciznach polując na krewetki. Sitowie i bagienne trawy stały bez ruchu. Pobieliałe żebra próchniejącego czółna tkwiły półzagrzebane w piasku, wśród wyrzucanych przez fale szczątków drewna, muszel, wodorostów i zmiętych zielonych chorągiewek. Zawsze panuje tutaj smolista woń – wyraźny, silny zapach morza. W górze lotne skrzydła mew przechylają się ukośnie i prostują nad przepływającymi statkami. Słychać odgłos dzwonów na bojach i szum samego morza, gdzie w takie skwarne letnie południa topielcy przeciągają być może kości, płuczają je i ukrywają w głębi sięgającej wielu, wielu sążni. W sierpniu tłumy Murzynów zbierają się tutaj wokół Ojczulka Wiernych, który raz na rok przyjeżdża samochodem z Baltimore; pragną znaleźć pokój, odkupienie i zaznać oczyszczenia w morzu.

Kiedy limuzyna toczyła się pośród łąk, Dolly obserwowała coraz bliższe zbiorniki gazu. Trwożyły ją i raz po raz budziły okropną myśl: „On już mnie nie kocha”. Co prawda wstąpił po nią tego rana, ale wiedziała dobrze, że był to tylko akt rozpaczny – z przyzwyczajenia, a być może dlatego, że Helena nie chciała jechać. Przerażenie ogarniało Dolly, kiedy samochód podrzucił gwałtownie zjeżdżając w zagłębienia szosy, odruchowo wyciągnęła rękę, jak gdyby szukała oparcia na ramieniu sąsiada – zatrzymała ją jednak w pół drogi, bezwładnie opuściła dłoń na siedzenie wozu. Przymknęła oczy... Boże... Dobry Boże...

Człowiekowi dotkniętemu klęską pozostaje zazwyczaj jakaś nadzieja mająca na odległym, zamglonym widnokregu. Może to być prawdopodobieństwo miłości, spodziewane pieniądze, przekonanie, że czas leczy najboleśniejsze nawet rany. Ale Loftis zapatrzony w łąki był pozbawiony pociechy tego rodzaju. Miał wrażenie, że do cna wyczerpał depozyt życiowy, a serce skurczyło się w nim niby przedziurawiony balon. Nie patrzył na świat filozoficznie, nie pragnął tego nigdy, nie miał odpowiedniego przygotowania. Przykrości zwykł odprawiać śpiesznie, puszczając w niepamięć, a ponieważ dawniej potrafił w każdym przypadku tworzyć jakieś piękne nadzieje, nie musiał nigdy wierzyć w Boga. Helena... Naturalnie wróci do niego. Nie wątpił o tym. Przez moment wydało mu się, że na przeciwległym krańcu łąki, potężne kolumny pyłu strzelają w niebo, przesłaniają słońce, rosną i opadają olbrzymimi spiralami. Widział kępy chwastów i niebo, widział upiora.

„Będę ją pielęgnował – myślał. – Wyleczę. Powiem jej dzisiaj, że nasza miłość nie wygasła”.

Oblany potem zwężił oczy, jak szparki, opuścił powieki do połowy. Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Moja Miłość...

Nagle tuż koło szosy wyrosły z szuwarów zbiorniki. Powietrze cuchnęło tutaj gazem świetlnym i rybami. Karawan jechał coraz wolniej, nad jego maską unosił się obłok pary. Po chwili stanął, a pan Casper szarpnął hamulec ręczny i unieruchomił również limuzynę. Na drodze panowało jakieś zamieszanie; z dala słyhać było muzykę, śpiewy, radosne okrzyki. Tłum Murzynów w turbanach i białych szatach cisnął się dokoła kabrioletu cadillaca.

– Co to? – zapytała Dolly.

Ella Swan odwróciła się na składanej ławeczce.

– Ojczulek Wiernych – wyjaśniła szeptem.

Istotnie Ojczulek Wiernych stał na siedzeniu cadillaca i błogosławił rzesze. Uśmiechał się. Twarz miał czarną jak noc, lepką od potu. Ręką zataczał szerokie łuki, przy czym sześć pierścieni z brylantami rzucało blaski, a świecący cylinder i diamentowe spinki połyskiwały pięknie nad głowami tłumu.

– Aaa... – z gromady Murzynów dobyło się potężne, pełne czci westchnienie.

Grad banknotów dolarowych i drobnych monet obsypał Ojczulka Wiernych, jego auto, przyległy skrawek szosy.

Zagrała orkiestra; ryknęły instrumenty dęte, prym objął największy z bębnów: bas. Tłum śpiewał:

– Szczęśliwy jestem
BUM – BUM – BUM!
W moim Odkupicielu!
Szczęśliwy jestem!
Szczęśliwy jestem!
BUM – BUM – BUM!

– Murzyni mają tu jakieś święto czy inną szopkę – powiedział pan Casper. – Trzeba będzie zrobić okrażenie.

Karawan i limuzyna zjechały w kierunku bagna, zaczęły podskakiwać na drodze wysypanej miałem węglowym. Murzyni byli teraz w górze, na szosie: upojona, nie zważająca na nic masa powiewnych szat i czarnych ramion wzniesionych ku niebu. Ella Swan wychyliła się z okna samochodu i wymachując ręką nawoływała tęsknie:

– Hej... Hej, Ojczulku!

Limuzyna zarzuciła niepokojąco.

– Mój Boże – westchnęła Doiły. – Dokąd my jedziemy?

„Właśnie: dokąd? – pomyślał Loftis. – Czy ona musi wciąż pytać o to samo?”

Nad drogą wyrósł browar: chylące się ruiny baszty i blanki z cegieł. Powój, chmiel i inne pnącza porastały mury. Loftis wzniósł wzrok. W takie upalne letnie popołudnia, pachnące ślazem i mleczem, kiedy słoneczny żar kładzie się na ruinach, mali chłopcy budzą złowieszcze echa w opustoszałych halach i kamieniami starają się wybijać szyby, które zostały jeszcze całe po tylu, tylu latach.

– Dokąd jedziemy?

„Właśnie: dokąd? Jedziemy grzebać moją córkę, którą kochałem”.

Przy drodze stały teraz olbrzymie zbiorniki; rozśpiewany tłum zniknął za tymi rdzawymi kolosami. Ale Murzyni pojawią się znów rychło... Te zbiorniki gazu są stare, Bóg wie jak stare. Dokoła rośnie trujące ziele, kwitną przeróżne kwiaty: białe, błękitne, różowe. Ze szczelin w rdzy i odwiecznym żelastwie upojone żarem jaszczurki spoglądają na słońce. Loftis wzniosł wzrok. Zbiorniki, sędziwe jak czas, prastare, stoją tutaj, pośród bagien i chwastów i nad cudownym wybrzeżem Wirginii spoglądają ku morzu.

Do samochodu wtargnął słony podmuch wiatru. Z podłogi uleciały tysiące drobin pyłu. Zbiorniki przemknęły obok. Murzyni pojawili się znowu. Zabrzmiał śpiew:

Szczęśliwy jestem
W moim Odkupicielu!

O Heleno! Wróć do mnie.

Przez całą drogę do Heleny – albo ściślej, przez cały ranek – wielebny Carey Carr powtarzał w myśli: „Biedna Helena, biedna Helena...” Tylko tyle, gdyż w nieszczęściu tak druzgocącej miary nie mógł pomóc modlitwą ani pobożnością. Musiał stosować proste ludzkie podejście nieudolnymi ludzkimi środkami, a zatem myślał raz po raz: „Biedna Helena, biedna Helena”. Przed światłami kierunkowymi zboczył w stronę krawężnika. Szosa, opadająca tutaj łagodnym stokiem, lśniła wśród drgań rozgrzanego upałem powietrza. Chevrolet prawie wjechał na ścieżkę dla pieszych, więc wielebny Carey Carr szarpnął hamulec ręczny, rozejrzał się dokoła. Zegar na postumencie światel kierunkowych – neonowobłękitny w blasku południa – wskazywał, że minęła jedenasta trzydzieści, groziło więc spóźnienie.

Carey Carr nosił okulary. Miał podbródek przecięty rowkiem, pełne policzki i niezdecydowane, kobiece usta. W czterdziestym drugim roku życia wyglądał nadal bardzo młodo, ale pozornie naiwny i poczciwy wyraz jego twarzy nie na długo wprowadzał w błąd bliżej znające go osoby. Widać było, że ta twarz potrafi odzwierciedlać stanowczość i gwałtowne namiętności. W młodocianym wieku Carey Carr pragnął ogarnąć całe piękno świata i spotkał się z niepowodzeniem. Mając szesnaście lat chciał zostać poetą i mniemał, że jego niedostatek cech istotnie męskich to tragiczne, szlachetne poniekąd zrzędzenie srogiego losu. Był jedynakiem. Jego matka, wdowa, miała piękne, wilgotne oczy, delikatną cerę, drobne, subtelne rysy i usta z opuszczonymi kącikami, co nadawało jej taki wyraz, jak gdyby nieustannie przeżywała jakieś troski. Ale nie martwiła się naprawdę. Była łagodną, rozumną kobietą, nie pozbawioną staroświeckiego poczucia humoru. Careya kochała nad wszystko i rozwijała w nim przyrodzoną wrażliwość. Kiedy liczył siedemnaście lat, wyprawiła go do Lee pod Waszyngtonem, gdzie rezydował stary słynny poeta, gdyż chłopiec, przekonany, o własnym geniuszu, pisywał przez blisko rok sonety, w tempie jednego sonetu dziennie. Wyczerpany tym trochę, lecz pełen nadziei zawiózł staremu poecie swoje utwory – trzysta sonetów w czerwonej okładce – licząc nie na ocenę, lecz raczej na zachwyt i uznanie. Był to karygodny błąd. Poeta, zmęczony

życiem, podobny do wieloryba staruszek, ograniczał swoje problemy do jedzenia i ustawicznej gadaniny na temat studentów, których podejrzewał o perwersyjne skłonności. Nie pisywał już wierszy i prawdę mówiąc, darzył lekceważeniem wszelką poezję, z wyjątkiem własnej. Swoje dzieła deklamował w sobotnie wieczory kilku młodym wymoczkom, którzy siedząc wokół niego na podłodze, popijali leniwie sherry. Rozmowę z Careyem próbował rozpocząć oględnie, lecz w rezultacie brutalnie dał wyraz prawdzie i chłopiec dowiedział się, że jego sonety są rozpaczliwie nędzne. Postawił na nie zbyt wiele, więc katastrofa nadwerżyła jego zdrowie fizyczne i umysłowe. Przeżył to, co nazywano w owe lata „załamaniem nerwowym”, i matka wysłała go spiesznie z Richmond do sanatorium w górach Blue Ridge.

Tam Carey odzyskał nadwątloną siłę ducha, kiedy za radą matki począł czytywać Biblię. Góry przynosiły ukojenie i myśl chłopca wzleciała znów ku wyżynom, lecz w odmiennym kierunku. Z tym samym ogniem, który poświęcał tworzeniu sonetów, uwierzył, iż Bóg przebywa na niebotycznych szczytach. Miał wizję trwającą, jak zdawało mu się później, długie miesiące. Rozgorączkowana wyobraźnia ulatywała do nieziemskich królestw, wspaniałych dolin spowitych niby w dymy w ducha wieczności. Widywał blaski, które, jak miał ocenić w przyszłości, sąsiadowały z cudem, gdyż obejmowały światłość samych niebios. Należało jednak wracać na ziemię, więc Carey Carr postanowił zostać duchownym, odrodzić wspaniałe widzenia w życiu poświęconym modlitwie i ciężkiej pracy. Matka utwierdzała go w tej decyzji.

– Syneczku – mówiła, przy czym jej wilgotne, głębokie oczy łagodniały, a kąciki ust opadały ze smutnym wdziękiem – bardzo, bardzo mnie cieszysz. Twój dziadek był kapłanem, a dawniej jego ojciec.

Może liczyła, że dzięki misteriom teologii jeszcze silniej o władnie synem, zachowa go wyłącznie dla siebie. Omyliła się i tym razem, bo po kilku latach, wychodząc z seminarium w Aleksandrii, Carey był człowiekiem zupełnie odmienionym. Przybrał na wadze trzydzieści funtów, a dzięki zawziętym walkom z samym sobą nauczył się pływać i grać w piłkę. Ogólnie mówiąc, pozbył się cech zniewieściałych, a w miłym upojeniu świeżo nabytej dojrzałości pozwolił sobie nawet na gorącą miłość do młodej osoby, która pracowała jako sekretarka w seminaryjnej kancelarii. Wkrótce się z nią ożenił. W rok później umarła jego matka. Przed śmiercią bredziła w malignie, iż zwodzono ją i oszukiwano przez całe życie (nikt nie potrafiłby zgadnąć, do jakich spraw nawiązuje), i zaklinała Adrienne, swoją synową, by dbała o Careya i kochała go tak jak ona sama.

Wielebny Carey Carr od osiemnastu lat mieszkał w Port Warwick, gdzie był wikarym, a następnie proboszczem protestanckiego kościoła episkopalnego pod wezwaniem Świętego Marka. Miał trzy córki, a najmłodszej z nich, pięcioletniej Lindzie-Byrd, poświęcił przelotną myśl w czasie postojów pod światłami kierunkowymi. Poprzedniego dnia obchodził urodziny i obecnie czuł zapach „płynu po goleniu”, który dostał w prezencie od małej. Wąchał i wąchał, bo ta dyskretna woń i obraz córeczki stanowiły miłe urozmaicenie myśli smętnych i melancholijnych od rana. Nagle przypomniał sobie Helenę Loftis i twarz spoważniałą mu znowu, przybrała wyraz gwałtownej młodzieńczej pasji, która (choć duchowny nie zaryzykowałby podobnej definicji) odzwierciedlała szczególne, tragiczne połączenia. Była w niej rozpacz z racji niepodobieństwa stworzenia pełnego wizerunku Boga oraz oddanie – oddanie obowiązkom skromnym wprawdzie, ale pełnionym w miarę sił i możliwości.

Czerwone światła nie zmieniały się długo – można by sądzić przez kilka minut. Ciężarówka jakiejś pralni wyskoczyła zza samochodu pastora i kierowca, młody chłopak o muskularnych gołych ramionach i cofniętej dolnej szczęce, zahamował tuż obok z nonszalancką wprawą. Sąsiedzi wymienili obojętne spojrzenia, a Carey zdobył się nawet na cień uśmiechu, lecz młody człowiek odwrócił wzrok i zainteresował się tablicą rozdzielczą swojego wozu. Wobec tego pastor odwrócił się również, spojrzął na czerwone wciąż światła i autobus podmiejski, który włókł się przecnicą pośród skwaru, żeglując ku zachodowi, jak gdyby na trującej smudze fioletowych spalin z rury wydechowej.

Światła mrugnęły: „Naprzód!” – ciężarówka szarpnęła gwałtownie, wyprzedziła wóz pastora i zniknęła na rozstaju.

Pastor ruszył z miejsca. Pęd powietrza ostudził mu nieco twarz. Było bardzo gorąco i sytuacja przedstawiała się dramatycznie, więc Carey myślał: „Muszę... Nic nie pomoże” – i pędził szosą z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę.

Mieszkał w przeciwnej niż Loftisowie stronie miasta i rzadko jeździł do tamtej dzielnicy obraną dzisiaj drogą. Umożliwiała ona wprawdzie pośpiech, jeżeli komuś na tym zależało, była jednak brzydka i pastor uprzytomnił to sobie poniekąd. Asfaltowa szosa przecinała bagniste tereny, ani przemysłowe, ani mieszkalne, lecz zajęte przez podupadłe garaże, stragany z parówkami na gorąco, obskurne namioty, w których rozmaite „Madames Olgi” lub „Doriny”, przeważnie chiromantki, egzystowały nędznie między wizytami biednych, rozgorączkowanych, opuszczonych przez Boga neurasteniczek a okresowymi inspekcjami szeryfa. Wielebny Carey Carr zwrócił uwagę na taki właśnie namiot, ustawiony pod grupą drzew, i starą cudzoziemkę w fartuchu i wzorzystej fałdzistej sukni; kobieta obserwowała go zza sosny byстрыm, podejrzliwym wzrokiem, aby wycofać się po chwili.

Ale Helena... Co on powie Helenie? Bał się tego spotkania, zarazem jednak wiedział, że na całym świecie on może i powinien dać jej najwięcej pokrzepienia. Ale niepokoił się i martwił. Nie wątpił wprawdzie w głębię własnych uczuć i myśli, lecz z natury był powściągliwy i nieśmiały, więc mimo długich lat praktyki ulegał zawsze skrępowaniu w towarzystwie ludzi dotkniętych nieszczęściem. Nadmierna wesołość i otchłań niedoli – szczególnie ta ostatnia – zбивały go z tropu w sposób zbliżony. Wolał, by życie płynęło równomiernie, miło, i to z kolei stanowiło jedną z jego pomniejszych tragedii, gdyż zdawał sobie sprawę, że człowiek tak opanowany i chłodny z pewnością nie zostanie nigdy biskupem.

Nad zagajnikiem przemknął cień jastrzębia – czarna jak dym girlanda. Wydało się, że sosenki zadrżały lekko, lecz jastrząb zniknął za dachem stacji benzynowej, odleciał – czarny upiór o skrzydłach rozpostartych, niby coś ukrzyżowanego. Carey zerknął na zegarek i osądził, że musi się spieszyć. Nacisnął klakson i beztrąsko wyprzedził drugi samochód, chociaż trzeci nadjeżdżał z przeciwnej strony. Serce zamarło w pastorze, ale manewr udał się pomyślnie; kierowca trzeciego samochodu – otwartej półciężarówki – w przejeździe zacisnął pięść i krzyknął coś bardzo nieprzyzwoitego. Carey przestraszył się i zwolnił trochę.

„Niewiele brakowało... – pomyślał, a później znowu: – Biedna Helena... Biedna Helena”.

Dzień zapowiadał się okropnie. Ona nie zapłacze nawet. Oczywiście! Utraciła wszelką zdolność do miłości i rozpaczy – jak wysysane przez słońce źródło na pustyni. To właśnie jest najgorsze.

„Wielki Boże – medytował wielebny Carey Carr – muszę ukazać jej światłość. Muszę przywieść do zgody Helenę i jej męża. Panie! Daj mi wystarczające siły”.

Opanowało go potężne pragnienie czynu, oczy zwilgotniały od łez. W Niggertown, dzielnicy zamieszkaney przez Murzynów, mijał nędzne rudery obrosłe letnim powojem, mijał długie, senne korowody kobiet w fartuchach, sunących piaszczystymi ścieżkami. Zwolnił przezornie i począł rozmyślać o świętym Bernardzie.

– O miłości! – powiedział głośno. – Wszystko, co dusza-oblubienica prawi, mówi o tobie i o niczym więcej, opanowałeś ją bowiem całą wraz z sercem i językiem.

Jak podźwignąć Helenę? Jak ją uzdrowić? Jadąc przez Niggertown i dalej, rozmyślał tylko na ten temat. Był opanowany jedną myślą. Zmęczony otarł czoło, gdy skręcał na boczną, nadmorską drogę. W oddali, na zatoce, murzyński rybak samotny w swoim czólnie przyzywał wiatr przeciągłym, grobowym głosem: „Hej-ho-wiej! Hej-ho-wiej!” Wielebny Carey Carr pamiętał, że Helena przyszła do niego przed sześcioma laty, w październikowy, niedzielny wieczór, podczas deszczu. Na trawniku probostwa leżały oślisze, wilgotne kopki liści sykomor. Porywisty, lodowaty wiatr od rzeki budził w Careyu smętne myśli o nowym piecu centralnego ogrzewania i gorące pragnienie, by Bóg wysłuchał jego modłów i objawił mu się wreszcie – o ile to możliwe przed tegorocznym adwentem. Dla pastora był to okres poszukiwań samego siebie i nieokreślonej, mglistej melancholii. Niełatwo mówić o wierze ludziom, których i tak już nadwątlona wiara do cna wyparowała pod groźnym tchnieniem „kataklizmu kosmicznego”, jak to on sam określił w wygłoszonym z rana, skorygowanym nieco dawnym kazaniu. W grę wchodziły również kwestie osobiste. Termyty stoczyły prawie całe drewniane belkowanie w piwnicy– akurat pod stołowym pokojem, wobec czego myśli o rachunkach za remont zakłócały stale skromne posiłki w gronie rodzinnym. Było to tym przykrzejsze, że Carey odkrył szkodę niedawno, po beztróskim, przyjemnym lecie. Gromadziły się również inne

rachunki. Dwie starsze córeczki pastora przechodziły w tamtym roku rozmaite dziecinne choroby i wymieniały je z nieopatrzną szczodrością wczesnego wieku. Pediatrze należało się już dwieście czterdzieści dolarów, a prawdę mówiąc, wizyta, którą przed chwilą złożył ów lekarz, pogłębiła jeszcze bierną rozpacz pastora.

Stał właśnie przed frontowymi drzwiami. Adrienne zaprowadziła na górę dziewczynki, z których młodsza zaczynała niedomagać. („Nic poważnego – orzekł doktor. – Niech się państwo nie przejmują”). Carey z receptą w palcach stał na oszklonym ganku i ścigał wzrokiem niknące w mroku tylne światła doktorskiego samochodu. Przyszło mu wtedy na myśl – jak tysiące razy dawniej – że życie jest okropne. Człowiek wędruje przez nie, liczy, że coś się poprawi, czeka wciąż swobodnego od trosk, pustego dnia wypoczynku. Wie przecież, że szaleństwem jest spodziewanie się takich oszałamiająco dobrych czasów, mimo to jednak żywi nadal nadzieję, podsyca własne złudzenia. Wielebny Carey Carr szukał omackiem jakiegoś nabrzmiałego treścią zdania, lecz jego myśli zboczyły ku prozaicznej, mętnej modlitwie, której nie doprowadził nawet do końca. Spojrzał na trawnik, bulwar, rzekę. Ogołoczone z liści sykomory drżały na wietrze. Nikły promyk księżyca przebił oponę chmur, posrebrzył nadbrzeżne słupy, białe grzywy fal, maszty łodzi żaglowych wyciągnięte ku niebu błagalnie, niby srebrzyste ramiona. Cienie chmur przecięły, zaciemniły blade księżyc, który wydał się nagle zbyt dziki i ponury dla Port Warwick. Carey Carr chciał już wrócić do domu, lecz w tym momencie i w tym ponurym świetle pojawiła się Helena Loftis. Wysiadła z samochodu i pośród deszczu prawie biegła alejką.

Pastor podał jej rękę.

– Heleno – powiedział – co sprowadza cię w taką pogodę?

Nieopanowanym, nerwowym ruchem ściągnęła z włosów zieloną jedwabną chustkę i potrząsnęła nią, aż sypnęły dokoła drobne kropelki. Kiedy jednak weszła na stopnie ganku, roześmiała się i powiedziała niejasno:

– Tak przyszło mi na myśl, żeby się z tobą zobaczyć.

Wielebny Carey Carr był zdziwiony, zbity z tropu. Ale pomagając Helenie przy zdejmowaniu nieprzemakalnego płaszcza, rozpoczął rozmowę, jak gdyby wizytę parafianki, samotnej mężatki, o pół do jedenastej w nocy uważał za najzwyczajniejsze wydarzenie. Wstydził się nawet trochę, że jest bez marynarki.

– Cóż za miła niespodzianka – powiedział swobodnie.

– Adrienne bardzo się ucieszy. Zaraz ją tu sprowadzę. Jest teraz na górze, bo Carol...

Helena dotknęła lekko jego dłoni.

– Nie – przerwała stanowczo, lecz z tym samym rozbrajającym uśmiechem. – Adrienne może zostać na górze. Przyjechałam do ciebie.

– Aha...

Wielebny Carey Carr zdziwił się ponownie. Położył na stole płaszcz Heleny i pośród dosyć kłopotliwej ciszy wprowadził ją do swojego gabinetu. Był to narożny pokój z oszklonym wykuszem i boazerią z nieładnego dębu, który pod ciemną politurą sprawiał wrażenie pokrytego kopciem. Pastor uważał to pomieszczenie za surowe i przytulne zarazem, gdyż połączył w nim zręcznie cechy świeckie z duchownymi. Na przykład na jednej ścianie wisiała reprodukcja Velazqueza, przeciwległą zaś ozdobił aktualny biskup w sutej ramie i z autografem. Carey mógł tam pracować w odosobnieniu od rodziny albo po prostu myśleć. Na prostym jak skrzynia biurku stał srebrny krucyfiks, kupiony przed laty w Cantbury. Z okien roztaczał się bezlitośnie romantyczny widok na skrawek wybrzeża i wody zatoki, raz gładkiej i błękitnej, raz sfałdowanej groźnie podmuchami wiatru. Zarówno rzeka i zatoka, jak krucyfiks – każde na własny sposób – dawały niekiedy swojego rodzaju zadowolenie i napomykały mętnie o innym świecie.

Wielebny Carey Carr usadowił gościa i otworzył okno, żeby odświeżyć trochę zbyt ciężkie powietrze.

– Napijesz się czego, Heleno? – zapytał.

– Nie... Dziękuję – bąknęła i dodała żywiej: – Tak, tak, proszę... Odrobinę whisky na dnie szklanki. Bez wody.

– Służę – powiedział z uśmiechem. – Za moment przyniosę. Muszę też włożyć marynarkę.

– Nie trudź się, Carey... Po co tyle formalności?

Coś w zachowaniu Heleny (może jej nieopanowanie czy sposób, w jaki kręciła się na krześle) było niepokojące. Ale Carey roześmiał się bez przekonania i pogładził panią Loftis po ramieniu, nim zostawił ją z numerem „Life'u” i wyszedł, żeby przynieść trunki. W kuchni wysunął szufladę i nieporadnie zaczął szukać korkociągu między stosem ubijaczek piany, szufelek do lodów, łyżek. Był śpiący i dotychczas miał w głowie kompletną pustkę, nagle jednak doznał olśnienia: zdawało mu się, że odgadł cel zagadkowej wizyty. Nie był to naturalnie domysł wyraźnie sprecyzowany, bo czego mogła od niego chcieć Helena, żeby przyjechać tak nagle, późnym wieczorem, w czasie deszczu? Jednakże miał wrażenie, że wie coś niecoś. Krążyły przecież rozmaite plotki, a w trakcie zgromadzeń parafialnych pastor chwycił półsłówka i uśmieszki, które, jak zwykł mawiać małżonce, doprowadzały go do białej gorączki.

Ostatnimi czasy poczęto szeptać o Loftis ach i „drugiej kobiecie”. Pogłoski te drażniły Careya nie tyle z racji samych Loftisów, z którymi nigdy nie był blisko zaprzyjaźniony, ile dlatego, że podkopywały jego wiarę we władzę poczucia przyzwoitości nad naturą ludzką.

– Ostatecznie, mój drogi... – Adrienne rzucała słowa przez ramię na swój szorstki, niedbały sposób, rozczesując wieczorem piękne blond włosy pewnymi siebie ruchami kobiety światowej; takie maniery naprawdę doprowadzały Careya do białej gorączki, chociaż nigdy nie śmiał powiedzieć o tym żonie. – Ostatecznie, mój drogi, zdajesz sobie sprawę, że ten typ karygodnych wybryków nie należy do najnowszych wynalazków rodzaju ludzkiego. Alice La Farge puściła plotkę, bo w ogóle za dużo gada. Słowo daję! Powinna krępować się trochę w rozmowie z duchownym! Ostatecznie jednak prawie wszyscy wiedzą, a przynajmniej powinni wiedzieć, że Helena Loftis to istny kłębek drobnych nienawiści. Nie mogę powiedzieć, że bez zastrzeżeń potępiam Milтона. We Francji...

– Ale, Adrienne – przerwał surowo. – Nie życzę sobie takich wypowiedzi...

Później usiadł obok żony na taborecie przed toaletą i zaczął mówić długo, łagodnie, cierpliwie. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że Adrienne żartowała, bo to przecież nie Francja. Podkreślał już niejednokrotnie, że chlubę współczesnego Kościoła protestanckiego stanowi jego liberalizm, jednakże Adrienne nie wątpi chyba, iż dom rodzinny to świętość i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej... Adrienne przyznała, że naturalnie żartowała, i podczas przerwy w kazaniu uśmiechali się obydwójce.

Wielebny Carey Carr prawie zapomniał o tym drobnym wydarzeniu sprzed wielu miesięcy. Ale tamtego wieczora nawiedziły go trochę irytujące obrazy. Milton – przystojny, dobroduszny, wygadany... Poczuł doń lekką niechęć, bo mimo powtarzanych co dwa lata namów Loftis odmawiał z humorem uczestnictwa w radzie parafialnej, a nawet ostatnimi czasy przestał bywać w kościele. A Helena... Co może łączyć tych dwoje? Helena gorliwie i ostentacyjnie samotnie przychodzi w każdą niedzielę do parafialnej szkółki swoje dwie córki – te zdumiewająco różne między sobą dzieci. Wygląda na osobę rozstrojoną nerwowo, nieszczęśliwą, chłodną. Właśnie! „Chłodna.” To stosowne określenie. Przez krótki czas Carey myślał o Loftisach, później o Adrienne – kobiecie w gruncie rzeczy dobrej, prostolinijnej, pełnej tkliwych i ciepłych uczuć. Rychło jednak musiał zapomnieć o tym wszystkim.

Naciągnął sweter i zgasił światło w kuchni. Niosąc do gabinetu trunki – whisky dla Heleny, dla siebie trochę koniaku – medytował smętnie: „Gdybym był baptystą, wszystko zdawałoby mi się czarne lub białe, musiałbym wybrać grzech albo odzegnać się od niego”. Helena, która stała teraz przed oknem, odwróciła się szybko. Była spokojna, opanowana, obojętna, lecz Carey doniósł wrażenie, że płakała. Starał się tego nie widzieć.

– Siadaj, Heleno, bardzo proszę – powiedział zajmując swoje miejsce za biurkiem. – A więc, czym mogę służyć?

– Wydało mu się, że ostatnie zdanie zabrzmiało zbyt formalnie. – Masz jakąś sprawę czy chodzi ci o rozmowę towarzyską?

Sięgnęła do torebki po chusteczkę i głośno wytarła nos. Następnie pociągnęła whisky ostrożnie, z niesmakiem. Fotel skrzypnął głośno, kiedy pastor odwrócił się, żeby zamknąć okno. Na dworze gwałtowny podmuch wiatru poruszył kopkę liści, wirem rozmiótł je po trawniku.

Wreszcie Helena odezwała się tonem, który Carey mógłby uważać za flirciarski, gdyby nie poważne spojrzenie, jakim go zmierzyła.

„Ale zimna!” – pomyślał.

– Carey – powiedziała – czy nie czujesz odrazy do kobiet zranionych?

– Widzisz, Heleno – uśmiechnął się blade – niezupełnie rozumiem, co masz na myśli. Jako...

– Chodzi mi o to – podchwyciła – czy nie pogardzasz kobietami, które są dostatecznie głupie albo niezrównoważone, może jedno i drugie naraz, by nieustannie uganiać się na oślepi i szukać czegoś, co można by uchwycić. Rozumiesz teraz?

– Sądzę, że wiem już, Heleno, o co ci chodzi. Nie. Nie pogardzam kobietami takiego pokroju.

– Widzisz, kobiety takiego pokroju to kobiety zranione – umilkła, by dodać zaraz: – Tak je przynajmniej nazywam.

Odwróciła się, spojrzała w okno. Przez chwilę była zadziwiająco spokojna, refleksyjna. Ale postawa jej nie miała w sobie nic ponurego. Otwarcie mówiąc, Helena wyglądała tak ładnie, że Carey zadał sobie pytanie, ile ona może mieć lat? Chyba około czterdziestki... Sprawiała wrażenie naiwnej podobizny kobiety-profesora o nieosiągalnie pięknej cerze i spokojnych, dalekich oczach. Pastor zdziwił się, bo nigdy dawniej nie uważał tej kobiety za interesującą. Miał nawet ochotę pozwolić sobie na jakiś żart, lecz odwróciła się nagle i podjęła żalosnym tonem:

– Ach, Carey! Ja nie chcę być kobietą zranioną – rozpogodziła się nieco i zapytała: – Mogę ci wszystko opowiedzieć?

Pastor nie pochwalał tego gatunku współczucia dla własnej osoby. Jego matka cierpiała na podobną chorobę. Odpowiedział jednak:

– Bardzo proszę, Heleno. Mów o wszystkim, co cię dręczy.

– Od dawna chciałam, porozmawiać z tobą, Carey. Od bardzo dawna.

– Trzeba było przyjść do mnie, Heleno – przerwał.

– Przyszłabym, ale wszystko mnie trwożyło. W pewnym sensie bałam się samej siebie. Za długo nosiłam się z tym, milczałam, strzegłam tajemnicy. Widzisz, miałam wrażenie, że kiedy powiem, popełnię zdradę wobec siebie. Dręczyły mnie także inne bolesne myśli... Byłam zdania, że część winy leży po mojej stronie. Rozumiesz, Carey? Niecała wina – spojrzała mu w oczy i pastor odniósł wrażenie, że ta kobieta zna dokładnie sens swoich trosk, a jej trudność polega jedynie na właściwym doborze słów. – Niecała wina – powtórzyła z akcentem na wyrazie „niecała” – ale jej część wystarczająca, by doprowadzić mnie do obłądu, jeżeli będę uginać się za długo pod jej brzemieniem. Doktor Holcomb...

Urwała. Szybkim, nieoczekiwanym ruchem podniosła dłoń do szyi.

– Nie będę wymieniać nazwisk – zawołała. – Nie chcę.

– Szsz-aa... – syknął pastor, bo drzwi się uchyliły i do gabinetu zajrzała Adrienne w płaszczu kąpielowym i papilotach.

– Bardzo przepraszam – powiedziała pozdrawiając Helenę chłodnym skinieniem głowy. – Carol ma się dobrze. Już idę spać.

– Dobrej nocy – odrzekł Carey.

– Dobranoc, kochany.

– Dobranoc – powtórzyła Helena i kiedy drzwi się zamknęły, podjęła żywo: – Nikogo nie chcę wydać. Nikogo.

Carey podał jej ognia, gdyż sięgnęła po papierosa – już trzeciego od początku rozmowy. Trzymała go przy wargach niepewnymi, drżącymi palcami.

– Spokojnie, Heleno, spokojnie – powiedział. – Najprzód dokończ whisky.

Zastosowała się do tej rady, on zaś obserwował ją bacznie, a później, kiedy odstawiła szklanę, słuchał z uwagą. Helena była teraz spokojniejsza, żeby więc jej nie denerwować, Carey odwrócił wzrok, zapatrzył się w okno. Uporczywy, drobny deszczyk wypełniał noc. Z nagich konarów drzew ostatnie liście opadały nieskończonym szeregiem żałosnych spiral. Pastor odczuwał dziwne powinowactwo duchowe z tą kobietą. Na czym ono polega? Lekko zmarszczył czoło i z należyty skupieniem słuchał, gdy mówiła.

– Nie potrafię odpędzić myśli o nich, o Miltonie i pani X... Tak ją będę nazywać, bo nikogo nie chcę wydać, nawet jej, chociaż jest winna. Nie potrafię odpędzić tych myśli. To wystarczy, żeby przywieść człowieka do szaleństwa. Widzisz, Carey, wiem o tej parze bardzo dawno: najmniej sześć, siedem lat. A ja przez całe życie byłam bardzo wrażliwa na dobro i zło. Mój ojciec był oficerem i... To dziwne na swój sposób, ale rodzice odnosili się do mnie surowo, bez kompromisów, całkiem inaczej niż według przyjętych wyobrażeń winni postępować ludzie z kół wojskowych. Podczas wojny ojciec należał do sztabu Pershinga. Jego ojciec był kapłanem wojskowym i tatuś pozostał do końca życia człowiekiem głęboko religijnym. „Heleno – mawiał często – najdroższa córeczko, musimy twardo stać przy dobrem. Armia Pana nad Pany odbywa pochód. Najprzód rozgromimy Hunów, następnie przyjdzie kolej na szatana. Twój tatuś wie, gdzie szukać dobra...” Później odchodził zamaszystym krokiem, przy ostrogach i z pejczem, a mnie wydawał się żywą podobizną Boga. Żołnierze go uwielbiali. Zakorzeniał w nich bojaźń bożą przemawiając z siodła. Służył wtedy w kawalerii i nikt chyba nie potrafił dosiadać konia równie pięknie i władczo. Władczo! To najstosowniejsze określenie. Widzę wieczorny apel: Fort Myer, piękne lasy, rzeka o pastelowych barwach, żołnierze i ojciec na swoim wierzchowcu. Pamiętam, to był siwy wałach, nazywał się Champ. Tatuś mówił: „Nie myślę

tolerować w moim oddziale złego prowadzenia. Maszerujemy naprzód jak prawdziwi mężowie wojny, nie rozpustni grzesznicy”. Nazywali go „Peyton Krwawy, Świątobliwy”. Miałam wtedy szesnaście lat. Na placu alarmowym pożerałam go oczami. Żołnierze kochali mojego ojca, ubóstwiali.

Carey poruszył się w fotelu, zapalił fajkę. Czuł się trochę nieswojo.

– Był surowy, wymagający – ciągnęła Helena – ale dla mnie dobry. Wcześniej nauczyłam się odróżniać dobro od zła. Wszędzie, gdzieśmy mieszkali, chodziliśmy co niedzielę do kaplicy. Podczas hymnów patrzyłam spod oka na ojca. Śpiewał głośno, wspaniałym barytonem, a jego zawadiackie wąsy poruszały się energicznie, wymownie.

Ale do rzeczy. Widzisz, przez jakiś czas byliśmy szczęśliwi... Mówię o Miltonie i sobie. Nigdy nic nie wiadomo. Później było nas czworo. Mieszkaliśmy w kamienicy czynszowej, opodal stoczni. W każdą niedzielę jeździliśmy nad morze starym, rozklekotanym fordem. Wylegiwaliśmy się na plaży, zbierali muszelki. Pewnego razu samochód ugrzązł w piasku tuż przed powrotem do domu. Nie przejeźliśmy się tym wcale. Zostaliśmy na miejscu do siódmej czy ósmej wieczorem. Patrzyliśmy na zachód słońca, pili czekoladę z dziewczynkami. Maudie i Peyton miały wtedy pięć lat i cztery. To wielka przyjemność zostawić stary gruchot w piasku, wrócić na plażę i popijać czekoladę... Może nawet szczęście. Ale szczęście nie miało trwać długo. Nie potrafię przepędzić z myśli tych spraw... Muszę ci powiedzieć...

Już bardzo dawno Milton zaczął pić. Nie mam pojęcia dlaczego. Może przestał mnie potrzebować... Rozumiesz, co mam na myśli? Może powodem była Maudie, cały ten gorzki zawód... Czy ja wiem?... To okropne, okropne! Od początku podejrzewałam, że działa głównie drugi bodziec, lecz ostatecznie oba mogły występować z równą siłą. Dobrze wiesz, że nie jestem pruderyjna, lecz Milton pił nieustannie, a na domiar złego w tym właśnie czasie przestał chodzić do kościoła. Przyszłość widziałam jak na dłoni. Trudno wyobrazić sobie, co to znaczy stać beczynnym i patrzeć, jak mur zbudowany własnoręcznie, na pozór trwale i pewnie, chwieje się, wali, rozpada na pojedyncze cegły. Wszystko zaczyna się niespodziewanie, zaskakuje człowieka. Następnie postępuje stopniowo: każdy miesiąc przynosi nowy drobny szczegół. Wreszcie, pewnego dnia człowiek rozgląda się i widzi, że wznoszona tak pracowicie nie ukończona jeszcze budowla niknie, rozpływa się jak piasek w wodzie, odsłania zdradliwe ostre kanty. Człowiek ma ochotę okryć całe rumowisko płaszczem. Z początku nakazuje to duma, później nie chodzi już o zachowanie sekretu. Nie! Człowiek chwyta rozpaczliwie różne szczątki, próbuje uratować je, przesłonić jakąś przebiegle obmyślaną fasadą, naprawia i naprawia powtarzając raz po raz: „Niech to ustanie... Niech ustanie!”

Milton pił. Milton dziwacznie odnosił się do Maudie. Nie było to nic szczególnie ostentacyjnego... Nie! Musisz zrozumieć, Carey. Ale odrazą przejmowała obojętność wobec dziecka, brak zainteresowania. Jak on mógł tak postępować? Później przyszła tamta kobieta... pani X... Ona właśnie odarła mnie z rozsądku i poczucia przyzwoitości... Ona obnażyła mnie w najbardziej bezwstydnym sposób.

Helena mówiła dalej. Od dawna pogodziła się z trybem życia, w którym usiłowała jedynie przyjmować kolejne straty możliwie najgodniej, nie biadać, lecz dzień po dniu umacniać duszę nowymi bastionami, świeżą nadzieją. Przez sześć lat patrzyła na Milтона i tamtą kobietę, obserwowała jego nedorzeczne zachowanie, jak mogłaby obserwować muchę w pajęczej sieci. Zdawało jej się, że przebywa w jakimś ohydny lochu – obojętna na wszystko, wyniosła i tylko trochę smutna. Oni są z dala od siebie, a jednak dotykają się, jak gdyby czułkami. Ordynarna, sprytna baba i biedny Milton, który opanowany, urzeczony, daremnie próbuje wyzwolić się z potwornej matni. Muchy i pająki! Tajemne dreszcze. Helena rzadko widywała tamtych dwoje razem, lecz łatwo mogła wyczuć ich szarpaninę i rozdygotane, pełne upojenia dokonanie. Stało się. Ile razy? Tego nie potrafiła powiedzieć. Tamta kobieta odniosła zwycięstwo. Biedny, pokonany Milton!

– Nie można przecież smuć się z tej racji – ciągnęła Helena – skoro smutek należy do dalekiej, bardzo dalekiej przeszłości. Niech więc ci dwoje będą przekłęci. Niech Bóg raczy ich potępić. To grzeszne myśli, ale słuszne. Mam chyba prawo pragnąć, by oni utonęli we własnym brudzie? Ach, Carey! Nie zrozumiesz nigdy, jak dotkliwie jestem zraniona.

Dlaczego mężczyzna nie może trzymać się żony, która go kocha? To wielka niesprawiedliwość. Odczuwałam wstręt coraz silniejszy. Każdej nocy modliłam się, by grzech nie uszedł im bezkarnie. Grzech! Czy ja grzeszyłam również? Boże! Co to jest grzech? Czasami logika takiego życia dręczy mnie straszliwie i zaczynam wątpić, czy na tym świecie istnieje jakakolwiek nagroda lub kara. Czasami myślę, że życie to jedno wielkie nieporozumienie, a Bóg musi boleć głęboko, że pogmatwał wszystko tak beznadziejnie.

– Posłuchaj... – usiłował wtrącić Carey.

– Dwa tygodnie temu – ciągnęła Helena – po kolacji siedzieliśmy na trawniku pod wierzbami. Następnego dnia Peyton miała odjechać do szkoły, więc przez całe popołudnie pomagałam jej przy pakowaniu. Do Sweet Briar chcieliśmy wybrać się samochodem. Wszyscy czworo. Byłam zgrzana i zmęczona. Przed wieczorem pojechałam sama do miasta, żeby kupić Peyton kapelusz i torebkę. Z powrotem musiałam prowadzić wóz pod prąd tłumów. Wiesz, jak to wygląda. Ale po zimnej herbacie i kawie przyszłam do siebie jako tako. Widzisz, mniej więcej przed tygodniem, podczas zabawy tanecznej, którą urządziłam dla Peyton, miałam z nią ostre starcie. Długo się tym gryzłam, ale ostatecznie doszło jakoś do porozumienia i nie czułyśmy już wzajemnych uraz. Ba! Tamtego dnia bawiłyśmy się doskonale przy pakowaniu i obie byłyśmy podniecone z racji odjazdu do szkoły. Byłam szczęśliwa. Nie przeszkadzał mi nawet łagodny smutek, jaki przychodzi, gdy dziecko opuszcza dom po raz pierwszy. Siedziałam więc spokojnie – patrzyłam na wychodzące w morze statki, na drozdy, które żerowały pośród grządek... Rozumiesz, Carey? Zajmowały mnie takie rzeczy... Maudie poskarżyła się na ból głowy. Odprowadziłam ją na górę, dałam biedactwu aspirynę i kazałam, by poleżała trochę i zawołała mnie, kiedy odpocznie. „Dobrze mamusieczko” – odpowiedziała, wyciągnęła się na łóżku i w jednej chwili usnęła. Nigdy nie miała kłopotów z zasypianiem.

„Do rzeczy – pomyślał Carey.. – Do rzeczy...”

Ale słuchał w skupieniu. Helena opowiadała dalej. Przez chwilę stała bez ruchu przy łóżku, patrzyła na Maudie. Słońce już zaszło pozostawiając mglisty półmrok. W pokoju kładły się cienie. O piętro niżej Ella wyszła na ganek powłócząc nogami. Z oddali dobiegały głosy Milтона i Peyton, którzy gawędzili na trawniku. Nagle zadźwięczał śmiech. Nie było słycać nic więcej. Nie minęło jeszcze lato, ale w powietrzu pachniała jesień... Szczególnie czuć ją w tym okresie wieczorami, kiedy po zachodzie słońca zrywa się chłodny wiatr i z dębu spada pojedynczy liść, wiruje z cichym szelestem, jak gdyby tknięty czymś groźnym, niezwykłym, ostatecznym. Helena stała spokojnie, patrzyła na Maudie, rozglądała się dokoła, wodząc wzrokiem po omroczonej menażerii ściennej. Były tam świnki, kocięta, kaczki w marynarskich mundurach – obrazki pozostawione dlatego, że nadal bawiły Maudie. O zmroku jak gdyby nabierają życia i jeżeli patrzeć na nie wystarczająco długo, zdają się tańczyć, podrygiwać, wymieniać dyskretne ukłony. Helena przyglądała się obrazkom i miała wrażenie, że maleją stopniowo – najprzód w kątach sypialni, później nad łóżkiem. Rozfiglowane świnki, kocięta, kaczki kurczyły się pomалу, niknęły kolejno. Z ogrodu dobiegł wesoły głos Peyton: „Ależ, staruszkule! To wcale nie takie głupie!”

Przychodzi moment – słowo, barwa, tchnienie wiatru– i człowiek zaczyna powtarzać: „Życie jest znośne. Spokój może trwać, i to trwać długo...” Nagle rozumne refleksje nikną niby spadająca gwiazda. Przychodzą posępne myśli o śmierci i konaniu.

„Ależ, staruszkule! To wcale nie takie głupie!”

Maudie drgnęła, poruszyła się we śnie. Helena podeszła do okna. Widziała ich na trawniku pod wierzbami. Peyton siedziała na poręczu fotela Milтона. Przeglądali jakiś prospekt czy katalog. Córka głaskała ojca po głowie. Milton nie miał na sobie marynarki. Przez pręty oparcia widać było zacieki potu na koszuli pod pachami.

– Ona siedziała przytulona do niego, odwrócona do mnie plecami – ciągnęła Helena. – Była w szortach. Pod obcisłą bawełnianą tkaniną wyraźnie rysowały się jej biodra. Nagle przyszła mi do głowy wstrętna myśl, że to ciało, które na świat wydałam... Nie! nie powtórzę tego... Albo lepiej powiem... Że to ciało, które stanowiło część mojego ciała... Rozumiesz? Tuliła się do niego w taki sposób, że nie robiła wrażenia dziewczyny odnoszącej się do mężczyzn z całą... powiedzmy, naiwnością... Nie chodziło mi naturalnie o nią i o Milтона... Ale myślałam o tym. Tak! Myślałam! Niedługo Peyton będzie sama w Sweet Briar, z dala od domu, pozbawiona nadzoru... Łatwo może paść ofiarą jakiegoś wymoczka z uniwersytetu, chłopaka bez skrupułów. Takie nawiedziły mnie myśli. Cóż, jestem przecież matką. Przyglądałam się dalej Peyton i Miltonowi. Nienawidziłam ich z całego serca.

Helena nie pamięta, jak długo trwać to mogło. Papieros dopalił się w jej nieruchomych palcach; popiół spadł na parapet okna... Może pięć minut?... Za sobą słyszała równomierny oddech Maudie. Co się z nią wówczas działo? Czuła, że szatan stał opodal, kiedy patrzyła tam na męża i córkę, kiedy dopalał się papieros, a chłodna, złowieszczą cisza ogarniała dom, trawnik, dogorywające światło dnia, każde źdźbło trawy, każdy kwiat i krzew w zasięgu wzroku. Drozdy zniknęły. Drzewa stały bez ruchu. Diabeł szeptał: „Spójrz na tych dwoje i na ich grzechy. Pomyśl, jak cię zdradzili. Zdradzili ciebie i to biedne słabe serduszko, które bije za tobą i wkrótce bić przestanie. On jest ci niewierny. Ona przejawia najgorsze skłonności i karygodną niewdzięczność bezwstydnego dziecka”.

Helena obserwowała z okna męża i córkę. Miała wrażenie, że całe zło, cała nienawiść świata gromadzą się wokół tego domu i tego trawnika, sprowadzone przelotną chwilą zmierzchu. Było to uczucie nie do zniesienia, bo wiedziała, że ulega kuszeniu piekła, wiedziała, że winy tamtych dwojga nie są gorsze od jej własnych. Wówczas coś zaszło. W momencie gdy Helena usłyszała głos Peyton, zdawać się mogło, że czas stoi w miejscu. Wszystko zamarło w bezruchu. Ani jeden liść nie opadał. Za linią brzegu widać było nadciągające fale: nieskończone szeregi spienionych fałd, pokrywające zatokę od końca do końca, zmartwiałe, jak gdyby wyrzeźbione ze szkła. Wieczorny wietrzyk zastygł pośród konarów drzew. W dole Milton i Peyton siedzieli blisko siebie, nieruchomi niby posągi. Peyton miała podniesioną rękę, dotykała włosów w miejscu, gdzie padał na nie ostatni odblask wieczornej zorzy. Nic nie drgnęło dokoła, nie wydało najlżejszego szmeru. Tylko serce Heleny biło szybko, gwałtownie.

Nagle coś się wydarzyło. Wiatr zaszeleścił pośród gałęzi. Liść spłynął ku murawie. Z oddali nadbiegły nawoływania dzieci. W momencie kiedy fale poczęły znowu obmywać piasek plaży, Peyton otoczyła ramieniem barki ojca, on spojrzał w górę i obydwójce wybuchnęli śmiechem. Następnie pochyłili głowy, by wrócić do przerwanej lektury. Zdawać się mogło, że umysł Heleny to projektor filmowy, że taśmę zatrzymano na czas pewien, aby pokazać nieruchome szczegóły sceny. Zdawać się mogło, że taśma ruszyła ponownie w tej właśnie chwili. Helena powiedziała pastorowi, że jej gniew minął, lecz była przygnębiona, bo wiedziała, że zbliżone uczucia muszą wrócić, za pięć minut, dziesięć, za dzień, tydzień... Nie mogła przewidzieć terminu, na razie jednak doznała znacznej ulgi. Wieczorne światło odzyskało wdzięk i łagodność. Drodzy wróciły, zaczęły znowu pochylać się i prostować na grządkach kwiatowych. Peyton przekomarzała się teraz z Miltonem. „Wcale się nie przejmuję, staruszkule, tym, co ty mówisz” – usłyszała Helena. Odczuła nagły smutek i tęsknotę. Pocałowała Maudie i wyszła z domu, aby z mężem i córką usiąść pod wierzbami.

Wielebny Carey Carr dobrze pamiętał, że w tym punkcie Helena urwała, odwróciła wzrok z miną kogoś, kto zaczął opowieść po to jedynie, by zatrzymać się w połowie, bo nie może sobie przypomnieć zakończenia. Pochylił się do przodu, odchrząknął.

– A zatem, Heleno – powiedział – przeżyłaś moment głębokiej nienawiści lub, jak się wyraziłaś, kuszenia piekieł?

– Tak – przyznała po krótkiej pauzie. – Tak mi się zdaje.

– I czujesz, że zgrzeszyłaś, ponieważ uległaś pokusie, nie poskromiłaś gniewu?

– Tak... Po części... tak...

– Ależ, Heleno... – zaczął Carey tonem perswazji.

Był niezadowolony, że umilkła nagle, bo zdawał sobie sprawę, iż stać go tylko na banalne słowa pokrzepienia.

– Ależ, Heleno... Sprawa nie przedstawia się aż tak źle, jak sądzisz. Widzisz, wszyscy miewamy niedobre myśli. Pozwolę sobie na twierdzenie, że gdyby wystawić na publiczny widok stan umysłu przeciętnego człowieka... Zwróć uwagę, Heleno, powiedziałem „przeciętnego”... Człowiek ten zostałby momentalnie ukamienowany. Oczywiście z punktu widzenia zdrowia psychicznego lepiej kontrolować odruchy, odpędzać je, nim pokusa zdąży znaleźć pewne oparcie... Czytałaś kiedy Montaigne'a?

– Nie.

– No to... – zaczął i pomyślał: „Oto kobieta inteligentna i w pewnym sensie tragiczna. Ale dramat jej polega głównie na niedosyceniu, zapewne w sferze płci, jeżeli zatem podejść do niej po ludzku... cóż, zobaczymy...”

– No to – podjął – weź jego *Próby* i przeczytaj „O pewnych strofach Wergiliusza”. Montaigne pisze tam o korzyściach płynących z poskramiania demonów, zanim zdążą opanować umysł. To znaczy...

– Daj spokój! – przerwała. – Pozwól mi mówić, skończyć.

– Aha...

– Mogę mówić dalej?

– Tak... Naturalnie!

Podjęła swoje. Pastor odzyskał spokój – słuchał, przyglądał się jej w zamyśleniu. Dziwna kobieta, naprawdę dziwna... Ale to miło, że jego parafianka tak poważnie zajmuje się grzechem. Jak stąd wynika, nie wszyscy drzemią. To prawda, prawda! Tyle, ile wiedział o psychologii, wiodło do przekonania, że zbyt silne poczucie zła bywa często wynikiem infantylnych wzruszeń. W rezultacie powstaje prymitywny fundamentalizm, a zwłaszcza jego amerykańska odmiana, którą wolebnicy Carey Carr gardził. Był zdania, że tchórzliwy purytanin czy też tchórzliwy fundamentalista nie chce wyboru, wolnego z punktu widzenia religii, więc posługuje się szatanem, jak kozłem ofiarnym, i w ten sposób unika potrzeby dobrego uczynku. Powiada: „Diabeł mnie zmusił”, zamiast mówić: „Odwróciłem wzrok od Chrystusowego przykładu”, i dzięki takiemu negatywizmowi może popełnić każdą pod słońcem zbrodnię przeciw ludzkości i rozumowi. Ale Helena Loftis wydaje się inna. Mimo niepokoju emanuje czymś szczerym, mocnym, dociekliwym: budzi współczucie. Nie chce żadnych namiastek. Nie chce Montaigne'a. Doprawdy dziwna kobieta, a w każdym razie różna niż inne. Jej gadanina o diable zakrawa na bredzenie. Ale cóż, niech zachowa swój symbolizm. To w najgorszym przypadku czysta dziecinada. Pastor odbiegł daleko myślami, zastanowił się nad własną wiarą i zadał sobie pytanie, czy i on nie odczuwa niekiedy potrzeby symboli.

– Siedział przez jakiś czas pod wierzbami – ciągnęła Helena. – Robiłam na drutach. Ella przychodziła i wracała do domu; zbierała filizanki i nakrycia. Wreszcie Milton złożył stolik do kart, ruszył w stronę tarasu. Spojrzałam na Peyton. Siedziała skulona w fotelu. Czytała broszurkę, jaką szkoły wysyłają zwykle kandydatkom: co robić po przyjeździe, komu zaprezentować się przede wszystkim, różne przepisy porządkowe i takie rzeczy. Powiedziałam: „Myślę, że ten kapelusz doskonale pasuje do nowej sukienki”. Bąknęła tylko „aha”, więc dodałam: „Czerwony byłby też dobry, prawda? Zgadzałyby się z sukienką w tak pastelowym odcieniu”. W odpowiedzi usłyszałam znów „aha” – zdawkowe, obojętne, rzucone prawie nienawistnym tonem, do którego zdążyłam przywyknąć. Peyton odpowiadała tak czasami nawet Miltonowi. Nic dziwnego. Przecież psuł ją do szpiku kości. Widzisz, w ostatniej chwili przypomnieliśmy sobie, że Peyton potrzebuje nowego kapelusza. Trzeba go było kupić, więc pojechałam do miasta mimo upału i tłoku. Znalazłam nawet ładny, który od razu spodobał się Peyton. Ach, te jej impertynencje! Starłam się nie mieć urazy z tej racji. Jej specyficzny styl – myślałam. To jego wina. Często też powtarzam sobie: „Jest przecież młoda, bardzo młoda”. Powiedziałam: „Pamiętaj, moja droga, że co tydzień masz zmieniać prześcieradła tak, jak ci już mówiłam. Dolne trzeba zdejmować i wrzucać do worka na brudy, górne kłaść na spód...” Śmieszne drobiazgi,

związane z odjazdem do szkoły. Ale widzisz, bardzo się tym wszystkim przejmowałam. Peyton spojrzała na mnie, jak to ona potrafi – z kiepsko maskowanym lekceważeniem i powiedziała: „Na miłość boską, kochana mamo, słyszałam już wszystko o tych sprawach”. Tylko tyle. Później wróciła do przerwane go czytania. Stało się! Chciałam być tylko pomocną... To jego, jego wina! Niech i tak będzie... Postarałam się, żeby mój głos nie zabrzmiał nutą gniewu, kiedy mówiłam coś w sensie: „Tak, moja droga... To dobrze”. Następnie zwinęłam robotę na drutach, wstałam i poszłam w stronę grządek kwiatowych.

Chciałabym ci wyjaśnić, Carey, jak wiele znaczy dla mnie ogród. Kiedy przychodzi depresja, spieszę tam, jak umierający z pragnienia mógłby biec do źródła. Okopuję, grabię, pielęgnuję, a klęcząc na ziemi czuję, że jestem zrośnięta z czymś pewnym, trwałym, że nie należę więcej do rodziny. Byłam odwrócona tyłem do Peyton. Niebawem dobiegł z tarasu odgłos kroków Milтона. Później usłyszałam, że Milton siada ciężko obok Peyton. Usłyszałam też grzechotanie kostek lodu. Oczywiście świadczyło to, że on znowu pije.

– Droga Heleno – zaczął pastor, ale poprzestał na tym, ona zaś nie przerwała opowieści.

– Milton powiedział coś do Peyton. Później zaczęli gawędzić z ożywieniem o banalnych, zwyczajnych sprawach– jak ojciec z córką. Mniejsza o to, co mówili. Klęczałam przez pięć, może dziesięć minut. Zmierzch zapadał szybko, więc należało się spieszyć. Zanurzałam palce w ziemię, wyrywałam chwasty, kładłam je na rozłożonym obok papierze. Od czasu do czasu schylałam się, by wąchać kwiaty.

Ella Swan, już w kapeluszu, wyszła na ganek kuchenny. „Dobranoc państwu” – powiedziała cicho, na swój nieśmiały sposób. Peyton i Milton odpowiedzieli, Helena zawołała: „Dobranoc, Ella... Pamiętaj, że jutro rano będziesz mi wcześniej potrzebna”. Przyglądała się Murzynce, która stała na ganku zasłoniętym częściowo przez wierzby, stara, zgarbiona, wystrojona nedorzecznie w wieczorową suknię, którą ona nosiła w dwudziestych latach. Przypominała pomarszczoną małpę, przebraną do jakichś występów cyrkowych w jedwabie, chwasty, błyszczące paciorki. Zerkając na Helenę osłaniała dłonią oczy, chociaż słońce już zaszło.

„Pan Loftis musi jutro wyjechać wcześniej. Odwozi Peyton do szkoły” – dodała Helena. Powiedziała to rzeczowo, bez wyraźnej niechęci, tonem, jak jej się zdawało, najzupełniej właściwym, zarazem jednak na swój sposób wymownym, nie pozostawiającym wątpliwości, że żywi urazę do męża. Spodziewała się, że „pan Loftis” zrobił swoje.

– Widzisz, Carey – ciągnęła – wiedziałam już, że ostatnie nieszczęsne słowa przesądziły sprawę, że nie odwozę Peyton do Sweet Briar.

– Byłaś na nią obrażona? – zapytał pastor.

– Tak sądzę...

– Ale dlaczego, Heleno. Co właściwie Peyton powiedziała?

– Mniejsza o to. Pozwól mi mówić dalej.

Ella odpowiedziała: „Dobrze, proszę pani”, zaszurała nogami na zwirowanej alejce pod drzewami, odeszła. Helena wróciła do pielienia. Mąż ani córka nie odezwali się do niej słowem. Na plecach czuła brzemię ich milczenia. Pomyślała nawet, że wśród ciszy wymieniają znaczące spojrzenia. Wracało dawne, bolesne rozżalenie.

„Nie ulegnę – szeptała do siebie. – Nie ulegnę”.

Gracką tłukła w ziemię. Nagle uniosła wzrok, powtórzyła: „Nie ulegnę rozpacz”. Ujrzała fale na zatoce, niebo i wysoko nad Port Warwick chmury gorejące bursztynem i najczystszym odcieniem starego złota. Myśl jej zawirowała, ogarnęła drobną wizję przyszłości. To głupio, ale i bardzo łatwo wyobrazić sobie moment, kiedy czas wyczerpie się, niby serce starej kobiety, kiedy w słoneczne niedzielne popołudnie dom będzie pełen wnuków, a ona, szanowana i uwielbiana, odczuje ogólną miłość i będzie miała prawo mówić: „dokonało się, dokonało”. Takie nawiedziły ją myśli. Milton i Peyton milczeli nadal, ale nie było to już ważne. Patrzyła w dal, za plażę i zatokę, myślała: „Nie ulegnę! Bóg pozwoli, że to samo słońce rozjaśni spokój moich ostatnich dni, kiedy będziemy się znowu kochać z Miltonem, a ja będę stara, ale szczęśliwa, bo odzyskam także miłość Peyton. Muszę, muszę to zdziałać...”

Ale stało się. Helena spojrzała w dół. Dobrze pamięta, że uśmiechała się blado, była gotowa złożyć w ofierze dumę. Miała zamiar wstać, pójść pod wierzby, usiąść obok męża i córki. Spojrzała w dół i zobaczyła, że gracką przecięła korzeń krzewu granatu. Z gleby wychylały się dwa jego końce – obnażone, zielone, wilgotne, okaleczone niemilosiernie.

– Często zastanawiam się, Carey – ciągnęła – na czym polegają chwile, które rzucają nas w otchłań cierpienia. Ten krzew! Widzisz, klęczałam wtedy, starałam się nie ulec, szukałam Bożej pomocy. „Panie, naucz mnie kochać” – szeptałam. Doskonale pamiętam wszystko. Sądziłam, że zdołam podnieść się, odejść od grządek kwiatowych i z godnością, cierpliwie stawić czoła tym dwojgu, którzy mnie najdotkliwiej zranili. Chciałam okazać im miłość, dobre serce. Ale na przeszkodzie stanął nie tylko ten brzydki, krwawiący korzeń. W grę wchodziło coś więcej, coś, co za mną się działo: głos Peyton taki krnąbrny, ordynarny. Dobiegły mnie jej słowa: „Przestań mnie szczypać, staruszku”, a następnie jego zdanie: „Co ty pleciesz? To oburzające”, i znowu jej odpowiedź: „Nieznośny jesteś!” Później usłyszałam chichotanie, szepty...

Liczyło się to wszystko, ale nie to jedynie. Inny głos, najbardziej ukochany, nadpłynął przez mrok i dotknął mnie jak dłonią. Maudie stała w oknie. Obudziła się, kiedy rozmawiałam głośno z Ellą.

Helena odwróciła głowę i w tym momencie usłyszała słowa Peyton: „Ja ją sprowadzę, mamó”. Zanim zdążyła podnieść się lub tylko poruszyć, dziewczynka wstała z fotela i pobiegła trawnikiem. Helena otworzyła usta, dźwignęła się na nogi. „Nie. Poczekaj – zaczęła. – Na miłosierdzie Boże...” – urwała. Mogła jedynie patrzeć na te młode, smukłe, bezwstydyne nogi o kształtnych kolanach, posuwające się szybko przez trawnik w kierunku domu. Milton siedział rozparty w fotelu, nogi miał szeroko rozstawione, w rękę trzymał szklanę. Leniwie odwrócił głowę, by patrzeć śladem Peyton, która tymczasem zniknęła za drzwiami domu. Jego czerwony kark pęczniał, zdawał się rosnać, kiedy Helena biegła ku fotelom pod wierzbnami.

„Na miłość boską, Heleno! Co się stało?” – chwycił ją za ramiona, spróbował zatrzymać. „Puść mnie! – krzyknęła. – Jestem potrzebna Maudie. Nie chcę, żeby Peyton...” „Opanuj się. Co ty wyprawiasz?” Trząśł ją teraz, twarz miał czerwoną, wystraszoną. Jedną dłoń trzymał na ramieniu żony, drugą chłodną i wilgotną od szklanki – na karku.

„Puść mnie – wrzeszczała. – Muszę tam iść. To moje dziecko. Nie pozwolę Peyton...” Nagle poczuła się lepiej, spokojniej; zrozumiała własne szaleństwo. Pasja minęła. Milton próbował usadowić ją w fotelu, powtarzał: „Heleno, Heleno, na miłosierdzie Boże”. Po chwili dodał znacznie łagodniejszym tonem: „Biedactwo, taka jesteś przemęczona. Spokojnie... spokojnie, na Boga. Peyton zajmie się Maudie”.

Helena usiadła. Nie patrzyła na pochylonego nad nią męża. „Zabrudziłaś sobie czoło, o tutaj” – powiedział dotykając palcem jej skroni. Milczała, pamięta jednak, że myślała wtedy mętnie: „Tak, Peyton zajmie się Maudie. Nic mojemu dziecku nie grozi”. Nie przynosiło to należytej pociechy ni ulgi, bo wiedziała wprawdzie, że Peyton zajmie się Maudie, nie potrafiła jednak odpędzić szalonego, fałszywego wniosku: ona przywłaszcza sobie moje miejsce; nie dosyć, że prowadzi grę z Miltonem, chce także opiekować się Maudie... Pragnęła znaleźć się w domu, na piętrze, odepchnąć z drogi Milтона. Wolałaby jednak uniknąć gwałtownej sceny. Najchętniej wstałaby spokojnie i poszła do Maudie. Nie chciała jednak ujawnić swoich myśli, gdyż poczucie winy wróciło. Bała się nowego, wstrętnego starcia z mężem. Za dużo już mieli nieporozumień, stanowczo za dużo.

Milton był troskliwy, łagodny. „Pozwól, że to usunę, kochanie – wydobyl chustkę z kieszeni, otarł jej czoło. – No, już w porządku. Teraz uspokój się, dziecinko, odpocznij”. Jak on może zachowywać się w taki sposób, być tkliwy, udawać, że między nimi nic nie zaszło? Chciała wstać, poruszyła się nawet, lecz po zastanowieniu zmieniła zamiar. Nie zdradzę się wobec niego. I tak widział już dosyć. Unikając wzroku męża poprawiała się w fotelu. Nadchodziła noc i wiatr wraz z nią. Wierzby poczęły drzeć, szeleścić. Z domu dobiegały głosy Maudie i Peyton. Wreszcie Milton powiedział bardzo cicho: „Proszę cię, Heleno, uspokój się chociaż na dzisiejszy wieczór, do jej odjazdu. Jutro nie będzie tu Peyton”.

Więc Milton wie. To straszne! Pomyśleć, że ona nie brała nigdy pod uwagę tej świadomości męża. Przypomniał się jej urywek snu: gestykulująca postać lub raczej cień szalonej kobiety, która pojawia się zwykle tuż przed zaśnięciem. Później przysła myśl: „Skąd on może podejrzewać, że Peyton mnie nienawidzi? Zawsze byłam dobrą matką. Postępowałam słusznie”.

– Nie miał przecież powodu tak sądzić, prawda, Carey? – powiedziała Helena Loftis.

Pastor spojrział na nią. Zauważył, że potargala w strzępy prawie całą chusteczkę.

– Nie miał powodu, by sądzić, że Peyton mnie nienawidzi. Byłam wciąż blisko niej, ale nawet mnie nie przychodziło nigdy do głowy nic podobnego. To, co powiedział wtedy, było okrutne. Nieprawda, Carey?

– Jak z twoich słów wynika – odrzekł pastor – Milton sugerował raczej, że ty nienawidzisz Peyton. Czy to miałaś na myśli?

– Nie... Ja...

– Spokojnie, Heleno. Mów dalej.

Carey czuł, że kości zaczynają go boleć. Głośno wytarł nos.

– Cóż, powiedziałam Miltonowi, że ogromnie mi przykro, ale nie wiem doprawdy, co się ze mną dzieje. A on na to bez żalu i złości: „Myślę, że po prostu jesteś przemęczona”. Nagle przypomniałam sobie jego słowa: „Jutro nie będzie tu Peyton”. Jak można było powiedzieć coś podobnego? To nikczemne, okrutne.

Milton przykucnął koło fotela, łagodnie zwrócił się do Heleny: „Biedactwo. Nieraz przeżywaliśmy trudne chwile, prawda?” Zerwała się, odwróciła do niego tyłem. „Jak mogłeś powiedzieć coś tak okropnego? «Jutro nie będzie tu Peyton.» Zmęczyłam się pakowaniem i bieganiem po sklepach, a ty wyobrażasz sobie, że chętnie wyprawiam dziecko z domu, że jestem zadowolona. Tak sobie wyobrażasz, prawda?” Nie była w stanie nie powiedzieć tego. Milton położył jej dłoń na ramieniu. „Nic podobnego...” – zaczął.

– „Daj spokój!” – krzyknęłam. Pamiętam, że wtedy właśnie, bardziej niż kiedykolwiek tamtego wieczora, zapragnęłam powiedzieć mu o pani X, jego kochance, żmii, znieawidzonej kobiecie, szalonym cieniu z moich snów. „Daj mi spokój, Miltonie”. Żadne z nas nie powiedziało nic więcej, ale przeczuwaliśmy zapewne obydwójce, że coś więcej musi nastąpić. Wisiało to w powietrzu niewymierne i groźne, brzęczało pośród zmierzchu niby komary nad stawem – niewyraźnie i cicho, lecz zarazem zaczepnie, złowrogo. Było bliżej i bliżej, aby objawić się wreszcie. Bardzo szybki samolot o srebrzystych skrzydłach przemknął nad naszymi głowami i nurkując lotem opadł nad zatoką. Łoskot zmącił wieczorną ciszę. Jednocześnie zerwał się wiatr. Wierzby potrząsnęły jak gdyby pękami pogmatwanych batów. „Heleno” – zaczął znów Milton, ale słowa jego zagłuszył drugi samolot, który przesunął się za drzewami i pełen łoskotu, ognia, grozy podążył śladem pierwszego.

Pomyślałam: „Coś złego spotka Maudie”. „Heleno! – krzyknął Milton, wygrażając pięścią niebu. – Ci durnie! Przekłete, szalone bydlęta!” Jego szklanka upadła bezdźwięcznie na murawę. Biegając już spostrzegłam, że kostki lodu połyskują w trawie jak brylanty. W domu zapaliło się światło. Maudie leżała u stóp schodów. Śmiała się cicho. „To wcale nie boli, mamó – powiedziała. – Słuchaj. Samoloty”.

Zmartwiła z przerażenia uklękła przy niej. „Ona poślizgnęła się i upadła – zaczęła Peyton. – To moja wina, bardzo mi przykro. Ale było ciemno... Ja nie chciałam”. „Mamo, Peyton nie chciała – dodała Maudie. – Słuchaj. Samoloty”. Podniosła Maudie. Tymczasem nadbiegł Milton. Usłyszałam za sobą jego głos: „Chwała Bogu! A myślałem już, że coś się stało”.

Helena mówiła dalej. Opowiadała pastorowi, że kolejny samolot przyłączył się do procesji na niebie. Aż dom drżał od łoskotu, jak gdyby tartaczne piły spływały z nieba na skrzydłach jakiegoś drapieżnego ptaka. Później groźne maszyny odleciały, pozostawiając nad zatoką prawie melodyjny pogłos, który zamierał, cichnął, powracał znowu, aby wkrótce rozproszyć się zupełnie. Klęcząc obok Maudie spostrzegła na jej łydce siniec, mały co prawda, lecz w jej oczach ogromny, przerażający. Jak w marzeniu sennym sprawdzały się złe przecucia. Był to jednak skutek szaleńczych win i błędów. Spojrzała przelotnie na Peyton: szorty, smukłe opalone łydki, znowu bezwstydne biodra. Wszystko to niegdyś jej, teraz stracone. Peyton odjeżdża. Ale coś przeszkadzało Helenie powiedzieć właściwe słowa.

– Mimo wszystko, Carey, uległam – ciągnęła. – Uległam swojej dumie, bólowi, obrzydliwemu samolubstwu. Wstałam i otaczając Maudie ramieniem, zwróciłam się chłodno do Milтона: „A jednak coś się stało, Miltonie. Nie mówiłam ci? Peyton pozwoliła upaść Maudie. Muszę zostać z nią w domu”. Odwróciłam się i bez słowa więcej poszłam na górę.

Carey przypomniał sobie, że po zakończeniu przez Helenę pierwszego rozdziału jej opowieści miał ochotę zapytać: I cóż z tego? Nie chciał pochopnie formułować sądów, ale jego początkowe współczucie zmalowało skutkiem silnego rozdrażnienia. Miał przed sobą kobietę, która nie została oszukana przez życie, lecz była zanadto samolubna, zbyt harda, aby pójść na zwyczajne kompromisy, nieodzowne dla szczęścia. Nie znał bliżej Heleny, był jednak gotów zaryzykować twierdzenie, że jest ona równie zabójczo nudna. Nic dziwnego, że życie wydaje się jej pułapką. A przecież w swoim czasie musiała tylko zdobyć się na nieco wyrozumiałości i chociażby brać pod uwagę możliwe następstwa. Powiedział jej coś w tym sensie. Usiłował być bezstronny, ale, jak myślał później z niesmakiem, wypadło to cokolwiek sentencjonalnie. Kiedy umilkła, najwyraźniej przygnębiona i zmęczona, pastor odwrócił wzrok i bębniąc palcami o bibularz, zapytał:

– Czy Maudie zraniła się poważnie?

– Nie... Nie sądzę...

Pastor pomyślał: „A więc o co chodzi?”, i podjął bez przekonania:

– Cóż, Heleno, jest przysłowie: „Jak odrobina drożdży poprawia jakość chleba, tak miłość wyrasta dzięki drobnym życzliwościom”.

Otwarcie mówiąc, była to przypowieść kiepska i wymyślona na poczekaniu przez pastora, który nie ufał nigdy własnemu zdaniu, wołał więc cytować urojone źródła. Brzydki obyczaj, ale stosunkowo nieszkodliwy. Po długiej, grobowej ciszy, wezbranej męką i niepewnością Helena powiedziała:

– Pewnie masz rację, Carey. Ale wydaje mi się, że jesteś taki jak wszyscy.

– Co przez to rozumiesz, Heleno? – zapytał miękko.

– Nie! – ożywiła się. – Jesteś inny niż wszyscy. Z tobą pierwszym mogłam mówić otwarcie.

– Zapewne...

– Mówię okropne rzeczy, prawda?

– Nie.

– Powiedziałaś „nie”, bo jesteś wyrozumiała, dobry.

– Nie, nie, Heleno. Zastanów się. Pomogę ci tak, jak zdołam. Nie po to jestem tutaj, by sądzić i skazywać. Powiedziałem „nie”, ponieważ... Dobrze! Przypuśćmy, że to słowo cofnę. Nie chciałem dać do zrozumienia, że brak ci serca czy życzliwości. Widzisz... Może twój sposób mówienia wpłynął na mój fałszywy pogląd, że jesteś zapewne... że jesteś trochę samolubna. Albo przynajmniej robiłaś takie wrażenie przy okazji, o której opowiadałaś. Coś w takim sensie...

Cóż innego mógłby powiedzieć wielebny Carey Carr?

– Zmierzasz do tego...

– Zmierzam do... Ach, Heleno! Nie wiem, do czego zmierzam – westchnął bezradnie. – Może do tego, że sprawy nie przedstawiają się zapewne aż tak niedobrze, jak to na pozór wygląda.

Przymknęła oczy. Palcami dotknęła czoła.

– Liczyłam, że może potrafisz mi pomóc – szepnęła.

Biedna kobieta i osobliwa sytuacja. W dniu, kiedy kapłan czuje się osamotniony, kiedy pragnie jedynie służyć duchowym przewodnictwem, przychodzi ktoś, komu gwałtownie potrzeba pomocy – wszelkiej pomocy, jakiej kapłan udzielić potrafi. I co może powiedzieć tej osobie? Właściwie nic. W trakcie niedługiej pauzy wielebny Carey Carr skoncentrował wszystkie myśli na czymś zewnętrznym, wyższym od niego, i sam pomodlił się gorąco o przewodnictwo duchowe.

– Czy wierzysz w Boga, Heleno? – podjął wreszcie.

Wolno podniosła wzrok i odrzekła nadspodziewanie opanowanym tonem:

– Tak. A przynajmniej chcę wierzyć.

– To jest już walką i lepszą częścią przyszłego triumfu. Bóg ma potężnego przeciwnika w szatanie... – Pastor umilkł na moment, pomyślał: „Ona to wie... wie z pewnością, co bardzo się jej chwali”. – Według słów hymnu „moc i potęga szatana jest wielka, zbrojna w okrutną nienawiść” (tej cytaty był pewien), Bóg najwspanialej nagradza tych, co walczą rozpaczliwie, których bój w najczarniejszej godzinie wydaje się beznadziejny, bo oręż ich stanowi jedynie wiara. Wiara może wydawać się krucha, atoli bez niej nic niepodobna osiągnąć.

Pastor pochylił się do przodu. Odczuł niewymowną ulgę. Był tak pewien prawdy swoich słów, że musiał podzielić się tą pewnością z Heleną:

– Czy to nie śmieszne – ciągnął – że mogę mówić do ciebie w taki sposób, w wieku takim, jak nasz?

Przecząco pokręciła głową, chciała coś wtrącić, lecz on mówił dalej:

– Wybacz mi szczerść, ale... Słuchaj, Heleno! Pamiętaj, że nasz wiek jest tylko chwilą w czasie, który obejmuje bezkresna miłość Boga. Diabeł, jeżeli przyjmujemy tę nazwę, krąży dzisiaj po świecie nie inaczej, niż krążył dawniej. Ilekroć bywał ostatecznie pokonany, rozgromiony, powstawał z tym większą mocą, by na próbę wystawiać naszą wiarę. Jeżeli przeżywamy złe chwile i szatan wydaje się nam potężniej zbrojny, poszukiwanie walki daje nam tym podniosłejsze upojenie, tym większą radość. „Odbyłem chwalebne boje, dokonałem swej drogi i zachowałem wiarę, a zatem słusznie należy mi się korona sprawiedliwych”. Heleno! W słowach tych nie ma nic głupiego lub aroganckiego, nic przeciwnego rozumowi. To hołd złożony wierze, sile ducha i miłości dla samego siebie, która stapia się z miłością innych i bezkresną miłością Boga.

– Kim jest Bóg? – odezwała się Helena po chwili milczenia.

Czy można sobie wyobrazić coś prostszego, bardziej naiwnego i trudniejszego do zrozumienia?

– Bóg to miłość – odrzekł wielebny Carey Carr z niejasnym uczuciem triumfu, a jednocześnie smutku.

Helena odwróciła wzrok.

– Może ty go znalazłeś? – powiedziała trochę oskarżycielskim tonem.

– Znalazłem – skłamał bez premedytacji.

Czuł przecież, że od dwudziestu lat prowadzi wojnę z prostymi, dotykalnymi formami zła, które w sumie dają Zło pisane dużą literą. One właśnie dręczyły go i w marzeniach sennych stwarzały płomienne wizje ziemskich okropności i potępienia wiecznego. Mógł rezonować. Mógł powtarzać: „Takie rzeczy zdarzają się wszystkim...” Miał na myśli własne łakomstwo, z którego racji utrzymywał ciężką wagę i cierpiał na niestrawność, miał na myśli drobne dowody skąpstwa... Mógł rezonować, ale wiedział, że takie właśnie małe pokusy odcinają go na zawsze od Chrystusowego pokoju, że one pędzą go nocą po ciemnych schodach, przejmują lękiem, dotykają niby niewidzialną zimną ręką nawet wtedy, gdy z hallu mruga zbawcze światło. Ale on walczył i walczy zarówno z pokusami, jak i z nieokreśloną, głupią, mistyczną trwogą. Walkę uważał za coś bardzo istotnego, sądził więc, iż ma prawo skłamać wobec Heleny, bodaj dlatego, by zbudzić w niej wiarę, że dla łaski Chrystusa Pana możliwe jest wszystko.

Ale nawet to nie przyniosło Helenie choćby chwilowej ulgi. Wielebny Carey Carr pamiętał, że jak gdyby nie zauważyła jego przemowy, w dalszym ciągu sondowała płycizny własnej rozpacz. Wprowadzała go w zakłopotanie i od czasu do czasu zarażała niepokojem. Dawno minęła północ, a oni siedzieli wciąż w gabinecie pastora. Wreszcie Adrienne zawołała z piętra stłumionym, gniewnym głosem: „Carey! Czy ty nigdy nie pójdziesz spać?” – co przeszło bez wrażenia. Helena nie podnosiła teraz głosu – niezawodnie była zmęczona. Robiła pauzy jedynie po to, by zapalać niezliczone papierosy, lecz nawet wtedy nie przestawała mówić, a urywane, trochę chrypliwe słowa dobywały się z jej ust wraz z cienkimi spiralami dymu. Opowiadała, jak następnego dnia poszła na spotkanie z Dolly Bonner. Uparcie i litościwie nazywała ją panią X i Carey rzeczywiście nie wiedział, o kim mowa. Tożsamość Dolly odkrył dopiero w rok później, kiedy plotki obiegające miasto nie mogły już ominąć nawet pastora. Wówczas potrafił odtworzyć ową niemiłą scenę. Co prawda nie znał Dolly, lecz jej wszędobylska, uśmiechnięta fotografia pojawiała się w lokalnej prasie, ilekroć Zarząd Czerwonego Krzyża czy Komitet Miejskiego Funduszu Społecznego znajdowały najbardziej bodaj błahy pretekst, by przejawić aktywność. Współczłonkinie z reguły prosiły wtedy Dolly (panią Sclaterową Bonner), by zechciała przewodniczyć zebraniu albo sprawować jakąś inną odpowiedzialną funkcję.

Wielebny Carey Carr pamiętał tę fotografię i później, kiedy dowiedział się, kim jest pani X, widział oczyma wyobraźni to, o czym usłyszał od Heleny tamtej nocy. Dwie przystojne kobiety siedzą naprzeciw siebie w południe, w gorącej herbaciarni. Dzięki nabytemu w dzieciństwie lub wyuczonemu później dobremu wychowaniu panują nad bolesnym nurtem utajonym pod powierzchnią uprzejmych, ironicznych, nienawistnych słów. Jednakże pierwsze niestosowne zmruczenie powiek może uwikłać jedną i drugą w nawet publiczną awanturę o władanie Miltonem Loftisem, który jest o tej porze w połowie drogi do Sweet Briar.

Helena opowiadała, jak tamtego wieczoru zaprowadziła na piętro Maudie. Otóż odwróciła się raptownie i wyszła z hallu trzymając córkę pod ramię, lecz za plecami wyczuwała prawie dotykalnie milczące zdumienie Miliona i Peyton – niby zwisającą w drzwiach kotarę z ciężkiej tkaniny. Na górze obejrzała nogę córki i odkryła niewielki zielonawoniebieski siniec poniżej kolana, w miejscu, którym Maudie zawadziła o balustradę schodów. Podczas oględzin kaleka chichotała, jak gdyby siniec wcale nie istniał.

Helena stała pochylona nad łóżkiem Maudie i w tym momencie nawiedziła ją obrzydliwa myśl: „To nie był tylko brak uwagi”. Siniec wyglądał niewinnie, mimo to jednak przyniosła z apteczki opatrunek i jodynę nie zapominając także o aspirynie. Rozdrażnił ją ponury widok flaszeczek i bandaży na kapie łóżka. Z biegiem lat narzuciła sobie wysiłkiem woli niezwykłą troskliwość o Maudie – styl niedorzecznego wyolbrzymiania wszelkich jej najdrobniejszych krzywd i niedomagać – obecnie więc nie tylko chciała pomóc córce, lecz również w przystępie paniki szukała kogoś odpowiedzialnego za siniec. Naturalnie! Peyton, o której na pewien czas zapomniała. „To nie był tylko brak uwagi” – szepnęła i przemywając zadrapanie roztworem kwasu bornego, rozwijała myśl pracowicie: „Mała diablica! Za wszelką cenę chciała dowieść swojej niezależności. Może nie działała rozmyślnie, ale to nie był tylko brak uwagi”. W tym punkcie przeprowadziła wyraźną granicę między pierwszą a drugą częścią ostatniego zdania, chociaż zdawała sobie sprawę już w momencie formułowania wniosków, że są one niesprawiedliwe i błędne. Sądziła, że Peyton mogła nie zaplanować upadku siostry, lecz w wyniku podświadomych procesów pozwoliła jej upaść przez zemstę albo chcąc dowieść swojej samodzielności, albo dla czegoś innego. „Nie! Ach, nie!” – pomyślała zaraz, bo uprzytomniła sobie (i podczas rozmowy powiedziała o tym pastorowi), iż takie podejrzenia mogą

świadczyć jedynie, że ona jest złą, niewyrozumiałą matką. Rozdygotana pobiegła do łazienki i zmoczyła ciepłą wodą wielki kłęb waty, aby obmyć nim „ranę” Maudie. Nagle przypomniała sobie, że zadanie spełnił już roztwór kwasu bornego, a więc wrzuciła watę do miski ustępowej i przez moment patrzyła, jak tampon rozwija się, pęcznieje. Później spojrzała w lustro, na własną wędną urodę. „Nie mogę się skoncentrować – pomyślała. – Nie mogę!”

Istotnie miała pustkę w głowie. Podeszła znów do łóżka, rozebrała Maudie i ustawiła w kącie but ortopedyczny. Wreszcie pocałowała córkę i wymknąwszy się ukradkiem, zamknęła się na klucz w swoim pokoju. Duszno tam było i pachniało chemikaliami. Helena przypomniała sobie, że krótko przed kolacją rozpyliła flit, gdyż jesienią komary stawały się ruchliwe i jadowite. Od kilku dni obserwowała ich atak i przygotowała dom do obrony. Własnoręcznie zaopatrzyła dom w siatki i we wszystkich pokojach umieściła rozpylacze. Komary, brunatne, duże jak owoce morwy, nadciągały chmarami o zachodzie słońca z nadbrzeżnych rozlewisk i sadzawek. Roily się tam, aby wyruszać do ostatniego szturmu przed porą umierania, którą zapowiadały już nieśmiało, chłodne podmuchy i subtelne rdzawe zabarwienie bagien.

Helena zapaliła lampkę nocną i wstrzymując na chwilę oddech otworzyła okna. Później rozebrała się, narzuciła szlafrok, posmarowała twarz kremem i upięła włosy. W łóżku zapaliła papierosa, a popielniczkę umieściła pod ręką na kołdrze.

Później, w rozmowie z pastorem, wyraziła zdziwienie, że przez cały ten czas dławiała w sobie irytację ostatniej godziny. Dopiero kiedy nakryła się kołdrą, ułożyła wygodnie na poduszkach i sięgnęła po numer „Dobrej Pani Domu”, uprzytomniła sobie, ile kosztował ją wysiłek niemyślenia, jak męczące było to napięcie. Czytała z trudnością, bo miesięcznik drżał w jej rękach. Odłożyła go i przez kilka minut patrzyła półprzytomnie na kolorową reklamę parówek ruszających się w obrzydliwym czerwonym sosie. Miała wrażenie, że robi się jej słabo od tego właśnie widoku. Nagle – to również uważała za dziwne – pomyślała, że zachowała się bardzo właściwie, z należytą dozą godności. Wspominając najświeższe wydarzenia osądziła, że Milтона potraktowała w miarę wyniośle i oschle, gdy u stóp schodów dała mu do zrozumienia, że następnego rana woli zostać w domu. Rozdygotana leżała w łóżku, a wszystko to płynęło w jej myślach ciepłym, przyjemnym nurtem, jaki zazwyczaj rodzą medytacje o drobnych triumfach. Dziwne, bardzo dziwne. Może to diabeł, czy jak go tam nazwać, działał z ukrycia podsuwając chełpliwe, niedobre myśli? Może ukryty za sceną, niewidzialny, suflera wał mimo wszystko? Tak czy inaczej, Helena była wtedy zupełnie zadowolona z siebie.

Następnie zaszło coś jeszcze osobliwszego. Helena często zastanawiała się nad tym, ale dotychczas nie znalazła odpowiedzi. Może zdoła jej pomóc Carey? Wydało się jej, że wszystkie zdarzenia minionego wieczora zastygły, jak gdyby znieruchomiła nagle huśtawka szaleńczych myśli, która uprzednio wznosiła się powoli i opadała. Może Helena miała gorączkę? W każdym razie uprzytomniła sobie, że jej umysł trwa w doskonałej, niezmaconej równowadze. Dłonią dotknęła czoła i cofnęła ją mokrą od potu. Powietrze przesycił uporczywy odór – jak gdyby nafty. Usiadła na łóżku rozrzucając papierosy, zapalki, popiół.

Pomyślała: „Nie wydałam się odpowiednio wyniosła, oschła ani nic w tym sensie. Osądzili po prostu, że zachowuję się dziwacznie – ukryła twarz w dłoniach. – Boże, ratuj mnie, bo oszaleję!”

W tym sedno sprawy! Uległa podejrzeniom obrzydliwym, natrętnym, w danym momencie trudnym do odparcia. Cóż mogła zrobić? Rozejrzała się dokoła, poszukała wzrokiem stojącej na toalecie, dobrze znajomej buteleczki z żółtymi kapsułkami nembutalu. Poświęciła im chwilę uwagi: dziesięć, a może piętnaście sztuk rozwikła wszystko raz na zawsze. Ale myśl odleciała szybko. Helena omal nie zaczęła krzyczeć... Co za idiotyzm! Zapomniała o groźbie obłędu, zbyt straszliwej i trudnej, by myśleć o niej dłużej niż przez chwilę. Z westchnieniem wyprostowała rozgrzane nogi. Ułożyła się tak, że prześcieradło i kołdra spowiły ją jak wywrócony namiot. Przez czas pewien leżała spokojnie z zamkniętymi oczyma. Później bez wyraźnego powodu wstała, by boso podejść do okna. Chwilowo czuła się – według własnego określenia – „całkiem normalnie”. Najprawdopodobniej powiew świeżego powietrza oczyścił jej myśli, bo gdy usiadła obok okna, ustały poty i dreszcze. Z dołu dobiegała muzyka radiowa i śmiech Miliona – zwyczajny, donośny, beztroski śmiech, jak gdyby ostatnio nic nie zaszło. Helena oparła łokcie na parapecie okiennym, ujęła twarz w dłonie, zapatrzyła się przed siebie, na ogród i zatokę. Przyszły refleksje. Może rozdrażnia ją tylko pora roku – ów kres lata, wrześnieowe interludium, kiedy liście są blade, niedoskonale zielone, a rok przystaje, aby nabrać oddechu, jak stara, przepracowana chłopka podczas ciężkiej pracy? Wszystko zdaje się wówczas czekać, wyglądać

czegoś, a cała atmosfera zapowiada dym, ogień, zniszczenie. Kwiaty barwią się jeszcze wesoło, ale wrzesień to krótki, pełen niepokoju miesiąc; przynosi posiew śmierci, a ludzie – zmęczeni, rozstrojeni – czują się tak jak na dworcu kolejowym tuż przed odjazdem pociągu. Ale wrzesień jest piękny, pełen uroków! Oto zapadła noc, lecz na niebie rozpościera się bladyszara poświata, wśród której wschodzi nad zatoką gwiazda wieczorna – samotny klejnot nad morzem dymu. W dole ziemia pachnie kwiatami i trawą; mimozy drżą lekko na wietrze, a dalej za nimi i wierzbami, za linią brzegową czarne okręty wychodzą wolno w morze. Wojna! Wiatr pogładził znów twarz Heleny, przynosząc zapach soli, chłodną zapowiedź jesieni i ogromne komary, które bezładnie tłuką w okno. Helena dmuchnęła na siatkę. Komary uleciały w górę, zniknęły, aby wrócić rychło wraz z zamierającym powiewem. Gałązka spadła z drzewa, liście rozsypały się na podjeździe i spoczęły jak wojsko, co zastygło w marszu. Zgiełk radia umilkł: wątły kobiecy głos urwał w pół tonu, jak gdyby i on skonał wraz z ostatnim westchnieniem wiatru. W ciszy, która nastąpiła, Helena powróciła myślami do swojego więzienia, wygnania.

Płomiennopomarańczowy księżyc wzeszedł, dobył z mroku zarysy klombów – węzowe, ocienione pochylonymi kwiatami. Dobył z mroku ciemne sylwetki wierzb i pod krzewem mimozy dwie postacie: Peyton i chłopca. Helena pochyliła się do przodu, wyteżyła wzrok. Peyton i chłopiec przysunęli się do siebie, pocałowali. W tym momencie wiatr ożył niewątpliwie, bo cały ogród zaszeleścił, a gałęzie nad dziećmi zatrzepotały jak skrzydła ptaka.

- Do widzenia, Peyton.
- Do widzenia.
- Wróc, Peyton. Wróc niedługo.
- Postaram się...
- Do widzenia... Do widzenia...

Helena odwróciła głowę, odeszła od okna. Opanowało ją znowu niesprecyzowane bliżej rozdrażnienie. W łóżku przywarła twarzą do poduszek, spróbowała się modlić – nie o przewodnictwo, bo poczytywała to za zbyt mgliste i prymitywne. Prosiła Boga o logiczny kierunek żalu, pretensji z powodu własnego gniewu, własnych lęków. „Panie nad Pany, nie mogę nienawidzić męża. Panie nad Pany, nie mogę nienawidzić Peyton, własnej krwi i własnego ciała...” Czuła jednak, że to nie tak... Jak zwykle, modlitwa jej była jednokierunkowa: ku niebiosom. Uniesienie religijne minęło. Helena połknęła dwie kapsułki nembutalu i wkrótce zaczęła drzemać. W półśnie rzucała słowa pożegnania sylwetce-cieniowi, kobiecie, która pojawiała się przelotnie i niknęła pośród spływających na ziemię białych kwiatów. Pod tym śniegiem ona sama miała zanieść dokądś list – list do kogo? Nachyliła się, aby z bliska obejrzeć kwiaty. Zobaczyła nagietki, nasturcje, bezwstydnie purpurowe maki i sześć czarnych włosów, które na tle klombu kreśliły słowo: GRZECH. Odwróciła się wystraszona, ale Milton powiedział: „Nie martw się, kochanie. Nadam twój list na poczcie”. Z tymi słowami odszedł, a Peyton maszerowała obok niego osłaniając kwiecistym kapeluszem biodra – krągle, niby dwa księżyce. Helena usiłowała zawołać: „Do widzenia... Do widzenia”, ale tamci dwoje i Dolly Bonner byli już w łodzi o rozwiniętych żaglach, którą potężny szkwał unosił

błyskawicznie w stronę pełnego morza. Powietrze wypełniała nawałnica opadających liści. Liście, jak pióra niesione wiatrem, mijały dom, garaż, leciały dalej. Nagle rozległo się jakieś kołatanie i wiatr zamarł. Milton stał w ogrodzie. Uśmiechał się, uderzał gracką w drzewo. „Heleno! – wołał. – Heleno! Heleno!”

Ocknęła się. Milton istotnie stukał do drzwi pokoju.

– Zaraz... – bąknęła półprzytomnie. – Zaraz...

Momencik.

Z wysiłkiem dźwignęła się z łóżka i podszedłszy do drzwi, przekręciła klucz w zamku.

– Na Boga – zaczął Loftis – co się stało? Myślałem, że zemdłałaś czy coś takiego. Jak się ma Maudie?

– Dobrze – odpowiedziała słabym głosem.

– Kochanie! Jesteś strasznie spocona.

Przez chwilę stali w drzwiach: on i ona. Carey widział ich oczyma wyobraźni. Milton bez marynarki, tęgawy, ogorzały po letnich partiach golfa, tchnący zapachem whisky, spogląda na żonę z trochę lęklwym zdziwieniem. Helena nie jest w tym momencie przytłaczająca, lecz wyczerpana, chora. W oddali fale morskie nacierają z westchnieniem na brzeg i cicho odchodzą w nocne mroki. Helena ujmuje rękę męża rzadkim ostatnio, świadomie serdecznym gestem. Próbuje wyrwać się z oparów nembutalu, otrząsnąć strzępy marzeń sennych, poskromić gwałtowne porywy wiatru. Mówi półprzytomnie, tonem zdolnym zbić z tropu każdego mężczyznę.

– Miltonie, ty nie możesz mnie zdradzać – i nie czekając odpowiedzi podejmuje matowo, beznamiętnie: – Wszystko się załamuje. Ja tracę ostatek sił, ale mimo to dopilnuję, żebyśmy pozostali wszyscy razem. Miltonie... – Gładzi męża po rękę, co niewątpliwie dziwi go jeszcze bardziej. – Miltonie, wiem, co się z tobą dzieje, i nie pozwolę, by to trwało nadal. „Tego, co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza...”

Było to zdanie dobyte z odległej przeszłości i, według opinii Careya, szczególnie nie na czasie: stara litania cnoty, słowa, które mężczyźni łatwo zapominają, a kobiety zachowują w pamięci tak wyraźnie jak wierszyk wyuczony we wczesnym dzieciństwie.

– O czym, u licha, gadasz? – oburzył się Loftis.

– Dobrze wiesz.

– Ja? O co ci chodzi?

– Mówię o tamtej kobiecie.

Zaczerwienił się, odwrócił raptownie.

– Bodaj cię diabli wzięli...

Ruszył korytarzem, ale przystanął u szczytu schodów.

– Bodaj cię wszyscy diabli wzięli! – powtórzył z furią i odszedł.

Helena uprzytomniła sobie, że dotychczas mąż bywał wprawdzie szorstki i używał brzydkich wyrażeń, ale jej nigdy nie złorzeczył. Nigdy! Mniejsza o to. Długo medytowała przy łóżku Maudie, która spała spokojnie. Wreszcie, kiedy zegar kościelny wybił dziesiątą, wróciła do sypialni i wślizgnęła się do łóżka. Leżała bez ruchu, zdecydowana udawać, że śpi, gdy Milton przyjdzie. Po pewnym czasie złowiła uchem odgłos kroków na schodach. Dźwignęła się, podparła łokciem.

– Peyton... Kochana... – powiedziała na głos, ale zapewne zbyt cicho.

Nie uczyniła nic więcej, bo sądziła, że wobec nikczemności Milтона nic nie może mieć istotnej wagi.

Wreszcie... (Późniejsze wydarzenia były skrócone, ogołoczone ze szczegółów, poplątane – Carey musiał je uzupełniać fantazją)... Rano Helena spała. Długo po odjeździe Milтона i Peyton w jej marzenia wtargnęły dziecinne głosy niby szczebiot nieznaných ptaków, lecz niezwykle donośny, złowrogi. Obudziła się przestraszona, ale w gruncie rzeczy były to tylko głosy dzieci, śmiech i zgrzyt opon rowerów na żwirowanej ścieżce. Z wyraźną ulgą opadła znowu na pościel, spoglądając w kierunku męzowskiego łóżka. Na prześcieradle pozostało trochę piasku. Naturalnie nie umył nóg! Helena wzięła bromu na uspokojenie, ubrała Maudie, uporała się ze śniadaniem. Następnie przyszła Ella. Wreszcie, o dziesiątej podeszła do telefonu trochę zdziwiona własnym chłodem i spokojem.

– Halo? – usłyszała.

Poznała głos. To dobrze. Pytanie: „Czy mówię z Dolly Bonner?“, świadczyłoby o pewnej zażyłości, a zażyłości nawet w najbardziej znikomym stopniu stanowczo sobie nie życzyła.

– Tu Helena Loftis. Dzień dobry – zaczęła i nie czekając odpowiedzi ciągnęła szybko. – Czy mogłybyśmy spotkać się w południe w „Cichym Kąciku”? Mam do pomówienia z tobą.

– Nie... Chyba nie będę... – ton był więcej niż niepewny: obronny, lękliwy, świadczący o całkowitym zaskoczeniu.

Helena przerwała stanowczo, dobitnie:

– To pilna sprawa. Kategorycznie żądam spotkania.

– Ależ... nie...

– W takim razie kiedy? – podjęła Helena; była uparta, skoro już rzuciła rękawicę. – Dzisiejszy dzień najbardziej mi dogadza, jeżeli nie masz innych planów.

– Wybieram się do... – bardzo nieśmiało.

– A więc którego dnia?

– Dobrze. Dzisiaj. Powiedziałaś w „Cichym Kąciku”, prawda?

– Tak. Myślę... Myślę, że to będzie z korzyścią dla nas obu.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

A więc już przestraszyła Dolly. Jeżeli nawet nie zdołała nic więcej, zrobiła swoje: zyskała wstępną przewagę, jest gotowa do walki. O pół do dwunastej powiedziała Elli, co ma dać Maudie na obiad, i autobusem pojechała do miasta.

W południe skwar płynął z nieba. Helena weszła do herbaciarni i zajęła ustronny stolik pod elektrycznym wentylatorem, który, niby potworny czarny kwiat, odwracał się od ściany i zataczając leniwe półkola, wysyłał nikłe podmuchy nieco chłodniejszego powietrza. O dwunastej ciszę zakłóciła syrena pobliskiej stoczni, zapowiadając najazd urzędników na „Cichy Kącik”. Niebawem mężczyźni zaczęli przychodzić pojedynczo i po paru. Białymi chusteczkami ocierali spocone karki. „Ale upał! Jak nigdy!” Tamtej nie było widać, więc Helena siedziała zaniepokojona, że któryś z urzędników stoczni może ją poznać i wyciągnąć pewne wnioski, kiedy nadejdzie Dolly Bonner. Wszyscy wiedzą o Dolly i Miltonie... Wiedzą? A może właśnie nie wiedzą? Ach, ci mężczyźni!...

Tęga Murzynka przyniosła wodę w szklance, którą Helena zaczęła przestawiać, drukując na ceratowym obrusie wilgotne krążki. Wreszcie wstała, by wyjść z herbaciarni, lecz w tym momencie w lustrze orzechowego wieszaka na kapelusze spostrzegła, że Dolly otworzyła drzwi z hallu i zgrzana, przygnębiona, rozgląda się po salce. Helena uśmiechnęła się, porozumiewawczo kiwnęła głową. Dolly zbliżyła się i usiadła przy jej stoliku. Odwracając wzrok usprawiedliwiła swoje spóźnienie i zaryzykowała zdawkową uwagę na temat upału. Później przyszła kelnerka z pisaną na maszynie kartą. Ręką otarła czoło.

– Czym ci można służyć, moja droga? – zwróciła się Helena do Dolly.

– Mnie... – była wyraźnie skrepowana. – Nie jestem głodna... Chyba poproszę tylko o herbatę z lodu...

– Ależ człowiek musi jeść – rzuciła swobodnie Helena – szczególnie latem. Słyszałam, że w czasie upałów traci tak wiele... – zwróciła się do kelnerki: – Proszę o krokiety z łososia i herbatę... Widzę, że potężnie się pocisz, a więc powinnaś jeść, żeby wyrównać stratę. Naturalnie to tylko jedna z wielu teorii.

– Tak... – przyznała Dolly rozglądając się bezradnie.

– Zapewne słuszna...

– Nic pani nie podać? – zapytała kelnerka pochylając się nad stolikiem.

– Nie... – szepnęła Dolly. – Nie...

– Co słyhać w twoim klubie ogrodowym? – podjęła Helena. – Niestety, nie byłam tam od wieków.

– Dobrze... Wszystko jak najlepiej.

Okolo pierwszej panie zbliżaly się do końca drogi wspólnych zainteresowań. Zdążyły już rozpoznać wszystkie boczne ścieżki. Rozmowę podtrzymywała głównie Helena, medytując miło o swojej nienawiści do tamtej kobiety. Właściwie już odniosła zwycięstwo i syciła się nim do woli. Mogła wymierzyć *coup de grace* w każdej chwili, bez upokarzających przygotowań. Była obecnie zgrzana, zarazem jednak przyjemnie podniecona. Przypominała sobie, że w ciągu lat znajomości z Dolly – znajomości konwencjonalnej, od początku pełnej podejrzeń – zawsze działo się mniej lub więcej podobnie. Należała ona do osób, które w razie spotkania po długiej przerwie zmuszają do rozpaczliwych poszukiwań drobnych wiadomości interesujących dla stron obu, gdyż po ich wyczerpaniu nie ma o czym mówić i nieuchronnie przychodzi nuda. Jednakże tamtego dnia Dolly nie miała ochoty mówić o niczym. Była straszliwie skępowana. Helena urwała w połowie zdania. Zaczęła rozglądać się, śledzić wzrokiem mężczyzn, którzy stopniowo wychodzili spoceni, najedzeni, senni. Drapali się. Zostawiali za sobą w salce zapach cygarowego dymu. Wreszcie panie zostały same. Po przerwie południowej ruch uliczny zaczynał przybierać na sile. Helena zapaliła papierosa.

– Tak, tak... – mówiła. – Doskonale pamiętam Ellen Davison. Porzucił ją mąż, oficer marynarki. Miała kłopotów bez liku. Nikt nie chciał o nich słuchać. To okropna baba! No i nietrudno sobie wyobrazić, jak te historie wpłynęły na karierę Davisona.

– Aha... – bąknęła Dolly i nieporadnie sięgnęła ręką do czoła; Helena spostrzegła na jej palcach paciorki potu.

Na moment umilkły obie. Wreszcie Helena zapytała:

– Może napijesz się kawy?

– Nie... Nie, dziękuję... Właściwie to... to bardzo się śpieszę. W poniedziałek Melvin wraca do szkoły... Miałam zamiar kupić mu dziś to i owo...

Prawie zdobyła się na uśmiech, bo wzmianka o kawie zbudziła w niej cudowną nadzieję, że mimo telefonicznej rozmowy Helenie chodziło o spotkanie czysto towarzyskie. Nieśmiały uśmiech zwolnionego więźnia rozszerzał się stopniowo na ładnej twarzyczce Dolly i wreszcie znalazł zakończenie w swobodnym uśmiechu.

– Ale mamy kram z tymi naszymi dziećmi, prawda, kochanie? Melvin robi się całkiem podobny do papy. Stary grubas! Ma dopiero szesnaście lat, a muszę mu kupować gatki rozmiar trzydzieści sześć. Wyobrażasz sobie coś podobnego? – zrobiła pauzę i wymownie spojrzała na zegarek.

– W takim razie...

Nadeszła pora.

– Słuchaj... – Helena pochyliła się do przodu; i tym razem nie była w stanie zmusić się do wymówienia imienia Dolly. – Słuchaj. Chciałam pomówić z tobą o czymś bardzo serio.

Dolly spojrzała na nią niespokojnie, czujnie.

– Służę ci... O co chodzi?

– Zaraz ci powiem – odrzekła Helena; nie uśmiechała się, ale była zrównoważona, opanowana; bynajmniej nie zdradzała irytacji. – Chodzi o mojego męża. Chyba domyślasz się, dlaczego zależało mi na tym spotkaniu. Słuchaj... – zmarszczyła brwi i nie odrywając dłoni od stolika, ostrzegawczo podniosła palec wskazujący. – Doszłam do wniosku, że mam zupełnie dosyć. Chyba przyznasz mi rację, prawda? Widzisz, mam rodzinę i to jest dla mnie sprawa ważna, bardzo ważna. Ale to nie wszystko! W grę wchodzi również coś innego: kwestia przyzwoitości i nieprzyzwoitości całej sytuacji. Rozumiesz chyba, co mam na myśli? Będę szczerą. Zmęczyły mnie rozmaite plotki i przytyki na temat prowadzenia się Miliona. Naturalnie wiem, że i on nie jest bez winy. Ma swoje wady, jak zapewne wszyscy mężowie. Ale chcę wytłumaczyć dzisiaj jasno, że tobie nie pozwolę dłużej na takie zachowanie.

W trakcie tej przemowy Helena uprzytomniła sobie, że sytuacja nie przedstawia się najlepiej, że stopniowo traci przewagę zaskoczenia. Spochmurniała, zaczęła zdradzać rozgorączkowanie. Cóż, Dolly nie została z miejsca zdruzgotana, co było dążeniem Heleny. Nic podobnego. Na spojrzenia przeciwniczki odpowiadała spokojnym, chłodnym wzrokiem. Była jak gdyby zamyślona, raz po raz przygryzła dolną wargę.

– Wiesz teraz, o co mi chodzi – ciągnęła Helena.

– Nie jestem mściwa. Daję ci sposobność poprawy, a później... powiedzmy, że wszystko puścimy w niepamięć. Trzeba żyć i innym żyć pozwalając. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Co się stało, u Boga Ojca?

Dolly przeciągnęła się leniwie. Nie była już załęczniona. Widocznie oko w oko z nieprzyjacielem postradała cały niepokój, cały strach przedbitewny. Przeciągnęła się leniwie, uniosła ku sufitowi złożone dłonie. Z ust jej dobył się dziwny odgłos – coś pośredniego między westchnieniem a czkawką.

– Kochanie – wycodziła opuszczając ręce. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Jak to? – Helena nie przewidziała takiego obrotu sprawy, łatwo więc uległa furii. – Co ty opowiadasz? Jak to, nie masz pojęcia, o czym mówię? Chcesz, to ci wytłumaczę dokładniej, chociaż rozumiesz dobrze. Sześć lat wiem o tobie i Miltonie. Sześć lat! O tym właśnie mówię. Patrzę, jak robisz z niego durnia. Patrzę na rozbijanie mojej rodziny.

O tym właśnie mówię. A ty, nie masz pojęcia... Bóg mi świadkiem...

Jak szybko się straciła, zapomniała o chłodnej stanowczości! Subtelna, tajna broń Dolly – obojętność i bezczelne gładkie zaprzeczenie – pomieszało kompletnie szyk natarcia.

– Rozumiesz teraz, o co mi chodzi, prawda? – podjęła szybko i dobitnie. – Rozbijasz moją rodzinę, bo jesteś egoistką, występna, zdemoralizowaną egoistką. Od sześciu lat prowadzisz grę z Miltonem, a teraz, a kiedy moja córka wyjechała do szkoły, ja potrzebuję go jeszcze bardziej niż dotychczas. Potrzebuję go i postawię na swoim. Rozumiesz? Po prostu chcę postawić na swoim.

Ostrzegawczo groziła palcem wskazującym. Później podniosła drżącą rękę, jak gdyby rzucała klątwę na cały „Cichy Kącik”. W drzwiach ukazała się stara pani Prosser, właścicielka herbaciami, w towarzystwie grubych czarnych kelnerów o wylęknionych krowich oczach.

– Sześć lat cierpiałam – krzyczała Helena. – Nie myślę... nie chcę spędzić reszty życia w pętach waszego brudu.

Dolly wstała. Sięgnęła po torbę i parasolkę. Z góry zmierzyła Helenę przelotnym, twardym spojrzeniem.

– Uspokój się – rzuciła. – Zaczekaj chwilę. Całą sprawę przedstawię otwarcie, na co ty nie zdobyłabyś się nigdy. Teraz ty słuchaj, dobrze? – mówiła szeptem, pochylona nad przeciwniczką. – Jeżeli źle się prowadzę z Miltonem... źle się prowadzę według twojego zdania... nie ma mowy o żadnych sześciu latach. Stało się to, moja droga, dwa tygodnie temu, w klubie wiejskim, podczas urządzanej przez ciebie zabawy tanecznej. Widzisz, jakie to poplątanie pojęć! Słuchaj. Będziemy razem tak długo, jak Milton zechce. Nie obchodzi mnie wcale, kto, gdzie i ile będzie gadał na ten temat. Bo ja go kocham, a to więcej, niż ty możesz i potrafisz.

Spokojnie, bez wysiłku zawiesiła parasolkę na przegubie ręki – jak gdyby wybierała się do miasta po zakupy, co, nawiasem mówiąc, odpowiadało prawdzie.

– Narobiłyśmy tutaj wiele hałasu – podjęła – więc lepiej pójdę sobie. Tylko nie mów o sześciu latach, moja miła, bo to kłamstwo. Zapamiętaj też, że przyczyną postępowania Miltona było jego osamotnienie. To powinnaś wiedzieć.

Rzuciła na stolik dolara, odwróciła się i godnie, bez pośpiechu odeszła, stukając głośno wysokimi obcasami. We drzwiach minęła panią Prosser i zdumione kelnerki.

– Coś podobnego... – zaczęła Helena podnosząc się z krzesła.

Ale jej słowa trafiły tylko w rozgrzane, nieruchome powietrze i zabrzmiały głucho nad szelestem wykrochmalonych fartuchów i spódnic i tłumionym chichotem Murzynek, które wycofywały się śpiesznie.

W kilka minut później Helena wsiadła do autobusu przy zbiegu Dwudziestej Ósmej ulicy z aleją Waszyngtona. Była pogrążona w myślach, nie spostrzegła więc, że jej pięciocentówka nie trafiła do puszkii na pieniądze i potoczyła się na podłogę. Kierowca zerknął spod okna na dziwną pasażerkę, i to jednak uszło niepostrzeżenie. Autobus kołysał delikatnie, niósł ją w stronę domu, a Helena myślała, że pragnie tylko milczeć. Reakcja przyjdzie w swoim czasie. Oczywiście nie ona zawiniła... Grzech jej nie obarcza... Myliła się jedynie w zbyt wielu przypadkach... pozwalała sobie na pochopne sądy... Tak... Milczeć... milczeć... wszystko znosić cierpliwie, a przede wszystkim nie pamiętać o straszliwych błędach... jak ten ostatni... Jaki wstyd! Jakie poniżenie! Ale ostatecznie... Zapomnieć... Tak... Zapomnieć...

Tego wieczoru siedziała sama w ogrodzie, kiedy Loftis wrócił ze Sweet Briar. Rozmawiając później z pastorem powiedziała, że Milton wprowadził wóz do garażu i na krótko zniknął w domu: pewno poszedł do łazienki. Później ukazał się znowu i spokojnie usiadł obok niej.

– No, nasza mała jest już prawdziwą studentką – zagaił konwersację, pobrzękując kostkami lodu w szklance.

– Dobrze wszystko poszło? – zapytała spokojnie.

– Wyśmienicie. Co to za dziewczyna! Będzie królową piękności. Już teraz błyszczy niby brylant w kupie węgla, jak powiadają Murzyni.

– Bardzo się cieszę... bardzo... Żałuję, że nie pojechałam z wami. Wczoraj wieczorem byłam zupełnie chora... Ale z rana poczułam się lepiej... znacznie lepiej. Miałam bardzo przyjemny dzień.

– To dobrze – powiedział Loftis bez szczególnego zainteresowania. – Jak się miewa Maudie?

– Nieźle. Tylko zmęczyła się trochę, bo po południu poszliśmy do parku na huśtawkę.

– Aha...

Umilkli na czas pewien. Później Helena podjęła:

– Zdawało mi się, że przed chwilą rozmawiałeś z kimś w domu.

– Tak – przyznał. – Telefonowałem.

– Aa... – Helena zrobiła wymowną pauzę. – Mam nadzieję, że Peyton będzie się dobrze uczyć, nie poprzestanie na tytule królowej piękności. Jeżeli ma do czegoś dojść w życiu...

– Ależ, Heleno! – roześmiał się Loftis – ani przez moment nie zatroszczy się o to. Znam ją. Będzie się martwić tylko o chłopaków. To zuch smarkata.

– Słusznie. Ja także martwię się o chłopaków.

– Nie bój się. Peyton poradzi sobie.

– Mam nadzieję...

Rozmowa urwała się znowu. I tym razem wznowiła ją Helena.

– Mówiła może coś o mnie... że... że nie pojechałam z wami.

– O, tak... Tak! Bardzo była zmartwiona, urażona. Nie mogła cię zrozumieć. Wy tłumaczyłem, że strasznie się zdenerwowałaś wypadkiem Maudie i... i w ogóle. Peyton dobrze się w tym wszystkim orientuje.

Helena nie odpowiedziała. Była poniekąd zaskoczona, bo na twarzy poczuła łzy, co zdarzało się jej bardzo rzadko. Milton przeciągnął się, ziewnął. Wstał z cichym chrzęstem reumatycznych stawów.

– Cóż, chyba się położę. Jutro muszę wczesniej jechać do miasta, pogadać z Petersonem o jednym kontrakcie. Co się stało, Heleno?

Smutno pokiwała głową i wyciągnęła rękę, której on nie zauważył lub udał, że nie widzi.

– Dobranoc, Miltonie – powiedziała nie bez wysiłku, ze ściśniętego gardła. – Wybaczysz mi?

– Co, Heleno?

– Nic – rzuciła żywo. Serce biło jej mocno. – Wszystko.

– Dobranoc.

Helena wyczuła z tonu głosu męża, że jest zaskoczony, przyjemnie zaskoczony jej łagodnością i taktem.

A może to była tylko słabość? Tak czy inaczej, Milton zdziwił się, ale nie miał nic do powiedzenia, więc odszedł w stronę domu. Helena pomyślała, że to był ważny moment, lecz nie tak ważny, by przynieść pocieszenie. Mimo wszystko, on potrafi postępować przyzwoicie...

Wytarła nos. Komar wylądował na jej czole. Wstała z fotela. Blask księżyca rozjaśniał ogród, gdzieś padły cienie wędnących kwiatów, znieruchomiłych drzew. Uklękła obok grządki kwiatowej. Nawet po jednym dniu opadłe płatki zaścielały ziemię. Jęła je zbierać i nie przestała, póki nie miała pełnej garści. Podniosła wzrok i zobaczyła nad sobą liście mimozy – gładkie, nieruchome wśród ciszy, odbijające poświatę księżyca, jak blade wodniste ręce. Bolesnie, bez dociekań pomyślała o Bogu, jak gdyby usiłowała wyobrazić sobie najodleglejszego przodka.

Kim On jest?

Z jej ręki wysunęły się płatki kwiatów, suche, żalosne plewy. Gdzieś drzwi trzasnęły. Nietoperz zatrzepotał w nocnej ciszy, odleciał, zniknął pod okapem dachu. „Nie ustąpię– myślała Helena. – Nie chcę ustąpić”. Szary dym z jej papierosa ulatywał w górę, niby girlandy nadziei, rozpływał się w mroku. „Nie ustąpię” – powtarzała, lecz było jej już wszystko jedno. Samotność piętrzyła się dokoła niby stos zwiędłej trawy.

Carey wziął zakręt i po lewej stronie zobaczył szereg domów stojących frontem do zatoki. Żaden z nich nie zasługiwał na nazwę pałacu, lecz wszystkie były obszerne, otoczone pięknymi trawnikami, nawet w południe ocienione przez drzewa o wspaniale zielonych liściach. W ów letni dzień sprawiały wrażenie dostatku, wyniosłego odosobnienia. Dom Loftisów znajdował się za drugą przeczną. Pastor niedługo prowadził samochód pod osłoną rozłożystych drzew. Był spocony, zamyślony, najwyraźniej zbity z tropu. Raz warczenie odkurzacza elektrycznego zakłóciło na moment ciszę i wnet umilkło. Jakieś dziecko mimo upału podnosiło straszliwy harmider. Carey prowadził wóz i martwił się nieustannie, co powiedzieć Helenie. Od czasu do czasu zerkał z ukosa na domy, jak gdyby pragnął zapomnieć o bieżących sprawach. Ale zaraz odwracał głowę, a w pamięci zachowywał jedynie wizerunki rzeczy starannie pielęgnowanych, sennych, spowitych letnim skwarem. Stary mężczyzna okopywał leniwie kwiatową grządkę. Ogromny biały kot spał rozkosznie na zwiniętym wężu do podlewania. Kobieta w chustce na głowie wyprostowała się, żeby obetrzeć spocone czoło, spojrzała w górę na zakurzone, nieco przywiedłe liście.

Co on powie Helenie? Właśnie! Co jej może powiedzieć? Co potrafił powiedzieć jej kiedykolwiek? Praktycznie biorąc– nic. Nagle przyszło mu na myśl, że w dniu sądu ostatecznego słońce stanie tak samo w nieruchomym zenicie i nie rzucając cieni skąpie ziemię w powodzi blasku. Mimo smutku i troski odczuł gniew, gwałtowną urazę. Ona nie chce kompromisu, nie idzie na ustępstwa. To błąd i de postępowanie. Niepodobna jednak powiedzieć tego Helenie, szczególnie dzisiaj, a może nawet nigdy. Nie powiedział jej przecież tamtej pierwszej nocy ani w inne wieczory, kiedy go odwiedzała. Przychodziła chłodna zrazu, powściągliwa, opanowana. Powtarzała podobne w zasadzie bolesne oskarżenie na temat win indywidualnych i wspólnych, zarzuty słuszne albo niesłuszne, różniące się między sobą tylko błahymi szczegółami.

– Ach, Carey! Wysłałam trzy listy do Peyton i nie mam odpowiedzi. Naturalnie to robota Milтона. On też pisuje do Peyton, zaprzęta jej umysł...

Czy naprawdę tak bardzo zależy jej na tym wszystkim? Czy jest szalona? Nie. Wielebny Carey Carr był odmiennego zdania. Może to obsesja albo coś podobnego, lecz z pewnością nie obłąd.

– Ależ nie... Nie, Heleno. Trudno mi uwierzyć doprawdy – odpowiadał z nikłym uśmiechem. – Jak możesz mówić takie rzeczy. W jakim celu Milton...

„Czy naprawdę tak bardzo zależy jej na tym wszystkim?”
– zastanawiał się Carey.

Helena, pochylona do przodu, spoglądała mu w oczy. Jej rezerwa i posągowy spokój zniknęły bez śladu, czemu nie dziwił się, bo wiedział z doświadczenia, że musi to nastąpić po mniej więcej godzinie rozmowy. Delikatne, ładne wykrojone usta Heleny drżały lekko, kiedy mówiła:

– Co robić, Carey, co robić? Czy mam paść przed nim na kolana? Może tego chce właśnie? Czego on chce, na miłosierdzie Boże?

Nie! Tak! Wielebny Carey Carr miał ochotę uderzyć pięścią w blat biurka, wstać dostojnie, jak przystało dobremu spowiednikowi, przemówić zwięźle, treściwie. Chciał jednocześnie powiedzieć: Nie! Tak! Nie, droga Heleno, on nie chce, żebyś padła na kolana. Takie posunięcie obraża lub co najmniej żenuje mężczyznę. Pragnie tylko uczucia, poprawnego zachowania, prawdziwie ludzkiego podejścia, kobiecej serdeczności. Tak, Heleno! Na Boga, padnij na kolana, nie przed nim jednak, a przed sobą. Padnij na kolana w obliczu wizerunku, którego nienawidzisz. Przez chwilę bądź pokorna, a być może modlitwą rozproszysz mroki zalegające wokół ciebie. Błagaj o przebaczenie za pogardę dla samej siebie.

Pewnego razu Carey odważył się nawet na próbę.

– Heleno – zaczął – sądzę, że masz o sobie bardzo złe pojęcie...

Ale Helena sposepniała zaraz, jak gdyby zawiedziona.

Kiedy indziej zirytowany i znudzony rzucił szorstko:

– Ja nie potrafię ci pomóc, Heleno. Mogę jedynie słuchać. Sama musisz zajrzeć w głąb własnego serca i umysłu.

Wtedy zaczęła rozpaczliwie płakać. Tylko raz jeden pastor widział ją tak załamaną.

– Ty mnie także opuszczasz. Nawet ty!

– Nie, Heleno. Posłuchaj. Nie tłumacz sobie opacznie...

Po kawie i przemowie pełnej mętnych, niemądrych (zdawał sobie z tego sprawę) uwag na temat prawa kobiety do szczęścia Carey odprowadził Helenę do samochodu i położył dłoń na jej ramieniu gestem (jak mu się zdawało) rodzicielskim.

– Gorąco pragnę ci pomóc – powiedział. – Przede wszystkim zachowaj nadzieję i wytrwanie. I módl się, módl żarliwie. (Do samej siebie – dodał w myśli – kochaj samą siebie.) Złe poczynania Milтона miną, zużyją się same. Wtedy będzie wam obydwójgu łatwiej.

– A Peyton? – zapytała bez przekonania.

– Peyton... – powtórzył. – Na pewno zobaczysz ją wkrótce. Nie martw się tym, co napisała do Milтона. Peyton nie ma ochoty na przyjazd do domu, nie ze względu na ciebie, ale... Wiesz przecież, jakie są podlotki... Przepadają za wizytami u koleżanek, lubią poznawać nowe miejsca... nowych ludzi.

Po desperacku łowił stosowne słowa... Czy naprawdę tak bardzo zależy jej na tym wszystkim?

– Dobrej nocy, droga Heleno.

Niepokoila go trochę, ale była interesująca. W skrytości serca przyznawał, że wizyty i zwierzenia Heleny schlebiają jego próżności. Odwiedziny te – zazwyczaj późnym wieczorem – zdarzały się w ciągu ostatnich kilku lat co dwa lub trzy miesiące. Zaprzyjaźnili się, często rozmawiali o obojętnych sprawach, a czasami Helena nie wspomniała słowem o Miltonie ani Peyton – swoich „bolączkach”, jak wyraziła się raz z nieporadną ironią. Była kompletnie odarta z poczucia humoru, lecz nie odgrywało to istotnej roli. Rozmawiali o Bogu, nieśmiertelności, czasie i przestrzeni. Z zapalem i bezładnie rozmawiali na eklektyczną, charakterystyczną dla uczniów starszych klas szkoły średniej, modłę, którą od lat nie posługiwał się Carey, człowiek związany z religią co najmniej nominalnie. Zbijało go to z tropu tak, że ostatecznie poruszał nawet temat znaczenia modlitwy. Niekiedy mówili o Miltonie, o smutnym zanikaniu miłości i pożądania. Pewnego razu Carey obrał za punkt wyjścia słowa Diotimy³ i wytłumaczył, dlaczego po upływie lat i utracie ziemskiego przedmiotu uczuć należy poszukiwać trwalszej i mocniejszej miłości niebiańskiej. Walka o miłość. Rozgrywa się ona w bezkresnej dziedzinie abstrakcji, niełatwo więc stosować ją w praktyce, chociaż nie wymaga wysiłku. Po trosze z tej

3 Diotima – legendarna kapłanka i wieszczka z Mantinei, mistrzyni Sokratesa. W *Uczcie* Platon wkłada w jej usta własne poglądy na metafizykę miłości.

racji, po trosze dlatego, że Carey (co musiał przyznać mimo skromności) był dobrym, sugestywnym mówcą, udało mu się wzruszyć Helenę i chociażby przelotnie zbudzić w niej radość. Nie uważał jej za szczególnie inteligentną, lecz, jego zdaniem, była wystarczająco bystra, by przy pewnym skupieniu odczuć surową wielkość i rytm prozy Platona. Gdy pastor skończył czytać i stanowczym gestem położył zamkniętą książkę na blacie biurka, sam drżał ze wzruszenia, ale był trochę zdziwiony, gdy dobiegły go słowa Heleny:

– Ach, Carey! Jakie to wielkie! Jakie prawdziwe!

Ostrze bólu przeszło mu serce, gdyż zdawał sobie sprawę, że to istotnie prawda taka, jak prawda miłości Chrystusowej, jedna z wielkich prawd, które obrały sobie siedzibę na szczytach gór, w świątyniach. Jednakże ludzkość nie rusza się nigdy z dolin, by tam szukać pociechy. Może wycierpiała za dużo, by zdobyć się na taki wysiłek? Gdzie leży trudna odpowiedź?

Wszystko to miało swój wdzięk. Miłe upojenie poezją, śmiałyymi prawdami koilo myśli i uczucia i na czas pewien przywracało spokój Helenie. W rezultacie Carey musiał odwozić ją od zbyt częstych wizyt tłumacząc przez telefon najuprzejmiej, jak umiał, że to niewskazane, naprawdę niewskazane. Helena winna pamiętać to, co mówił o sercu i rozumie, o zaufaniu do własnych sił. Prawdę powiedziawszy, schlebiał mu trochę fakt, że on kapłan, potrafi nieść ukojenie osobie cierpiącej, najprawdziwiej cierpiącej. Był dumny i zadowolony, że Helena zwraca się do niego, a nie do lekarza, chociaż czasami podejrzewał mgliście, że w gruncie rzeczy przydałby się jej raczej lekarz. Trudno pogodzić różne sprawy! Carey uważał się za człowieka światłego i chciał być światły, ale zagadnienia psychologii i rozmaite subtelności dziwiły go i oszalały. Czemu sojusznik tak potencjalnie silny nie mógł posiadać prawdziwej iskry bożej? Czemu musiał być nieprzystojnie dociekliwy i arbitralny bez szacunku dla nieskończonej zmiennych zawłości ludzkiego serca?

Tak czy inaczej, walebny Carey Carr był zadowolony i dumny, że Helena zwracała się do niego, i niewątpliwie obydwójce byli dobrymi przyjaciółmi, póki on się z nią zgadzał, przyznawał, że ma słuszość. Jednakże pastor uległ irytacji i złym przeczuciom, gdy uprzytomniał sobie, że Helena odrzuca wszelki kompromis, gdy przypominał sobie, jak niewiele zdziałali podczas kilku minionych lat, ograniczając się do słów, poezji, modlitw i niebezpiecznej bierności.

„I Bóg się nie objawił! – myślał. – Ale to nic. Muszę ukazać jej światło. Muszę pojednać tamtych dwoje”.

– Nigdy. Za nic na świecie – powiedziała ledwie przed miesiącem, kiedy po wizycie w jej domu wychodził zawiedziony, przekonany, że niczego zdziałać nie może. – Jestem obecnie sama i nie widzę różnicy między płaczem a śmiechem. Z powodzeniem mogę robić jedno i drugie.

Była bardzo stanowcza. Zdecydowanie odtrącała to, po co z początku przyszła do Careya.

Przed domem Loftisów pastor zahamował ostrożnie przy krawężniku, w cieniu sykomor. Bez pośpiechu wysiadł z samochodu. Był zgrzany i spocony. Na jego okrągłej, dobrodusznej twarzy wyraz nadziei mieszał się z wyrazem zwątpienia, lecz zwątpienie zyskiwało stanowczo przewagę nad nadzieją.

– O słodki Jezu! Niech się pani obudzi... Proszę pani!

Żałosny, daleki głos wyrwał Helenę z ciepłej, kojącej otchłani snu. A jej ramię... Dlaczego ramię tak drży... Powyżej łokcia czuje mocny, ale dobrotliwy ucisk pięciu palców. Rozprasza on ostatnie strzępy widm, ciągnie ku światłu, na które Helena spogląda opornie, przez trzepoczące powieki.

– Niech się pani obudzi... O Boże! Proszę pani. Trzeba wstawać... Zaraz!

Helena widzi twarz pochylonej nad sobą La Ruth – ogromną, brzydką, czarną maskę, wykrzywioną cierpieniem, zwilżoną łzami.

– Proszę pani! Wielebny pastor jest na dole. Czeka... Mówi, że ma panią zawieźć na cmentarz.

Helena spogląda sennie na stojącą obok łóżka niekształtną postać, obserwuje ją od okularów na pełnych smutku oczach do przezroczystej, zmoczonej wodą spódnicy i grubych nóg, na których pończochy opadły zwisającymi obwarzankami poniżej kolan.

– Mój Boże... Proszę pani... Szarpie panią, szarpie i nie mogę obudzić... Myślałam, że i pani umarła. – La Ruth cofnęła się z przejmującym krzykiem. – O mój Boże, mój Boże! Wcale tego nie chciałam wymówić!... Wcale nie chciałam... Słodki Jezu! Wczoraj wieczorem mama przysłała i powiedziała mi o biednej, małej Peyton, a ja zaraz padłam na kolana, żeby modlić się za panią i prosić o błogosławioną opiekę Ojczulka Wiernych, który może wezwać anioły Boże i tak zrobić, żeby na skrzydłach poniosły do nieba duszę biednej, małej Peyton, a tu na ziemi wzięły pod opiekę mamusię biednej, małej Peyton, bo...

– La Ruth – przerwała Helena siadając na łóżku.

– Przynieś mi szklanekę zimnej wody.

Mówiła ochrypłym głosem. W gardle czuła suchą błonę cierpkiego, gorączkowego niesmaku.

– Dobrze, proszę pani. Już idę...

La Ruth stała bez ruchu, zwracając pełne podziwu okrągłe oczy ku ofierze dramatu, która nie raz, lecz już dwukrotnie pozbawiona macierzyństwa, umiała jednak cierpieć po stoicku i budzić się z ciężkiego, dziecinnego snu spokojnie, bez hysterii. Sama straciła dwoje ze swoich trojga dzieci i ciężko to przeżyła, chociaż nie potrafiłaby nazwać ich ojców. Dobrze pamięta, że przez wiele dni budziła się wtedy z przerażeniem i szlochając błagała Boga, by zaraz raczył przysłać jej swojego apostoła. Apostoł ten winien ją poprowadzić nie na ścieżkę wiary, gdyż La Ruth wierzyła już całą duszą i całym ciałem, ale na ścieżkę spokoju i łaski. Winien przywieść ją do chrztu prawdziwie omywającego, do wody, co obmyje cudowną pieśczętą zmęczone ciało i zatroskany umysł poszukujący wciąż sennie mężczyzny. I oto Bóg nie przysłał swojego apostoła, lecz sam nadszedł wkrótce cadillakiem, aby pokazać, że wszystko jest w porządku, bez względu na to, jak wiele La Ruth pracowała i grzeszyła, bez względu na to, ile straciła dzieci. Przybył ojczulek Wiernych – Król Chwały, Cudotwórca, Dobry Doradca, Bóg Wszchemogący, Przedwieczny Ojciec, Władca Pokoju. Stało się to przed dziesięcioma laty i od tej pory La Ruth wielbiła i kochała Ojczulka Wiernych, a że wsparła jego sprawę przeszło czterystu dolarami, zyskała tytuł wiceaniola i przydział do mniejszego rajy Port Warwick podległego rajowi Baltimore. Tego dnia przypadała doroczna, sierpniowa wizytacja Ojczulka

Wiernych, więc La Ruth doprowadziła się do gorączkowego podniecenia, co usprawiedliwiało jej ton podniosły i ewangeliczny. Helena poruszyła się, drżącymi stopami dotknęła podłogi, jeszcze raz spojrzała w zbolałą twarz La Ruth, która zdawała się prosić wzrokiem o zrozumienie, próbowała wyrazić, że i Helena zasługuje na miliardy, tryliony, septyliony błogosławieństw, gdyż błogosławieństwa spływają szczerze ku tym, co pracowali w pocie czoła, poznali mękę albo stracili umiłowane dziecię.

– Biedna pani Helena – westchnęła Murzynka.

Samochód przejechał ulicą. Helena spojrzała na zegarek.

Zbliżało się południe. Poczowała cierpki, przypominający cebulę zapach własnego potu pod pachami.

– Proszę o szklankę zimnej wody – powiedziała słabym głosem.

– Tak, tak... Zaraz przyniosę... Biedna pani Helena... Już idę...

La Ruth opuściła pokój, a od potężnego marszu jej płaskich stóp po schodach lustro zdrząło lekko, jakby opodal przejechał furgon ciężarowy. Helena wyszła na podest.

– Carey! Carey! – zawołała cicho.

– Jestem Heleno.

Głos, który odezwał się z hallu, był sztucznie pogodny, starannie dzielił zgłoski, oscylował między zawodową skłonnością do pocieszania a szczerym, nieosobistym smutkiem.

– Jak się... Czy jesteś zdrowa, Heleno? Mógłbym ci w czym pomóc? Musimy zaraz jechać... Mógłbym ci w czym pomóc?

„Biedny Carey – pomyślała. – Taki poczciwy... Zawsze chce być idealnie poprawny”.

– Za chwilę zejść – zawołała. – Tylko się ubiorę.

Wróciwszy do swojego pokoju spostrzegła zwiędnięte dalie. Rzuciła je do kosza na śmieci, a w łazience wylała do miski ustępowej stęchlą wodę z wazonu. Kiedy się ubierała, na schodach zadudniły, ponownie ciężkie, słoniowe kroki i La Ruth przyniosła szklankę wody, tkwiącą samotnie na rozległej przestrzeni emaliowanej tacy w kwiaty.

– Doskonała woda, proszę pani – oznajmiła. – Smaczna, zimna. Jak trzeba. Teraz, proszę pani, tylko usiąść na chwilę i wypić do dna... Strasznie pani zgrzana.

– Dziękuję, La Ruth.

Istotnie było gorąco. Nic nie mąciło ciszy. Za oknem liście ostrokrzewu trwały w bezruchu, niby skrawki cynfolii odbijając blask słońca. Za drzwiami i porośłym murawą stokiem zatoka leżała płaska, senna, odbarwiona. Tylko jedna mewa ważyła się krążyć nad nią w czas upału. Na widnokregu kłęb chmur, niby olbrzymi balon, groził zrzuconiem straszliwego ładunku wichury i deszczu. Helena upudrowała twarz, pokrywając w miarę możliwości sieć zmarszczek, i usiadła na kilka sekund, aby zaczerpnąć tchu, zastanowić się, czy zdoła wytrzymać to wszystko. Po środku uspokajającym, który zażyła przed dwiema godzinami, była oszołomiona, wyczerpana nerwowo. Tęskniła do papierosa, ale cóż... doktor Holcomb zabronił kategorycznie... Małymi łykami wypila wodę, a następnie postawiła na parapecie okna próżną szklankę i patrzyła, jak na zroszonej powierzchni ślady jej palców zacierają się, nikną, niby widma węzów odchodzące w niewidzialną krainę baśni. Nagle podłoga skrzypnęła pod stopami La Ruth. Helena podniosła wzrok.

– Proszę pani – zaczęła z przejęciem Murzynka. – Ja nie mam żałobnej sukni... Dziś rano, zanim tu przyszedłam, mama poradziła mi, żeby pożyczyć żałobną suknię od siostry Alberty Lemon, która mieszka przy Bankhead Magruder. Ale jak tam poszłam, to siostra Alberta wybrała się już do Little Boat Harbor, gdzie Ojczulek Wiernych, niech błogosławione będzie jego imię, urządza pierwsze ceremonie przed chrztem, który odbędzie się dziś wieczór. Siostra Alberta ma tytuł anioła, więc...

– Nic nie szkodzi, La Ruth – przerwała Helena. – Nie potrzeba ci żałobnej sukni.

Spojrzała na zatroskaną twarz, okulary, wyłupiaste, wilgotne oczy, jak gdyby przepełnione smutkiem całego świata. Różowa dolna warga, wysunięta pełny cal do przodu, od lat wystawiona na działanie wiatru i słońca, przepełniła Helenę czymś więcej niż rozpaczą. Raptownie wstała z krzesła.

– Nie potrzeba ci żałobnej sukni – powtórzyła prawie ze szlochem i odwróciła się szybko. – Boże! Jaki upał! Co robić? Co robić?

– Ja robiłam, co mogłam, proszę pani – ciągnęła La Ruth uparcie, tonem usprawiedliwienia. – Mama powiedziała mi, żeby, jeżeli siostra Alberta wybierze się już do Little Boat Harbor, wstąpić do siostry Moreen, która mieszka w Cristal Auto Sto...

– Ach, La Ruth!

- Co, proszę pani.
- Nie mów nic więcej.
- Dobrze, proszę pani.

Helena usiadła znowu. Pośród niezmiernego utrudzenia szukała sił i odwagi, by stanąć twarzą w twarz z Careyem. „Nie będzie mi dziś mówił o Bogu i Miltonie – myślała. – O tym wiem już wszystko. Wiem. Muszę wytrzymać jego pocziwe, głupie perswazje...”

– La Ruth! Daj mi parasolkę. Jest w schowku, tam gdzie walizki.

- Dobrze, proszę pani.

Murzynka pochyliła się sięgając do schowka. Przed Heleną wyrósł potworny zad okryty wyblakłą spódnicą, która uniosła się, odsłaniając grube jak pnie uda mahoniowej barwy i głęboką szarą bliznę po szczepieniu ospy.

– Gdzieś tu powinna być, tylko nie mogę jej znaleźć – zadudnił stłumiony głos.

Po chwili Murzynka podniosła triumfalnie parasolkę i wyprostowała się nie bez trudności, stękając boleśnie.

– Jest, proszę pani – ciągnęła – i to czarna, właśnie jak trzeba. Oj, moje plecy... Niech pani patrzy, proszę pani. Zaraz ją wytrę do czysta tą szmatą. Naprawdę ładna parasolka...

Nagle zaświtało coś w prostym tunelu wyobraźni La Ruth, gdzie myśli nie mogły zobaczyć, lecz musiały sunąć jeden za drugim, jak rząd słoni: trąba przy ogonie poprzednika. Odkurzając troskliwie parasolkę Murzynka podjęła monotonnym głosem:

– Ojczulek Wiernych ma także parasol. Wozi go w swoim samochodzie, wszędzie gdzie jeździ. Niektórzy powiadają, że kamienie w rączce tego parasola to prawdziwe diamenty. Ja tam nie wiem, ale...

„Naturalnie Carey powie... – myślała Helena – że postępuję nieludzko, haniebnie, że nie zasługuję na swoje miejsce pod słońcem przed obliczem Boga. Powie, że nie powinnam być taka chłodna. Dziś rano, kiedy telefonował do mnie, był wstrząśnięty: «Ach, Heleno, nie wiem doprawdy, co ci powiedzieć. Ach Heleno, to najstraszniejsza tragedia. Ach, Heleno, wiem wszystko o Peyton i o tobie. Ach, Heleno, musisz tam dziś pojechać. Musisz! Chociażby przez wzgląd na mnie, droga Heleno. Ach, Heleno, czy pomyślałaś o Miltonie? Ach, Heleno, jesteś mu teraz potrzebna. Czy nie rozumiesz? Ach Heleno zbawienie jest wszystkim, co posiadasz. Czy nie rozumiesz?... Ach, Heleno, to... Ach, Heleno, tamto...» Niech to piekło pochłonie! Tak! Niech to wszystko piekło pochłonie!”

Cóż się znów dzieje? La Ruth zapomniała widać o parasolach i cudem poczęła inną myśl, bo z rozpostartymi ramionami zbliżyła się do Heleny.

– Mój Boże – westchnęła – gdybym, proszę pani, wiedziała o pani nieszczęściu, przyszedłbym tutaj wczoraj wieczór. Ale jak mi o tym mama powiedziała, było już bardzo późno, bo przecież robiłam pranie u pani Massie – urwała, głośno przełknęła ślinę i ku przerażeniu Heleny zaczęła prawie powtarzać sens słów Careya. – Ach, proszę pani, mama powiada, że tak naprawdę, to trzeba pani opieki kapitana Loftisa. Mama powiada, że inaczej nie poradzi sobie pani na tej naszej kochanej ziemi, bo teraz, jak dobry Bóg powołał pani potomstwo na swoje łono, potrzeba pani tylko kochanego, dobrego mężczyzny. Mój Boże, proszę pani – głos Murzynki cichł i przybierał na sile, zawodził w gorącym powietrzu jak tony wiolonczeli. – Mama powiada, że pani, proszę pani, powinna wziąć go z powrotem, znaczy kapitana Loftisa. Biedak jest opuszczony, jak każdy mężczyzna, i nic na to poradzić nie może, ale mama była tutaj wczoraj wieczorem i słyszała, jak on jęczał i płakał. Mama powiada, że nie słyszała nigdy niczego smutniejszego.

– La Ruth!

Murzynka nie chciała dać za wygraną. Mocno obejmowała Helenę, aż czuć było zrogowaciałe odciski na jej dłoniach.

– Mama powiada – mówiła dalej – że od czasu jak pani przyjechała stamtąd, gdzie odeszła do Boga biedna, mała Maudie, z jakiegoś Charlottesville...

„Charlottesville... Boże, nie pozwól mi myśleć o tym”.

Helena czuła pot Murzynki, czuła ucisk jej zrogowaciałych dłoni.

– Mama powiada, że od czasu jak pani stamtąd wróciła, zapomina pani o sobie i nie szuka już Jezusa Chrystusa, i traci wszystko.

– La Ruth!

Helena była oszołomiona. Próbowwała uwolnić się z objęć Murzynki, w której oczach – za brudnymi szklami okularów– widziała teraz nie tylko bezgraniczny smutek, lecz również blask objawienia...

– Na Boga, niech pani posłucha, proszę pani. Mnie porzuciło trzech mężczyzn. Przez całe życie postępowałam sprawiedliwie, więc te ucieczki były bardzo bolesne. Potem przyszedł dzień, kiedy anioły zabrały do niebieskiej chwały moje dzieci, bo tak podobało się Bogu. Strasznie wtedy płakałam i taka byłam słaba, że się ruszać nie mogłam, jakbym dostała siekierą po głowie. Potem modliłam się o przyjście apostoła, a gdyby to się stać nie mogło, prosiłam Jezusa Chrystusa, żeby wrócił mi mężczyznę, któremu dam swoją miłość, to jedno, co mi jeszcze do dania zostało– umilkła, opuściła ręce.

Helena patrzyła na La Ruth, która dysząc ciężko wyglądała przez okno, a blask zamierał w jej oczach. Próba wytłumaczenia Helenie spraw miłości, śmierci i mężczyzn przerastała siły Murzynki. Żadne wspomnienia nie były w stanie jej poruszyć – jak gdyby dobrze znajoma zasłona spowiła znowu myśli i oczy – na twarz wróciło spokojne otepienie. Zapewne minione lata zostawiły po sobie tylko pamięć obolałego grzbietu, ciągłych poświęceń i przelotnych porywów miłosnych, pozbawionych obecnie znaczenia nawet dla wyobraźni. Było tak prawie, lecz niezupełnie, bo w ostatniej tym razem próbie głos La Ruth zabrzmiał jękliwie, nieśmiało, wysoko, jak woda ściekająca do rynsztoka.

– Mama powiada, że od czasu tego wesela pani nie chce z nim mieć do czynienia. Jak gdyby on zawinił albo biedna, mała Peyton. Mama powiada, że tak nie można. Powiada, proszę pani, że pani powinna wziąć go z powrotem. W imię Boga Wszechmogącego...

– Daj spokój, La Ruth! Cicho bądź! – krzyknęła Helena.

Miała wrażenie, że dzień gromadzi potężne, tajemnicze moce; rzuca jej na jej barki, zalewa ją przybierającymi falami skwaru. Po drodze odtrąciła La Ruth i wybiegła na nieco chłodniejszy korytarz, mówiąc głośno, dobitnie:

– Ja tego nie wytrzymam. Nie zniosę! – a po chwili:

– La Ruth, moja parasolka.

– Jest, proszę pani.

La Ruth tupiąc głośno po schodach zeszła za Heleną na parter, gdzie czekał Carey z białym słomkowym kapeluszem w ręku i przerażającym uśmiechem na twarzy.

– Heleno – wyciągnął do niej dłoń. – Niewymownie mi przykro... Jestem...

– Daj spokój – przerwała. – Daj spokój.

– Nie wiem doprawdy, co powiedzieć.

– Nie próbuj nawet – westchnęła. – Okropny upał...
prawda?

„Jeżeli zacznę wspominać Charlottesville, koniec wszystkiego – myślała. – Co jest gorsze: przeszłość czy przyszłość? Czy ja wiem? Najlepiej zwinąć myśli jak liść. Najlepiej płynąć z nurtem do kresu, który musi być bliski. A później ciemność, później koniec tej szpetoty...”

– Istotnie, okropny upał – usłyszała za sobą głos pastora.
– Tak mi przykro... – tak niewymownie przykro.

– Niewymownie przykro... – powtórzyła nachylając się, żeby poprawić pończochę, i odsłaniając nogę wysoko nad kolano.

Carey odwrócił się i zarumienił na widok zwiotczalego, sino żyłkowanego uda.

„Dobry Boże!” – pomyślał i przemówił łagodnie:

– Droga Heleno, musimy się śpieszyć. Najwyższa pora.

„Jaka ona brzydka – myślał jednocześnie. – Kobieta skończona, istny upiór”.

– Musimy się śpieszyć – powtórzył. – Najwyższa pora.

– Tak... tak – przyznała i prostując się obciągnęła spódnice.

La Ruth podała jej parasol.

– Możesz wziąć go z powrotem – powiedziała Helena.

– Mam dwa nieprzemakalne płaszcze – wtrącił pastor.

– Jeden dla ciebie.

– O mój Boże! – szepnęła zapłakana Murzynka.

– „Wziąć go z powrotem...” Tak właśnie mówi mama.

– Musimy się śpieszyć, droga Heleno. Najwyższa pora.

Wielebny Carey Carr otworzył drzwi. Helena mocno ujęła go pod ramię.

– Do widzenia, proszę pani – westchnęła La Ruth.

– Wszystkim się zajmę – powiedział z mocą pastor, a Helena spojrzała mu w oczy.

– Skończone – szepnęła już na schodach ganku. – Nie warto...

Nie dokończyła zdania.

„Czego nie warto?” – pomyślał Carey, gdy na przegubie ręki poczuł jej chłodne palce.

Kiedy wsiadali do samochodu, płomienne słońce minęło zenit i zaczęło spadać ku długim godzinom popołudnia.

Karawan i limuzyna minęły śródmieście w kierunku zachodnich krańców Port Warwick. Wydawało się, że na sześciu milach szosy pozostałych do cmentarza nie będzie dużego ruchu. Spostrzeżenie to przyniosło ulgę panu Casperowi, a także Loftisowi, chociaż zapewne w nieco mniejszym stopniu. Loftis musiał odpędzać myśl o tym, co ma wkrótce nastąpić, i dziwił się po trosze, że z napięciem i uwagą śledzi każde zatrzymanie się i skręt poprzedzającego limuzynę karawanu, w miarę jak mijali rozmaite punkty orientacyjne miasta. Kiedy karawan stanął przed światłami kierunkowymi, Loftis patrzył ze zgrozą na jego wielki kadłub i obłoczek ulatujący nad maską silnika. Wiedział, że załamię się ostatecznie w razie nowego defektu żałobnego pojazdu. Ucieknie wtedy i wrzeszcząc na cały głos pobiegnie ulicami miasta albo – jeżeli katastrofa nastąpi już na szosie – przez moczary i zarośla, by ostatecznie paść gdzieś w gąszczu, skryć oczy przed słońcem. Otwarcie mówiąc, przeżył upiorne chwile, bo karawan stanął raz jeszcze, kiedy w okresie ożywionego ruchu godzin południowych oba wozy znalazły się w długim szeregu przed światłami kierunkowymi u skrzyżowania Trzydziestej Czwartej ulicy z aleją Wirgińską. Stało się to zupełnie niepotrzebnie, bo pan Casper mówił Barclayowi – nie raz, lecz trzy razy – że lepiej jechać mniej zatłoczoną trasą, przez Niggertown. Nic nie pomagało. Karawan znieruchomiał w najruchliwszym punkcie. Barclay bez rezultatu naciskał

starter, a wokół rozbrzmiewały klaksony dziwnie natrętnie i bezczelnie wśród dokuczliwego upału. W tym momencie z limuzyny dobyło się nieokreślone, ale wyraźnie dosłyszalne westchnienie. Zdawać się mogło, że wśród opętańczego chóru klaksonów ból i napięcie znalazły własny wyraz. Pasażerowie limuzyny nie milczeli także. Dolly zaczęła znowu płakać. Loftis jęknął i dłonią zakrył oczy. Ella wydała coś pośredniego między stłumionym szlochem a czkawką – żalosny dźwięk z głębi piersi, płaczący i zakończony ledwie zrozumiałym wyrazem: „Jezu!”

Natomiast pan Casper warknął półgłosem „cholera!” i wyszedł z limuzyny. Roztrzęsiony, zdenerwowany Barclay pojawił się obok karawanu. Nadszedł również policjant i delikatnie (on jeden pośród przechodniów i automobilistów zdawał się rozumieć powagę przykrew sytuacji) jął dopytywać, co się stało, dlaczego i czy nie mógłby pomóc. Interwencja okazała się opatrnościowa, bo on właśnie uruchomił silnik. Próbował Barclay, później jego pracodawca, wreszcie przyszła kolej na policjanta. Wyjaśnił skromnie, że to stary sposób, którego nauczył się w wojsku, kiedy we Włoszech prowadził ciężarówkę. Trzeba tylko wyłączyć sprzęgło i naciskając rozrusznik dodać gazu, a silnik zagra równo i spokojnie. Był to młody mężczyzna, opalony na brąz i bardzo energiczny. Pan Casper podziękował mu uprzejmie, z obrzydzeniem spojrzął na swojego pomocnika i prawie biegiem wrócił do limuzyny.

Na szosie sprawy wyglądały lepiej. Nikt nie odzywał się w limuzynie, która mijala sosnowe zagajniki. Niebo było jasne, błękitne, ale nad horyzontem wyrastały złowróźbne burzowe chmury. Loftisowi zabrakło papierosów, a chociaż wiedział, że Dolly posiada spory zapas, tak bardzo nie chciał mieć z nią nic do czynienia („Nic, absolutnie nic” – powtarzał w duchu), że wołał nie zwracać się do niej i znosić męki w milczeniu. Mimochodem przyszło mu na myśl, że przedsiębiorca pogrzebowy nie wygląda na palacza.

– Miltonie – odezwała się przez łyzy Dolly. – Miltonie, mów coś do mnie, najdroższy. To na pewno dobrze ci zrobi. Ocknij się, kochanie. Powiedz coś...

– Cicho bądź! – warknął.

Usłuchała i milczenie mąciły teraz jej zdławione łkania i szelest spódnic Elli, która od czasu do czasu poprawiała się na składanej ławeczce; wzrok zwracała ku górze, jak gdyby się modliła. Loftis miał gorączkę. Czoło go piekło, pocił się obficie, tak szybko, że wiatr nie nadążał osuszać strumyczków potu. Obrzydliwie zbierało mu się na wymioty. W myśli sunęły wspomnienia, jak ze starych klisz latami magicznej, fale bolesnej, poniżającej nostalgii, smutne obrazy takie, jakie przychodzą u kresu snów. „Heleno – myślał sennie. – Heleno! Moja utracona, moja piękna. Czemu cię opuściłem”. Wizje jasne, niby słoneczne światło, piękne jak kwiat, kwiat gardenii z pewnego balu, który trwał do świtu, nadciągały błyskawicznie i niknęły. Loftis miał wrażenie, że majaczy, bo zobaczył nagle Helenę, która w postaci kota rzuca się na niego z nożem. Ale to nie był nóż, tylko kwiat czy coś innego. Obydwoje znaleźli się nagle w Charlottesville, gdzie była także Peyton; całowała go w usta, mówiła: „Tatuś! Kochany staruszek...” Kula ziemiska musiała wirować przerażająco szybko, bo raz po raz następował dzień po nocy... dzień po nocy...

Otworzył oczy. Dolly opierała głowę o jego ramię; na dłoni poczuł jej dłoń, miękką, wilgotną. Karawan zatrzymał się znowu. Limuzyna zboczyła do stacji obsługi. Niebo zasnuwały jakieś dymy.

W pewien piątkowy wieczór, w listopadzie 1942 roku, Loftis zrobił dwie rzeczy, których postanowił nie robić. Upił się – to jedna sprawa. Gdyby wiedział, że następnego dnia będzie musiał prowadzić samochód do Charlottesville, powstrzymałby się może, chociaż, jak przyznawał później, było to mało prawdopodobne. Potworny „kac” z gatunku tych, które w ciągu kilku lat męczyły go coraz częściej i dotkliwiej, mącił mu myśli i przerażająco oddalał je od rzeczywistości. W takich chwilach, czyli prawie każdego dnia, znajome przedmioty (prawidła do butów, mosiężne pręty płyty kuchennej, wstrętne maszynka do golenia) zdawały się dawać do zrozumienia ruchem i dźwiękiem, że to nie on jest istotą żywą, która usiłuje walczyć ze zbuntowanym żołądkiem, lecz one egzystują bogato, niezależnie i są w stanie niepokoić człowieka do szaleństwa. W wieku lat pięćdziesięciu Loftis zaczynał pojmować, że całe jego życie miało i ma charakter takiego właśnie „kaca”, gdzie nieprzyjemne po trosze przyjemności łagodzą trwałe poczucie winy. Gdyby mógł się pocieszać, że jest alkoholikiem, sytuacja wyglądałaby nieco weselej, bo czytał gdzieś, że alkoholizm to choroba. Ale według własnego przekonania nie był alkoholikiem, tylko pobłażał sobie, a choroba (jeżeli to choroba) tkwiła w najtajniejszych zakamarkach jego duszy, gdzie postanowienia rodzi nie rozsądek, lecz rezonowanie, a narastające wciąż warstwy egoizmu nie dopuszczają, by chwalebne zamiary przybierały

postać dobrych uczynków.

W takich przypadkach niepowodzenie jego małżeństwa dokuczało Loftisowi niczym nie zagojona rana. Trzeźwy albo pijany starał się o tym nie myśleć. Tylko w okresach śmiertelnego „kaca”, kiedy w ustach miał zagę, w głowie watę i nerwy skołatane, rozważania tego pokroju trafiały do świadomości i paraliżowały ją niby diabelskie sztuczki, bezwład duchowy, utajone poczucie łajdactwa. Nic nie pomagało wówczas, nawet potrójna dawka bromu. Loftis mógł tylko liczyć, że wiatr albo blask słońca rozproszy jego troski, a umysł, jak rozszerzająca się z wolna tęczę, ogarnie wreszcie dobrze znajome przyjemności, dobrze znajome pociechy – wróci na przykład do Dolly, albo, co zdarzało się częściej, do Peyton.

Mimo pięćdziesiątki Loftis zachował pozory kwitnącej, nieco zblazowanej młodości. Twarz miał szczupłą, czerstwą, zwiotczałą tylko trochę w okolicy ust i podbródka. Swój nos (o kształtnym garbku) uważał za wybitnie arystokratyczny i zapewne miałyby słuszość, gdyby nie włosy coraz bujniej wyrastające z nozdrzy. Dolly zwróciła na to uwagę i Loftis zaczął włosy wystrzygać. Ogólnie biorąc, był w dobrej formie. Dziękował Bogu za kondycję, która pozwalała mu pięknie grać w golfa i przynosiła zwycięstwa według szlachetnych wirgiańskich tradycji. Bo Loftis lubił zwyciężać i nigdy nie zajmowałby się sportem dla samego tylko ćwiczenia. Niestety, whisky wywierała już wpływ na jego formę.

Trwała witalność była po części przyczyną żalu, jakim starzenie się przejmowało Loftisa, a także tajonych podejrzliwych uraz wobec Heleny. „Może dureń ze mnie – zwykł mawiać do siebie lub pod adresem Dolly. – Może ona ma rację. Pewnych nawyków niepodobna wykorzenić. Wiesz dobrze, jak to bywa z dziećmi... – szybko porzucał nurt nieprzyjemnych myśli i ciągnął: – Ale, słuchaj, we mnie tkwi jeszcze młodość. A ona? Siwieje i twarz ma zwiędłą ze złości czy od pobożnych westchnień. Ach, ten rumiany kaznodzieja!” Helena nie taila wobec męża swoich nowych zainteresowań, które, podobnie jak jej przedwczesna starość, kompleksy i trochę niesamowita histeria, budziły w nim gniew tłumiony, nie znajdujący ujścia.

Mógł przewidzieć to wszystko trzydzieści lat wcześniej w czasie głupich, poronionych konkurów. Coś powinno go ostrzec, ale był wtedy młody, naiwny, a dziś za późno na daremne żale. Co może począć? Jedyne trwać w małżeńskim stanie. Nie ma wyboru. Niekiedy przychodziło mu na myśl, że ich długie współzycie to zjawisko osobliwe i dziwaczne. Ale był leniem największej miary (z tego zdawał sobie sprawę) i zdany na własne siły nigdy nie potrafiłby dość zarobić, a więc patrycjuszowski tryb życia uzależniał go w znacznym stopniu od żony. Ona natomiast była do niego przykuta „przez wzgląd na dzieci”, jak się wyrażała.

Jednakże to nie wszystko – z całą pewnością nie wszystko. Ich rozmowy przy stole były powściągliwe i tak lodowate, że winny mrozić oddech w powietrzu. Ale pośród wzajemnych podejrzeń i niechęci tliły drobne iskierki ocalonych bezwiednie wspomnień i te kazały im zniżyć głosy, pamiętać, słuchać w skupieniu zwiewnej muzyki. Była to melodia nieuchwytna, jak dym palonych karnetów balowych, świec, ognia dogasającego o północy, bardzo daleka i smutna, lecz dosłyszalna, jeżeli zamknąć oczy i minione lata puścić w niepamięć. Loftisowie nigdy nie zamykali oczu, ale trwało w nich nadal poczucie czegoś bardzo znikomego, wiotkiego i niezniszczalnego. Chodzili razem na koncerty i do kościoła (on w niedzielę Trójcy Świętej⁴, Popielec, Boże Narodzenie i Wielkanoc). Walecznie wymieniali uśmiechy i pozdrowienia ze znajomymi, którzy podejrzewali ich o wszystko, o co można było podejrzewać, lecz odchodzili trochę zbici z tropu. („Trudno uwierzyć, że między Loftisami są jakieś nieporozumienia. Widziałeś, jak on śmiał się, jak patrzył na nią?”) Później, z dala od ciekawych oczu, wracali razem do domu wśród ciszy, jak na górskich szczytach, uprzejmie życzyli sobie dobrej nocy i szli do łóżek – ona w swoim pokoju, on w swoim. Obydwoje dobrze pamiętali, że co

⁴ Pierwsza niedziela po Zielonych Świątkach. W krajach anglosaskich uroczyste święto.

najmniej w dwa wieczory palce ich zetknęły się nieśmiało, zapraszająco, lękliwie, niemal bezcieleśnie, jak młode pędy winorośli. Ale rozłączyły się zaraz, a oni odeszli w stronę osobnych sypialni, aby u drzwi przystanąć i nie odwracając się nasłuchiwać przez moment owej zwiewnej muzyki, tak nieuchwytniej, że na zawsze straconej.

Mimo wszystko jednak trwali w okrutnym, bezlitosnym związku. Czasami sprawy układały się gładko jak na obiektywne warunki. Loftis umiejętnie trzymał Dolly na dalekim planie, dzięki czemu miał swoją miłość, a jednocześnie zachowywał pewne pozory godności. Spostrzegł, że ilekroć kłamstwem, wykrętami lub najczęściej demonstracyjnym popisem „naturalnego zachowania” udawało mu się maskować wobec Heleny swój romans, mieszkanie z nią było prawie przyjemne. Razem słuchali radia, rozprawiali szeroko o wojnie, a w wieczory, kiedy Ella i La Ruth miały wychodne, Helena karmiła go kawą, sandwiczami albo nawet gorącą kolacją. Ale na ogół był to związek okrutny, bezlitosny, pełen skrepowania i zaskakująco przykrych niespodzianek. W pewne dni z powodu jakiejś gafy czy mimowolnego gestu Loftisa albo i innych, niepojętych dlań przyczyn, myśli o Dolly prześladowały Helenę. Zawsze zdawał sobie z tego sprawę, bo żona przestawała z nim rozmawiać, gorliwie zajmowała się ogrodem, zabierała Maudie na długie samotne przejażdżki samochodem albo znikwała wieczorem (co dawało mu sposobność odwiedzin u Dolly), aby się wybrać do Careya Carra. Czasami zaczynała chorować na coś nieokreślonego i kładła się do łóżka.

W takich przypadkach Loftis cierpiał niemiłosiernie. W pełni uświadamiał sobie, jak nędzne prowadzi życie, i był coraz bliżej i bliżej decyzji, w której konieczność przestawał wątpić. Nie na tym jednak koniec. Jeżeli, co zdarzało się często, przykre momenty dotykały Peyton, Loftis ulegał bezsilnej furii i tym mniej zdolny do czynu, wił się jak pluskwa przewrócona na grzbiet. Na przykład takie Boże Narodzenie 1941 roku, kiedy Peyton przyjechała na ferie ze Sweet Briar! Wszystko zapowiadało się pomyślnie, ale nic nie wyszło. Dlaczego, u Boga Ojca? Chyba przez czapki, te ohydne papierowe czapki, z których powodu okres świąt wydaje się tak groteskowy. Czapki z czerwonej i zielonej krepiny uwieńczyły Boże Narodzenie nie radością, lecz obmierzłą barwą klęski, a później wracały do Loftisa w koszmarnych snach jako jaskrawe żagle. Sprawy mogły przecież ułożyć się inaczej, a w każdym razie z początku wyglądały odmiennie. W ciągu kilku dni przedświątecznych Helena była niezwykle ożywiona, czynna. Z zapalem rozwieszała girlandy, wstążki, dzwonki z cynfolii i półsłówkami dawała do zrozumienia, że powodem jej zabiegów jest Peyton. Loftisowi wydawało się to dziwne. Nie mógł zrozumieć żony. Może przejściowo stała się osobą normalną? Niepokoił się, wyrzucał sobie podobne myśli. Cóż w tym dziwnego, że matka chce zrobić przyjemność córce?

W ciągu pierwszych lat Peyton w Sweet Briar, podczas wakacji i ferii, udawało się matce i córce ograniczać starcia do minimum. Pisywały do siebie rzadko, ale przyjazdy i odjazdy pieczętowały pocałunkami, wymieniały drobne upominki i, ogólnie biorąc, kryły prawdziwe uczucia pod maską zdawkowych kobiecych serdeczności. Loftis zdawał sobie sprawę, że te panie nie są ze sobą „blisko”, lecz, jego zdaniem, łączyła je miłość, zapewne abstrakcyjna, ale bądź co bądź miłość. Brak „bliskości” przypisywał niepojętym zagadkom natury ludzkiej, neurastenii Heleny albo najczęściej jakiejś ciemnej szarlatanerii, którą stosuje Carey Carr. W każdym razie dziwił się, ale i cieszył patrząc, jak Helena przygotowuje dom na powitanie Peyton, która miała przyjechać w wigilię Bożego Narodzenia. Żywił co prawda pewne podejrzenia, ale usiłował je lekceważyć i na ogół był w doskonałym nastroju. Katastrofa w Pearl Harbor wydarzyła się przed trzema tygodniami i została prawie zapomniana. Loftis liczył, że mógłby wstąpić do wojska – zapewne w stopniu pułkownika – ale wolał się nie śpieszyć. Okres przedświąteczny pachniał sosną i cedrem – jak świeżo przetarte drewno – surowo i upajająco. Obfitował w popołudniowe przyjęcia, na których podejmowano gości ponczem jajecznym, w zabawy taneczne, wesołe ogniska pod gołym niebem. Dawne przyjaźnie, zwiędłe wśród całorocznej powszedniej harówki, rozkwitały wspaniale i trwały, póki nie przyłapano kogoś na zbyt długim

obcałowaniu pod jemiłą cudzej żony. W stosunkach z Heleną Loftis przestrzegał zasad poprawnej uprzejmości i stopniowo zapominał o niej. Pośród wiru przedświątecznych zabaw zapomniał nawet o Dolly, która postanowiła zwrócić mu na to uwagę i zatelefonowała w wigilię Bożego Narodzenia. Zapowiadał jej wprawdzie, aby nigdy, przenigdy nie dzwoniła do domu, ale nie posłuchała i to nie w porę – fatalnie, piekielnie nie w porę! Stało się to w czasie popołudniowego przyjęcia, wydanego na cześć po trosze nowo narodzonego Chrystusa, po trosze zamieszkałego stale w Pensylwanii brata Heleny, Edwarda, tęgiego, rumianego jegomościa, który nie tracąc nic z pompatyczności, zmienił pozycję kupca węglowego na stopień pułkownika w armii lądowej. Miał obecnie przydział w Camp Pickett. Loftis nie widział go od lat i z pewną satysfakcją stwierdził, że biedak nie pozbył się rycerskiej postawy wobec Południowców ani naiwnych, infantylnych zapatrywań politycznych.

– Pearl Harbor to zaskoczenie – perorował pułkownik – ale wojnę i tak wygramy. Pomyśl tylko! Te żółte małpy pną się na drabinę tak wysoką jak Stany Zjednoczone!

Zimny, porywisty wiatr tłukł o ściany. Tumany śniegu wirem spowijały dom, szturmowały do okien, topniały całunem niepokalanej bieli. Pięć uderzeń zegara ściennego zadźwięczało nad gwarem rozmów w pachnącym cedrem powietrza. Obok drzwi stołowego pokoju Maudie, obojętna i nic nie słysząca, bawiła się lalką. Niekiedy spoglądała przez okno, ku słonecznym blaskom i oprawnej w lodowe ramy zatoce. Edward zwrócił też wzrok w kierunku zachodzącego słońca i maleńkie ogniki zamigotały w jego źrenicach.

– Po tej wojnie Ameryka zagra główną rolę na światowej scenie – mówił. – Wtedy będziemy musieli znaleźć wojskowych jako przywódców... Pięć lat temu mówiłem... Ale wy, Południowcy, macie dziwnie zakorzenioną wiarę w Roosevelta. Niech ci się tylko nie zdaje, że opowiadał się za autorytetami, jak to określa lord Acton⁵... Nic podobnego! Aha... Kiedy spodziewacie się Peyton?... – Wypił, aż napęczniały mu żyły na karku i drgnęło jabłko Adama.

5 John Emerich baron Acton (1834-1902) – angielski historyk i publicysta, redaktor i wydawca katolickiego miesięcznika „Rambler”. Był przeciwnikiem dogmatu o nieomyślności papieża.

Wtedy nastąpiła katastrofa! Helena z domyślną miną i straszliwie drwiącym uśmiechem stanęła w drzwiach pokoju i skinęła na męża. Przez tłum gości utorował sobie drogę do telefonu i usłyszał lodowaty szept żony: „Kobieta do ciebie”. Później, czyniąc Dolly gorzkie wymówki, zobaczył, że Helena wchodzi po schodach, aby zniknąć na piętrze. Nie wróciła już stamtąd. Loftis szorstko pożegnał Dolly. „Tak, tak, kociątko... Zobaczymy się niedługo... Bodaj cię lichy”. Popołudnie mijało, nadchodził zmierzch. Loftis próbował podtrzymywać nastrój, ale w powietrzu wisiało coś ciężkiego, brzemiennego gniewem. Goście odczuwali tę atmosferę.

Wszyscy wiedzieli o „kłopotach” Loftisów, a niektórzy byli zrazu zadowoleni, że nie dostrzegli w Helenie złamanej, tragicznej postaci, jaką od dawna robiła z niej plotka. Niefortunny telefon rozwiął złudzenia, a że nic nie psuje tak zabawy jak świadomość bliskich nieporozumień domowych, goście wynieśli się śpiesznie zostawiwszy grające tęczowymi barwami próżne szklanki po ponczu jajecznym.

Loftis dobrze pamiętał, że w momencie kiedy wyszedł na chwiejnych nogach ostatni niedobitek, kompletnie urżnięty młody kawaler, który marudził długo dopijając resztki z wazy, ogarnęła go dziwna, nieuzasadniona panika. Gdzie jest Peyton? Dlaczego nie przyjechała? Co się stało? Piękne przyjęcie prysnęło niby choinkowa kula zdruzgotana nieostrożną stopą. Ku własnemu zdziwieniu był prawie trzeźwy i może dlatego miał szczerą ochotę zamordować Dolly. Rzucił przez ramię: „Przepraszam cię, Edwardzie. Za chwilę wrócę” – i targany niepojętymi wyrzutami sumienia poszedł na piętro. Minął pokój, w którym Ella, wystrojona w koronki i wstążki z gałązką ostrokrzewu przypiętą na piersi, kładła spać Maudie, a następnie zastukał do drzwi Heleny. Nie były zamknięte na klucz, więc wszedł do pokoju. Helena leżała w łóżku, nakryta tylko prześcieradłem. W sypialni nie paliła się lampa, a odbłask wieczornej zorzy na śniegu rozjaśniał łóżko szkarłatną łuną. Sprawiało to wrażenie, że Helena złożonymi rękami tuli do piersi światło, przypominające wiązanek róż. Leżała bez ruchu niby postać na sarkofagu z czerwonego marmuru.

– Odeszłaś – zaczął Loftis.

– Tak – powiedziała spoglądając prosto przed siebie.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Dlaczego? – powtórzył głośniej. – Mogłabyś chyba być mniej bezwzględna.

– Nie wiem. Zdaje się, jestem trochę przeziębiona.
– Dobry Boże...
– Co mówisz?
– Nic – usiadł na krześle obok łóżka.
– Kiedy przyjedzie Peyton? – zapytała Helena.
– Niedługo, mam nadzieję.
– Chciałabym ją zobaczyć.
– Dobrze. Może podać ci jakie lekarstwo? Dlaczego nie wzięłaś gorącej kąpieli?

Nie odpowiedziała i dopiero po chwili podjęła cicho:

– Miltonie...
– Słucham?
– Czy sądzisz, że potrafimy wybaczyć sobie wzajemnie?
– Co?
– Wszystko. Całą naszą niedolę.
– Nie ma żadnej niedoli – odparł Loftis. – Chyba że ty chcesz w nią zmienić nasze życie. Zmęczyły mnie już próby zrozumienia...

– Ależ tak... Tak! To niedola – Helena poruszyła się lekko, piękne różowe światło spłynęło po fałdach prześcieradła. – Tak, Miltonie! Nikt nie dowie się nigdy, ile ja cierpię. Zabawna historia, co? Pracuję przez cały tydzień, jestem wesoła i może domyślam się nawet, co ludzie mówią. Mówią: „To Helena Loftis. Spójrzcie na nią. Wygląda jak odrodzona”. A później jest nagle tak, jak gdybym nie była odrodzona... jak gdybym nie narodziła się nigdy i wcale tego nie chciała...

– Heleno...

– Ach, Miltonie! Bardzo niedobrze ze mną. – Usiadła na łóżku; zsunęła prześcieradło do kolan.

– Cóż ja mogę poradzić? – podjął Loftis patrząc jej w oczy. – Powiedziałem, że odejdę. Nie zgodziłaś się. W każdej chwili mogę odejść. Maudie...

– Maudie! – przerwała z pasją. – Właśnie! Maudie... Ale nie o nią chodzi. O mnie! Często powtarzam, że dla mnie wszystko utraciło znaczenie... Miłość i wszystko! Mieszkamy razem jak hotelowi goście czy coś takiego. Wspólnie załatwiamy rozmaite formalne sprawy. Nie liczy się nic więcej. Bądźmy hotelowymi gośćmi, i tyle. Nie liczy się nic więcej – urwała i przygładziła włosy palcami, dostała ataku kaszlu.

– Okryj się... – zaczął Loftis.

– Zaraz – położyła rękę na dłoni męża, w półmroku spozrzała nań wilgotnymi, gorejącymi oczyma. – Widzisz, mówię tak, ale to nie są moje myśli. Dobrze pamiętam wszystko. Słuchaj, Miltonie... – urwała znowu, przysunęła się bliżej i zrzuciła oba ramiączka tak, że nocna koszula opadła do pasa. – Patrz na mnie... Patrz!

Obydwie dłonie Loftisa położyła pod swoimi piersiami, a on uprzytomnił sobie nagle zapach perfum. Patrzył na nią i smutna fala wspomnień spowijała go łagodnie. Lekko nacisnął jedną pierś. Była ciepła, miękka, bardzo gładka i bardzo dobrze znajoma. Helena dotknęła palcami jego ręki, przycisnęła mocno.

– Czujesz? – zapytała drżącym głosem. – Czujesz? Czy nie ma tam miłości? Dawniej brałeś mnie w objęcia, całowałeś. Pamiętam nasze pierwsze mieszkanie. Pamiętasz, ile zawsze mieliśmy sobie do powiedzenia? Rozmawialiśmy bez ustanku. A w nocy tuliłeś mnie, mówiłeś: najdroższa. Pamiętasz, Miltonie?

Wpiła paznokcie w jego skórę, a później szybko cofnęła rękę, osunęła się na poduszki. Jej odkryte piersi opadły na boki. Nie były już młode ani jędrne; unosiły się i opadały rytmicznie, jak gdyby oddychanie sprawiało Helenie trudność. Trzęsa się cała, więc Loftis okrył ją prześcieradłem. Na moment wróciła purpurowa łuna. Ale było już prawie ciemno, odbłask na niebie nad zatoką zmienił odcień i najsubtelniejszym błękitem ubarwił pokój, ciało Heleny i wyciągniętą nieruchomo rękę jej męża. Po chwili Loftis cofnął tę rękę, nachylił się, przytulił twarz do tamtej twarzy. Ale nim zdążyły się zetknąć ich policzki, poczuł falę gorączki.

– Heleno – powiedział – myślę, że trzeba... Masz chyba wysoką temperaturę.

– Daj spokój, Miltonie. Wszystko jedno.

Na parterze trzasnęły drzwi. Odezwały się młode, wesołe głosy i trochę zbyt donośny śmiech Edwarda.

– Jest Peyton! – oznajmił prostując się Loftis.

Przez chwilę milczeli obydwójce.

– Ona mnie nienawidzi – szepnęła Helena.

Milton ujął jej rękę, uścisnął mocno. Było okropnie.

Tony dziwnej muzyki – jednostajne, natrętnie – nadpływały znikąd, lecz zdawały się przesycać powietrze melodią bólu nie do wytrzymania. Loftis trząsł głową, jak gdyby chciał odpędzić to złudzenie. Myślał o dzieciach, o dawno już przebrzmiałym i zapomnianym upojeniu, o Maudie, która gaśnie w sąsiednim pokoju. Palcami wyczuł siatkę nabrzmiałych żył na dłoni Heleny, przycisnął tę dłoń do policzka.

– Ach, nie mów tak, kochanie. Nie mów...

Ale chwila minęła. Helena nie odpowiadała, milczała uparcie. Wreszcie cofnęła rękę, zaczęła oddychać ciężko. Muzyka ucichła nagle, jak gdyby niewidzialna dłoń nocy porwała ją wraz z nieznośną męką Milтона.

Wspominając później ów moment, Loftis myślał nieraz, że był to ostatni akord przebrzmiałych tkliwych uczuć. Zbliżył ich najbardziej, jak było to możliwe. Czemu nie stało się nic więcej? Może on – a zapewne i ona, czy to wiadomo? – starał się zanadto. Nikt nie wie, kiedy otwierają się oczy serca. Dla nich rozwarły się na moment, ujrzały siebie wzajemnie, lecz natychmiast mrugnęły i zamknęły się śpiesznie. Loftis zdał sobie sprawę, że jest już za późno, że wszystko może się zdarzyć. Przygotowany na najgorsze wstał z krzesła.

– Czy chcesz zobaczyć Peyton? – zapytał.

– Nie.

– A mówiłaś, że chcesz.

– Później. Jestem zmęczona.

– Twierdzisz, Heleno, że ona cię nienawidzi. Mylisz się.

To ty nienawidzisz wszystkiego i wszystkich dokoła siebie.

– Sama mi to powiedziała – szepnęła głucho Helena.

– Powiedziała: nienawidzę cię.

– Nie bądź dziecinna.

– Powiedziała mi w oczy.

Teraz nic nie pomoże. Bodaj piekło pochłonęło Dolly! Że też musiała zatelefonować! Nagle doznał jak gdyby olśnienia. Pochylił się nad żoną, rzucił szorstko:

– Po co te wszystkie brednie o Peyton? Co ci dolega, Heleno? Co się z tobą dzieje? Jesteś chora. Pomów z tym jegomościem z Norfolk, jak ci radziłem. Ja nie wytrzymam dłużej!

Poruszyła się, westchnęła. Z jej zdławionego gardła dobyło się widmo niedobrego śmiechu.

– Stary, poczciwy Milton – powiedziała. – Niewiniątko! I taki o mnie dbały!

Na Boga, tutaj nic nie pomoże! Loftis wzdrygnął się, bo wraz z wyrzutami sumienia poczuł mrówki na grzbiecie.

– Heleno – zaczął szybko. – Posłuchaj, Heleno zerwę tamto... no, wiesz... zerwę, jeżeli ty przestaniesz dręczyć Peyton... Mój Boże! To okropne! Zapowiadały się przyjemne święta. Wszyscy mówili, że doskonale wyglądasz... A teraz... Spójrz tylko, co się stało!

– To twoja wina... Twoja!

Ściemniło się zupełnie, więc Loftis nie widział żony. Usłyszał tylko szelest prześcieradeł, gdy odwracała się twarzą do ściany.

Taki był koniec. Milton wyszedł z pokoju trzasnąwszy drzwiami i przypomniał sobie nagle słowa ojca:

„Synu mój, wielki zawód może prowadzić do najdoskonalszego zrozumienia. Szarp ogołoczone z ciała kości, węż wokół, spoglądaj w oczy strasznej prawdzie, a jeżeli nie osłabiesz, pojmiesz być może wszystko. Cierpliwości, mój synu!”

Ale pocziwy papa nic nie rozumiał. Nie zdawał sobie sprawy, że taka gadanina jest dobra dla ludzi, którzy nie mają żadnych problemów. Nie mógł przewidzieć takich świąt Bożego Narodzenia. Nie mógł przewidzieć, że w drodze z pokoju Heleny Milton będzie odczuwał każdą zapadającą w otchłań czasu minutę jako coś wezbranego nieuniknioną groźbą, która przerasta wszelkie komunały. Milton miał wówczas wrażenie, że zdołałby powstrzymać dalszy bieg wydarzeń jedynie wysadziwszy dom dynamitem.

Później przypomniał sobie, jak dorosła wydała mu się Peyton po trzymiesięcznej rozłące. Zapušciła włosy, które iskrząc teraz kropelkami stopniałego śniegu opadały na ramiona i nadawały twarzy nowy wyraz bystrej pewności siebie. Zdyszana, uśmiechnięta podsunęła ojcu do pocałowania policzek zaróżowiony ślicznym, zimnym rumieńcem. Później strzepnęła śnieg z okrycia i ściskając rękę Loftisa oznajmiła, że nie może zostać na kolacji (stanowczo, staruszku, za nic na świecie!), bo za godzinę rozpoczynają się tańce w klubie wiejskim, gdzie jest już umówiona. Przedstawiła też Dicka Cartwrighta, szczupłego, dość przystojnego studenta pierwszego roku, który pachniał piwem, był ostrzyżony na jeża i ssał przesadnie wielką fajkę; wyjął ją z ust na czas wystarczająco długi, by uściskać rękę Loftisa, z godną, wyrozumiałą miną, charakterystyczną dla studentów pierwszego roku. W jednym z kątów bawialni Edward chwiał się na nogach i posępnie piastował szklankę. W momencie kiedy Loftis wkraczał na scenę, nachylił się i niepewnie włączył radio. Raczył powitać łaskawie Peyton i Dicka, a następnie wycofał się do jakiegoś własnego podniosłego świata. Loftis miał tylko czas zapytać, czy Peyton zostanie do Nowego Roku, gdyż dziewczyna skoczyła żywo na schody, żeby przebrać się w swoim pokoju i z półpiętra odkrzyknęła:

– Nie wiem, tatusiu!

Odczuł bolesny zawód (czemu, u licha, ona nie chce zostać w domu?) i posepnie, lękliwie medytując o Helenie, która leży sama w ciemnościach, zapytał Dicka, czego by się napił, a następnie dodał uprzejmie:

– Do jakiej broni zamierza pan wstąpić?

Chłopiec pogładził ręką krótko ostrzyżoną czuprynę.

– Naprzód chcę skończyć studia – odpowiedział.

– Później pójdę do marynarki. Chwilowo mam odroczenie.

Wszyscy usiedli.

– Nie lepiej byłoby pod żołnierskim rynsztunkiem, co? – roześmiał się Edward.

Żart trafił w próżnię. Dick przełknął ślinę, pociągnął whisky i poważnie ścisnął cybuch między zębami. Choinkowe lampki wesoło rozjaśniały pokój. Loftis próbował podsycać konwersację, ale z piętra zaczęły dobiegać głosy– głosy Heleny i Peyton – przytłumione, złowróźbne, podkreślane długimi pauzami, więc nie był w stanie skupić uwagi. Mimo to usłyszał to i owo o domu Cartwrightów w Northern Neck, gdzie Peyton i Dick spędzili pierwsze dni ferii. Ponadto wywnioskował, że ojcem chłopca jest głośny Harrison Cartwright, bogaty przedstawiciel firm samochodowych, utrzymujący zagadkowe, mgliste kontakty z machiną Byrda⁶; chłopiec miał miłą powierzchowność i maniery bez zarzutu, ale Loftis odczuwał instynktowną zazdrość posiadacza: zastanawiał się, co Peyton myśli o Dicku i czy też oni...

– Napije się pan jeszcze? – zaproponował i zaraz pożałował niewczesnych słów, bo chłopiec wyglądał tak, jak gdyby w drodze przebrał miarkę o jednego.

⁶ Harry Flood Byrd – polityk amerykański, senator i gubernator stanu Wirginia. Konserwatysta, przeciwnik Roosevelta i jego „New Deal”.

Ostatecznie Edward zabrał głos i pompatycznie, szeroko rozwodził się nad przyszłą kampanią na Pacyfiku. Tymczasem Loftis łowił uchem dobiegające z piętra, coraz wyraźniejsze głosy, czuł się fatalnie i myślał z bezradną furią: „Jeżeli Helena zrobi jakie głupstwo, niech ją Bóg skarże”.

Na koniec wzorem Dicka zaczął słuchać z uprzejmą niechęcią monologu pułkownika, który współzawodniczył skutecznie z audycją radiową: długimi jadowitymi zdaniami Lionela Barrymore'a w roli Scrooge'a.

Wreszcie Peyton zbiegła z piętra, ale nie weszła do bawialni. W hallu zaszeleściła jej suknia, a następnie dziewczyna stanęła w drzwiach przygnębiona jakaś i tajemnicza.

– Staruszkule! – zawołała po chwili.

Loftis wstał z fotela, żywo podszedł do córki. Wyglądała prześlicznie. Objął ją, tkliwie spojrzął jej w oczy.

„Dobry Boże!” – pomyślał i przewidując z góry odpowiedź, zapytał:

– Co się stało, maleńka?

Jak wynikało z relacji Peyton, stało się to, czego należało oczekiwać. Helena powiedziała, że Peyton ma zostać w domu, bo wigilia Bożego Narodzenia to nie dzień na tańce. „Mamy gościa – mówiła – wuja Edwarda. Poczekaj na dole i zatrzymaj Dicka. Ja zaraz wstanę, ubiorę Maudie i na miejscu urządzimy zabawę. Trzeba przecież rozpakować prezenty”.

Coś w podobnym sensie.

Przemówienie nie wywołało zamierzonego skutku, więc Helena podniosła głos. Jej oczy zabłyśły gniewnie. Tak przynajmniej wyobrażał sobie Loftis. Prawie słyszał dalsze zdania żony: „Peyton, kochanie! Tak się cieszę, że jesteś znów w domu. Zostaniesz prawda?... Co? Już się umówiłaś?... Więc nie? Stanowczo nie... Mogłabyś, moja droga... Jak to dobrze, że zapuściłaś włosy. Ślicznie wyglądasz, córeczko... Wszystko starałam się przygotować na twoje powitanie, a teraz... Więc nie? Stanowczo nie?... Aha... Obiecałaś, że będziesz... – ciężko opada na poduszki. – Dobrze. Zrobisz, co zechcesz – przez moment spogląda z wyrzutem na Peyton, później odwraca wzrok; zapewne kilkakrotnie wzdycha, głęboko, ciężko, później tłumy wzburzenie, jest spokojna. – Dobrze. Rób, co ci się podoba. Myślę, że twój ojciec pochwali takie zachowanie – jeszcze raz spogląda surowo na Peyton. – Idź już. Idź sobie!”

W sąsiednim pokoju Dick Cartwright szukał okryć i szalików i nadal nie szczędził szlachetnych starań, by uważnie słuchać Edwarda. Loftis tulił serdecznie Peyton, ona zaś opowiadała, co zaszło na piętrze, mówiąc cichym, zdławionym głosem, świadczącym o żalu i rozczarowaniu bardziej niż o innych uczuciach.

– Chciałam zobaczyć, Maudie, ale... – zająknęła się.

– Ale już jadę, staruszk.

Powiedziała to bez złości, jak gdyby chciała tylko podkreślić fakt, że jest już dorosłą osobą, a w osiemnastym roku życia trzeba się bawić. Następnie dodała smutniej:

– Wielka szkoda, że wszystko musi tak wyglądać. Prawda, staruszk?

Nagle poweselała i rozpostarłszy ręce zawołała akcentem z delty Missisipi:

– Ryszardzie! Mój płaszcz, kochanie!

– Peyton... – zaczął Loftis i chciał przygarnąć córkę rozpaczliwie.

Ale Peyton odeszła i nim zdążył to sobie uświadomić, został sam w hallu. Na policzku czuł jej ostatni pocałunek, słyszał wibrujący w powietrzu młody śmiech – niewesoły śmiech, jak mu się wydawało. Tępo spoglądał na ciemną, mroźną noc, otwarte drzwi i chwiejącą się jeszcze nad nimi świąteczną girlandę.

Głęboki żal poraził go, pozbawił wszelkiej mocy. Czuł, że jest skrupowany więzami uczuć (a może tylko przyzwyczajęń), zbyt cienkimi, by je targać. Ale nawet w tej chwili, na pograniczu bezdennej rozpacz, rozumiał, że jego uraza do Heleny to raczej wyrzut wobec samego siebie, i przeklinał się gorzko za niewesołe święta, smutne życie Peyton, za własny śmiertelny bezwład. Później myślał niejednokrotnie, że tamten wigilijny wieczór upoważnił go do ostatecznej rozprawy z Heleną. Jednakże wiedział, że w razie awantury najbardziej ucierpiałaby Peyton. Wiedział, że w sferze czczych pogroźek zostanie upragnione od dawna zdanie, które często powtarzał w samotności z odpowiednią pasją i mimiką: „Heleno, wszystko skończone. Ja odchodzę!” Pijany żalem, troskliwie piastujący swój *Weltschmerz* zatelefonował do Dolly, lecz nikt nie podniósł słuchawki. Później zajrzał do kuchni i bez przekonania napoczął indyka zostawionego tam przez Ellę. Ostatecznie jednak wrócił do bawialni i pił z Edwardem, a że był osamotniony i pełen goryczy, odnosił się wyrozumiale do idiotycznego egotyzmu szwagra. Długo rozmawiali i dobrze po północy, przy stłumionych dźwiękach kolęd dobiegających skądś z ulicy, nie bez trudności powlekli się na piętro do łóżek.

Sam dzień Bożego Narodzenia był równie koszmarny. Istne piekło. Loftis obudził się z bólem głowy. Blask słońca dał mu znać, że już bardzo późno, a nieokreślony, posępny nastrój, że dzień będzie groźny, naszpikowany niebezpieczeństwami. W domu panował absolutny spokój. Nie było radosnej świątecznej wrzawy ani ożywionego gwaru rozmów: nic, tylko cisza. Zdawać się mogło, że leży tam ktoś ciężko chory. Loftis wstał z obrzydliwym niesmakiem w ustach. Spojrzał na zegarek i osądził, że Helena i Maudie muszą być w kościele. Podeszedł do okna. Zatoka była pokryta częściowo lodem, dalej jednak błękit wody połyskiwał oślepiającym blaskiem. Biel i lazur: wszystko sztywne, monumentalne, bez subtelniejszych odcieni, niby krajobraz z kalendarza. Daleko na północy zbierały się chmury, zapowiadając nową śnieżycę. Loftis ogolił się byle jak, ubrał i na palcach wszedł do pokoju, w którym spała Peyton. Ostrożnie przysiadł na brzegu łóżka i obudził córkę pocałunkiem. Drgnęła nerwowo, przeciągnęła się, przytuliła twarz do poduszki.

– Ale mam kaca! Boże! – westchnęła.

Loftis klepnął ją lekko po ramieniu, schylił się i drugi raz pocałował.

Otworzyła szeroko najprzód jedno oko, później drugie. Zarumieniła się i nakryła głowę poduszką, spod której dobył się stłumiony głos.

– Nie wiedziałam, że to ty, staruszk.

Loftis dał jej delikatnego klapsa po siedzeniu.

– Wesołych świąt, maleńka.

Peyton usiadła. Włosy opadły jej na twarz.

– Oj, boli...

– Kogo kochasz? – zapytał.

– Siebie.

– Nie! – obruszył się. – Kogo kochasz? Kto jest twój najdroższy?

Dziewczyna zmarszczyła czoło, przymrużyła oczy w słonecznym blasku. Oparła głowę na ramieniu ojca i powiedziała sennie:

– Staruszk, mówi się chyba, kto jest twoim najdroższym.

– Możliwe. Powiedz!

– Osioł z ciebie.

– Jaka niegrzeczna! Ale trudna rada. Kac wiele usprawiedliwia. Powiedz no, kiedy zaczęłaś zaglądać do butelki? Myślałem, że tylko ja jestem zakałą rodziny.

– Kochanie! – podjęła Peyton już świeżym, dźwięcznym głosem. – Ja mam mocną głowę. Chyba mocniejszą niż ty, staruszk. Zadaję się ze studentami. Wiesz, jak to wygląda. Sam byłeś studentem... Mam mocną głowę. Alkohol mi służy. Rozjaśnia myśli, pobudza do pracy intelekt. Mam także mnóstwo innych wad.

– Co ty wiesz o intelekcie? Albo o wadach?

– To samo mówi Dick.

– Sympatyczny chłopak. Podoba ci się?

– Czy ja wiem? Chyba nie najgorszy. Kocha się we mnie – wyjaśniła rzeczowo.

Loftis poczuł się dziwnie, jak gdyby go coś zmroziło.

– Gdzież on przepadł? – zapytał. – Myślałem, że zatrzyma się u nas.

– Miał taki zamiar. Ale nad ranem, o ładnej godzinie pół do czwartej, Dick i Chuck Barlow doszli do wniosku, że muszą dopić razem w domu Chucka. To także student, a Barlowowie mieszkają w Hampton. Powiedziałam, że Dick może jechać, ja poradzę sobie sama. Mamy się spotkać dziś wieczorem – umilkła zamyślona, zmarszczyła znów czoło.

– Otwarcie mówiąc, bałam się trochę. Drogi takie oblodzone i wszyscy w dym pijani. Staruszkule! Żebyś słyszała, jak śpiewali. Wszystkie stare piosenki! Coś cudownego. Tatusiu, daj zapalić.

Teraz trzeba ją zapytać... Częstując córkę papierosem bąknął:

– Kochanie... Chyba zostaniesz z nami do Nowego Roku?

Peyton zapaliła papierosa, odgarnęła włosy z oczu i przez okno spojrzała na zatokę.

– Zostaniesz do Nowego Roku? – powtórzył Loftis i nie czekając odpowiedzi dodał niedbałym tonem: – Zaraz musisz zejść na dół, rozpakować prezenty.

– Wujek Eddie pojechał – zmieniła temat.

– Co? – zdziwił się Loftis.

– Wychodził właśnie, jak wróciłam. Wezwali go do obozu. Jakiś alarm czy coś podobnego. Nie chciał cię budzić. Był zalany w pestkę. Kiedy weszłam do hallu, mama się z nim zęgnęła. Miała na sobie płaszcz kąpielowy.

– Jak wojna poradziłaby sobie bez Edwarda? – mruknęła Loftis zgrzyliwie i nie bez odrobiny zazdrości.

– Co takiego? – Peyton spojrzęła na ojca pytająco.

– Nic. – Wzięła ją za rękę. – Pobędziesz trochę ze mną, co?

Był na pozór swobodny, ale we własnym głosie dosłyszał ton prośby, roześmiał się więc, chcąc zatuszować wrazenie.

– Lepiej, żeby moja maleńka przestała włóczyć się wciąż po świecie – podjął wesoło, lecz mocno ścisnął palec Peyton i tym się zdradził.

Szybko cofnęła rękę i odpowiedziała niecierpliwie, jak osoba zupełnie dorosła:

– Nie wiem doprawdy, staruszkę. A teraz może zechcesz wynieść się z mojego pokoju – głośno pocałowała go w usta.

– Muszę się ubrać, a jestem stanowczo przeciwna, by męczyzna podziwiał moje kształtne młode dało. No, idź już, kochany.

– Rozkaz!

Loftis podniósł się, ale w drzwiach przystanął.

– Czy ona powiedziała ci coś, kiedy wróciłaś w nocy do domu?

– Ale mam kaca – westchnęła Peyton.

Jaskrawy blask południa zalewał pokój, raził i oślebiał stojącego w drzwiach Loftisa. Było to jednak światło chłodne, dziwnie przejrzyste, o barwie zamarzłej lemoniady. Wyraźnie dobywało na jaw dobrze znajome szczegóły pokoju Peyton: dziecienną biblioteczkę malowaną zblakłą już olejną emalią w czerwone i zielone pasy, wiszące na ścianach proporczyki z zapomnianych zabaw, ukrytą w kącie naiwnie różową skrzynkę, w której spoczywały dotychczas pogrążone w kataleptycznym śnie, odrzucone lekceważąco lalki. Peyton rozbierała się już na tle rozświetlonego prostokąta, a pręty uchylonej żaluzji rzucały na łuk jej pochylonych pleców cienie podobne do śladów po chłości. Loftis był zmieszany, ale jak urzeczony patrzył na tę młodą kobietę, która niedbałym ruchem zsuwała z bioder spodenki piżamy.

– Słuchaj, staruszkule! – prawie krzyknęła przez ramię.

– Myślisz tu zostać na stałe? No, idź już wreszcie!

Wzdrygnął się i głośno przełykając ślinę wyszedł z pokoju.

Moment skrępowania, podniecenia, czy jak to nazwać trwał przez czas pewien, lecz minął wkrótce. Dzień począł nabierać rozpędu, kiedy w kilka minut później, zgrzyt opon na ubitym śniegu dał znać o przyjeździe Heleny. Dziwne. Na wstępie zmyliła czujność męża nie utartym zwrotem „wesołych świąt”, lecz słowami: „Szkoda, że nie widziałeś kościoła, Miltonie. Było prześlicznie”. Uśmiechnęła się przy tym tak zagadkowo, że Loftis odwrócił wzrok i nie patrzył na nią, gdy zdejmowała kalosze. Zadowolony z tak dobrego początku, lecz czujny nadal, rozpoczął jakąś ogólnikową odpowiedź, w sensie: „Bardzo się cieszę...”, a może: „Jakże mi miło...”, ale Helena usadowiła Maudie na stołeczku pod choinką i pośpieszyła do kuchni, aby szykować tradycyjny obiad. Ella i La Ruth miały tego dnia wychodne: przecież i one musiały pójść do kościoła.

Loftis nie zauważył, kiedy niebo zaciągnęło się chmurami. Nalał sobie whisky. Z kuchni zaczęły dochodzić charakterystyczne wonie. Znudzony, oczekiwał niecierpliwie Peyton. Tymczasem usiadł na podłodze obok Maudie i machinalnie wybierał tony na dziecinnym ksylofonie. Nie rozpakował swoich prezentów. Pod choinką leżało duże, czworokątne pudło (prawdopodobnie szlafrok od Heleny) i mniejsza paczka od Peyton. Helena ani Peyton nie zainteresowały się też upominkami. Tylko Maudie zrobiła to z samego rana, więc Loftis brzdąkał bez sensu siedząc pośród śmietniska kolorowych papierów i sznurków z szychem. Ksylofon był stary, niemal doszczętnie odarty z farby.

– Słuchaj, Maudie – powtarzał Loftis od czasu do czasu.

Bóg wie przed ilu laty Maudie zobaczyła po raz pierwszy ten instrument i nieświadomie odsunęła go na bok. Od tego czasu w każde Boże Narodzenie, rok po roku, Helena dobywała z ukrycia ksylofon, którego pobrzękiwanie przypominało ubiegłe lata i dopełniało rytuału wspomnień, zawodów i nieśmiertelnych nadziei. Obecnie Maudie pochylała się nad ojcem i była zadowolona – albo przynajmniej Loftis wyobrażał sobie, że jest zadowolona, gdyż z uśmiechem spoglądała w przestrzeń bezmyślnymi tępych oczyma i zdawała się słuchać nieskładnych dźwięków – dzień-dzeń-dzeń – które wypełniały pokój. „Cicha noc, święta noc”. Z kuchni dobiegał szcęk patelni i garnków, a także stłumione, gniewne pomruki i szepty... Czy ona gada do siebie?

– Heleno – zawołał Loftis. – Może ci pomóc?

Nie było odpowiedzi.

Napił się, oderwał wzrok od ksylofonu. Spostrzegł, że słońce pociemniało, utraciło poranną świeżość. Oceaniczne chmury wisiały nad zatoką upiornymi zwałami – szare, groźne, rozdęte – piastowały śnieg w powłoce ponurych kłębow.

Nie zauważył, kiedy Peyton zeszła z piętra, cicho minęła hall i zatrzymała się w drzwiach kuchni, mówiąc dosyć niepewnie:

– Wesołych świąt, mamó.

Helena nie odpowiedziała.

Dziewczyna przygryzła wargi i powtórzyła:

– Wesołych świąt, mammo.

Znow nie było odpowiedzi. Tylko stłumione mamrotanie dochodziło od strony płyty kuchennej, gdzie Helena odwrócona plecami stała pochylona nad ogromnym indykiem. Nagle zrzucona łokciem patelnia upadła z brzękiem na podłogę. Helena odwróciła się i spostrzegła córkę.

– Cóż – odezwała się – myślę, że jesteś kontenta.

– Nie rozumiem, mammo – bąknęła Peyton.

– Czy naprawdę jesteś z siebie kontenta?

– Nie rozumiem... O co ci chodzi, mammo?

Helena schyliła się, aby podnieść patelnię i obetrzeć ją fartuchem.

– Wuj Edward przyjechał aż z Blackstone. Specjalnie starał się o urlop, żeby ciebie zobaczyć – odwróciła się i nachylona znowu nad płytą kuchenną zaczęła kiwać głową.

– Och... – urwała i to „och” zawisło między matką i córką jak zero niebywałych rozmiarów. – Och, był oburzony, zgorzony. Naprawdę zgorzony, Peyton. Twój przyjazd z tym pijanym chłopakiem... Ale mimo wszystko wuj Edward bardzo chciał cię zobaczyć przed odjazdem.

Zajęła się indykiem. Ręce jej drżały, gdy przewracała łyżką olbrzymie ptaszysko, przypalone trochę z jednej strony.

– Peyton – podjęła – czy ty nie masz żadnego szacunku dla siebie? Kto nauczył cię takiego zachowania? Pijesz i...

– Zgorszony! – wybuchnęła dziewczyna.

Helena znieruchomiała. Odwrócona tyłem do córki zastygła z ociekającą tłuszczem łyżką w rękę.

– Aha... – zaczęła, a zabrzmiało to jak wstęp do śmiechu.

– Wuj Edward zgorszony! – ciągnęła Peyton. – Jak żyję, nie widziałam nikogo równie cynicznego. Zgorszony! Dlaczego nie powiesz, mamó, tego, co myślisz naprawdę? Dlaczego nie powiesz, że tylko ty byłaś zgorszona. A w ogóle, co ty wyprawiasz? Co się z tobą dzieje?

Helena odwróciła się szybko. Usta ułożyła w owal, jak gdyby chciała coś powiedzieć.

– Zaraz. Sekundę – ciągnęła żywo Peyton. – Nie wykłuwaj mi oczu „tym pijanym chłopakiem”. To mój przyjaciel. Lubię go. Ale co ty wyrabiasz, mamó? Boże! Mój Boże! Co ty wyrabiasz? Mamó! Mamó!

Peyton umilkła. Rozdygotana stała w drzwiach kuchni, twarz miała purpurową ze złości. Obie trzęsły się i gotowe wybuchnąć płaczem nie mogły dobyć głosu. W kuchni panował amatorski nieład. Z piecyka ulatywał słodkawy pachnący dym: coś się paliło. W salonie dźwięczały srebrzyście nedorzeczne nutki ksylofonu – melodia jakiejś kolędy.

– Staralam się... – zaczęła Helena histerycznie.

– Brednie! – przerwała Peyton zdławionym półgłosem.

– Co się z tobą dzieje, mamó? – Odwróciła się tak gwałtownie, że szeroka, czerwona spódnica zawirowała wokół jej kolan. Odeszła.

Przez następne pół godziny Peyton, Maudie i Loftis siedzieli w salonie. Nikt nie odzywał się słowem, z wyjątkiem Maudie, która raz wstała ze stołeczka, pokuśtykała do okna i spojrzała na niebo.

– Słońce... Gdzie się podziało słońce? – przemówiła.

Prezenty leżały nadal nie rozpakowane. Peyton przeglądała jakieś czasopisma. Twarz miała posępną, zaczerwienioną. Nerwowo krzyżowała i prostowała nogi. Na dworze okiść śnieżna opadała z cedrów. Szare zimowe światło sączyło się do pokoju. Czekali. Loftis był bardzo nieszczęśliwy. W rękę ścisnął drugą już szklankę whisky. Spod oka śledził w lustrze wiszącym w hallu cień żony, która raz po raz przechodziła cicho z kuchni do jadalnego i wracała. Nosila na stół półmiski i salaterki niechętnie, jak zaharowana, udręczona od dawna niewolnica. Złowróźbny zdawał się rytm jej kroków, szybki, stanowczy, dziwnie ceremonialny. Wreszcie zawołała głuchym, matowym głosem:

– Proszę do stołu.

Loftis z córkami wkroczył do jadalni. Musieli zjeść ten świąteczny obiad i równie nieuchronnie Helena musiała przejść samą siebie, tworząc nieistotną przeciwwagę napięcia. Z wyjątkiem przypalonego trochę indyka ucztą była bez zarzutu. Na stole znajdowało się wszystko, czego wymaga tradycja: małże morskie, garnitur z ostryg, sos borówkowy, piękna dekoracja środkowa z bluszczu i ostrokrzewu. Jednakże Loftis wyczuwał cierpienie i męczeństwo Heleny nawet w skrupulatnym napełnieniu solniczek i precyzji z jaką złożyła serwetki. Wszystko zrobiła sama bez Elli: dla Peyton, dla nich, dla całej rodziny. Cóż, Boże Narodzenie... Wesołych świąt... Dzień płynął spokojnie. Przy stole mówiono niewiele, a nieliczne wymienione uwagi były raczej formalne, zdawkowe. Helena panowała nad sobą. Godnie rozprawiła o pogodzie, wróżyła nową śnieżycę. Maudie ze zrozumieniem kiwała głową i czwarty lub piąty raz uroczyście dziękowała wszystkim za prezenty.

– Dziękuję, papotato. Dziękuję, kochana Peyton.

Peyton próbowała jeść, próbowała żartować z ojcem.

Patrzyła na niego jak gdyby z niechęcią. Niezręcznie opuszczała widelec. Talerz wciąż miała pełny. Loftis ulegał straszliwej melancholii. Myślami wędrował w niepowrotną przeszłość, do dawnych, zapomnianych świąt Bożego Narodzenia... Czy dźwięczą jakąś melodią bezgłośnie słowa, co uleciały ku niebu, niby tony niemego ksylofonu – gdzieś, niegdyś w pokoju pełnym dymu i pocziwych, nie istniejących od dawna twarzy? Spod oka zerknął na żonę, i jej pusty, czysty talerz. Zapatrzona w zatokę, paliła papierosa.

Peyton przewróciła szklanę.

Wszyscy troje wstali. Sięgnęli po serwetki, chustki do nosa, ruszyli w stronę kuchni. Ale Helena była pierwsza.

– Siedźcie spokojnie. Poradzę sobie.

Peyton blada, zmieszana poszukała spojrzeniem wzroku ojca. Bezgłośnie i błagalnie poruszała wargami. Strumień wody spływał z jej spódnicy. Usiedli obydwój, a Helena uklękła obok krzesła Peyton. Pokornie, pracowicie zbierała ścierką wodę nie odzywając się słowem. Pokutująca wyrobница! Gniew i rozpacz poczęły dławić Loftisa.

„Boże! – pomyślał. – Ona udaje czarną niewolnicę!”

Helena wyciskała wodę do miski, pracowicie sięgała pod stół, znów wyzymała ścierkę. Wreszcie dźwignęła się ciężko i z nieskończone utrudzoną miną powędrowała do kuchni.

Kiedy zaczęła sprzątać ze stołu, nikt nie ruszył się, by jej pomóc – jak gdyby ich zaczarowała. Peyton spojrzała na ojca oczyma pełnymi łez. On uśmiechnął się blado, palcem dotknął ust i bez przekonania mrugnął porozumiewawczo.

„Jeżeli przetrwamy obiad, pozbędę się jakoś Heleny – pomyślał i delikatnie pogładził dłoń Peyton. – Byle ją utrzymać w domu!”

– Pudding! – zawołała radośnie Maudie; klasnęła w ręce.

Istotnie Helena wniosła buchającą parą leguminę i zaczęła ją krajać starannie.

– Wygląda wspaniale – zaryzykował pojednawczo Loftis.

– Dziękuję – odpowiedziała dziwnie łagodnym, powściągliwym tonem. – Ale to dzieło Elli. Nie potrafię zrobić puddingu. Nie nauczyłam się tego, niestety.

– Indyk był też doskonały – odezwała się Peyton z nikłym uśmiechem, lecz nie doczekała się odpowiedzi.

– Heleno – rzucił szorstko Loftis. – Peyton powiedziała, że indyk jej smakował.

– Aha... – Helena uśmiechnęła się patrząc na ścianę.

– Dziękuję, Peyton... Przypaliłam go z jednej strony.

– Przepyszny indyk, mamusieczko – zaszczębiotała Maudie.

Helena uśmiechnęła się znowu, jak gdyby coś zanuciła i z wyrazem uwielbienia w oczach pogłaskała Maudie po twarzy.

– Dziękuję, kochaneczko.

Pośród takich drobnych, czczych dramatów musi coś prysnąć wreszcie. Helena zmierza prostą drogą do przesilenia. Na Boga, czy nie orientuje się, co robi? Czy obłąd włada jej myślami? Porywa ją szalony wichur niosący szczątki żalów, podejrzeń, zawiedzionych nadziei... Jakich? Kogo, u Boga Ojca, ta kobieta nienawidzi? Kogo kocha? Czy rzeczywiście w nocy płakała głośno, błagała, aby miłość wróciła na białych bezszelestnych skrzydłach? „Czujesz? Czy nie ma tam miłości?...” Tamto przejmowało Loftisa żalem i skrucą. Obecnie jednak niedorzeczny popis usługomości i pokory budził w nim tylko odrazę. Żałował, że brak mu odwagi, by uderzyć żonę w wykrzywioną, zboląłą twarz. Nagle pomyślał o Dolly... Bodaj to diabli wzięli!

W jadalni oświetlonej tylko świecami snuły się chłodne cienie. Nagle opona chmur pękła i z tej otwartej rany trysnął blask słoneczny, spowił złodowaciałą, martwą zatokę i sopte lodowe zwisające z okapu niby szklane sztylety. Później jasność zamknęła się jak kielich kwiatu. Maudie spojrzała w stronę okna i po chwili zwróciła znowu wzrok ku zalegającym pokój cieniom. Odruchowo włożyła czapkę z czerwonej bibułki.

Przy każdym nakryciu znajdowała się taka czapka. Po co Helena ozdobiła nimi stół? Tylko sama potrafiłaby wytłumaczyć, a Loftis nie śmiał pytać. Były czerwone i zielone, prawdopodobnie stanowiły pozostałość jakiejś dawnej zabawy urodzinowej. Gest Maudie uznano za sygnał. Helena sięgnęła po swoją czapkę, dziwacznie zsunęła ją na czoło. Naśladował ją Loftis i Peyton. Przy stole panowała cisza. Pobrząkiwały tylko filiżanki z kawą. Nikt nie przemówił słowa. Rodzice i córka niby to patrzyli na ściany pokoju, na odległy widnokrąg, ale ukradkiem obserwowali się pilnie, jak gdyby z bardzo daleka, przez tafle matowego szkła. Ubrani w jaskrawe urodzinowe czapki zdawali się przeprowadzać ostateczny rozrachunek. Czyja wina? Czyja nienawiść lub miłość? Jak długo trwać może koszmar? Później, omijając się wzrokiem spoglądali posepnie i tępo na smagane wiatrem pustkowie nieba i zlodowaciałego morza. Ogólnemu nastrojowi opierała się jedynie Maudie.

– Papatoto – zwróciła się niewinnie do Loftisa – to są czapki specjalnie na Boże Narodzenie.

Jedynie Maudie... A może również Peyton?... Nie! Loftis wiedział, że nie tyczy to Peyton. Wstała nagle i powtórnie przewróciła szklankę. Miniaturowa powódź rozlała się po stole; zimny, czysty strumień unoszący resztki dwu kostek lodu ogarnął solniczkę, popłynął dalej, moczył pięknie wykrochmaloną koronkową serwetkę i jak wodospad począł spadać na dywan z pluskiem kropel. Loftis zapamiętał dokładnie wszystkie te szczegóły.

Peyton zerwała się z miejsca. Z furią przestąpiła kałużę. Ręce miała opuszczone wzdłuż ciała, proste jak kije od miotły.

– Ach... – zaczęła spoglądając na Loftisa, nie na Helenę.
– Ach, Boże! Wielki Boże!

Wstała również Helena, później Maudie, naśladując bezwiednie matkę i siostrę. Zaczęła płakać. Tylko Loftis siedział bezwładnie jak paralityk i obserwował żalną scenę.

– Ach!... – powtórzyła Peyton przy wtórze rozpaczliwego płaczu Maudie.

Helena w czerwonej czapce przekrzywionej, zakrywającej część czoła, miała szeroko otwarte oczy pełne bólesci, żalu, skruchy, a może tylko lęku.

– A ja tak bardzo chciałam... – rozpoczęła podnosząc do ust obie dłonie; załkała histerycznie.

Nikt jej nie słuchał. Peyton zerwała z głowy czapkę, rzuciła na podłogę i ominąwszy ojca wybiegła z domu.

Loftis siedział jak urzeczony. Wiele sekund upłynęło, nim wstał i zawołał z tanim patosem:

– Heleno! To koniec. Koniec, na Boga!

Ale Helena zdążyła już wybiec do hallu wlokąc za sobą Maudie. Od strony telefonu dochodził jej wzburzony głos:

– Carey?... Nie... Tak... Czy mogę prosić księdza pastora?

Loftis chwycił dwa płaszcze – swój i Peyton – i wyszedł za nią na dwór. Było przejmująco zimno. Starannie odmieciona ścieżka przecinała taras w kierunku nadmorskiej skarpy. Tam Loftis odnalazł córkę, która stała nieruchomo. Narzucił płaszcz na jej ramiona.

– Maleńka, dostaniesz zapalenia płuc.

Nie odpowiedziała. Wzdrygnęła się tylko i pokręciła głową.

– Chodź... Chodź do domu...

– Nie.

– Córeczko...

– Powiedziałam: nie!

– Ale słuchaj...

– Nie!

– Słuchaj, maleńka. Zaraz wyprowadzę samochód. Pojedziemy do Old Point, do hotelu. Napijemy się czegoś, pogawędzimy spokojnie... – rozpaczliwie szukał sposobu, którym mógłby zatrzymać przy sobie Peyton. Daremnie; nie przydawały się na nic podstępny. – Posłuchaj, maleńka...

– Ona jest szalona, staruszk. Do reszty zwariowała – bezradnym gestem wsparła głowę na ramieniu ojca. – Ja tego nie wytrzymam!

– Tak – wtrącił bezwiednie Loftis.

– Nigdy tutaj nie wrócę.

– Nie... nie... – szepnął ochryple. – To nieprawda.

– Prawda! Prawda! – zawołała Peyton, obejmując go mocno.

W powietrzu zawirowały pierwsze, jak gdyby próbne, płatki śniegu. Za oblodzonym brzegiem zatoka leżała ciemna jak zmrok, jak rozpacz. Krążownik sunął wolno w stronę wojny i nocy zapadającej szybko po tym upiornym dniu. Loftis całował włosy i czoło córki.

– Maleńka – szeptał – nie opuszczaj mnie. Ja cię bardzo kocham.

– Staruszk...

– Co?

– Próbowałam postępować tak jak trzeba. Bardzo się starałam, bardzo... Czy myślisz, że kiedyś zmieni się wszystko na lepsze?

– Oczywiście, maleńka. Na Boga, tak.

– Myślę, że dobra ze mnie dziewczyna, że zachowuję się normalnie. Przecież ja... – wzdrygnęła się. – Strasznie zimno!

– Nie martw się... Jakoś to wszystko przetrzymamy – bąknął Loftis.

Ale nie wątpił, że Peyton mówi serio. Odjedzie i nigdy nie wróci. Myśl ta dręczyła go przez całe popołudnie, kiedy we dwoje siedzieli w bawialni. Helena była na piętrze. Później wpadli na chwilę znajomi – Albrightowie – młode małżeństwo, spragnione świątecznego poczęstunku. Peyton podała resztę ponczu jajecznego. Zbyt długo marudzili, gadali za długo i ostatecznie uniemożliwili Loftisowi porozumienie z córką. Kiedy ruszyli się nareszcie, w drzwiach frontowych prawie wpadli na Dicka Cartwrighta, który przyjechał po Peyton swoim nowiutkim kabrioletem. Dziewczyna spakowała walizkę, unikając spotkania z matką. Powiedziała po prostu, że resztę ferii spędzi u rodziców Dicka, nad Rappahannock. Śnieg przestał sypać. Powietrze było wilgotne, przejmująco zimne. Słabo oświetlone domy wzdłuż ulicy wyglądały żałośnie, jak gdyby utrudziły je święta Bożego Narodzenia.

– Niech pan prowadzi wóz ostrożnie – powiedział Loftis.

– Pisz często, maleńka.

Pocałunek przez okno samochodu nie wydał mu się ani przyjemny, ani stosowny. Takie sobie zdawkowe pożegnanie.

– Wróc niedługo, córeczko – podjął Loftis i dodał z rozpaczą: – Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz...

– Pożegnaj ode mnie Maudie – odrzekła Peyton.

Szyba podniosła się z wolna. Kabriolet ruszył wzdłuż szeregu pokrytych okiścią sykomor.

W domu, pod oświetloną rzęsiście choinką leżały nie rozpakowane prezenty – także upominki dla Peyton. Loftis nalał sobie whisky. „Ach, gdyby można było wstąpić do wojska, pójść na wojnę, wszystko ułożyłoby się jakoś... Mój Boże!... Ten nieznośny Edward i jego koszarowa arogancja...” Na piętrze światło dobywało się z pokoju Heleny. Loftis wypił pod rząd cztery whisky, następnie podszedł do schodów.

– Heleno! – krzyknął zadzierając głowę. – Potwór z ciebie! Czy słyszysz! Niech cię Bóg potępi, bo ja...

Co chciał wyrazić i po co? Helena i tak nie odpowiadała. Nie czuł już gniewu, tylko bezgraniczny, nienawistny smutek. Włączył radio. Rzewny głos śpiewał o białych świętach Bożego Narodzenia. Orkiestra dęta słała przez mroki nocy chrapliwie, urywane tony.

Loftis zadzwonił do Dolly, lecz ponownie nie zastał jej w domu. Później, kiedy o ósmej Ella przysłała zmyć naczynia po obiedzie, zaczął pomagać jej w kuchni. Był zmęczony, pijany, jak gdyby w bolesnym transie. „Przybieżeli do Betlejem pasterze...” – śpiewali razem, lecz Ella odnosiła się do pracodawcy krytycznie.

– Nie bardzo pan wesoły, chociaż to Boże Narodzenie – mówiła usuwając z drogi szklanekę Loftisa. – Wygląda na to, że już się pan upił.

„Przybieżeli do Betlejem pasterze...” – śpiewał głośno. „Chrystus się nam narodził”.

– Dobranoc, Ella – powiedział wreszcie. – Pomyślności w Nowym Roku. A to dla ciebie na Gwiazdkę.

Wcisnął jej w rękę pięć dolarów i chwiejnie ruszył w kierunku schodów. Na piętrze minął drzwi, za którymi Helena spała oddychając chrapliwie. O czym też może śnić w ciemnościach? Położył się do łóżka i – bliski płaczu – zaczął wspominać Peyton.

Takie było Boże Narodzenie. Peyton nie pokazała się w domu wiosną, a wakacje letnie spędziła u koleżanki, w Waszyngtonie. W tym czasie Loftis – naturalnie sam – jeździł tam cztery razy, zobaczyć córkę. Od Bożego Narodzenia pokutowały w zakamarkach jego pamięci wspomnienia ponurych świąt, wpływały na tok myśli i postępowania, odwoływały od wszelkich kontaktów z Heleną. Żyli obecnie obok siebie, jak cienie, albo według określenia Heleny, jak „hotelowi goście”, lecz goście zatłoczonego, wielkomiejskiego hotelu, którzy mijają się na schodach szeptami, pełni wzajemnych podejrzeń, ale troskliwie przyciszają radio, utrzymują porządek w łazienkach i bacznie przestrzegają form dobrego wychowania. Rozmawiali ze sobą rzadko i tylko o wspólnych interesach. Loftis nie cierpiał takich konferencji. Nie tylko musiał zwracać się uprzejmie do Heleny, lecz odczuwał boleśnie swoją od niej zależność, ponieważ w grę wchodziły kwestie finansowe. Praktyka adwokacka przynosiła mu znikomy dochód i nudziła go śmiertelnie, gdyż ograniczała się głównie do pożyczek hipotecznych i spraw wekslowych.

Stopniowo cały porządek domowy układał się tak, że małżonkowie rzadko bywali narażeni na spotkania. Zdaniem Loftisa, Helena robiła sobie wyrzuty z powodu Peyton. Na jej toalecie stało oprawione w srebrną ramkę zdjęcie młodszej córki tuż obok fotografii Maudie. Coś to znaczyło – niewiele, ale zawsze coś. Pewnej parnej wiosennej nocy Loftis usłyszał, że jego żona powtarza głośno przez sen imię córki. „Peyton! – zabrzmiał zdławiony okrzyk. – Peyton!” A Loftis, leżąc wśród grobowej, rozjaśnionej księżycowym blaskiem ciszy, zastanawiał się, jaki może ją dręczyć koszmar. Kiedy w lipcu wybierał się do Waszyngtonu, Helena zaskoczyła go pokorą. „Pozdrów ode mnie Peyton... bardzo serdecznie” – poprosiła. Kiedy zaś naciągnął płaszcz nieprzemakalny, dotknęła ustami jego policzka. Był to pocałunek delikatny, jak muśnięcie piórkiem – pierwszy od początku roku.

A Dolly? Cóż, przez cały czas sprytnie prowadzili romans. Teoretycznie biorąc, winien on odpowiadać bez zastrzeżeń obu stronom, gdyż Dolly zaczęła w tym okresie odrzucać Pookie'ego, niby gąsienica kokon, a Helena nie robiła mężowi trudności: była na ogół milcząca, zrezygnowana, zajęta ustawicznie Careyem Carrem albo Maudie. Jedyłą fałszywą nutę, która psuła przyjemne stosunki, stanowiła dla Loftisa świadomość, że całe miasto wie o jego romansie. Na tajemnicy zależało mu nie przez wzgląd na Helenę. Nic podobnego! Chciał nosić swoją uczciwość jak pelerynę osłaniającą przed światem to, co krępowało go osobiście i budziło wewnętrzne przekonanie, że nie jest stuprocentowym dżentelmenem. Paskudne plotki, które doń trafiały, czepiały się okapu myśli gęsto, niby śpiące nietoperze, i posępnie, sekretnie zatruwały całą przyjemność. Ludzie – jak to ludzie, nawet w mieście średnich rozmiarów – orientowali się we wszystkich wybiegach obmyślanych troskliwie i żałośnie przejrzystych. Na przykład, Loftis wyjeżdżał pod koniec tygodnia do Richmond, żeby „odwiedzić senatora takiego-a-takiego”, jak powiedział Helenie. Dolly wybierała się tam również po zakupy; w soboty kto żyw robi zakupy w Richmond. Albo w Waszyngtonie – oczywiście. Czasami spotykali się też w Waszyngtonie, odległym o przeszło dwieście mil. Ale w kularach klubu wiejskiego ludzie szeptali, że stary Milt potrafił się urządzać. Wszyscy o wszystkim wiedzieli, dając

świadećto prawdzi, że zamiejskowe grzeszki – podobnie jak pryszcz na nosie– to coś, czego ukrycie graniczy z niepodobieństwem. Pogłoski krążyły po mieście i jak rój pszczoł obsiadały popołudniami jakiś słoneczny ganek, aby ulecieć rychło i opaść gdzie indziej. Na kortach golfowych wśród starych, po babsku gadatliwych entuzjastów kija i piłki, kursowały dowcipy na przykład o piekących majtkach. Wszyscy wiedzieli i mówili o tej aferze, a fakt, że nikt się nią zbytnio nie przejmował, nie dawał ulgi Loftisowi, człowiekowi z natury powściągliwemu i pełnemu rezerwy.

Jednakże wojna rozproszyła trochę uwagę. Loftis został strażnikiem obrony przeciwlotniczej zamiast pułkownikiem. Po Pearl Harbor czerwone wiadra z piaskiem i zwoje węża strażackiego ozdobiły wszystkie ganki. Kobiety (w ich liczbie również Helena) przygotowywały bandażę i uczyły się, jak w przypadku krwotoku założyć opaskę uciskową. Dzieci, zachwycone atmosferą ogólnego zamieszania, słuchały nocami syren alarmowych i podziwiali ojców (nie wyłączając Loftisa), którzy w poczuciu wagi swoich zadań przemierzali tam i z powrotem zaciemnione ulice, gromko rzucali rozkazy, potykali się o skrzynie piasku, oświetlali niebo latarkami kieszonkowymi. Pośród takiej krzątaniny, w listopadzie 1942 roku, Helena musiała zawieźć Maudie do kliniki uniwersyteckiej w Charlottesville. Chodziło o okresową kontrolę, tym razem nawet o coś więcej, gdyż Maudie wyglądała bardzo anemicznie i noga dokuczała jej z rana, kiedy się budziła. Helena była wyraźnie zaniepokojona. Loftis dostrzegł, jak zawsze, barometryczny związek między stanem zdrowia córki a usposobieniem żony, która stawała się bardziej niż zwykle smutna i nerwowa, ilekroć jakieś złe wiatry poczynały tłumić nikłą iskierkę życia małej. (Małej! Mój Boże! Przecież ona ma dwadzieścia lat!) W rezultacie zaproponował (a może obydwójce wpadli jednocześnie na ów pomysł), by Helena i Maudie spędziły pewien czas w Charlottesville, gdzie Maudie przeprowadzi taką lub inną kurację, a Helena

odpocznie, zmieni otoczenie i w głębi ładu oderwie się od przygnębiających spraw wojny. Przemawiał tonem lekarza zapisującego lekarstwo:

– Zostań tam dłużej. Nie ma żadnych przeciwwskazań.

A ona objęła Maudie zatroskanym wzrokiem i powiedziała:

– Tak... Zostanę.

Loftis był zadowolony z wyjazdu Heleny, bo prześladowała go nadal pamięć ostatnich świąt Bożego Narodzenia i jałowego lata bez Peyton. Rad pozbywał się żony. Nie bez entuzjazmu odwiózł panie na dworzec kolejowy, dziwiąc się trochę własnemu dobremu nastrojowi, a kiedy pożegnał je i ucałował, jak przystało dobremu mężowi i ojcu, gdy odjechały wreszcie, nie bardzo potrafiłby określić stan swoich uczuć. Ocknęły się w nim bardzo dawne wspomnienia, bo Helena odpowiedziała na jego mężowski pocałunek uściskiem nerwowym i nieśmiałym, prawie nierealnym. Może był to żal, jakiś wyrzut wobec samego siebie? Czy istotnie? Wrażenie minęło szybko, gdy Helena i Maudie torowały sobie drogę pośród tłumu żołnierzy i marynarzy, aby następnie wspiąć się na stopnie wagonu; nad lęklwym bełkotem Maudie górował głos tragarza: „Hop! Śmiało, panienko! Nic panience nie będzie!” Później kaleka stojąca tuż obok matki odwróciła się mówiąc: „Do widzenia, papotato”, zaczęła machać ręką na pożegnanie. Była pogodna, wesoła, uśmiechnięta i nieodwołalnie skazana na śmierć.

Upłynął tydzień. W piątek, o dziewiątej wieczorem, Loftis pisał list do Peyton. Krótszy bilecik przeznaczony dla Heleny dokończył już i zapieczętował. Stwierdził z niejakim zdziwieniem, iż pierwszy raz posłużył się w korespondencji z żoną tak zdawkowym, żartobliwym tonem, donosząc, że „na froncie domowym wszystko przebiega pomyślnie”. Nagle ryk syren alarmowych rozdarł nocną ciszę, więc Loftis pełen zapału wojennego zgasił światła, nakrył głowę niedorzecznym blaszonym hełmem i wyszedł z domu w ciemność. Wieczór był ciepły, trochę mglisty. Loftis czuł przyjemne podniecenie i przez godzinę z górą spacerował po swoim rejonie, powstrzymując się lojalnie od palenia. Jak zawsze nic się nie wydarzyło. Wszystkie światła w domach były wygaszone. Syreny zawodziły płaczliwie. Kilkanaście myśliwców walecznie wzbiło się w powietrze, by ścigać wroga, i przepadło we mgle. Jakiś spaniel nadbiegł i począł mu obwąchiwać obcasy. Loftis spróbował kopnąć go bardzo niezręcznie. Gdy alarm odwołano, wracał do domu zmęczony. Na moment przystanął na sąsiadującym z jego posiadłością pustym placu, gdzie władze wojskowe budowały stanowiska baterii przeciwlotniczej (podobno dla ochrony stoczni) i baraki celem zakwaterowania obsługi. Dniem i nocą stukały tam młotki cywilnych robotników, a przez pewien czas ogród kwiatowy Heleny wydawał się niebezpiecznie blisko rumowiska, z którego mężczyźni w kombinezonach przychodzili przez trawnik, aby naprzykrzać

się o wodę Elli i La Ruth. Obecnie przy blasku reflektorów widać było przysadzisty zarys urządzenia radarowego, a cały plac sprawiał wrażenie celowej aktywności, więc strażnik miał przez chwilę wspaniałą wizję chwały: Pułkownik Loftis w Libii... Zaczęła się mżawka, więc ruszył w stronę domu i gdy wyszedł zza węgła, odgadł łatwo, kto zapalił światło w salonie.

Dolly leżała na kanapie. Paląc papierosa przeglądała jakiś magazyn. Odwróciła się leniwie, kiedy Loftis wszedł do pokoju.

– Dobry wieczór, kochanie – powiedziała. – Widzę, że pracowałeś ciężko dla Wujka Sama.

– Ciężko i ochotniczo, Dolly. Kiedy tu przyszedłeś? Kiedy zapaliłaś lampę?

– Okna były zasłonięte, póki nie odwołano alarmu.

– Co za różnica, Dolly? – burknął gniewnie, zmierzając w stronę sekretary. – Przez zasłony widać światło. Ładna historia! Dom strażnika obrony przeciwlotniczej oświetlony!

– Nalał sobie whisky. – Napijesz się? No i pozwól powiedzieć sobie, że twoja wizyta tutaj to piekielna nieostrożność. Prosiłem przecież, żebyś tego nigdy nie robiła... Napijesz się?

– Nie, dziękuję.

Zrobiła fachowo zbolałą minę. Alarm zaskoczył ją w taksówce, w drodze z dworca autobusowego do domu. Kierowca odmówił dalszej jazdy, ale zgodził się przywieźć ją tutaj. Tak wygląda cała historia i doprawdy nie ma się o co złościć.

– W porządku. Może się jednak napijesz? – powiedział Loftis.

– Dobrze.

– To już lepiej.

Usiadł na kanapie, odsunawszy trochę nogi Dolly.

Począł głaskać jej łydkę i szukać w myśli stosownego zdania, by jeszcze raz wytknąć nierozważny postępek. Ale rozdrażnienie ustępowało stopniowo i kiedy Dolly zapytała nagle:

– Chcesz, żebym sobie poszła, kochanie? – odpowiedział bez namysłu:

– Nic podobnego, ale... – zawahał się na moment.

– Ale co?

– Nic... Widzisz, chodzi o to... Tyle razy cię prosiłem, żebyś tego nie robiła, bo... Jeżeli nawet Heleny nie ma w domu, może w każdej chwili wrócić. No i skąd, u licha, wiedziałaś, że właśnie dziś jej nie ma?

– Jak to, głuptasie? Przecież Helena jest w Charlottesville. Rzecz zrozumiała...

– Spędziłaś trzy dni w Waszyngtonie – przerwał spokojnie. – Skąd mogłaś wiedzieć, że nie wróciła?

– Skąd? – Dolly przyjęła obronną postawę. – We wtorek mówiłeś o liście Heleny. Podobno wynikało z niego, że nie przyjedzie wcześniej niż za dwa tygodnie – równie dobrze, jak Loftis zdawała sobie sprawę z braków tej wymówki, bo nie mówił nigdy nic podobnego, więc dorzuciła zaraz *postscriptum* bardzo na czasie: – Jak się ma Maudie?

– Nie wiem. Helena mało pisze o Maudie. Tyle, że lekarze przeprowadzają badania... no, takie rzeczy – zrobił krótką pauzę. – Kochanie, dlaczego przyszedłeś tutaj?

Podciągnęła nogi, sztywno usiadła na kanapie.

– Cóż – obruszyła się. – Widzę, że najwyższy czas pójść do łóżka. Godzina samotności, jakbyś się wyraził. Mogę zatelefonować po taksówkę?

Loftis rozsiadł się wygodniej.

– Spokojnie, kociątko. Nic pilnego.

Spojrzała nań spod oka, nie bez wyrzutu. Kapryśnie wydeła wargi. Później przysunęła się bliżej, ujęła go za rękę.

– Zdaje się, że rozumiem – zaczęła tonem usprawiedliwienia. – Trzeba się było zastanowić. Jeżeli nie chcesz, żebym się tu pokazywała...

– Daj spokój – przerwał i delikatnie pocałował ją w policzek. – Wcale nie o to chodzi.

Ale chodziło o to, dokładnie o to. Obecność Dolly irtowała go, wprowadzała w zakłopotanie. Nie miał nawet żalu, że była nieposłuszna i przyszła mimo wszystko. Nie! Jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Nie zależało mu również na samotnym wieczorze i dokończeniu listu do Peyton. Inne zagadnienie moralne rozważał pilnie w ciągu ostatnich trzech lat i sformułował wreszcie nie bez pewnego zdziwienia i odrobiny szacunku dla własnej cnoty. Na Boga, przez wzgląd na dzieci albo po prostu na głęboko zakorzenione poglądy dżentelmena, nie uprawia się w swoim domu miłości z kobietą inną niż własna żona. „Szczególnie – mawiał sobie – że to dom twojej żony. Właśnie! Dom Heleny”. Był to paradoks, szkopał moralny, hamulec – istna trójca kłopotów! Jeżeli bowiem dom nie należał do niego, lecz do Heleny, zdrada małżeńska pod tym dachem musiałaby przypominać nie tylko o zgonie dawnej miłości, lecz również o nieznośnej zależności materialnej. Byłaby swojego rodzaju przyznaniem się do winy i zadośćuczynieniem. Podobne myśli nawiedzały Loftisa, gdy wpadał w złość i wśród bezradnego braku zdecydowania dostrzegał niedorzeczność życia, w którym za radość trzeba płacić utratą godności własnej. Mieszkanie Dolly, z którego okien roztaczał się szeroki, ponury widok na stocznię, było ciasne, zagracone, a w sąsiedztwie lodówki cuchnęło zawsze jakimś niewidocznym przeciekiem z rur kanalizacyjnych. Rozkwitająca tam gorąca miłość wydawała się Loftisowi

niegodną, poniżającą. Ilekroć Helena wyjeżdżała z Maudie do jakiejś miejscowości kąpielowej albo w góry, miał ochotę zainstalować Dolly pod własnym dachem. Ale zachcianki takie odrzucał zawsze jako produkt małościowych, mściwych uraz i własnych złych skłonności. Zdawał sobie sprawę, że podobne stanowisko przynosi mu zaszczyt, a zresztą sąsiedzi łatwo by wszystko wywęszyli. Przez wzgląd na własną osobę, sądził, że dom rodzinny nie może zostać splamiony, i był już gotów powiedzieć gniewnie: „Kociątko najmilsze, przykro mi, do licha, ale może poszłabyś sobie” – gdy Dolly objęła go czule mówiąc:

– Kochanie, dajmy spokój kłótniom.

Loftis wstał z kanapy, by odnowić zawartość szklanki, i pomyślał, że zaraz wyprawi kochankę w delikatny sposób.

– Jak ci się wiodło w Waszyngtonie? – zapytał. – Nie znalazłaś na noc ognistego młodego marynarza?

Dolly zachichotała.

– Nie lubię młodziaków. Bardziej mi odpowiadają czysto utrzymani starsi panowie, tacy jak ty, kochanie.

Przepił do niej z uśmiechem.

– Jestem największym brudasem pośród starszych panów. Naturalnie w sensie moralnym. Kiedy byłaś w Waszyngtonie, przez cały czas myślałem tylko o niebywale gładkiej skórze po wewnętrznej stronie twoich ud czy „górnym łydek”, jak wyrażała się moja ciotka. Najczęściej bywa tam coś w rodzaju gęsiej skórki.

– U kogo? U twojej ciotki?

– Nie. Prawie wszystkie kobiety mają coś w rodzaju gęszej skórki po wewnętrznej stronie „górných łydek”.

– Możliwe, kochanie. Jesteś autorytetem w tych sprawach. A kogo ty przygruchałeś, jak mnie nie było?

– Ja? Przygruchałem trzy nieletnie dziewczynki. Zawiozłem wszystkie na plażę i bawiłem się z nimi w „kółko graniaste”.

– Nie pleć, Miltonie.

– Powiedziałem przecież, że jestem starszym panem o brudnych skłonnościach – ziewnął szeroko.

– Nie – Dolly rozpromieniła się nagle. – Jesteś czysty, młody i ja cię kocham. Masz serce i duszę. Masz także moje serce i moją duszę. Wiesz teraz?

Były to bardzo stare komunały, ale Loftisa ujęły naprawdę.

– Dziękuję, najmilsza – szepnął i dodał zaraz: – Opowiedz coś o walnym zjeździe Południowo-Wschodniego... Nadmorskiego czy jak się tam nazywa Stowarzyszenia Opieki nad Marynarzami.

Dolly zrobiła niezadowoloną minę.

– Atlantyckiego! – rzuciła szorstko. – Doprawdy wygląda na to, że moja praca nic cię nie obchodzi.

– Nudzi mnie.

– A mnie twoja interesuje. Opowiedz coś o sprawach, które...

– Niewiele mam spraw – przerwał – ale i one mnie nudzą. Żałuję, że nie zostałem poetą.

– Mógłbyś zostać poetą, Miltonie! – zawołała gorąco, nie dostrzegając ironii Loftisa. – Wciąż o tym mówisz, a nic konkretnego nie robisz. Powinieneś zaraz wziąć się do pisania.

– Czego? Pornografii, jak przystało starszemu panu o brudnych skłonnościach? Mógłbym pisać o sposobach, na jakie się kochamy i jak bardzo odpowiada to moim gustom. Mógłbym...

– Cicho bądź! – wybuchnęła śmiechem i przysiadłszy się bliżej do Loftisa ujęła go za rękę. – Jesteś wstrętny, obrzydliwy cynik, ale strasznie cię kocham. Pocałuj mnie.

Nachylił się i zaczął całować kochankę, ale cofnął się zaraz, bo poczuł ostry zapach whisky – przez siebie wypitej whisky – który odbił się od jej policzków, ust, włosów.

– Wiem, że cynik ze mnie – westchnął po chwili.

– Wiem, że nie powinienem być ordynarny. Ale widzisz, kochanie, naprawdę jestem osobnikiem niesłychanie wrażliwym, poetycznym... Przepraszam, Dolly – skutki whisky zaczynały być widoczne. – No, powiedz, co właściwie robiłaś w Waszyngtonie?

– Prowadziłam się jak idealna purytanka....

– Aha... I co więcej?

– W Dzień Dziękczynienia byłam na obiedzie w Aleksandrii, u mojej siostry i... Prawda! Pookie mieszka teraz w Richmond. Napisałam Melwinowi, w jakim hotelu zatrzymam się w Waszyngtonie, i dostałam list od niego. Pookie przyjechał do szkoły w zeszłą sobotę. Pocieszną historią! Od dawna kombinować, gdzie się może podziewać stary grubas, i usłyszeć, że ostatecznie mieszka w Richmond! Ale jest jeszcze większa heca! Melvin napisał, że Pookie emabluje matkę jego kolegi, także rozwódkę. Wszyscy czworo wybrali się do Richmond, jak jedna szczęśliwa rodzinka. To już przekracza wszystko! Może Melvin niedługo dostanie braciszka. No, spodziewać się należy, że stary grubas będzie traktował tę damę lepiej niż kogoś dobrze ci znajomego.

– Pookie to niezły facet – wtrącił sennie Loftis – tylko diabelnie głupi.

W tym momencie ktoś zastukał do drzwi wejściowych. Dolly zerwała się i poprawiając garderobę, szeroko otworzyła zdumione oczy. Później co tchu uciekła do pokoju jadalnego zabierając parasolkę, torbę podróżną, pudło na kapelusze. Loftis otworzył drzwi i zobaczył na progu nieogolonego młodego człowieka w ubraniu roboczym, który zapytał przeciągłym akcentem z Karoliny, czy „oni mogą zburzyć część parkanu”.

– Jacy oni?

– Znaczą się my.

– Wy?

– Aha. Ten kawałek od placu budowy.

– Dlaczego?

– Żeby położyć rury wodociągu.

– Rozumiem... – powiedział Loftis i zawołał przez ramię: – To nic ważnego, moja droga.

– Czy oni mogą rozebrać ten kawałek parkanu od placu budowy? Major Gresham powiedział, żeby panu powiedzieć, że ma wyraźny rozkaz i proszę pana...

Sprawa została szybko wyjaśniona. Loftis zrozumiał, że dla jakichś mętnych przyczyn władze wojskowe pragną zburzyć część ogrodzenia jego posiadłości. Nie miał nic przeciw takiemu wkładowi do obrony narodowej – tym bardziej że major Gresham kazał mu również powiedzieć, „że odszkodowanie za straty będzie wypłacone”. Ulegając patriotycznemu porywowi zaproponował młodemu człowiekowi „jednego” i zaraz tego pożalował, bo chłopak był zupełnie niekomunikatywny, brudny i... I ostatecznie dlaczego nie służył w wojsku? Dwaj mężczyźni pili posępnie stojąc w hallu, a Dolly zerknęła na nich ciekawie zza drzwi jadalni. Na koniec młody człowiek odszedł w mrok wilgotnej jesiennej nocy.

– Dobra nasza – powiedział na pożegnanie i zrobił nieokreślony ruch ręką.

Drobny incydent rozdrażnił Loftisa. Czemu? Może dlatego, że przypomniał wojnę. Wojna to sprawa młodych ludzi i tylko im przynosi chwałę. Jednakże niegdyś, bardzo dawno, on był również młody i nosił mundur z błyszczącymi dystynkcjami. Nikt nie zdoła go przekonać, że nie lubił tej władzy, bo lubił ją i pragnąłby obecnie posiadać – nie dla samego szczytu, lecz przez umiłowanie romantycznej przygody. Pozycja żołnierza ma coś urzekającego i w swoim czasie Loftis nosił mundur dumnie, niby szczytny medalion. Pewien siebie spotykał wtedy dziewczęta, spotykał Helenę, słuchał szelestu spódnic. Ale to zamierzchła przeszłość... Szyby w oknie odbiły smugi kilkunastu reflektorów, które wykwitły na chmurach nad zatoką. Milton usłyszał głos Dolly:

– Czego on chciał, kochanie?

– Słuchaj, kociątko – powiedział. – Pozwól mi skończyć list. Później wypijemy po jednym i odwiozę cię do domu.

Usiadł przy sekretarce, począł się zastanawiać i rozważając, że lepiej nie pić więcej, uzupełnił zawartość swojej szklanki.

– Ale kto to był? – nalegała Dolly.

– Jakiś człowiek... – Loftis wyjaśnił zwięźle kwestię ogrodzenia.

– Ja nie chcę wracać do domu – powiedziała Dolly i zapadła w posępne milczenie.

Upłynęła godzina. Deszcz padał za oknami. Niedostrzegalnie, lecz tak nieuchronnie jak wcześniejsze szlachetne postanowienia myśli Loftisa wymykały się spod jego kontroli, żeglowały na falach alkoholu. Peyton... Wielki Boże! Wróć, maleńka, do domu, daj staremu ojcu coś z siebie... Opoдал Dolly nudziła się śmiertelnie, przewracając nerwowo karty magazynu.

Z Twojego listu – pisał – dowiaduję się, że jutro będziesz w Charlottesville. Na pewno miło spędzisz czas ze swoim wielbicielem, bo kto mógłby być nieprzyjemny dla mojej uroczej panienki. Na pewno będziesz bardzo zajęta, mam jednak nadzieję, że pójdziesz do szpitala. Chętnie odwiedzisz Maudie– w to nie wątpię. Ale przeżyłbym najpiękniejszy moment, gdyby mama wróciła do domu z wiadomością, że między wami zapanowała znów zgoda. Myśl, co chcesz, Maleńka, lecz ona kocha Cię naprawdę. Tysiące razy tłumaczyłem Ci to wszystko...

Co więcej mogę powiedzieć? Wiem tylko, że takie stosunki w naszej rodzinie są okropne, przerażające. Mam nadzieję, że zobaczysz mamę i zechcesz z nią pomówić. Jeżeli tego nie zrobisz, proszę Cię, napisz do niej. Mama jest strasznie niespokojna o Maudie. Ty denerwujesz się również, jesteś rozbita. Dobrze was obie rozumiem, oceniam należycie słuszne i błędne pobudki i trapi mnie boleśnie myśl, że nic nie mogę poradzić. Tak czy inaczej, postaraj się, Małenka. Twoja matka nosi gruby pancerz dumy, ale ostatnio zmieniła się trochę! Sądzę, że rada wyszłaby wespół drogi na spotkanie, lecz pierwszy krok to niewątpliwie Twoja sprawa.

Nie chodzi mi wyłącznie o nieporozumienia w rodzinie, chociaż i one są poważną kwestią. Najboleśniej odczuwam myśl, że nie potrafię się pogodzić z Twoją stałą nieobecnością w domu. Zechciej zrozumieć to, kochanie. Wiem, że niedługo wyjdiesz za mąż. Biorę to pod uwagę. Na razie jednak nie godzi się, żebyś wędrowała po kwiecie i jakieś obce domy nazywała własnymi. Nie pokazałaś się w ciągu całego lata...

Idzie jakoś. Ale trzeba zmienić ton zanadto przygnębiający. Loftis pociągnął whisky. Rozmarzył się. Wesołe, pogodne myśli zaczęły swawolić jak dziecinne baloniki. Wszystko musi się zmienić. Dolly włączyła radio, stłumione tony muzyki wypełniły pokój.

Słuchaj, Maleńka. Pragnę Twoich częstych odwiedzin w domu i przede wszystkim dlatego namawiam, abyś pogodziła się z mamą. Proszę, zrób to dla mnie. Jeżeli jednak coś się zdarzy, nie spotkasz jej albo będziesz wolala poczekać jeszcze trochę – w każdym razie przyjedź tutaj na przyszły weekend. Daj staremu ojcu coś z siebie. Matka i Maudie nie wrócą jeszcze z Charlottesville, więc będziemy mieli cały dom dla siebie. Obładujemy samochód i wybierzemy się na piknik do Yorktown czy gdzie indziej nad morze. Jeżeli zechcesz, Maleńka, weź jednego ze swoich wielbicieli. Nie mam nic przeciwko temu. Kochanie! Piszesz, że na Boże Narodzenie nie wybierasz się do domu. Nie myśl o tym, Maleńka. Wszystko musi się wyjaśnić na długo przed Wigilią...

Boże Narodzenie! Jezu Chryste! Przygnębienie ogarnęło Loftisa. Przypomniwał sobie bibułkowe czapki, szkarłatne i zielone. Przełknął ślinę, jeszcze raz nalał sobie whisky, spojrzął na Dolly.

- Zamknij radio – rozkazał.
- Dobrze.
- Diabli mnie biorą!
- Na co, kochanie?

– Jak pomyślę o Helenie. Ona traktuje Peyton haniebnie, a ja, głupi, cierpliwie to znoszę. – Wstał z krzesła i przemierzając pokój wielkimi krokami delektował się własnym gniewem, gestykulował na teatralny sposób, wymachiwał rękami. – Dlaczego? Z jakiej racji pozwalam na coś podobnego? Myślisz pewnie, że dawno powinienem zmądrzeć? Wydaje ci się, że mam diabelnie szlachetny charakter, więc nie potrafisz spakować manatków, wynieść się z domu? Takiego jesteś zdania, prawda?

Dolly chciała coś odpowiedzieć, zaczęła nawet przygotowywać w myśli swoją kwestię, ale pytania były czysto retoryczne.

– To wstyd – podjął donośnie Loftis – nie mieć odwagi, żeby uwolnić się wreszcie od tej przeklętej wampirzycy w kieszonkowym wydaniu. A jaka ona świątobliwa! Boże, dobry Boże! Co ja uczyniłem, by na to wszystko zasłużyć?

Dolly wstała, podeszła do Loftisa, położyła mu rękę na ramieniu. Śmiało odebrała kochankowi szklankę i pociągnęła go w stronę kanapy.

– Słuchaj, kochanie – zaczęła. – Za dużo wypiłeś. Jesteś zmęczony, rozstrojony. Najlepiej usiądź tutaj, uspokój się trochę. Usiądź, odpocznij i o wszystkich kłopotach opowiedz swojej Dolly.

W podobnych momentach odczuwała upojenie, przemożne pożądanie i jak dobry bokser umiała wykorzystać przewagę, chociaż mroził ją cień zazdrości, że to Peyton, nie ona, wywołała burzę.

– Opanuj się, kochanie, najdroższy – podjęła, kiedy Loftis zasiadł na kanapie, sięgnąwszy najprzód po szklanekę odstawioną na półkę nad kominkiem. – Co się stało? Powiedz wszystko swojej Dolly.

– Dostyc już powiedziałem – odburknął ponuro.

Przy innej okazji posłużyłaby się dziecinnym szczebiotem, mówiąc na przykład: „Biedny bobasek... Dolly na wszystko poradzi”. Całowałaby go, starała się wynaleźć lek na „chandrę”, skierować innym tonem myśli kochanka. Osądziła jednak, że nadszedł moment pełen olśniewających, nieśmiałych nadziei.

– Cóż, kochanie – zaczęła wolno, z powagą. – Jeżeli tak się czujesz, czas chyba zerwać więzy, nim będzie za późno. Rzeczywiście wygląda na to, że znosisz okropne męki.

– Zrobiła pauzę, zaczęła obracać sygnet na jego palcu: oprawny w złoto opał z godłem wirgińskiego uniwersytetu.

– Daj mi ten pierścionek... – szepnęła miękko.

Chciała powiedzieć to tonem po części żartu, po części przymilnej prośby, ale jej słowa zabrzmiały tak, jak gdyby dziecko napierało się czegoś nieosiągalnego. Loftis cofnął rękę.

– Ostatnie święta Bożego Narodzenia... – zaczął. Nie zwracał uwagi na Dolly, a ona była zmęczona, zmęczona słuchaniem o ostatnich świętach Bożego Narodzenia, o Peyton.

– Wiem, wiem. Były okropne – przerwała, aby dorzucić szybko: – Kochany! Dlaczego nie decydujesz się na stanowczy krok?

– Mój Boże! Nie teraz. Jestem zmęczony, wyczerpany. Wyobrażam sobie, jak zachowałaby się Helena. Zresztą nie tylko o nią chodzi...

– Rozumiem... Biedna Maudie! – Dolly zamyśliła się na chwilę, później podjęła smutno: – Jesteś za szlachetny, za dobry, ale tak być powinno. Ja mogę czekać stosownej pory, chociaż ciężko mi, bardzo ciężko.

Loftis nie słuchał, bo ogarniały go nadal złe, mściwe myśli, brzydkie jak drapieżne sowy. „Bodaj to diabli! Jak można traktować moją małą tak haniebnie!”

– Chyba mam słuszość – powiedział.

– W czym? – podchwyciła z nikłą nutą nadziei w głosie.

– W niczym. Kiedy myślę o takich historiach, mam zawsze chęć rzucić wszystko do diabła, zostawić, umyć ręce.

– Ale co się właściwie stało, najdroższy? – zapytała dodając w myśli: „Za późno... Niestety, za późno”.

Od przeszło roku słuchała tego samego, obecnie zaś pod wpływem impulsu lub chęci przypodobania się Miltonowi sama zażądała nieopatrznie świeżej nudy, nowych tortur. Wszystko związane nie z jej sprawami, lecz z Loftisem i jego rodziną irytowało i jak gdyby odtrącało Dolly. Nie chciała słuchać znów o Peyton. Pragnęła pieśzcot Milтона, zachęty, aby została na noc. Spróbowała skierować jego myśli innym nurtem, odwrócić uwagę.

– Kochanie. Nalej mi whisky – poprosiła i ogarnęło ją zdziwienie.

Loftis jak gdyby zapomniał o wszystkim. Był kompletnie pijany. Nic nie odpowiedział, tylko dźwignął się niemrawo, podszedł do sekretery i zaczął nalewać dwie potężne porcje.

– Nie tak dużo... – zaczęła Dolly.

Poruszał się wolno, niepewnie, whisky ciekła po zewnętrznej stronie szklanek, po jego palcach. Sprawiał wrażenie kukły uruchamianej drucikami. Spojrzał na Dolly. Usta miał rozchylone, twarz purpurową z pijaństwa i złości, oczy zamglone, podpuchnięte, nie większe niż dwudziestopięciocentówki. Sapał głośno, przy każdym oddechu flegma grała mu w krtani. Stał tak, dyszał hałaśliwie, a Dolly bała się trochę i chciała, żeby wreszcie odkaszlnął.

– To bardziej strach i rozpacz niż gniew – podjął wreszcie, urwał, uśmiechnął się blado i dodał wreszcie znacznie łagodniej: – Moja droga.

– Bardziej rozpacz niż gniew – powtórzył; pamięć poczęła błędzić na oślep, wracała do odległej przeszłości, do ojca. – Mój ojciec mówił: „Synu, stoimy przed kuchennymi drzwiami chwały. Dzisiaj, u zmierzchu czasów, jesteśmy tylko relikdami pogiębionej wielkości, wspanialszej, niż Bóg potrafiłby wymarzyć. Jesteśmy drobinami anielskich odchodów – nie ludźmi, lecz gatunkiem ropuch, które w trakcie plugawej ewolucji zatraciły swoje słowa miłości, swoje...”

– Umilkł znowu, zamyślił się i mrugając oczami przechylił na bok głowę; zdawać się mogło, że słucha pełnych goryczy i klęski tyrad jak kurantów z dalekiej dzwonnicy.

– Myślę... – bąknął niepewnie. – Myślę, że ojciec mówił o zatracaniu słów miłości.

– Tak, Miltonie – wtrąciła Dolly.

– Kiedy żył, nienawidziłem go serdecznie. Teraz nie żyje. Tylko tyle mogę powiedzieć. Wielka różnica... wielka... Stary pamiętał ulicę Franklina w Richmond, kiedy Lincoln przechodził tamtędy w kwietniu osiemset sześćdziesiątego piątego roku. Powiadał, że drzewa wtedy zieleniały, on był głodny jak nigdy, a Murzyni zbiegali się z wrzaskiem: „Idzie pan Lincoln! Idzie zbawić nas jak sam Jezus Chrystus!” Ojciec miał dziewięć lat. Drzewa zieleniały, a on stał po słonecznej stronie ulicy. Jak Lincoln nadszedł, zleciał mu, znaczy się Lincolnowi, z głowy ten jego stary wymięty kapelusz. Ojciec dobrze to pamiętał. Sam mi mówił. Opowiadał, jak Lincoln nadszedł poważny, zamyślony, tragiczny, a ten bosy i głodny dziewięciolatek stał w rynsztoku i patrzył na kapelusz, który zsunął się, głośno stuknął o sztyld wystawiony na chodniku i upadł na ulicę. Lincoln nachylił się i stęknął głucho, kiedy prostował sześć i pół stopy umęczonego ciała, odległego już tylko o tydzień od śmierci. Wyprostował się i przystanął...

– Przystanął? – szepnęła Dolly.

– Aha... I spojrział w twarz mojemu ojcu, a ojciec zobaczył oczy łagodne, pełne smutku, głębokie i stare jak czas. Tak mówił ojciec. Miał wrażenie, że spogląda na dwie grudki węgla, co przez dziesięć milionów lat leżały w ciemnościach. Aha... Lincoln przystanął i powiedział do ojca: „Syneczku...” Tylko tyle, nie więcej. Wyprostował się... właśnie wyprostował i dostojnie odszedł ulicą niby wielka, czarna żyrafa. A mój ojciec, bosy, mały konfederat, głodny jak diabli, zapamiętał do końca życia tamtą twarz i tamte oczy. Mówił: „Jak gdyby spojrział w twarz Chrystusa, ostatniego anioła, ostatniego wielkiego człowieka, który chadzał po naszej ziemi...”

Loftis odstawił szklanke na blat sekretery, nieporadnym gestem wyciągnął rękę w kierunku morza, wojny.

– Jesteśmy gatunkiem ropuch – podjął. – Niech piekło pochłonie ich wojnę, tę parszywą zmechanizowaną wojnę. Nie chcę być w takim wojsku pułkownikiem.

– Kochanie – odezwała się Dolly. – Strasznie dziś jesteś rozgoryczony. Zawsze pułkownik...

Loftis uciszył ją nieokreślonym ruchem ręki. Nadal stał obok sekretery, przygarbiony, chwiejny na nogach. Patrząc na niego Dolly czuła się również lekko pijana.

– Usiądź, kochany... – zaczęła znowu.

– To nie rozgoryczenie, moja droga – podjął. – Nie. To coś zupełnie innego. Utraciliśmy nasze słowa miłości. Nie chodzi o Południe ani o Północ, o żadne stare historie. Chodzi o całe Stany Zjednoczone. Wpadliśmy w matnię. Ta wojna jest głupia, ale następna będzie jeszcze głupsza. Jak powiadał mój ojciec, staniemy wtedy na krawędzi czasu i zapatrzeni w noc poczujemy fetor grobowego ca łuna.

– Z kim będziemy walczyć w następnej wojnie? – zapytała cicho Dolly.

– Z Kanadą.

Odwróciła się, zrobiła urażoną minę.

– Ach, Miltonie, czasem zdaje mi się... – Spojrzała znów na niego z łagodnym uśmiechem. – Chodź tu, kochanie, siadaj... No i nie pij więcej.

– Zatraciliśmy nasze słowa miłości – ciągnął nieprzytomnie. – Gdzie one teraz? „We mnie jest zmartwychwstanie i życie”. Co to znaczy?

– Miltonie!

– Co się ze mną dzieje? Jestem nikczemny. Religia jest nikczemna. Wystarczy spojrzeć na Helenę, pomyśleć, jak upodliła ją religia. Co nam zostało? Co mnie zostało? Nic! Niech liko porwie Helenę!

– Miltonie!

Wstała z kanapy. Oczy miała szeroko otwarte, błagalne, Loftis zachwiał się, wsparł o ścianę.

– Wracaj do domu – zabełkotał cicho.

– Ależ ja... – była bliska płaczu.

– Wracaj do domu – powtórzył. – Ja... ja jestem dżentelmenem. Moralność, rozumiesz? Nie pod własnym dachem... Nigdy!

– Miltonie, opamiętaj się... Najdroższy! Jesteś okropnie pijany. Może zechcesz...

– Wracaj do domu, moje kociątko słodkie. Ja proszę.

– Ach, Miltonie!

Nagle wyprostował się, odgarnął włosy z czoła. Jak przystojnie wyglądał, jak inaczej! Dolly odczuła niewypowiedzianą ulgę, kiedy ruszył w jej stronę. Wszystko zdawało się wskazywać, że napad szaleństwa minął. Loftis spoglądał na nią czule smutnymi, lekko przymrużonymi oczyma; raz jeden otworzył usta, ale nic nie powiedział. Na tle ponurych mroków nocy i zaciemnienia zasłona w oknie zaszeleściła, wzdęła się powietrzem i na sekundę spowiła ramiona Loftisa, jak peleryna. Później opadła i Dolly znalazła się nagle w jego objęciach. Oczy miał zamknięte, niby człowiek zapamiętały w gorącej modlitwie. Całował ją w usta, aż bolały. Dolly była oczarowana i zdziwiona. Doznała wstrząsu. Poczuła mrowie na grzbiecie, gdy wargi do jej warg przytulone zaczęły szeptać dobrze jej znanym tonem zagubionego starego dziecka:

– Najdroższa, nie wracaj do domu. Nie wracaj.

– Mój jedyny!

– Nie odejdziesz, prawda? Zostań. Już ja jej pokażę!

- Kochany! Całuj mnie jeszcze. O tak... tak...
- Na Boga! Już ja jej pokażę.
- Najdroższy... – westchnęła Dolly.

Tyle jej trosk i obaw poszło na marne. Obecnie sprawa była prosta. Ręka w rękę poszli na piętro – jak zakochani po raz pierwszy – ale w połowie drogi przystanęli, by zawrócić i lojalnie pogasić wszystkie światła. Później objąwszy się wzajemnie wędrowali omackiem przez hall i schody do drzwi pokoju Loftisa, sanktuarium wytęsknionego przez Dolly, lecz nie widzianego nigdy.

- To tu kochanie? – zapytała.
- Na Boga! Już ja jej pokażę – powtórzył swoje Milton.
- To tu kochanie?

Milczał przez chwilę. Następnie rzucił krótko:

– Zaraz.

Wsunął dłoń za jej stanik, dotknął nagiej piersi. Później ujął Dolly pod rękę i wśród ciemności zaprowadził do innego pokoju – niewątpliwie kobiecego. Świadczyła o tym delikatna woń perfum i przenikliwy, apteczny zapach leków.

- Ja jej pokażę! – mówił Loftis po drodze.

Wiatr niósł od morza tchnienie soli i deszczu, ale wśród ciszy opuszczonej sypialni panował odpoczynek, spokój, wyczekiwanie. Serce Dolly biło coraz szybciej i szybciej. Czują się niby spragniony wędrowiec, powracający z kraju, gdzie miłość nie istnieje. W dziwnie tajemniczym, nie wypróbowanym pokoju znajdowała nową pasję, nowe zatracenie równie gorące jak żądza, jak ich miłość wciąż jeszcze niedopełniona i kulawa. Nie inaczej tu było niż w poprzednich miejscach: w hotelu „Patrick Henry” w Richmond, w zabawnym małym obozie turystycznym w Chevy Chase (a może Silver Springs)... Dwa, nie, trzy miejsca i jej mieszkanie, razem cztery... To będzie piąte. Biedny Milton, stare zabłąkane dziecko! Zatonął się w jej stronę, szybko zrzucił ubrania. Później Dolly ujęła kochanka za rękę i po demku, z nieznacznym uczuciem tajonego triumfu położyła się przy nim na łóżku Heleny.

– Już? – szepnęła wkrótce.

– Jeszcze nie...

– Już?...

– Nie. Nie mogę – jęknął.

– A teraz?

– Tak... tak!

Skłamał, ale nim Dolly zdążyła to sobie uświadomić, zapadła w sen i spała twardo. Nie zbudził jej niepokój Loftisa, który rzucał się dręczony okropnym koszmarem. Był na morzu. Z pokładu okrętu przyglądał się jałowemu podbiegunowemu lądowi. Peyton, stojąca obok przy relingu, zwróciła twarz ku niemu, rozchyliła usta do pocałunku. Ale w tej chwili lodowaty podmuch przesłonił morze, ląd, okręt; spowił świat na kształt czarnej, gradowej chmury. „Zimno mi, zimno” – powiedziała Peyton, odwróciła wezbrane smutkiem oczy i zniknęła, odeszła. Loftis został sam. Ostatnim krańcem ziemi wydała mu się dziwaczna panorama skał, mroków, prostopadłych ścian spadających ku bezdennemu, bezwietrznemu oceanowi. Tymczasem w dali, na wysokościach gorzała nie pojęta luna. Dwa bliźniacze stopy budziły, jak śmierć, ślepą trwogę. Dwie bliźniacze kolumny dymu dźwigały sennie ku niebu cuchnący, siny opar unicestwienia.

Co to się pali?

Dolly spała. Loftis powrócił z mroku, ocknął się. Głowa pękała mu z bólu, więc usiadł na brzegu łóżka. Z pościeli i białych rozpostartych rąk przeniósł wzrok w stronę zatoki. Deszcz padał strumieniami. Boje ostrzegały o mgle wzdłuż całego wybrzeża, aż do przylądka Henry. Smugi reflektorów obmaczywały ciemności, jak gdyby noc mrugała setką pałających oczu. W barakach na sąsiednim placu żołnierze na pewno spali... Loftis ścisnął rękami skronie. Począł medytować o wojnie i czasie, stosach płonących na arktycznym brzegu i wielkich ludziach. Nagle przyszło mu na myśl pytanie: po co było się rodzić, żeby doczekać w końcu takiej hańby?

Był śmiertelnie znużony, kiedy zadzwonił telefon na nocnym stoliku i panienka z centrali odczytała tekst depeszy zaspanym trochę, urzędowym głosem: „Stan Maudie ciężki. Musisz przyjechać niezwłocznie”.

Nawet jesienią, w porze umierania, czas zaciera w pamięci myśli o śmierci, utraconych miłościach i pogrzebanych nadziejach. Ludzie (na przykład Loftis), których ojcowie spoczywają w ziemi od lat dwudziestu, są zazwyczaj wdzięczni czasowi, co pozwala patrzeć obojętnym wzrokiem na pogrzebane kości, krzywy uśmiech odartej z mięśni twarzy, bezwłosą czaszkę oplątaną korzeniami. Loftis potrafił szukać ukojenia w pochłaniającym świadomość upływie czasu – równie dobrze jak w whisky. Sprawnie łączył oba czynniki. Nim doprowadził wóz do Yorktown, kilka razy tego pociągnął z flaszki i uprzytomnił sobie, że sytuacja, jeżeli nawet jest najgorsza, musi wyjaśnić się wkrótce. Dzięki temu osiągnął równowagę nerwową na pozostałą część podróży. Śmierć unosiła się w powietrzu. Loftis myślał o swoim ojcu, o Maudie... Ale ostatecznie jesień to okres konania, gdy zamiera stopniowo cała Wirginia. W przydrożnych ogrodach płonęły tu i ówdzie ogniska. Dzień był pochmurny. Po szosie wilgotnej jeszcze od nocnego deszczu, snuły się szare dymy pachnące spalonymi liśćmi i węglem drzewnym. Upiory Rochambeau⁷ i McCellana⁸ – dawne, jesienne ogniska obozowe, z których podnosiły się dymy równie jak ten

7 Donatien Marie Joseph de Vimeur wicehrabia Rochambeau (1750-1813) – generał francuski, uczestnik amerykańskiej wojny o niepodległość. Dowodził w kampanii, która zakończyła wojnę bitwą pod Yorktown.

niebieskawe i posępne. Loftis zaczął myśleć o innych sprawach. Przypomniały mu się sierpniowe sukcesy na korcie golfowym, później słowa jakiejś piosenki... Na jakim to było przyjęciu czy dansingu? Jeszcze raz napił się whisky.

O świcie odwiózł Dolly do domu i na pożegnanie pocałował ją smutno.

– Zatelefonuj – poprosiła – jak tylko przyjedziesz na miejsce i dowiesz się czegoś.

Ledwie jej odpowiedział:

– Dobrze, dobrze, kochanie. Bądź zdrowa.

8 George Brinton McClellan (1826-1885) – generał Unii w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej.

Brzask był posępny, dziwaczny: rzucał na zachodni widnokrąg odbłask wieczorny raczej niż poranny. Loftis zmagął się z bólem głowy, myślał o Maudie: „Boże! Przez całe życie nie zwracał na nią uwagi. A teraz...” Szybko zapomniał o chorej, litościwie usunął ją z wyobraźni, bo nowa wizja przyniosła mu odprężenie i przelotną radość – Peyton. Prawie zapomniał o tej wielkiej pocieszce. Obecnie ucieszył się z odkrycia, jak gdyby pod koniec nudnego przyjęcia znalazł ukrytą niespodziankę: cztery butelki piwa. „Przecież Peyton jest w Charlottesville z młodym Cartwrightem. Trzeba ją będzie wytropić. Boże! Oto prawa zadośćuczynienia. Za lęk i rozpacz dajesz w zamian piękno. Peyton, najmiłsza, jedyna! Dzięki Ci także, Panie, za kartę benzynową C. Wystarczy paliwa dla nas obydwójga, może nawet dla młodego Cartwrighta, jeżeli zechce wybrać się z nami. Urządzimy wycieczkę w góry, do Afton”.

„Do widzenia, papotato”. Boże! Loftis napił się z drugiej flaszki. W tym momencie wyprzedził go mikrobus pełen roześmianej młodzieży z proporcami i butelkami. Oczywiście– mecz piłki nożnej – przypomniał sobie Loftis. Przez umykające tylne okno wozu młoda dziewczyna uśmiechnęła się, zrobiła szelmowską minę, podniosła rękę z butelką. Milton odpowiedział uśmiechem, podniósł też flaszkę. Ale zakręt przesłonił dziewczynę, rozhuśtaną od pędu samochodu, otoczoną ramieniem chłopca w grubym płaszczu. W okręgu położonym za Richmond brunatna, ogołocona z kaczanów kukurydza stała sztywno na polach. Goochland? Fluvanna? Jakie komiczne nazwy! Loftis pociągnął znów whisky – długo, po desperacku. Pośród sosnowych lasków dym z murzyńskich chat spowijał drzewa, tłukł się po ziemi. Myszołowy zataczały kręgi coraz wyżej i wyżej, jak powracające do niebios anioły, by wreszcie zniknąć w górze. Raz rozległ się strzał i Loftis zobaczył spłoszonego jelenia. „Błagam, nie pozwól jej umrzeć – począł modlić się do nikogo – przez wzgląd na nas wszystkich zachowaj Maudie przy życiu, gdyby nawet...” Jeszcze raz sięgnął po butelkę.

Na krańcach Charlottesville motocykl wyprzedził go z rykiem. Mężczyzna i kobieta w kowbojskich ubiorach i pilotkach... Kobieta zwróciła w jego stronę niebieskie, dziecinne oczy i zagrała na nosie. Dławiąc się furią Milton dodał gazu, przekroczył siedemdziesiątkę, lecz pościg się nie powiódł i motocykliści umknęli. Wreszcie o jedenastej zajechał przed szpital, gdzie ociekając potem, bliski wymiotów, z trudnością znalazł miejsce na zaparkowanie samochodu.

W korytarzu na piętrze błąkał się jakiś czas bez celu pod wyniosłymi spojrzeniami pielęgniarek. Coraz lękliej wdychał dobrze znajomy szpitalny odór. Nagle, mijając jakiś zakręt, wpadł prosto na Helenę. Zdziwił się, głupio wybałuszył oczy. Przez moment stał w atmosferze jej perfum, bo syntetyczna woń gardenii stłumiła zapach środków antyseptycznych. Później ujął żonę za rękę poniżej łokcia. Wyglądała okropnie! Zaprowadziła go na oszkloną werandę, a kiedy tam usiedli, zaczęła opowiadać o Maudie. Weranda była czysta, lecz nieprzyjemnie gorąca i dość obskurna. Z fotela, w którym Loftis siedział, sterczały sprężyny, a gdzieś w oddali grzejnik centralnego ogrzewania syczał monotennie, wypełniał korytarze głuchym szmerem.

Loftis był zupełnie pijany, ale pilnie słuchał Heleny, która sypała medycznymi terminami tak płynnie, że nie mógł nic zrozumieć. Słuchał i myślał, że wypadałoby zachować trzeźwość, przynajmniej tego rana. Listopadowe światło, szare i przygnębiające, zalewało werandę. Loftis spoglądał na twarz żony. Co ona mówi? *Osteo...* coś-tam... *Tuberculosis...* z jakimś dodatkiem. Odwracał wzrok ku stosom obszarpanych czasopism, patrzył w okno na uniwersyteckie tereny: bezlistne drzewa wzdłuż alej, po których spacerowali chłopcy w zimowych płaszczach, na siniejące w oddali wzgórza... Odruchowo sięgnął po rękę żony.

– Tak... Tak... Rozumiem – bąknął.

Później błędził znów spojrzeniem po werandzie prawie bezludnej, ponurej jak mauzoleum. Pod jednym z okien zgarbiony starzec w szlafroku uważnie oglądał i skubał od czasu do czasu odwieczne, sine żyły własnej dłoni.

– Lekarze mówią, że jest znikoma nadzieja – zakończyła Helena ochryplym, zdławionym głosem.

– Dobrze – bąknął. – Bardzo dobrze.

Słowa te musiały wydać się Helenie nie mniej dziwne niż samemu Miltonowi, bo spojrzała na niego ciekawie. Oczy miała szeroko otwarte, nieruchome, usta lekko rozchylone – Loftis był zaskoczony, że w jego świadomości pokutują myśli o Dolly. Nic specjalnego. Chciał sobie przypomnieć, co mówiła przy pożegnaniu. Chyba prosiła o telefon, chociaż nie chodziło jej przecież o Maudie; chciała usłyszeć jego głos. Zdumiał się nagle, że Dolly bierze tak w posiadanie jego życie, że robi to może subtelnie, ale całkowicie, bez reszty.

– Bardzo dobrze... – powtórzył cicho i w tym momencie doznał wstrząsu, jak gdyby cegła spadła mu na głowę.

Uprzytomnił sobie, że obydwójce z Heleną nieodwołalnie tracą zmysły. Poczuł wilgoć potu pod pachami. Wśród szarej mgły zebrał rozpiezchłe myśli. Spojrzał w pełne zdumienia oczy żony.

– Chodzi o to... – zaczął trochę za głośno. – Chciałem zapytać, Heleno, co się stało, u Boga ojca? Maudie czuła się dobrze... nieźle, kiedy z nią wyjeżdżałaś. Czy tutaj nastąpiło pogorszenie? Co się stało, Heleno?

Przez chwilę spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami w czerwonych obwódkach. Widać było, że nie może uwierzyć temu, co słyszy. Później opuściła powieki, zaczęła kręcić głową, jak gdyby bezsens zadawanych pytań pokonał ostatecznie jej odporność.

– Mój Boże – westchnęła. – Mój Boże!

Opodał pochylony nad stołem starzec przerzucał jedną ręką stos czasopism. Loftis gwałtownie potrząsnął głową, jak gdyby szukał rozpaczliwie światła, rozsądku. Zobaczył starca, który bez widocznego powodu spojrzał nagle w kierunku wzgórz, a kiedy się prostował, wyciągnął szyję, jak indor, aż podskoczyło jabłko Adama.

„Muszę wytrzeźwieć – pomyślał Loftis. – Wyrzeźwiej”.

– Chodzi o to, Heleno... – podjął. – No... Wiesz przecież, co mam na myśli... Doktorzy mówią mimo wszystko, że jest nadzieja... Tak powiedziałaś sama, więc...

– Miltonie! – przerwała. – Nie wytrzymam dłużej. Nie mogę patrzeć na ciebie w takim stanie. Po prostu nie mogę. Mam dosyć. Czy nie rozumiesz, co się dzieje?

Spojrzał na nią błagalnie, żałośnie. Czuł, że oddałby wszystko za jedną chwilę trzeźwego skupienia.

– Heleno, rozumiem naturalnie...

– Nic nie mów. Lepiej nic nie mów. Twoja własna córka jest beznadziejnie chora, a ty nie potrafisz się zdobyć na bodaj tyle przytomności... Tak! Przytomności, żeby zrozumieć, co się dzieje. Jesteś...

Na dworze zabrzmiały trąbki i dzwonki zapowiadające mecz piłki nożnej. Przy stole pod oknem starzec zakrzuszył się głośno, ohydnie, jak gdyby reszta wody spłynęła do ścieku pod zlewem. Obydwoje odwrócili się raptownie, ale starzec był zupełnie spokojny. Miał ogromny, spiczasty nochal, z którego skóra obłaziła płatami, i oczy zapadłe tak głęboko, że przywodziły na myśl kule tkwiące w kieszeniach bilardowego stołu. Loftis uprzytomnił to sobie i jednocześnie spostrzegł z obrzydzeniem, że starzec jest zupełnie bezwłosy. Przez czas pewien dziad siedział bez ruchu, gapił się na dwoje nieznajomych, zwracając ku nim głębokie oczodoły. Później skorzystał z przywileju sędziwych samotników i lekceważąc formalności prezentacji wskazał w kierunku wzgórz chudą, nieporosłą włosami ręką.

– Otwarcie mówiąc – zaczął – przyjechałem tu, aby umrzeć. Przyjechałem, bo chcę umrzeć blisko Jeffersona. On jest tam – wyciągnął palec w stronę Monticello. – Tam jest, na wzgórzu. Widać je stąd w pogodne dni. Tak, proszę państwa. Siaduję na tej werandzie popołudniami, patrzę na wzgórze i lżej mi, znacznie lżej, jak pomyślę, że będę blisko Jeffersona, kiedy przyjdzie zrzucić ziemską powłokę.

Coraz bardziej podnosił głos, piskliwy, drżący głos starca. Loftis śledził wzrokiem drobny płatek skóry opadający z kostropatego nosa. Widział także ceglaste, niepokojące wypieki na zakłęsłych policzkach.

– Przyjechałem aż ze wschodniego wybrzeża, taki szmat drogi, aby spędzić tu swoje ostatnie dni. Myślę, że Jefferson dobrze by to ocenił, gdyby żył. To był prawdziwy dżentelmen, więc, proszę państwa...

Na werandę wtargnął promyk słońca, a wraz z nim krępa, bardzo godna pielęgniarka.

– Panie Dabney – przemówiła. – Wie pan, że nie wolno ruszać się z fotela, co? Niegrzeczny chłopiec! Marsz do łóżka! Zaraz!

Pan Dabney nie zdążył nawet pożegnać się z nieznajomymi.

– Dobrze. Dobrze, proszę siostry – powiedział tylko i pokornie ruszył za nią powłócząc nogami, zostawiając za sobą nikły odór jakiegoś leku na spirytusie.

– Jestem przytomny – podjął spokojnie Loftis zwracając się do żony – zupełnie przytomny, Heleno, i bardzo mi przykro. Można teraz odwiedzić Maudie?

– Nie. Dopiero co usnęła.

– Aha... – zawahał się na moment. – I co będziemy robić?

– Możemy tylko czekać – westchnęła Helena i ukryła twarz w dłoniach.

Nieprzyjemne to było, ale czekali nie odzywając się do siebie. Ulicą przed szpitalem sunęły sznurem w stronę stadionu samochody ozdobione proporcami i flagami konfederacji. Helena zapalała papierosa po papierosie, bezwiednie przeglądała „Reader's Digest”. Loftis starał się myśleć o Maudie, lecz nie był w stanie zdobyć się na nic sensownego. Jak? Jak, u licha, wypada czuć się w podobnych chwilach? Czy wolno po dwudziestu latach nie miłości wprawdzie, lecz smutnego, płochliwego przywiązania nie mieć w sercu obawy ani żalu, tylko nudę i pragnienie spokoju, samotności? To okropne, nie kochać, nie odczuwać tego, co odczuwać by należało. Istne piekło. Ale jeszcze gorzej pragnąć tak, jak pragnął Loftis, zdobyć się na słowa pociechy i wiedzieć, że skompromitował się już ostatecznie, więc Helena musi odtrącić te jego słowa jako niegodną błagę. Ale Loftis wyciągnął rękę do żony.

– Nie martw się, Heleno – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. Nie rozpaczaj.

Z pewnym zdziwieniem poczuł, że żona ujmuje końce jego palców, zobaczył jej zwrócone ku sobie oczy pełne smutku, ale niemal życzliwe. Może na chwilę – na tę jedną chwilę – uwolniła go od przytłaczającego brzemienia swoich sądów?

- Zostań ze mną – szepnęła.
- Naturalnie, Heleno. Zostanę.
- Zostań ze mną – powtórzyła.

– Zostanę.

– Nie było mi tak źle nigdy w życiu.

– Nie martw się, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Zobaczysz. Spróbuj wziąć się w garść.

Helena cofnęła rękę i odrzekła głucho:

– Widzisz, stało się to, czego oczekiwaliśmy od dawna.

Rozumiesz, prawda? Mówiłam ci, że nieustannie drzę na myśl o podobnych chwilach. Pamiętasz, co tamten doktor z Richmond mówił tyle lat temu? Powiedział, że w takich razach niepodobna przewidzieć, kiedy może nastąpić zmiana na gorsze. Otóż ta zmiana... – zrobiła krótką pauzę i zaraz podjęła monotonnym głosem: – Ale ja wiem. Wiem. Wiem, co się stało – zawahała się powtórnie, by dodać nieco żywiej: – Tylko ja wiem. Ja jedna, Miltonie. Wiem, ale powiem ci tylko, jeżeli nastąpi... Rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

– Nie, Heleno – odparł. – Nie zdaję sobie sprawy, co...

Przez chwilę był przekonany, że ta kobieta oszalała. Ale ujęła znów jego palce, zaczęła mówić spokojniej:

– Zostań ze mną, Miltonie. Nie opuszczaj mnie teraz.

Zostań ze mną.

– Naturalnie, Heleno. Ale co właściwie chciałaś...

W drzwiach stanęła ta sama krępa pielęgniarka z najeżoną termometrami tacą w rękach.

– Proszę pani – powiedziała szeleszcząc nakrochmalonym fartuchem – Maudie śpi jeszcze. Ale doktor Brooks chciałby zamienić z panią kilka słów.

Loftis pomyślał, że pielęgniarka jest szczególnie podobna do La Guardii, burmistrza Nowego Jorku.

Helena podniosła się żywo.

– Wrócę za chwilę, Miltonie.

Loftis wstał również.

– Dobrze... dobrze... Czy nie życzysz sobie, abym...

– Nie... Tak będzie lepiej... Widzisz, doktor Brooks zna mnie i... i...

Nieśmiało dotknął jej ramienia.

– Nie martw się, kochanie – bąknął. – Maudie wyzdrowieje. I my wszyscy... – Ale Heleny już nie było.

Loftis podszedł do okna. Zaczął wspominać kobiety w swoim życiu. Tęsknił do alkoholu, wstydliwie sięgał myślami do skrytki w samochodzie. Na dworze pobekiwały trąbki. Słysząc było hałas, jak gdyby odległe dźwięki tamburina. Ludzie przechadzali się pod bezlistnymi drzewami. Nad wzgórzem wielki błękitny latawiec wzniósł się i opadł. Ulicą przemknął odkryty samochód, w którym czwórka młodzieży śpiewała, powiewała pomarańczowa chorągiewką. W korytarzu kobiecy głos zapytał o doktora Hilla i ktoś wyjaśnił, że doktor Hill jest w sali operacyjnej. Ciężki skalpel chirurga, ciężki nóż i wina ciężka. Tacy jak Loftis ludzie wolnych zawodów oceniają w pełni moc specjalistycznej wiedzy. Oblizał wargi: były zupełnie suche. Ze zdziwieniem poczuł nerwowe drganie jednej powieki. Co właściwie Helena mówiła o Maudie? Czy ostatecznie nastąpiło jakieś przesilenie? Biedna Maudie. Oby tylko nic się jej...

Latawiec wystrzelił pod szare niebo, zawirował niepewnie, ogonem zaczepił o drzewo. Dwaj chłopcy wspięli się po niego, przez czas pewien myszkowali pośród gałęzi, później dali za wygraną. Latawiec zwiślał smutno niebieskawą plamą – jak kraska uwikłana w powój. Niżej była ścieżka, rząd zabudowań i domek, ponury nawet wtedy, przeszło trzydzieści lat temu; ożywiały go nieco dzikie róże rosnące po obu stronach ganku, jak w powieści Gene Stratton-Portera. Nazywali go „Domem Drzemiącego Czasu” – jak to osiemnastoletni zakochani. Pasjonującą, niebezpieczną grą było ukrywanie się przed jej ojcem, który był hamulcowym na kolei i nie cierpiał chłopców z uniwersytetu. Późną wiosną, kiedy papa był w drodze do Waynesboro, Staunton czy jakiejś innej stacji, leżeli wśród ciemności, przytuleni do siebie. Ona mówiła z płaczem: „Najdroższy, nie wiem, co robić... Jeżeli papa się dowie, zabije mnie... Na pewno zabije...” On był też przerażony, ale dzielnie nadrabiał miną. „Nie martw się, Audrey. Bądź spokojna, kochanie. Nikt nie odkryje niczego! Poszukam jakiegoś doktora albo... Wiesz, znam kogoś... Poradzimy sobie”. Loftis pomyślał, że dzisiejszy lęk uderzająco przypomina tamten z zamierzchłych czasów. Wsparł czoło o szybę. Próbował przypomnieć sobie... Mój Boże! Audrey... Szczęście mu wtedy dopisało... Tak... Nietrudno o bezwzględność w takim wieku: osiemnastolatki nie mają serca.

Jej również szczęście dopisało. Powiedziała mu nieco później: „Już wszystko dobrze, najdroższy. Niepotrzebnie bałam się przez dwa dni”. Później prosiła, żeby pocałował ją jak dawniej. „Nie! – rzucił szorstko. – Ja odchodzę”. Rozpacz – oszłamiająca rozpacz! „Zabiję się!” Mimo strachu odpowiedział: „Dobrze. Nie moja sprawa”. Odchodząc w ciepły majowy wieczór nasłuchiwał wystrzału, krzyku, który nie rozległ się nigdy, i boleśnie przeżywał pierwsze z wielu rozczarowań miłosnych. Jednakże mimo młodego wieku miał dość zdrowego rozsądku, by rozumieć, że nie jest odosobniony w świecie źle dobranych namiętności. Inni zdradzali również i byli zdradzani, nudzili się miłością. Ale Loftis miał duszę romantyka i chociaż nigdy nie widział później tej dziewczyny, litował się nad nią, a dla siebie czuł pogardę (bardzo umiarkowaną pogardę) z racji niewłaściwego zachowania. Dobrze, szlachetnie byłoby mieć dzisiaj bodaj tyle sumienia. Cóż, mógłby zostać wielkim człowiekiem, znakomitym prawnikiem, poetą... Zapatrzony w latawca na drzewie, usiłował przeklinać tchórzliwie samego siebie, usiłował, lecz nie mógł. Przeklinał za to natrętne kobiece ciało, które jeszcze brutalniej niż czas zniszczyło w nim sumienie i przywiodło go do szarpaniny za dnia i bezwstydných wieczorów. Pomyślał o konającej Maudie, o Helenie... Słabo mu się zrobiło z przerażenia i żalu. Latawiec drgnął od podmuchu wiatru, osunął się na niższą

gałąź, znieruchomiał. Rząd domków wyglądał szaro, chłodno, ubogo. Minęło wiele lat. Ona ma teraz blisko pięćdziesiątkę. Od dawna zmieniła się w otyłą, starszą kobietę z popsutymi zębami. Zapewne jej dom do dziś pachnie naftą. Cóż, mógłby wejść na schodki, zastukać do spaczonych, tandetnych drzwi, spojrzeć na drzewo bawełniane pokryte wiosną liśćmi, a teraz nagie, brunatne, rozchwiane na wietrze. Z pewnością jest teraz bardziej rozłożyste, wyższe – sięga nad dach grubymi konarami. Na próg wyszłaby wiedźma w łachmanach cuchnąca mlekiem gotowanym dla wnucząt... (Loftis zdziwił się trochę, dlaczego tak maluje w wyobraźni obraz dawnej Audrey.) Zapytałaby – być może z życzliwym uśmiechem – kim on jest i czego sobie życzy?

Mógłby powiedzieć prosto z mostu: „Czemu zdradziłaś mnie, dziewczyno? Dlaczego nie wytłumaczyłaś mi, co to jest miłość? Wiedziałaś przecież, wiedziałaś. Znałaś tajemnicę. Wspólny kłopot powinien nas zbliżyć, a uczynił mnie tylko bezczelnym, okrutnym. Wiedziałaś, co to jest miłość, i mogłaś mi powiedzieć. Zdradziłaś mnie, dziewczyno”. Ona mogłaby odrzec: „Nie, mój drogi. Ja zostałam zdradzona. Zwierzyłam ci tajemnicę, i to po raz ostatni. Byłam twoją ostatnią miłością, chociaż nigdy nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Próbowałam dać ci do zrozumienia, że miłość nie jest kwestią umysłu, serca ani dąła. To coś, co przybywa naturalnie, jak poranek, i zostaje na zawsze. Ale ty bałeś się, nawet kiedy...” On przerwałby szybko: „Byłem młody i chociaż postąpiłem bezlitośnie, miałem wtedy więcej niż dziś sumienia. Okaż trochę miłosierdzia...” A ona na to: „Miłosierdzia, mój drogi? Nie mów o miłosierdziu! Nie cofniesz minionego czasu. Wracaj do swojego życia. Przestań myśleć o tym, czego odrobić niepodobna. Pamiętaj, że miłość przychodzi naturalnie, jak...”

„Czy ty nic nie rozumiesz? – mógłby wybuchnąć. – Czy ty nic nie rozumiesz? Chcę poznać tajemnicę...” Jednakże ona odeszła już, drzwi się zamknęły, a on został sam na ganku. Próbował krzyczeć, wołać ją po imieniu, lecz nie był w stanie dobrać głosu, więc odszedł również. Na zawsze zostawił za sobą drzewo bawełniane i zmarznięte ogołoczone z liści dzikie wino. Oddalając się marzył, aby kobiecie ciało nie przybierało nigdy realnej formy, lecz pozostawało w krainie wspomnień, aby miłość była jedynie dźwiękiem, co jak latawiec szybuje wśród pradawnych mroków, słowem, śmiechem, westchnieniem... A może zgrzytem naciskanych sprężyn i szelestem opuszczonych do połowy rolet?

Odwrócił się od okna. Dłonie miał wilgotne, spocone, twarz rozgorączkowaną, z wyjątkiem półksiężyca na czole, którym opierał się o szybę. Odniosł wrażenie, że weranda przygnębia go nieznośnie, że musi się wydostać – pójść dokądś, dokądkolwiek, przemyśleć wszystko dokładnie. Wyszedł na pusty korytarz. Opodal bulgotało metalowe pudło – takie coś, w czym wyjaławia się noże i różne instrumenty lekarskie – buchnęło kłębami pary. Loftis był kompletnie trzeźwy, ale bał się czegoś. Głowa bolała go potwornie i łzy wzbierały w oczach. Ach, uciec na chwilę do samochodu, dokądkolwiek, gdzie można skoncentrować się, przemyśleć wszystko...

– Milton!

Obrócił się. Korytarzem zmierzał w jego stronę uśmiechnięty Hubert MacPhail; szedł szybko, a przynajmniej tak szybko, jak pozwalało utykanie. Hubert MacPhail, adwokat z Charlottesville i jak Loftis, wychowanek tutejszego uniwersytetu, a ponadto pierwszy kandydat na stanowisko sędziego federalnego, gdyby Harry Byrd zechciał umrzeć. Loftis lubił go umiarkowanie, lecz w aktualnym nastroju ucieszył się naprawdę i gorąco uściśnął wyciągniętą rękę.

– Co z twoją nogą, Hubercie? – zapytał.

– Nastąpiłem na przekłętą wrotkę. Widzisz, była zardzewiała, więc z początku wyglądało, że nie obejdzie się bez amputacji. Ale od tygodnia żyję sulfamidami...

I tak dalej, i tak dalej. Przysiedli na twardej ławce, bo Hubert chciał dać wypoczynek chorej nodze. Był to tęgi, krewki jegomość o sinawych torbach pod oczami i rzadko rozsianym wąsiku. Loftis żył z nim nie najgorzej, chociaż pamiętał, że po pijanemu MacPhail bywa niekiedy ordynarny i zaczepny. Nadal trzymali się za ręce. Loftis był trochę zakłopotany i bardzo smutny. Na pytanie, co go sprowadziło do szpitala, odpowiedział rzeczowo i poczuł łzy pod powiekami.

– Aa... Czy z nią naprawdę źle? – zapytał cicho Hubert.

– Nie... Nie bardzo źle, Hubercie, przynajmniej tak mi się zdaje. Lekarze... – głos mu się załamał.

Gardził współczuciem ludzkim, zaraz jednak rozpaczliwie pożądał towarzystwa.

– A to bieda, Miltonie! – powiedział MacPhail kiwając smutno głową.

– Tak – przyznał Loftis.

– A to dopiero bieda.

– Aha...

Hubert klepnął go po kolanie.

– Słuchaj, stary – podjął – a może tak skoczyć do klubu uniwersyteckiego na jednego? Młodzież rozgrzewa się tam przed meczem. Whisky dobrze nam zrobi, co?

– Nie, dziękuję, Hubercie. Muszę czekać tu na Helenę. Właśnie rozmawia z doktorem, więc...

Nerwowo rozejrzał się po dusznym, pustym hallu. Jakiś mężczyzna jęknął w sąsiednim pokoju i zaraz wyszła stamtąd tęga kobieta w średnim wieku. Ukradkiem ocierała oczy chusteczką, słabym głosem wzywała pielęgniarkę. Loftis przeraził się i nagle pomyślał o Peyton – nareszcie, ostatecznie pomyślał o Peyton. Ożywił się raptownie.

– Dobrze – powiedział. – Dobrze! Wpadniemy na moment do klubu. Masz wóz, co? Ja pojedę za tobą.

MacPhail klepnął go po ramieniu.

– Uszy do góry, stary! – zawołał wstając z ławki.

– Wszystko ułoży się jakoś.

W klubie uniwersyteckim panowała ożywiona atmosfera. Młodzież tłoczyła się pod portykiem, w hallu, w głównej sali. Wszyscy witali się ze wszystkimi bardzo głośno. Było za wcześnie, by pić lub tańczyć, mimo to jednak pito i tańczono dorywczo przy dźwiękach saksofonów i trąbek. Dziewczęta miały twarze pięknie zaróżowione i podniecone, bo każda była niezachwianie pewna, że uroczysty dzień jest przeznaczony wyłącznie dla niej. W starannie obmyślonym półmroku baru chłopcy i dziewczęta pili grzany rum; przy pianinie jakiś student improwizował z rozmachem wariacje w rytmie boogie-woogie. Parki przyjeżdżały lśniącymi samochodami, wstępowały do klubu na chwilę i wychodziły, aby po dziesięciominutowej przejażdżce donikąd wracać jak podloty do gniazda. Żadna nie potrafiła oddalić się na długo nie tylko dlatego, że benzyna była racjonowana, lecz również z racji atmosfery dnia, która domagała się gwaru i koleżeńskich uczuć. Sam na sam dwojga zakochanych – to dobre kiedy indziej, może nawet tego wieczora. Nie mówiono też prawie o meczu piłki nożnej, uciążliwej przeszkodzie, którą trzeba pokonać, nim rozpocznie się prawdziwa zabawa. Pianino współzawodniczyło z patefonem, wszędzie unosił się przyjemnie drażniący zapach alkoholu, różowe twarze dziewcząt przemykały od drzwi do drzwi, z pokoju do pokoju, wyrastały niby ozdobne kwiaty z fal śmiechu i chrapliwych dźwięków saksofonu.

Wkraczając w ów celowy zamęt Loftis czuł się stary i nie na miejscu. Hubert MacPhail kuśtykał u jego boku. Nielicznych znajdujących się w klubie szpakowatych panów Loftis nazywał po imieniu i witał uściskiem ręki, ale robił to bez szczególnego entuzjazmu, ponieważ prawie wszystkich byłych kolegów widział przed niespełna miesiącem z okazji meczu piłki nożnej w Norfolk. Kulawy Hubert wyruszył na poszukiwanie Buzza, swojego syna. Loftis począł rozglądać się za Peyton, lecz nigdzie nie mógł jej dostrzec. Wreszcie jakiś młodzieniec o minie naukowca spojrzał nań protekcjonalnie i tytułując „kolegą Loftisem” wyjaśnił, że Peyton i Dick Cartwright pojechali do miasta po lód. Loftis podziękował chłopcu za wręczoną uprzejmie szklanekę i ciężko usiadł pod ścianą między welwetową portierą a dokładnie pijaną blondynką, która czekała na kogoś. Sąsiadowi przyglądała się zalotnie i po każdym jego słowie, nawet najbardziej zdawkowym, wybuchała kaskadą piskliwego, histerycznego śmiechu. Loftis powracał do nastroju łagodnej melancholii i wobec młodej blondynki był pełen rodzicielskich uczuć: czuwał nad nią i raz, kiedy wśród paroksyzmu szalonej wesołości osuwała się na ścianę, omal jej nie uratował. Ale w tej chwili zjawił się oczekiwany wielbiciel, nie bez trudności dźwignął swoją damę i objąwszy się wpół obydwójce zniknęli z pola widzenia chwiejnym krokiem.

Nie było jeszcze pierwszej po południu, ale w klubie panowała radosna atmosfera, jak gdyby mecz – czcza formalność – został już wygrany. Trudno chyba wyobrazić sobie klęskę po tak szaleńczo wspaniałym występie. Na dworze było coraz bardziej szaro i chłodno, lecz tutaj wszystkie lica zdawały się płonąć dzięki bliskości innych twarzy i bratającym oparom alkoholu. Patefon grał głośniej i głośniej, brzdąkanie pianina przybierało na sile, kilku tańczących chłopców prowadziło partnerki po coraz to szerszych, coraz bardziej zawitych spiralach wokół salki. Pośród obłoków dymu dziewczęta o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach wędrowały z proporczykami i dzwonekami tuliły się do siwowłosych byłych wychowanków uniwersytetu i były przez nich obmacywane, zatrzymywały nieznajomych we drzwiach, by opowiadać chaotycznie o zabawach... zabawach... zabawach w Richmond, przed miesiącem, tygodniem... Bóg-wie-kiedy. Chłopcy zaczęli ekwipować się przed meczem i szukali pledów, płaszczy nieprzemakalnych, podręcznych flaszek dla rozgrzewki. Ale muzyka nie ustawała. Melodia smutnej ballady miłosnej padała z gitar niby srebrne dziesięciocentówki.

Nagle drzwi się otworzyły. Do wnętrza wtargnął strumień zimowego powietrza, a wraz z nim Peyton i Dick Cartwright w otoczeniu dwu chłopców o twarzach jak księżyc w pełni, którzy śpiewali, wymachując butelkami whisky:

Wracamy z Wirginii, z Wirginii,
Gdzie jest wesoło i pięknie.

Tłum zafalował. Rozległy się oklaski, gromkie okrzyki.
Dwaj chłopcy objęli Peyton i Dicka, a także przewodnictwo chóru.

– Gotowi. Hop!

Hu – ha – ho!

Hu – ha – ho!

Piękna Wirginia.

Hej – ha – ha!

Hej – ha – ha!

Chwała Wirginii!

– Peyton! – krzyknął ktoś.

– Pomyślności!

– Hura!

Część towarzystwa wyminęła gwarnie Loftisa, ze śmiechem i szklankami w podniesionych rękach otoczyła nowo przybyły kwartet, tak że Peyton, Dick i chłopcy o twarzach jak księżyc w pełni zniknęli w tłoku. Loftis daremnie szukał wzrokiem córki. Nie mógł jej dojrzeć. Dwie wypite szklanki whisky – obie bez wody – zamroczyły mu umysł i wzmogły zamiast osłabić uczucie znużenia. Przypomniał sobie nagle, że nie jadł nic od poprzedniego wieczora.

– Przepraszam... Przepraszam... Jestem ojcem Peyton–
powtarzał z drewnianym uśmiechem i rękami torował sobie
drogę zmierzając w stronę drzwi.

Pamiętał, że dwie sprawy powinny go okropnie martwić.
Pierwsza... Naturalnie, Maudie... O tym trzeba zaraz
powiedzieć Peyton. A druga? Co to było... Pewno nic
ważnego... Byle tylko zobaczyć Peyton... A co znaczy ten
zamęt dokoła? Niemądre żarty? Może jakaś uroczystość
familijna? Policzkiem zawadził o czyjś sterczący łokieć.
Oprzytomniał nieco. Zorientował się, że powoli, stopniowo,
wśród śmiechu, wrzawy, ścisku jest popychany, holowany w
kierunku szarego zimnego prostokąta otwartych drzwi. Ktoś
wylał na jego ramię zawartość swojej szklanki, ktoś
zmiądzzył mu butem stopę – jak się zdawało na zawsze.
Brunetka o nieprzytomnych oczach roześmiała się do niego
życzliwie i w tym momencie Loftis stracił równowagę:
został wyrzucony na dwór, pod portyk.

Zatrzymał się, szeroko otworzył oczy i podnosząc rękę
zawołał słabym głosem:

– Peyton!

Nie spostrzegła go nawet. Z Dickiem Cartwrightem była
już w samochodzie, który ruszał właśnie z podjazdu.
Wychylona z okna powiewała pomarańczowo-niebieskim
proporcem.

W klubowym wnętrzu Hubert MacPhail stał przed ogniem trzaskającym na kominku – wygrzewał zranioną nogę. Loftis podszedł do niego.

– Hub!

– Jak się miewasz, Milt? Zdobyłeś coś do picia? Myślę, że tak. Pod tym względem można na tobie polegać. To mój syn, Buzzie, Miltonie – bezceremonialnie kuksnął w bok bladego, średnio przystojnego chłopca i nie spojrzawszy nawet na niego gadał dalej: – Buzzie nie wybiera się na mecz. Woli zmarnować miejsce na głównej trybunie i zostać w klubie, bo tu cieplej. Mam rację, Buzzie, co? On widzisz, Milt, nie lubi piłki nożnej.

Chłopiec podał Loftisowi wilgotną, nerwową rękę i zdobył się na uśmiech męczennika. Nie odpowiedział ojcu, lecz w jego oczach pojawił się na moment niechętny błysk, odzwierciedlający bez wątpienia odrazę bardzo specyficznego pokroju.

– Moje uszanowanie panu – powiedział.

– Dzień dobry, synku. Słuchaj, Hubercie... – zaczął Loftis, ale MacPhail ścisnął go za ramię i perorował dalej:

– Jak ci się podoba, Milt? Przez trzy miesiące czekać na największy mecz roku i przekonać się, że własny syn nawala. To cholerne młode pokolenie zatraciło dawnego rycerskiego ducha. Cóż, Buzzie nigdy nie przepadał za piłką nożną. Prawda, Buzzie? Diabli wiedzą, na co przyda się w wojsku.

Loftis obserwował przez cały czas chłopca, który niespokojnie przestępował z nogi na nogę i szczyrzył zęby w żalonym uśmiechu. Litował się nad nim i czuł wzmagającą się szybko niechęć do Huberta. Zarazem jednak dręczyły go niemiłosiernie inne, własne sprawy. Peyton... Dokąd pojechała i dlaczego? Może ten właśnie dzień przyniesie koszmar, który przejmował go zawsze grozą, który pod wpływem instynktownego fatalizmu uważał za nieunikniony? Muzyka umilkła. Młodzież wybierała się na mecz w porządku, wcześniej, żeby w porę zająć miejsca. Dziewczęta były ożywione, energiczne; miały błyszczące oczy i świeżą cerę. Wlokły za sobą chłopców, a chłopcy chociaż pijani, wychodzili pokornie, bo każdy przecież przywiózł na ten dzień i na ten mecz dziewczynę, którą, jak mu się wydawało, kocha. W alkowie jakiś wysoki, chudy „pojedynek” stał pochylony nad koszem na śmiecie i hałaśliwie wymiotował.

– Słuchaj... – Loftis zwrócił się do młodego MacPhaila.
– Słuchaj, Buzzie. Znasz Dicka Cartwrighta. Widzisz, on jest z Peyton. Nie wiesz, gdzie mógłbym ich znaleźć? – uśmiechnął się głupekowato. – Do licha! Nie mam pojęcia, co znaczył ten cały harmider. Zobaczyłem Dicka, później Peyton i...

– Buzzie – ciągnął swoje Hubert – potrafił zawsze budzić uczucie zwane antypatią...

– Chwileczkę, Hubercie – przerwał szorstko Loftis; czuł się po trosze tak, jak gdyby przesłuchiwał podsądnego.

– Buzzie...

Nieśmiały uśmiech rozjaśnił nieco twarz chłopca; oczy mu zabłysły.

– Myślałem, proszę pana, że pan już wie. Dick i Peyton zaręczyli się wczoraj wieczorem.

– Zaręczyli się? – powtórzył Loftis.

– Tak, proszę pana.

– Zaręczyli się...

– Serdecznie gratuluję, drogi Miltonie – podchwycił gburowato Hubert. – Dostaniesz zięcia z grubą forszą i rozległymi stosunkami, a jak się zestarzejesz, może otrzymasz w dożywocie dom Harrisona Cartwrighta, taką starą rudere. Może będzie ci wolno tam umrzeć.

– Więc ona się zaręczyła?

– Tak, proszę pana.

Loftis poczuł się tak stary jak nigdy po czterdziestej rocznicy urodzin.

– Ha – bąknął – przynajmniej dostała młodszego kolegę...

Nie przywiązywał do tego istotnej wagi. Czuł, że to on został odtrącony, wyrzucony za nawias...

– Nie wiesz, synku – podjął – gdzie Peyton może być teraz? Gdzie mógłbym ją znaleźć? Przed chwilą zniknęła niespodziewanie...

Buzzie był rad, że ma sposobność powiedzieć coś ważnego.

– Dick, proszę pana, zajmuje wspólny pokój ze mną. Mówił, że naturalnie będą na meczu. Ale najprzód chcieli spotkać się z Tomem Amesem w „Wirginii”. Chyba tam pojechali.

– „Wirginia”... To, jak dawniej, taka restauracja na rogu?

– Tak, proszę pana.

– Dziękuję, Buzzie. – Loftis zwrócił się do MacPhaila:

– Słuchaj, Hub, skoczę teraz do „Wirginii”. Muszę złapać Peyton. To bardzo ważna sprawa. Rozumiesz, prawda?

– Oczywiście, Milt. Chodzi o szpital, co?

Loftis narzucił płaszcz. Szybko ruszył ku drzwiom.

– Hej, Milt! – zawołał za nim Hubert i pogardliwym ruchem głowy wskazał syna. – Muszę pójść sam na ten przekłety mecz, może więc weźmiesz drugi bilet i spotkasz się tam ze mną, jeżeli zdążysz. Nie mam ochoty siedzieć i zamarzać w pojedynkę.

– Dziękuję, Hub. Nie mogę spotkać się z tobą. Muszę wrócić...

– Wszystko jedno. Weź ten cholerny świstek papieru – powiedział MacPhail.

Energicznie wsunął bilet do kieszeni marynarki Miliona. Buzzie ukradkiem wymknął się na piętro. Loftis też wyszedł klepnawszy śpiesznie po ramieniu Huberta, który z pochmurną miną wygrzewał nadal chorą nogę przed żarem dogasającym na kominku.

Loftis miał wrażenie, że spotyka świąteczny zgiełk na każdym kroku, zarazem jednak radość umyka zewsząd, gdzie się pojawi. Szybko, jak gromadka spłoszonych dzieci, hordy młodzieży odbiegały wśród rozwianych wirgińskich proporców i pobekiwania trąbek, a on zostawał sam z własnym bólem i flaszką w zaciśniętej ręce. Przystawał zasłuchany posepnie w dźwięk dzwonek, który oddalał się ulicą, ledwie uchwytne, niby pobrzękiwanie maleńkich dzwoneczków unoszonych ku niebu na skrzydłach chińskich gołębi. Zostawał sam, a poczucia nicości nie rozpraszał nawet kolejny długi, bardzo długi łyk z butelki. Pół do drugiej. Za pół godziny mecz się rozpocznie. Za pół godziny na stadionie będzie również Peyton – Peyton i Dick Cartwright. Prawie ich widział. Oto wchodzi ramię w ramię, z oczami błyszczącymi podnieceniem, zażawionymi od chłodu. „Dobry Boże! – pomyślał. – Znów rozminąłem się z nią w tej knajpie”.

Od subiekta za bufetem pożyczył szklanę i usiadł w łoży, żeby wszystko przemyśleć. Nie ma nic przykrzejszego niż samotne picie – medytował niechętnie, lecz znajdował pewną pociechę w przekonaniu, że bardzo rzadko bywa samotnym pijakiem. „Ależ, Miltonie, to kłamstwo – protestowało sumienie, słabo, jak ktoś tonący w otchłani whisky. – Samotny pijak z ciebie, samotny człowiek”. Czy to prawda? Czy to możliwe? Jakim cudem? Ha, być może. Być może, jest w tym część prawdy, bo pijąc, nawet w towarzystwie, Loftis zapada coraz głębiej w siebie i zamiast mówić, rozmyśla pochmurnie o dniach minionych niepowrotnie jak zeszłoroczne liście. „Być może! Nie być może. Na pewno. Jesteś, Miltonie, samotnym pijakiem”. Loftis wrzucił pięciocentówkę do otworu szafy grającej. Rozpaczliwie szukał stosownych słów, argumentów. Wreszcie napił się whisky, zaczął nucić półgłosem i uśmiechnął się wracając myślami do Peyton. Nagle w drzwiach ukazała się wysoka kobieta o ładnej twarzy bez wyrazu, a za nią Pookie Bonner w pstrym zimowym płaszczu i z ogromną flagą konfederacji w ręku.

– Milton!

Loftis chciał ukryć się, odwrócić, dać nurka pod stół. Za późno! Pookie dopadł go łakomie, drapieźnie. Przeszywał już powietrze idiotycznym wrzaskiem powitań. Klepał Loftisa po plecach, ścisnął mu obie dłonie. Wśród piekielnego zgiełku przemoczona od deszczu flaga osunęła się i spowiła wysoką kobietę niedorzeczną mozaiką pasów i gwiazd.

– Milton! Kochany stary! – ryczał Pookie. – Wieki cię nie widziałem! Jak Boga kocham! Niech mnie szlag trafi, jeżeli zmieniłeś się choć trochę. Spójrz no na niego, Harriet! To stary Milton Loftis, o którym ci tyle mówiłem.

Harriet wygrzebała się spod flagi. Z uśmiechem spojrzała na Loftisa pustymi oczami.

– Miło mi pana poznać – przemówiła.

– Może... Może zechcą państwo usiąść – bąknął niepewnie Loftis.

Gorsza, znacznie gorsza sprawa niż spotkanie z odrażoną kochanką! Chętnie znalazłby się na miejscu Pookie'ego. Wątpliwie gościnnym gestem wskazał wolne miejsca.

– Napijecie się? – dodał bezdźwięcznym głosem.

Harriet usiadła z uśmiechem. Starannie podwinęła spódnicę. Pookie klapnął obok niej z łoskotem.

– Za chwilę musimy pójść na mecz – powiedział.

– Wstąpiliśmy tu tylko, żeby wzmocnić się mlekiem. U mnie, Miltonie, wysiadka z picciem. Mam owrzodzenie żołądka.

– Zaczęło się od *gastritis* – podchwyciła żywo Harriet – ale Sclater nie przestał pić w porę. Ostatecznie poszedł do szpitala Akademii Medycznej w Richmond i tam gastroscopia wykazała nadżerki odźwiernika.

– Harriet była pielęgniarką – objaśnił Pookie.

– To nic groźnego – ciągnęła łagodnym, jednostajnym głosem; Loftis spojrział na nią uważnie: ma murowaną czterdziestkę, ale ładna. – Doprawdy nic groźnego: maleńka ranka albo raczej zaognienie śluzówki. Wciąż powtarzam Sclaterowi, że bywają poważniejsze schorzenia, zwłaszcza przewodu trawiennego... Choćby na przykład *colitis*.

– Święta racja! – przyznał gorąco Pookie.

Na chwilę umilkli wszyscy.

Loftis pomyślał, że jego zakłopotanie musiało udzielić się tamtym dwojgu, zwarzyć ich humory. Tymczasem nadszedł kelner. Pookie zamówił mleko dla siebie i kawę dla Harriet. Loftis nic nie powiedział, tylko napił się z rozpaczliwą nadzieją, że zaleje niepokój z powodu Peyton, Heleny, Maudie i jeszcze jakąś obawę (jaką – nie mógł sobie przypomnieć), że pozbędzie się niesmaku i nagłego wstrętu do Bonnera i tej jego ohydnej Harriet. Z przebiegłą miną wzniosł szklanę.

– No, wasze zdrowie – powiedział.

Pookie serdecznie przyjął toast, napił się mleka. Loftis wolałby wszystko – wymówki, obelgi, pogardliwe lekceważenie, nawet bójkę – wszystko, byle nie ten głupi uśmiech i wilgotne, przyjemne spojrzenie. Bonner opowiadał o Knoxville w Tennessee, gdzie uzyskał kontrakt na budowę domów mieszkalnych przy jakichś zakładach przemysłu wojennego.

– Interes pierwsza klasa, Milt. Czyste złoto. No, i co ty na to, stary?

– Zuch z ciebie – rzucił cierpko Loftis.

Wtedy... O Boże! Pookie musiał TO powiedzieć...

– Jak się miewa Dolly, Milt?

– Dolly?... – Loftis zapragnął skurczyć się, zmaleć do wysokości trzech cali. – Chyba nieźle...

– Co to za kobietka! – gadał dalej Pookie. – Wiesz, co mi powiedziała, jak zrywaliśmy ostatecznie. Uważaj, Milt. Powiedziała: „Między nami nie ma uraz, tylko smutne wspomnienia”. A wiesz, co kiedyś napisała? Słuchaj! „Dokądkolwiek się udasz, będę ci towarzyszyć moje myśli, bo nim rozstaniemy się z tym światem, czeka nas obydwójce wiele mil drogi”. Wspaniałe, co?

– Aha – przyznał Loftis i pomyślał: „Dolly... Mama, obłudna dziwka!”

– Jestem tego samego zdania – podchwyciła Harriet z nieoczekiwanym zapalem. – To musi być cudowna dziewczyna. Jak pobierzemy się ze Sclaterem, nie będzie mowy o żadnych kwasach ani żalach. Wydaje mi się, że świadczyłyby one o mało postępowym stosunku do życia. Głęboko wierzę w *laissez-faire* – uśmiechnęła się przelotnie, blado.

– Liczę, że po naszym ślubie będziemy często widywali państwa... – Umilkła raptownie; na twarzy jej pozostał ów nikły uśmiech, ale blask oczu zniknął, jak gdyby rozsypały się lśniące paciorki. – To znaczy... naturalnie... jeżeli państwo się też pobiorą... – dodała z wahaniem i zakończyła wymuszonym uśmiechem: – To się nazywa *faux pas*, prawda?

– Istotnie – przyznał Loftis. – To się nazywa *faux pas*.

Jego uwaga przeszła niepostrzeżenie, przynajmniej dla Bonnera, który zabrał głos jeszcze raz:

– Słuchaj, Milt! Jak zobaczysz Dolly, przekaz jej w moim imieniu wiele serdeczności i... tak w ogóle. Możesz powiedzieć, że jeżeli o mnie chodzi, to nic się nie zmieniło – zrobił tępą, baranią minę, spuścił wzrok i palcami zaczął bębnić po obrusie. – Widzisz, Milt, co miesiąc, jak wysyłam czek Dolly, piszę kilka słów, żeby dać znać o sobie... Rozumiesz, Milt? Ale ona nigdy nie odpowiada.

– Sclater i ja wierzymy zgodnie – wtrąciła Harriet ściskając ramię Pookie'ego – że życiem rządzi w pokaźnym stopniu zbieg okoliczności i na to nie ma najczęściej rady. Czy mam słuszność, Sclaterze?

– Masz słuszność, kochanie – przyznał bezdźwięcznie Bonner.

Zdawać się mogło, że nagle opuściła go cała pogoda ducha. Był rumiany, na pызatych policzkach miał niebieskawe ślady po goleniu, a z wydatnego nosa wilgoć ściekała na górną wargę – jak zawsze. Loftis przypomniał to sobie i począł obserwować Pookie'ego ze współczuciem i zakłopotaniem. Głos odbierał mu zjadliwy żal do życia i samego siebie. Dlaczego właśnie tego dnia musiał spotkać jednego z niewielu ludzi, których obecność mogła tak go zbić z tropu? Czy to uplanowany zawczasu fragment koszmaru? Salka zawirowała mu w oczach, muzyka szafy grającej, której nie słyszał dotąd, skonała z przewlekłym westchnieniem. Nerwowo poruszył nogą i potraconą flaga konfederacji osunęła się niesławnie na podłogę. Schylił się, żeby ją podnieść, i litościwie pomyślał o Bonnerze: „Biedny Pookie. Poczciwy, sympatyczny Pookie z tym przymilnym pieskim uśmiechem i rozłożystym zadem. Co zrobił, biedak, żeby wpaść w swoją matnię? Co ja zrobiłem, żeby wpaść w moją?” Nagle uprzytomnił sobie, że nienawidzi Dolly, ale wrażenie minęło szybko i kiedy się prostował, usłyszał własny głos:

– Cieszę się, Pookie, że robisz grubą forszę.

Wzmianka o pieniądzach podziałała jak obietnica lodów na małe dziecko. Pookie podniósł wzrok, odzyskał dobry humor.

– Widzisz, Milt, w przyszłym tygodniu przenoszę się na dobre do Knoxville – podjął. – Później, w styczniu, przyjedzie tam Harriet i wtedy się pobierzemy. – Harriet ścisnęła znów jego ramię i zarumieniła się skromnie. – Złoty interes, Milt! Cała budowa będzie z prefabrykowanych elementów według specyfikacji wojskowych. Kapujesz? To obniży specjalny podatek dochodowy o... Chyba co najmniej o dwadzieścia procent.

– Te sprawy są tajne – wtrąciła Harriet; chciała skarcić łagodnie Bonnera, ale jej głos zadźwięczał nutą dumy.

– Ściśle tajne, nie wyłączając naszego ślubu.

– Nie tajne, złotko – obruszył się Pookie. – Oczywiście mówię o budowie. Nie tajne, ale poufne. Generał mówił tylko, że nic na ten temat nie powinno przeniknąć do gazet. A nasz ślub w każdym razie...

– W każdym razie – przerwał Loftis – miło mi słyszeć, że idzie ci tak... jakby to powiedzieć? Serdecznie państwu gratuluję.

Poważnie wyciągnął nad stołem obie ręce i ze złośliwą uciechą słuchał dźwięczących we własnym głosie, niemożliwych już do poskromienia, nieszczerych, ironicznych tonów. Chichotał wewnętrznie patrząc na tępy, niepewny wyraz twarzy Bonnera i Harriet. Byli wyraźnie zdziwieni. Uśmiechali się, ale nic nie mówili. Spoglądając na nich osądził, że Harriet nie jest skończoną pięknoscią: jeden jej ząb połyskiwał złotym obramowaniem.

Loftis rozprawiał dalej tonem, w którym nawet czteroletnie dziecko odkryłoby melodię fałszywej życzliwości. O Boże! Co on gada! Ni mniej, ni więcej, tylko tak:

– Ty, stary, zawsze umiałeś sobie radzić! Teraz bierzesz pierwszorzędną babkę, która cię pokochała dla samej miłości, nie dla twoich pieniędzy. Zupełnie jak Dolly. Przecież ona kocha cię jeszcze. Bóg mi świadkiem! I to jak. Nawet nie wyobrażasz sobie, Pookie! Dlatego właśnie ja mam z nią taki krzyż pański. Nie możemy się dogadać. Słowo honoru, Pookie, ona cię kocha mimo wszystko.

Tamci uśmiechali się nadal – łagodnie, jak gdyby trochę lękliwie. Obydwoje ujęli z wahaniem dłonie Loftisa, który poczuł, że mają ręce chłodne, wilgotne. Dziesięć palców dotykało niepewnie jego skóry, jak obłe, białe glisty.

– Słuchaj, człowieku! – ciągnął bezradnie Loftis.

– Czy ty nie widzisz, że masz wszystko, czego brak innym ludziom... nam, zwyczajnym, biednym pętałom? Masz pozycję, prawdziwą pozycję, stanowisko, powodzenie. Wszystko! Pookie! Masz dar budzenia miłości kobiet! Jak Boga kocham. Masz naprawdę cudowne dotknięcie i wszystko, czego dotkniesz, zmienia się w złoto. Zupełnie jak ten staruszek, król Midas. Słuchaj, Pookie... – nachylił się, mrugnął porozumiewawczo do Harriet i mocno ścisnął dłoń Bonnera. – Słuchaj, Pookie! Nie pozwalaj, żeby ktoś brał cię na fundusz. Niech ludzie nie mówią, że babki wydają się za ciebie dla pieniędzy. To łgarstwo. Wydają się za ciebie, bo jesteś... jakby to powiedzieć?... Bo jesteś piekielnie udany facet.

Zrobił pauzę, żeby się napić. Czuł wstręt do siebie, lecz również dziwne podniecenie.

Tamci opuścili ręce na blat stołu. Pookie nadal uśmiechnął się przymilnie, lecz Harriet zmrużyła oczy, zrobiła urażoną minę.

– Coś podobnego! – rzuciła.

Pookie też ocknie się rychło. Nawet Pookie! Loftis czekał cierpliwie, popijał. Biedacy! Głupcy! Gdyby wiedzieli, że siedząc tak, plotąc banały („On jest zupełnie pijany” – mówiła właśnie Harriet), krzyżują go, kaleczą, ranią prosto w serce, jak para dzieci, które igrają nożem. Mogliby mówić: „Zostaw go samego z jego winą”. Mogliby mówić: „Chodźmy już, Sclater. Chodźmy, moje złotko”.

– Milt, stary wariacie... – zaczął Pookie; oczy miał teraz małe, pociemniałe od nagłego gniewu; Loftis nie widział w nich dotychczas podobnego wyrazu. – Milt, stary wariacie, nie wiem, do czego, u licha, zmierzasz, ale radzę, daj spokój butelce...

Loftis załamał się nagle, niegodnie. Butelka spadła z jego kolan, rozbiła się na podłodze. Whisky zalała linoleum, a on patrzył przez moment na kałużę, aby wnet zwrócić wzrok w stronę Bonnera. On również gapił się na rozlaną whisky. „Mniejsza o to” – pomyślał przelotnie Loftis, bo przypomniał sobie zapasową flaszkę w kieszeni płaszcza. Mniejsza o whisky... Ale oni! Zwabili go w zasadzkę, torturowali – może z idiotyczną, dziecinną nienawiścią, lecz torturowali naprawdę. Teraz płacą za to.

Harriet pociągnęła Bonnera za rękaw.

– Chodźmy, kochanie – szepnęła.

Pookie drgnął, a Loftis spojrział mu w oczy i chwiejnie dźwignął się na nogi. „Biedny Pookie – myślał patrząc na krzywą, obrażoną minę Bonnera. – Biedny Pookie, prosta, naiwna duszyczka! Ach, Pookie! Błogosławieni cisi i nieoświeceni, błogosławieni skromni! Błogosławiony bądź, Pookie, bo chociaż baby żyją cię do czysta, jesteś człowiekiem prostego serca i odziedziczysz ziemię”. Nagle przypomniał sobie szpitalną werandę i czekającą tam Helenę. Wzdrygnął się nerwowo.

– Pookie – podjął – piekielnie udany facet z ciebie...
Właśnie... Piekielnie udany facet... Całe zmartwienie, że
jesteś... jesteś... taki...

Harriet wstała gwałtownie.

– Sclater! Powiedz mu kilka słów prawdy! – krzyknęła,
ale Pookie był jak zahipnotyzowany.

Loftis szeroko rozpostarł ręce gestem pokoju, przyjaźni,
wybaczenia i w tym momencie przypomniał sobie wśród
mgły pijaństwa swoją nie dopełnioną jeszcze misję. „Co ja
tu robię, u Boga Ojca? – pomyślał. – Peyton!”

– Całe zmartwienie, że jesteś... jesteś... Bodaj to diabli!

Odwrócił się, minął Harriet, minął oniemiałego Bonnera i
na oślep wyszedł z restauracji unosząc w ramionach flagę
konfederacji – niezaszczytne trofeum.

Loftis miał trzy sandwicze kupione na straganie przy wejściu na stadion, kawę w papierowym słoju, flaszkę whisky, zupełnie mu zbyteczny program, wypożyczoną poduszkę, pomarańczową kokardę przypiętą do kłapy płaszcza i ogromną flagę, którą włókł po żwirze przyciskając łokciem drzewce. Wszystko to przytłaczało go zupełnie, kiedy piął się po schodach. Słyszał dobiegające z trybun wrzaski, lecz nic nie widział, bo był jeszcze poniżej górnych rzędów. Ktoś szarpał go, wołał: „Bilet, proszę!” Młody chłopiec o bardzo rumianych policzkach i w nausznikach, chociaż nie było aż tak zimno. Zapytany o dotychczasowy wynik chłopiec odkrzyknął:

– Lejemy ich, proszę pana!

Loftis upuścił poduszkę i program, co stać się musiało, bo bilet tkwił gdzieś głęboko w kieszeni pogrzebany wśród starych kwitów, kolejowych rozkładów jazdy. Wrzaski dobiegły znów z trybun. Orkiestra rozpoczęła pieśń zwycięstwa – strasznie fałszywie. Confetti zawirowały wokół jak płatki śniegu. Rumiany chłopiec gdzieś się zawieruszył.

– Co? Już gol dla naszych? – wybełkotał Loftis pod niczym adresem. – A może kamy?

Niezręcznie zszedł po betonowych schodach i znalazł swoje miejsce – położone dogodnie, naprzeciwko studenckiej trybuny, gdzie spodziewał się wypatrzeć Peyton. Było ono pośrodku rzędu, więc musiał przeciskać się potracając ludzi poduszką. Istotnie szykował się kamy. Loftis usiadł wreszcie i zobaczył, że przed nim, za nim i po obydwu stronach wyrasta mur widzów i szarych płaszczy. Zdjął kapsel z flaszki, ułożył cały ekwipunek na wolnym miejscu Huberta MacPhaila i uprzytomnił sobie, że powinien również wstać, chociażby dla wygody. Dźwignął się i wykręcając szyję, zaczął obserwować studencką trybunę, szukać Peyton.

– Siadać, ojczulku! – usłyszał za sobą chłopięcy głos i obejrzał się, by stwierdzić, że tylko on stoi.

Na boisku była przerwa. Ktoś został sfaulowany. Cała publiczność siedziała – z wyjątkiem Loftisa. Kto go nazwał ojczulkiem? Usiadł ciężko, prawie na kolanach młodej kobiety o końskich zębach, nie mniej niż on pijanej. Objęła go za szyję i nazwała „Dugout Doug”⁹.

9 „Dugout Doug” („Dugout” – oficer w stanie spoczynku; „Doug” – skrót imienia Douglas) – przezwisko amerykańskiego generała Douglasa MacArthura (ur. 1880), który podczas ostatniej wojny został powołany ze stanu spoczynku i objął naczelne dowództwo na Dalekim Wschodzie.

– To mój małżonek, Arvin Lee Brockenborough–wrzeszczała kobieta pośród nieznośnego zgiełku, gdyż w dalszych rzędach ktoś dał w ogromną trąbę. – Cudaczne nazwisko, prawda? Arvinie Lee, przedstaw się Dugout Dougowi.

Mówiąc to dała sójkę w bok starszemu bosmanowi marynarki wojennej, który gapił się na boisko i wyraźnie nie zwracał uwagi na swoją żonę i Loftisa. Był barczysty, muskularny. Olbrzymimi łapami podpierał dolną szczękę, poruszającą się przy żuciu gumy.

– Dlaczego nazywa mnie pani Dugout Doug? – zapytał Loftis.

– Boś całkiem do niego podobny. A może i nie? To zależy.

– Jestem podobny do Mac...

– Kubek w kubek, skarbie. Daj no się napić... Hm... Tak serio, to chyba nie jesteś podobny...

Loftis odebrał kobiecie swoją butelkę i wykonał piękny salut flagą, którą trzymał w drugiej ręce:

– Niech żyje pani Brockenborough!

– Możesz mi mówić Frances.

– Dobrze, Frances.

Odpowiedziała uśmiechem, pokazując wielkie siekacze umazane pomadką do ust.

Napili się w podniosłym, przyjaznym nastroju. Loftis począł uważać sąsiadkę za bardzo mu potrzebną życzliwą duszę. Opowiedział jej wiele o swoich troskach podczas przerwy między połówkami meczu, kiedy przycichł cały rozgardiasz prócz sporadycznych ryków na studenckiej trybunie. Opodał pusta flaszka podskakiwała z rzędu do rzędu i wreszcie rozbiła się z brzękiem u ich stóp.

– Oo! – zawołała pani Brockenborough i mocno ścisnęła ramię Loftisa.

Później okryła mu kolana brzegiem własnego koca.

– Moja córka jest w szpitalu... O tam... – powiedział i wskazał ręką kierunek.

– Aha... Biedny Dugout... Bardzo z nią kiepsko?

– Skąd znowu... Nic poważnego... Inaczej byłbym tam, nie tutaj.

Frances pokazała znów zęby, wyrażając współczucie bez słów. Umilkli obydwójce.

Stadion kąpał się w szarym świetle. Wysoko na de nieba samolot wisiał prawie nieruchomo. Wokół boiska maszerowała orkiestra szkolna, wystrojona w pióropusze; nikt nie patrzył na nią ani nie słuchał. Po przeciwległej stronie trybuny były barwne dzięki proporcom i pledom – wyglądały jak ogromna i jaskrawa pikowana kołdra. Gdzieś daleko syrena zawyła i ucichła. Na linii autowej wynikło zamieszanie, nawet bójka na pięści, ale dwaj tędzy policjanci nadbiegli wymachując pałkami, więc kibice rozpięzchli się jak mali chłopcy przed wybuchem petardy. Ogólny nastrój był spokojny, nawet smętny, chociaż wynik zapowiadał się korzystnie: mecz nie miał z tym nic wspólnego. Zdawać się mogło, że zgromadzone na trybunach tysiące uległy naraz drętwocie, że między połówkami meczu widzowie siedzą znudzeni i przeważnie milczą, jak gdyby znajdowali się tu od początku czasów i mieli zostać na zawsze. Loftis podzielił się swoimi zapasami z Frances i jął żuć czerstwą kanapkę z serem. Arvin Lee poszedł po bułki z gorącymi parówkami.

– Kapujesz, Frances, jak fatalnie wyglądają moje sprawy – mówił Loftis, ocierając z ust okruszyny. – To straszny kram być tak diablo pod gazem, kiedy trzeźwość jest nakazem i hasłem chwili.

– Masz rację, Dugout. Jeżeli o mnie chodzi, to wszystko wygląda jak jeden straszny kram. Arvin Lee ma bzika na punkcie piłki nożnej. Grał kiedyś w reprezentacji szkoły imienia Tomasza Jeffersona. No i przywłókł mnie tutaj, żebym odmroziła zadek...

– To nie to, Frances... Ja uwielbiam piłkę nożną. Ale widzisz... No, kapujesz, co?

– Pewnie! Straszny kram... Straszny... Biedny Dugout... A żonę masz ładną?

– To najcudowniejsza kobieta pod słońcem... W ogóle cała rodzina... Moja córka...

– Wiem... wiem... Biedactwo... Bardzo chora...

– Nic podobnego. Czuje się doskonale... Jest tutaj... gdzieś na trybunach?

– Kto, kotku, jest na trybunach? Mówiłeś przecież...

– Moja córka, Peyton – przerwał Loftis.

Jak gdyby budził się z długotrwałego snu. Kąciki ust opuścił miękko, bezwładnie i w półmroku nowo narodzonej świadomości uprzytomnił sobie przede wszystkim, że mówi niewyraźnie. „Trzymaj się, trzymaj – pomyślał. – To najważniejsza sprawa: ta niewyraźna wy-mo-wa”. Spoglądając na graczy, którzy pędem wracali na boisko, na publiczność wstającą z miejsc, zwrócił się do Frances i wyrecytował nader starannie:

– Ja muszę znaleźć, moją maleńką. Bardzo kocham Peyton.

Nie dosłyszał odpowiedzi, bo znów wybuchły wrzaski i ogromna trąba ryknęła ogłuszająco. Frances mrugała, uśmiechała się i wykrzykując coś do Loftisa, pod kocem dotykała jego uda chłodnymi, szczupłymi palcami. Przebudzenie postępowało z wolna. Loftis spostrzegł, że ktoś zawładnął konfederacką flagę i wymachuje nią triumfalnie, zataczając w powietrzu szerokie kręgi. Jednocześnie sumienie wróciło z otchłani mroków i powiedziało mu prawdę: Oto siedzi tutaj unikając wszystkiego, nawet własną tożsamość kryje wśród obojętnych, obcych ludzi i tym samym popełnia zbrodnię nie do darowania. Nie jest to występki czynny ani bierny, lecz najobrzydliwsze połączenie obydwu: kompletna apatia, idiotyczny, kryminalny bezwład. Wyobraził sobie, że musi wstać w tej chwili, wytrzeźwieć, zdobyć się na prawdziwie męską energię, bo w przeciwnym razie jego śmiertelny grzech rozwinie się na wietrze jak chorągiew. Zebrane na trybunach tłumy zwrócą spojrzenia w jego stronę, orkiestra umilknie, gracze znieruchomieją i ponuro zaczną gapić się z boiska, nawet sprzedawcy napojów skamienieją w przejściach między rzędami. Wszyscy ucichną, zastygną i będą przyglądać się mu z niewymowną pogardą i wstrętem. Wszyscy! Nawet Frances. Ale Frances ścisnęła palcami jego udo i śmiała się jak szalona sięgając po butelkę whisky. Spojrzał na nią bez uśmiechu i delektując się ostatnimi chwilami bezwładności począł medytować mgliście o Peyton.

Zmarnował ostatnie godziny nie po to, żeby osłonić ją przed Heleną albo przed jakąś straszną katastrofą zagrażającą całej rodzinie. Zrobił to, aby czekać na pojawienie się ukochanej twarzy i dzięki długiej zwłoce pomnożyć radość spotkania. „Ale koniec z tym – myślał. – Aby stać się prawdziwym człowiekiem, muszę przestać być człowiekiem, jakim jestem. Ha! To zdanie mojego ojca! Peyton, maleńka, obydwójce będziemy jutro starsi, więc razem winniśmy stawić czoło...”

Podał butelkę Frances, wstał bardzo chwiejnie i złożył głęboki ukłon.

– Dla ciebie – przemówił głośno – słońce, księżyc, gwiazdy i ta cenna flaszka racjonowanego trunku.

– Dziękuję, Dugout – odpowiedziała.

– Żegnaj.

– Ale wróć jeszcze, Dugout!

– Wrócę – odrzekł przeciskając się przed Frances; zasalutował jej mężowi. – Odmeldowuję się, szefie!

– Odmaszerować, Dugout – rzucił szorstko Arvin Lee.

Do końca meczu Loftis szukał Peyton. Potykał się wędrując w dół i w górę po stopniach trybuny dla studentów. Pytał wszystkich, czy znają Peyton Loftis. Ci wskazywali jeden kierunek, tamci inny, a on stosował się do wszystkich rad i próbował nie potrącać nikogo. Raz oznajmił jakiejś wystraszonej dziewczynie i jej kawalerowi w okularach w rogowej oprawie:

– Muszę ją znaleźć, nim Maudie umrze.

Mówiąc to miał łzy w niebieskich oczach, ale zaraz odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Pomyłony – dosłyszał głos dziewczyny, zagłuszony potężnym rykiem tłumu, kiedy po długim (zdawało się nieskończenie długim) strzale piłka dotknęła ziemi za linią autową.

Kupił bułkę z gorącą parówką i „eskimoski” pasztecik. Przy sposobności aż trzy razy odmówił podawanej mu przez kogoś blaszanej manierki. Dwukrotnie stawał na baczność, gdy orkiestra grała *Gaudeamus*, lecz nie miał już pojęcia o wyniku spotkania ani dbał o to. Pochłaniała go bez reszty własna szalona rozpacz. Wreszcie, już po zakończeniu meczu, spostrzegł córkę daleko w dole, na boisku w licznej grupie dziewcząt i chłopców.

– Peyton! Peyton! – zaczął krzyżeć na całe gardło i popychany przez tłum coraz wyżej i wyżej, zgubił gdzieś szalik.

Na trybunie Frances siedziała nadal, otaczała ramieniem szyję kogoś innego. Loftis odwrócił się, aby znów nawoływać córkę, ale boisko wydało mu się bardzo odległe, no i Peyton już tam nie było. Zaręczona! Utracił ją... Utracił także swoją flagę, poduszkę, program, szalik. Za to przy wejściu ktoś wręczył mu czerwony balonik.

Wirginia poniosła klęskę, lecz nikt się tym nie przejmował. Młodzież maszerowała do swoich klubów parami, trójkami, pijackimi czwórkami. Samochody sunęły wśród posepnego zmierzchu. Jedni śpiewali, inni pili w dalszym ciągu, a tych, co padli po drodze, nie porzucano na pastwę śmierci; dwaj przyjaciele podnosili ich i wlekli między sobą iście po bratersku. W klubach, gdzie czarna służba rozpałała sute ognie, chłopcy rozprawiali donośnie o przebiegu meczu, a dziewczęta, zaróżowione, trochę zmęczone, grzały ręce nad płomieniami i pociągały nosem, bo ta i owa zdążyła się przeziębic. Dochodziła piąta – szara godzina. W klubie uniwersyteckim wysoki, chudy młodzieniec, który cały mecz przespał kamiennym snem, a obecnie zszedł po schodach zupełnie nago, by zapytać, kiedy zacznie się kopanie piłki, umknął na górę wśród rozdzierających wrzasków, usiłując daremnie okryć się portierą. Nim noc zapadła, bliźniaczki Boynton, córki bogatego metodysty, plantatora tytoniu z Chatham, zasnęły na krzesłach cicho i jednocześnie; zaniecono je na piętro i umieszczono w łózkach, dziwiąc się, że siostrzaną miłość posunęły aż tak daleko. O pół do szóstej bar został ponownie otwarty, chłopcy zaczęli ścisnąć swoje towarzyszkę śmieiej i dłuzej, wzmógł się gwar śmiechów i podniesionych głosów, a wszystkie twarze rozgorzały wspaniale dzięki bekowi saksofonów, whisky i szczapom płonącym na kominku.

Peyton siedziała przy bufecie założywszy nogę na nogę. Piła whisky z wodą sodową.

– Dick, mój chłopcze – powiedziała głaszcząc swojego kawalera po głowie.

– W czym rzecz, skarbie?

– Czuję się jak skończona dekadentka.

– Dlaczego, kochanie?

– Bo nic mnie tu nie bawi.

Dick dotknął jej włosów palcami.

– Najdroższa, jesteś piękna. Wyglądasz jak milion dolarów.

Stłumiła ziewnięcie, aż łzy napłynęły jej do oczu.

– Właśnie! Pieniądze – obruszyła się. – Nic więcej cię nie obchodzi.

– Oj, przestań mi dokuczać – westchnął.

Do baru weszły dwie nowe pary pełne radości życia i whisky. Nastąpiło ogólne ściskanie rąk i toasty, a krępy chłopiec z Georgii, niejaki Ballard, pocałował Peyton w policzek.

– Dziękuję, Aleksandrze – powiedziała.

Chłopiec zaczął opowiadać długą i zagmatwaną historię, z której wynikało, że jego dziadzio walczył pod rozkazami Mosby'ego, jeżeli więc znajdzie się w pobliżu jakiś Jankes, on da mu szkołę, poćwiartuje żywcem drania.

– Kocham cię, luby – wycodziła jedna z dziewcząt, a Ballard porwał ją w objęcia i szukając uznania zaczął rozglądać się dokoła przez ramię wielbicielki.

– Nie bądź takim szowinistą – powiedziała Peyton surowym tonem, lecz z uśmiechem na ustach.

Dick wyciągnął ją z baru. Zaczęli tańczyć przy dźwiękach orkiestry grającej *Gwiezdny pył*.

– Chciałabym stąd uciec – szepnęła z roztargnieniem.

– Dokąd, skarbie?

– Nie wiem. Byle gdzie. Tu wszyscy są obrzydliwi.

– Aha. Banda półgłówków.

– Nie. Wspaniali chłopcy! Ale dziś zaczęli trochę za wcześnie.

– Właśnie.

– Sama lubię wypić, ale...

– Ale co?

– Nic.

– Kochanie. Możemy zaraz pojechać na farmę.

– Eee...

– Co znaczy to „eee”?

– Widzisz, Dick...

– Nie masz ochoty pojechać na farmę ze swoim Dickiem?

Peyton odsunęła się nieco, spojrzała chłopcu w oczy.

– Mam ochotę, kochany. Naturalnie. Ale chodzi o to... Już ci przecież mówiłam. Przepadam za takimi starymi domami i twoja rodzina bardzo mi się podoba... Wszystko podoba mi się na farmie, ale... – urwała, jak gdyby chciała zebrać myśli. – Słuchaj, Dick! Nie wypada tam jechać, kiedy twoich rodziców nie ma. A zresztą...

– Co zresztą?

– Nic. Po prostu uważam, że nie wypada.

– Zawracanie głowy! Ile dzisiaj wypijaś? Powiedz. Dotychczas miałem cię za intelektualistkę ze Sweet Briar, osobę o nowoczesnych poglądach.

– Nie bądź osłem – skarciła go łagodnie. – Gdybym wypija za dużo, propozycja wyszłaby ode mnie.

– Kochasz swojego Dicka?

– Aha.

Znieruchomieli na chwilę, ich usta niemal się zetknęły. Nagle wybuchły ochryplę, grubiańskie śmiechy, bo wyprowadzano właśnie z sali nieładną dziewczynę o bladej twarzy i bujnym biuście, która szlochając skarżyła się na jakieś zniewagi i tak zwanych dżentelmenów z Wirginii. Prawie tego nie spostrzegli.

– Kochasz swojego Dicka? – powtórzył chłopiec natarczywie.

Peyton szeroko otworzyła oczy pełne zdziwienia i przestachu.

– Tatus! – zawołała. – Okrwawiony! Ranny!

Loftis zagubił się – opuścił stadion po to jedynie, by błędzić beznadziejnie po obskurnych, nie brukowanych bocznych ulicach, których nie pamiętał, chociaż powinien pamiętać, po kilku latach spędzonych w Charlottesville. Nabierał przekonania, że wszystko jest snem, nieprawdopodobnym złudzeniem. Wszystko! Poszukiwanie Peyton, jego strach i udręka. Otrzeźwiało trochę dzięki wysiłkowi woli tak potężnemu i niecodziennemu, że aż przejmował lękiem. Brnął przez chłodny, szary zmierzch, pod znieruchomiałymi w kwietniowym powietrzu drzewami, i słuchając coraz to dalszego pobrzękiwania dzwonek i ryku klaksonów samochodowych uświadamiał sobie, że postępuje w kierunku niewłaściwym – odchodzi od Peyton, od Heleny i Maudie, szpitala i swoich ogromnych obowiązków. Nasłuchiwał również jakichś słów krążących w powietrzu i wiedział, że to on mamrocze do siebie: „Chcę być mocny, chcę być mocny...” Brzmiało to jak refren przy wtórze szurania nóg wśród butwiejących liści i pulsowania krwi, która tętniła w mózgu rytmem nie przerażenia, lecz tchórzostwa. Własne tchórzostwo zaskoczyło go niespodziewanie, przejęło wstrętem. Powtarzając wciąż: „Chcę być mocny, chcę być mocny...”, zawrócił raptownie, jak gdyby na sygnał trąbki, aby ruszyć przez zmierzch w kierunku wzgórz i klubu uniwersyteckiego. Niepewnie, pracowicie szedł przed siebie pokrytą koleinami drogą. Spacer do tej pory zajął mu około pół godziny. Zapewne

było to korzystne, gdyż trzeźwiał coraz bardziej; w każdym razie odzyskiwał jaką taką równowagę ducha, jeżeli nie ciała. Znajdował się w dzielnicy murzyńskiej – Niggertown. Było już prawie ciemno. Powietrze przesyciły rozmaite obce zapachy, rozbrzmiewał chór naszczekiwań. Od czasu do czasu drzwi domków otwierały się z trzaskiem i na progu stawały ciemne sylwetki, by krzyknąć: „Cicho, Tige!” albo „Cicho, Bo!” Murzyni dobrze zdawali sobie sprawę, że ich psy wietrzą białego człowieka. Loftis nie czuł się już zagubiony bez ratunku. Był spokojny, nawet energiczny, po raz pierwszy tego dnia. Zupełnie przytomny. Niepokojem przejmował go nadal stan Maudie i, prawdę rzekłszy, losy całej rodziny, ale wybaczał sobie długą utratę świadomości. Miał osobliwe sny i wokół działy się zdumiewające rzeczy...

„Boże, jeżeli jesteś, rozgrzesz szalonego syna...”

– W tym momencie spadł z drogi do przepustu.

Rozbity, ogłuszony, zobaczył galaktyki roztańczonych gwiazd na niebie szarym od chmur. Krew ciekła mu ze skroni. Zdawał sobie sprawę, że leży na mokrym betonie i czuje zapach zielska. Obmacując się w poszukiwaniu złamanych kości, spojrział ostrożnie w górę. Był parę stóp od drogi, lecz kiedy i dlaczego się tam znalazł, nie umiałby powiedzieć. Niżej szumiała woda, cuchnęło zielskiem i ściekiem. Z trudnością dźwignął się chwytając dla równowagi wilgotną oślizłą rurę. Przycisnął chustkę do świeżej rany i jęknął głośno:

– Boże! O Boże!

Dygotał cały, kiedy zobaczył czarną twarz pochyloną nad kanałem.

– Co się stało, człowieku? – zapytał Murzyn.

– Spadłem tutaj.

– No to hop!

Silne ramiona dały Loftisowi oparcie, dźwignęły go w górę. Ratownik okazał się młodym, barczystym Murzynem o brzydkiej płaskiej twarzy z bliznami, które w gęstniejącym mroku sprawiały wrażenie różowych, zupełnie świeżych.

– Aha – powiedział. – Pewno się pan poślizgnął.

Loftis stanął nad brzegiem przepustu, wyprostował się, otarł krew z czoła.

– Bardzo boli?

– Nie. Dziękuję za pomoc.

Murzyn pomógł mu usiąść na jakiejś kłodzie.

– Trzeba zrobić kataplazm – doradził. – Niech pan weźmie trochę popiołu z fajki, whisky i doda smalcu, żeby nie dopuszczać powietrza.

– Dobrze. Zrobię kataplazm.

– Jak pan się czuje? Może odprowadzić pana do Main Street.

– Nie, dziękuję. Sam trafię.

– Na pewno?

– O tak. Bardzo dziękuję.

Ściemniło się zupełnie. Murzyn odszedł. Loftis czuł, że krew zaczyna krzepnąć na jego włosach. Rozejrzał się dokoła. Tu i ówdzie okna błyskały pomarańczowym odblaskiem ognia. Jakieś postacie snuły się niby cienie. Było coraz zimniej. Podniósł się z wysiłkiem i spostrzegł, że jakiś kundel obwąchuje mu obcasy; kopnął go niezręcznie i na zawsze znenawidził wszystkie psy. Był przekonany, że poniósł zasłużoną karę i podświadomie, szczęśliwie zdołał trafić do klubu uniwersyteckiego, zajęty jedynie myślą, by się na śmierć nie wykrwawić. Tam wrócił jakoś do życia, kiedy poczuł w dłoni chłodną rękę poznanego w południe chłopca i usłyszał nosowy głos:

– A, jest pan. Dobry wieczór, kolego Loftis.

Ogarnęło go rozkoszne ciepło. Zobaczył Peyton.

– Tatusiu, co się stało? Skaleczyłeś się? Tatusiu!

Muzyka umilkła, wszyscy zaczęli gapić się na rannego.

Peyton ujęła go pod rękę i przy pomocy Dicka Cartwrighta zaprowadziła na piętro, do pokoju gościnnego. Widocznie zasnął tam, gdyż po pewnym czasie zorientował się, że głowę ma obandażowaną i wygodnie leży na łóżku. Kiedy odzyskał świadomość, dobiegł go głos Peyton, która gdzieś daleko i wysoko mówiła, że jest okropny. Zwrócił wzrok ku górze i zobaczył, że córka siedzi obok niego na łóżku. Byli sami w pokoju.

– Tatusiu! Skąd się tu wzięłeś, na miłość boską? Dlaczego tak brzydko pachniesz?

– Ja... Widzisz... Już mi znacznie lepiej.

– Bardzo boli?

– Nie bardzo... – uśmiechnął się, sięgnął po rękę Peyton.

– Rana wyglądała niegroźnie. Może jednak poszedłbyś do szpitala? Niech cię lekarz zbada. Powiedz, staruszk, skąd, u Boga Ojca, wzięłeś się w Charlottesville? Co tutaj robisz?

– Już prawie wytrzeźwiałem...

– Nie o to chodzi... – przerwała Peyton. – Słuchaj, staruszk...

– Widzisz... Ja... A niech to diabli!

– Kochany, dlaczego nie napisałeś do mnie. Gdybym wiedziała, zabralibyśmy cię z Dickiem na mecz i... Mój Boże! Co się stało, tatusiu? Biłeś się z kimś?

Loftis dźwignął się na łokciu.

– Nie, maleńka... Skąd znowu... Po prostu upadłem... Słuchaj, córeczko! – podjął żywiej. – Nie bardzo wiem, jak ci powiezieć... Coś stało się dzisiaj... Rozumiesz?... Sam nie wiem, co... Chciałbym...

– Zmiłuj się, staruszkule! O czym próbujesz mówić? Myślałam, że jesteś trzeźwiejszy.

– Bo jestem. Słuchaj, maleńka. Zaraz wszystko wytłumaczę. Przede wszystkim Maudie... Rozumiesz? Jest tutaj w szpitalu. Nie wiedziałaś, co?

– Maudie? Tutaj? – Peyton pobladła. – Co jej się stało, tatusiu?

– Chwileczkę, maleńka, chwileczkę... Zaraz ci wszystko powiem.

Umilkł na moment, westchnął, dotknął palcami bandaży. Peyton wyrwała rękę z jego dłoni. Wreszcie powiedział wszystko: o Maudie, pozostawieniu Heleny, południowej zabawie w klubie, o Pookim, meczu piłki nożnej, Frances, katastrofie w przepuście i pijaństwie, pijaństwie, pijaństwie... Powiedział również o towarzyszącej temu wszystkiemu tęsknocie, szaleńczej tęsknocie do niej i tylko do niej... Czy Peyton tego nie rozumie?... Wciąż umykała mu wytrwale, bezwstydnie, bezsilnie, chociaż (uśmiechnął się w tym miejscu) najzupełniej nieświadomie. Znowu chwycił córkę za ręce, ścisnął je mocno i począł dopytywać uśmiechając się blado, czy Peyton nie zdaje sobie sprawy, jaką straszliwą męką był taki całodzienny pościg za czymś, co ostatecznie wydawało się nieosiągalne – nieosiągalne jak piękna, dojrzała marchewka uwiązana do kija przed nosem osła? Ale znalazł ją na koniec. Ma obok siebie. Jest szczęśliwy. Wraz z tym radosnym kłamstwem wrócił dawny przestrah, lecz Loftis uśmiechał się nadal, a nawet potrafił zmusić się do powiedzenia, jak jest zadowolony, że Peyton została narzeczoną takiego udanego chłopca i że jej przyszłość zapowiada się różowo – naprawdę świetnie.

– Tatusiu, co się stało z Maudie? – podjęła Peyton.

– Dlaczego zostawiłeś mamę? Mogłeś przecież zatelefonować tu zamiast przychodzić. Na miłość boską, staruszkule...

– Naturalnie... Mogłem zatelefonować... Ale widzisz, córeczko...

Nie przewidział podobnego obrotu sprawy: wątpliwości Peyton, wyrazu łagodnej przygany w jej spojrzeniu i tonie głosu. Spodziewał się zobaczyć radosną, tryskającą życiem dziewczynę – jak ostatniego lata, kiedy odwiedził ją w Waszyngtonie. Bywali wtedy we dwoje w restauracjach, na koncertach nad rzeką, jeździli jego samochodem, niezwykle sobie bliscy, idealnie szczęśliwi. Tak przedstawiała się sytuacja w trakcie ostatniego spotkania. A dziś Peyton ma twarz skupioną, chłodną, niezadowoloną. Uczciwie wyspowiadał się przed nią, powiedział wszystko. I co skąd wynikło? Mówiąc o Pookim zrobił nawet pośrednią aluzję do Dolly, poruszył więc w rozmowie temat bardzo drażliwy, tylko dla dorosłych. Zorientował się jednak, że Peyton przestała słuchać. Zająknął się, począł przeżuwać słowa leniwie, sennie, jak stara krowa.

– Staruszk, co się stało Maudie? Musimy zaraz pójść do szpitala. Dlaczego zostawiłaś tam mamę?

– Małeńka...

– Nie chodzi mi o nią. Mama mało mnie interesuje. Musimy pójść do szpitala ze względu na Maudie. Co ci strzeliło do głowy, żeby uciec stamtąd i zalać się tak dokładnie? Wybrać się na mecz piłki nożnej, kiedy... kiedy... Ach, staruszkule! Okropny z ciebie człowiek. Okropny! – Peyton wstała, zaczęła spacerować tam i z powrotem, nerwowo poprawiać włosy. – Cała nasza rodzina jest do niczego, kompletnie do niczego! – Odwróciła się, z jej oczu płynęły łzy, ale nie była zrozpaczona, tylko zła, rozgoryczona, pełna pretensji. – Ach, tatusiu! Że też raz w życiu nie potrafiłeś być trzeźwy!

– Małeńka...

– Mama nic mnie nie obchodzi...

– Nie mów, córeczko, takich...

– Chcę i będę mówić! Mama nic mnie nie obchodzi. Nie kocham jej. Nigdy nie kochałam. Ale myślałam, że przynajmniej ty masz trochę... Ach, staruszkule! – podbiegła do ojca, zarzuciła mu rękę na szyję. – Przepraszam! Bardzo mi przykro, tatusiu. Nie powinnam mówić takich bredni. Kocham cię. Wiem, że jesteś wspaniałym człowiekiem – pociągnęła nosem i cofnąwszy się śpiesznie, otarła oczy. – No, wstań teraz – podjęła. – Musimy pójść do szpitala, zobaczyć Maudie.

– Dobrze, córeczko, dobrze...

Drętwo wstał z łóżka. Z nią gotów był pójść wszędzie: do Abadanu, do czyścica, na dno morza. Peyton wyszła z pokoju, by upредить Dicka, że wkrótce wróci. Loftis był jeszcze oszołomiony. Na dole mijał nieco chwiejnie szereg seniorów z wiosłami, a jego bandaż budził panikę wśród rozchichotanych dziewcząt. Peyton stała w drzwiach, wołała, żeby się pośpieszył. Nie bez kłopotu zastosował się do tego życzenia; po drodze ktoś ofiarował mu braterski uścisk i nalał whisky do rękawa. Na dworze powietrze było chłodne, rzeźwe. Loftis nie wątpił, że szybko wytrzeźwieje. Do licha, niech się co chce dzieje! Odnalazł wreszcie ukochane dziecko. To chyba wystarczy?

Twarzą w twarz z Heleną siedzieli na niewygodnych krzesłach. Oszklona weranda nie korzystała z przywileju łagodnego światła. Dwie żarówki o przepalonych abażurach rzucały natrętne białe blaski. Z niezawodnie wadliwym wyliczeniem umieszczono je za wysoko, więc na werandzie nie było kojących cieni – jak w poczekalniach sądowych czy na stacjach autobusów, albo w innych miejscach niemiłych i tymczasowych, przystosowanych do oczekiwania i nudy. W korytarzu pielęgniarki poruszały się hałaśliwie, sprzątając tace po kolacji. Loftis, Helena i Peyton palili papierosy. Niebieskawe pasma i kłęby dymu snuły się w powietrzu. Helena zajęła najlepsze miejsce obok drzwi i zaanektowała jedyną popielniczkę, więc sąsiedztwo pozostałych krzeseł zostało wkrótce usłane niedopałkami. Niektóre z nich były czerwone od pomadki do ust Peyton.

– Miłość – powiedziała Helena tonem spokojnej pogardy i zaraz powtórzyła głośniejszym, dobitniejszym głosem: – Miłość!

Umilkła po ostatnim słowie, wyzywająco spojrzała na męża i córkę, ci jednak nie zwrócili wzroku w jej kierunku.

– Miłość! – podjęła wyniośle. – Żadne z was nie dowie się nigdy, co to znaczy.

Raptownie usiadła na brzegu ławki – czujna, pełna napięcia, wyprostowana.

– Nie oczekiwanie mnie boli – ciągnęła nieco łagodniej.
– Zniosłabym je jakoś. Czekalam całe życie na coś, co się wydarzy, co mogło nadejść i nie nadeszło nigdy; na jedno jedyne słowo, które powiedziałyby mi wreszcie, że tortury nie poszły na marne, że moje popołudnia oczekiwania, milczenia, męki nie wpłyną przecież na wieczność. Jedno jedyne słowo i zostałabym ocalona, słowo, które sama mogłam wymówić równie dobrze jak ty, Miltonie. Wszystko jedno, jeżeli zrozumielibyśmy je obydwoje. Słowo „miłość” lub „przebacz”, lub „kochanie” – mniejsza o to jakie. Jedno jedyne słowo! Ach, gdybyś potrafił zrozumieć to moje oczekiwanie, każde inne wydałoby ci się minutą. Ale ty nie wiesz, co znaczy miłość, nie wiesz także, co znaczy oczekiwanie.

Cóż, umiałabym czekać całe popołudnie. Zniosłabym to. Chodzi o zupełnie inną sprawę. Całe popołudnie siedziałam tutaj, patrzyłam na wzgórze. Ty nie wracałeś, nikt nie przychodził, ale nie wyobrażaj sobie, że cierpiałam. Ja potrafię czekać. Nikt nie przychodził... Aha! Pojawił się doktor: dobry, miły człowiek. Powiedział, że to gruźlica rozsiana. Z początku myślałam, że chce dotrzymać mi towarzystwa, bo wzruszyła go moja samotność. Ale doktor miał coś innego na celu. Ostatecznie wykrztusił, że prawdopodobnie Maudie nie wyjdzie z tego, ma jeszcze dwa, trzy dni życia, może trochę więcej; nie należy jednak rozpaczać, bo nadzieję można mieć zawsze. Dodało mi to trochę siły. Siedziałam tutaj, patrzyłam, jak zmrok zapada. Dzień był ponury, szary. Wciąż powtarzałam sobie: bądź mocna. Powtarzałam te dwa słowa i myślałam, że wy nie wiecie, co to znaczy miłość, lecz Maudie wie. Chciecie, moi kochani, posłuchać o niej?

Helena umilkła na moment. Baczny wzrokiem zmierzyła męża i córkę. Spojrzeli na nią z wyrazem współczucia, bolesnej wyrozumiałości, lecz nie bez niepokoju, nie bez poczucia winy. Jak gdyby chcieli dodać sobie odwagi, ujęli się za ręce, świadomi tylko oskarżycielskiej chwili ciszy i zdradliwego szpitalnego zaduchu, który zalegał kąty przypominając uparcie o chorobach i śmierci. Loftis zmarszczył czoło. Bandaż zsunął mu się na oczy. Chcąc go poprawić, nieśmiało podniósł rozdygotaną rękę. Drzwi minął czarny posługacz, który popychał przed sobą wózek załadowany łyżkami. Gdzieś daleko woda kapła z kranu równomiernie, nieustannie. Helena zmieniła pozę na ławce, lecz nie spuściła wzroku. Nieświadomie dotknęła nosa dziwnym, jak gdyby łobuzerskim gestem. Poruszyła się znowu, wyciągnęła rękę w kierunku tamtych dwojga. Później ręka jej opadła, oczy przybrały łagodniejszy wyraz. Zaczęła mówić stłumionym, narratorskim tonem:

– Słuchajcie... Dobrze pamiętam moje popołudnia. Słuchajcie...

Latem siadywała z Maudie na ganku. Patrzyła na okręty, chmury, szerszenie, które brzęczały wśród pnączy róż, przelatywały z blasku w cień. Robiła na drutach lub czytała, opodal Maudie przeglądała książeczki z obrazkami. Od zatoki bryza niosła chmury. Sunęły nad plażą – śmiertelnie białe na krańcach, we wnętrzu brzemienne deszczem niby jakąś ciemną substancją. Sunęły bardzo nisko i bezszelestnie zginały szczyty wierzb, rzucając na trawnik olbrzymie ruchome cienie. Wiatr swawolił z włosami Maudie, kartkami książek, z włosami Heleny. Później przycichał i kartki przestawały trzepotać, na trawnik wracało słońce i mdły zapach rozgrzanej murawy. Matka i córka piły herbatę z lodem, podawaną przez Ellę. Słuchały trzaśnięcia drzwi kuchennych, szurania nóg Murzynki po żwirze, później dudnienia na podłodze ganku i kroki cichły za ich plecami. Ella nachylała się, głaskała Maudie po ramieniu, wsuwając szklankę w jej palce mówiła coś miłego i odchodziła. Zostawały znów same.

Niekiedy nadlatywały mewy i Maudie pokazywała je wznosząc ręce. Czasami Helena mówiła o okrętach wojennych i frachtowcach, które stały daleko na redzie i przy zmianie wiatru odwracały się dziobami w stronę domu. Były wtedy bardzo cienkie, prawie niewidoczne na tle widnokregu. Łodzie żaglowe manewrowały pod wiatr; chwilami nie było widać ich kadłubów, tylko żagle, jak strzępy płótna utrzymywane na falach przez coś niedostrzegalnego.

Helena opowiadała Maudie o Pocahontas i kapitanie Johnie Smith¹⁰. Zajmowała infantylny umysł dziejami osób zmarłych tak dawno, że jak gdyby nigdy nie istniały. Maudie dopytywała się, czy oni są jeszcze tutaj, czy żyją? Helena odpowiadała twierdząco, bo uważała tamtych za przyjaciół, a przyjaciele są nieśmiertelni i będą żyć na wieki w cichych sercach. Mówiła córce o statkach, co przed laty przepływały obok ich domu, o indiańskiej puszczy i poganinie, który uchronił przed ofiarą chrześcijańską duszę.

– Był bardzo dobry – wołała Maudie. – Mamusieczko, gdzie są teraz ci ludzie?

10 Pocahontas (ok. 1595-1617) – córka wodza plemienia indiańskiego Powhatan, znana głównie dzięki *The Generall Historie of Virgittie Johna Smitha* (wyd. 1624). Postać wielokrotnie wykorzystana w literaturze. Trzymana jako zakładniczka w Jamestown przyjęła chrześcijaństwo i wyszła za Jamesa Rolfe, z którym wróciła do Anglii, gdzie wkrótce zmarła.

– Daleko, kochanie. Ale zamknij oczy i pomyśl o nich. Wtedy z pewnością wrócą.

Zaciskały powieki, myślały. Później matka ścisnęła dłoń córki i obie spoglądały w stronę zatoki. Nawet Helenie zdawało się, że wszystko uległo zmianie, a Maudie mówiła:

– Tak, mamusieczko. Teraz ich widzę.

Miały wrażenie, że pod skłębionymi chmurami morze pożarło wszystkie okręty, statki, falochrony, żagle. Nadbrzeżne miasta zniknęły, puszcza sięgnęła plaży, na ławicach piasku wyrosły smagane wichurą drzewa. Nie było nawet domu. Z miejsca, gdzie niegdyś znajdował się taras, patrzyły na ocean przez gęstwinę sitowia, wśród której owady roiły się z brzękiem.

Dokoła panowała martwa cisza. Kuchenne odgłosy, stukot młotków z budowy baraków, pobrzękiwanie szerszeni, wszystko umilkło, zamarło. Siedziały same w gęstwinie sitowia, wstrzymując oddech oczekiwały czegoś. Słońce świeciło nieustannie, jak gdyby jego blask przybywał z innej krainy.

– Patrz, Maudie. To oni.

Widziały ich; widziały dwa okręty – galeony o wielkich różowych żaglach.

– Słuchaj, Maudie.

Słuchały i łowiły uchem dobiegające z góry skrzeczenie tysięcy mew – jak tony piszczałek.

– Widzisz ich, Maudie? – pytała Helena.

– Tak, mamusieczko.

Patrzą przez gęstwinę sitowia i widzą, jak żagle – bliźniacze, różowe płomienie na tle nieba – opadają i wydymają się znowu, by pomknąć w stronę rzeki. Nie ma dokoła miast, nie ma dymów, głosów, tylko te rozpędzone galeony, szum morza i rozwinięte żagle, żagle, które zniknęły. Zamykają znów oczy. Helena ściska palce córki. Później podnoszą wzrok.

– Tak, mamusieczko – mówiła Maudie.

Wszystko wygląda, jak wyglądało zawsze. Matka i córka idą spać.

Robotnicy budowali baraki na sąsiednim placu. Przez całe lato i jesień dobiegały stamtąd różne hałasy – najczęściej postukiwanie młotków. Z początku było widać budowę, później mimozy rozkwitły i przesłoniły widok. W pierwszych tygodniach robotnicy nie mieli wody, więc Helena poleciła Elli, by zanosila im wiadro każdego popołudnia. Byli to ludzie prości. Mówili głośno, wyrażali się ordynarnie. Mieli ogorzałe twarze i buty oblepione błotem. Popołudniami przekleństwa dobiegały zza ogrodzenia, więc Maudie pytała, co ci panowie mówią?

– Nic, nic, kochanie – odpowiadała Helena. – To słowa nie dla ciebie.

A więc matka i córka siadywały na ganku: patrzyły i słuchały. O trzeciej Ella wychodziła z wiadrem. Kuśtykała przez trawnik, rozchlapując wodę. Jedną ręką spędzała muchy z włosów. Pod mimozami robotnicy, stłoczeni jako stado krów, opierali się o parkan. Dla każdego z nich Ella miała papierowy kubek. Wracała z próżnym wiadrem, kiedy ich napoiła.

Pewnego dnia Maudie zapytała:

– Mamusieczko, czy ja też mogę zanościć wodę?

– Oczywiście, kochanie, możesz pójść z Ellą. Tylko bądź bardzo grzeczna.

Lato mijało. Liście zaczynały opadać. Mimozy zakwitły pięknie. Szerszenie brzęczały nadal wśród kwiatów. Każdego popołudnia Helena spoglądała śladem dwóch postaci wędrujących powoli trawnikiem: Ella dźwigała wiadro; Maudie niosła papierowe kubki. Obie kulały, co zdaniem Heleny przedstawiało szczególnie widok. Wkrótce znikły za drzewami, więc Helena odwracała wzrok, aby zająć się znowu lekturą czy robotą na drutach. Myślała, jak osobliwe rzeczy bawią i cieszą Maudie.

Na moment przerwała swoją opowieść.

– Ach, gdybyście wiedzieli – wtrąciła – gdyby które z was mogło zrozumieć, jakie błahe drobiazgi...

Głos jej się załamał. Peyton i Loftis milczeli. Pośród ciszy Helena spojrzała w stronę okna. Zapatrzyła się w ciemność, w blask słońca zachowany w pamięci, w dawno opadłe liście, a może w coś innego? Nie wiedzieli tego. Na jej ustach pojawił się i zniknął uśmiech. Zwróciła się znów do męża i córki.

Zacząła opowiadać o robotniku, który nazywał się Bennie, a w każdym razie Maudie tak o nim mówiła. Helena widziała go tylko raz. Czasami Maudie i Ella odchodziły na długo. Wtedy wyglądając ich powrotu siedziała na ganku, patrzyła, nasłuchiwała. Znikały na mniej więcej pół godziny. Helena niepokoiła się trochę, irytowała, bo z kuchni dobywały się aromatyczne opary. Wreszcie wstawiała i ścieżką przez trawnik szła do ogródka. Mimozy kwitły bujnie, więc schylała się, aby z grządek podnosić opadłe liście.

– Ella, Ella! – wołała zrazu cicho, następnie głośniej.

– Ella! Przyprowadziłabyś lepiej Maudie. Nie powinna stać długo.

Nagle usłyszała męski śmiech oraz głosy Elli i córki.

– Do widzenia! Do widzenia! – zawołała Maudie.

Obie wyszły z zarośli utykając – z wielkim łoskotem i chrzęstem, niby dzikie zwierzęta w egzotycznym filmie. Śmiały się, chichotały, a Murzynka mówiła tonem szczerzego uznania:

– Ten to prawdziwy mężczyzna!

Maudie była zarumieniona od śmiechu. Wspierana przez Ellę podeszła do matki.

– Mamusieczko! Ten to prawdziwy mężczyzna! – powtórzyła słowa opiekunki.

– Kto, kochanie?

– Taki jeden. Magik.

– Aha... Jak się nazywa, córeczko?

– Bennie.

Helena widziała go tylko raz. Był to niski, szczupły, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o śniadej, smutnej, ospowatej twarzy i czarnych włosach zaczesanych do góry. Nosił czerwoną jedwabną koszulę. Ella mówiła, że jest Metysem, półkrwi Indianinem. Obecnie, gdy siadywały na ganku, Helena nie mogła skłonić córki do wystarczająco długiego odpoczynku. Mówiła do niej, opowiadała bajki, ale Maudie kręciła się i dopytywała raz po raz, czy już trzecia. Naturalnie w grę wchodził Bennie. O trzeciej Ella i Maudie odchodziły niosąc wiadro i kubki, a Helena siedziała dalej, czekała – jak dawniej. Przywykła do samotności, a Maudie była ostatnio wesoła, jak gdyby trochę silniejsza. Telefon dzwonił, lecz nie ruszała się z miejsca. Kto chciałby mówić z niemądrą starszą kobietą? Kogo mogłyby zainteresować jej niedorzeczne rozrywki? Siedziała sama. Spoglądała na chmury, na dzieci, które brodziły w zatoce łowiąc ślimaki opodal brzegu.

Helena, jak już mówiła, widziała tylko raz człowieka imieniem Bennie. To starczy. Na zawsze zachowa w pamięci obraz Maudie w jego towarzystwie. Czy pomyślałby kto, że kobieta tak posępna i powściągliwa, nie umrze z przerażenia na widok podobnej sceny, nie będzie zgrzytać zębami ani tłuc głową o drzewa? Nic podobnego. Sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Helena odgadła, że Maudie wie, co znaczy miłość, a tego (wskazała znowu palcem męża i Peyton) żadne z nich nie odkryje mimo, jak życie długich, obserwacji. Zdaniem jej, Maudie odniosła zwycięstwo i śmierć nie będzie dla niej straszniejsza niż zwykłe zapadanie w sen.

Helena powinna była postępować ostrożniej. Zapewne, ale o niczym przecież nie wiedziała. Po pewnym czasie większość robotników odeszła. Baraki stały. Wprowadzili się do nich żołnierze. Jednakże Ella i Maudie nosiły nadal niepotrzebną już nikomu wodę. Bawiły się naiwnie, niedorzecznie, lecz dawało to im tak wiele uciechy, że nie warto było oponować. Często, kiedy Ella wracała od płotu sama, Helena mówiła:

– Lepiej zostałabyś tam i uważała na Maudie.

Ale Murzynka mrugała znacząco. Uśmiechała się i tłumaczyła, że Maudie nic nie grozi. Zresztą wróci zaraz i przyprowadzi „małą”.

Pewnego razu Helena długo czekała. Była bardzo niespokojna, bo zanosilo się na deszcz. Daleko za zatoką przemknęły szare firanki ulewy. Żaglówki sunęły spieszenie w stronę wybrzeża. Mewy kołowały bardzo wysoko, i to nad lądem. Płócienny daszek nad tarasem trzaskał raz po raz. Arkusz papy przyleciał skądś, upadł na trawnik i zwinął się w rulon. Przez drzewa widać było żołnierzy, którzy biegiem, uciekali do baraków, odwracając się, żeby spojrzeć na niebo.

Helena dźwignęła się z fotela i przez chwilę stała czujnie na schodach ganku.

– Maudie! – wołała głośno. – Maudie! Wracaj zaraz! Maudie.

Nie było odpowiedzi.

Po stopniach zesła na trawnik i ominąwszy grządki kwiatowe zatrzymała się pod mimozami. Nie grzmiało jeszcze, ale wiatr dął potężnie, szarpał kwiaty na drzewach. Połyskiwały różowo i zielono, jak barwne ptaki zrywające się do lotu. Zdawać się mogło, że zaraz wystrzelą w górę i znikną.

– Maudie! Maudie! – wołała Helena, lecz i tym razem wiatr nie przyniósł odpowiedzi.

Weszła między mimozy torując sobie drogę wśród pnączy oraz lilii, które tam rosły, rozgarniając gałęzie. W gąszczu zalegał półmrok, ziemia była wilgotna, gąbczasta. Helena posuwała się wolno w kierunku ogrodzenia i wreszcie zobaczyła tamtych dwoje. Stała wówczas pod drzewem, zaczęła obserwować.

On pokazywał Maudie sztuczki. Stał z przeciwnej strony płotu – niski, brzydki mężczyzna, o drobnej, zeszpeconej ospą twarzy i zaczesanych z czoła ciemnych włosach, które wiatr targał niemiłosiernie. Śniade, kościste ręce trzymał wzniesione w górę sztywne, nieruchomo, niby ktoś, kto przyzywa pomocy Boga i niebios. Nie odzywał się, nie uśmiechał, w ruchu miał tylko palce. Szybko kurczyły się i prostowały odsłaniając na dłoniach jaskrawo szafirowe kuleczki, które tańczyły przez moment, by błyskawicznie zniknąć.

Deszcz zaczął padać. Helena wstrzymując oddech przyglądała się córce. Maudie śmiała się, klaskała w dłonie, a raz wyciągnęła rękę i chwyciła powietrze, jak gdyby próbowała odzyskać przepadłe kulki. Bennie opuścił ramiona i stojąc bez ruchu patrzył na Maudie zapadłymi oczyma o smutnym, zagadkowym wyrazie. Policzki miał wydęte jak królik. Maudie śmiała się, pokrzykiwała radośnie. Nagle Bennie odwrócił głowę, spojrział w kierunku nieba i ten drobny człeczyna o wyłupiastych oczach, wzdętych policzkach i dziwacznej minie cierpiętника, pociesznej, lecz zarazem niepokojącej i groźnej, wydał się w szarym świetle spowijającym wybrzeże najpotężniejszym czarnoksiężnikiem świata. Maudie krzyknęła coś, a gdy on się odwrócił, zawołała głośno:

– Jeszcze! Jeszcze!

Kuleczki zaczęły wypadać jedna po drugiej z ust Bennie'ego i pobrzękując lekko toczyły się wzdłuż ogrodzenia.

Wówczas nastąpiło to, o czym Helena chciała mówić od początku. Bennie zademonstrował jeszcze jedną sztuczkę. Jął zbierać kulki kucając raz po raz wzdłuż parkanu. Czerwona koszula wysunęła mu się ze spodni i powiewała komicznie za plecami, gdy podskakiwał zwinnie jak konik polny. Wreszcie wrócił i zatrzymał się naprzeciw Maudie. Kulki poszły w ruch, poczęły nikać, w miarę jak je chwycił w powietrzu. Ręce miał zawsze puste. Stali tak spoglądając na siebie, a jego twarz przybrała znowu smutny, zagadkowy wyraz; oczy były dziwnie mroczne, tkliwe. Zdawać się mogło, że to stary czarownik, mag z obcych krajów, człowiek, który zgłębił wiele tajemnic i wie wszystko, co można wiedzieć nie tylko o tańczących kulkach, lecz również o ziemi i niebie, o liściach, wietrze i padającym deszczu. Zdawać się mogło, że zna wszelkie sekrety i wróżby, nie wyłączając zagadek serca dziewczyny, do której nie odezwał się nigdy. Bennie! Czy on w ogóle potrafi mówić? Ani razu nie powiedział słowa. Jednakże miał w sobie coś, co świadczyło o zrozumieniu miłości i śmierci związanych z sobą nierozdzielnie, co świadczyło o zrozumieniu beznadziejnej próżni obłądu. Patrzył na Maudie i bez uśmiechu wyciągnął rękę, by jedną kulkę dobyć z jej włosów, drugą z ucha.

Zdaniem Heleny, Maudie domyślała się zapewne albo raczej musiała wiedzieć. Było to milczące, smutne, sekretne porozumienie. Bogu tylko wiadomo, jak przewidziała bliski kres. Może w oczach Bennie'ego wyczytała znak: wyzywające spojrzenie ku niebu, błysk gniewu lub wreszcie pełen zachwytu, lecz posępny wzrok, jakim ją zmierzył. W każdym razie odgadła, że nieziemskie czary dobiegną końca – jak wszystko. Płakała i płakała. On schował kulki do kieszeni i przez czas pewien stał zapatrzony w Maudie. Ona szlochała głośno, rozpaczliwie, nedorzecznie powtarzała:

– Nie! Nie! Nie!

Deszcz zaczął padać, moczyć, zlepiać jej włosy. Helena nie była w stanie się poruszyć.

– Nie! – zawodziła Maudie. – Nie! Nie!

Jak gdyby oglądała kres nie tylko tego popołudnia, lecz również wszystkich innych przedwieczornych godzin, blasku słońca i noszenia wody robotnikom, i roztańczonych kulek, i wszystkiego, wszystkiego, co kiedykolwiek kochała na tej ziemi. Ach, Bennie! Maudie płakała i płakała, a Helena była przerażona, bliska omdlenia.

– Nie! Nie!

Dziewczyna zatoczyła się, oparła o płot, wyciągnęła ręce do Bennie'ego. On nie poruszył się. Stał na miejscu, a jego czerwona koszula coraz bardziej ciemniała od deszczu. Stał i patrzył na Maudie uparcie, żałościwie, z głębokim zrozumieniem. Helena drgnęła, postąpiła krok naprzód. Ale on ruszył szybciej. Podszedł do ogrodzenia i podtrzymał Maudie. Nic nie powiedział, lecz kaleka uspokoiła się, zwróciła ku niemu twarz mokrą do łez. Bennie ostrożnie wziął ją w objęcia i pocałował – tylko raz, w policzek.

Helena powiedziała, że przede wszystkim i na zawsze zachowa w pamięci ten jeden obraz: rozchwiane na wietrze mimozy i tamci dwoje rozłączeni płotem, przywarci do siebie. Nareszcie, po tylu latach Maudie znalazła ukochanego, czarnoksiężnika, ojca, może coś, czego Helena nie potrafiłaby nazwać. W każdym razie znalazła i wiedziała o tym. Bennie też wiedział. Wreszcie wyprostował się, odgarnął włosy z czoła, zwrócił znów wzrok ku Maudie. Odpowiedziała mu spojrzeniem, ale milczała. Tylko oczyma błagała, by został.

Co Bennie mógł uczynić? Nic. Helena zdawała sobie z tego sprawę. Wzajemne zrozumienie musiało wystarczyć. Cofnął się, obciągnął zmoczoną koszulę, zrobił zwrot na pięcie i pod strugami deszczu odszedł szybko, by zniknąć wkrótce za barakami. Helena zaprowadziła córkę do domu.

– Nie wrócił nigdy – ciągnęła. – I Maudie nie poszła więcej pod mimozy. Przez cały październik siadywałyśmy popołudniami na ganku, jak dawniej. Maudie nie mówiła słowa o tamtym człowieku ani o niczym. Opowiadałam jej różne historie, których zapewne nie słuchała. Zawsze siedziała przy mnie i kołysząc się lekko patrzyła na zatokę. Nie wiem, lecz jestem przekonana, że nieustannie wspominała tamte chwile. Może zaszkodził jej właśnie wysiłek umysłowy? Nie wiem. Była spokojna, zadumana, jak gdyby śniła na jawie. Najprawdopodobniej nie czuła nawet, że ulatują z niej siły żywotne, niby z więdnącego kwiatu... Więdący kwiat... Była zmęczona, noga dokuczała jej coraz bardziej, często drzemała. Ja też drzemałam. Siadywałyśmy blisko siebie i w półśnie patrzyłyśmy na okręty, na szybujące w górze mewy. Przymykałyśmy oczy, książka z obrazkami podała na podłogę. Szerszenie brzęczały.

Helena jak gdyby ocknęła się z długiego, wyczerpującego snu. Zgniotła niedopałek papierosa, wstała chwiejnie.

– A więc Maudie niedługo umrze – podjęła. – Wiecie teraz. Wiecie coś niecoś o miłości. Czemu nie wracacie do domu? Za późno teraz, żeby ją zobaczyć. Czemu nie wracacie do domu? Już mieliście rozrywkę. Czekalam tutaj na was przez cały dzień i mam dosyć czekania. Idę do Maudie. Chcecie się jeszcze napić, moi drodzy? Nietrudna sprawa. Dostaniecie whisky na każdej zabawie. A może macie ochotę na miłość? Cóż, spróbujcie, spróbujcie! Ja nie będę więcej czekać. Na nic!

Ukryła twarz w dłoniach i pochyłona zaczęła szlochać – bez głosu, bez łez. Z miejsca, na którym siedzieli Loftis i Peyton, widzieli między palcami Heleny jej twarz. Ale natrętny blask światła nie ukazywał łez, tylko mocno zaciśnięte powieki i usta ściągnięte, złożone w podkówkę – jak u małego dziecka. Widzieli wstrząsane łkaniem ramiona, ten gwałtowny wybuch budził w nich urazę i swojego rodzaju grozę. Czuli się przygnębieni i winni, lecz najmocniej przemawiała w nich miłość – miłość nie tylko do Heleny i Maudie, lecz również do wspomnień o tym, co w życiu rodzinnym było mimo wszystko dobre i uczciwe, o tym, co minęło ostatecznie i nie mogło wrócić.

– Heleno – odezwał się Loftis.

– Mamo – szepnęła Peyton.

Zdawać się mogło, że widzenie Heleny trwa nadal, a oni odgrywają jakąś rolę na tle nieskończone długich popołudni, skłębionych chmur, drżących na wietrze drzew mimozy, fryzu mew, zawieszzonego nieruchomo pod niebem. Były tam również szerszenie i cudaczne, urzekające postacie Indian.

Jeden żonglował pod drzewami mnóstwem jaskrawoszafirowych kulek. Inni z nożami w rękach czaili się zdradliwie pośród gęstwiny sitowia. Wszyscy Loftisowie – rozbita rodzina – byli znów w domu, na krótki czas pojednani. Widzieli żagle galeonu wznoszące się i opadające na falach, widzieli figurę dziobową walczącą z niezbyt groźnym letnim sztormem w innym stuleciu, stuleciu podbojów i błota.

– Mamo – powtórzyła Peyton.

Helena spojrzała na nią.

– Tylko mi się nie przymilaj – rzuciła. – To także twoja wina. Pamiętasz? Pozwoliłaś upaść Maudie? Może ci to odświeżyć w pamięci?

– Ale ja...

– Przypominasz sobie?

– Mamo...

– Nie dbasz o to, prawda? O nic nie dbasz! Ty zatrzymałaś ojca! Na cały dzień! Winna jesteś! Winna! Kurwiłabyś się tylko i upijała!

– Heleno! – wybuchnął Loftis.

Ale Helena odwróciła się już i wyszła.

– Dick, mój chłopcze, daj no jeszcze butelkę.

– Masz, dziecino.

Peyton wspierała głowę na ramieniu Dicka, a on obejmując ją jedną ręką, prowadził wóz drugą. Było mu trochę niewygodnie, lecz samochód – ciężki, pakowny kabriolet oldsmobile – trzymał się szosy i pewnie brał zakręty wśród oszronionej nocy. W górze niebo oczyszczało się stopniowo z chmur. Jechali przez senną, mało zamieszkaną okolicę bagien i sosnowych lasków, a powstające mgły sunęły się tu i ówdzie, spowijały drogę zdradliwymi kłębami. Ale doskonały wóz zbudowano niby okręt, który potrafił stawić czoło wszelkim sztormom. Istotnie przypominał coś pływającego, bo był obszerny, miękko wysłany, wygodny jak gondola doży, a wyboje pokonywał z godną obojętnością promu.

Mknęli przez morze mgieł, wśród chłodnej nocy. Farmy, płoty, ciemne stacje benzynowe, murzyński kościół otoczony grupą mizernych drzewek – wszystko to rozjaśniane przelotnie blaskiem reflektorów sprawiało wrażenie fantastycznego, bardzo odległego wybrzeża. Noc panowała wokół, ale Dick i Peyton, zamknięci w dobrze ogrzanej, stalowo-szklanej kabinie, prawie nie zdawali sobie z tego sprawy. W zielonawym blasku tablicy rozdzielczej czuli się chwilowo bezpiecznie; spokojnie popijali whisky i słuchali muzyki z podgwiezdnego dachu przy Broadway. Charlottesville zostawili o wiele mil za sobą.

– Diabli mnie biorą – mówiła Peyton – że też nie stać jej na jedno rozumne słowo po tym wszystkim, co już narobiła.

– Straszna kobieta! Chciałbym z nią pogadać.

– Wcale byś nie chciał.

– Mógłbym...

– Wyobraź sobie, co mi powiedziała – przerwała Peyton.

– Coś okropnego! Zrobiłam pierwszy krok, ale mnie odrzuciła. A później patrzy na mnie złym okiem i mówi: „To twoja wina. Pozwoliłaś upaść Maudie”. Słowo daję, nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, póki „nie odświeżyła mi tego w pamięci”, jak się wyraziła. Piła do czegoś, o czym ci opowiadałam. Mój Boże! Dwa lata temu nie dopilnowałam Maudie i ona...

– A co z Maudie?

– Właśnie. Nie pozwoliła mi nawet zobaczyć Maudie. Wysłałam. Nie mogłam dłużej wytrzymać. Po prostu wysłałam. Nie dowiedziałam się nawet, co naprawdę dzieje się z Maudie. Może umiera, może nie. Trudno zgadnąć, jak wiele matka dodała, wymyśliła. Dla efektu, rozumiesz?

– Jak Boga kocham!

– Powiedziała: „Nie dbasz o nic. Kurwiłabyś się tylko i upijała”. To jej ostatnie słowa.

– Jak Boga kocham! Chyba ona...

– Właśnie. Ma bzika.

Peyton pociągnęła z butelki. Trochę whisky wylało się na jej płaszcz z wielbłądziej wełny.

– Uważaj – ostrzegł chłopiec.

– Ach, Dick...

Próbował ją pocieszać. Nachylił się, pocałował we włosy.

Nieco wyżej położony odcinek szosy był prosty, wolny od mgły. Dick dodał gazu, rozwinął znaczną szybkość.

– Uwielbiam taką jazdę – szepnęła Peyton, a on objął ją mocniej.

Wokół rozciągały się nagie pola. W stronę południa płynęła rzeka: Rappahannock. Dobrze znali tę okolicę, a każda boczna droga, stodoła, dom, przemykające bezszelestnie obok samochodu, zapowiadały następny dom, stodołę, boczną drogę. Wszystko wyglądało coraz bardziej swojsko w miarę zbliżania się do domu. Był to Northern Neck, kraina prymitywnych pasterskich płotów, starych drzew, skubiących trawę owiec i Anglosasów. Ci ostatni mówili rozwlekłym akcentem z elżbietańskich czasów, wstawali o świcie, szli spać o zmierzchu i z prawdziwie kalwinistyczną pasją pielęgnowali tradycyjną nietolerancję wobec zła. Przeważnie byli prezbiterianami i baptystami. Niektórzy należeli do Kościoła episkopalnego. Ale wszyscy z równym zapałem modlili się i polowali na pardwy, a w podeszłym wieku umierali na zawał serca. Los dał im spokojny, ustronny skrawek ziemi, wolny od linii kolejowych, wielkomięskiego życia i brudnych pokus cielesnych, kiedy więc przychodziło umierać, prawie wszyscy umierali pogodnie, wypowiedawszy się z pomniejszych, parafiańskich grzeszków. W granicach dwu rzek i nieba czuli się odcięci od zaplecza tak jak od serca afrykańskiego lądu. Dni ich wypełniał zapach morza, a umysł zaprzętał zdrowe, uczciwe zainteresowania, których przedmiotem nie mogło być oczywiście nic egzotycznego lub wywodzącego się z Północy. Byli skrupulatni we wszystkich kwestiach, lecz nigdy bezwzględni, żyli w

zgodzie z naturą i nazywali siebie ostatnimi Amerykanami.

Teoretycznie biorąc, tylko wielkie bogactwo lub wielka potęga potrafiłyby zepsuć ludzi takiego pokroju. Jednakże Cartwrightowie nie byli zepsuci, chociaż duchowo stali bliżej Banku Farmerów z Lancaster niż odwiecznego kościoła parafialnego, w którym każdej niedzieli uczestniczyli w nabożeństwie skrupulatnie, lecz raczej na pokaz. Szanowano ich i podziwiano, a ponieważ zdawali sobie sprawę, że oni również pochodzą z ludu, przesadnie nieco rewerencje sąsiadów wprawiały ich w zakłopotanie i kazały maskować bogactwo skromną, nieefektywną szarzyzną. Byli parweniuszami, nikt wszakże nie miał prawa zarzucać im tego, nikt nie miał prawa uśmiechać się zjadliwie. Harrison Cartwright, agresywny, gwałtowny człowiek o twarzy buldoga, miał szczególny dar gromadzenia pieniędzy tak łatwo, jak gołąb zbiera ziarna prosa. Bezpośrednio lub pośrednio rządził w tym okręgu Wirginii wszystkim, co mogło przynieść bodaj pięć centów czystego zysku. Podlegały mu banki, spółki rybackie, przedstawicielstwa firm samochodowych, chłodnie, więc naturalnym rzeczą porządkiem musiał również działać w innej, zapewne jeszcze bardziej olśniewającej sferze, jako swojego rodzaju prokonsul senatora Byrda. Był potężną, władczą postacią, ale jak większość ludzi prawdziwie genialnych potrafił modulować ton, umiał postępować z ludźmi, wiedział zawsze, w jakim momencie wypada zniżyć głos. Ci, którzy w obecnych czasach pragną króla, chcą, by

ich król miał aluminiowe, najlepiej składane berło, szaty z samodziału i pogodny uśmiech na twarzy. Harrison Cartwright posiadał to wszystko.

Oczywiście ludzie o tak złożonej naturze muszą wywierać dziwny wpływ na synów. Kiedy Dick liczył sześć lat, ojciec dał mu po twarzy i wrzucił na trzydziestostopową głębię tylko dlatego, że chłopcu brakło siły i wprawy, by manewrować głównym żaglem jachtu. Dick dobrze zapamiętał bolesny policzek i dławiący strach, gdy zapadając beznadziejnie pod wodę, poczuł na ciemieniu muśnięcie steru. Ale równie żywo zachował w pamięci efekt, jaki wywarło to na Harrisonie Cartwrightcie: przerażenie na buldożej twarzy, kiedy ojciec windował go przez burłę, niegodne mężczyzny, płaczliwe przeprosiny, wreszcie łzy. „Ach, Dickie, Dickie, Dickie! – jęczał Harrison Cartwright. – Co ja zrobiłem najlepszego!”

W dzieciennych latach Dick miał się ustawicznie między miłością a nienawiścią, gdyż ojciec terroryzował go i przerażał. W momentach ciszy bywał łagodny, promienny dobrotliwie grał rolę wiejskiego dziedzica; wówczas chłopiec pozwalał sobie na nieśmiałe awanse i dziwił się trochę, że napotyka tak serdeczny oddźwięk. Ale pogoda często ulegała zmianom: nadciągały chmury, morze zaczynało falować pod tchnieniem sztormowego wichru o subtelnym zapachu dolarów, ryzykownych transakcji, śmiałych poczynań na jakimś bardzo dalekim, niebezpiecznym wybrzeżu. Wówczas odtrącony i zapomniany – czarna owca, jak jego brat i dwie siostry – Dick szukał schronienia w samotności lub pod skrzydłami babki, która po śmierci synowej prowadziła dom i cierpiała z racji artretyzmu oraz nadmiernego przywiązania do *Pisma Świętego*.

Matka Dicka wyznawała obrządek episkopalny, więc przez szacunek dla jej pamięci i z przyzwyczajenia rodzina uczęszczała nadal do pobliskiego wiejskiego kościółka. Jednakże sędziwa dama szybko wykorzeniła umiarkowane, liberalne naleciałości, gdyż sama była reformowaną prezbiterianką, bezpośrednią dziedziczką nauk Johna Knoxa. Przy śniadaniu pijała na przeczyszczenie gorącą wodę z cukrem. Każdego popołudnia odprawiała posępne modły swojej wiary w parterowej sypialni pięknego, starego domu na farmie, gdzie mieszkali Cartwrightowie. Tam też wzywała Dicka, szczupłego malca o piwnych oczach, który zasypiał później wśród ukośnych smug słonecznego blasku, a kiedy rozpościerał ramiona, by pobudzić obieg krwi, sprawiał wrażenie rozpiętego na tym świetle niby na łożu tortur ogłupiającej nudy. Kiwał się, drzemał, z wysiłkiem podnosił powieki, patrzył na surową, starczą, orlą twarz i dziób klepiący nieustannie słowa grozy i potępienia, czerpane z *Biblii*, którą dzierżyły artretyczne, orle szpony. Ilustracje zawarte w księdze rysowały się mętnie na tle barwniejszych weselszych obrazów oglądanych przez okno: zielonego szpaleru cedrów, porosłego murawą stoku nad sadzawką, gdzie małe kraby pełzały nieudolnie i kryły się w jamkach, a woda w strumyku połyskiwała złotem pyłku drzew kwitnących we wrześniu. Ilustracje przedstawiały niebo i piekło, siedmiogłową bestię, wizję pomsty bożej, niewiastę pełną nieprawości i brudu własnego cudzołóstwa,

zwaną matką nierządnic, a chłopiec – podobnie jak boski autor owej książki – dziwił się wielce i niepokoił. Najczęściej jednak myślał o małych dzieciach, które stracone w otchłań piekieł wyciągały drobne rączki do nieubłaganego Abrahama o szatańskiej twarzy i zawodziły wiecznym niemowlęcym płaczem męki i gorzenia. Ten obraz ustawicznie nawiedzał serce Dicka, który później, leżąc na trawie nad sadzawką, medytował i marzył. Patykiem rozgrzebywał muł i w dole, pośród muszelek małży i zalotnych kleni, widział dzieci, nie większe niż jego siostrzyczka, zatopione pod ciekłym złotem na głębokości wielu sążni – dzieci, co wiły się i jęczały bezdźwięcznie, lecz nie mogły dosięgnąć chłodnych wód odkupienia. Dick kochał babkę, która traktowała go serdecznie i zmuszała do udawania, znosił więc jej zabiegi nie tyle chętnie, ile z rezygnacją i wcześniej odkrył, że za słodycze trzeba płacić łzami.

Malec wyrósł na wysokiego, jasnowłosego młodzieńca o przeciętnym umyśle i najlepszych intencjach. Mimo grubych pieniędzy był stosunkowo mało zepsuty. Trzy lata w episkopalnej szkółce przygotowawczej, położonej za rzeką, wystarczyły, by zatrzeć w nim bojaźń bożą. Tam również stwierdził, że w szkole ubogich chłopców syn bogacza zajmuje pozycję korzystną, pod warunkiem, że utrzyma się w roli kolegi. Szerokie, odziedziczone po ojcu usta nie pozwalały nazwać go ładnym, lecz był przystojny, nie najgorzej zbudowany, inteligentny – daleki wprawdzie od ideału, lecz obdarzony naturalnym wdziękiem wystarczającym, by nie posługiwać się majątkiem jako wyłącznym orężem. Była to raczej zaszczytna odznaka upoważniająca do łagodnego poczucia wyższości. Na wydział ekonomiczno-handlowy uniwersytetu wstąpił z pensją dwustu dolarów na miesiąc, niezachwianą wiarą w whisky (wrodzoną ogółowi dżentelmenów z Wirginii) oraz rozwiniętym popędem płciowym, który – nie inaczej niż wszyscy młodzi mężczyźni – uważał w sobie za szczególnie gwałtowny i płomienny. W Charlottesville łatwo zawarł znajomość z alkoholem, lecz kwestia kobiet nastroczała niebywale trudności. Przed spotkaniem z Peyton – pod koniec pierwszego roku studiów – jego przeżycia seksualne obejmowały tylko starszą żonę kierowcy samochodu ciężarowego, która oddała się Dickowi oraz pięciu jego kolegom z klubu uniwersyteckiego w wozie zaparkowanym

koło przydrożnego motelu.

Sprawy z Peyton wyglądały zupełnie inaczej. Pożądanie nie wygasło w nim, ale zostało stłumione i Dick przystosował się z możliwie najmniejszą przykrością do męczącego rytuału „studenckiej” miłości. W każdym razie usiłował się przystosować. Był oczarowany Peyton: jej cokolwiek zjadliwym humorem bez prawdziwej złośliwości, sposobem bycia świadczącym, że przerasta go inteligencją i znajomością ludzi. To właśnie uprzytomniło mu ostatecznie, że ją właśnie kocha naprawdę – to i jej uroda, która miała kiedyś należeć do niego, inaczej niż oldsmobile, bo jako nieokreślona wartość duchowa, wieczna i niezniszczalna, nie wymagająca konserwacji ani napraw. Kochał Peyton i pragnął jej do bólu. Życie ich stało się jednym wielkim tańcem, jak gdyby morzem muzyki, w którym tu i ówdzie połyskują trochę wstydliwie czułe słowa, niby odbłask gwiazd na falach. Całowali się, tulili do siebie i Dick był upojony, zarazem jednak rozczarowany. Czy tak wygląda królestwo niebieskie? Czy musi być radosne i żałośnie bezowocne? „Peyton, czy ty nie pragniesz...” – zaczynał czasami pełen najtkliwszych uczuć, ale urywał, bo kochał ją naprawdę i buntowało się w nim protestanckie serce.

Najczęściej jednak dręczyła Dicka nie walka między pragnieniem a poczuciem przyzwoitości, lecz sama Peyton. Nikt z wyjątkiem ojca nie zbijał go tak z tropu, więc zastanawiał się chwilami, jak u licha, będzie sobie z nią radził, gdy zostaną wreszcie małżeństwem. Próbował też określić, co w nim może odpowiadać Peyton – dlaczego kocha go czy też lubi? Prawdę mówiąc, nie wyznawała mu nigdy uczuć, lecz był zdania, że wchodzi to w zakres taktyki. Pieniądze jako motyw wykluczył szybko, bo raz, w czasie rozmowy serio powiedziała, że drwi sobie z jego majątku! Uwierzył, gdyż zdołał już odkryć, że Peyton jest absolutnie szczerą i uczciwą w sprawach poważnych. Najboleśniej dręczyły go inne kwestie. Posiadał skrupulatnie metodyczny umysł, który bez względu na wiek poszukuje równowagi uczuciowej i właściwego znaczenia zjawisk. Jak więc pogodzić dzikie, nieokiełznane napady gniewu, występujące zwykle, kiedy Peyton wypije za dużo, i najczęściej skierowane przeciwko niemu z chwilami łagodnego upojenia, gdy obejmuje go za szyję, mówi: „Dick, mój chłopcze”, i całuje w ucho, a on wchłania zapach jej perfumowanych włosów i słabnie tak, że czuje się bliski omdlenia? W ciągu ostatnich dwu lat sto razy wymykali się ukradkiem z pijatyki, nazywanej łagodnie „małym przyjściem”, aby po szalonej, księżycowej jeździe odnajdywać samotność, zachwyty, cudowne bezpieczeństwo pośród lasów lub wzgórz – nie wiedzieli i nie dbali gdzie

właściwie. Parkowali wtedy wóz w gęstym, gęstniejącym coraz bardziej mroku, czuli gorącą wilgoć swoich włosów i skóry i bali się oddychać, gdyż zdawało im się, że z przepełnionych płuc mogą dobyć dysonans, co spłoszy urok. Tamtego roku weszła w modę piosenka *Wyścig z księżycem*, a jej melodia dochodziła nie z odległej o wiele mil stalowej wieży, lecz z głębi samochodu, przeznaczona wyłącznie dla nich. Przytuleni do siebie prawie leżeli na śliskim, skórzanym obiciu wozu, nad nimi świt wirował obłądnie w potokach światła, z radia dobywała się niewidzialna muzyka ich prywatnej orkiestry. Tony perkusji, trąbek, skrzypiec połyskiwały tajemniczo, niby fosforescencja, i niewidzialnym, bladym płomieniem spowijały ich ramiona i uda. Wszystko to było nad wyraz przygnębiające, zwodnicze.

Zdarzały się również inne chwile, równie gorące i pamiętne, lecz pełne grozy. Takie wieczory, rozpoczynane często również w klubie uniwersyteckim – wesoło i beztrudnie – kończyły się potokami przykrych słów, łez, nieporozumień. Dick nie potrafił nigdy orzec, jakim wpływom ulega serce Peyton. Podejrzewał zazwyczaj, że jest ona mocno, nierozdzielnie związana ze swoim domem, z ojcem, więc pod wrażeniem listu od niego lub jakiejś innej wiadomości o rodzinie staje się daleka, nieuchwytna albo, co gorsza, po godzinach wspólnego popijania i tańców trafia na niewłaściwą stronę liny, na której balansuje wciąż tak ryzykowanie. Bywa wtedy gwałtowna, pełna żalów. Twierdzi nedorzecznie, że Dick ją zaniedbuje – on, który nie pamięta, by przez cały wieczór oderwał od niej wzrok bodaj na chwilę! Później, w samochodzie, wyrzuca mu brak uczuć, grubiaństwo, ubóstwo ducha. Zapytuje, jak można liczyć, że ona wyjdzie za kogoś, kto z taką powagą odnosi się do wszelkich spraw klubu uniwersyteckiego, kto zdążył już zrobić z własnego życia jedną wielką lipę? „Słowo daję, Dick! Ja też lubię zabawę, lubię wesołe zebrania. Ale że ty potrafiłeś śmiać się z dowcipów tej idiotki Tucker, tej dziwki!... Boję się, że będziesz za mało łagodny i rozumny, kiedy będziemy mieli dzieci...”

Ot takie i tym podobne głupstwa.

Cierpliwie znosił napaści, bo wiedział, że zły humor niebawem minie, a Peyton stanie się znów uległa, że będzie go całować. Nie wstrząsnął nim naprawdę fakt, że gorzkie słowa ranią jego umiarkowany szacunek dla własnej osoby. Potrafił już dostosować do okoliczności swoją postawę i wrażliwość, sądził więc, że skoro Peyton mimo nierozumnych gniewów i podejrzeń kocha go z racji pozytywnych cech charakteru (jakiegokolwiek by one były), powinno to wystarczyć. Wprowadzała go nadal w zakłopotanie, lecz jej nieobliczalne nastroje stanowiły poniekąd przyprawę ich romansu i Dick uświadamiał sobie stopniowo, jakie jego zalety działają na Peyton. Przede wszystkim byli zupełnie odmienni, więc dopełniali się wzajemnie, a ponadto Peyton wiedziała nawet w najgorszych momentach, że on jest silny, godny zaufania i na pewno ją pocieszy. Peyton wiedziała, a Dick zdawał sobie z tego sprawę. Był zbyt ambitny, by dać sobą ponieierać, lecz godził się na pełnienie roli jak gdyby kanału odpływowego dla silnych wzruszeń ukochanej, bo rozumiał, że Peyton bywa wtedy nie mniej niż on pijana, a więc nie odpowiada za rzucane niebacznie słowa i nie traktuje ich poważnie. Ilekroć zatem znajdował się daleko od niej, najchętniej wspominał dobre chwile.

Widywali się tak często, jak pozwalały studia, to znaczy prawie nieustannie. Razem spędzali wszystkie weekendy, środy, czwartki, a nawet wtorki, kiedy to Dick odbywał długie popołudniowe rajdy przez góry do Sweet Briar. Dla obcych oczu spotkania ich wyglądały naturalnie, nawet zdawkowo – na modłę dziewcząt i chłopców z uniwersytetu. Ale była to tylko poza, bo w samotności brali się w objęcia i tajone pragnienia wyrażali pocałunkami, zdławionymi prośbami, których realizacji nie traktowało poważnie i nie chciało naprawdę ani jedno ani drugie. Pili znowu i dzięki benzynie z czarnego rynku pochłaniali niezliczone mile, aby gdzieś pośród odludnych wzgórz tańczyć przy nastawionym na pełny regulator radiu i w wyobraźni urządzić bosonogi wyścig z księżycem, który Vaughn Monroe wyczarowywał błahymi, harmonijnymi taktami. Księżyc był daleki, opasły, jasny i podobnie jak muzyka zdawał się przeznaczony wyłącznie dla nich.

Obecnie, krótko przed świtem, zbliżali się do domu. Stojąca między nimi butelka była prawie pusta. Mijali rozległe, nagie pola, coraz bardziej znajome zabudowania farm, strumień o indiańskiej nazwie naszpikowanej „k” i „q”, płynący leniwie pod cienką skorupką lodu. Na ziemię zaczęło spływać trawiasto zielone światło, lecz wszystko spało jeszcze w spokojnym bezwładzie z wyjątkiem żółtego blasku ognia, połyskującego w jakimś oknie i trójki dzikich kaczek, które poderwały się z mokradeł, przez pewien czas leciały równie szybko jak samochód, a następnie zawróciły w kierunku rzeki. Nad wschodnim widnokregiem gwiazda zaranna pobladła, później zgasła. Wóz wyjechał z osłony lasu w powódź światła. Na szerokich łąkach dymy ulatywały z kuchennych kominów. Dzień stał się oficjalnie niedzielą.

– Powiedziałałam ojcu, że mam zamiar rzucić szkołę...

– Peyton urwała, bo dostała czkawki i musiała wstrzymać oddech, póki Dick nie doliczył do dziesięciu. – No, w porządku! Powiedziałałam mu, że nie dotknę jej parszywych pieniędzy.

– Wszystko będzie dobrze – wtrącił chłopiec. – Nie martw się, skarbie.

– Z Maudie nie będzie dobrze. Ach, Dick!

Znów wsparła głowę o jego ramię, a on objął ją mocno.

– Już tylko kilka mil kochanie – powiedział.

Gawędzili niemrawo, gdyż ostatniej nocy żadne z nich nie zmrzyło oka, a poprzedniej spali ledwie parę godzin. Byli wyczerpani, ale sił im dodawał wtórny nurt podniecenia. Wczorajsze przejścia Peyton mogły ją przygnębić i wykoleić, ale dla osób tak młodych klęska nie bywa nigdy ostateczna. Przeciwnie, może otwierać nowe wspaniałe perspektywy odmiany ucieczki, swobody. Dick łatwo pocieszył Peyton co do Maudie. Wy tłumaczył, że w tej sprawie nie ma nic do zrobienia; można tylko czekać i zobaczyć, co nastąpi. A tymczasem... Tymczasem mówili i mówili – przeważnie ona – z zapalem i egzaltacją, bo whisky zmyliła i uspiła ich umysły, zaprawiając specyficzną radością nawet posępne, pesymistyczne nastroje.

– Ach, ten tatuś! – rozprawiała Peyton. – Już ci przecież mówiłem. Jak żegnaliśmy się, strach było na niego patrzeć. Szkoda, że go nie widziałeś. Trudno zobaczyć coś podobnego, słowo daję! Był taki skołowany, że tylko mnie obśliniał, gadał, że jeszcze nie koniec z naszą rodziną. Proponował, żebym pojechała z nim do Port Warwick – wyprostowała się raptownie, spojrzała na Dicka. – Wyobrażasz sobie? Był całkiem zagubiony. Ona dała mu taką szkołę, że chyba naprawdę dostał chwilowego bzika. Wyobrażasz sobie? Zupełnie serio prosił, żebym z nim i z nią pojechała do Port Warwick. Z nią! – Umilkła na moment, odgarnęła włosy z czoła. – Biedaczysko, straszny naiwniak. Ale kocham go, Dick, bardzo kocham – dostała znów czkawki, lecz nie zważając na to sięgnęła do kieszeni, by dobyć stamtąd sygnet Loftisa. – Patrz, Dick. Spójrz, co dostałam od starego cudaka. Ładny pierścionek, prawda? A wiesz, co mi powiedział? Nigdy nie zgadniesz! Próbował dowcipkować... – parsknęła krótkim śmiechem. – Był komicznie dostojny z tym przekrzywionym bandażem na czole. To ja założyłam mu opatrunek. Zdjął z palca pierścionek i zdobył się na żart. „Słuchaj – powiada – jeżeli przyjmiesz chociaż szpilkę od tego bogatego młodego nicponia, wolno ci przyjąć skromny dowód sympatii od nieszczęsnego starego wykolejeńca”. Kochany tatuś! Jakie to patetyczne, co? – prawie położyła się na siedzeniu samochodu, a jej śmiech przerywany czawką zdawał się

zapowiadać atak hysterii. – Daj mi whisky, kochanie, żeby to licho wykurować.

– Biedna mała. Cholernie ładna historia! – powiedział Dick.

– Co?

– Wszystko – oderwał wzrok od szosy; twarz miał czerwoną, wykrzywioną, język plątał mu się wyraźnie.

– Kapujesz? Wszystko... A niech to piorun strzeli! Grunt, żebyś nie przerywała studiów. Kochana! Mamy niewiele czasu. Wuj Sam upomni się o mnie. Pobierzemy się! Dziś, dobrze? Pojedziemy do Marylandu. Papa ma w biurku cały plik kuponów na benzynę. Ale najprzód trzeba się trochę zdrzemnąć. Dopiero później pojedziemy do La Plata i weźmiemy ślub, co? Kochana! Do końca życia będę się tobą opiekował. Mój skarbie najdroższy!... A niech to cholera!

Trudno uwierzyć, że Peyton wcale nie słuchała. Uśmiechała się blado, mówiąc:

– Byłoby to zabawne, gdyby nie było takie straszne. On przeproszał mnie z powodu tej ordynarnej baby, która puszcza się z nim od lat. Dlaczego mnie? To nie mój resort. Miałam chęć powiedzieć, że wszystko dobrze, tylko mógłby znaleźć kogoś, kto zna się trochę lepiej na *sav...* jak to się mówi?... Aha! *savoir-faire*, prawda? Dlaczego mnie przeproszał? Niech usprawiedliwia się przed kimś całkiem innym...

– Słuchaj, kochanie? Jak będzie z... z...

– Z czym, Dick?

– No, żebyśmy... Kapujesz?

– Nie, Dick. Nie dzisiaj.

– A kiedy? Jak zaczniemy zwlekać...

– Nie wiem.

– Kiedy? Powiedz, skarbie, kiedy?

– Nie, Dick. Nie, nie! Na miłość boską, czy ty nie rozumiesz... Niedobrze mi... słabo...

Oparła głowę o pierś Dicka, palcami ścisnęła go za kolano. Nie spojrzął na nią, nie odezwał się słowem. Patrząc prosto przed siebie prowadził wóz przez zielonawe mgły poranka. Wkrótce pojawił się sosnowo-dębowy las i dwa filary z nie tynkowanej cegły u wjazdu w zwirowaną aleję. Samochód skręcił z szosy. Pół mili dalej stał dom cichy i opustoszały. Kiedy przejeżdżali groblę między dwoma stawami, kogut zapał gdzieś pośród bielonych wapnem baraków – niegdyś kwater niewolników. Olbrzymie dęby tworzyły sklepienie nad aleją wjazdową, a tuż przed domem samochód wywołał popłoch wśród stada gęsi, które umykały z niezdatnym pośpiechem, gęgając tonem zgorszenia.

– Myślę, że Harvey jest już w ruchu – odezwał się Dick.

– Jak żyję, nie widziałem równie pracowitego czarnucha.

Peyton nie odpowiedziała. Uniosła tylko głowę i zaraz opuściła ją znów na pierś sąsiada. Była blada jak śmierć.

Kawa ożywiła ich trochę, ale nerwy mieli nadal napięte i byli tak zmęczeni, że nie mogli zasnąć. Zegar kuchenny wskazywał piątą, okazało się jednak, że stanął, więc leniwie i zgodnie doszli do mało dla nich istotnego wniosku, że zapewne zbliża się siódma. W domu byli sami, bo jak Dick uprzedził z góry, cała rodzina wyjechała w odwiedziny do krewnych. Cichy dom zdawał się również senny, utrudzony. Nic nie mąciło spokoju, z wyjątkiem nieczęstego trzasku drewna, które przeciągało się, niby człowiek po przebudzeniu; i rozgrzane porannym ciepłem wydawało stłumiony, głuchy odgłos – taki sam każdego dnia od blisko dwóch stuleci. Wnętrze pachniało stęchlizną, bo okien nie otwierano od czwartku. Dick i Peyton włóczyli się bez celu po dusznych, opustoszałych pokojach. Milczeli, bo nie byli w stanie ani powrócić do przerwanej rozmowy, ani o niej zapomnieć. Mieli wrażenie, że ich napięcie nerwowe i wyczerpanie – a zwłaszcza gorycz, zagubienie i rozpacz Peyton – udzielają się jakoś domowi. Wędrując po staroświeckim wnętrzu, które obok radia, żarówek elektrycznych i modnych foteli zachowało pewne ślady kultu pamięci przodków – rzeźbione laski z hikory zrąbanej przed wieloma laty, długo przed wybuchem wojny¹¹, nadgryzioną przez szczury *Biblię in folio*, przedwojenne

11 Mowa tutaj o amerykańskiej wojnie secesyjnej w latach 1861-1865.

powieści, nie rozcięte dotychczas, pokryte kurzem na bibliotecznych półkach, wyblakłe chrześcijańskie litografie przedstawiające apostołów, Wniebowstąpienie, mdlejącą Zuzannę – wędrując wśród tych zabytków obnosili, niby anachroniczny zapach, własną, szczególnego gatunku nowoczesną rozpacz...

Wreszcie usiedli ramię w ramię na kanapie i osądzili, że najwyższa pora coś wypić. Dick znalazł whisky swojego ojca i hojnie nalał do dwóch szklanek. Później Peyton zajęła się pić, a on wyszedł, by odnaleźć Harveya, starego Murzyna, typowego od zapinanych na guziki świątecznych kamaszy do bezzębnego uśmiechu i siwej czupryny – kubek w kubek podobnego do Wujcia Remusa¹².

– Wolałbym, Harvey, żeby papa nie dowiedział się o wizycie panny Loftis – bąknął nieśmiało.

Harvey znał świat i miał wiele zdrowego rozsądku, odpowiedział więc zwięźle:

– Ma się rozumieć, paniczu.

12 Wujcio Remus (Uncle Remus) – postać, którą stworzył amerykański literat i dziennikarz Joel Chandler Harris (1848-1908). W licznych zbiorach opowiadań, wierszy i pieśni Wujcio Remus przekazuje w autentycznym dialekcie dawny murzyński folklor.

Kiedy Dick wrócił do salonu, Peyton stała przy oknie z drugą szklanką w rękę. Zdążyła już włączyć radio. Chłopiec podszedł do niej i przez czas pewien stali obok siebie, nic nie mówiąc. Słońce weszło nad rzeką – piękną rzeką, szeroką, błękitną, dostojną, o brzegach nie zachwaszczonych miastami. Było coś pierwotnego w tej rzece płynącej pośród lasów i piaszczystych wałach pozostawionych przez morskie pływy. Było coś pierwotnego w stadach kaczek lecących ku południowi na tle lazuru bezchmurnego nieba. Zdawać się mogło, iż rzeka nie uległa nigdy zmianom, że nie gwałciły jej narzędzia ni oręż człowieka. Zdawać się mogło, że pozostanie niezmieniona do czasu, kiedy morze wróci do lądu, a ląd do morza, kiedy pływy pochłoną wszystko – lasy, muszle ślimaków morskich i lęgowe kaczki – a rzeka potoczy swoje wody dnem jakiegoś wezbranego potężnie, wieczystego oceanu.

Peyton spojrzała na Dicka.

– Zdaje się im, że to oni – powiedziała.

– Kto, skarbie?

– Ludzie tamtego pokolenia, „straconego pokolenia”. Zapewne tatuś... No i wszyscy, którzy w ogóle myślą o czymkolwiek. Zdaje im się, że są zgubieni. Szaleńcy! Wcale nie są zgubieni. Za to nas zgubili po drodze.

– Nas?

– Właśnie. Nas zgubili, nie siebie... Ciebie, Dick, mnie. Weź na przykład tatusia. Bardzo go kocham, ale on zgubił mnie przecież i nawet nie ma o tym pojęcia – wyjęła z kieszeni sygnet, zaczęła go oglądać. – Kochany tatuś... Myślę, że łączą nas freudowskie więzy. Kochany i taki kapitalny osioł! Gdyby nie ożenił się akurat z mamą, wszystkim nam mogłoby się dziać zupełnie znośnie. Ona go zmogła i dlatego właśnie przepadła cała rodzina. Biedaczek zgubił mnie nie inaczej, niż wszyscy jego rówieśnicy zgubili swoje dzieci. Nie wiem, dlaczego tak się stało, ale to fakt. Oni mieli przynajmniej sposobność, by przez jakiś czas żyć po ludzku. Ale nie dbali o to i nas zgubili... Ciebie także, bo niedługo pójdziesz pa wojnę, polegiesz...

– Nic mi nie będzie. Jestem piekielnie twardy.

– Nip, Dick. Jesteś podobny do mnie. Tak samo nie wiesz, jaką pójść drogą.

– Wiem, że chcę ożenić się z tobą.

– Ach, nie zaczynaj znowu...

– Posłuchaj, skarbie. Nic nie przeszkadza, żebyśmy... Zdawać się mogło, że jego natrętne słowa zadają Peyton ból fizyczny, powiększają mękę wspomnień, wyrzutów, pragnień. Gwałtownie zwróciła się do Dicka, a że była pijana, mówiła chaotycznie, ochryłym głosem:

– Przestań gadać o naszym ślubie! Słyszysz, Dick? Daj spokój. Traktujesz mnie jak samolub. Właśnie! Samolub i głupiec. A jeżeli chcesz wiedzieć, dlaczego jestem taka, to dlatego, że nie kocham cię i nigdy nie kochałam. Nie twoja wina, Dick. Ja już jestem taka. Nie dbam o miłość. Nie potrafię kochać. Nikogo! To bardzo źle. Bardzo źle, prawda, Dick? Ale nic nie poradzę. Mam dosyć! Niedobrze, kiedy człowiek nie potrafi...

Dick wiedział, że atak mija, więc wziął Peyton w ramiona, objął mocno. Broniła się przez moment, lecz niebawem zwiotczała, a ponieważ on kochał ją naprawdę, pocałunek, którym zamknął jej usta, był pełen czci i radością przepełnił jego duszę. Raz jeden powiedziała „nie”, ale było to jej ostatnie słowo. Spowiła ich tęsknota bezszelestna niby powietrze i Dick zaprowadził Peyton do sypialni. Stało tam stare łóżko z baldachimem – łóżko jego babki. Cały dzień przespali na nim nago, odrzuciwszy koce, gdyż w pokoju było duszno i gorąco. Dopełnienie miłości wyczerpało ich ostatecznie, mimo to jednak spali niespokojnie, a w ich marzeniach nie było tkliwych uczuć. Słońce wzniosło się i zaczęło opadać. Popołudniem sypialnię zalała powódź światła. Radio grające dotąd cicho w przyległym salonie wdarło się w ich sny natrętnym mamrotaniem. Jakiś kaznodzieja głosił, że wojna szaleje na całym świecie, a wyrazy takie jak Chrystus i Antychryst przenikały do podświadomości Dicka i Peyton, aby ulecieć zaraz i zostawić ich pod władzą snu i marzeń.

Dick wziął w ramiona Peyton, która odsunęła się od niego. Gdzieś na zimowych polach zaszczekał pies. Z radia płynęła muzyka taneczna, później Mozart.

Pieśń bezmiernej niewinności budziła echa wśród pohańbionych ruin świątyni pokoju, a marzenia senne Dicka i Peyton odmieniała w cudowną wizję miłości, która zwycięża śmierć, noc i nie liczone, zapadające nieuchronnie zmierzchy. Wreszcie przyszedł wieczór. Peyton i Dick leżeli z rozkrzyżowanymi rękami i nogami, poruszali się, kręcili niespokojnie. Półmrok spowijał ich dała, zabarwione odblaskiem ognia jak ciała strąconych do piekieł dzieci, co żyją, oddychają i płaczą bezgłośnie, a płomień wiecznie będzie trawił ich potępione dusze.

TOM DRUGI

1

Wielebny Carey Carr prowadził wóz ostrożnie, bo wśród skwaru wczesnego popołudnia zaczęli pojawiać się stadami oni – Murzyni w turbanach i powłóczystych białych szatach chrestnych. Jechały autobusy, furgonetki, ciężarówki. Niektórzy wędrowali pieszo. Spoceni, roześmiani, szli zakurzoną szosą dźwigając transparenty z napisem:

OJCZULEK WIERNYCH PRZYNOSI MIŁOŚĆ

Najwięcej trudności sprawiały pastorowi dzieci uganiające się po jezdni w miniaturowych, powiewnych sukniach. Właściwie cały ruch uległ dezorganizacji, gdyż kierowcy wozów rozmaitego rodzaju wyprzedzali się wzajemnie, wymieniali wrzaskliwe pozdrowienia, byli półprzytomni, szaleńczo lekkomyślni. Carey musiał zjechać na skraj szosy i przez czas pewien czekać w cieniu grupy drzew. Kiedy jego wóz stał unieruchomiony wśród rosnącego tłumu postaci w powłóczystych szatach, pastor uległ na moment panice: pomyślał, że na przestrzeni kilku mil tylko on i Helena są białymi ludźmi – niby misjonarze pośród wrogo usposobionych tubylców, co nie bacząc na nic suną, by szukać jakiegoś pogańskiego odkupienia w wodach rzeki Kongo. Nagle zapanował względny spokój: większość Murzynów zniknęła na drodze prowadzącej do miasta zostawiając za sobą kłęby gorącego, miążskiego piasku, które wirowały w powietrzu i opadały tworząc na masce silnika cienką szarą powłokę. Helena zaczęła kasłać. Otarła spocone czoło. Carey nacisnął starter i wóz potoczył się dalej szosą. Nie odezwali się słowem od czasu, kiedy zajęli miejsca obok siebie, chociaż pastor próbował kilkakrotnie odchrząknąć zachęcająco. Obecnie jednak stwierdził, że mówi, nim zdążył zrozumieć własne słowa.

– Co odczuwasz w tej chwili, Heleno?

Nastąpiła długa cisza. Mijali zarośla i mokradła, stację benzynową i obskurny przydrożny motel. Wreszcie Helena odpowiedziała bezbarwnym tonem:

– Zmęczenie.

– Nie o to chodzi, moja droga. Co odczuwasz... w związku z... z tym wszystkim? – podjął wielebny Carey Carr.

Kącikiem oka zobaczył, że jego pasażerka podnosi rękę i dotyka dwoma cienkimi, białymi palcami pofałdowanej szyi. Był to bezwiedny gest skupienia, jak gdyby padło matematyczne pytanie, zawile, wymagające głębokiego namysłu. Dopiero po chwili odpowiedziała spokojnie:

– Nie mam pojęcia, Carey. Jak można coś wiedzieć, kiedy człowiek jest kompletnie zagubiony. Rozumiesz, co mam na myśli, prawda? Dawniej wszystko wyglądałoby odmiennie, bo istotnie było różnie. Potrafiłam odczuwać wydarzenia nie gorzej niż inni. Ale wiesz równie dobrze jak ja, co się stało, kiedy runęło wszystko... Peyton... Ucieczka Milтона... Mówiłam ci już o tym. Nie chcę się dziś powtarzać.

Odwróciła głowę w stronę okna.

– Zgubiłaś... – zaczął pastor. – Opuściłaś Boga.

– Bóg opuścił mnie. Dawniej. Kiedy umarła Maudie.

– Nie. Bóg nie opuszcza nigdy nikogo – powiedział Carey i dodał w myśli: „Nie będę mówił o tym. Za późno. Teraz liczą się inne sprawy. O Bogu możemy porozmawiać później”.

– Myślałaś, Heleno, o Miltonie? – podjął. – Zastanawiałaś się nad tym, co powiedziałem ci dziś z rana?

– Zaraz poszłam spać – odrzekła. – Śniłam. Nie zastanawiałam się nad niczym.

– Co ci się śniło? – zapytał nie bez pewnej nadziei.

– Cudowna rzecz. Plaża, jaką widywałam przed laty. Piaski. Poranne mgły. Mój ogród z czasu, kiedy naprawdę o niego dbałam.

– Milton cię potrzebuje i pragnie. Dosyć wycierpiał. Jest teraz pełen skruchy.

– O tym myślałam. Być może, masz słuszość.

Pastor poczuł, że serce zabiło mu szybciej, jak gdyby pod ożywczym tchnieniem optymizmu.

– Milton cię potrzebuje – powtórzył skwapliwie.

– Naprawdę potrzebuje. I tobie jest potrzebny. To wszystko, co ci zostało. Czy nie rozumiesz tego, kochana Heleno? Nie widzisz?

– Tak... Tak, rozumiem...

Ale jej szept zabrzmiał słabo, bez przekonania.

„Chyba się nie mylę – pomyślał Carey. – Ona posunęła się za daleko. Nikt jej już nie pomoże. Nawet Bóg. To nieuleczalny obłąd”.

Później zaczął medytować o szaleństwie w ogólności i o tej rodzinie, która na pozór bez wysiłku potrafiła zniszczyć się do ostatka. Ogarnęło go przygnębienie tak przemożne, że poczuł gniecenie w dołku, a jego wilgotne od potu dłonie zaczęły drzeć na kierownicy. Wspominał upiorny wieczór, po pogrzebie Maudie, kiedy Peyton nie było w domu, a (jak podejrzewał) Loftis krył się na piętrze. Helena powiedziała wtedy, że wszystko skończone. Nie ma Boga, nie ma niczego, skoro mogą istnieć takie potwory. Spojrzała ku górze, więc niewątpliwie miała na myśli męża, a pośrednio i Peyton. Boże! Jakim posługiwała się słownikiem! Wówczas właśnie wielebny Carey Carr zrozumiał, że niepodobna być innego zdania: Helena jest szalona – w jakim stopniu szalona, nie wiedział, ale uprzytomnił sobie z wewnętrznym jękiem zgrozy, że wystarczająco, by jego kapłańska pociecha nic nie mogła działać. Rozpacz pastora brała początek w tragedii nie tyle Heleny, ile jego własnej. Nie spełnił zadania, zawiódł. Od lat przywykł uważać Helenę za pewnego rodzaju symbol człowieka, który poszukuje Chrystusa i chociaż czyni to niedołącznie, może zostać ocalony. Ale on nie ocalił tej kobiety, nie umocnił jej wiary tak, by mogła oprzeć się klęskom. Tamtego wieczora, kiedy dął sztormowy wicher i Helena dygotała z zimna, bo jej mąż był zanadto pijany, by napalić pod kotłem centralnego ogrzewania, poczucie grozy i klęski ścisnęło serce pastora niby oślizła, pomarszczona dłoń topielicy. Na krótko został

apostatą i do Boga, który nie objawił się mu jeszcze, zwrócił tchórzliwą, okrutną modlitwę: „Czemu Ty, Boże..”. Mimo wszystko jednak nie zrezygnował ze starań, nawet po pogrzebie Maudie.

A teraz znowu to! Szalona czy nie szalona, Helena jest potworem. W żaden sposób nie okazała mężowi litości ni zrozumienia, a przede wszystkim haniebnie traktowała Peyton. Ale i Loftis nie był nigdy świetlaną duszą. Jedyne Bóg potrafi rozstrzygnąć, gdzie rozpoczął się, gdzie zakończył krąg tragicznych podejrzeń i waśni? Kogo winić należy za pierwszy fałszywy krok? Peyton? Nie wolno pominąć Peyton. Nie była bez zarzutu? Inne dzieci dawały sobie radę z poważniejszymi trudnościami. Może trafna odpowiedź brzmi właśnie: Peyton.

Wielebny Carey Carr zahamował gwałtownie. Pograżony w zadumie omal nie przejechał ubranej w chrestne szaty chudej Murzynki na rowerze, która nie bacząc na nic pedałowala zawzięcie, a na twarzy miała wyraz nieziemskiego upojenia.

– Ach! Przepraszam, Heleno! – zawołał, a gdy odzyskał równowagę ducha, podjął spokojniej: – Przez pewien czas wydawało mi się, że odnalazłaś?

– Co? – zapytała głucho.

– Wszystko, czego szukałaś. – Przez moment prowadził wóz w milczeniu. – Tak sądziłem po... po śmierci Maudie.

– Nie.

– Nie – powtórzył pastor tonem twierdzenia i westchnął.
– Niczego nie odnalazłaś – zrobił krótką pauzę, aby dodać łagodnie, bezdźwięcznie: – On potrzebuje ciebie. Wzajemnie jesteście sobie nieodzowni... Spójrz! Spójrz tam!

– zawołał nagle.

Na podjeździe rudery mieszczącej stację benzynową i jak się wydawało, coś w rodzaju motelu, przed opustoszałą limuzyną stał zaparkowany karawan. Carey skręcił raptownie z szosy, aż opony zgrzytnęły. Zatrzymał wóz za limuzyną i rozejrzał się dokoła. Nikogo nie mógł dostrzec, lecz za podniesioną maską karawanu słychać było szmer głosów. Coś metalowego – młotek lub klucz francuski – upadło z brzękiem na żwir.

– Niewątpliwie to oni – zwrócił się Carey do towarzyszki.

– Niewątpliwie.

– Ciekawe, co się stało?

– Nie wiem.

– Ciekawe, co się stało – powtórzył, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, dodał: – Cóż, trzeba pójść i sprawdzić.

– Aha.

– Może chcesz wysiąść, wstąpić na chwilę do tej budy? W samochodzie strasznie gorąco.

– Nie.

– A może jednak?

– Nie.

Popołudniowy skwar zdawał się rozsiewać senną ociężałość i ciszę. Szosą przejechała ciężarówka pełna Murzynów; hałas, jaki robiła, oddalił się w kierunku wschodnim, ustal. Smagane słońcem przydrożne pola były suche, spieczone, zwiędłe, jak w czasie długotrwałej suszy. Pośród chwastów nie krzątały się ani nie bzykały owady. Położony opodal ciemny las sosnowy nie dźwięczał głosami ptaków. Wszystko co żywe kryło się przed upałem. Powietrze było ciężkie od wyczewów benzyny. Pastor zaczynał znów ociekać potem.

– Heleno, czy naprawdę chcesz siedzieć... tutaj?

– Tak.

Postąpił krok w stronę karawanu, lecz odwrócił się zaraz, bo Helena coś powiedziała – jak mu się zdawało: „Zaczekaj”.

– Nie chcę zobaczyć tej kobiety – ciągnęła sucho, rzeczowo. – Rozumiesz, Carey? Ona jest...

– Co takiego, droga Heleno?

– Nie chcę zobaczyć tej kobiety. Nie chcę jej widzieć na oczy.

Pastor wrócił do swojego wozu, przez okno spojrzął na Helenę. Był zły, rozczarowany, zawiedziony.

– Heleno – powiedział tonem łagodnej wymówki–dlaczego wybrałaś się dziś ze mną? Jeżeli tak się zapatrujesz... Dlaczego, na miłość boską? Czy jedynie dlatego, że tak wypadało postąpić? Tylko dlatego? – urwał zdenerwowany, roztrzęsiony. – Bardzo przepraszam, moja droga– zakończył.

Odwróciła się, lekko skłoniła głowę.

– Wszystko dałabym za papierosa – szepnęła.

– Wszystko!

– Bardzo przepraszam, Heleno – powtórzył pastor i zbliżając się do karawanu pomyślał: „Ona utraciła miłość, może i rozpacz. Ale z pewnością pozostała jej nienawiść”.

Nad silnikiem pochyłały się trzy osoby: monter ze stacji obsługi, pan Casper i Barclay. Na widok pastora pan Casper wyprostował się i w zawodowym uśmiechu odsłonił dziąsła.

– Aa... pan Carr – westchnął. – Fatalny dzień, proszę pana. Fatalna historia. Wszystko układa się jak najgorzej. Czy pan przyjechał z matką nieboszczki?

– Tak. Fatalna historia.

– Istotnie okropna. Zdarzył się nam mały defekt. Ale poradzimy sobie lada chwila. Lada chwila, proszę pana. Telefonowałem już do zarządzającego cmentarzem. Wszystko gotowe. Bardzo przykry wypadek. Jeden z najsmutniejszych, jakie mi się przytrafiły.

Carey przyznał, że wypadek jest niewątpliwie przykry, a następnie pan Casper, który w skrytości serca uważał się za osobistość namaszczoną nie gorzej niż wszyscy kapłani Pana nad Pany, mówił przez chwilę o niepojętych drogach opatrności bożej – zagadkowych i tajemniczych dla zwykłych śmiertelników. Mimo spiekoty i płomiennego słońca, które groziło wypaleniem dziur w dwu identycznych panamach, pastor i przedsiębiorca pogrzebowy gawędzili przez czas pewien w atmosferze doskonałego wzajemnego zrozumienia.

Ale upał był rzeczywiście nieznośny, więc Carey przerwał panu Casperowi, który złożony na piersiach czerwone, piegowate dłonie rozprawiał o łasce uświęcającej chrześcijańskiego pogrzebu, aby zapytać, gdzie podziewa się Loftis.

– Jest w bufecie – odrzekł pan Casper – z jedną osobą... panią Bonner, o ile mi wiadomo – po jego twarzy przemknął nikły uśmiech, łobuzerski, a zarazem pełen przygany. – Jest w bufecie – powtórzył. – Może zechce mu pan powiedzieć, że będziemy gotowi za kilka minut. Zmarnowaliśmy już pół godziny, a zarządzający cmentarzem...

Carey ruszył spiesznie w stronę bufetu, lecz przed drzwiami odwrócił się, żeby spojrzeć na Helenę. Siedziała nadal w samochodzie, zapatrzona uparcie w przestrzeń. Nadciągnął podmuch wiatru, zaszeleścił cicho wśród sosen, nakrył firanką pyłu karawan i samochody, przyniósł popiół i uschnięte liście. Helena nic nie widziała: spoglądała prosto przed siebie, ku nagim polom. Jej włosy ułożone starannie – siwa fala za siwą falą – czyniły upiorne wrażenie.

– Heleno – zaczął Carey i wyciągnął rękę, ale wszelka przemowa nie miałaby sensu, bo Helena wcale go nie widziała.

Stanowczym krokiem wszedł do bufetowej salki.

Loftis siedział w łóżce przy oknie. Oburącz trzymał butelkę piwa, jak gdyby w sakramentalnym uścisku. Z radia dobywała się muzyka rozrywkowa. Drugą łóżkę zajmowała Dolly – osamotniona, zapłakana. Oglądała chustkę do nosa, daremnie szukając suchego miejsca. Na dalszym planie znana Careyowi Murzynka – Ella Swan – przycupnęła pokornie na skrzynce po whisky, wśród asortymentu opon i puszek smaru. Kiedy zobaczyła pastora, wstała z tłumionym powitalnym okrzykiem, ale on położył palec na ustach i cicho podszedł do Loftisa. Ten nie poznał go w pierwszej chwili, tylko zwrócił ku górze twarz bez wyrazu. Pasma siwych włosów zwisało żałośnie na czoło, oczy były mętne, szkliste, przekrwione. Carey przypomniał sobie zdanie o wejrzeniu człowieka, „który spoglądał w przepaść tak długo, że przepaść jąła spoglądać na niego”. Bez słowa usiadł naprzeciwko Loftisa.

– Miltonie – odezwał się po chwili. – Nie potrafię wyrazić, jak serdecznie ci współczuję. Jeżeli mógłbym...

– Nie – przerwał Loftis i bezradnie machnął ręką.

– Nikt nie może już nic zrobić.

Niezręcznie przechylił butelkę, zaczął pić piwo.

– Mogę ci pomóc – odparł pastor – trochę. Nie wiem, jak wiele, lecz zdaję sobie sprawę, co czujesz po... po tym wszystkim. Nie pragnę, abys pokładał wiarę we mnie lub nawet w Bogu, skoro nie jesteś dziś po temu usposobiony.

– Umilkł na moment, bardzo delikatnie odciągnął butelkę od zwróconej ku sobie twarzy, przypominającej twarz przerażonego niemowlęcia, które ssie sutkę matczynej piersi.

– Wiesz, co ci powiem? Nie lubię wygłupiać się na temat tych rzeczy, ale mógłbyś chyba dać spokój picciu. Chociażby dzisiaj. Zechciej posłuchać mnie przez chwilę. Zgoda, Miltonie?

– Straciłem córkę.

– Wiem. Chciałbym...

Loftis odwrócił wzrok, podparł czoło ręką.

– Nie mów tylko – szepnął łagodnie – że to zrządzenie boże. Nie opowiadaj bredni. Straciłem córkę. Muszę...

– Miltonie – przerwał Carey – mamy niewiele czasu. Powiedz tylko jedno. Czy chcesz odzyskać Helenę? Oto gotowe rozwiązanie. Już masz je w rękach... prawie. Rozumiesz, Miltonie? Helena także zdaje sobie z tego sprawę, ale jest jeszcze zbyt ambitna. Ty musisz starać się, próbować i jeszcze raz próbować. Ty winienesz przekonać ją, jak nieodzownie jesteście sobie potrzebni. Rozumiesz, Miltonie?

– Już próbowałem – odrzekł bezdźwięcznie. – Już próbowałem. Cóż więcej mogę zrobić? – Ton jego głosu był głuchy, bolesny, lecz zupełnie pozbawiony nadziei.

Loftis odzyskał swoją butelkę i pociągnął łyk piwa.

– Ona jest szalona – podjął. – Chora. Robiłem, co mogłem. Cóż więcej mogę zrobić?

– Powiedz jej wszystko zaraz.

– Boję się.

– Boisz się? Czego? – zapytał Carey. – Boisz się, że ona nie zechce...

– Właśnie! Boję się, że nie zechce powiedzieć: tak.

– Uprzytomnij sobie, Miltonie, jasno i stanowczo, dlaczego pragniesz odzyskać Helenę. Musisz być pewien, że to nie reakcja na... na to wszystko. Dlaczego pragniesz ją odzyskać? Zastanów się. Zajrzyj głęboko we własne serce. Dlaczego?

Loftis milczał. Straszliwy żar popołudnia spowijał ich jakby zwojami waty. Dwie wywrotki załadowane maszynami przejechały wolno szosą pozostawiając ciemne, tłuste smugi spalin; podmuch wiatru uniósł te obłoki, rozproszył, pogubił między sosnami. W zaroślach zaczął śpiewać kos wielogłosey– zaczął i przestał. Loftis i pastor uświadomili sobie naraz ochryple łkania dobiegające z łóżki Dolly. Ale i płacz ucichł raptownie. Pod sufitem obracał się czterokończasty drewniany wentylator, a z jego miarowym szmerem rywalizował płynący z radia łagodny, posępny lament religijnej pieśni i religijnej grozy:

Żebrakiem jeno był on, Łazarz,

Co leżał w prochu u wrót bogacza.

Płomienny blask słońca przeniknął zazdrostkę rojnego od much okna, padł na twarz Loftisa i ten wzdrygnął się nerwowo.

– Dlaczego? – powtórzył Carey.

Loftis ścisnął głowę dłońmi.

– Dlaczego, człowieku! – wybuchnął. – Na Boga! Przecież ja ją kocham – podniósł wzrok. – Kocham i zawsze kochałem. Rozumiesz? Niepotrzebnie tu siedzisz i sondujesz mnie na swój przemyślny, układny sposób, bo...

– Wcale cię nie sonduję.

Głos Loftisa załamał się, spojrzenie umknęło w bok.

– Bardzo przepraszam. Wiem, że robisz, co w twojej mocy. Chcę tylko, by ten dzień skończył się wreszcie.

– Spojrzał znów na pastora i podjął znacznie łagodniejszym tonem: – Był czas, kiedy zdawało mi się, że znalazłem coś w rodzaju odpowiedzi. Mój Boże! W drodze przez życie nieustannie robimy z siebie durni. Łudzimy się, że trafiliśmy na rozwiązanie, ale nigdy nie bywa to rozwiązanie prawidłowe. Sądziłem, że odejście Maudie podziłała na nas. Tak się też stało, na krótko. Jej śmierć zbliżyła nas. Ba! Nawet dałem spokój picciu. Zdołałem się przełamać. Mówiłem sobie: do diabła z tamtym drugim życiem! Myślałem, że honor ma też coś do powiedzenia na tym świecie doszczętnie odartym z honoru. Myślałem, że szczęście to chyba nic innego niż świadomość życia spędzonego uczciwie mimo takich czy innych codziennych przykrości, które trzeba cierpliwie znosić. A jeżeli uczciwie spędzone życie polega nawet na ustępstwach, kompromisach, pokorze, bólu zadawanym kochanymi rękami, jest mimo wszystko lepsze niż życie ogołoczone z honoru.

Umilkł, zwrócił wzrok ku nagim polom. Pot spływał mu po twarzy. Zanosiło się na deszcz. Nad widnokretem wyrastały czarne, burzowe chmury, groźne i postrzępione. Poryw wiatru ogarnął daleki sosnowy las, smugami światła przebiegł po jego powierzchni – niby grubymi paluchami. Loftis zakrzuszył się, jak gdyby zaczął wymiotować. W tej chwili Dolly podeszła i ocierając oczy stanęła przy stoliku.

– Miltonie... – zaczęła.

Ale Milton zupełnie ją zignorował.

– A więc – zwrócił się do Careya – przez czas pewien starałem się, próbowałem. Trwało to blisko rok. Honor! Rozumiesz, Carey? Potem było wesele Peyton...

Pastor skinął głową. Aż za dobrze pamiętał to wesele.

– Nie mogłem wytrzymać dłużej – ciągnął Loftis.

– Wyniosłem się z domu tego samego dnia. Teraz żałuję, bo nie zdawałem sobie sprawy, że honor nie przychodzi automatycznie. Człowiek musi o niego walczyć nie inaczej zapewne niż o miłość. Chyba ty mówiłaś Helenie, że miłość wymaga walki. Powtórzyła mi to kiedyś. Dziś rozumiem tę prawdę, ale jest już za późno. – Przez moment przyglądał się Dolly, następnie Careyowi. – Cóż, wyniosłem się z domu. Nie rozumiałem wtedy, jak lekkomyślnie postąpiłem. Nie rozumiałem, że tamten dzień to tylko jeden z wielu kamieni milowych przy drodze. Walczyłem nie dość zawzięcie. Byłem niecierpliwy. W pięćdziesiątym pierwszym roku życia byłem niecierpliwy jak głupi smarkacz. Koniecznie chciałem pozbyć się jednego, co naprawdę warto posiadać na tym świecie i co posiadałem. Helena, chora czy zdrowa, szalona czy przytomna, to jedyna osoba warta pięćdziesięciu jeden i więcej lat życia... Była wciąż piękna, przynajmniej dla mnie... Piękna, do wszystkich diabłów! Jak rozkwitła róża... – Urwał i zaczął płakać.

– Rozumiem – szepnął Carey. – Rozumiem.

W tym momencie trzasnęły drzwi wahadłowe. Pan Casper podszedł, stanął obok Dolly, z góry spojrzął na Loftisa.

– Wszystko gotowe, proszę pana – oznajmił cicho.

– Niewymownie mi przykro. Nigdy dotychczas nie spotkało mnie coś podobnego...

Loftis podniósł się z tłumionym stęknieniem.

– Miltonie... – zaczęła znów Dolly dotykając jego ramienia. Lecz i tym razem nie zwrócił na nią uwagi.

Carey wstał również. Gdzieś na zachodzie rozległ się grzmot, bardzo cichy i daleki. Dzień pociemniał na moment. Smutne zielone cienie wtargnęły do bufetowej salki. Z zagraconego kąta, w którym siedziała Bila (albo raczej, w którym dźwignęła krępa postać, by w powodzi koronek i żalobnej czerni poczłapać w stronę reszty towarzystwa), zadźwięczały gitary; ich donośny akompaniament tłumił, zagłuszał żaloszny głos kobiecy, przydając mu tym samym więcej tragicznej nuty:

A oni zostawili go, by konał

Jak żebrak, u skraju drogi.

Wrócił dręczący upał. Loftis człapał ciężko ku drzwiom. Z jednej strony pan Casper dotykał jego ramienia nieudolnie pocieszającym gestem, z drugiej czepiała się go Dolly. Ella podeszła do wielebnego Careya Carra. Ukłoniła mu się niezgrabnie, prawie dygnęła.

– Myślę, proszę księdza pastora – zaczęła – że ksiądz pastor zaprowadzi kazaniem prosto do nieba to biedne, kochane dziecko.

– Tak.

– Biedne, kochane dziecko. Jedno nam tylko zostało, proszę księdza pastora: modlitwa. Musimy modlić się z wiarą i zrozumieniem, jak święty apostoł Paweł – zaczęła popłakiwać, ocierać oczy rękawem. – Ulituj się, dobry Boże!

– jęknęła. – Spadła na nas surowa kara i jak głosi słowo boże, nadszedł kres wszystkiemu, co cielesne, a cała ziemia stała się królestwem gwałtu.

– Aha... – Carey poklepał Ellę po ramieniu i delikatnie popchnął ją w kierunku drzwi, a następnie przemówił raczej bez przekonania, bo świat wydał mu się nagle dziwnie mroczny i pusty: – Pan nad Pany w niezmiernej swojej łasce i miłosierdziu czuwa nad nami, czy znajdujemy się między żyjącymi, czy pośród zmarłych, na wieki wieków amen.

Przed drzwiami Loftis tkwił samotnie na stopniach ganku. Dolly oraz pan Casper byli już w limuzynie. Barclay wrócił za kierownicę karawanu. Monter ze stacji obsługi stojący ze szmatą w ręku obok schodków, strzyknął na żwir brunatnym sosem z prymki, który muchy obsiadły niezwłocznie. Spod garażu wypełznął kot z myszą w pyszczku; podejrzliwie, uważnie zerknął na ludzi i dał nura z powrotem.

– Ona nie chce na mnie spojrzeć – westchnął Loftis.

– Nie chce!

W wozie pastora Helena siedziała zapatrzona posepnie w przestrzeń; wachlowała się mapą drogową. Carey położył dłoń na ramieniu jej męża.

– Nie martw się, Miltonie – powiedział. – Na wszystko przyjdzie pora. Wkrótce wasze sprawy ułożą się pomyślnie. Teraz jedź z panem Casperem.

– Właśnie! Później... Tak... Tak... – wyjąkał Loftis.

Wraz z Ellą wsiadł do limuzyny. Powiał znów wiatr, gorący, suchy. Powietrze wypełnił odór słodkawym i mdlącym, obrzydliwym jak zaduch zwęglonego mięsa. Carey spojrzął w stronę sosen, gdzie jacyś ludzie opalali świńską tuszę nad płonącym w dole ogniskiem. Chwasty pochylały się i drżały, kiedy samochód wyjeżdżał na szosę.

Wielebny Carey otarł spotniałe czoło.

Pastor pamiętał czas, gdy tchnienie łaski bożej ogarnęło rodzinę Loftisów, a wszystkie jej sprawy zdawały się wyjaśniać i jak gdyby zmierzać ku poprawie, może nawet ku doskonałości. Działo się tak w ciągu roku, który nastąpił po zgonie Maudie w Charlottesville. Kiedy po jej pogrzebie Carey opuścił dom żałoby wspominając obłądną rozpacz Heleny (nie powiedziała mu „do widzenia”, lecz mającyla o czekaniu: „czekałam, całe życie czekałam” lub coś w tym sensie), spodziewał się wszelkich nieszczęść: morderstwa, samobójstwa, Bóg wie czego. Nie wydarzyło się wszakże nic groźnego, wstrząsającego. Przejściowo zostawił Helenę samej sobie. Oceniając w pełni swoje braki sądził, że jego ingerencja może ją tylko irytować i ranić, gdyż ożywi wspomnienia z okresu, w którym łączyła ich atmosfera nadziei. Helena sądzi, że nie ma Boga – niech i tak będzie. Może odnajdzie spokój wśród kwiatów i w kojącym sercu snu, do którego tuli się niby do łona matki. Jest chora – niech pójdzie do lekarza. W tym sedno sprawy. Wielebny Carey Carr nie był w stanie przewidzieć, iż Helena zmieni się radykalnie, lecz na pozór tak łatwo, że jego zdrowy rozsądek winien podnieść czerwoną flagę alarmową.

Odwiedził ją dopiero po upływie dwu miesięcy. Poprzednio ograniczał kontakty do niewielu grzecznościowych rozmów telefonicznych. Przy tych okazjach odnosił wrażenie, że pani Loftis przychodzi stopniowo do siebie, gdyż głos miała opanowany, wolny od hysterii, spokojny. Później, w pogodne lutowe popołudnie zastał ich obydwójce przy herbacie. Helena wstała od stołu, by życzliwie przywitać gościa, który zdumiał się, że jest starannie ubrana w dyskretnie szarą suknię stanowiącą ustępstwo wobec żałoby i stosowanym umiejętnie pudrem stara się bez szczególnego powodzenia ukryć sińce pod oczami. Rozmowa nie zahaczyła ani razu o Maudie, nieubłaganą rękę przeznaczenia lub inne przykre kwestie; obracała się głównie wokół przyszłych zmian w domu, planowanych na wiosnę prac ogrodowych i tym podobnych spraw ważnych i praktycznych. Zbierając okruchy tej konwersacji Carey dowiedział się pośrednio i nie bez zdziwienia, jak właściwie wygląda sytuacja. Wyglądało na to, że Loftis przeprowadza z wysiłkiem osobistą, wewnętrzną rewolucję – w obecności pastora i w atmosferze potwornych tortur. Kiedy Helena mówiła tonem rozmarzenia i nikłej melancholijnej nadziei o czekających Loftisów rozmaitych dobrych rzeczach, jej mąż kręcił się niespokojnie, wzdychał, z bolesnym i kamiennym wyrazem twarzy spoglądał w okno, popijał z wolna niesmaczną herbatę. On dokonywał nieprawdopodobnych czynów; nie

ona: zaczynał brać się w garść. Był to widok pokrzepiający, ale pod jednym względem żaloszny; wielka gra nie stanowiła mistycznego aktu wiary; wyrażała jedynie śmiały bunt człowieka znudzonego bezcelowością, której ofiarą padał przez połowę życia. Czy przestał pić? Najwidoczniej. Zaczynał właśnie poznawać rozkosze herbaty. Czy zerwał z Dolly? Z pewnością na to wygląda. Co się stało? Może wina Loftisa – niby kudłata, obmierźła bestia – pełzała nocami wokół jego łóżka i wypełniała sny myślami o klęsce i śmierci tak, że budząc się widział jedyne rozwiązanie w takiej właśnie próbie? Może pobudką była litość dla Heleny, może miłość? Może w Charlottesville czarne oblicze katastrofy zmroziło go tak straszliwie, że uczepił się żony, rozpaczliwie, nieodzownie potrzebując oparcia?

Carey nie umiał odpowiedzieć na te pytania, nie wątpił jednak, że biedny Loftis podejmuje bohaterską próbę i jeżeli nawet nie uratuje siebie, zrobi już wielki krok w kierunku uzdrowienia żony. Helena nie była oczywiście radosna – daleko do tego – lecz z pewnością nie grzęzła w samobójczej rozpaczach jak przed kilkoma miesiącami. Podnosząc do ust filiżankę, powiedziała cicho:

– Czasem zwyczajne dotknięcie ręki może ocalić. Jak sądzisz, Carey? Czy nie mam racji, kochany Miltonie?

Powiedziała to i bezwstydnie niedyskretnym gestem przesunęła rękę po atłasowej poduszce, by dotknąć różowej, nieopornej dłoni, a następnie ścisnąć ją tak mocno, że krew odpłynęła z palców Loftisa.

W tym momencie Carey odczuł, że znużyły go usiłowania, by tę kobietę zrozumieć. Obawiał się, że śmierć Maudie powali ją, zabije. Przez pierwsze kilka dni wydawało mu się, że ma słuszność, gdyż nie brał pod uwagę uzdrawiającej mocy Loftisowego nawrócenia. Radowało się w nim serce, zarazem jednak był nieco rozgoryczony, iż jeden zgon dokonał z dnia na dzień tego, czego nie potrafiły sprawić jego wieloletnie kazania o potędze wiary.

Ślub Peyton odbył się w sobotnie popołudnie w październiku tego samego roku. Dzień był ciepły, olśniewająco jasny. Podmuchy wiatru niosły pozółkłe liście i ostry, czysty, słony zapach, taki, jaki w ogłoszeniach nadmorskich miejscowości nazywa się „zbawczym”. Całą ceremonię urządzono w domu. Przed tygodniem Carey odbył miłą pogawędkę telefoniczną z Loftisem, który mówił, że wszystko układa się pomyślnie, bardzo pomyślnie. Helena przesyła serdeczne pozdrowienia, obydwójce niecierpliwie czekają Peyton itd., itd. Tamtego sobotniego popołudnia, wioząc Adrienne do Loftisów, pastor wpadł na myśl nie najbardziej oryginalną, iż kultura chrześcijańska nie zna obrzędu równie jak ślub podniosłego, budującego, dostojnego.

– To symboliczne potwierdzenie moralnego ładu świata – powiedział na głos.

– Nie bądź taki pompatyczny – uśmiechnęła się pobłażliwie Adrienne, więc umilkł i przez czas pewien jechali bez słowa.

– Piekielnie trudno to zgłębić – odezwał się wreszcie pastor.

– Co?

– Wzajemne zrozumienie, które osiągnęli.

– Kto?

– Loftisowie, oczywiście.

– Dlaczego trudno? – zapytała raz jeszcze Adrienne.

– Widzisz... z rozmaitych przyczyn... Mam wiele szacunku dla Heleny Loftis, ale nie mogę pojąć, czemu Milton przy niej zostaje. Zwłaszcza że to typ specyficznego pokroju. Ja nie wytrzymałbym z nią... jako mąż.

– Może dlatego – rzuciła z chłodnym uśmiechem Adrienne – że pani Helena Loftis ma forszę?

– To wcale niezabawne – obruszył się wielebny Carey Carr.

– Dlaczego niezabawne?

– Bo ty, jako żona człowieka ubogiego, powinnaś wiedzieć, że pieniądze nie wiążą ludzi.

– Czasami wiążą – mruknęła.

– Nie bądź cyniczna – obruszył się pastor. – Pieniądze nie stwarzają zależności... Albo inaczej... Jeżeli nawet stwarzają zależność, powiedzmy, materialną, nie mogą skłonić do znoszenia tortur bliskich szaleństwa. Pieniądze to za mało.

– Skąd wiesz, że on znosi tortury? – powiedziała Adrienne. – Może ją kocha. Może odpowiada mu taka właśnie kobieta albo sytuacja.

– Jaka znów sytuacja, Adrienne? – rzucił dość szorstko Carey. – Co ty opowiadasz?

– Sytuacja – wyjaśniła – w której nie musi być stuprocentowym mężczyzną. Nareszcie nie musi.

– Słowo daję, Adrienne – obruszył się pastor. – Mówisz, jak gdybyś cytowała jednego z tych psychiatrów, co upraszczają wszystko na użytek laika.

– Nie, mój drogi. Dodaję tylko dwa do dwóch. Zresztą nie upieram się przy „sytuacji”. Pan Loftis może kochać żonę. My, chrześcijanie, winniśmy, zdaje się, nazywać coś takiego...

– Adrienne! – przerwał. – Przykro mi, że mówisz podobnym tonem w takich sprawach. Nie będę...

– Dobrze, dobrze, mój miły – pogładziła rękę męża.

– Przecież żartowałam.

Wielebny Carey Carr był urażony i myślał, że dla niego osobiście wesele zaczyna się nie najlepiej, wołał jednak święty spokój, więc pogłaskał również rękę żony.

– Czegoś takiego należy oczekiwać w małżeństwie z nadmiernie światową młodą osobą z Bryn Mawr – powiedział.

Był to stary, wypróbowany dowcip, więc obydwójce roześmiali się lojalnie, a Carey odczuł ulgę, jak gdyby rzucił przemoczone buty. Zażegnał przecież coś, z czego mogło wyniknąć całodzienne napięcie i rodzinne kwasy. Nie mówili więcej o Miltonie i Helenie, lecz nim zajechali przed ich dom, wzięli na warsztat Dolly. Osądzili zgodnie, że ma ona obecnie ciężki los, ale sama sobie winna. Nikt nie odpowiada za to, że musi teraz żyć jak karmelitanka czy zgola pustelnica, że wygląda na własny cień, bo z żalu po Loftisie straciła co najmniej dwadzieścia funtów wagi. Jasno stąd wynika, że nie śmierć, lecz izolacja stanowi cenę grzechu. Następnie przyszła kolej na Peyton, której Carey ani Adrienne nie znali jako osoby dorosłej. Jednakże w świetle plotek na temat przyczyn, dla których opuściła szkołę oraz jej wątpliwego prowadzenia się w Nowym Jorku, orzekli jednomyślnie, iż ślub w rodzinnym domu to najlepsze, co mogła wymyślić, bo tutaj przecież głęboko tkwi korzeniami. Pastor musiał skarcić łagodnie żonę z racji lekceważącego tonu, jakim posłużyła się mówiąc o przyszłym mężu Peyton – Harrym Jakimśtam – tylko dlatego, że był Żydem i „na domiar złego malarzem”.

– Jak sądzisz, Carey? – podjęła Adrienne. – Dlaczego młoda para przyjeżdża tu mimo wszystkiego, co zaszło między Peyton a Heleną?

– Nie wiem, moja droga – pokręcił głową i omal nie wspomniał o wzruszających, mistycznych więzach łączących córkę z ojcem, bo sam nie miał córki. Jednakże po namyśle wolał zająć się prowadzeniem wozu i nic nie powiedział. Życie bywa niekiedy bardzo skomplikowane.

W istocie rzeczy sprowadzenie Peyton do domu było robotą Loftisa. Kiedy obudził się w dniu wesela, wczesny blask słońca malował koce w ukośne pasy, a chłodne powietrze pachnące delikatnie palonymi gdzieś daleko liśćmi napływało przez uchylone okno i chłodziło policzki, jak wachlarzem. Od lat nie czuł się równie ochoczo i młodo. No i jeść mu się chciało – był głodny potężnie, zdrowo, naturalnie. Nie zdarzało mu się to od dawno minionych czasów, gdy jako ucznia szkoły z internatem, budziło go w niedzielny poranek leniwe pobrzękiwanie dzwonnka. Ziewał wtedy, przeciągał się, patrzył na jasną powódź październikowego światła, zasnutego po trosze pyłem i dymami; znów przeciągał się i ziewał wdychając płynący z dołu zapach świeżych naleśników; czuł przemożny, mocno drażniący głód – nie potrafiłby określić czego: naleśników czy kobiety, która wsunęłaby się do jego łóżka! Chyba jednego i drugiego.

Rano w dniu wesela córki Loftis ziewnął, usiadł na łóżku, żeby czknąć łatwiej, i przejrzawszy się w szybie otwartego okna stwierdził z zadowoleniem, że nadal jest przystojny. To samo powiedziała Helena poprzedniego wieczoru, podczas przerwy koncertu w ratuszu, gdzie wybrali się razem. Obecnie chciał potwierdzić jej opinię, więc zacisnął zęby i lekko zmrużył oczy, aby stać się jak najbardziej podobnym do lorda Mountbattena¹³. Ale odbicie w szklance zmieniło go nagle w podniszczonego i podstarzałego satyra, więc zawstydził się trochę własnej próżności i wstał z łóżka. W domu panowała alarmowa atmosfera gotowości; z parteru dobiegały odgłosy ożywionego ruchu. Była dopiero dziewiąta, lecz na podjeździe stał już pod sykomorami wóz przedsiębiorstwa urządzającego przyjęcie – furgonetka zalotnie malowana w różowe gołąbki i druhny tejże barwy. Poranny dobry humor Loftisa był naturalny, rozkoszny, szczery, tym bardziej żywiołowy, że zamykał kilkumiesięczny okres obaw z racji przeczuwanej i odwlekanej z dnia na dzień katastrofy. Podobnie alpinista, którego dręczyły straszne sny o lawinach, budzi się z radością i żywo wychodzi z namiotu, by odetchnąć orzeźwiającym górskim powietrzem.

13 Louis Mountbatten (dawne nazw. Battenberg) hrabia Burmy (ur. 1900) – admirał brytyjski, wuj i przybrany ojciec Filipa księcia Edynburga, męża królowej Elżbiety II.

Nieposkromiona wesołość oszalała go nieco, więc w przypływie nadmiaru życzliwości dla świata otworzył okno zamaszystym gestem i pozdrowił okrzykiem Edwarda, który w mundurze pułkownika wyłonił się zza furgonetki popijając, jak się zdawało, piwo.

– Dzień dobry! – zawołał Loftis.

– Sie miewasz, stary – odkrzyknął Edward i zerkając ku oknu, podniósł szklanę. – Pora wyleźć z nory, co?

– Zaraz zejść, Edwardzie. Nie za zimno na dworze, by żłopać piwo? Myślałem, że pojedziesz do Williamsburga.

– Pilnuję porządku w domu. Helena pojechała sama. Mówiła, że tutaj bardziej się przydam. Ha! – pociągnął łyk; na jego wargach pozostała koronka piany. – Ha! Jej się zdaje, że okryty bliznami weteran może pomóc w weselnych przygotowaniach! Babskie gadanie!

Edward przeżył Guadalcanal, skąd przywiózł rany w kark oraz w część ciała, którą uparcie nazywał „pupką”, i bynajmniej nie starał się ukrywać tego faktu. Poprzedniego wieczora przyjechał z Camp Lee.

Loftis nie pozwolił rozmowie zboczyć na manowce.

– Kiedy Helena wyjechała? – zapytał.

– Godzinę temu. Zabierze Peyton i jej kawalera z domu jakiejś koleżanki, gdzie nocowali, i mają zamiar zjeść śniadanie, nim tutaj przyjadą. Rozmawiała z nimi przez telefon.

No, rusz się, stary. Chodź na dół na jednego. Zrobimy początek przyjęcia i...

– Nie, dziękuję, Edwardzie. Nie chcę rozpocząć za wcześnie – uśmiechnął się pobłaźliwie i zamknął okno, bo chłód poranny zdążył przeniknąć pod pizamę.

Wzmianka o czymś do picia zasepiła trochę Loftisa, bo wśród jego licznych szlachetnych postanowień wstrzeźliwość zajmowała pierwsze miejsce. Ale przykre wrażenie minęło szybko. Peyton przyjeżdża! To wystarczy. W takt własnego nieuczzonego tenorka szorował się w wannie. Śpiewał piosenkę Cole'a Portera i rozmyślał o pięknych widokach na przyszłość, wewnętrznej dyscyplinie i sukcesach. Pluskał się w wodzie jak dziecko, chlapał dokoła gąbką, zbierał mydlaną pianę z włosów na brzuchu. Za efekt najbardziej godny uwagi poczytywał fakt, że Helena nie tylko została znów żoną, matką, panią domu, nie tylko wraz z nim zachęcała Peyton do powrotu na łono rodziny, lecz również sama i z własnej woli podjęła wstępny gest powitania. Wczoraj wieczorem po powrocie z koncertu była nerwowa i roztargniona. Musiał ją uspokajać.

– Myślisz, Miltonie, że Peyton będzie zła, rozgoryczona?
– mówiła. – Jak ci się zdaje? Co nam powie? Czy ja powinnam... Czy wypada, abym pierwsza zrobiła jakiś krok pojednawczy? Rozumiesz, Miltonie? Czy mam ją pocałować albo... Taka jestem roztrzęsiona! Co myślisz o tym wszystkim? Powiedz... Jeżeli ona nie zwariowała, czemu chce się zatrzymać w Williamsburgu zamiast przyjechać prosto do nas? Dlaczego też...

Łagodnie położył dłonie na ramionach żony i nie wiadomo który raz powtórzył to samo. Z pewnością Peyton nie będzie zła ani rozgoryczona. Świadczą o tym jej ostatnie listy do obydwójga rodziców.

– Od miesięcy, Heleno, wierzysz sama, że sprawa przyjmie dobry obrót. Przecież wasza korespondencja, z początku zdawkowa i chłodna, odzyskała stopniowo ton serdeczny, taktownie wyrozumiały, jak listy z dawnych czasów. Oczywiście nie można uważać listów za niezbity dowód. Ale to bez wątplenia znak, że istnieje poważna szansa, i spróbować warto. Nie bądź niemądra, kochanie.

W rezultacie Helena opanowała się, przyznała mężowi słuszność. Ba! Tak skutecznie przekonał ją o dobrych intencjach Peyton, że dobrowolnie wysunęła zdumiewającą propozycję. Loftis zostanie w domu. Natomiast ona pojedzie do Williamsburga tylko z Edwardem, by przywieźć stamtąd Peyton i Harry'ego. W ten sposób da do zrozumienia małej, że chce ją powitać jako matka – samotna, kochająca, bez Loftisa, którego obecność mogłaby jedynie osłabić zamierzony efekt: kobiety osamotnionej w blasku październikowego słońca, skupionej, skłonnej wybaczyć wszystko, prawdziwego symbolu pokory, skruchy, gorącej miłości macierzyńskiej. Loftis pomyślał, że to projekt cokolwiek teatralny, ponieważ jednak wiedział, że jego żona nie przerasta czasami teatralnej pozy, odparł z pogodą:

– Zgoda, kochanie. Zrobisz to, co uważasz za najlepsze.

Miał własny pogląd na przyczyny, dla których jego córka i Harry postanowili zanocować w Williamsburgu, u dawnej koleżanki Peyton z Sweet Briar. Zapewne Peyton obawiała się domu i wolała nadać swojemu powrotowi charakter czegoś przypadkowego, dawkowanego oględnie. Ale z żoną nie podzielił się swoimi domysłami.

Helena położyła się spać wczesnym wieczorem. Loftis był sam i szczęśliwy, bo Peyton miała wreszcie pojawić się w domu, ale z jakiegoś szczególnego, niepojętego powodu nie potrafił określić wyraźnie swojego szczęścia. Spacerował po pokojach, prostował krzywo wiszące obrazy, spędził ćmę z jednego z wazonów, napełnionych już wodą, gotowych na przyjęcie weselnych kwiatów. Zajrzał do kuchni, gdzie Ella, La Ruth i Stonewall, syn La Ruth, siedzieli przy stole. Kobiety robiły kanapki, a Stonewall, który miał cztery lata, zajadał je z zapalem. Był to drobny, chudy chłopczyk o szarawobiałym odcieniu skóry – spuściźnie po białym człowieku, który go spłodził – i o oczach przypominających kasztany pływające w bliźniaczych kałużach mleka. Kiedy Loftis wkroczył do kuchni, malec spojrział na niego z zainteresowaniem i przestraszeniem i w tejże chwili dostał po łapach od matki.

– Gdzie pchasz te brudne paluchy? – syknęła La Ruth.

– Nieznośny bęben!

– No, jak tam idzie? – rzucił wesoło Loftis. – Jak się czujemy?

– Czujemy się pierwsza klasa – powiedziała La Ruth nachylona nad salaterką oliwek. – To frajda siedzieć w kuchni i przygotowywać wszystko na wesele. Najpiękniejszy dzień naszego życia! Jest, co trzeba: ser, zielone oliwki, czarne oliwki, kalafiorki, mieszane pikle Heinza, śledziowa ikra...

– Pewno chciałaś powiedzieć kawior? – przerwał Loftis.
– Co, La Ruth?

– Nic podobnego. Wcale nie chciałam powiedzieć kawior. Mama właśnie mówiła...

– Cicho! – uspokoiła córkę Ella i spoglądając na Loftisa uśmiechnęła się ukradkiem, lękliwie. – Ale pan dziś szczęśliwy, prawda? Trzymam zakład, że dusza w panu śpiewa.

Loftis skubnął płatek selera i przyznał, że istotnie czuje się pokrzepiony na duchu. Następnie podszedł do lodówki, aby sięgnąć po piwo. Ella zmarszczyła się niechętnie.

– Wstydziłby się pan – mruknęła tonem nagany.

– Jeden łyk. Pozwolisz, Ella? Ostatni przed utratą ukochanego dziecka. Nie może mi zaszkodzić.

Murzynka skinęła głową i udzieliwszy w ten sposób pozwolenia, schyliła się nad patelnią pełną tartej bułki. La Ruth zachichotała cicho.

– Wyłaż spod stołu, Stonewall – powiedziała. – Pan nie gryzie.

– Lepiej nie mówić o tym pani – bąknął Loftis i wyszedł na kuchenny ganek, piastując flaszkę okrytą zimnym potem. Myślał, że to ostatnia porcja – na długi, długi czas. Było chłodno. Księżyc wisiał jak blada lampa nad brzegiem zupełnie spokojnej zatoki, tłumiał lodowatym światłem blask rozsianego na niebie gwiazdnego pyłu. Pijany pielgrzymziemia – zataczała się wśród tłumu asteroidów i meteorów, co przecinały noc niby strugi płynnego szkła. Loftis miał ochotę popłakać trochę z dziwaczного, nieokreślonego szczęścia i poczucia spokoju, o jakim od lat nie śmiałby nawet marzyć.

Helena miała rację. Zwykle dotknięcie ręki może ocalić. Kto wie, jakie reakcje chemiczne zachodzą, gdy palce splatają się, przenikają wzajemnie aż do białych niewidocznych kości? Może w gruncie rzeczy władza nami uczciwość, a takie dotknięcie umacnia ją jedynie i potwierdza? Loftis dotrzymywał przyrzeczeń złożonych Helenie, a ona – chociaż nie musiała niczego obiecywać – pod wpływem przemiany męża odżyła jak kwiat, który rozwija w blasku słońca delikatne płatki, gdy usunięto z niego przytłaczający kamień. Niełatwo to przyszło Miltonowi ani Helenie. Miał ją uleczyć, a że była oporną pacjentką i starannie pielęgnowała cierpienia, musiał stosować kurację przymusową, forsowną, wysoce emocjonalną. Wspominając ów dzień w Charlottesville, ulegał poczuciu własnej winy, szalał na widok żalosnej ruiny ich życia, więc żaden środek nie wydawał mu się zbyt gwałtowny, pod warunkiem, że on sam zachowa jaką taką równowagę. Podporządkował głównemu celowi nawet swoją miłość do Heleny – miłość rzeczywiście uczciwą i głęboką. Padał przed nią na kolana i w przystępie bajronicznych wyrzutów sumienia, zapłakany, z nieprzytomnym wejrzeniem, z włosami opadającymi na oczy, błagał, by wybaczyła mu wszystko: Dolly, to, że nie jest lepszym prawnikiem, pijaństwo. A kiedy whisky wyparowała mu z głowy, gdy wstawał z klęczek, by odejść cicho i spokojnie, uświadamiał sobie niedorzeczność

sytuacji. Aby przekonać i pozyskać Helenę, musiałby przecież zaniechać tego, co pozwalało na tak wspaniałą, wzniosłą pokorę. Dom opustoszał. Maudie odeszła, później Peyton, Helena przebywała w swoim pokoju; przeważnie spała ukołysana nembutalem. Kazała Elli przynosić posiłki na tacy, nie widywała nikogo, czytywała stare numery „Magazynu Geograficznego” i „Life’u”. Przestała nawet chodzić do kościoła.

W pewne szare, wietrzne popołudnie w styczniu – celowo, jak wyznała później mężowi – połknęła trochę za dużą dawkę pigułek nasennych i doktor Holcomb musiał rozwinąć żywą działalność, przykładać stetoskop do ledwie bijącego serca, robić zastrzyki. Wreszcie Helena przyszła do siebie i na pożegnanie lekarz powiedział Loftisowi dyskretnym, poufałym tonem, że pacjentka wymaga szczególnej opieki. Był stary i nieufnie usposobiony do postępu, użył więc terminu „alienacja umysłowa”, a ten archaizm w ustach kogoś, kto powinien wiedzieć, co mówi, przejął Loftisa dziwnym lękiem. Poszedł prosto na piętro, gdzie Helena siedziała w fotelu pod oknem, owinięta kocami. Wyjął z jej palców zapalonego papierosa.

– On jest zdania, że nie powinnaś palić – powiedział stanowczo.

– Aha... Wiem...

Loftis usiadł przy żonie na stołeczku i poderwał się szybko, by wyciągnąć spod siebie gorący termofor. Pozwoliła mu wziąć się za rękę.

– Heleno – zaczął. – Człowiek potrzebuje długiego czasu na naukę wiary w życie... Oczywiście nie każdy człowiek.

– Tak... i... – umilkła.

– I co, kochanie?

– Nic.

– Myślę, że mnie zajęło to wiele czasu – podjął.

– Kiedy byłem mały i nawet później, jak dorosłem, wydawało mi się, że żyję. Pewne sprawy zrozumiałem... dostrzegłem ostatnio. Chyba człowiekowi musi przytrafić się coś naprawdę strasznego, by zdołał pojąć, jak cenne jest życie.

Pierwszy raz używał podobnych słów i dokładnie zdawał sobie sprawę, jak są niedostateczne. Pierwszy raz również on, który z reguły szastał słowami, rozumiał w pełni, że same słowa nie mogą wystarczyć. Aby je uzupełnić, ścisnął mocniej dłoń Heleny, pogładził jej palce.

– Spójrz, jaki jestem trzeźwy – powiedział.

Miał wrażenie, że Helena zaniemówiła na zawsze. W lasach dzieciństwa Loftisa – nie pamiętał dokładnie gdzie i kiedy – stała samotna statua kobiety, zarosnięta przez laury i ciernie w wilgotnym miejscu obfitującym w muchomory. Na urodę jej wpłynął nie tyle czas, ile deszcze, gdyż była wyrzeźbiona z lichego kamienia. Szkoda, że nie mogła mówić, bo mimo uszkodzeń zmurszałych oczu i włosów poszarpanych wichrami tęskniła wśród swej pomnikowej niemoty, by zaśpiewać jakąś pieśń, rzucić jakieś słowa. Miała żyjące usta, a jej rozchylone wargi jak gdyby zmagaly się z milczeniem. Loftis przypomniał sobie tamtą postać, patrząc na żonę. Czy i ona usiłuje przemówić? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. W pokoju zapadał półmrok. Helena odchrząknęła, poruszyła wargami, ale milczała nadal.

– Czy rozumiesz, kochanie, co mam na myśli? – podjął Milton. – Powiedz, czy zdajesz sobie sprawę, co próbuję wyrazić?

Na dworze nie było linii podziału między morzem a niebem. Tylko tam, gdzie zatoka styka się z oceanem, wyrastały potężne, uwieńczone pianą fale, białe jak śnieg. Loftis zaczął znów mówić z wezbranego uczuciem gardła, jak wiele znaczy dlań Helena. Mimo wszystkich dawnych błędów wie, że bez niej jego życie nie miałoby sensu. Dolly odeszła na dobre, a on dla niej – dla Heleny – depce własne słabotki. Czy to nie wystarczy? Mówił stłumionym głosem, tonem namiętnej rozpacz. Mówił, a ładna twarz Heleny przybierała z sekundy na sekundę coraz bardziej stanowczy wyraz zawziętego, chorobliwego oporu, usta zaciskały się coraz mocniej. Zaciskała usta, więc Loftis wiedział przynajmniej, że słyszy jego słowa. Siwizna malowała jej włosy, jak gdyby smugami mleka.

– Zdajesz sobie sprawę, co próbuję wyrazić? – powtórzył i ponownie ścisnął mocno rękę żony.

Ale Helena, której oczy odzwierciedlały jeszcze okruchy snów wywołanych nembutalem, zdawała się uosobionym „NIE” – pozbawionym głosu i rozsądku. Loftis wstał. Opuściła go cierpliwość.

– Ty jesteś chora, a mnie bardzo przykro – podjął z goryczą. – Na Boga! Cóż więcej mogę zrobić? Daję ci siebie. Nic więcej nie mam do zaofiarowania. Mówię o rzeczach, które mogą wskazać nam drogę... Tylko one i nic więcej... Ale wygląda na to, że gadam do wiatru. Jesteś chora, Heleno. Jesteś chora i niewątpliwie cierpisz: nie ty jedna. Ja miałem także swój udział w cierpieniu. Z jakiej racji sądzisz, że wolno ci pozwolić sobie na luksus tej specyficznej litości i nienawiści wobec samej siebie? Na Boga, Heleno! Robię wszystko, by, u licha, dowieść, czym dla mnie jesteś. I robię wszystko, by ci pokazać, że nie jestem nędznym, złamanym rozbitkiem, za jakiego mnie uważasz. Nie popisuję się przy tym szlachetnością ani uznaniem dla własnej osoby. Wiem, że w całym bałaganie, jaki mam z tobą, moje błędy ponoszą część winy. Wiem, u diabła, i jestem gotów w pewnych sprawach trzymać język za zębami, byłeś i ty zmieniała swój sposób myślenia. Zrozum, że nie jestem osobistością grubego kalibru, zrozum, że zdaję sobie z tego sprawę, ale z całych sił chcę naprawić jakoś sytuację. Na miłosierdzie boże, Heleno, wybac mi, że mówię takie rzeczy, jeżeli naprawdę jesteś tak chora, jak to sobie wyobrażasz. Ale powiedz, czego właściwie chcesz ode mnie, od mojej męskiej energii i dumy? Czego żądasz, u Boga Ojca? Daję ci wszystko, co posiadam, i...

Urwał, bo spojrzawszy na Helenę zauważył, że zwróciła się ku niemu. Twarz miała łagodniejszą, coś ożyło w jej oczach, więc pomyślał, że zdołał wreszcie poruszyć świadomość lub pamięć żony. Jej wargi drgnęły znowu, lecz i tym razem nic nie powiedziała.

Loftis nie tracił nadziei. Znowu pochylił się nad żoną.

– Nie wszystko utraciłaś, kochanie – ciągnął. – Masz mnie, jeżeli jestem ci potrzebny. Masz Peyton. Ona cię kocha. Razem do niej napiszemy, że już wszystko w porządku. Będzie mogła wrócić do szkoły, ukończyć studia w przyszłym roku, jak powinna. Skarbie, uprzytomnij sobie, że ludzie cię kochają. Wtedy zrozumiesz, że masz przed sobą długie lata... Na Boga! Wnuki... – porwany własnym optymizmem uległ na moment wizji: zobaczył niemowlęta, dziesiątki pulchnych, różowych niemowląt na szmaragdowej, nie kończącej się trawie. – Zastanów się, Heleno. Peyton nie jest usposobiona do ciebie wrogo. To najrozumniejsze dziecko pod słońcem. Musimy tylko napisać do niej, zawiadomić, jak sprawy stoją, a zobaczysz, jak będziemy szczęśliwi. Heleno, ty jesteś wszystkim, co posiadam, ja jestem wszystkim, co posiadasz. Jeżeli mi uwierzysz... Mój Boże! Przed nami najlepsze lata życia. Z pewnością zdołamy zwyciężyć strach, ból, wszystko, jeśli zechcesz mi uwierzyć, pokochasz mnie znowu. Razem nigdy nie umrzemy...

Jakoś pomogło. Jego perswazje podziałały na Helenę, czemu obecnie, w wigilię ślubu Peyton, dziwił się nie mniej niż wówczas, przed blisko rokiem. Cisza wypełniała zatokę, niby czarę. Na powierzchni wody kładł się bezładnie srebrzysty pył blasków, jak gdyby ustrugany z księżycy. Spokój był niemal upiorny. Gdyby Loftis rzucił z bulwaru butelkę po piwie, nagły plusk nie wydałby się bardziej nieoczekiwany niż ówczesna reakcja Heleny. Dotąd się zastanawiał, co mógł powiedzieć, jakie magiczne słowo kazało Helenie dźwignąć się na łożku, odrzucić koce, przysunąć się do niego. Oczy miała zamknięte, twarz szarą, chorobliwie mizerną – przypominała bajecznie piękną średniowieczną damę, podniesioną z mar przez wszechwładnego czarownika. Cudownie lekko zarzuciła ręce na szyję męża.

– Najdroższy! – wyszeptała. – Więc rozumiesz mnie mimo wszystko!

Nie rozumiał jej, lecz tamten moment nie wymagał zrozumienia. Helena wróciła do Milтона, byli znów razem, uwierzyła w niego. Miał wrażenie, że łagodnością i pokorą zdjął z jej ramion niezmierne brzemie trosk. Był szczęśliwy i dopiero później, gdy zbyt boleśnie odczuwał głód whisky, myślał niekiedy, że zaplątał się w piekielną matnię.

– Najdroższy – mówiła Helena. – Kochany, najdroższy. Więc rozumiałeś, prawda? Rozumiałeś, czego mi trzeba. Nareszcie. Wierzę ci, wierzę! Masz słuszość. Razem nigdy nie umrzemy.

Później napotykał pewne trudności, chcąc zachowywać wzniosłą postawę na co dzień, bo uświadamiał sobie, że potulnie i z własnej woli pozwolił, by żona wzięła nad nim górę. Niekiedy buntowała się jego duma, ale poskramiał ją medytując o jasnej przyszłości i trzeźwym, uczciwym życiu nie pozbawionym skromnych przyjemności, takich jak golf lub rozmowa z dobrymi przyjaciółmi. Peyton będzie często odwiedzać rodziców... Wszelkie tragiczne myśli o tragicznych wydarzeniach odsuwał na daleki plan, jak przystało prawdziwemu dżentelmenowi z Wirginii. Uczynił nieopatrnie szalone obietnice, prowadził zawziętą walkę, lecz nie miał za złe Helenie, że liczy na dotrzymanie przyrzeczeń. Był zadowolony, gdy pewnego dnia powiedziała:

– Nie bądź głuptaskiem, kochanie. Nie pogniewam się, jeżeli będziesz pił niewiele i ostrożnie – parsknęła stłumionym śmiechem. – Na miłość boską, Miltonie, czy potrzebowałeś aż tylu lat, by odkryć, że w gruncie rzeczy nie jestem purytanką?

Więc Loftis zaczął pić niewiele i ostrożnie.

Oczywiście Dolly mogłaby równie dobrze przebywać w Tybecie. Po śmierci Maudie widział ją tylko dwukrotnie. Pierwszy raz, mniej więcej w tydzień po zawarciu rozejmu z Heleną, uległ obawie i złym przeczuciom, więc nocą wymknął się z domu, aby pójść do kochanki. Miał zamiar przedstawić jej sytuację i wycofać się z możliwie największym honorem, lecz fatalnie zawiódł się na sobie. W końcowym stadium romansu mężczyzna może czuć bardzo niewiele wobec kobiety, z którą łączył go długi i bliski związek. Nie ma to znaczenia, bo mężczyzna zdążył nabrać przywiązania do drobnych wad tej kobiety i niemniej tkliwie niż jej usta czy uda przypomina sobie brudne talerze w zlewie, trzeciorzędne książki, niewybredne gusty muzyczne, stłuczone lustro, na którego naprawę nigdy nie miała czasu. Takie właśnie wspomnienia osłabiły wolę Loftisa, nim przestąpił próg mieszkania Dolly, więc po kawie i ciastkach wstał z mętną obietnicą, że wkrótce wróci.

– Kiedy? – zapytała złowróżbnym tonem. – Powiedz, kiedy.

– No... niedługo.

Na więcej nie mógł się zdobyć i odszedł dręczony wyrazem jej oczów, które zdawały się mówić: „Opuszczasz mnie, porzucasz”.

Ale jego los był przesądzony. Loftis wierzył, że zginie, jeżeli bodaj raz pomyśli o tej właśnie zdradzie. Próbował zapomnieć Dolly i osiągnął powodzenie: zniknęła z jego świadomości, jak człowiek zmarły na morzu i wyrzucony za burtę. Jednakże Dolly nie chciała o nim zapomnieć. Kiedy udało mu się przepędzić ją z myśli, zaczęła telefonować raz po raz, a że nieodmiennie odkładał słuchawkę uciekała się do głupich, płaczących listów pisanych lawendowym atramentem, perfumowanych, uzupełnianych przerażającymi, drobnymi pamiątkami. Były to róże zerwane razem podczas Tygodnia Ogrodów w Westover, pocztówka, którą kupił jej przy Skyline Drive, dwa patyczki od „lizaków” zjedzonych pośród śmiechu i pikantnych żartów na targach w Richmond. Zawstydzalo to Loftisa i doprowadzało do pasji. Przecież mówił Dolly, że w sprawie Heleny takie właśnie niedorzeczne, cierpkosłodkawe wspominki budziły w nim najdotkliwsze wyrzuty sumienia i pytanie, jak może poradzić sobie z życiem człowiek, który narobił tyle złego?

Pewnego wieczora Dolly złożyła wizytę Loftisowi. Popęłniła szaleństwo, lecz dopisało jej szczęście, bo Helena wyjechała na tydzień do Pensylwanii, aby odwiedzić bratową. Wynikła okropna scena. Dolly pojawiła się wraz z ulewnym deszczem. Mokre kosmyki włosów spowijały jej twarz, niby węże. Niezdarnie groziła kochankowi kandelabrem, zwymiotowała na dywan, pośliznęła się, upadła w to paskudztwo i straciwszy przytomność leżała jak martwa. Loftis pierwszy raz widział ją pijaną, a zatem nie bardzo wiedział, co robić. Ostatecznie oczyścił trochę Dolly, odwiózł do domu, troskliwie położył do łóżka i przez czas pewien trzymał za rękę, słuchając bezładnego bredzenia na nutę wspomnień i tęsknoty. Nie miał pojęcia, jakim cudem przechowała w pamięci, kompletnie przez niego zapomniane słowa, które przeczytał jej kiedyś z jakiegoś należącego do Peyton tomu poezji:

Bezpieczne w alabastrowych komnatach,
Śpij dobroliwie zmartwychwstanie.

Wreszcie Dolly opadła na poduszki i szczęśliwie pograżyła się w nieświadomości, a Loftis z czołem zroszonym potem i sercem targanym wyrzutami ofiarował pierwszą w życiu naprawdę uczciwą modlitwę Bogu lub komuś innemu.

Więcej go nie napastowała, a on, po tym nieszczęsnym incydencie, starał się jeszcze usilniej niż dotąd zapomnieć o niej. Pod koniec kwietnia Loftisowie pojechali koleją na trzytygodniowy wypoczynek do małego uzdrowiska w okolicy Asheville i obydwójce uspokoili się wśród mglistych wzgórz, w chłodnym, pachnącym świerkami powietrzu, pod niebem rozlanym w górze niby bezkresne jezioro. Milton odwracał stopniowo myśli żony od Maudie i troskliwie zachęcał ją do rozmaitych zbawiennych dla zdrowia rozrywek: konnej jazdy, pływania, spacerów górskimi ścieżkami. Twarz miała przeoraną zmarszczkami, zniszczoną, ale jej nowy kostium kąpielowy ukazywał ciało ponętne i skłonne do miłości. Loftis miał ją trzy razy. Sam akt nie sprawiał mu szczególnej przyjemności, lecz później, kiedy Helena drzemała spokojnie u jego boku, był zadowolony z siebie i dumny, że znajduje się tutaj, nie w łóżku przybyłej na urlop rozwódki z Atlanty, która kokietowała go zawzięcie. Była to osoba młoda, a jej wspaniała skóra powlekała twarz gładko niby warstwa lakieru, jak gdyby mogła pęknąć przy lada muśnięciu. Loftis medytował wstydliwie o Dolly, lecz chętnie słuchał słów Heleny.

– Kocham cię, najdroższy. Kocham! Jak mogliśmy zmarnować tyle czasu? Wybacz mi – powtarzała ściskając mocno jego rękę, jak gdyby broniła się przed nowym rozstaniem. – Wybacz, wybacz, wybacz! Byłam głupia, szalona!

Kiedy mówiła tak – zupełnie jak w filmie i z nie mniejszym przekonaniem – Loftis nie potrafił rozstrzygnąć ostatecznie, kto w gruncie rzeczy był głupi i szalony – on czy Helena.

Wieczorami pijali słabe wojenne piwo z pewnym rotarianinem z Londynu w kanadyjskiej prowincji Ontario i jego żoną. Nazywał się Malcolm MacDermott, nosił kilt i krzywą laskę, a słuchając jego mowy miało się wrażenie, że woda huczy napełniając starą blaszaną wannę. Loftis dokładnie zdawał sobie sprawę, kto w tym małżeństwie gra pierwsze skrzypce, gdyż Malcolm MacDermott był typem, przy którego przemówieniach żona asystuje w roli pokornej służki, a jeżeli się odzywa, robi to płochliwie, jak gdyby chwyciła zwinnie okruszynę i umykała za mur swojej powściągliwości. Miała pięćdziesiąt lat i okrągłą, rumianą kanadyjską twarz o jasnych oczach. Kiedy Helena wspomniała o niedawnej śmierci w rodzinie, Kathy ułożyła pełne wargi w tragiczny grymas i bąknęła nieśmiało, że gdy ona straciła córkę, skromną pociechę dały jej złote rybki.

– Ależ, moja Kathy! – huknął MacDermott. – Po co człowiekowi w domu złote rybki? Tylko kłopot i zawracanie głowy.

– Dla niej, Malcolmie... – zaczęła trwożliwie Kathy.

– Dobre sobie! Złote rybki!

Temat rozplątał się i zniknął, lecz wprowadził do konwersacji urzekającą nutą, bo wkrótce, nie wierząc własnym uszom, Loftis usłyszał, że Helena mówi o Peyton:

– Moja córka, ta młodsza, studiuje sztuki piękne w Nowym Jorku. Bardzo udana dziewczyna. Tak mi się przynajmniej zdaje, ale może to macierzyńskie zaślepienie. Dosyć dawno nie była w domu, a bez jej rady nie chciałabym zamawiać nowych tapet... Pamiętają państwo? Wczoraj wieczorem opowiadałam o nowych tapetach i wzorze, jaki obmyślałam. W Nowym Jorku doskonale sobie radzi.

Loftis doznał niebywałego wstrząsu, a później, kiedy wrócili do swoich pokoi, poprosił zaraz, by Helena powtórzyła to, co mówiła MacDermottom.

Robiła wrażenie zmęczonej, ale w oczach miała wyraz zadowolenia z siebie i ulgi. Podeszła do męża, złożyła głowę na jego ramieniu.

– Kłamałam jak z nut, co? Ach, Peyton... – westchnęła.

– Dotąd prawie nie mówiliśmy o niej, ale dziś powiedziałam swoje. Kochanie! Chcę, żeby Peyton wróciła do domu, choćby na krótko. Muszę ją znów zobaczyć. Wierzysz mi, najdroższy? Powiedz, że wierzysz. Powiedz, jak napisać do niej list... – roześmiała się krótko. – Ach, ci poczciwi MacDermottowie! Powiedz, kochany, co...

Loftis pochylił czoło. Był spokojny, łagodny. Wokół nich błękitnawy wieczór zdawał się kurczyć, zamierać. Wraz z gęstniejącą mgłą przynosił wiele odgłosów, których dotąd nie było słyhać: ćwierkanie świerszczy, wesoły szczebiot dzieci, echa kroków w hallu, stłumione życzenia dobrej nocy, kołatanie dwu serc – jej i jego – donośnie niczym werble. Według wszelkiej miary był to najpodnioslejszy moment, jaki Milton zachował w pamięci, toteż w wieczór poprzedzający ślub Peyton wspominał ową unię serc z namiętym, triumfalnym upojeniem. „Przy cierpliwości i odrobinie szczęścia – myślał – ktoś tak jak ja niedoskonały może osiągnąć tyle, ile najwięksi ludzie”.

Wkrótce droga Loftisa miała znów opaść raptownie ku nieuchronnemu przeznaczeniu. Zmroził go wiatr sphywający na ziemię przez nocny mrok i akry jasnych gwiazd – przypomniał, że życie to zdrażliwa sprawa, a przelotny moment chwały może wróżyć ostateczne załamanie. Znany wam jest upadek tego człowieka, czy znacie jednak jego walki?

„Wprowadź w dom oblubienicę. Wprowadź w dom triumf naszego zwycięstwa”.

Wykąpany, ogolony, uczesany, wystrojony w tweedowy garnitur w jodełkę i deseniową kamizelkę, Loftis wkroczył do salonu uściskawszy po drodze kilkanaście rąk wyciągniętych doń gratulacyjnie. Dochodziła czwarta po południu. Za pół godziny miała rozpocząć się ceremonia ślubu, więc dom był pełen gości. Zjawili się starsi panowie z małżonkami, trochę młodszy panowie o włosach rzadziejących na skroniach oraz ich żony, trzydziestopięcioletnie, które starały się opóźnić wiotczenie mięśni, wreszcie najmłodszy: chłopcy i dziewczęta przed dwudziestką i niewiele po dwudziestce; ci uśmiechali się do wszystkich, ściskali wokół dłonie i nie starali się opóźnić niczego z wyjątkiem chyba posępnych myśli, bo była wojna i niektórym z nich groził rychły odjazd. Wszyscy przybyli, aby uświetnić zaślubiny Peyton: liczni przyjaciele Milтона i Heleny, a także koleżanki i towarzysze zabaw Peyton ze Sweet Briar i Port Warwick. Wszyscy przeżywali rozmaite odmiany nastrojów towarzyszących zazwyczaj takim uroczystościom. Młodsze mężatki były ożywione, rozgrzane i od czasu do czasu popadały w przelotne depresje duchowe, natomiast ich mężowie ćmili fajki i papierosy zerkając spod oka na panienki poniżej dwudziestki. Te z kolei – młodociane istoty o dziewiczej pieszczotliwej wymowie, rozchylonych, umalowanych wargach i drobnych, jędrnych piersiach falujących rytmicznie w takt oddechu – stały w malowniczych grupkach, szczebiotały zawzięcie i chociaż

nie szczędziły starań o pewność siebie, sprawiały wrażenie coraz bardziej podnieconych w miarę zbliżania się zaślubin. Atmosfera nudy panowała wśród siwowłosych mężczyzn, którzy traktowali młodzież protekcyjnie, lecz z pogodą i dobrotliwie, a ich małżonki odchodziły raz po raz, by podziwiać głośno prezenty ślubne, ale stawały się coraz bardziej małomówne, sentymentalne i miały pewne kłopoty z powstrzymaniem łez.

Zjawilo się prawie całe miasto. Goście zapełniali jadalnię, obie, boczne werandy i – ponieważ zrobiło się względnie ciepło – trawnik przed domem. Był admirał Ernest Lovelace, inspektor stoczni z ramienia marynarki wojennej, który przed dwoma laty stracił żonę w wypadku samochodowym. Byli panowie Muncy i Cuthbert, i Hegerty – naturalnie ze swoimi paniami – trzech wyżsi funkcjonariusze administracyjni stoczni. Był sam stary Carter Houtson z małżonką, która „Carter” wymawiała „Cajder” i mimo ukończonej siedemdziesiątki pozostała wirgińską pięknoscia; ta para siedziała na uboczu i przyjmowała powszechne hołdy, gdyż stary Carter Houtson rządził stocznia. Byli państwo Appelton i La Farge, i Fauntleroy-Mayo – potomkowie najstarszych rodzin Wirginii, a także pan Martin Braunstein z żoną – Żydzi, których wszyscy widywali od tak dawna, że zaczęli ich uważać za Wirgińczyków. Było również grono lekarzy: doktorzy Holcomb, Schmidt, J. E. B. Staurt i Lonergan, i Bulwinkle (wszyscy zalatywali lekko eterem) oraz doktor Pruitt Delaplane, który pierwszy raz i nieśmiało pojawił się publicznie po zakończonym niewinnieniu procesie o niedozwolony zabieg ginekologiczny. Był biedny Medwick Ames z żoną epilepticzką i państwo Stubbs, i komandor Phillips-Kinderman z małżonką.

Wśród młodszych osób byli Walker Stuartowie i Moncure Yourtee z żoną, i George i Gerda Rhoad (małżeństwo w przeddzień rozwodu, o czym wszyscy wiedzieli), i hurtownik odzieży męskiej „Wisienka” Pye. Byli państwo Blevinse, Cappse, Maloney, a także Davise, Youngusband oraz Hill Massie, który wygrał raz dziesięć tysięcy dolarów w konkursie na slogan reklamowy. Był dentysta – niejaki Monroe Hobbie, który okropnie kulał. W najmniej dojrzałej grupie, gdzie niemal wszyscy chłopcy występowali w mundurach, znaleźli się Polly Pearson, Muriel West i Campbell Fleet– młody wymoczek, który, według szeroko rozpowszechnionych plotek, został usunięty z Hampden-Sydney College za homoseksualizm. Były również bogate siostry Abbott, bardzo ładne blondynki, których ojciec zrobił majątek na coca-coli. Była Jill Fothergill w asyście Dave Taylora i Gerald Fitzhugh, i Ashton Bruce, i otyły młodzieniec nazwiskiem Chalmers Winsted, który przyjechał na lewy urlop z Princeton, i Bruce Homer. Ostatnia trójka miała na sobie marynarskie mundury – podobnie jak Packy Chewing, podporucznik, odznaczony Krzyżem Morskim za akcję w strefie Wysp Salomona.

Loftis odnalazł Peyton w jej pokoju na piętrze. Siedziała samotnie przeglądając *Atlas świata*. Wyglądała prześlicznie, ale miała trochę znudzoną minę.

– Gdzie mama, skarbie?

– Poszła do kuchni zaopiekować się szampanem. Staruszkę, czy wiedziałaś, że cały stan Delaware ma tylko trzy okręgi?

– Nie wiedziałem. – Loftis usiadł obok córki i pocałował ją w policzek. – Moja maleńka! Nie znalazłem dotąd czasu, żeby pogawędzić z tobą. Nie masz tremy? Wyglądasz cudownie. Jak żyję, nie widziałem równie pięknej i opanowanej panny młodej. Jak się przedstawia...

– Wirginia ma ich sto.

– Sto? Czego?

– Okręgów. Właśnie o tym przeczytałam. Ale najzasobniejszy jest Teksas, bo...

Loftis odsunął atlas, przyciągnął do siebie Peyton, zaczął śmiać się, całować ją nieporadnie. Tkliwie, posłusznie tuliła się do jego ramienia, a on wdychał z lubością zapach perfumowanych włosów i niby narzeczony patrzył na wpięty w nie kwiat gardenii, który miał tuż przed lewym oknem.

– Staruszkę – zawołała wreszcie Peyton odsuwając go delikatnie – jesteś stary, niepoprawny satyr. No, dajże spokój. Szyję masz umazaną pomadką do ust.

– Schowałem Harry'ego – powiedział Loftis.

– Schowałeś? Gdzie?

– Siedzi zamknięty na klucz na oszklonej werandzie z wujem Edwardem i Careym Carrem. Carey wtajemnicza go w szczegóły obrzędu ślubnego.

– To bardzo ładnie – ucieszyła się dziewczyna. – Biedny Harry! Okropnie boi się tej ceremonii. Dopiero co mi mówił, że nigdy w życiu nie widział takiego tłumu Aryjczyków pod jednym dachem. Twierdzi, że na widok pani Braunstein miał wrażenie, że spotkał matkę na zebraniu studenckiego klubu dyskusyjnego – roześmiała się cicho, jak gdyby ją ktoś polechtał. – Zabawny facet! Na myśl o tym wszystkim dostawał dreszczy. Dobrze chociaż, że nie należymy do Kościoła anglikańskiego. Biedak musiałby robić znak krzyża i inne hece. Myślę, że trochę zanadto się denerwuje. Naturalnie to tylko nerwy...

Z trawnika dobiegł wybuch beztroskiego śmiechu.

– Moim zdaniem, skarbie, to bardzo miły chłopiec.

– Miły – przyznała Peyton i zaczęła błędzić wzrokiem po zatoce, monotonnie lazurowym niebie, trawniku, gdzie rozszczebiotane dziewczęta stały grupkami tworząc czerwone i błękitne plamy; później spojrzała na swoje ręce.

– Wydaje mi się, że jest miły – podjęła. – Chyba najmilszy człowiek, jakiego spotkałam dotąd – podniosła wzrok, mrugnęła filuternie pod adresem ojca – oczywiście, nie licząc ciebie, staruszku. Może to brzmi banalnie, ale uważam, że Harry posiada wszystko, czego może pragnąć dziewczyna. Rozumiesz, tatusiu? Bez wygłupiania trudno powiedzieć, że ktoś ma wrodzoną prawość i własne, rozsądne zdanie. Po śmierci Maudie chciałam...

Loftis ścisnął rękę Peyton i położył palec na swoich ustach.

– Aa... Przepraszam – stropiła się. – Bardzo mi przykro, staruszkule. Postanowiliśmy nie poruszać tamtych spraw. Zapomnę o nich. Przysięgam na wszystkie litery alfabetu, od początku do końca..

Umilkła, opuściła powieki. Wokół gęstniała subtelna mgła wspomnień, widm, cieni, gdy Peyton zaczęła powtarzać madrygały w dawnym stylu, których Loftis od lat nie słyszał. Z przymkniętymi oczyma i opuszczonymi kącikami ust wyglądała przez moment na sześć- lub ośmioletnią dziewczynkę, a on zapragnął gorąco wziąć ją na ręce, przytulić do piersi.

– Kiedy wybrałam się tam, do Nowego Jorku byłam gotowa szaleć na całego. Myślę nawet, że z początku szalałam. Przez całą zeszłą zimę i wiosnę żyłam jak tramp, tyle że w listach do ciebie, staruszk, nie wspominałam o tym. Żyłam tak i myślałam, światowa dama ze mnie czy coś podobnego, a naprawdę byłam tylko nieszczęśliwa. Słowo daję, staruszk! Nie wyobrażasz sobie, jaka byłam biedna! Chyba jedynie dzięki twoim listom trzymałam się jakoś, ale kiepsko, staruszk. Wciąż włóczyłam się i piłam za dużo z okropnymi, wstrętnymi ludźmi. Moi znajomi robili coś dla wielkich domów mód, zajmowali się architekturą wnętrz, ilustrowali drogie, modne czasopisma. Wszyscy byli wymuskani i potrafili pięknie mówić, ale nikt z nich nie posiadał serca ani duszy. Miałam wrażenie, że do domu wróciłabym wtedy z uczuciem, że zostałam zdradzona, ale tylko dlatego, że pozwoliłam się zdradzić. Korespondencja z tobą nic a nic nie mogła pomóc. Tamci wydawali się niemądrzy, sztywni, nijacy, ty, staruszk, byłeś bardzo daleki i także zagubiony i chyba wcale mnie nie rozumiałeś. Twoje listy najchęćiej darłam, a później, kiedy obudziłam się następnego rana, płakałam z żalu, że je zniszczyłam. Mój kochany! Nie masz pojęcia, jaka byłam nieszczęśliwa. Myślę, że nienawidziłam wszystkich. Próbowałam udawać, że podobają mi się ci nowi ludzie, no i ludzie w ogóle, ale tak nie było. Nawet samej siebie nie lubiłam.

– Maleńka – wtrącił Loftis. – Nie trzeba wspominać starych, smutnych historii. Nie dziś. To sprawy pogrzebane, skończone, więc...

– Wiem, staruszk, wiem... Ale właśnie dziś jestem zupełnie wykończona – roześmiała się. – Cóż, próbuję być trzeźwa, rozsądna, nowoczesna, a chwilami zdaje mi się, że mam znowu dwanaście lat i jestem na lekcji pana... No, jakże się nazywał ten pedzio, nauczyciel tańca? O czym to zaczęłam mówić? Aha. O Harrym. Przyjemny chłopak, prawda? Taki łagodny i, powiedziałabym, prawdziwy. Czy ja nie plotę głupstw, tatusiu?

– Nie.

– I zostanie kiedyś wielkim malarzem. Emilia Genauer oglądała niektóre jego prace. Jest zdania, że Harry zapowiada się świetnie. Ale, widzisz, staruszk, on powiada, że to nieważne być wielkim czymś albo pierwszym czymś innym. Grunt to prawda wobec samego siebie. On ma wewnętrzne poczucie słuszności, a także... Do licha! Jak zacząć mówić, gadam jak idiotka!

Loftis pogładził rękę córki.

– Rozumiem cię, maleńka. Nie musisz mi nic tłumaczyć. Wiem, że każdy chłopiec, który spodoba się tobie...

– Nie, tatusiu! Nie każdy chłopiec musi być pierwsza klasa tylko dlatego, że mnie się podoba. Taki na przykład porucznik Timmy Washburn... Pamiętasz? Pisałam ci o nim ostatniej wiosny. Podobał mi się, no i... – skrzywiła się z obrzydzeniem. – Mniejsza o niego.

– *À propos* – powiedział Loftis sięgając znów po jej rękę – skoro już mowa o życiu i miłościach Peyton Loftis... Co się stało z Dickiem Cartwrightem?

Peyton szeroko otworzyła błyszczące oczy. Na moment pojawił się w nich wyraz czegoś... zapewne smutku. Ale z tematem rozprawiła się od niechcienia, jak gdyby odpędzała pszczołę.

– Ach, Dick... To zupełne dziecko.

– I co?

– Myślę, że panna młoda nie powinna pić przed ślubem, prawda?

– Stanowczo nie powinna – przytaknął Loftis.

– Tylko jeden łyżeczek.

– Nie teraz, maleńka.

– Chociaż kropelkę... Tycią!

Jej głos przejął ojca nieokreśloną, posępną troską, ale była tak śliczna, tak urzekająca, gdy przechyliwszy na bok główkę ponowiła skromną prośbę, że Loftis musiał ustąpić.

– Mamy ledwie dwadzieścia minut – bąknął, wstał i pośpieszył do swojego pokoju sypialnego.

Tam, w szufladzie komody, między molobójczymi gałkami, znalazł przeszło ćwierćlitrową butelkę po syropie wykrztuśnym. Zdjął kapsel, przytknął szyjkę butelki do nosa i myśląc o Helenie, odetchnął głęboko. Był kontent, że whisky ma ostatecznie zapach trochę podobny do kreozotu. Spojrzał na flaszkę pod światło, obrócił ją w palcach, jeszcze raz powąchał.

– Nie – mruknął półgłosem. – Nie!

Szybko nałożył kapsel i w tym momencie usłyszał kroki w korytarzu, więc przezornie wsunął swój zapas do szuflady, pod stos koszul. Ale to była tylko La Ruth. Z wdziękiem wieloryba wtargnęła do pokoju nucąc *Jersey Bounce*.

– O, przepraszam! – powiedziała. – Pani kazała przynieść stąd serwetki.

– Jakie serwetki?

– Te ładne, co właśnie wróciły z pralni. O, leżą tam, na biurku.

– Na co są potrzebne?

– Nie wiem, proszę pana. Myślę, że będą potrzebne gościom, jak zaczną jeść.

– To się nazywa logiczny wniosek – przyznał Loftis i pomyślał: „Gdyby otworzyć ten czerep, nie znalazłoby się zwojów mózgowych, tylko gładką, bezmyślną, błyszczącą kulę”.

La Ruth wyglądała pociesznie w przekrzywionym na uchu czepeczku pokojówki. Ładując naręcze serwetek, przestępowała z nogi na nogę i mamrotała coś nieustannie.

– Ale ludzie napchają się dziś, a napchają – powiedziała wreszcie i z donośnym tętentem opuściła pokój.

Loftis otworzył i zamknął szybko szufladę.

Przed domem goście rozproszeni na trawniku gawędzili, przechodzili z grupki do grupki. Balsamiczny wiatr powiewał spódnicami sióstr Abbott, które spoglądały na siebie złym okiem. Loftis zwrócił uwagę na komandora Kindermana i jego żonę, ubranych jednakowo w urzędowy marynarski granat; nie rozmawiali z nikim, sztywno stali na uboczu, wśród wiru zwiędłych liści. Usłyszał śmiech Edwarda, z którym przez wzgląd na Helenę zadzierzgnął wzruszające węzły bliskiej przyjaźni, i z niewiadomych przyczyn poczuł nieodparte pragnienie whisky. Z korytarza dobiegł znów odgłos kroków. Loftis drgnął niespokojnie, ale tupot oddalił się, ucichł. Głupio mieć takie niespokojne, drażliwe sumienie i bezprzedmiotowe urazy. Bo odczuł ulotną urazę, kiedy usłyszał śmiech Edwarda, i nienaturalnym rzeczy porządkiem pomyślał o Helenie oraz jej nedorzecznych wymaganiach, które sam głupio sprowokował. A może i nie głupio?... Na Boga! Wolno chyba wypić jednego! Wziął dwie szklanki, wydobył flaszkę z szuflady i wróciwszy do pokoju córki, zamknął za sobą drzwi.

– Jakiś ty cwany, staruszkule! – roześmiała się Peyton.

– Cały magazyn w małej, sprytnie wybranej buteleczce!

Loftis zrobił minę bardzo serio.

– Maleńka – zaczął siadając obok córki – czy naprawdę musisz się napić? Nie lepiej poczekać trochę? Później będzie szampan i...

– Nie psuj zabawy – przerwała. – Daj mi się napić. Muszę, dla uspokojenia nerwów.

Posłusznie nalał do jednej szklanki mniej więcej uncję whisky.

– A ty, staruszkule? Nie kropniesz jednego? – zapytała.

Loftis odczuł głębokie przygnębienie. Pomyślał, że kusząc go tak Peyton postępuje nieładnie i ze zdziwieniem usłyszał własny głos:

– Widzisz maleńka, przekonałem się, że kiedy wszystko dobrze idzie, whisky jest zupełnie zbyteczna. Człowiek szczęśliwy...

Przerwał mu wybuch śmiechu córki. Twarz jego ożywiła się w jednej chwili, poróżowiła.

– Nie bądź taki uroczysty, staruszkule. Chodzi mi o uspokojenie nerwów. No, śmiało! Dotrzymaj córce kompanii.

Nalała whisky do swojej szklanki i po pierwszym łyku opuściło go posępne przygnębienie. Spojrzał na Peyton, a później unikając jej wzroku w odległą przestrzeń. Miał wrażenie, że tym razem whisky jest niezwykle mocna i smaczna.

– Grunt, kochanie – podjął – że jesteś tutaj i zaraz weźmiesz ślub z bardzo udanym chłopcem. To cudowne, prawda?

– Tak. Rzeczywiście jestem tutaj. Dzięki tobie, tatusiu.

– To wcale nie moja robota. Podziękuj mamie.

– Już to zrobiłam – odrzekła sucho i odwróciła wzrok.

– Dałabyś spokój... – zaczął Loftis.

Źle, bardzo źle, że w taki dzień Peyton pozwala sobie na bodaj najdelikatniejsze aluzje do pożałowania godnych wspomnień. Otwarcie mówiąc, właśnie z racji tych wspomnień dzień dzisiejszy wydaje się aż boleśnie radosny, pełen dziecinnego zachwytu, jak dawno minione dni targów albo występów cyrku, urocze od apokaliptycznego brzasku do ostatniego przed zaśnięciem momentu utrudzonej świadomości. Okres kiedy życie rodzinne wydawało się bliskie ruiny, wzmaga jedynie słodycz dnia dzisiejszego. Ale Peyton postępuje niestosownie, napomykając, że dawniej cośkolwiek było choć trochę nie w porządku. Wzniosłe aluzje mogą zniknąć jak zmyta ulewnym deszczem pajęczyna. Co pozostanie wtedy? Nieładna fasada, obity, brudny tynk, cegły nadszarpnięte zębem czasu i złej pogody. Więc Loftis chciał powiedzieć łagodnie, lecz stanowczo: „Dałabyś spokój przebrzmiałym sprawom...” Zresztą mniejsza z tym. Peyton zapewne żartowała, bo oto mówi:

– Co ty jej zrobiłeś, staruszkę? Dziś rano mało co nie zemdlałam, kiedy mama przyjechała do Williamsburga z tym słodkim, rzeczywiście serdecznym uśmiechem na twarzy. Leczyłeś ją hormonami czy czymś takim? Staruszkę, nalej drugiego...

– Wolałbym – urwał, bo ścisnęła go za kolano; bezradnie napęlił obie szklanki: Peyton i własną.

W tej chwili zegar na kościele wybił kwadrans. Z dołu dobiegł głos pani Fauntleroy-Mayo: godne, bełkotliwe sylaby, jak bańki wypuszczane przez rybę na powierzchnię stawu. Perfumy Peyton pachniały upajająco, natrętnie. Przywodziły na myśl egzotyczne, nie znane Loftisowi wonie rozkwitłej dżungli: słodkie, zarazem jednak ostre i złowieszcze, niby klinga sztyletu. Oczy Loftisa zmętniały, gdy przysunął się nieco bliżej do córki... A może nie działały na niego perfumy, tylko ogólne podniecenie dnia i panujący w pokoju upał? Wstał i szeroko otworzył okno, w którym dostrzegła go pani Mayo. Ubrana w patrycjuszowską biel dżersejowej sukni, podniosła dłoń w rękawicze i zatrzepotała chusteczką – istnym cacuszkiem z koronki.

– Oto szczęśliwy ojciec! – zawołała i wszyscy zwrócili w górę uśmiechnięte twarze.

Loftis cofnął się żywo.

– Maleńka – powiedział – najwyższy czas z tym skończyć.

– Ale co ty z niej zrobiłeś, staruszkule? Oczom i uszom trudno uwierzyć! Jak tego dokonałeś?

Whisky skutkowałą. Loftis nie miał co do tego wątpliwości. Racjonowana lura osiadała mgłą w oczach, piekła w żołądku, jak gdyby napił się mocnego kwasu. Odstawił szklanekę na stół, spędził komara z jej rąbka.

– Nie wiem, maleńka – odrzekł z uśmiechem. – Nie wiem. To raczej twoja zasługa... Widzisz... Rozumiesz...

– niełatwo było mu wyrazić myśli. – Ona chyba nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo cię kocha, póki... Do licha! Wiesz przecież, jaka zawsze była zagubiona. Trudno to wyrazić, maleńka, ale wydaje mi się, że kiedy człowiek dojdzie do miejsca, w którym napotyka same skały, nie ma wolnego wyboru: może jedynie zawrócić do punktu wyjścia i rozpocząć drogę na nowo.

Peyton nie słuchała. Podniosła się i z szklanką w ręku podeszła do okna, żeby spojrzeć na gości. Wszystko jedno. Loftis nie potrafiłby wyjaśnić zawiłych spraw w sposób przekonujący i bez zakłopotania. Jak wytłumaczyłby niedoświadczonemu dziecku kwestie życiowe ledwie zrozumiałe dla niego? Jakimi słowami opisać miłość podsycaną nikłym echem muzyki, dosłyszalnej wyłącznie w szczególnych momentach, kiedy wspomnienia obmywają dwa umysły, jak pieszczota fal zmurszałe kamienie: miłość, w której zainteresowane osoby mogłyby równie dobrze mieszkać na przeciwległych krańcach świata, bo i tak musiałyby je połączyć siły niemożliwe do zdefiniowania: nieuchwytnie, nikłe widmo melodii, myśl o uścisku utraconych ramion, wspomnienia wydarzeń błahych, ale przeżytych wspólnie – to wszystko i zapach róż czy gardenii, zapach zwietrzały dawno, który przed wieloma laty snuł się w powietrzu jakiegoś bardzo odległego, seledynowego brzasku. Stary, romantyczny osioł, za jakiego Peyton musi uważać ojca, nie potrafi precyzować podobnych subtelności; może je tylko odczuwać. A już z pewnością nie zdobędzie się na zrozumiałe wyjaśnienia wobec dziecka, które, jak mimo wszystko wierzył, nie będzie zmuszone odkrywać na własny użytek zbliżonych prawd w sposób równie bolesny.

Jednakże Peyton odwróciła się od okna, spojrzała na Loftisa. Nie słyszała nawet początku jego przemówienia. W palcach ścisnęła próżną szklanę. Jej oczy miały dziwny wyraz – ni to obawy, ni ożywienia – po prostu były rozbiegane. Odezwała się cicho, zupełnie nieoczekiwanym tonem, jak gdyby smutku:

– Tatusiu, pohamuj się dziś trochę. Bardzo cię proszę.

– Jak to? – obruszył się. – Przecież to nie był mój pomysł, więc...

– Nie, nie! – przerwała. – Wcale nie o whisky chodzi. Staruszkule! Jesteś najmilszy i ogromnie cię kocham, ale proszę, zostaw dzisiaj w spokoju cały ten sentymentalny kram. Cieszę się, że jestem tutaj... – urwała, by dodać po namyśle: – Tak... Cieszę się w pewnym sensie. Wszyscy chcą znów być dla mnie mili. Ale jak widzę, ty przejmujesz się tym tak, że możesz mnie udusić. Błagam, nie dłoń mnie!

– rzuciła gniewnie i potrząsnęła gęstwiną włosów. – Nie dłoń mnie, staruszkule! Wróciłam do domu, ale nie zrobiłam wam łaski. To była raczej łaska dla mnie. Przeżyłam swoje. Mam dosyć włóczęgi. Myślisz, że to przyjemnie być zwariowaną kurwą, za jaką mnie pewno uważano? Jedna dziewczyna z tej nowojorskiej szkoły była tu na wakacjach. Od niej się dowiedziałam, co ludzie plotą. Całe miasto jest zdania, że wylano mnie ze Sweet Briar. Jak powstały takie gadki?

– Nie wiem, małeńka. Nie mam wyobrażenia. To chyba były...

– Oczywiście! – przerwała. – Małomiasteczkowe brednie. Starsi ludzie lubią, kochają myśleć, że młodzież jest skazana na zniszczenie i ogień piekieł. Z zamyśleniem siedzą na spasionych tyłkach i wyobrażają sobie coraz to nowe perwersje moralne, którym rzekomo hołduje młodsze pokolenie.

– Małeńka...

– Nie o tobie mowa, tatusiu – rozłożyła ręce bezradnie żalnym gestem, prysnęła kilkoma kroplami ze szklanki.

– Nie do ciebie piłam. Wiem, że umarłbyś chętnie z miłości do mnie, gdybyś potrafił. Ale czy ty nic nie rozumiesz, nie widzisz? Przyjechałam tutaj jak sama słodycz i światło. Robię, co mogę, żeby dobrze grać pocziwą, słodką rolę córki marnotrawnej, która widzi swoje błędy i winy i na skutek kaprysu rodziców wraca do domu, na łono rodziny. Poprawnie gram tę rolę, co? Pocałunki matki odwzajemniłam pocałunkami. Udaję, że o wszystkim zapomniałam. Ale czy nie rozumiesz, staruszkule, że mam własne powody, dla których zjawiłam się w domu? Chcę być normalna, podobna do innych ludzi. Tamci starzy nie uwierzyliby nigdy, że są dzieci, co zadzierają głowy i wyją rozpaczliwie, i chętnie oddałyby życie, byleby móc powiedzieć: „Koniec mojego buntu. Pragnę znaleźć się w domu, a dom to miejsce, gdzie czekają na mnie tatuś i mamusia”. Nie chcę robić min w stylu „możecie mnie mieć, ale jestem taki czy taka, jak jestem”. Nic podobnego. Staruszkule! Możesz mi wierzyć, że większość dzisiejszej młodzieży nie ma złych skłonności i nie chce czynić źle. To ludzie błądzący bez celu – tak, bez celu, tatusiu, że ty nie możesz wyobrazić sobie czegoś podobnego. Nie chodzi o ton, o miny. Pobudką jest refleks dawnej miłości do tych, którzy karmili dziecko w niemowlęctwie, podsuwali mu urynalik, utrzymywali je przez całe życie. To brzmi niemądrze, prawda! Ale widzisz, staruszkule, wszyscy pragną tak postąpić. Ja też pragnęłam i starałam się jak mogłam.

Ale dziś wszystko wydaje mi się niedorzeczne, fałszywe. Nie wiem dlaczego. Kłamałam. Wcale nie jestem podniecona ani zdenerwowana. Cóż, może mam za dużo gorzkich wspomnień.

Umilkła. Zwróciła ku ojcu bezgranicznie smutne spojrzenie. On zbliżył się do niej, mając wciąż przed oczyma olśniewające wizje weselnego dnia. Spróbował otoczyć ją ramionami.

– Nie, nie, tatusiu – powiedziała Peyton. – Bardzo cię przepraszam.

Potrafiła utrzymać dystans nie patrząc nawet na ojca, gdyż zwróciła wzrok w stronę trawnika i gości, którzy ruszyli naraz ku domowi – cicho, lecz z jakimś nerwowym pośpiechem, niby wycieczkowicze przed burzą. Potrafiła utrzymać dystans milczeniem tak skutecznie, jak gdyby odgrodził ją kamienny mur. Wreszcie spojrzała na Loftisa.

– Bardzo przepraszam, staruszkule – podjęła łagodnie.

– Nie mam pojęcia, jak i kiedy zaczęło się zmartwienie. Matka... Cóż to za aktorka! Spójrz na ten cyrk. Święto szczęśliwej rodziny! Strasznie mi żal nas wszystkich. Gdyby ona miała choć odrobinę dumy, a ty więcej odwagi... No, chodźmy! – chwyciła ojca za rękaw. – Chodźmy na dół, kochanie. Dla ciebie będę robiła dobrą minę do złej gry... Naprawdę dobrą minę.

Loftis stał niby przyrośnięty do dywanu i pragnął zastygnąć tak na zawsze. Miał wrażenie, że dostał maczugą po głowie, że poczucie nieuchronnej konieczności oszołomiło go bardziej niż zasłyszane prawdy.

– Dobrze, maleńka – powiedział. – Chodźmy.

Ceremonia odbyła się w pięknym stylu, chociaż w salonie panował ścisk, więc ci i owi pocili się trochę. W naszych świeckich czasach utarł się zwyczaj urządzania ślubów w hotelu, sali publicznej lub jakimś skromnym domku przy bocznej drodze, gdzie starszawy sędzia pokoju celebryje obrzęd w kamizelce poplamionej zupą. W takich warunkach można się pobrać już za pięć dolarów. Pewne osoby zadrażnione przez religię, lecz nie będące jej wyznawcami, zawierają związki małżeńskie w hotelach ozdobionych palmami i świerczyną, gdzie ślubu udziela zaprzyjaźniony sędzia, a lekturę obrzędową zastępuje wybór poezji wschodniej pod tytułem *Prorok*. Przeważnie ludzie nie dbają o to, jak zostaną małżeństwem – z wyjątkiem episkopalian, którym często zależy na zaślubinach w domu, a zawsze na poetycznym charakterze ich rytuału. Nabożeństwo takie jest istotnie poetyczne, a bystry i wrażliwy na estetykę obserwator uczestniczący w tych właśnie zaślubinach, byłby zapewne cokolwiek zaskoczony widowiskiem, jakie urządził wielebny Carey Carr. Pośród ludzi nie był on aktorem, a że naturę miał powściągliwą, wolał zostawiać popisy teatralne osobistościom bardziej powołanym: wielkim pastorom z Północy, władcom marmurowych kościołów i katedr. Nie stanowił materiału na biskupa, lecz na swój własny, skromny i płaczący sposób był uroczym śpiewakiem liturgii, a dostatecznie już bogatą kanwę chrześcijańskiej poezji potrafił zdobić cudownymi

deseniami. Zwyczajny stół przykryto obrusem na ołtarz, płonęły świece. Kiedy pastor czytał ze swojej księgi, szkła jego okularów połyskiwały niby ogniste kule, a że miał puciołowate policzki, mały, krągły podbródek i głęboką bruzdę biegnącą od nosa do wydatnych przypominających pączek ust, wyglądał zupełnie jak dobrotliwa, zafrasowana sowa.

Goście siedzieli cicho i uroczyście na trzeszczących składanych krzesłach ogrodowych, wynajętych na tę okazję. Płótno jednego z tych krzesel pękło z trzaskiem pod bardzo otyłą panią Turner MacKaye, nikt jednak nie zwrócił na to uwagi, bo łagodny, melodyjny głos Careya panował stanowczo nad stłumionymi oddechami, szelestem sukien i odległym poszumem wiatru. Był to głos bogaty, po trosze matowy, obracający się w średnich rejestrach. Przy słowie „miłość” zmieniał się w dźwięczny, wysoki, lecz bynajmniej nie zniewieściały tenor, a słowo „Bóg” wyśpiewywał melancholijnym, głębokim barytonem. Modelując tak tekst na oratoryjną modłę, ów piękny głos zdawał się wyrażać wszelkie domeny ludzkich tęsknot – tkliwość, nadzieję, miłość– i rzucał na pokój uroki niebiańskie, a zarazem erotyczne. Był to głos jedyny w swoim rodzaju, urzekający, cóż więc dziwnego, że wiele kobiet płakało.

Loftis ledwo słyszał pojedyncze słowa. Kiedy goście podnieśli się w jakimś stadium uroczystości, spostrzegł, że stoi przed pierwszym rzędem krzeseł, nie przy Helenie, lecz nie wiedzieć czemu obok Edwarda, który chwieje się wyraźnie, sapie chrapliwie i przy każdym wydechu zionie stężonym fetorem piwa. Helenę obserwował od czasu do czasu kącikiem oka. Sterczała sztywno po drugiej stronie Edwarda i śledziła wzrokiem przebieg ceremonii. Alinę miała skupioną, czujną – niemal „analityczną”, jak określił to Loftis – ani zadowoloną, ani niezadowoloną. Spoglądała na plecy Peyton i Harry'ego lub przekrzywiała trochę głowę, aby lepiej widzieć Careya. Był to wyraz spokojnego zamyślenia, rozjaśniany niekiedy przelotną, nikłą łuną jak gdyby triumfu. Loftis wyobraził sobie odartego z poczucia humoru filatelistę, który ogląda wyjątkowo cenny znaczek. Nie wiedział, dlaczego Helena tak wygląda, i nie próbował nawet zgadnąć. Był niewiarygodnie przygnębiony, zdenerwowany i na gwałt potrzebował pójść do toalety, ale źródła złego samopoczucia oceniał dosyć mętnie. Z pewnością zawiniła Peyton. Postępowała bezwzględnie, nie chciała przejąć się duchem dnia... Spojrzał na jej plecy, zatrzymał wzrok w miejscu, gdzie łydek dotykała spódnica z jakiegoś jasnozielonego materiału przypominającego atlas...

– Tak – powiedziała nagle.

Nie chciała przejąć się duchem dnia, czyli innymi słowy radosnym nastrojem ojca... Znów zaczynała deptać wszystko... Bodaj to licho...

– Tak – powiedział Harry głębokim, przyjemnym głosem z ledwie uchwytnym nowojorskim akcentem.

Loftis drgnął. Jakaś kobieta zaszlochała w głębi salonu.

Skąd ta nieznośna depresja? Dlaczego? Suknia Peyton przylegała szczelnie do bioder. Loftis patrzył na nie i widział dwa półksiężycowe zarysy, jak zwykle, gdy spoglądać na kobiecey pośladek opięty ciasnym pasem. Półksiężyce łączyły się w górze na kształt holenderskiego wiązania dachu. To zbyt widoczne, wyzywające. Peyton mogłaby ubrać się skromniej. Niedługo skończy się męka. Harry wsunął obrączkę na palec panny młodej. Carey powiedział nagle kilka słów; Loftis nie uchwycił ich sensu, ale wydały mu się rozpaczliwie płytkie, teatralne. Niedługo skończy się męka. Podczas przyjęcia Peyton z pewnością odzyska dobry humor. Będzie się śmiała głośno. On będzie ją całował, ścisnął gorąco dłoń zięcia. Jedna wielka szczęśliwa rodzina... Nareszcie! Prawą ręką obejmie Helenę, lewą Peyton, będzie się kłaniał, uśmiechał do gości, podawał pienne kielichy szampana. Usłyszy szept Peyton: „Staruszkule! Tak się cieszę, że jestem w domu”. Jednakże zdawał sobie sprawę, że poprzedzą to wszystko ostatnie, bolesne minuty. Dręczył go straszny, niepojęty lęk i ten sam głód, który przeżywał tak łakomie minionego rana. Głód był nieco inny, lecz Loftis wiedział, że różnią się jedynie jego pozory. Wydaje się natrętniejszy, bardziej przerażający, nieodparty. Loftis odniósł wrażenie, że salon skurczył się do rozmiarów małej cieplarni, gdzie kwiaty, perfumy, pudry, róż, wszystkie kobiece pachnidła tworzyły jeden stężony, tropikalny zapach. Przez gąbczastą atmosferę, w której

drżały śpiewne słowa Careya, odgłosy pociągania nosem i spieszego, ukradkowego oblizywania warg, przez ukośne promienie październikowego słońca jego niepokój i głód poszukiwały omackiem drogi odwrotu, ucieczki. Loftis przymknął oczy i pocąc się obficie myślał o niebiańskiej uldze, jaką mogłaby mu przynieść whisky. Ale nie tylko o to chodziło. Uchylił powieki. Zobaczył znowu Peyton – te mocne łuki drżących delikatnie bioder. Pomyślał rozpaczliwie, bezradnie, szaleńczo o czymś, czego nie śmiał przyznać, lecz przyznawał: że mógłby teraz pokochać – straszliwie, po zwierzęcemu, lecz bądź co bądź pokochać – kogoś pięknego i młodego, kogo kochał zawsze, od czasu gdy wyrósł z dzieciństwa i był w stanie obdarzyć uczuciem kobietą twarz i kobiece ciało. „Tak, na Boga! – pomyślał (i dodał zaraz: „Wielki Boże, o czym ja myślę?”) – tak, również ciało, gorące, wilgotne ciało, naprężone jak nagi grzbiet pięknej dzikuski”. Mętnie przypomniał sobie Dolly, zastanowił się, dlaczego nie ma jej tutaj?... Ach, mniejsza o to... Oprzytomniał nieco, otworzył oczy. Peyton zachowała się źle, niestosownie. Jak mogła zburzyć jego nadzieje? Jak mogła rozproszyć sny o dniu idealnie harmonijnym? Nagle zapragnął wstać, przerwać całe widowisko, oznajmić głośno, że ceremonia zostanie odłożona do bardziej sprzyjającej chwili, kiedy on i Peyton rozstrzygną między sobą sprawy sporne. Jednakże ceremonia dobiegła końca. Oto Carey odwraca się twarzą do ołtarza, a Helena, poważna, skupiona,

pochyla się do przodu i spokojnym gestem ręki wsuwa za ucho pukiel włosów. Edward kaszle, flegma bulgoce mu w krtani. Loftis stęknął głośno, co zresztą przeszło niepostrzeżenie. Jego głód wracał, wyciągał paluchy przez gęste, dławiące powietrze. Ale tym razem budził myśli nieporadne, ośliżłe, infantylne: bardziej niż czegokolwiek innego Loftis pragnął możliwości pójścia wreszcie do toalety. W marzeniach szedł przez pokój, torował sobie drogę pośród znudzonych, zaspanych gości, którzy modląc się pochylają głowy; nie widzą go, a jeżeli nawet widzą, nie zaszczycają uwagą. W rzeczywistości on również siedział z pochyloną głową, lecz wyobrażał sobie, że stoi w łazience na parterze, widzi mozaikę z glazury, niepokalanie czystą wannę i czuje, że cały niepokój wypływa z niego rozkosznie wraz z cytrynowożółtym strumyczkiem.

„Mój Boże – pomyślał – mój Boże... To tak strasznie daleko”.

Głód i tęsknota biorą go w posiadanie, zaczyna wspominać sprawy minione i przemijające, wszystko, co jest zwodnicze, ulotne. Ogląda siebie, gdy przed czterdziestoma laty stał jako dziecko nad starym blaszanym wiadrem. Dlaczego wówczas, spoglądając na taką samą jasną strugę wyciekającej zeń wody, nie czuł się słabo – słabo jak dzisiaj, kiedy w jakimś obcym pokoju dusi go przesycone zapachem róż powietrze? Pomyślał, że niepojętą klęską dla człowieka są jego narodziny.

– Módlmy się.

Loftis otworzył oczy, zamknął je znowu, spróbował się modlić.

„Stój krzepko, mój synu – mawiał niegdyś jego ojciec. – Zmierzaj prosto do celu”.

Z małej, przenośnej fisharmonii buchnął marsz Mendelssohna – wulkanicznie, nadspodziewanie głośno. Nie wiadomo jak i kiedy, Peyton i Harry zniknęli sprzed ołtarza i otoczyli ich hałaśliwy krąg gości. Edward położył łapę na ramieniu Loftisa.

– No, stary, z serca gratuluję – powiedział. – Chodźmy napić się czegoś.

Loftis strząsnął tę łapę i spróbował zażartować nieudolnie, mówiąc, że Edward z pewnością ukrył gdzieś butelkę szampana. Strząsnął też z siebie poniekąd skutki długiego obrzędu, lecz ujmując Helenę pod rękę czuł się nadal słabo i niepewnie. Carey podszedł do nich. Czoło miał zroszone potem, lecz minę zadowoloną, pełną natchnienia.

Helena spojrzała na niego.

– Było przepięknie, Carey – powiedziała – przepięknie. Dokazałeś istnego cudu.

– Nic podobnego, Heleno – odrzekł pastor tonem, który Loftis uznał za wielce pompatyczny. – Miałem wrażenie, że łączą mnie z tymi drogimi dziećmi związki... jakieś... że się tak wyrażę... bardziej niż normalnie głębokie i wymowne – uśmiechnął się promiennie. – Wiem, że rozumiesz, Heleno, ku czemu zmierzam.

Wyswobodził się z komży i dorzucił jakąś banalną uwagę. Loftis pomyślał złośliwie o zamianie stroju roboczego na pijacki. Dlaczego ci faceci są tak piekielnie obłudni?

– Przepraszam – bąknął odchodząc do łazienki.

– Cudownie było, Carey – podjęła Helena i delikatnie musnęła palcami ramię pastora. – Jak już wspomniałam, masz magiczne dotknięcie.

Mówiła zupełnie szczerze, bo zręczny manieryzm Careya rzeczywiście wprowadził ją w trans, jak niejedną pośród obecnych na ślubie kobiet – nawet najbardziej zgorzkniałych i podejrzliwych. W czasie ceremonii próbowała ukrywać swoją radość i zdradzała ją tylko przelotnymi błyskami triumfu w oczach, z czego zresztą zdawała sobie sprawę. Był to triumf szczególnego rodzaju. Przed pojednaniem z Miltonem życie przynosiło Helenie zawsze troski i rozczarowania. W ciągu kilku ostatnich miesięcy przemyślała to dokładnie, drobiazgowo. Wspominała młode lata, gdy pragnęła przyszłości podobnej do udanej popołudniowej herbatki, w czasie której wszyscy trochę gawędzą, trochę tańczą i postępują nad wyraz układnie. Przyszła na taką herbatkę i rzeczywistość okazała się upiorna: wszyscy postępowali fatalnie i nikt nie mógł powiedzieć, że się dobrze bawi. Później religia stała się jej błyskotką, zabawką i Helena odrzuciła ją w rozpacz, kiedy umarła Maudie. Zawsze jednak oddziaływała na nią wiara – niezachwiana, chociaż zapewne nieco mętna i pierwotna – toteż kiedy połknęła ostatnią pastylkę nembutalu i zapadała nie w otchłań śmierci, lecz, jak się spodziewała, bezkresnego snu, pełnego najpiękniejszych marzeń, miała na ustach modlitwę i słowa przeprosin skierowane do nieżyjącego ojca. Milton ją uratował. Znała granice jego cierpliwości i w swojego rodzaju biegu maratońskim wyczerpała tę cierpliwość do ostatecznego kresu. Ale

dostała to, czego pragnęła. Odzyskała męża wraz z nadzieją, że nadal będzie zebrał, płaszczył się przed nią, poniżał. Czego więcej mógłby wymagać ktoś, kto ma za sobą życie wypełnione cierpieniem, zniewagami: trwałym nienasyceniem moralnym? Powrót Milтона ocalił Helenę od niechybnej śmierci, bo kochała go rozpaczliwie zawzięcie, chociaż ranił ją często, i ona zadawała mu rany. Ona również! Przyznawała to, lecz jedynie wobec samej siebie. Uratował ją nie tylko od wiecznych, upiornych koszmarów, lecz literalnie od śmierci. Wiedziała, że dalsze rozmyślenia o Maudie musiałyby sprowadzić obłąd, lecz Milton wrócił i przyniósł ratunek. W początkowych tygodniach nowego życia odczuwała nieraz zadziwiające upojenie i w szaleńczych marzeniach widywała Dolly, która zwrócona twarzą w dół, płynie z nurtem wezbranej rzeki, jak trup pokonanego wroga. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów śmiała się wtedy głośno. Na osobności, sama w swoim pokoju, ujmowała szyję nerwowymi palcami i pozwalała sobie na tłumione, histeryczne wybuchy śmiechu.

Wreszcie dzień zaślubin Peyton stał się dniem niezmiernego triumfu Heleny. Nikt nie wiedział, nikt nie miał się nigdy dowiedzieć, jakie galwaniczne prądy przebiegają pod miękką, subtelną godnością jej manier, pod zorany zmarszczkami, raczej smutnym, lecz starzejącym się z wdziękiem dostojenstwem jej czoła. Nikt nie miał się dowiedzieć o zacieklej walce prowadzonej o ten skupiony, naturalny wyraz dumnej matki, kobiety, która poświęciła się, cierpiała i chociaż o jej męce wiadomo powszechnie, w dniu ślubu córki ukazuje twarz pełną odwagi, pokory, nieugiętej dobrej woli. Osiągnęła to z niezmiernym trudem. Jakże musiała kłamać, jak fałszować prawdziwe uczucia! Wiedziała jednak, że wszelkie środki usprawiedliwiają taki cel. I taki dzień! Gdy Miltonowi szepnęła na ucho: „Kochanie! Chcę, żeby Peyton wróciła do domu”, uradował ją błysk szczerej wdzięczności w jego oczach. Była pewna, że mąż nie wątpi w jej uczciwość.

Jej uczciwość! A w ogóle, co to jest uczciwość? Czy po tak przewlekłych mękach kobieta musi działać uczciwie, by osiągnąć cel? Helena zdawała sobie sprawę, że jej małżeństwo było potwornym koszmarem. Ustawicznie znosiła zniewagi, a brzemie tych niezliczonych obelg zaważyło ciężko na stanie jej ducha. Czy zatem nie miała prawa odrzucić uczciwych intencji, by zrealizować ten jeden jedyny dzień? „Wszystko! – myślała często w minionych miesiącach. – Wszystko pod słońcem! Wszystko, byle Peyton wróciła do domu. Wszystko, byle ludzie uwierzyli, że Helena Loftis to dobra matka i matka szczęśliwa. Wszystko, byle mogli mówić: Helena Loftis, ta męczennica, doprowadziła jednak do zgody w rozbitej rodzinie”.

W porywie zdawkowej kurtuazji wielebny Carey Carr natchylił się i ucałował rękę Heleny. W jego oczach była kobietą zrównoważoną, łagodną, promiennie uśmiechniętą. Taką ją widział i ona wiedziała o tym. Jednakże nikt, a już z pewnością nie tępo dobrotliwy Carey, nie potrafiłby odgadnąć, że ów pogodny spokój maskuje najnikczemniejsze pobudki i cele. Tak, jej pobudki i cele były zbrodnicze. Helena zasepia się na moment, moment wystarczająco długi, by pastor zapytał półgłosem:

- Co się stało, Heleno?
- Nic, mój drogi.

Jej intencje i uczucia są nieczne, obrzydliwe, ale cóż może zrobić? Cierpiała zbyt okrutnie i za długo, by mogło być inaczej, by mogła zdławić gwałtowną odrazę do Peyton. Biedna Peyton. Nieczysta. Grzeszna. Jej krew i ciało.

– Może zacznę cię znów widywać w kościele, Heleno, skoro odzyskałaś po trosze wiarę w moje siły.

Carey uśmiechnął się przymilnie i Helena chciała coś powiedzieć, lecz w tej chwili Milton wrócił z toalety. Był blady, roztrzęsiony. Co się z nim znowu dzieje?

– Chodźmy do jadalni, kochanie. Goście liczą, że będziemy czynić honory domu, przyjmować gratulacje.

– Tak... Tak, najdroższy. Zupełnie zapomniałam.

Carey odszedł tymczasem w stronę hallu, żeby powiesić szaty liturgiczne, więc Helena odwróciła głowę i zawołała przez ramię:

– To możliwe, Carey. Bardzo możliwe. Myślę, że tak się skończy.

Loftis wziął ją pod rękę.

– O czym mowa, Heleno?

– Ach... O niczym – objęła w pół męża, zmierzyła go zatroskanym wzrokiem. – Źle wyglądasz, kochanie. Czy ci coś dolega?

Mocno nacisnęła miękkie, wrażliwe miejsce poniżej żeber.

– Ach, Miltonie – szepnęła. – Taka jestem szczęśliwa!

Większa część gości zdołała dostać się jakoś do jadalni, mimo to jednak obie werandy były nadal przepełnione. Ella prezydowała nad wazą ponczu, a obok niej dwaj młodzi Murzyni w białych kurtkach stali w pogotowiu, by nalewać szampana. La Ruth zostały powierzone przekąski i kanapki, talerze, widelce i serwetki, lecz Ella rychło usunęła córkę z drogi i wyprawiła do kuchni, bo nim jeszcze wkroczyli goście, zdążyła narobić wiele głupstw: na przykład niewłaściwie pozwijając serwetki i widelce ułożyła na stole tak, że niepodobna było ich dosięgnąć. Kiedy goście zaczęli wchodzić, by kolejno składać gratulacje nowożeńcom i rodzicom, Ella i dwaj czarni kelnerzy stali na baczność z chochlą do ponczu i butelkami szampana w rękach. Mieli speszone miny i wyglądali bardzo niezdarnie. Z kuchni wyglądała raz po raz La Ruth i jej syn Stonewall, który przyciął sobie palce w drzwiach wahadłowych, musiała więc go pocieszać i uspokajać.

Helena z Miltonem ustawili się obok Peyton i Harry'ego, a goście napływali strumieniem, aby ścisnąć im dłonie i składać życzenia. Starsze niewiasty – pośród nich pani Mayo, pani Cuthbert i żona doktora Bulwinkle'a, która przypominała wystraszone pisklę drozda i ćwierkała urywanymi zdaniami – były pod wrażeniem obrzędu zaślubin i bardzo widocznie wzruszone. Gdy podchodziły do Peyton i spoglądały na nią, każda przypominała sobie własną minioną urodę, więc lękała się powierzyć słowa drżącym wargom i dusiła pannę młodą w milczącym, rozdygotanym uścisku. Na ogół jednak panowały podniosły nastrój radości i beztroski. Wszyscy byli zdania, że Peyton wygląda ślicznie i promienieje wdziękiem. Uśmiechała się wokół, przedstawiała świeżo poślubionego męża, bezbłędnie wymieniała wszystkie nazwiska gości. Starsi panowie sądzili również, że jest piękna i całowali ją przykładowie, lecz w życiu widzieli tak wiele ślubów, że pochłaniały ich raczej myśli o szampanie. Carter Houtson, prezes stoczni, był istnym uosobieniem łaskawości i dobrych manier. Miał obwisłe śnieżnobiałe wąsy, a chociaż prawie nieustannie żuł cybuch fajki, nie żółciła ich ani jedna plamka.

– Moja śliczna – szepnął całując Peyton, a jego krochmalone mankiety zachrzęściły i poczciwe, stare, błękitne oczy błysnęły romantycznie. – A więc to jest twój chłopiec – dodał spoglądając na Harry'ego i zatrzymał się, gdyż on jeden wśród obecnych mógł bezkarnie pozwolić sobie na tak długi postój.

– To jej chłopiec, Lisso – zwrócił się z kolei do żony, jak gdyby tego nie wiedziała. – Musi pan bardzo dbać o to uroczę dziecko, panie Harry – ciągnął. – Najlepiej nie wracajcie do Nowego Jorku. Możecie przecież zamieszkać w Port Warwick i często nas odwiedzać. I tak Peyton zbyt długo była poza domem. Czy nie mam racji, Lisso? – spojrzał znowu na drobną, siwą kobietkę uczeponą u jego ramienia i pachnącą wyrobami Yardleya.

Miała arystokratyczne rysy i wiecznie ten sam uśmiech – prawdopodobnie rezultat wyrazu oczu i układu ust o podniesionych kącikach. Tak czy inaczej, spędziła całe życie w atmosferze przytłaczającej życzliwości, bo na ten uśmiech wszyscy musieli odpowiadać uśmiechami, jeżeli nawet była smutna.

– Naturalnie. Masz rację, Cajder – powiedziała.

– Chętnie będziemy korzystać z łaskawej gościnności szanownych państwa – odrzekł Harry i Houtsonowie odpłynęli.

W długim rzędzie osób składających życzenia nastąpiło pewne zahamowanie, gdyż przed stojącym obok Peyton Loftisem zatrzymał się kulawy dentysta, Monroe Hobbie. Niegdyś posiadał on głupią i piękną żonę, lecz małżeństwo rozbił szykowny marynarz, Włoch z Wilmington w stanie Delaware, który miał bardziej obrotny język i obie nogi w porządku. Od tego czasu Monroe Hobbie wspominał na każdym weselu dawne szczęśliwe lata, więc upijał się przedwcześnie i stawał się szczególnie patetyczny i wymowny. Tym razem spojrzał na Loftisa, wsparł się na jego ramieniu i długo bredził coś o wiecznej młodości, a następnie minął bez słowa nowożeńców, jak gdyby całkiem o nich zapomniał.

– Jak się czujesz, skarbie? – zapytał Loftis córkę.

– Jak osoba znieważona!

– Znieważona? Kto cię obraził?

– Doktor Hobbie. Wcale mnie nie pocałował. Biedaczek.

– Masz rację, że biedaczek – spojrzał na zięcia, mrugnął filuternie i podjął półgłosem: – Nie gorsz się, Harry, zachowaniem niektórych naszych gości. To przecież Wirgińczycy... No i prawie wszyscy trochę pod gazem, no i...

– Odwrócił się, bo Helena dotknęła delikatnie jego ręki.

– Państwo Appletonowie, kochanie – powiedziała.

Goście nadciągali kolejno, ściskali dłonie, dawali i otrzymywali pocałunki, a następnie ustawiali się w przykładowej kolejce po szampana. Dla mniej wybrednych podniebień były również whisky i dżin ustawione na stole butelka za butelką. Helena nie skąpiła pieniędzy na ten szczytowy dzień swojego życia, a Loftis miał rozległe stosunki towarzyskie, więc potrafił dokonać cudu w urzędzie odpowiedzialnym za racjonowanie trunków. Październikowe słońce sypało przez okna złoty pył światła, ale w jadalni wszystko było srebrzyste, bo srebrem iskrzyły się dżin i szampan, błyszczące sztucce, zapinki we włosach młodych dziewcząt i dziesiątki szklanek, które pobrzękiwały radośnie i ochoczo. Muzyka z płyt – coś bardzo sentymentalnego i bardzo wiedeńskiego – wypływała na taras porywając za sobą tłum młodzieży, która zaczęła tańczyć i przy okazji opryskiwać srebrzystym szampanem stopy zgrabionych liści. Dzień był ciepły, błękitny – prawdziwie weselna pogoda, jak powiadali wszyscy. Niebawem otworzono wszystkie okna i delikatny zapach dymu z dalekich ognisk zmieszał się z wonią perfum i kwiatów. W jednym kącie otyła para małżeńska – Cuthbertowie, obydwójce abstynenci – opychali się szynką; nikt nie zwracał na nich uwagi. Moncure („Monk”) Yourtee, usposobiony jak zawsze żartobliwie, wkrótce stracił głowę w atmosferze ogólnego podniecenia: zaczął całować wszystkie panie, młode i stare, co robił, póki żona, wysoka i

surowa dama, nie odciągnęła go na stronę i uspokoiła. Młodość ulegała romantycznemu nastrojowi, nie brakło czułych słów, obietnic, uścisków rąk. Ktoś przyniósł szampana Peyton i Harry'emu, a w momencie gdy nowożeńcy wymieniali pocałunek, fotograf napełnił pokój oślepiającym światłem. Jednocześnie patefon jął powtarzać raz po raz dwa słowa niemieckiej piosenki: „*bist ein, bist ein, bist ein*” widocznie igła ugrzęzła w rowku.

– Ktoś urządził płytę! – zawołała Peyton i ze śmiechem wyrwała się Harry'emu.

Nastąpiły dalsze toasty, dalsze kielichy szampana i wreszcie koniec parady gratulantów. Ostatnia przysła Winnie Byrd Taylor, która rosła wraz z Peyton. Była chuda, niepozorna, prawie bez piersi, miała więc nikłe widoki na zamążpójście. Z krótkim tłumionym szlochem porwała Peyton w objęcia, twarz z nieładnymi plamami oparła na jej ramieniu i popłakała trochę, jak gdyby nie zachowała w pamięci nic oprócz ich wspólnie spędzonego dzieciństwa i letnich dni pod drzewami.

– Dziękuję, Winnie Byrd – powiedziała Peyton oddając pocałunek. – To jest Harry.

Brzydula dotknęła lekko ręki pana młodego, uśmiechnęła się męczeńsko i odeszła. Pozostali teraz sami, we czworonowożeńcy i rodzice. Loftis z kielichem szampana w ręku odwrócił się, spojrzął na córkę i doznał nie lada ulgi. Wszystko szło coraz lepiej. Był najzupełniej trzeźwy, lecz odczuwał lekkie miłe podniecenie wywołane radosnymi minami gości, muzyką, widokiem Peyton – przede wszystkim widokiem Peyton. Od zakończenia ceremonii ślubnej prawie nie odrywał od niej wzroku, cieszył się, że jest taka szczęśliwa, ożywiona, śliczna – prawdziwa promienna panna młoda. Jakże mylił się snując posępne myśli w innym sensie. Oto w ciągu pięciu minut pocałowała go dwa razy mówiąc: „Mój tatuś! Kochany!” Jego męki w czasie ślubu były zupełnie zbyteczną torturą.

Helena odsunęła się na moment, aby uściskać jakąś kobietę, swoją dawną przyjaciółkę. Nad jej ramieniem Loftis zobaczył, że Harry nachyla się i powtórnie całuje Peyton w same usta. Był chyba jedynym widzem tej sceny, bo nastąpiła w trakcie jednej z takich niepojętych przerw przyjęcia, kiedy goście honorowi, zapomniani przez innych w trakcie jedzenia i picia, wydają się kompletnie, bezsensownie odosobnieni. W podobnym momencie, jak gdyby wyodrębnionym z czasu, człowiek może śmiało szepnąć, nawet będąc gościem honorowym: „Czym jest życie? Co ja właściwie tutaj robię?” W takim mgnieniu oka mógłby rozebrać się do naga albo paść trupem i nikt nie zwróciłby na to uwagi. Loftis był zatem jedynym widzem i zdawał sobie z tego sprawę. Patrząc na pocałunek państwa młodych odczuwał żrący głód, taki sam jak z rana i podczas ślubu. Ale tym razem głód był ani przykry, ani miły – po trosze jedno i drugie – związany z pamięcią bardziej niż z czymkolwiek innym, z jakąś ledwie zasłyszaną muzyką, i grającym gdzieś blaskiem słońca, z czymś nieuchwytnym i niepowrotnym. Helena odeszła, kielich szampana był podniesiony, dokoła rozbrzmiewał śmiech i pobrzękiwały talerze. Tkliwy dziewczęcy głos zawodził *Traenen ins Auge*, instrumenty smyczkowe akompaniowały, jak gdyby z bardzo daleka. Poprzez połyskujący tęczowo walec szklanki, którą niósł do ust, Loftis zobaczył połączone wargi, roztrzepotane szybko powieki, ramiona połączone

namiętym uściskiem. Nikt nie patrzył, nie widział pocałunku nowożeńców – tylko on. Nagły cios zadała mu gwałtowna, zazdrosna tkliwość, jaką rzadko dawniej odczuwał. Moment pojawił się i zniknął. Loftis miał na języku słodkawokwaśną pianę szampana i obserwował niby urzeczony. Oto Harry śniady i ciemnowłosy, po semicku przystojny; krew pulsuje delikatnie w jego skroniach. I Peyton, z wargami na wargach męża; włosy opadają jej na ramiona, przymykają się powieki tak jasne, że prawie przezroczyste.

Czar prysnął. Nowożeńcy oderwali się od siebie. Przed Loftisem wyrosły nagle plecy Heleny, która obejmując w pół dawną przyjaciółkę, mówiła:

– To jest Peyton, Felicjo, a to Harry. Prawda, że ładna z nich para?

Postąpił krok, żeby coś powiedzieć, lecz w tym momencie ktoś dotknął jego ramienia – Edward zarumieniony po uszy od szampana.

– No, jesteś, stary! – zawołał pułkownik. – Jak tam leci? Chyba trochę za mało wiwatujesz... Trzymaj – przezornie zaopatrzył się w dwie szklanki.

Loftis podniósł swoją.

– Dziękuję – powiedział. – Już mam.

Edward odstawił jedną szklankę, wyjął z rąk szwagra próżną i podał mu pełną. Loftis zaprotestował zrazu, później się poddał.

– Widzisz, mój drogi, mnie obowiązują ograniczenia – bąknął.

– Nie dziś... Nie dziś, stary.

Loftis musiał ulec stanowczemu tonowi, a przede wszystkim własnej gwałtownej potrzebie alkoholu. Pociągnął długi łyk, lecz w tym momencie nie cierpiał Edwarda jeszcze bardziej niż zwykle. Miał wrażenie, że słyszy ten głos dochodzący zza biurka, w jakimś obozie wojskowym. Sam poczuł się wystraszonego młodemu oficerem. „Nie dziś, panie poruczniku... Nie dziś..”. Jak łatwo taki głos potrafi zabrznieć w pewnych warunkach nutą paraliżującej komendy! Edward osiągnął stopień zamroczenia, w którym indywidualność rozżarza się jak węgiel, a ludzie błyskotliwi doznają natchnienia, lecz tępi stają się z reguły tym większymi nudziarzami. Loftis zerknął na orła¹⁴ zagnieżdżonego na ramieniu szwagra. Pomyślał nie bez zazdrości, że chciałby być pułkownikiem, mieć za sobą Guadalcanal i rany. Szampan działał: nagle wyrosła wizja zamglonej dżungli i urywanego szczekania kaemów – jak w kronikach filmowych. Ale zyskać to wszystko kosztem upodobnienia się do takiego faceta? Nigdy!

– Cukiereczek z tej Peyton – powiedział Edward.

– Aha...

14 Orzeł na naramienniku jest odznaką pułkownika armii Stanów Zjednoczonych.

– Prawdziwy cukiereczek.

– Aha...

– Szczęściarz Harry! Nie wiesz, jak ją poderwał?

Loftis streścił zwięźle to, co Peyton pisała mu i opowiadała – w sumie bardzo niewiele.

– Żydek, prawda?

– Tak. Prawda.

– Ale wygląda na takiego lepszego Żydka, co? Pewnie... Musi być pierwsza klasa, bo inaczej nie wyszłyby za niego nasza mała ślicznotka. Sympatyczny facet. Mnie tam, widzisz, spodobał się z miejsca, jak go tylko zobaczyłem. Jak na Guadalcanal byłem dowódcą pułku, mieliśmy w sztabie jednego Żydka... Wyobraź sobie, nie znałem chyba lepszego oficera operacyjnego. Jednego razu...

Loftis przestał słuchać. Miał dziwaczne złudzenie, że to on załatwia pracę mózgu za Edwarda: wiedział najdokładniej, co i jak tamten myśli, a świadomość ta nieznośnie go irytowała. Napił się szampana. Oczywiście Harry jest Żydem. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Nie... Tak... Dziecinne myśli! Ale jeżeli poświęcić im trochę uwagi, warto przypomnieć sobie, jak po prostu przyjęli ten fakt obydwój z Heleną, kiedy Peyton do nich napisała. On był zdziwiony, bynajmniej jednak nie zgorszony, co bez wątplenia miałyby miejsce przed dziesięcioma laty. Ale najbardziej dziwił go chłód Heleny, która nie odznaczała się wprawdzie nietolerancją, lecz zawsze przywiązywała znaczną uwagę do różnic klasowych, a tę wiadomość przyjęła całkiem spokojnie. Co myślała naprawdę? Nie pytał o to żony i sam zapomniał rychło o całą sprawę. Zapomniał aż do dnia dzisiejszego. Tak! Aż do dzisiaj. W trakcie przyjmowania życzeń uspokajały go pocałunki Peyton (prawie czuł jeszcze ich ciepło na policzkach) i słodka, rozkoszna muzyka jej śmiechu. Raz spotkały się ich dłonie i to magiczne dotknięcie zmiotło jego niepokój i napięcie, pocieszyło go, umocniło przekonanie, że Peyton jest mimo wszystko szczęśliwa. A jednak – i to drażniło go najbardziej – miał wrażenie, że nawet przez sekundę nie potrafi żyć bez trosk. Żerował na nich lub raczej one na nim żerowały i znajdowały przytułek w jego mózgu, w sposób równie naturalny, jak światło lampy we wnętrzu klosza. Był

zmartwiony szczerze i wstydliwie, że Peyton wydała się za Żyda, malarza, a na domiar cherlaka z kategorią „F4”. No i Harry jest trochę za stary. Do diabła. Z pewnością dobrze przekroczył trzydziestkę. I co z tego? Jedna część Loftisa mówiła: „Spójrz na Peyton. Jest szczęśliwa. Czego chcieć więcej?” Jednakże druga dorzucała: „Ale to Żyd”.

Dlaczego? Dlaczego się martwi? Był wściekły na siebie. Skąd ta troska o szczęście Peyton? Skąd niesmak z powodu małżeństwa Żyda i jego własnej córki, skoro nigdy nie miał żadnych przesądów w stosunku do Żydów (może dlatego, że niewielu ich było w jego otoczeniu, może z dobrego serca lub litości), a prawdę mówiąc, prawie nie żywił uprzedzeń nawet wobec czarnych. Ów niesmak doprowadzał Loftisa do furii, póki nie złożył go na karb przesadnych idiotycznych obaw co do postawy gości. Co oni mogą myśleć? Miller, Harry Miller. To nazwisko prosto z Yorkshire, jak Harris albo Palmer. Tyle że w pewnych okolicach, na przykład w stanie New York, nazwiska takie uchodzą za czysto żydowskie, bo przyjęło je bardzo wielu Żydów. Loftis słyszał o tym niegdyś od jakiegoś kolegi szkolnego. Goście przeczytali „Miller” na zaproszeniach i jeżeli w ogóle coś pomyśleli, co im przyszło do głowy w związku z tym Millerem? Loftis uprzytomnił sobie, co go najbardziej dęczy – goście. Cóż, jeżeli nawet mieli jakieś wątpliwości, nie zdradzali ich zachowaniem, jak przystało dobrze wychowanym paniom i panom. Spojrzeniem jasnych, protestanckich oczów obejmowali twarz Harry'ego i uznawszy, że jest miła i serdeczna, ściskali gorąco jego rękę. Mogliby myśleć: „To Żyd wyjątkowej odmiany: chłopiec Peyton”. Prawdopodobnie myśleli rzeczywiście w podobny sposób. Tak czy inaczej, Loftis był z nich zadowolony.

Edward przyglądał stalowoszare włosy i spojrzał na szwagra z maskowaną niechęcią bigota, który usiłuje być przyjemny.

– Jeszcze w cywilu – gadał – spotykałem w Nowym Jorku kilku Żydów z mojej węglowej branży. To, powiadam, bardzo sympatyczne typki i...

Loftis był zły i znudzony. Chciał powiedzieć coś bardzo złośliwego, ale zdobył się na tyle tylko odwagi, by przyłożyć palec do ust i zrobić minę, jak mu się wydawało, zagadkową.

– Nie martw się. Już ty się nie martw – powiedział i odszedł ściskając w palcach próżną szklanę.

Łatwo odnalazł Peyton i jej męża w towarzystwie Heleny. Fotograf, drobny, nerwowy człowieczek z oczami psa obitego przed chwilą bez powodu, skarżył się na złe światło, lecz obiecywał zrobić wszystko, co można, ponieważ klient żąda zdjęć jak najbardziej naturalnych. Ustawił Loftisa między Heleną a Peyton, prosił, by cała rodzina utworzyła malowniczą grupkę.

– W porządku – orzekł wreszcie. – Teraz zechcą państwo łaskawie stać zupełnie spokojnie.

Później zbliżał się i oddalał, regulował kliszę i obiektyw. Goście tworzyli tymczasem półkole gapiów i nie szczędzili komentarzy.

– Proszę się uśmiechnąć.

– Robię, co mogę – zachichotała Peyton.

Loftis wyczuwał dłonią jej kibić ciepłą i miękką, lecz jednocześnie dotykał owłosionego przegubu ręki zięcia, co go po trosze drażniło.

– Uśmieszek, proszę...

– Hej, Milt! Uśmiechnijże się tak jak tego dnia, kiedy zalałeś w pestkę Genego Sarazena! – krzyknął Monk Yourtee, czym wywołał powszechny wybuch śmiechu.

– Pogodny uśmieszek, proszę. Pani Loftis zechce bródkę trochę do góry... O tak! Doskonale.

Oślepiający błysk: jeden, drugi, trzeci. Pozowanie było skończone. Goście rozproszyli się, obiegli stół z trunkami, zaczęli brzęczeć jak muchy nad różowym obrusem, zalany już szampanem. A szampana podawano coraz więcej. Kelnerzy dbali o to troskliwie, żywo się ruszali. Co pięć minut wracali z uśmiechem na twarzach i ciężkimi tacami. Po drugiej szklance Helena nie chciała pić więcej. Loftis otoczył ją ramieniem.

– Nie pogniewasz się, kochanie – szepnął – jeżeli ja będę dziś mniej wstrzemięźliwy?

Uśmiechnęła się, delikatnie pogładziła go po twarzy końcami palców.

– Takiego dnia wszystko uchodzi. Nie martw się. Mam na górze zapas wody sodowej i bromu.

W ciągu następnych dziesięciu minut Loftis wypił trzy szklanki, które beztrąsko i z podziękowaniem przyjmował z rąk kelnerów, myśląc, że trzeba im dać sute napiwki. Niebawem zorientował się, że przemawia do córki i zięcia – szybko, z uczuciem, po ojcowsku. Ścisnął dłoń Peyton, wysławiał się z niebywałą galanterią. Młodość przesyciła atmosferę nie mniej niż dźwięki muzyki i srebrzysty, swawolny blask światła, więc Loftis czuł się młodo i uprzytomnił sobie, że wraca ten sam poranny głód – dziwny i gorący.

– Nic się nie przejmuj – mówił do Harry'ego, ściskając mocno palce córki. – O nic się nie martw. Ona jest całkiem taka sama jak jej mamusia. Przyjdzie czas, kiedy nie będziesz mógł zrozumieć, jakim cudem dałeś się złapać tak lekkomyślnej istocie. Ale nic się nie przejmuj, Harry. One już są takie. Muszą oglądać się za każdymi portkami. O nic się nie martw. Spojrzysz w te wielkie piwne oczy. Ona roześmieje się do ciebie... No i co zrobisz? Możesz wierzyć mi na słowo, że wobec kobiet z rodziny Loftisów mężczyzna jest zupełnie bezradny...

– Ależ, staruszkule!

– Miltonie! – roześmiała się Helena.

– Słuchaj, Harry... Mówię całkiem poważnie – ciągnął Loftis znad rąbka szklanki. – Zupełnie serio. Jak Boga kocham! To dziedzictwo po Peytonach, rozumiesz? Po rodzie wojowników. Trzeba na te panie uważać, jak na sierżanta szefa, rozumiesz? Weź na przykład sierżanta szefa, którego ja miałem w czasie tamtej wojny, kiedy przechodziłem szkolenie. Facet potrafił być tak dokuczliwy, jak tylko zechciał, ale miał w sobie wiele prawdziwej łagodności... ba! że się tak wyrażę, słodczy. To był Irlandczyk. Nazywał się McNamara.

Loftis zdawał sobie sprawę, że zaplątał się niestosownie, być może głupio. Zaczął od analogii, a ugrzązł w rozwlekłej opowieści dla zbudowania zięcia. Tak zwykle bywa, kiedy człowiek wraca do lat wojny: musi usprawiedliwiać się, romantyzować, chociażby najsubtelniej. W potokach jasnego światła widział poważną, skupioną twarz Harry'ego: żydowską twarz, śniadą i prawie piękną, o oczach, które nie potępiają nigdy, lecz są cierpliwe, głębokie, pełne zadumy, jak gdyby chciały wyrazić jedynie swojego rodzaju współczucie i wyłączną, gorącą chęć dokładnego zrozumienia. Pod wpływem takiego wyrazu oczów i oczywiście szampana Loftis zrobił odkrycie, że coraz bardziej i bardziej podoba mu się ten młody człowiek. Zarazem jednak przyszło mu na myśl, że Harry na wskroś przejrzał jego anegdotę, więc wrócił do pierwotnego tematu.

– W każdym razie, kochany chłopcze, dobrze zapamiętaj moje słowa, bo wiem, co mówię. One nie mogą pognać cię na długo i tak naprawdę, wcale nie chcą. To tylko poza, jak u mojego sierżanta szefa. Zawsze są gotowe kochać cię na śmierć i życie, jeżeli dasz im bodaj błahy powód do miłości. Będą cię kochać, jak gdybyś był najdroższym, miłym chłopaczkiem... – Urwał i głośno pocałował Peyton w policzek.

Widać było, że nie żartuje, lecz z niewiadomych sobie samemu przyczyn zmierza do serdecznie komicznego zakończenia i po drodze fatalnie kuleje. Niewątpliwie wyrwał się z czymś niestosownym i zdawał sobie z tego sprawę. Harry miał minę poważną i uprzejmą, ale uśmiechy Heleny i Peyton – uśmiechy, które chwilami odczuwał raczej, niż widział – były jak gdyby przyklepione do twarzy i zdawały się maskować niemy wyrzut.

– Ach, tatusiu – rzuciła Peyton nie bez rozdrażnienia, wyswobodziła palce z dłoni ojca i szybko napiła się szampana.

– Twój teść gubi czasami wątek – powiedziała Helena do Harry'ego z jednakowym wciąż uśmiechem dyskretnej przygany.

Loftis począł szukać w myśli stosownych słów, by wybrnąć jakoś, zatuszować popełnione gafy. Ale w tej chwili nadeszły dwie identyczne siostry Abbott. Miały dziewiętnaście i osiemnaście lat, poruszały się sztywno, jasnozłociste włosy nosiły ostrzyżone „na pazia”, co w połączeniu dawało im nieco formalny i chłodny wdzięk pary żonkili.

– Bawiłyśmy się doskonale – przemówiły unisono.

– Już uciekacie? – zdziwiła się Peyton. – Evelyn, Jennie... Tak wcześnie?

– Musimy wracać do Chapel Hill – powiedziała ta z lewej strony. – Egzaminy. Wiesz, jak to bywa.

Peyton ucałowała je, inni powiedzieli „do widzenia” i siostry Abbott odmaszerowały ramię w ramię. Loftis był im serdecznie wdzięczny za krótki antrakt, kiedy jednak odwrócił wzrok i spojrzał na rodzinę, uświadomił sobie te same zastygłe uśmiechy i niemal odpychające milczenie. Co, u licha, powiedział złego? W pokoju było gwarno. Obrzęd zaślubin stanowił wiosnę dnia, wiosnę, która wiodła, minęła – łagodna i niewinna na kształt kwietnia. Z kolei przyszło lato, pora beztroski, łatwych znajomości, pierwszych dojrzałych oparów (naturalnie alkoholu), wśród których goście żeglowali, niby przez nieco zamglone, słoneczne blaski sierpnia. Obecnie zawitała wczesna jesień przyjęcia i przymknąwszy powieki łatwo było rozpoznać jej charakterystyczne odgłosy: nerwowe, przenikliwe, wysokie śmiechy kobiet i męskie głosy, ochryple nagle, suche jak szelest żółknących liści. W zbliżony sposób wszystkie zebrania towarzyskie zmierzają w stronę zimy zupełnego oziębia i wyczerpania.

Loftis słyszał hałas, kiedy jednak objął wzrokiem Helenę, Peyton i Harry'ego, miał przez moment złudzenie całkowitego odosobnienia wśród grobowej ciszy. W trakcie tego momentu daremnie próbował uprzytomnić sobie, co złego powiedział albo zrobił? Czym mógł wywołać napięcie i widoczne, bolesne, bez wątpienia wzajemne uczucie zaniepokojenia. „Ach, te uśmiechy – pomyślał. – Te uśmiechy! Czy chodzi może o to, że pocałowałem Peyton?”

Nagle przyszło olśnienie, chwila nie dłuższa niż mrugnięcie powiek Peyton. Ale w tym mgnieniu oka Loftis pojął sens nieudanych uśmiechów i doświadczył lodowatego druzgocącego przecucia klęski. Harry uśmiechał się grzecznie, lecz błyskawicznie zniknął z pola widzenia, bo Loftis patrzył jedynie na Peyton. Podniosła szklanę, dotknęła jej wargami. Nie odmieniła uśmiechu, ale zdradziła się tym gestem. Wypiła już za dużo: twarz miała zaróżowioną, jak gdyby wyszorowaną szczotką, buchał od niej żar gorączki, a błysk oczu i sposób, w jaki rozchyłała wilgotne usta, powiedział zbolełemu, zdrętwiałemu sercu ojca, że już za późno na ratunek. Krótki moment zrozumienia przyszedł raptownie, groźnie. Loftis zdał sobie sprawę, że na taki właśnie błysk wewnętrznego światła czekał przez całe życie. Bez zastanowienia rzucał niemądre, na pozór nieszkodliwe słowa, ale były pośród nich takie, jak „lekkomyślna istota”, „miłość”, „śmierć”, które na różny sposób raniły dwa kobiece serca. Na Boga! Czy nie wiedział, że one nienawidzą się wzajemnie i gardzą sobą? Czy przez dwadzieścia lat musiał oszukiwać samego siebie, piętrzyć jedną fałszywą nadzieję nad drugą po to jedynie, by dzisiaj – właśnie w tym dniu, nie innym – odkryć przerażającą, nagą, gorzką prawdę? Te uśmiechy... Naturalnie! Przecież Helena i Peyton zawsze tak uśmiechały się do siebie. Wymieniały również słowa, spojrzenia, nieuchwytnie kobiece gesty, których sensu nie potrafiłyby

nigdy odgadnąć ani nawet zrozumieć w nikłym stopniu.

Przez lata żył w samozakłamaniu, zbyt dumny, zarozumiały albo po prostu głupi, by uświadomić sobie, że on sam stanowi zawsze ośrodek tych wrogich, zdradliwych kobiecych uczuć. Co zrobił lub czego nie zrobił, nie wywoływało wzajemnej niechęci Heleny i Peyton. Nie – nawet sprawa Dolly. Żadne jego uczynki – dobre czy złe – nie były przyczyną tragedii w stopniu takim jak sam fakt jego egzystencji, rzuconej bezradnie i bezbrinnie w strefę niczyją, między dwie zrozpaczone, skłócone niewieście maszyny wojenne. Dzisiaj całował Peyton, rzucał słowa nie na miejscu, czymś ją uraził. Więc uśmiech Peyton miał kryć tę urazę, przynajmniej kryć ją przed obcymi, podobnie jak Helena próbowała maskować echem uśmiechu córki wzbierającą w piersi obłądną, jadowitą zazdrość. Co ona robi najlepszego? Dlaczego tak go oszukuje? Ach, te uśmiechy! Nagła groza przejęła Loftisa lodowatym dreszczem. Ach, te uśmiechy! Ulatywały nad siatką jego życia niby złudne, piękne motyle, ustawicznie wprowadzały go w błąd, budziły wiarę, że mimo wszystko te dwie kochają się naprawdę. Był przekonany, że pod burzliwą powierzchnią płynie głęboki nurt macierzyńskich, dziecięcych uczuć. Nic podobnego! Obecnie, w przelotnym momencie olśnienia, zobaczył te uśmiechy w prawdziwym świetle. Wielki Boże! Te kobiece uśmiechy – zdradliwe, pełne fałszu – trzepocą po jego obu stronach olbrzymie, jak skrzydła nietoperza.

O, Peyton! Tak cię kocham...

Loftis wyciągnął rękę i uśmiechy rozplynęły się niezwłocznie. W tej chwili wyniknął zamęt w okolicy drzwi kuchennych i La Ruth wtargnęła do pokoju. Roztrącając gości popychała przed sobą stolik na kółkach, obciążony kolosalnym tortem weselnym. Twarz zmieniła w jeden uśmiech, tupiała głośno, pokrzykiwała ochoczo, na prawo i lewo kłaniała się oszołomionym gościom. Nie wszystko jednak było w porządku. Nie widzieć jak, sznur parówek uczeplił się troków jej fartucha i La Ruth wlokła za sobą po podłodze co najmniej dziesięć sztuk. Nieświadoma tego, upojona szła coraz szybciej w stronę Peyton, sapała, mówiła coś, demonstrowała swój pojazd, jak gdyby popychała ją do przodu fala zjadliwego, histerycznego śmiechu. Tuż przed panną młodą przystanęła i rozejrzała się dokoła.

– Jest tort – zaczęła i w tej chwili uśmiech zniknął jej z twarzy. – Co ja złego zrobiłam?

Loftis usłyszał rozbawiony głos Peyton:

– Ach, La Ruth!

Nagle w pokoju zapanowała cisza. Umilkła nawet muzyka. Goście poczęli zerkać znad szklanek, by sprawdzić, co się właściwie stało. Murzynka zbadła uważnie swoją spódnice, nachmurzyła się, obejrzała za siebie, ale nic nie odkryła. W tłumie zaszemrały stłumione szepty i oto taki widok ukazał się z kolei oczom Loftisa: Ella Swan toruje sobie drogę pośród ścisku, zła i wzburzona, w rozwianym fartuchu, zmierza prosto w stronę La Ruth. Z chochlą do ponczu w ręku sunie szybko jak zaciętrzewiona japońska kurka lub czarna, pomarszczona Kasandra, miotająca złowróżbne słowa zguby i potępienia. Sceny, która nastąpiła później, należało unikać, ale nikt nie pomyślał, by jej zapobiec, a Loftis, pijany szampanem i straszliwym natrętnym przecuciem klęski, stał niby przyrośnięty do podłogi i patrzył, jak Ella odczepia sznur parówek od fartucha córki i macha nim przed sobą w powietrzu.

– Spójrz na to – krzyknęła drżącym, starczym głosem.

– Widzisz, co narobiłaś? Nie mówiłam, że masz na mnie zaczekać? Wynoś się zaraz!

– Mamo... Ja nie chciałam...

– Cicho, głupia! Tak popsuć wesele Peyton! Już ty dostaniesz za swoje, dostaniesz...

– Mamo... Ja nie chciałam...

– Cicho, głupia – wrzasnęła Ella wywijając chochlą do ponczu oraz sznurem parówek. – Takie coś przywlec za sobą! Głupia! Należy ci się po łbie, i tyle!

– Ella! – dobiegł Loftisa głos Heleny.

Ale było za późno. La Ruth ukryła głowę w fałdach fartucha i zaczęła szlochać. Po chwili gwałtowny dreszcz wstrząsnął jej ciałem; z włosami w nieładzie i dłońmi na twarzy zadarła głowę do góry i zawyła:

– O Jezu! Jezu-u-u! Przecież nie chciałam. Same się jakoś przyczepiły ze stołu!

Później uległa nowemu atakowi rozpacz: narzuciła znów fartuch na głowę i zaczęła bełkotać coś bez związku. Loftis pocił się obficie i usiłował zgadnąć, jak długo to jeszcze potrwa. Przeżywał momenty grozy, więc miał wrażenie, że na scenę przeznaczoną dla tragedii wtargnęła płaska komedia, a widzowie podrwiwający z La Ruth nie przeczuwają nawet, jak katastrofalne wydarzenia dojrzewają za kulisami.

Nagle wystąpiła Peyton. Loftis spostrzegł ją w mgnieniu oka. Oto odstawia szklanę na stół, podchodzi chwiejnie do Elli (jest pijana, twarz ma rozpaloną, oczy połyskujące szkłiscie), uspokaja starą dotknięciem ręki i łagodnym szeptem. Tylko ona panuje nad sytuacją. Teraz zbliża się do La Ruth, obejmuje ją wpół, ściska delikatnie.

– Wszystko dobrze, La Ruth – mówi. – Dziękuję ci za śliczny tort. Wszystko dobrze, La Ruth.

Odbyło się to błyskawicznie – nie trwało dłużej niż pięć sekund – lecz w jednej chwili zniknęła niewiarygodna groteskowość sceny. Muzyka odezwała się znowu, powietrze zawirowało od szmeru głosów i brzękliwych pocałunków szklanek. La Ruth otarła oczy, z wdzięcznością spojrzała na Peyton i cicho podreptała z powrotem do kuchni. Był to rezultat nie wyniosłego lub protekcjonalnego gestu, lecz pełnego prostoty spontanicznego odruchu, który poraził Loftisa miłością tak niezmierną, że nie był w stanie powiedzieć, czy ją znieść potrafi. „Nie bądźże osłem” – szepnęło sumienie, ale w tej chwili wydało mu się, że obraz Peyton blednie, znika w tumanie zdruzgotanych słów. Zorientował się nagle, że stoi obok córki i całuje ją publicznie, znacznie goręcej, niż wypadałoby ojcu.

– Nie uduś mnie – szepnęła odpychając go gniewnie.

– Nie uduś mnie, tatusiu. Oszalałeś? Co ludzie pomyślą?
No, dajże spokój!

Między nimi wyrosła szampańska piana, surowy zapach zielonych winogron. Naprawdę Peyton odepchnęła go niczym furia, a on stał bezradnie, osłupiały z grozy i pożądania. Serce biło mu mocno. Na wargach miał czerwoną, tłustą plamę. Co właściwie zrobił?

– Nie uduś mnie – powtórzyła jeszcze raz Peyton gardłowym głosem, dziwnie teraz załamana i przygnębiona.

– Bodaj cię licho, tatusiu! Zawsze i wszystko musisz zepsuć.

Odwróciła się, niepewnym krokiem podeszła do weselnego tortu. W spódnicy na jej biodrach dziwnie załamywało się światło. Loftis tkwił pośrodku pokoju załamany, oszołomiony. Był kontent, że ogólne zamieszanie pokryło moment jego szaleństwa. Nikt nie spostrzegł niczego, nie słyszał... Chwała Bogu! Obejrzał się... Harry spostrzegł widocznie, bo przez chwilę patrzył w oczy teścia, następnie odwrócił wzrok z zakłopotaniem; jego śniadą twarz pokrył rumieniec. Harry słyszał i... Wielki Boże! Helena też słyszała! Stoi teraz w owalu słonecznego blasku i okrutnie, z lodowatą odrazą przygląda się nie jemu, lecz odwrotowi Peyton.

Państwo młodzi przystąpili do krajania tortu.

– Uśmiezek, proszę.

Rozkwitło białe, oślepiające światło. Zabrzmiały wiwaty gości. Szampan uderzył, jak pięścią... Loftis był już pijany, kompletnie, beznadziejnie...

Godzina szósta. Przed pięcioma minutami pierwsza porcja tortu została odkrojona. W zabawie następuje krótka przerwa, bo każdy z gości musi obowiązkowo dostać kawałek tortu, chociaż nie pasuje on do whisky ani szampana i jest chyba ostatnią przystawką, na jaką ktokolwiek mógłby mieć ochotę. Otwarcie mówiąc, prawie nikomu nie dopisuje apetyt, ale cóż – goście byli na tak wielu weselach. Tort stał się symbolem czegoś, więc trzeba stawić mu czoło! Tort musi być pożarty, chociaż szkoda co prawda niszczyć tak monumentalne dzieło. Peyton i Harry zjedli pierwszą porcję. Ella przy pomocy jednego z czarnych kelnerów przystąpiła do dzielenia reszty. Goście dali na chwilę spokój szampanowi; gromadzą się dokoła, podstawiają talerzyki. Złociste wnętrze tortu i zwały białego kremu na jego powierzchni przywodzą na myśl pokrytą śniegiem górę, której jeden stok wysadzono dynamitem. Na samym szczycie, jak na wierzchołku Everestu, tkwi w wianuszku różowych róż z lukru miniaturowa para nowożeńców. Twarze ich mają bezmyślnie dostojny wyraz manekinów z witryny sklepowej. Pan młody jest już częściowo odkrojony, więc pod uroczystym żakietem widać jego marcepanowe wnętrze. Oblubienica utraciła bukiet ślubny, który leży poniżej, w groźnej, ziejącej przepaści. A oto Ella zabiera się do ryzykownej operacji na samym szczycie i jej nóż podważa nowożeńców. Spada lawina okruchów, młodzi chwieją się, pochylają się do przodu, jak

gdyby szukali wzrokiem utraconego bukietu, prawie się przewracają. Ale Monk Yourtee chwyta ich zręcznie na samym skraju przepaści i przy akompaniamencie burzliwego donośnego śmiechu odgryza głowę oblubieńcowi.

Na dworze słońce opada wolno za fryz sykomor. Łagodna bryza wstaje znad zatoki, niesie stłumiony szelest i zapach jesieni. Uschnięte liście suną po trawniku, gromadzą się wzdłuż zbrocza i na tarasie, jeden po drugim najeżdżają pokój– jak wandalę. Kelnerzy zamykają drzwi balkonowe i okna. Wśród dźwięków muzyki, gwaru, śmiechu, zegar na kościele zaczyna wybijać szóstą. Ten i ów spogląda na zegarek, mówi, że pora do domu. Ale nikt się nie rusza. Za wcześnie. Tort musi być zjedzony, no i później warto poświęcić jeszcze trochę czasu szampanowi. Goście rozpraszają się po kątach z pełnymi talerzykami i świeżo napełnionymi szklankami. Na chwilę rozmowy niemal milkną. Wszystkie usta są zatkane tortem. Następuje moment kontemplacji: ludzie więcej myślą, niż mówią. Poczciwe mózgi wyznawców Kościoła episkopalnego medytują nad sprawami dokonanymi i niedokonanymi, wspominają słowa rzucone w oparach alkoholu przed niespełna pięcioma minutami, słowa, których raczej nie należało wypowiedzieć. Wszyscy żują tort i przelotne myśli, chwilą skupienia uświęcają zaślubiny Peyton: szampan jest tu mistyczną krwią, tort – cukierniczym ciałem.

Spójrzmy jednak na Peyton i Harry'ego, Loftisa i Helenę. Peyton słucha, albo przynajmniej udaje, że słucha opowieści pani Overmanowej Stubbs o jej sukni ślubnej, mężu i miodowym miesiącu, spędzonym przed laty w Nowym Orleanie.

– A pańscy rodzice? – zwraca się pani Stubbs do Harry'ego.

Jej postarzała, uróżowana twarz wyraża każdym najdrobniejszym rysem samą dobroć i słodycz, słodycz agresywną, natrętną, która domaga się, by tryskać wokół i pozostawia za sobą smugę woni trwałej niczym zapach czepiający się ubrania po wyjściu z piekarni. To poczciwa kobieta, a w dniu tak uroczystym jest usposobiona szczególnie tkliwie i serdecznie. Prawie całe życie spędziła w Port Warwick i Harry jest trzecim spotkanym przez nią Żydem. Wcale nie wydaje się dziwny pani Stubbs: jest przystojny, ma spojrzenie łagodne i smutne. Cóż dziwnego, że spontanicznie zainteresowała się jego domem, rodziną, tajemniczymi nowojorskimi Żydami.

– A pańscy rodzice? Nie mogli dziś przyjechać? – pyta ponownie.

– Nie żyją.

– Aa... – Pani Stubbs porusza wargami prawie niewidocznie, odwraca wzrok; zawsze pragnie być ujmująca i przez tę swoją słodycz popełnia czasami błędy. – Aa...

– trochę zmieszana spogląda na pannę młodą. – Cóż, jeszcze raz, kochanie, wszystkiego najlepszego – mówi i wycofuje się dyskretnie.

Peyton wypija do dna szklanekę szampana, ściska ręce Harry'ego, zwraca się w jego stronę. Jej twarz ożywiona dotąd i radosna, jej roziskrzone oczy stają się na chwilę złe i zmęczone. Wesołość niknie jak tekturowa fasada.

– Chodźmy stąd, prędko – szepcze.

Biją kościelne dzwony.

– O co ci chodzi skarbie?

– Ach... O to wszystko...

– Nie przejmuj się. Pij szampana.

– Wcale mi się tu nie podoba.

– Dlaczego?

– Bo... Czy ja wiem? O! Tommy!

Radosny wyraz wraca mechanicznie. Peyton uśmiecha się, ściska młodego oficera marynarki, a ten podtrzymuje ją usłużnie, gdyż panna młoda chwieje się trochę.

Daleko, na zachodzie, ostatnie kuranty kościelnych dzwonów cichną, zamierają – jak wielkie spiżowe kule niesione potężnym, wrogim wichrem. Wrzaskliwy, pijacki śmiech kobiety przeszywa monotonne szemranie licznych głosów, ale zarówno nad śmiechem, jak nad głosami górują echa dzwonów. Toczą się w stronę morza, wracają urywanym wibrującym łoskotem, słabną, powracają znowu, by ostatecznie umknąć z zasięgu słyszenia.

Loftis raz po raz przytakuje bezwiednie.

– Ta-ak... ta-ak...

Monroe Hobbie uczeplił się jego łokcia mocnym, niepokojącym chwytem dentysty. Gada o miłości, zamierzchłych czasach, utraconych damach serca, a zwłaszcza jednej, która wzgardziła nim dla brudnego „makaroniarza”. Jego oczy połyskujące za dwuogniskowymi szklami odzwierciedlają ból, głos – wspomnienia pogłębionej miłości. Ale Loftis nie słucha. Jest zgubiony, serce ma puste jak bęben. Wzrokiem szuka wśród tłumu córki, myśli nie o pogłębionej miłości, lecz o kurantach dzwonów. Pije. Dzwony biją w jego pamięci. Dźwięk ich odpływa ku morzu, rozbija się na rafach wspomnień i odzyskuje moc, by wrócić, przytłaczać duszę Loftisa niby ciężkie, nieznośne brzemie. „Czas... Czas... Wielki Boże! Czy stało się wreszcie? Czy na koniec zrozumiałem?” Zagubiony w odległych latach myśli nie o Peyton, lecz o tej swojej ostatecznej świadomości, o nieodwołalnej utracie Peyton, wspomina uporczywe zawodzenie dzwonów. Z wytrwałą, spiżową stanowczością znaczyło przecież wszystkie ulatniające godziny, dniem i nocą maszerowało po domu – zawsze! Loftisowi wydaje się, że słyszy je po raz pierwszy, chociaż dzwony już milczą znieruchomiałe w jarzmach. Goście wirują mu w oczach pośród alkoholowych oparów, łokieć ciśnie boleśnie potężny uścisk dentysty. „Dzwony – myśli. – Dzwony... Dlaczego właśnie dziś wracają, żeby dręczyć mnie tak rozpaczliwie? Trzeba odjąć dwadzieścia lat”. Światło w pokoju ciemnieje, przybiera

złocisty odcień, we włosach Peyton zapala blaski piaskowej barwy.

Loftisa opadają wizje – gęste, nieprzeniknione, jak kłęby dymu. Pojawiają się, nikną. Patrzy w usta dentysty podobne do otworu gębowego ryby, chwytające oddech z wysiłkiem, jak usta kogoś, kto umiera nie z braku tlenu, lecz na zawał serca i ducha. Oczy dentysty są pełne łez.

– Dla takiego marnego marynarzyny – pochlipuje Monroe Hobbie. – Miltonie, stary... To była najpiękniejsza...

Widzenie wraca... Powracają dzwony. Loftis ogląda trawnik przed domem, Peyton, lato. Peyton jest małą dziewczynką. Ma czyste różowe łydki i różową kokardę we włosach. Dokoła rośnie gęsta trawa o źdźbłach jak ćwieki, a pośród niej skaczą pasikoniki. Loftis i Peyton stoją pod cedrami; on trzyma w dłoni jej rączkę. Na tle porannej tafli wody przemykają mewy i żagle – skrzydła i roziskrzony niby ogień falki. Peyton spogląda na swoją książkę, mówi: „Bim--bam-bom”. Ociera się głową o rękę ojca, jej długie, miękkie włosy muskają jego kolana. Powietrze jest ciepłe, przesycone zgiełkiem owadów i woniami lata. Nagle pierwsze jęki dzwonów przecinają je jak poruszenia wahadła. Bu-um...

Bu-um... Peyton spogląda na niego: „Tatusiu, opowiedz mi o dzwonach”. Loftis ściska mocniej palce dziecka, pociąga je za sobą. „Chodź, córeczko” – mówi. Depczą chwasty, idą skąpanym w słońcu trawnikiem, później pod górę po świeżo skoszonej murawie skarpy – ostrożnie, żeby się nie pośliznąć. Rosa jest jeszcze jasna i chłodna. Idą wśród ciszy, bo chociaż Peyton mówi coś bez przerwy, on nie pamięta jej słów. Są już na zwirowanym podjeździe, mijają dom, mimozy, obrośnięte powojem ogrodzenie. Loftis czuje w dłoni wilgotną rączkę małej, gdy maszerują razem aleją wjazdową, a następnie wysadzaną drzewami ulicą... Loftis pijany szampanem nie słyszy żalostnej mowy dentysty, nie widzi nic prócz blasków połyskujących we włosach Peyton. Jest zagubiony w czasie... Dziewięć razy biją kościelne kuranty, na sykomorach śpiewają ptaki, a on i Peyton idą trzymając się za ręce.

Idą teraz polem, przeskakują jakiś rów, jakiś przełaz w płocie. W porządnym mieszczańskich domach o połyskujących w słońcu piorunochronach, zamkniętych garażach i starannie strzyżonych żywopłotach – we wszystkich takich domach ludzie śpią, bo to przecież niedziela. Nikt i nic się nie porusza. Peyton stuka trepkami o płyty chodnika. Mówi o chłopcach, kotach, ptakach, dzwonach. Kuranty wygrywają teraz pieśń kościelną: „Chrystus nas wzywa...” Loftis i Peyton zbliżają się do kościoła, patrzą na pokryte bluszczem mury. Drzwi są otwarte. Idą przez puste, pachnące wilgocią wnętrze, mijają witraże. Kafarnaum i Galilea, czerwień jak płynne żelazo i błękit przypominający tonem usta topielca. Mijają przypowieści biblijne, świętych, cuda i diamentowe oczy Piotra, załamujące światło niby soczewki mikroskopu. Wspinają się na skrzypiące schody, ze ściany strącają płat tynku. Peyton kicha. W górze muzyka kurantów wzmacnia się przybiera na sile.

Ponad tumultem

Życia naszego dzikie, szalone morze...

Później wkraczają w orgię światła, stoją w drzwiach najwyższego piętra dzwonnicy, śmieją się ogłuszeni hałasem. W niszach młoty cofają się, napinają jak cięciwy łuków, aby spadać na serce dzwonu zwinnie, zawzięcie, niby drapieżne ptaki. Drży drewniane belkowanie. Wystraszona Peyton tuli się do ojca, boleśnie ściska mięśnie jego uda. On krzyczy coś uspokajającego, radosnego, lecz mała załamuje się, wybucha spazmatycznym płaczem. Nagle zapada cisza wstrząsająca, nieporównanie głośniejsza niż hałas. Jedna wysoka nuta trwa w powietrzu, jej wibracje ulatują ku morzu śladem poprzednich głębszych tonów, wibrują, zawracają, słabną i oddalają się znowu, by skończyć ostatecznie. Peyton nie przestaje płakać: szlocha cicho, rozpaczliwie. Loftis podnosi ją, stawia na parapecie okna, zakłada sobie na szyję jej rękę, mówi, żeby się nie bała. Nieco niżej wróble niepokoją się w gniazdach pod okapami, wylatują z raptownym furczeniem. Gałązka spada z sykomory. Loftis otrzepuje z kurzu spódniczkę córki, szepce: „Nie bój się, Peyton!” – później ją całuje. Płacz milknie. Loftis czuje na szyi maleńkie, chłodne paciorki potu na czole Peyton.

Tego wieczora nie wiedział, czemu serce tak w nim kołace. Nie wiedział, dlaczego Peyton odepchnęła go gwałtownie małymi, ciepłymi dłońmi, kiedy w męce miłości chciał ją pocałować raz jeszcze.

Urojone dzwony cichną, dźwięk ich zamiera. Dentysta pociąga nosem, podnosi na czoło dwuogniskowe okulary, ociera załzawione, różowe oczy. Loftis nic nie mówi, bo przecież nie słyszał nic. Przez pokój patrzy na Peyton, która odsuwa się od młodego porucznika. Dziwnie, koślawo wygięta ręka sięga za siebie, omackiem szuka na stole próżnej szklanki po szampanie. Ten gest wygląda żałośnie, niemal tragicznie. Loftis nie widzi twarzy córki, lecz łatwo ją sobie wyobraża: musi być czujna, promieniejąca fałszowaną wesołością – jak jego twarz, jak jego maska, która pokrywa gorycz wspomnień. Chętnie podszedłby do niej, pomówił z Peyton na osobności, wszystko wyjaśnił. Chciałby jedynie powiedzieć: „Wybacz mi, wybacz nam wszystkim – wszystkim nie wyłączając matki. Widziałas dużo, ale nie byłaś w stanie zrozumieć. To moja wina! Daruj, że cię tak bardzo kocham”.

W tym momencie spostrzegł nagle Helenę. Oto sina ze złości, w płaszczu zarzuconym na ramiona wychodzi na werandę z Careyem Carrem. Loftis przytomnieje trochę. Zdaje sobie sprawę, że wszelkie wyjaśnienia są o wiele lat spóźnione. Wie, że on sam potrafi kochać zanadto, ale Helena za mało.

Wielebny Carey Carr czuł się błogo po trzech kieliszkach sherry, nie był więc usposobiony do spotkania z Heleną ani z jej histerią. Stał w drzwiach zajęty rozmową z doktorem De Witt Lonerganem i jego żoną – swoimi parafianami. Dosyć lubił tego lekarza o prostym i naiwnym sposobie myślenia. Cenił też jego bezbarwne anegdotki, oczywiście póki się obracały w granicach przyzwoitości. Natomiast Berenice, która miała szerokie biodra, rzadko rozstawione zęby i wyróżniała się nienaturalnym, nerwowym uśmiechem, pastor uważał za osobę ordynarną i irytującą i ku znacznemu zakłopotaniu odkrywał często, że absolutnie nie zdaje sobie sprawy, o czym ona mówi. Miała zwyczaj przeplatania swojej gadaniny takimi zwrotami jak: „Rozumiesz?” albo: „Orientujesz się, dokąd zmierzam?”, co zmuszało do odpowiedzi i utrudniało niesłuchanie, gdyż wielebny Carey Carr nie orientował się zazwyczaj, dokąd Berenice zmierza.

Obecnie śledził wzrokiem Peyton z mętym, nieuzasadnionym uczuciem przygnębienia: wyczuwał coś niedobrego, ale co, nie potrafiłby określić. Zbliżony nastrój miał już podczas obrzędu zaślubin. Kiedy spoglądał na nią (Boże, jaka ona ładna!), dręczyły go identyczne myśli i dochodził do wniosku, że Peyton jest przede wszystkim smutna. W trakcie ślubowania rozchyłała wargi inaczej niż wszystkie inne panny młode, jakie wielebny Carey Carr widział: nie robiła tego ochoczo, nie odsłaniała białych, starannie wyczyszczonych zębów, lecz zdradzała jak gdyby posępną, tępą rezygnację. Ten smutek był przelotny, nieokreślony, wystarczał jednak, by powiedział sobie: jej „tak” brzmi jak spowiedź, nie radosne wyznanie, przypomina ton utrudzonej, pełnej rozczarowania mniszki, która zgrzeszyła. Wrażenie to nie ustąpiło nawet wówczas, gdy pastor zobaczył zza szerokich ramion Berenice Lonergan, że Peyton odwraca się od marynarskiego munduru i z ostentacyjnym ożywieniem nalewa szampana do swojej szklanki.

– Chodzi o to, że z powodu wojny i tak w ogóle ludzie coraz bardziej zwracają się ku religii. Orientujesz się, Carey, dokąd zmierzam?

Nieśmiało podniósł wzrok i napotkał naiwne spojrzenie Berenice.

– Chodzi o to – ciągnęła – że daje o sobie znać istotna potrzeba...

W tym momencie, kiedy pastor omal się nie zdecydował, że podejdzie do Peyton i spróbuje ją uspokoić, Helena stanęła obok i ujęła go za łokieć.

– Można z tobą pomówić? – zapytała.

Przeprosiła Lonerganów i wyprowadziła z domu Careya drogą przez hall, by jak najmniej zwrócić uwagę gości. Potulnie szedł za nią przez trawnik, aż na plażę nad zatoką. Było zimno, więc zaczął protestować, ale nad wodą Helena odwróciła się, spojrzała mu w twarz, mocno ścisnęła rękę.

– Widziałeś? – zapytała głosem podobnym do syku gazu dobywającego się z syfonu wody sodowej.

– Co, Heleno? O czym ty mówisz?

– O niej. Widziałeś, co zrobiła?

– Aa... Nie bardzo...

Jej wygląd odpychał Careya, nawet trochę przerażał. Oczy w słup, nerwowe dreszcze... Można było sądzić, że w Helenie zachodzą jakieś zdumiewające zmiany biologiczne. W nikłym świetle zmierzchu skóra na jej twarzy wydawała się równie bezbarwna jak białka oczu. Pastor wzdrygnął się, cofnął rękę. Stokiem sływały tony muzyki, stłumione echa nieokiełznanego śmiechu.

– Widziałeś, co ona zrobiła? – powtórzyła Helena.

– Nie, moja droga – rzucił szorstko. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz. A zresztą...

– Jak ona się zachowuje! Wobec niego! Nic nie spostrzegłeś, Carey? Chyba jesteś ślepy. Jesteś... – Znowu chwyciła go za rękę.

– Heleno! – usiłował przerwać surowym tonem, ale Helena mówiła dalej, ściskając mocno jego palce. – Zachowuje się jak dziwka. Nic dziwnego. Przecież to dziwka! Urznęła się. Już zdążyła. Wiem, że piła przed ślubem. Poczulałam zapach alkoholu. A teraz znowu. Nie spostrzegłeś, jak ona się zachowuje? Wobec niego! Nic nie widziałeś?

– Wobec kogo, Heleno? Wobec kogo?

– Naturalnie wobec Milтона! Nie widzisz, jak go poniewiera? Nie zniosę tego dłużej. Niech się, co chce, dzieje.

– Poprawiła płaszcz na ramionach, kościstą białą dłonią przygładziła włosy. – Ostatecznie ja uplanowałam wszystko, poświęciłam się, harowałam. Dla niej i dla niego. Wiedziałam, ile ona znaczy dla niego, jak ją bardzo kocha. Gotowa byłam zapomnieć, że właśnie on zepsuł ją do szpiku kości. Wcale mi to nie przeszkadzało, póki sądziłam, że on będzie zadowolony, szczęśliwy. Mówię o jej przyjeździe do domu, rozumiesz, Carey? Niedorzeczna historia. Właśnie! Niedorzeczna i tragiczna. Mam na myśli to, że on ją bezgranicznie kocha, a ona go lekceważy. I nienawidzi! Nie tylko mnie. Jego także. W gruncie rzeczy byliśmy...

Gdyby Carey wypił mniej sherry, potrafiłby pewnie zareagować w sposób inteligentniejszy. Ale odwrócił się tylko bezradny i zgorszony, spojrzął na kawałek drewna kołyszący się na falach, począł otwierać i zamykać usta daremnie szukając słów.

– Heleno...

– Nie rób takich min, Carey – podjęła nieco spokojniej. – Ja mówię prawdę. Przez całe życie usiłowałam nie widzieć tej okropności. Nie widzieć, że on niszczy ją, psuje przerażająco. Usiłowałam nie widzieć tego, ponieważ go kochałam. Mimo całej jego słabości i wszystkich wad kocham tego człowieka bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić, że kobieta jest zdolna kochać mężczyznę. Starłam się nie dostrzegać tamtej kobiety, jego pijaństwa, wszystkiego. Starłam się nie dostrzegać nawet tego, że on tak strasznie psuje Peyton, I co? Zastanów się, Carey. Spójrz, co się stało!

Pastor wznosił ręce ku niebu zamaszystym, teatralnym gestem, wywołanym przez sherry i zupełnie niestosownym.

– Ale co się stało, Heleno? – zwrócił ku niej twarz.

– Co się stało takiego? Do czego właściwie zmierzasz. Bóg świadkiem, że ja nic nie spostrzegłem. Oczywiście, Peyton robi wrażenie przygnębionej. Ale może to jakieś okoliczności zewnętrzne. Może ktoś...

– Nikt! – przerwała. – Nikt z wyjątkiem Peyton! Jaki wstyd, jaka boleść mieć takie dziecko. A ja kochałam ją, Carey. Naprawdę kochałam! Miewaliśmy różne nieporozumienia i... i takie rzeczy, ale kochałam ją nawet wtedy, kiedy czułam, że najbardziej mnie nienawidzi. Kochałam ją, jak tylko matka umie kochać. Tylko matka!

Wielebny Carey Carr ujął ją delikatnie za ramiona.

– Uspokój się, opanuj... Rozumiesz mnie, Heleno? Posłuchaj! Musisz wziąć się w garść. Do czego zmierzasz? Co właściwie zrobiła Peyton?

– Co zrobiła? Co robi? Prześladowuje go, jeżeli chcesz wiedzieć. To widać. Wystarczy zobaczyć jej oczy. Obmyśliłam to wesele dla niej. I dla niego, Miliona.

– Nic dla siebie? Czy dla siebie nic nie robisz, Heleno?

– Dla siebie?... Ja... Nie rozumiem, o co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że spostrzegłaś coś w oczach Peyton, posłyszałaś jakieś jej słowo i wyobraziłaś sobie, że ona prześladowuje Miliona. Co masz na myśli? Co takiego Peyton powiedziała?

– Powiedziała: „Nie uduś mnie” – jakimś obrzydliwym, grzesznym tonem. Powiedziała też... Była kompletnie pijana, jak to mówiła... Powiedziała...

– Zaraz, zaraz, Heleno. Czy to ważne, co Peyton powiedziała, jaką przy tym miała minę, ile wypła? Chyba zupełnie nieważne, Heleno? Dziewczyna przyjeżdża na swoje wesele do domu rodziców, gdzie, by wyrazić się oględnie, sytuacja była trochę naprężona. Dziewczyna jest podniecona, pije za dużo. Jej ojciec – człowiek jowialny i także pod muchą – zachowuje się nieco za serdecznie, więc ona warczy na niego, daje mu taką czy inną odprawę. A ty powiadasz, że Peyton prześladowuje Miliona! Słowo daję, Heleno, myślę, że okropnie się mylisz. Myślę też... Na Boga, Heleno! Co się z tobą dzieje? Jak możesz mówić tak o Peyton?

Robiło się coraz ciemniej i chłodniej. Pierwsi goście odjeżdżali. Na skarpie trzaskały drzwi samochodów. Słysząc było słowa pożegnania, zgrzyt opon na żwirze. Helena przysunęła się do pastora, znowu dotknęła jego ręki – nieśmiało, delikatnie. „Jak możesz mówić tak o Peyton?” To z pewnością zbyt wielkie uproszczenie. Ale co zrobić, żeby Carey zrozumiał? Carey, ten łagodny, nadęty poczciwina z ciemnymi, zbolałymi oczami, skłonny do godnych tonów i namaszczonej powagi. Był ledwie dziesięć lat młodszy od niej, lecz obecnie, kiedy stali tak we dwoje i blisko siebie, Helenę nawiedziło dziwne, bolesne uczucie. Zapragnęła matkować mu czy coś w tym sensie, otaczać go opieką, serdecznością, gładzić palcami szorstki materiał jego rękawa. Kochany, zabawny, napuszony człowieczek. Jak wytłumaczyć mu sprawę Peyton, własne troski, urazy, cierpienia? Pocieszna figura! Mówił, że ona zacznie znów bywać w kościele – teraz, kiedy za późno na to. Czy Carey nie wie, że znalazła swojego Boga? Czy nie wie, że szatan został powalony, a Milton stał się dla niej księciem światłości? Był zbrukany, splamiony brudem złej kobiety, lecz wrócił pełen cnoty. Ona odzyskała go o własnych siłach, złowiła na własną przynętę. Przyszedł skruszony, pokorny, zdruzgotany poczuciem swojej winy. Ona, Helena, podźwignęła go, stworzyła ponownie na obraz i podobieństwo tego, co wypada, uszlachetniła. Czy Carey nie uświadamia sobie tego wszystkiego? Drogi, zacny,

komiczny człowieczek!

Dreszcz przebiegł jej po grzbiecie, kiedy przysunęła się do pastora, dotknęła jego poczciwych, tępych palców. To uosobienie słodczy, ale zarazem typ z gruntu bezkompromisowy. Może atak był zbyt gwałtowny? Może łatwiej pozyskałyby go łagodniejsze, bardziej subtelne słowa? Nagle zorientowała się, że mówi znowu.

– Ach, Carey... Musisz myśleć o mnie okropne rzeczy. Nie myślę się, prawda? Ale posłuchaj, Carey. Jak żyję, nie czułam do nikogo urazy bez powodu. Mówię prawdę i całą prawdę. Jesteś zdania, że postępuję źle mówiąc o Peyton w taki sposób, ale...

W tym momencie usłyszała poczciwy, łagodny, bezkompromisowy głos pastora, który wyzwolił palce z jej uścisku i schował rękę do kieszeni.

– Myślę, Heleno, że powinniśmy zaraz wrócić do domu. A jeżeli naprawdę chcesz usłyszeć moją odpowiedź, to uważam, że jesteś poważnie chora. Może w podobnym przypadku nie należy nazywać czarnego czarnym, białego białym, ale sama o to prosiłaś. Jesteś chora nieuleczalnie lub w każdym razie tak, że ja nic pomóc nie mogę.

Nie patrzył na nią, lecz prosto przed siebie, w kierunku zatoki. Minę miał godną, wąskie, pełne wargi ułożył w grymas rozgoryczenia i powagi. „A to pech – pomyślała Helena. – Takie zabawne, dziecinne usteczka przy umyśle rzeczywiście wielkim, wymagającym ust dużych i szerokich, stanowczych, prawdziwie męskich. Przydałaby się do tego wydatna, mocno zarysowana dolna szczęka”.

Poczuła nagły chłód, więc szczelniej otuliła się płaszczem. Co właściwie powiedział Carey? Spróbowała przypomnieć sobie. Prawda! Powiedział, że jest chora.

– Carey – podjęła tonem wyrzutu. – Co ty opowiadasz. Ja chora! Jak żyję, nie czułam się lepiej.

Spojrzał na nią i rzucił zwięźle, szorstko:

– Najlepiej chodźmy zaraz do domu. Nie mam zamiaru stać tu i słuchać twojego bredzenia o Peyton. Mój Boże! W dzień jej ślubu! Peyton...

Peyton... Słowa pastora rozpływały się wśród zmierzchu. Na stojącym w kanale okręcie wojennym zabrzmiał gwizdek. Grupka marynarzy, małych z oddali jak szpilki, rozsypała się szybko, niby zerwany sznur pereł. Na wodzie usiadły trzy kaczki. Nagły poryw wiatru przyniósł od brzegu surowy, ostry zapach wodorostów. Helena dotknęła dłonią czoła, jak gdyby zadumała się głęboko. Pomyślała: „Co on plecie o jakiejś mojej chorobie. O czym chce mnie przekonać?”

– Wydaje mi się także – ciągnął wielebny Carey Carr– że przyjmujesz bardzo dziwną postawę wobec Milтона. Wspominam o tym, bo dobrze znam cię, droga Heleno, możesz więc wysłuchać mnie spokojnie. Fakt, że przypisałaś sobie jakąś niezwykłą, boską moc uzdrawiającą, to nie tylko grzech w pojęciu ogólnym, lecz i konkretnie ocena kompletnie błędna i niesprawiedliwa. Gdybym ja miał być sędzią w tym przypadku, orzekłbym, że Milton dokazuje cudu... Milton, nie ty. Jeżeli zaś chodzi o Peyton, co skłania cię do...

Dokąd ten człowiek zmierza? Na pozór słuchała pilnie. Oczy miała szeroko otwarte, na ustach ledwie dostrzegalny uśmiech zachęty. W istocie jednak poświęcała pastrowi ledwie połowę uwagi, a jego gniewne, dobitne słowa nie sprawiały najmniejszego wrażenia. Nagle przyszło do głowy Helenie, że dzieje się jej krzywda, wielka niesprawiedliwość. Dlaczego Carey próbuje ją pouczać, skoro ona zaczęła całą rozmowę z własnej inicjatywy? Myślami cofnęła się o kilka minut. Usiłowała sobie coś przypomnieć. Jej pamięć sięgała w głąb mózgu, jak stare poźółkłe palce do przepełnionej szuflady. „On musi mi uwierzyć... Musi! Aha, Peyton... On gada coś o Peyton”.

– Mało wiadomo mi na ten temat – mówił wielbny Carey Carr – wyobrażam sobie jednak, że ta dziewczyna miała niełatwe życie. Prosiłaś o moją opinię, Heleno, więc jej wysłuchaj. Przede wszystkim musisz przyznać, że nigdy nie potrafiłaś się z nią porozumieć. Albo też ona z tobą. Mówiłaś mi o tym szeroko trzy albo cztery lata temu. Po wtóre, dlaczego ja... Tylko nie zrozum mnie źle, Heleno. To nie zarzut pod twoim adresem. Dlaczego ja mam przyjąć za dobrą monetę twoje twierdzenie, że Peyton jest po prostu dziwką? Jeżeli nawet, jak utrzymujesz, zrobiła dziś z siebie idiotkę, to nie powód, abym nabrał przekonania, że jest do gruntu zepsuta lub ma złe serce. A gdyby nawet było tak istotnie, mogłabyś jakoś załatwić sprawę, nie urządzając wielkiej sceny. Peyton przebrała trochę miarkę. Przyznaję. Ale co z tego...

Nareszcie! Zrozumiała, dokąd zmierza Carey. Ach, głupi, głupi! Czy bodaj przez moment mógł podejrzewać, że jej chodzi jedynie o pijaństwo Peyton, o szorstkie słowa rzucone pod adresem Milтона? Jak można być takim tępakiem, osłem? Jak można nie zrozumieć, że ona chce poruszyć głębsze, nierównie bardziej zawiłe kwestie? Jest zły, rozdrażniony. Wolno mu. Ona będzie go słuchać, patrzeć na tę twarz puciołowatą i zagniewaną. Niech Carey mówi swoje. I tak ona zatriumfuje w ostatecznym obrachunku. Zawsze– wbrew całej armii duchownych, lekarzy, mężczyzn („Ach, ci mężczyźni!” – pomyślała z obrzydzeniem) – obstawała przy własnym uporze, przy własnych krzywdach. Troskliwie pielęgnowała cierpienia swojego życia. Co oni mogą wiedzieć o cierpieniach kobiety? Przez lata winni trzymać na jej pulsie te swoje ordynarne, nieudolne męskie palce. Ach, gdyby mogli śledzić nieustannie tętno jej wzburzonej gniewnej krwi! Jakżeby się zdumieli. Jakie niedorzeczne, niedelikatne, męskie pomruki musiałyby wciąż krążyć w powietrzu! Z zatroskanymi minami pochylaliby się nad nią, aż czułaby ostry, ordynarny zapach męskiego potu pod ich pachami. Mówiliby: To kobieta ciężko chora. Zechce pan zbadać jej puls, wielebny pastarze (albo szanowny panie doktorze). Człaby wstręt, lecz badaniom poddawałaby się łagodnie i z wdziękiem, byleby tylko zobaczyć błysk przestrachu w ich męskich oczach, gdy wymieniając dyskretne spojrzenia

szepcą: Jak świat światem nie było takiego tętna, nie było równie chorej kobiety. Zechce pan zbadać, wielbny pastorze (albo szanowny panie doktorze), zechce pan zbadać puls kobiety najciężej chorej na ziemi. Ile musiała wycierpieć! A ona leżałaby cicha, spokojna, uległa, ukołysana nembutalem. Ale jej serce wzbierałoby poczuciem triumfu, gdyż takie słowa stanowiłyby przecież hołd dla kobiecej furii, a zarazem (z czego tamci musieliby zdawać sobie sprawę) byłyby potępieniem mężczyzn w ogólności i biednego Milтона... Biedny, kochany Milton! Był ślepy i niemy, lecz ostatecznie pojął, jak błędną kroczy drogą. Wrócił do niej tak, jak to sobie zawsze wyobrażała. Wrócił na kolanach (w ścisłym tego słowa znaczeniu)... Na kolanach, we łzach, pełen pokory i skruchy. Miltonowi wybacz – oczywiście. Kocha go przecież, a ponadto Milton ustąpił. Powiedział: „Zrywam z tym wszystkim”. Musiał przyznać, że od początku Helena miała rację.

Albo jej sny. Co mężczyźni mogą wiedzieć o snach kobiety? Kobiety jak ona, odtrąconej, lecz nieodmiennie cierpliwiej, mimo szalonych podszeptów gorącej krwi. Jej sny roją się zawsze od wrogów, są dziwaczne, szaleńcze, wyuzdane ponad najśmielszą męską fantazję. Bo mężczyzna to w gruncie rzeczy stworzenie bardzo prostoduszne! Choćby Carey: nadęty jak balon, okrągłolicy, płytki. Oto cierpliwie uderza nadmorską balustradę witką zerwaną z jakiegoś krzaka. Mówi: „Heleno! Żądam stanowczo, abys dzisiaj zostawiła w spokoju Peyton”. Co taki może wiedzieć o mękach, które wypełniają życie kobiety, jak krew wsiąkają w jej marzenia, rano każą budzić się z zębami obolałymi od zaciskania i zgrzytania. Co taki może wiedzieć o snach kobiety?

Trzej wrogowie przebywali stale w krainie snów Heleny – trzej wrogowie i jeden przyjaciel, Maudie... Omijając wzrokiem rumianą, zatroskaną twarz Careya, zobaczyła dwie mewy spływające o zmierzchu, niby strzępy łachmanów; wspomnienie Maudie przeszło jej serce sztyletem. Poruszyła wargami... Nie! O niej nie wolno myśleć! Maudie była w marzeniach sennyh słodka jak przytłumione tony muzyki. Snuła się zawsze w pobliżu, a ona musiała kryć za sobą córkę przed groźnym planetarnym półświatłem, cieniami mającymi niby ogromne paluchy, nieprzyjaciółmi, którzy mogli zgwałcić najprzód Maudie, później samą Helenę. Maudie była przyjacielem. W snach pojawiał się dawniej jeden największy wróg, najgroźniejszy – obecnie zwyciężony, zdruzgotany, martwy: Dolly Bonner. Ta dziwka! Ta kurwa! Niejednokrotnie umierała w jej marzeniach – czasami od noża, który Helena podnosiła z szatańskim uśmiechem, częściej na skutek jakiejś choroby. Krajobraz snów zawierał zawsze mgliste zarysy miasta ozdobionego wieloma wspaniałymi wieżami, z których zaraza ulatywała w powietrze jak kłęby dymu. Było to miasto trupów i zgniętego fetoru, który niepokoił we śnie, nie przypominał wprawdzie śmierci lub rozkładu, lecz jak gdyby zaduch butwiejących roślin, tanich perfum, wędnących gardenii. Wśród tych wyziewów Helena spacerowała wystrojona w balową suknię i zawsze w towarzystwie mężczyzny. Mógł to być Carey lub jej ojciec,

zazwyczaj jednak Milton albo ktoś niewiadomy, w masce. Poniewierające się dokoła trupy nie miały twarzy; były w stanie rozkładu– jedne obrzmiałe, inne wyschłe – zawsze kobiece. Helena i Milton lub ktoś inny szli wachlując się, obojętnie wędrowali milami przez domenę niewieściej śmierci. Czuli stęchły roślinny zaduch, rozmawiali nawet na ten temat, lecz obydwójce radował widok jednych zwłok. Jak wszystkie inne nie miały twarzy, leżały głową w cieniu, na ich ropiejących nogach żarłoczne muchy siadały rojami. Był to nieomylnie trup Dolly Bonner.

Wizja – zapewne zbyt ohydna, by Helena ośmieliła się przeżywać ją na jawie – miała w sobie pewien wyraz słuszności, sprawiedliwej odpłaty, traciła więc piętno koszmaru i mimo dokuczliwego odoru stęchlizny zamieniała w przyjemność przechadzkę godną ghula¹⁵. Najobrzydliwsza część obrazu – wyschłe organy żeńskie, poźółkłe martwe mięso przypominające trochę ilustracje z książki lekarskiej– zacierała się wkrótce po przebudzeniu. Dłużej pozostawał nikły zaduch miasta śmierci i połączone z nim mgliste uczucie triumfu. Ale Helena bynajmniej się nie cieszyła. Zawsze w marzeniach sennych triumfowała, ale takie marzenia zaczęły się pojawiać dopiero przed kilkoma laty i dzień następny zaprawiały zawsze wrażeniem pustki, przygnębienia, poczuciem winy. Dawniej nie miewała podobnie zbrodniczych, plugawych wizji, często zatem pytała samą siebie, czy nie popada w obłąd. Ale to nie wszystko. Czasami widywała nogi Maudie w ortopedycznych butach, martwe, gnijące. W takich przypadkach budziła się zapłakana, oblana potem.

15 Ghul – według wierzeń perskich, zły duch, który pożera zwierzęta i ludzi, zwłaszcza podróżnych na pustyni.

Łatwo we śnie pokonać wroga, bardzo łatwo. Niekiedy Helena zabijała na polu bitwy Dolly, odzianą w żołnierską zbroję, a koń biały, narwany Champ, jak niegdyś wierzchowiec jej ojca – zadawał ostatni cios pogrążając ostre kopyto głęboko w czaszkę powalonej. Czasami Dolly umierała ze sztyletami w grzbiecie albo na fotelu elektrycznym, ale z reguły ciało wracało na przeznaczone miejsce, do miasta nawiedzonego zarazą, wracało sponiewierane, wstrętne, z rozkraczonymi bezwstydnie nogami. Innym razem płynęło twarzą w dół, z leniwym nurtem rzeki, a Milton stał u boku żony i smutnie kiwając głową, mówił: „Źle z nią. Bardzo źle. Ale nigdy tej dziwki nie kochałem”. Helena budziła się w takich przypadkach jak gdyby uzdrowiona, oczyszczona i wierzyła głęboko, że nigdy więcej nie zobaczy w marzeniach Dolly ani straszego miasta.

Czasami sny gmatwały się w niepojęty sposób i wówczas były najgorsze. Helenie wydawało się, że to ona jest wrogiem, niebezpiecznym dla świata, siejącym wokół trwogę. Ludzie uciekali przed nią: mężczyźni i kobiety, wszyscy, których kiedykolwiek знаła – cała armia zbiegów. Wreszcie zostawała sama pośrodku zalanej księżycowym blaskiem równiny z księżycowego krajobrazu, by nawoływać żałośnie: Czy nikt mi nie pomoże? Wówczas zjawiał się drugi wróg: mężczyzna. Milton, Carey, niekiedy jej ojciec. Nie robiło to różnicy, bo wszyscy nienawidzili jej jednakowo, sypali pogrozkami, pytali, czemu była tak zła i okrutna.

Straszliwe poczucie winy przytłoczyło Helenę. Spojrzała na Careya wywijającego witką i spróbowała mu ją odebrać.

– Gdybyś zdobyła się na spokój, Heleno – mówił znacznie łagodniej niż poprzednio – zrozumiałabyś sama, że wszystko zmierza do pomyślnego zakończenia. Słuchaj...

Przysunął się nieco bliżej, wymusił nawet blady uśmiech. Ale był to uśmiech niemrawy, podrabiany, a sam pastor zdawał się zbity z tropu skutkiem wypitego wina. Helena odniosła wrażenie, że biedak traci władzę nad sobą, zgrywa się, udaje, że i on jej grozi. Raz jeszcze sięgnęła odruchowo po witkę; bardzo chciała mu ją odebrać.

– Słuchaj, Heleno – mówił. – Najlepiej wypijmy po jednym, a później chodźmy na górę, żeby uspokoić się, omówić całą tę historię...

Ach, ten Carey... Helena podniosła lekko rękę, jak gdyby chciała go odepchnąć. Czy Carey wie, że on również jest mężczyzną, jednym z wrogów? Byłby zaskoczony, gdyby usłyszał, jak bardzo stał się jej częścią, jakim widuje go w marzeniach. (Pomyślała: „Przecież to głupiec, niedołęga, nic nie rozumie. Dlaczego pokładam jakąś wiarę w tym człowieku i jego idiotycznych sposobikach?”) O czym śni wtedy Carey? Bez wątpienia o głupich, przyziemnych błałostkach: kotle centralnego ogrzewania i takich innych rzeczach; o tej oślicy swojej żonie, Adrienne, albo żeby zostać wreszcie spasionym biskupem, porośłym fałdami tłuszczu, aż do czcigodnej świątobliwej... no... czterech liter. Helena wspomniała swoje sny z lodowatym wewnętrznym dreszczem. Ale Carey byłby zły i zgorszony!

Pastor wydlubał kamyk z nadmorskiej balustrady i rzucił na leżącą w dole plażę. Kamyk trafił w wylot kanału ściekowego, więc stuknęła głośno, aż poderwały się spłoszone kawki. Odleciały również mewy zostawiając za sobą wir białego pierza. W domu odżyła nagle muzyka w wiedeńskim stylu – ochrypła, rozplakana zawodzeniem akordeonu. Helena pomyślała: „Ten osioł o niczym nie wie”. Rzeczywiście nie wiedział, że pewnej nocy, nagi do pasa, różowy, otyły, włókł ją za sobą przez gąszcz cierni i laurów, a w jej ogrodzie tratował bezlitośnie azalie. Krzyczała rozpaczliwie: „Gdzie Maudie? Maudie, gdzieś przepadła?” Ale on patrzył tylko na nią i groził grubą pałką. Był różowy, spasiony; nad brzuchem żółtawe tłuste cycki trzęsły się, wyglądały jak masło na talerzu płatków owsianych. Wygrażał pałką mówiąc: „Musisz wierzyć! Musisz wierzyć! Jam jest drogą, prawdą i życiem”.

Cofnęła się dwa kroki wzdłuż balustrady. Pastor postąpił za nią, wymachując groźnie witką. Upuściła chusteczkę i zastanowiła się przelotnie, czy Carey będzie na tyle dżentelmenem, żeby ją podnieść. Ale witka i chusteczka wydawały się Helenie znacznie mniej ważne niż zagadnienie jej wrogów.

– Ty także byłeś moim nieprzyjacielem – powiedziała; prawie nie zdawała sobie sprawy, że głos ma zdławiony i wielkie, słone łzy zaczynają spływać z jej oczów aż do kącików ust. – Nie chciałeś mi pomóc. Ty ani twój Kościół! Słowo daję, Carey, jak mogłeś być takim hipokrytą? Udawalesz przez tyle lat, że rozumiesz moje problemy. Za plecami śmiałeś się ze mnie w kułak – chciała powiedzieć temu swojemu wrogowi coś druzgocącego, unicestwiającego i przez moment szukała stosownych słów. – Twój Bóg to... to stary, głupi osioł – rzuciła wreszcie. – A moim Bogiem jest szatan!

– Cicho, Heleno, cicho. Nie opowiadaj takich rzeczy. Jesteś dziś rozstrojona, zdenerwowana. Chodźmy do domu. Napijemy się czegoś dla uspokojenia. Później zobaczysz się z Peyton...

Peyton! Omal nie wykrzyknęła głośno imienia córki. Że też Carey może być aż takim wrogiem. Przecież w ciągu ostatniego kwadransa mówiła właśnie o Peyton. Czy ten człowiek wyobraża sobie, że rzucała słowa na wiatr, dla zabawy, dla żartu? Podniosła rękę ostrzegawczym gestem.

– Nie, nie... Nie podchodź bliżej z tym kijem. Stój w miejscu – zawołała głosem ochrypłym, przerywanym łkaniem. – Zostań tam! Czy i ty jesteś w zмовie z tą dziwką, kurwą?

Carey zatrzymał się, jak gdyby wrósł w ziemię.

– Czy stoisz obok niej z jednej strony, tak jak z drugiej mój biedny, kochany Milton? – ciągnęła Helena. – Że też nie umrzesz ze wstydu! Nie widzisz krzywdy, jaką ona zrobiła naszej rodzinie? Nie rozumiesz, że jego wykorzystwała do ostatka? Bezczelna kurwa! Wybacz to słowo...

Zrobiła krótką pauzę, aby osuszyć oczy.

– Wybacz to słowo, Carey. Ale jak nazwać inaczej tę małą, bezwstydną uwodzicielkę? Jak ją nazwać? Wykorzystuje miłość ojca, aby zdobywać w życiu wszystko, czego zapagnie. Omal nie zabiła siostry... Właściwie to ją zabiła! Pozwoliła upaść Maudie. Wykorzystuje miłość ojca, gra na niej jak na katarynce, ociera się o Milтона, póki biedak nie straci głowy... – Podniosła znowu rękę. – Nie podchodź bliżej z tym kijem. Patrzyłam na to przez całe życie. Milton był zawsze w jej ręku marionetką, zwyczajną marionetką. Wyssała go! Wyssała też moje pieniądze za pośrednictwem biednego, słabego Milтона. Że też nie umrzesz ze wstydu. Jak możesz stać po stronie takiej bezczelnej dziwki? Po wszystkim, co wycierpiałam, po wszystkim, co dla niej zrobiłam! Teraz przyjeżdża do domu pijana i wyobraża sobie, że skoro jest już zamężna może znęcać się nad nim bezkarnie, torturować mojego biednego, słabego Milтона. Przecież to ja cierpiałam, harowałam jak niewolnica, byle go tylko odzyskać. Przyjeżdża do domu z jakimś marnym malarzyną, z którym od miesięcy sypia. Chciałam darować jej nawet tego Żyda przez wzgląd na kochanego Milтона. Myślałam, że będzie zadowolony. Powiedziałam, że dobry będzie każdy, kogo ona weźmie za męża, jeżeli nawet nie pochodzi z Wirginii ani z przyzwoitej rodziny. Niech sobie będzie mieszańcem. Na wszystko się godziłam... Na wszystko, byle tylko Milton był znów szczęśliwy. A ona upija się, wabi biedaka swoimi

grzesznymi sztuczkami, kręci kuprem, a później rzuca się na niego jak pies. Powiedziała: „Nie uduś mnie”. Sama słyszałam: „Nie uduś mnie”. Stój, Carey! Nie podchodź do mnie z tym kijem!

– Heleno – powiedział pastor. – Biedna Heleno. Jesteś szalona.

Przyptyw rozpaczcy ogarnął Helenę. Wrogowie zapełnili powietrze przesycone gęstniejącym zmierzchem i wirami pożółkłych liści, które wiatr niósł z trawnika. Coś załamało się w jej myślach. Zobaczyła Peyton, jej uwodzicielskie ruchy, grzeszne biodra krągłe, niby dwa księżyce. Zobaczyła Miliona i Peyton razem, występłą powagę ich pieszczot, mnóstwo purpurowych, miękkich warg, włosy Miliona, piersi Peyton – całą udrękę dwudziestu lat swojego życia.

– Niech cię piekło pochłonie, Carey, za to, że mnie nie zrozumiałeś – powiedziała, a mówiąc to uprzytomniła sobie, że to nogi Peyton, nie Dolly połyskiwały tęczowo zgnilizną, rozkraczone bezwstydnie wśród kurzu dotkniętego zarazą miasta jej snów.

– Niech cię piekło pochłonie, Carey – powtórzyła.

– Sama się z nią rozprawię.

– Wolno staremu zapytać, dokąd wybieracie się na miesiąc miodowy? A może to tajemnica? – spytał doktor Lawrence Holcomb.

Miał pewien kłopot ze zwróceniem na siebie uwagi, bo, pijany i zagubiony, stał niepewnie wciśnięty między kilka młodych osób, które oblegały Peyton i Harry'ego, śmiejąc się, krzycząc, rozlewając szampana. Sześćdziesięcioośmioletni samotnik i mało wytrawny pijak przeżywał zawsze dręczące wspomnienia dawnych pragnień, ilekroć przebrał miarkę, a w pobliżu znajdowały się młode dziewczęta – im młodsze, tym lepiej. Irytowało go to zjawisko i martwiło. Był naukowcem i stoikiem, cnotę umiarkowania (jeżeli ją istotnie posiadał) zyskał z niemałym trudem, więc łyzy napływały mu do oczów i gorąco piekły stare żądze, kiedy patrzył na młode dziewczęta, na ich gładką, brzoskwiniową cerę, sterczące wyzywająco, jędrne piersi, gdy powietrze przesyciała woń przeróżnych perfum. Tego dnia najbardziej dręczyła Holcomba dziewczyna, która spojrzała nań raz przelotnie, po diabelsku – drobna blondynka o ustach jak rozgnieciony owoc. Wśród tęsknych, pijackich marzeń czuł, że mógłby ją porwać na ręce, zanieść dokądś nie zastanawiając się co robi. „Coś podobnego – pomyślał z rozdrażnieniem. – Słowo daję. Coś podobnego!” Smutno, jak ktoś kto do dna zgłębił udrękę cielesnych pokus, powtórzył w duchu starą, sokratyczną modlitwę: „Najmilszy Panie i wy, wszystkie inne bogi, co miejsce ono nawiedzacie, obdarzcie moją duszę wewnętrznym pięknem”.

– Co pan był łaskaw powiedzieć?

Harry zwrócił uwagę na Holcomba, uściśnął jego wyciągniętą rękę.

– Peyton – odrzekł lekarz. – Ja przyjąłem ją na tym świecie, *fidus* Achates¹⁶ rodziny od ćwierćwiecza. A dzisiaj, w dniu zaślubin, jestem kompletnie zignorowany, samotny. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, nie śpiewa hymnów na moją cześć. Zadałem – ciągnął trzęsąc siwą czupryną, by żartobliwie dać wyraz żalowi – zadałem proste pytanie, które można zapewne wybaczyć podchmielonemu starcowi. Ale mój głos utonął w gwarze hordy zdeprawowanej dziatwy. Pytałem... – urwał i objął wpół drobną blondynkę.

– O co, panie doktorze? – podchwycił Harry i uśmiechając się pokazał rząd równych, białych zębów.

– Pytałem, gdzie zamierzają państwo spędzić miodowy miesiąc. Pytałem...

– Na Florydzie.

– Ha! Floryda! Kraina mangrowców i ludzi prostego ducha. Kraina soku pomarańczowego, palm i bezmyślnych uśmiechów. Młodsza siostrzyca Kalifornii, kraina nart wodnych i kultu mięśni. Moje najserdeczniejsze życzenia, drogi chłopcze.

16 *Fidus* (wierna – łac.) Achates – postać z *Iliady*, wierny towarzysz Eneasza.

Drobna blondynka zachichotała, wymknęła się z objęć Holcomba, a ten utorował sobie drogę do Peyton.

– Jak się masz, kochaneczko! – wilgotno pocałował ją w usta.

– Doktor Holcomb! Wieki pana nie widziałam. Kochany doktor! Pamiętam... Często wtykał mi pan do ucha jakiś zimny instrument. Masz pocałunek panny młodej! – cmoknęła go w policzek.

– Spokojnie, kochaneczko, powoli. – Przysunął się, ukradkiem otoczył ramieniem kibić Peyton. – Już ja sam zajmę się piciem... piciem... no i całowaniem. Do diaska! Gdzie mój szampan?

Jak gdyby Holcomb skinął różdżką czarnoksiężką, zjawił się kelner z tacą. Doktor i Peyton sięgnęli po szklanki, ale Harry odmówił, zmarszczył czoło i dotknął ramienia żony.

– Może lepiej dałabyś spokój, kochanie, bo...

– Młody człowieku – przerwał Holcomb. – Jestem lekarzem. Możesz nie przejmować się moją ostatnią wypowiedzią.

Pod wpływem natchnienia spurpurowiała mu pokryta zmarszczkami twarz o haczykowatym, upudrowanym nosie i zażawionych oczach; zadeklamował z patosem: – „Dzień ten już zawsze będzie dla mnie święty... Wino rozleście nie zwlekając teraz. Wino strumieniem niechaj płynie w czasie. Wino dla wszystkich! I ściany, słupy w krąg spryskajcie winem. Aby pociły się także pijane”.

Nigdy nie był żonaty, lecz wszystkie uroczystości weselne wzruszały go do głębi serca. Myślał wtedy z bolesnym rozrzewnieniem o nocach poślubnych, aksamitnych, pulsujących szyjach, sutkach różowiejących w półmroku jak niedojrzałe śliwki. Recytację zakończył suchym, przerywanym głosem: – „Tymczasem... w dal popłynię dziewcząt miły śpiew, na który las odpowie... echem pośród drzew”.

Peyton odstawiła szklanę, zaczęła klaskać. Holcomb uklonił się szarmancko i głośno wytarł nos. Tymczasem Harry zniknął na moment, bo czarny kelner przyszedł, aby mu powiedzieć, że pan Loftis prosi zięcia na kuchenny ganek.

– Upił się, proszę pana, i strasznie bredzi. Lepiej się pospieszyć – zakończył Murzyn.

Białka jego oczów przypominały dwa złowrózbné półksiężyce, lecz Holcomb i Peyton nic nie zauważyli. Coraz więcej gości odchodziło. Pożegnawszy się z Peyton, stali w hallu grupkami, z kapeluszami i okryciami w rękach. Chcieli podziękować za wspaniałe przyjęcie Miltonowi i Helenie, ale ani Heleny, ani Milтона nie było nigdzie w pobliżu. Dokoła wazy z ponczem panował nadal ruch bardzo ożywiony. W jednym zacisznym kąciку jakaś młoda para wymieniała gorące uściski; szampan wylewał się z ich przechylonych beztrosko szklanek. W drugim Monk Yourtee, opuszczony wreszcie przez małżonkę, śpiewał: „Przyjaźń, wieczna przyjaźń”, a wtórowała mu kompletnie pijana młoda osóbką, niejaka Polly Pearson. Tej ostatniej zerwał się sznurek szklanych brylantów, więc Stonewall wyskoczył z kuchni i zbierając je począł uganiać się jak wiewiórka wśród kukurydzy.

Doktor stał nadal obok Peyton. Przysunął się bliżej, wziął ją za rękę.

– Wyglądasz smutno, kochaneczko – powiedział.

– Wina ci trzeba... i poezji. Czy stało się coś złego? Wyraz troski pojawił się w oczach Peyton. Zakryła je na chwilę dłonią, a Holcomb pomyślał, że to uroczy wymowny gest, jak gdyby panna młoda usiłowała zmieść nagłą żalóść.

– Czy stało się coś złego? – powtórzył łagodnie.

– E... Co tam – bąknęła z niesmakiem.

– Powiedz staremu doktorowi.

– E... Co tam...

Peyton, która dotychczas patrzyła prosto przed siebie, rozejrzała się dokoła wolno, uważnie, jak gdyby po raz pierwszy lub ostatni (czy to wielka różnica?) czyniła przegląd pokoju, okien, blasków zachodu, pijanych gości, oczyma zamglonymi nie tyle szampanem, ile niezgłębioną rozpaczą. Holcomb uprzytomnił to sobie i doznał nie lada wstrząsu, bo ledwie przed dziesięcioma sekundami Peyton sprawiała wrażenie wcielonej radości życia. Wytrzeźwiał w jednej chwili.

– Czy stało się coś złego? – zapytał raz jeszcze. Poważnie spojrzała nań ciemnymi oczyma.

– Ach, doktorze... – szepnęła beznadziejnie smutno.

– Gdyby pan wiedział... Gdybym mogła panu powiedzieć...

– Mnie możesz powiedzieć, kochaneczko. Uśmiechnęła się, zmarszczyła nosek. Oczy jej zabłyśły, urocze dołeczki pojawiły się opodal kącików ust. Zdaniem Holcomba, był to uśmiech klasyczny, pełen uroku, lecz bez wątpienia niedobry; stanowił maskę. Doktor podjął waleczny wysiłek: z otumanionego whisky mózgu spróbował dobyć myśl: „Co może dolegać tej małej! W takim dniu?... Epitalamium...” Nic nie potrafił wywnioskować. A zresztą Peyton zaczęła mówić:

– Jestem głęboko przekonana, doktorze, że rodzaj ludzki idzie prostą drogą do zguby – z pijacką poufałością położyła dłoń na ramieniu Holcomba, aż wzdrygnął się wewnętrznym dreszczem. – Kapuje pan, doktorze, na czym polega bieda? Wcale nie chodzi o pieniądze. Nic podobnego. W Nowym Jorku mam setki przyjaciół komunistów. Ci wytłumaczyliby panu wszystko, jeżeli w ogóle można coś wytłumaczyć. Mnie nie chodzi o sprawiedliwy podział bogactw ani równowagę gęstości zaludnienia, ani żadne takie głodne kawałki. Wie pan w czym sedno sprawy. Czas i wspomnienia! Rozumie pan? To sedno sprawy. Ludzie myślą skromnie... No, z jaką taką pokorą nie o tym, co dzieje się teraz... Kapuje pan? W tej chwili, ale o wszystkim, co działo się kiedyś, dawno... Naturalnie w nich samych, wewnątrz... Chociażby taka rzecz jak powrót do domu. Gdyby pan mógł zrozumieć, doktorze, jak ja uwielbiam to miejsce.. To znaczy zatokę, plażę, mimozy... Nawet ten dom, robotę firmy budowlanej Thomson, Howell i Woodburn. Nawet ten dom...

– Aha... – Holcomb pokiwał głową. – Rozumiem, kochaneczko.

– Ten stary dom wcale nie jest stary, co? Tylko duży, pospolity, mieszczański. Ale cóż? Ja go kocham. Urodziłam się tutaj – wzdrygnęła się, podniosła rękę do oczów tym samym wdzięcznym, bolesnym gestem.

– Ach, doktorze! – zawołała. – Strasznie mi przykro. Przepraszam, że tak mówię. Ale rozumie mnie pan, prawda? Rozumie mnie pan? Proszę powiedzieć zaraz, zaraz, że pan mnie rozumie, doktorze, bo mamy mało czasu. Nie chodzi o to, żeby wrócić do domu i zostać na zawsze. Nie! Człowiek chce, żeby go rozumiano takim, jakim jest naprawdę. Dlaczego zaraz kochać śmiertelnie albo nienawidzić tylko dlatego, że ktoś się myli? Rozumie pan, doktorze?

Oczy miała jasne od łez, a Holcomb głaskał ją pieszczotliwie po ramieniu i myślał, że z pewnością rozumie, przynajmniej trochę, bo w tej chwili patrząc nad głową Peyton zobaczył w ramach dwojga pobliskich drzwi Helenę i Milтона.

Stali bardzo blisko siebie, lecz z powodu hałasu nie zdawali sobie sprawy z tego. W jednych drzwiach – tych od kuchni – Loftis z trudem utrzymywał równowagę; twarz miał zaczerwienioną, wzburzoną, mówił coś do pana młodego – Holcomb nie słyszał oczywiście co. Widział za to jego ręce: jedna była oparta o futrynę drzwi tak sztywno i mocno, że aż krew odpłynęła z dłoni, druga zataczała w powietrzu szerokie nieskoordynowane ruchy, ścisnęła palcami szklanę. Ale najbardziej zdumiewała i niepokoiła twarz Loftisa o dolnej szczęce opuszczonej, rozdygotanej żałością, jak u kogoś, kto po raz ostatni błaga o coś rozpaczliwie, jakąś nieubłaganą, wszechpotężną władzę. Ponadto z punktu widzenia lekarza Holcomb osądził, że jest to twarz człowieka bliskiego apopleksji. Była tak nieprzytomna i zboląa, że prawie już trzeźwy doktor począł się zastanawiać, o czym, u licha, Milton może rozprawiać? Na pewno nie wymyślał panu młodemu, który słuchał go pilnie i z zatroskaną miną.

W drugich drzwiach – nie dalej niż o pięć jardów– stała Helena. Mimo panującego w pokoju gorącego zaduchu szczerze otulała płaszczem ramiona. Patefon buchnął nagle zgiełkliwą donośną melodią: *Wieczna chwała gwiazdzistemu sztandarowi*. Tłum spóźnionych gości zawtórował chórem gwizdów, wrzasków, okrzyków, by powstać. Muzyka zalała pokój, niby strumienie wrzątku. Peyton wzdrygnęła się, Holcomb również. Na ramieniu poczuł uścisk jej palców, chciał odwrócić się, pocieszyć jakoś pannę młodą, wziąć pod opiekę, lecz spojrzał na Helenę i zdrętwiał z wrażenia. Zaczął ją obserwować podejrzliwie. Stała w drzwiach jak posąg. Nie drgnął ani jeden mięsień jej ciała, ręce miała opuszczone bezwładnie, sztywno, jak kije. Poruszała się jedynie głowa i szafirowe, błędne oczy. Niewątpliwie była gotowa do ataku, więc doktorowi wydało się, że śledzi wzrokiem żmiję. Uczucie grożącego niebezpieczeństwa potęgował fakt, że nikt inny pośród gości zdawał się nie widzieć Heleny. Oto na skraju jakiegoś gąszczu srogi płaz, nieruchomy z wyjątkiem głowy, czai się, czeka sposobności, by zadać cios nie komuś ostrożnemu, lecz zupełnie nieświadomej ofierze. Peyton jej nie widziała. Nie mogła też dostrzec tego, co zobaczył Holcomb. Spojrzenie Heleny zwrócone dotychczas na ścianę przemknęło po wazie z ponczem, oknach, zabłysło w ostatnich blaskach konającego dnia i wreszcie przywarło do pleców panny młodej – przywarło tak, jak gdyby

zapuszczają w nie zęby.

„Wszystko może się zdarzyć – pomyślał doktor. – Wszystko!”

Uprzytomnił sobie, że Helena uległa obłędowi. Długo badał jej udręczone i samoudręczone ciało i wreszcie poznał je chyba nie gorzej niż własne. Obecnie wiedział, że oszalała. Wiedział to równie niezawodnie, jak od dwudziestu laty zdawał sobie sprawę, że musi nadejść moment, gdy cała furia i zazdrość tej kobiety wyzwoli się, wybuchnie, niby mściwy duch z baśni, który ulatuje kłębem czarnego dymu z więzienia tajemniczej lampy.

„Byle nie teraz – pomyślał. – Na Boga! Byle nie teraz”.

Za późno! Był za stary, pracował zbyt długo, zbyt ciężko nad swoją przemianą w człowieka dobrej woli, by obecnie chciał i mógł patrzeć, jak istota urocza i słodka zostanie zmiądzona niczym robak.

„Nie – pomyślał z rozpaczą. – Nie teraz”.

Zwrócił się do Peyton, aby pocieszyć ją, wziąć pod opiekę. Roześmiał się z przymusem.

– Nie smuć się, kochaneczko – zaczął i ujmując jej rękę dotknął nowej złotej obrączki. – „Z wątłego jej paluszka spadał Pierścień wręczony jej z paradą. Za duży bowiem był...”

– Oo... – zdziwiła się Peyton. – Że pan to zapamiętał, doktorze! Przepadam za siedemnastym wiekiem.

Holcomb spostrzegł, że Helena zaczyna się zbliżać, lecz deklamował dalej: – „Odeszli wszyscy w świat ciszy świetlistej, Samotny tutaj siedzę dziś”.

– „Wspomnienie o nich piękne, czyste – pochwyciła Peyton – Rozjaśnia smutną moją myśl...”

– „Rozprasza szare mgły...” – ciągnął doktor zacieśniając uścisk na jej ramieniu. – I tak dalej... dalej... dalej...

Peyton obejrzała się, spostrzegła kroczącą ku nim Helenę.

– Tak – powiedziała. – „Albo stąd weźcie mnie hen, na to wzgórze. Gdzie puchar już mi nie będzie potrzebny”.

Loftis był zupełnie dezorientowany, gdy po miesiącach próbował odtwarzać kolejność zdarzeń tamtego dnia – jak gdyby usiłował wskrzesić fakty ściśle umiejscowione w czasie, choć już minuty pomieszały się kompletnie i niepodobna ustalić, czy jakiś konkretny moment poprzedził inny, czy też nastąpił później. Nie miał pojęcia, czy rozmawiał z zięciem wcześniej, niż wynikła cała rozpaczliwa historia z Peyton. Albo kiedy dał napiwki kelnerom – jeżeli to w ogóle zrobił? – przed odjazdem córki czy po jej odjeździe? W istocie rzeczy co było pierwaj – obrzęd zaślubin czy przyjęcie? A może Peyton wcale nie wróciła do domu? Może wszystko zrodziło się w potwornym, pijackim śnie? Otwarcie mówiąc, Loftis nie wysiłał się zbytnio, by odbudować przebieg tamtego dnia, który w swoistej atmosferze obłądu nie wydawał się zwykłym wydarzeniem w życiu towarzyskim, lecz koszmarnym, kolorowym filmem bez reżysera i z bardzo lichymi aktorami, szczególnie upiornym z racji ciągłego, nieartykułowanego zgiełku zamiast tekstu i muzyki. Najlepiej pamiętał własny niepokój: gorączkę, która rosła wraz z przybierającym na sile przeczuciem klęski, żar całego ciała, przesiąkłą potem bielizną. Gorączka – to wstępny objaw. Następnie przyszedł dotkliwy ból w krtani, zapowiedź ciężkiego przeziębienia. Było istotnie ciężkie; po weselu Peyton przez tydzień trzymało go w łóżku, pozbawiało sił i chęci do życia. Pamiętał też swoje

straszliwe, druzgocące pijaństwo. Groźne wypadki – minione, bieżące i te, co nieuchronnie miały nadejść – budziły przemożny głód alkoholu, chęć, by utonąć, zniknąć bez śladu, jak w głębi wody lub pod piaskiem. Pragnienie owo, wystarczająco silne od początku, nabrało tym większej mocy, gdy Loftis rozmawiając w drzwiach z Harrym, zorientował się, że robi z siebie niebywałego totalnego osła. W tym stadium wypił, licząc w przybliżeniu, siedem szklanek szampana, trzy whisky bez wody i Bóg-wie-ile ohydneho ponczu ananasowego. Whisky złopał sam na ganku kuchennym, w swojego rodzaju transie. Nawet wtedy rozumiał poniekąd, że obiera kurs ryzykowny nie z racji samego wyskoku, lecz dlatego, że od ośmiu miesięcy zachowywał abstynencję lub co najmniej umiarkowanie, więc wydelikacowany żołądek może nie przyjąć tak uderzeniowej dawki. Podejrzenia okazały się słuszne, gdyż rozmawiając z zięciem Loftis odczuwał boleśnie nie tylko objawy wzrastającego niepokoju – gorączkę, ból gardła, poty, dreszcze i straszne osłabienie całego ciała. Zaczynała się również świeża bieda: męki opętańczego lotu ku zupełnemu opilstwu. Od rana nie jadł nic, nawet kęsa tortu weselnego, wobec czego żołądek jął zakładać protest wśród skurczów boleśniejszych (jak Loftis sobie wyobrażał) niż bóle porodowe. Idiotycznie, bezwiednie poruszał ustami, a miary dopełniły skończone brednie, które opowiadał zięciowi. Później mętnie pamiętał, co właściwie mówił, lecz

przypomniawszy sobie, że stał w drzwiach, wymachiwał rękami i rzucał niedorzeczne, kretyńskie słowa bez związku, które tym bardziej nieuchronnie i rozpaczliwie popychały go na oślep w stronę całkowitego zamroczenia.

Ale coś niecoś zachował w pamięci – przede wszystkim swój protekcyjny ton. Z pewnością plótł coś na temat Żydów: jak to on ich lubi i że mają jakieś cenne zalety, które z reguły nie zdołają gojów. Pamiętał, że w tym momencie Harry zmarszczył czoło, a on pomyślał: „Co ja, u licha, wygaduję? O czym chcę go przekonać?” Ale brnął dalej. Nie był w stanie zaprzestać gadaniny o Żydach; chciał popisać się przed Harrym, pokazać, że morowy z niego facet. Robił to idiotycznie, z pobłażliwą łaskawością, a Harry słuchał wciąż spokojnie i uprzejmie, niemal z uwagą. Pamiętał, że powiedział wtedy: „Wirginia musi jeszcze nauczyć się wiele, ale Żydów lubimy tutaj, jak Boga kocham”. Powiedział to i miał ochotę odgryźć sobie język, lecz musiał rozwijać temat, coraz bardziej po pijacku. Był bezradny jak człowiek przywiązany do okrętowego działa, które urwało się z lawety.

Ale nie koniec na tym. Loftis przypomniał sobie, że wcale nie chciał mówić o tych sprawach. Stał w drzwiach, od czasu do czasu zerkał spod oka na Peyton, obserwował ją przez mgłę alkoholu i wzmagającej się gorączki. Mętniała, na czas pewien niknęła z pola widzenia, później znów zaczynała poruszać się niepewnie, chwiejnie, jak rozdwojony obraz oglądany przez wodę akwarium. Patrzył na nią i myślał, że jest nieosiągalna, utracona na wieki, że on nie ma już żadnego prawa do córki. Odtrąciła go, zdeptała niemiłosiernie, lecz to nie wszystko. Jej właścicielem jest teraz ktoś inny— on, ten Harry: uprzejmy, spokojny, inteligentny Żydek, który stoi tuż obok, cierpliwie przestępuje z nogi na nogę, a jego bystre, migdałowe oczy wyrażają kompletne zrozumienie każdego gestu teścia. Dobrze pamiętał, jak serce zamarło w nim z bóleści, gdy pomyślał najprzód o tym sympatycznym chłopcu, a później o nim i Peyton razem. Jakieś słowa cisnęły mu się na usta, chciał wyciągnąć ręce do tego sympatycznego chłopca, powiedzieć mu, że musi dbać o Peyton, musi kochać ją zawsze, bo to skarb najcenniejszy pod słońcem. Jednakże w tym momencie zobaczył Helenę; oto maszeruje przez pokój nie zwracając uwagi na spotykanych po drodze gości, podchodzi do Peyton zajętej rozmową ze starym doktorem, szepce jej coś do ucha.

Loftis nie miał już wątpliwości, że nadszedł końcowy moment, który przypieczętuje wszystko. Był to jedynie szept, ale szept nieuniknionego przeznaczenia – brutalny, jednoznaczny gest niepodzielny w swojej logice. Skąd wiedział? Nie wymaga to wyjaśnień. Znaczenie tego gestu rozumiał tak dobrze, jak gdyby było ono niezależne od czasu.

O dziesięć, może nawet dwadzieścia lat wcześniej – mniejsza o daty – potrafiliby przewidzieć tę końcową scenę (jedyną, jaka ze szczegółami wryła się w jego pamięć): doktora, Peyton i pochyloną nieco, szepczącą Helenę. Był to gest nieunikniony jak śmierć. Loftis doznał widocznie chwilowego paraliżu, bo później, gdy usiłował przypomnieć sobie, co wtedy zrobił albo zamierzał zrobić, dochodził do wniosku, że nie był w stanie nic przedsięwziąć. Gdyby miał rewolwer, mógłby zastrzelić Helenę, mógłby patrzeć spokojnie, jak nieżywa, zlaną krwią pada pośród gości, rozbitych szklanek, zmiętych różowych serwetek. Później snuł podobne myśli, lecz dobrze wiedział, że to złudzenie, bo jakże zdołałby nacisnąć cyngiel, skoro nie stać go było na jedno słowo lub krok w stronę żony? Helenie, Peyton i Holcombowi przyglądał się w milczeniu albo raczej w częściowym milczeniu, bo przerażony do głębi duszy nie potrafili zachować spokoju. Musiał spojrzeć z ukosa na Harry'ego i powiedzieć ochryłym, załamującym się głosem:

– Widzisz, synku, za dużo głupstw wydarzyło się tutaj. Musisz dbać o nią i kochać ją, bo nikt i nigdy nie kochał jej tak, jak trzeba. – Chwycił zięcia za ramię, dodał coś w sensie: – Bądź dla niej dobry, Harry! Na miłosierdzie boże, staraj się ją zrozumieć...

Ale rozpoczynała się już finałowa scena. Loftis urwał, odwrócił się i począł śledzić wzrokiem żonę i córkę, które razem wychodziły z pokoju. Peyton zataczała się idąc za matką pokornie jak jagniątko. Minęła stół zastawiony szklankami, minęła krzesła i zbitych z tropu gości. Obie poszły na piętro, a on bacznie śledził je wzrokiem.

Harry też odszedł dokądś – Loftis nie miał pojęcia dokąd. Raz miał wrażenie, że widzi go zajętego rozmową z Cuthbertami; a może to byli Houtsonowie? Tak czy inaczej, nie pamiętał, jak i kiedy zięć zostawił go samego – i dlaczego? Dla Loftisa czas i ruch przybrały od tej chwili iście żółwie tempo, a on sam zaczął wędrować przez świątecznie ożywione pokoje, jak ktoś bardzo pijany, wystraszony i stary. Zachowywał pozory. Uśmiechał się. Od niechcienia żegnał odchodzących gości zdławionym śmiechem, klepieniem po ramieniu, pozornie wesołym okrzykiem. Ale przez cały czas powtarzał w myśli pytanie: „Co one tam zrobią sobie wzajemnie?”

Nagle napotkał rumianą, pełną twarz „Wisienki” Pye'a i zobaczył resztki przystawek na jego ustach. Omal nie uległ gwałtownej pokusie, żeby je obetrzeć.

– I co, tatusiu? Pójdziemy wieczorem do miasta pofiglować trochę? – wybełkotał „Wisienka” Pye; usta miał pełne czegoś, w ręku trzymał szklanę.

– Za tobą, wodzu! – krzyknął zbyt głośno Loftis.

– Nie... Za tobą, tatusiu!

– Do dna, „Wisienko”! Lu, do dna!

– Do dna, tatusiu Loftis! Lu, do dna!

Chwycili się w objęcia, zaczęli śpiewać pobrzękując w takt szklankami, a Monk Yourtee i Polly Pearson przyłączyli się, aby im zawtórować.

W głębi pokoju sześciu gości oblegało łakomie stół. Byli to żarłocy. Natomiast pijacy, przeważnie młodzi, grupkami podpierali ściany, rozprawiali z przejęciem, tworzyli niezależne kwartety wokalne. Loftis śpiewał dygocącym tenorem, bo ktoś zaczął piosenkę zbyt wysoko, a gdy usłyszał schrypnięty sopran Dory Appleton, oderwał się od towarzystwa.

– Hej, Milt! Wróć! – wrzasnął „Wisienka” Pye.

Drepcąc na ukos przez pokój, Loftis rozlewał po drodze szampana; mętnie zdawał sobie sprawę, że na twarzy ma krzywy uśmiech. Rychło ogarnęła go nowa melodia, nowa kompania. Otoczył ramieniem Dorę, która miała twarz umazaną pomadką do ust, ponieważ bez zastrzeżeń całowała się publicznie. Utworzyli trio wraz z Campbellem, dziwnie wybladłym młodzieńcem o oczach jak fiołki i ogromnych, prześwitujących uszach. Śpiewali *Leniwy ze mnie dragon* i Loftis trzymał rękę na piersiach Dory.

– Mój stary! – wrzasnęła Dora. – Słodki jesteś! I co za głos.

Campbell zachichotał wdzięcznie, chociaż okrzyk był zwrócony do Loftisa, który właśnie łaskotał Dorę po żebrach.

– Az ciebie dziewczeczka jak złoto – powiedział.

– Słodki jesteś! Mój stary...

– Cukiereczek. Daj tatusiowi buzi.

Pochyliła się ku niemu, więc bezradnie zaczął całować uróżwioną, poplamioną maskę. Nagle poczuł, że językiem dotyka jej języka o słodkawym smaku whisky. Czerwony, obolały od gorączki odszedł na chwiejnych nogach. Na trawniku przed domem było już ciemno. Loftis zatrzymał się koło drzwi wejściowych, gorąco uścisnął rękę doktora Holcomba, który był już w płaszczu i szaliku. Usłyszał lub zdawało mu się, że usłyszał słowa: „Pilnuj jej, Miltonie, pilnuj”. Przez chwilę widział starcze załzawione oczy. „Będę pilnował... ale kogo?” – zastanowił się poważnie. Jednakże doktor wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim: do hallu wtargnął wir chłodnego, świeżego powietrza. Szklanka wysunęła się z drętwych palców Loftisa, spojrzął więc w dół, na okruchy szkła i strumyczki whisky – pełnące po dywanie.

Nagle serce w nim zmartwiało. Ciężko opadł na krzesło. Nie miał wątpliwości, najmniejszej wątpliwości. Coś musi zrobić. Siedząc tak na uboczu słyszał znudzone śmiechy, znudzony śpiew: „Uwielbiam cię, pieścizno moja...”, dobiegły go słowa, a wiatr szumiący na dworze zdawał się porywać je, nieść jak uschnięte liście. Dwie rozchichotane dziewczyny weszły do hallu. W półmroku nie zauważyły Loftisa. Jedna nadepnęła mu na nogę. Za oknem świecił księżyc, jasny niby reflektor latarki kieszonkowej, nasycił wieczór jak gdyby srebrzystobłękitnym pyłem. Na pomarszczonej bryzą powierzchni zatoki unosiły się liście, mewy. Tak, nie było wątpliwości. Oto nadeszła pora decyzji. Pomyślał: „Może ja myliłem się przez całe życie. Może ja jestem przyczyną wszystkich nieszczęść? W takim razie Helena miałaby rację. Może zabiłem nadmiarem uczuć to jedyne, na czym mi naprawdę zależało. Może wszyscy byliśmy nastawieni na ton zbyt wysoki, jak mówił niegdyś mój ojciec. Mówił też: nie należy zaszczepiać idei miłości w umyśle zwierzęcia”.

Nagle ogarnęła go potężna furia.

– Nie! – powiedział głośno. – Nie, do cholery!

Zerwał się z krzesła i przestąpiwszy kałużę whisky, ruszył chwiejnie ku schodom. W salonie ogarnęła go powódź światła, usłyszał śpiewające nadal przeraźliwe, znużone głosy. Później Edward, prawie jak on pijany, oparł rękę na jego ramieniu. Loftis szedł dalej.

– Dokąd to? – bełkotał Edward. – Dokąd tak pilno... staremu kumpłowi... Co?... Rączka, stary... Rączka... i duża ...bardzo duża buźka... – czule objął Loftisa. – Po-słuchaj, stary – ciągnął. – Fajno, że przyjechałem na weselicho Peyton, co? Prawdziwa przyjemność zobaczyć takich ludzi, co? Żeby tak dostać się na bezludną wyspę, moglibyśmy obaj zostać prezydentem i wiceprezydentem. Czemu nie, co? Po-słuchaj...

Loftis wyrwał się z jego objęć.

– Idź do wszystkich diabłów, Edward – warknął i nie bez trudności wspiął się na schody.

W korytarzu było ciemno i cicho. Z parteru dochodziły stłumione, niewyraźne odgłosy. Loftis stał przez moment u szczytu schodów, rozglądał się dokoła, jak gdyby węszył. Niczego nie widział dokładnie, lecz w ciemności zarysy jakichś kształtów i cieni wirowały tak, że musiał oprzeć się o ścianę, by utrzymać równowagę. Serce waliło w nim jak młotem; ogarniała go lodowata groza. Opanował się trochę, ostrożnie ruszył z miejsca. Szedł na palcach, starał się nie potrącać napotykanym po drodze przedmiotów. Wreszcie usłyszał dobiegający z pokoju szmer głosów albo raczej jednego głosu – Heleny. Podkraść się do drzwi. Były tylko przymknięte. Cienka smuga światła padała przez szparę na podłogę korytarza. Loftis złowił uchem głos Peyton.

– Słowa, słowa, słowa. Dlaczego nie powiesz jasno, o co ci chodzi?

Dalszego ciągu nie pamiętał dokładnie, bo umysł miał zupełnie zamglony, lecz przedstawiało się to tak mniej więcej:

– Właśnie chcę ci to powiedzieć, moja droga – zabrzmiał głos Heleny dobitny, ale beznamiętny i uprzejmy.

– Nie wymagam bynajmniej, abys zupełnie nie piła. Nie wyobrażaj sobie, że należę do Przeciwalkoholowego Zjednoczenia Kobiet. Nic podobnego. Posłuchaj, moja kochana. Prawdziwe znaczenie ma dla mnie inna sprawa. Czy po tym wszystkim, co zrobiliśmy, żeby wyprawić ci wesele, mam prawo myśleć...

– Co? – przerwała gniewnie Peyton. – Co masz prawo myśleć? Może zechcesz wyrażać się ściślej?

– Chodzi mi o całą historię z twoim ojcem. Czy mam prawo myśleć, że wolno ci tak go traktować? Po wszystkim, co dla ciebie zrobił. Dobrze widziałam, co się przed chwilą stało. Doprawdy, Peyton, nie udawaj, że nic się nie stało albo że nikt tego nie widział. Ja widziałam. Mówię ci, moja droga, że ja widziałam.

– Ale co?

– Jak to co? – ton Heleny stawał się coraz bardziej oschły, szorstki. – Jak to co? Przy ludziach skoczyłaś mu do oczów, jak wściekła. Nie tylko ja widziałam. Widział Chess Hegerty i Braunsteinowie. Wszyscy widzieli! A tyle dla ciebie zrobiłam. Wszystko obmyśliłam, przygotowałam. Staralam się zapomnieć... Nie! Naprawdę zapomniałam o wszystkim. Przez wzgląd na moralność, na chrześcijańskie zasady, przez wzgląd na wszystko, co uczciwe i szlachetne, postanowiłam puścić w niepamięć twoje wyczyny...

– Jakie znów wyczyny?

– Mniejsza o to. Jak słyszałaś, postanowiłam puścić je w niepamięć przez wzgląd na wszystko, co szlachetne i uczciwe. Chciałam, żebyś mogła wyjść za mąż przyzwoicie z rodzinnego domu. Co za ironia! Dlatego właśnie, przez wzgląd na wszystko, o czym mówiłam, robiłam, ile mogłam, aby twoje wesele było prawdziwym sukcesem. Choćbym nawet miała się na śmierć zaharować! Oczywiście chodziło mi też o twojego ojca. A co ty nawyprawiałaś? Ludzie wiedzą, że mnie nienawidzisz. Mniejsza o to. Dlaczego jednak mają wiedzieć, że nienawidzisz także jego? Po tylu latach twojej fałszywej gry, pochlebstw, uwodzicielskich sztuczek...

W tym momencie sprężyny materaca trzasnęły głośno, jak gdyby ktoś rzucił się gwałtownie na łóżko. Rozległ się śmiech – śmiech Peyton – przenikliwy, cokolwiek histeryczny, zarazem jednak stłumiony: śmiech osoby znajdującej się w pozycji poziomej.

– Słowo daję, że to już przechodzi wszelkie granice! Jak Boga kocham! Więc rzeczywiście cierpiałaś, co? Biedna Helena! Biedna! Jesteś chora, bardzo poważnie chora. Oczywiście nie powinnam tak mówić. Powinnam być pokorna, wyrozumiała, miłosierna. Ale nie mogę. Słowo daję, nie mogę. Twój przypadek jest taki obrzydliwy, że trudno się nawet litować...

– Cicho bądź! Szanuj starszych. Szanuj rodziców, którzy...

– Nawet cierpieć nie potrafisz przyzwoicie – przerwała Peyton spokojniejszym głosem. – Przypominasz wszystkich innych ponurych neurasteników. Delektujesz się swoją niedolą i własne paskudne, małe nienawiści przypisujesz ludziom, którym zazdrościsz. Podejrzewam, że zawsze nie cierpiałś mnie za jedno czy drugie. Ale ostatnio stałam się dla ciebie symbolem czegoś nie do zniesienia. Myślisz, że jestem głupia, tępa, że nie umiem cię ocenić? Nienawidzisz mężczyzn. Przez długie lata nienawidziłaś tatusia, a najsmutniejsza sprawa, że on nie widział tego. Ale to nie koniec. Jest coś jeszcze bardziej okropnego. Samej siebie nienawidzisz tak, że tę nienawiść przenosisz nie tylko na mężczyzn czy tatusia, ale na wszystko: zwierzęta, rośliny, martwe przedmioty. A najserdeczniej nienawidzisz mnie, ponieważ stałam się dla ciebie symbolem. Wiem, że daleko mi do ideału, ale mam młodość i wolność i chociaż nie jestem szczęśliwa, mogę wierzyć, że kiedyś znajdę szczęście, jeżeli będę na nie pracować dostatecznie długo. Tak! Jestem wolna. Gdybym ugrzęzła w Port Warwick, wyszła za jakiegoś prostaczka, który pracuje w stoczni, gdybym zamieszkała tutaj w skromnym domku i każdej niedzieli przychodziła w odwiedziny do ciebie i tatusia, ty byłabyś zupełnie zadowolona. Miałabyś mnie w swoich szponach. Stosowałabym się pokornie do twojego szacownego kodeksu moralności chrześcijańskiej, zbioru głupstw i obłudy. Ale sprawa wygląda inaczej. Jestem

wolna, a ty nie potrafisz wytrzymać...

– To ty nienawidzisz...

Peyton zerwała się z łóżka. Loftis usłyszał szybkie, nerwowe stukanie obcasów na podłodze.

– Wiem, co masz na końcu języka. Chcesz powiedzieć, że nienawidzę Port Warwick, tatusia, wszystkiego. Kłamstwo! Czuję nienawiść tylko do tego, czego ty nauczyłaś mnie nienawidzić. Przeklęta! Najprzód zmusiłaś mnie do nienawiści wobec siebie...

– Ty mówisz mi takie rzeczy! – krzyknęła Helena przeraźliwie, histerycznie. – Ty! A nie wiesz... Nie wiesz...
– dławiła się obłędnym wrzaskiem. – Przyjechałaś do domu, jak na urągowisko... z tymi swoimi minami... tonami... Spałaś z każdym, kto chciał i nie chciał... Ty!... Nic nie wiesz... Ani ten twój parszywy, głupi Żydziaak...

Loftis postąpił w stronę drzwi, lecz zdobył się na to za późno. Moment dzielący ostatnie słowa Heleny i to, co nastąpiło później, był krótki, zarazem jednak nieskończenie długi, a jego cisza miała w swojej grozie wszelkie cechy przerażającego hałasu. Następnie Loftis usłyszał jakąś szarpaninę i jeden żalosny jęk. Pchnął drzwi, lecz spóźnił się i tym razem. Peyton minęła go zapłakana i pobiegła korytarzem w kierunku schodów. Wyciągnął do niej rękę, ale przemknęła jak podmuch wiatru, więc chwycił się w drzwiach, spojrzał na Helenę. Twarz miała ukrytą w dłoniach, szlochała głucho, lecz spomiędzy jej palców dobywały się krople krwi. Loftis patrzył na nie niby urzeczony, zupełnie nie zwracał uwagi na zawrodożenie żony, jak gdyby było bardzo odległe, bezosobowe. Nigdy nie mógł sobie przypomnieć, jak długo stał tak – może pół minuty, może więcej. Wreszcie Helena wyczuła jego obecność, gdyż opuściła rękę i bezdźwięcznie poruszyła wargami. Wtedy zobaczył jej twarz śmiertelnie bladą między bruzdami zostawionymi przez paznokcie Peyton i zdołał powiedzieć tylko – nieporadnie, bo język poplątała mu whisky:

– Oby Bóg ci wybaczył, ty potworze...

Później zszedł na parter.

Kiedy zatelefonował do Dolly? Jeszcze przed odjazdem Peyton czy później? I tej sceny nie potrafił odtworzyć dokładnie, wiedział tylko, że kiedyś, zapewne po niewielu minutach, trzymał w objęciach zapłakaną Peyton i powtarzał w kółko:

– Wszystko dobrze, maleńka. Wszystko dobrze, córeczko. Wszystko dobrze, maleńka.

Peyton miała na sobie płaszcz. Opoдал stały w hallu jej spakowane walizki. Tymczasem Harry, któremu Loftis dał klucze od swojego wozu, wyprowadzał go z garażu. Państwo młodzi byli gotowi do odjazdu.

Loftis mógł myśleć tylko o sprawach błahych, nieosobistych.

– Powiedz Harry'emu, żeby klucze zostawił u dozorczy promu! Znam go. Jutro odbiorę samochód. A tobie wyślę prezenty.

Peyton uspokoiła się trochę. Otarła łzy, sięgnęła do torebki po puderniczkę.

– No tak... – powiedziała. – Bardzo mi przykro, staruszk. Pewno i tobie, prawda? Chyba kiedyś nasze sprawy lepiej się ułożą – smutnym wzrokiem przebiegła ciemny hall. – Wcale nie mamy whisky. Może mógłbyś...

Loftis poszedł do kuchni i wziął od czarnego kelnera butelkę whisky. Peyton schowała ją do torebki.

Nachylił się, zaczął całować Peyton. Nie drgnęła nawet, kiedy dotykał wargami jej policzka, ucha, włosów. Kiedy jednak pocałował ją w usta, odepchnęła go lekko, szepnęła:

– Nie... Nie staruszk... Wytrzeźwiej nareszcie!

Loftis zorientował się nagle, że wraz z córką i zięciem wychodzi na ganek wśród wiwatów, radosnych okrzyków, pod gradem ryżu.

– Do widzenia! – wrzeszczeli wszyscy. – Do widzenia!
Do widzenia!

Samochód zniknął z podjazdu. Jego śladem ruszyły dwa szalone chevrolety, przepełnione młodzieżą. Loftis zawrócił ku drzwiom, pośliznął się na rozsypanym ryżu i omal nie upadł. Monk Yourtee podtrzymał go i jął wykrzykiwać coś o nocy poślubnej i wnukach.

– Idź do diabła, Monk! – warknął Loftis.

Dalszy ciąg pamiętał jasno. Był w hallu. Raz po raz nakręcał numer Dolly. Pod ręką miał świeżo napełnioną szklanekę. Z krzesła, na którym siedział przy telefonie, obserwował najbardziej uporczywych gości. Oto Polly Pearson... Monk Yourtee... „Wisienka” Pye... wiotki młodzieniec nazwiskiem Campbell... Edward leżał w kałuży szampana, zupełnie wykończony. Loftis czuł, że opuszcza go cały niepokój – błyskawicznie i kompletnie. Wszyscy są zadowoleni, szczęśliwi... Nie mógł przypomnieć sobie, jakiej słuchał wtedy melodii, ale z pewnością nucił w jej takt beztrąsko. Myślał o czekającym go zupełnie nowym życiu...

– Zgadnij, kto mówi, kociątko? – powiedział, kiedy Dolly odezwała się wreszcie.

– Milton!

– Właśnie! Tutaj wszystko skończone.

– Jak to... Kochanie... Co skończone?

– Zaraz zadzwonię po taksówkę.

Jeżeli ktoś nie chce jechać samochodem, by dostać się z Port Warwick na Florydę, musi wsiąść w Richmond do pociągu, który robi szerokie okrążenie ku północy, albo skorzystać z promu przez zatokę i w Norfolk złapać inny pociąg. To urządzenie niedogodne – swojego rodzaju izolacja geograficzna – i zapewne jeden z powodów, dla których mieszkańcy Port Warwick stali się w znacznej części bardziej niż przeciętnie prowincjonalni. Ale przeprawa na drugi brzeg zatoki przynosi dochód spółce eksploatującej prom, a że jest miłą wycieczką, wszyscy do niej stopniowo przywykli. Przystań i pochylnia promu znajdują się w pobliżu stacji, a właściwie tuż obok, w tej samej atmosferze pyłu węglowego, cuchnących kawiarenek i podrzędnych, zaopatrzonych w neonowe szyldy drogerii, gdzie marynarze kupują prezerwatywy, tubki maści zapobiegawczej i od czasu do czasu lody w stożkowatym waflu. Powietrze jest tutaj ciężkie. Wiatr szeleści wśród chwastów na niezabudowanych placach. Wzdłuż torów kolejowych stoją murzyńskie rudery oświetlone lampami naftowymi, a tu i ówdzie widać przy blasku księżycy ciemne postacie zdejmujące ze sznurów pranie. Autobus hamuje ze zgrzytem przed przystanią promu, zabiera kilku pijanych marynarzy, odjeżdża. Nastaje znowu cisza. Wiatr porusza bezszelestnie wahadłowe drzwi bufetu, w pochylni pluszcze woda, obok kasy zwinięta w trąbkę gazeta leży u stóp drzemiącego pasażera, który czeka na kolejny kurs. Od czasu do czasu na

jednej z pustych działek budowlanych bywają znajduwane zwłoki i jeżeli ofiara należy do rasy kaukaskiej policja z pałkami i latarkami elektrycznymi zaczyna pogrom, a złowrogie wycie syren samochodów budzi niepokój i poruszenie wśród Murzynów.

Tego wieczora było nie bardzo zimno, więc Peyton i Harry zajęli miejsca na ławce przed poczekalnią. Peyton piła z papierowego kubka whisky pół na pół z wodą. Na niebie świeciły gwiazdy i ogromny księżyc w pełni. Siedzieli tak od kwadransa, a w pobliżu znajdowała się tylko jedna stara kobieta z papugą w klatce do towarzystwa. Peyton i Harry rzadko odzywali się do siebie. Od czasu do czasu papuga skrzeczała ochryple i smutno: „Pewnie. Czemu nie!” Wtedy kobieta nachylała się, stukała kościstym palcem w pręty klatki i mówiła: „Cicho, Lora, bo cię zaraz zasłonię”. Peyton ponownie napełniła kubek.

Na przystań wjechał wolno samochód policyjny z syreną włączoną bez widocznego powodu. Zahamował naprzeciwko poczekalni. Starszawa, okrągła twarz i oczy przesłonięte okularami w drucianej oprawie zwróciły się nieznacznie ku czekającym na ławce. Oślepiający snop światła padł na Peyton i jej męża, jakkolwiek na przystani było zupełnie widno.

- Nie widzieli tu państwo wysokiego marynarza?
- Jak wysokiego? – zapytał Harry.

– Sześć stóp i trzy cale. Stosunkowo jasna cera. Wąsy. Blizna na nosie – wyrecytował policjant.

– Ostatnio nie było tu takiego. Co zrobił?

– Ogłuszył pałką starego białego mężczyznę. Zostawił go na środku Warwick Avenue. Myślałem, że ktoś go tu może widział.

– Skąd pan wie, że ogłuszył tego człowieka? – powiedział Harry.

– Mamy swoje sposoby.

– Jakie?

– Różne. Odciski palców. No i znaleźliśmy ślad buta. Ale... – policjant urwał, podejrzliwie spojrzał na młodą parę. – Co pan taki ciekawy? Nie pański interes.

Harry sięgnął po kubek Peyton. Pociągnął whisky.

– Jestem płatnikiem podatków – odparł. – Interesuje mnie wymiar sprawiedliwości i porządek publiczny.

– Pewnie. Czemu nie! – wrzasnęła papuga.

– Cicho, Lora! – Stara kobieta stuknęła palcem w klatkę.

Peyton napełniła znów kubek. Usta policjanta ułożyły się w surowy, iście purytański grymas.

– Czy pani pije whisky? – padło pytanie.

– Odpowiem, jak pan przestanie świecić mi w oczy – rzuciła szorstko, nie odwracając wzroku.

Latarka zgasła.

– Tak. To whisky – przyznała Peyton; uniosła nieco flaszkę i zaczęła czytać etykietkę. – „Old Overhold”, czysto żytnia whisky, setnej próby, butelkowana pod kontrolą urzędową, w naszej destylarni w...

– Zna pani chyba obowiązujące przepisy – przerwał policjant urzędowym tonem. – Ustawa Stanowa Wirginii numer pięćdziesiąt osiem zakazuje publicznego demonstrowania trunków wysokoprocentowych.

Peyton ziewnęła.

– Zawracanie głowy...

Policjant przeniósł wzrok na Harry'ego.

– Pańskie nazwisko? Poproszę o dowód i wojskową kartę rejestracyjną. Obawiam się, że będę zmuszony...

Peyton wstała żywo z ławki.

– On nazywa się Harry Miller – powiedziała.

– A pani?

– Także Miller. Z domu Peyton Loftis.

– Jak?

– Peyton Loftis.

– Córka pana Milтона Loftisa?

– Aha.

– Jak Boga kocham! – Policjant zdobył się na chłodny uśmiech. – Dopiero co wyszła pani za mąż. Wczoraj wieczorem przydzieliliśmy specjalnego człowieka, żeby pilnował domu pana Loftisa przed włamywaczami. I ładna pani, jak Boga kocham!

– Pewnie! – zaskrzeczała papuga.

– Cóż – podjął policjant – jedziemy dalej. – Życzliwie machnął ręką. – Serdeczne życzenia.

Samochód odjechał wolno i przy wyciu syreny zniknął za rogiem ulicy.

– No, w porządku – powiedziała Peyton siadając znów na ławce.

Harry wziął ją za rękę.

– Loftis. Wielkie nazwisko w tych stronach.

– Miło mi, że zmieniałam je na Miller – westchnęła.

– Mój Boże! Naprawdę się cieszę. Jeszcze lepiej byłoby Lipszyc.

– Wtedy nie nazywałabyś się Miller.

– Wiem... – Peyton oparła głowę o ramię męża.

– I życie nie byłoby nic warte.

– Daj spokój, kochanie. Nie jestem aż tak ważny.

– Jesteś. Najważniejszy. Nalej mi whisky – wyprostowała się nagle, poprawiła włosy. – Bodaj ich diabli! Bodaj ich wszyscy diabli wzięli.

Stara kobieta podskoczyła na ławce, wstała i pośpieszyła w kierunku poczekalni, mamrocąc po drodze do Lory coś o pijaństwie i nieparlamentarnym języku.

– Nie denerwuj się, skarbie – powiedział Harry.

– Właśnie, że będę! – wybuchnęła. – Niedenerwowanie się na śmierć mnie zmęczyło – spojrzała na swoje paznokcie. – Widzisz? Złamałam jeden, jak to zrobiłam. Patrz – wyprostowała palec wskazujący; paznokieć był ułamany do żywego mięsa, czerwony lakier odarty. – Głęboko zajechałam. A mogłabym jeszcze głębiej, gdybym miała więcej czasu. Mogłabym sięgnąć do kości...

– Co ty opowiadasz? – przerwał Harry. – Powinnaś zapomnieć o wszystkim, dać spokój takiej gadaninie. Na pewno poczujesz się lepiej, jeżeli zapomnisz...

– Nie chcę tego zapomnieć. Chcę zapamiętać na zawsze. Krew cieknie, napręża się skóra. Czułam, jak skóra napręża się pod paznokciami, a później pęka...

Harry wyprostował się, chwycił ją za rękę.

– Posłuchaj, Peyton – przerwał stanowczym tonem.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wiem, jak się teraz czujesz. Rozumiem wszystko. Ale jeżeli nie przestaniesz mówić i myśleć ciągle o tym samym, unieszczęśliwisz siebie, unieszczęśliwisz mnie, popsujesz całą podróż i...

Odwróciła się. Parsknęła gniewnie.

– Cicho bądź. Przemawiasz jak cnotliwy wujaszek.

Przez pewien czas siedzieli bez słowa, zmrozeni nagle, urażeni. W górze Mars wszedł na swoją orbitę, niby różowa kropla zawisnął nad pocziwym, otyłym księżycem. Kilka ciężarówek zajęchało przed dok – każda obwąchiwała jak pies tylne zderzaki poprzedniczki. Na wodzie, na tle światła Norfolk, zarysowała się sylwetka pykającego dostojnie promu. Harry spojrzął ku niebu.

– Ale mieliśmy wesele – bąknął.

Peyton milczała jeszcze. Jeszcze raz naląła sobie whisky.

– Nie przejmuj się – podjął – i daj lepiej spokój butelce. Cześć była wcale niezła. Mówię o samej ceremonii. Podobał mi się, kochanie, Carey Carr. I ten staruszek... jakże mu tam?... Houtson. Twój ojciec także.

– To skończony osioł.

– Nie, moja droga. Nie sądzę. Był zalany w dym i zupełnie zbity z tropu. Wyobraził sobie pewno, że lekceważysz go, odrącasz czy coś w tym sensie. Moim zdaniem, to nie osioł. Był tylko smutny i...

– Skończony osioł. Pięćdziesiąt lat grzązł w absolutnym pomieszaniu pojęć. Ze swojego życia zrobił potworny bałagan.

– Kochanie, nie bądź taka zgorzkniała.

– Zgorzkniała! – zawołała Peyton. – Powiadasz, żebym nie była zgorzkniała. A jaka mam być patrząc, dokąd zaprowadziło go takie życie? Jaka mam być? Nie rozumiesz, że on nie był nigdy zgubiony bez ratunku jak Helena. To właśnie najgorsze! Zrozum. Ona nie miała cienia nadziei chyba już w dniu, kiedy się urodziła. Ale tatuś... Nic podobnego. Posiadał w sobie dużo, bardzo dużo dobrego, tylko zmarnował wszystko. Nie potrafił stawić niczemu czoła, jak prawdziwy mężczyzna. Nie potrafił zdobyć się na męską decyzję. Rozumiesz? Nie śmiał posłać jej do stu diabłów. Albo ta druga, ta kretynka, w którą się ubrał. Z pewnością do niej wróci.

– Może to...

– Żadne „może”, Harry. To okropne! Rozumiesz? Nie myśl tylko, że gorszę się cnotliwie nim albo tamtą drugą. Na Boga! Ona jest znacznie lepsza od tej... tej szatanicy. Ale to okropne. Rozumiesz? I tak wszystko układa się fatalnie. Czy trzeba jeszcze, żeby on wrócił skruszony do tamtej idiotki? Tak mi go strasznie żal. Czy nie rozumiesz, na czym polega cała bieda?

– Tak...

– Nie! Nic nie rozumiesz. Na miłość boską, Harry, nie popisuj się Chrystusowymi cnotami. Nie próbuj oszczędzać moich uczuć. Przyznaj, że gardzisz nimi jak ja. Przyznaj! Nie wstydz się. Śmiało!

– Ależ ja wcale...

Gwałtownie odsunęła się od niego.

– Słowo daję, niemożliwy jesteś!

Harry był zupełnie bezradny. Z rozpaczą patrzył, jak Peyton upija się, wpada w pasję, przestaje myśleć rozsądnie. Nadpłynął prom. Wśliznął się do pochylni, zgrzytając żałośnie o pale. Nowożeńcy zebrali swoje bagaże, jakiemuś Murzynowi dali pięćdziesiąt centów za pomoc przy ich niesieniu. Nie zamieniwszy słowa weszli na górny kryty pokład, gdzie było bardzo widno, duszno i gorąco. Nie odzywając się nadal, usiedli na bambusowej ławce. Okna były zapotniałe od pary. Wkrótce zjawili się inni pasażerowie: małżeństwo w średnim wieku, dwaj zaspani żołnierze, piegowaty wyrostek w kombinezonie roboczym, stara kobieta z papugą. Klatka Lory była teraz okryta, a jej właścicielka przechodząc obok zerknęła z obrzydzeniem na Peyton i Harry'ego; później usadowiła się w najodleglejszym zakątku pokładu. Gdzieś huczała szafa grająca. W bufecie były bezalkoholowe napoje, parówki i pamiątki – popielniczki z napisem: „Wirginia, kolebka Narodu”. Stojący za ladą młody człowiek pracowicie dłubał w nosie. Miał bezdennie znudzoną minę właściwą ludziom, którzy nie robiąc kroku przebywają codziennie wiele mil. Harry poprosił o piwo imbirowe i młody człowiek wręczył mu butelkę.

– Ciepłe – powiedział Harry.

– Nie ma innego.

– Ale to jest ciepłe.

– Można wziąć albo nie wziąć.

– Posłuchaj, skarbie – zwrócił się Harry do żony – dolej trochę do whisky. Albo wiesz co? – dodał po krótkim namyśle. – Lepiej zaczekaj, aż wsiądziemy do pociągu. Mamy jeszcze przed sobą dwie godziny.

Spojrzała na niego zaczerwienionymi, zmęczonymi oczyma.

– Dobrze – zgodziła się. – Tylko to dopiję.

Usiadł obok niej, a Peyton oparła głowę o jego ramię.

– Kochanie – szepnął i objął ją w pół, ale nic nie odpowiedziała.

Pod pokładem zagrał silnik. Statek opuścił pochylnię, minął mały półwysep, na którym sylwetki zbiorników gazu rysowały się czernią wśród mroku, minął boję mrugającą czerwonym okiem i wypłynął na wody zatoki. Z szafy grającej dobywało się tango *Frenesi*. Po przeciwnej stronie pokładu jeden z żołnierzy wyciągnął się na ławce i zaraz zasnął.

– Harry, dokąd odszedłeś? – zapytała po chwili Peyton.

– Dokąd odszedłem? Kiedy?

– Jak ona przyszła i zabrała mnie na górę. Dlaczego cię nie było wtedy?

– Rozmawiałem z twoim ojcem.

– Nie tylko z nim. Kiedy wchodziłam na piętro, widziałam cię z kimś innym. Z jakąś dziewczyną. Chyba Polly Pearson.

– Przyjemna mała – powiedział Harry. – Wyraża się o tobie z wielkim uznaniem i...

Peyton odsunęła się gwałtownie, chwyciła męża za rękę.

– Nie o to chodzi! Ach, Harry! Czy ty nic nie rozumiesz? Właśnie wtedy byłeś mi potrzebny. Gdybyś stał obok, może wszystko rozegrałoby się inaczej. Przecież ty mógłbyś coś zrobić. Ale musiało cię zabraknąć. Nie miałam cię przy sobie, jak zawsze. Jak zawsze, kiedy jesteś mi potrzebny. Dlaczego nie przyszedłeś na ratunek? Dlaczego? Czy nie widziałeś...

– Spokojnie, skarbie, spokojnie – przerwał pojednawczym tonem. – Zechciej mnie wysłuchać cierpliwie. Nie rób piekła bez powodu. Możesz wierzyć, kochanie, że jestem po twojej stronie. Naprawdę! Nie rób piekła bez powodu. Przecież to nasz miodowy miesiąc, prawda? Gdybym wiedział, co się święci, może wszystko rozegrałoby się inaczej. Ale nic nie wiedziałem, nie podejrzewałem nawet...

Peyton wyrwała mu flaszkę z ręki, naląła sobie whisky, z furią wypila do dna. Później spojrzała na niego złymi, rozgorzałymi nagle oczami. Wcale nie była ładna. Harry z dawną, dobrze znajomą rozpaczą przygotowywał się do awantury. Myślał gorzko: „A ja? Czy zupełnie się nie liczę? Czy to wesele było dla mnie piknikiem?” Od miesiący nie widział Peyton w takim nastroju. Łudził się nawet, że jako tako ją poskromił. Nic podobnego! Oto znów, jak podczas dawnych spotkań w Village, wyładowuje na nim wszystkie własne troski, chociaż właściwie nic nie zrobił.

– Nigdy nie możesz zapomnieć o dziwkach? Zmiłuj się, Harry! Nawet w dniu własnego wesela! Nawet wtedy, kiedy się dzieje tyle innych rzeczy! Byłeś mi potrzebny. Rozumiesz? Czy wyobrażasz sobie, że można odejść tak ode mnie, zaniedbać mnie, zapomnieć? Już dawniej tak robiłeś i będziesz robił zawsze. Wiem o tym. I wiem, że będzie nam bardzo źle, jeżeli się nie opanujesz.

– Peyton, nie opowiadaj bredni.

– To nie brednie. To prawda. Zawsze, zawsze tak było, kiedy cię potrzebowałam...

Harry nie słyszał więcej. Odciął się od głosu żony raptownie, całkowicie, jak gdyby przekręcił wyłącznik. Inaczej nie mógł postąpić, bo wiedział, że wbrew jej twierdzeniu nie będzie w przemowie Peyton ani słowa prawdy, lecz tego braku logiki nie pokonają zdania typu: „Nie opowiadaj bredni”. Był smutny i zawiedziony, gdyż łudził się również, że odzwyczaił Peyton od podobnie szalonej, nieobliczalnej gadaniny. Zajął myśli mniej drażliwymi sprawami. Myślał o Florydzie, patrzył, jak kobieta z papugą kiwa się, zapada w drzemkę i nagle budzi się z przestachem. Gdzieś w górze syrena ryknęła głośno, żałośnie. Spokój Harry'ego ułagodził widocznie Peyton, która mówiła teraz bardziej opanowanym tonem:

– Mam skromne wymagania. Chcę tylko, żebyś dbał o mnie. W gruncie rzeczy nie jestem awanturką ani jędzą.

Bardzo mi przykro, kochanie, że tak ci nagadałam. Wysłałam za ciebie, bo jesteś mi potrzebny.

Harry spojrzał jej w oczy.

– Potrzebny?

– To jest... chciałam...

– Potrzebny? – powtórzył.

– Ja...

– Potrzebny? Czy tak, kochanie?

Peyton nic nie odpowiedziała.

– Ach, kochanie... kochanie... – szepnęła smutno ujmując ją za ramiona.

Wybuchnęła płaczem, a on pozwolił jej przez czas pewien szlochać na swojej piersi. Kobieta w średnim wieku zerknęła ciekawie na Peyton, a kiedy Harry posłał jej posępne spojrzenie, zaczęła poprawiać woalkę. Piegowaty wyrostek zainteresował się również dziwną sceną, ale zmieszał się po chwili, odwrócił wzrok i nadgryzł baton czekoladowy. Niebawem Peyton przestała płakać, otarła oczy.

– Przepraszam – szepnęła.

– Nie ma za co, kochanie. Już wszystko dobrze. A w pociągu poczujesz się jeszcze lepiej – powiedział łagodnie Harry.

– Tak.

– Na miłość boską, Peyton, musimy się trochę rozpogodzić.

– Naturalnie – uśmiechnęła się i mocno ścisnęła rękę męża.

Później, po długich namowach Harry'ego, tańczyli trochę w miejscu niewidocznym dla reszty pasażerów. Był to jak gdyby korytarzyk w pobliżu szafy grającej, za ladą, przy której wydawano obiady. Pamiątkowe proporczyki wisiały tam jaskrawym rzędem, a para z ekspresu do kawy zwilżała włosy Peyton. Korytarzyk był ciemny i zagracony. Od czasu do czasu potykali się o zwój parcianego węża i tracili trochę równowagę. W takich przypadkach Harry pochylał się, aby całować Peyton i bezwstydnie, miłośniczo wodzić dłonią w dół i w górę po jej udach. Peyton śmiała się cicho. Kiedy oddawała pocałunek rozchyłonymi ustami, blask światła połyskiwał na jej pięknych, białych zębach. Raz ugryzła go w ucho, a gdy to zabolalo, Harry uszczypnął ją w pośladek. Melodia boogie-woogie obfitowała w drżące tony fortepianu i pomruk basów. Tę samą płytę przegrano dwukrotnie. Stary Murzyn, żebrak w futrzanej czapce i z poczerniałymi dziąsłami, przywłókł się z pokładu dla kolorowych, aby gapić się na tańczących, klaskać do taktu w kościste ręce, prosić o pięć centów. Harry był szczęśliwy, więc dał mu wszystkie drobne – coś około dolara – i otrzymał w zamian błogosławieństwa w imię Chrystusa Pana. Peyton pokrzepiła się znów whisky i tańczyli dalej, tym razem *Frenesi*. Porykiwanie puzonów niosło ich korytarzykiem lekko, niby wiatr wirujące piórka. Na płyciźnie statek zadrżał pod ich nogami, lecz Harry uprzytomnił sobie to zjawisko mniej wyraźnie niż zachowanie Peyton, która zwiotczała mu w

objęciach, zgubiła takt, skłoniła głowę na jego ramię.

– Co się stało, skarbie? – uważnie spojrzał na Peyton, a ona zwróciła twarz ku niemu. Płakała bezgłośnie, rozpaczliwie, usta jej wykrzywiało bolesny grymas.

– Kochanie... – zaczął Harry.

Pokiwała tylko głową, więc posadził ją na skrzyni pełnej pasów ratunkowych.

– Kochanie – powtórzył gładząc delikatnie jej policzek.

– Nigdy nic się nie nauczyli – zaszlochała. – Absolutnie nic!

Wkrótce uspokoił ją raz jeszcze. Siedziała na skrzyni blada, rozdygotana. Mówiła, że jej trochę słabo. Harry musiał pójść do toalety. Odchodząc pogłaskał ją po ramieniu. Kiedy wrócił, nie zastał Peyton na dawnym miejscu.

Zaczął jej szukać coraz bardziej niespokojnie. Zwrócił się do małżeństwa w średnim wieku, zapytał, czy nie widzieli, dokąd poszła. Nie potrafili nic powiedzieć. Tak samo śpiący żołnierz, który spojrzał na Harry'ego jednym okiem i czknął głośno. Bufetowy odburknął, że wyszła na pokład. Harry starał się pokonać strach; raz po raz powtarzał sobie, że to tylko zdenerwowanie. Przy końcu korytarzyka gwałtownie popchnął drzwi i napotkał lodowatą, słono pachnącą bryzę.

– Peyton! – zaczął nawoływać. – Peyton! Peyton! Pokład był pusty. Biegając w stronę dziobu Harry nabił sobie sińca o rusztowanie łodzi ratunkowej. Coraz bardziej przerażony wrócił na rufę wzdłuż przeciwnej burty i tam odnalazł Peyton. Stała cicho oparta o reling. Objął ją w pół, przytulił mocno.

– Serce ci tak bije – powiedziała spokojnie.

– Aha.

– Co się stało?

– Nic.

Peyton milczała przez chwilę. Później pochyliła się do przodu, łokcie wsparła na relingu, splunęła za burtę.

– Damy nie powinny płuć – powiedziała.

– Masz rację.

– Spójrz na wodę – podjęła. – Jaka ciemna i piękna. Ciekawa jestem, czy bardzo zimna.

– Dałabyś lepiej spokój...

– Czemu?

– Mniejsza o to.

Peyton wydawała się teraz znacznie spokojniejsza.

– Spójrz tam – wyciągnęła rękę. – Tam jest dom. Harry zwrócił wzrok we wskazanym kierunku. Z promu widzieli – albo wyobrażali sobie, że widzą – na wytyczonym łańcuchem świateł, odległym brzegu zatoki dom stojący jak wszystkie inne pośród dębów, wierzb, mimozy. Lampy uliczne, przesłaniane rozchwianymi na wietrze drzewami, mrugały niby gwiazdy. Harry potarł siniec na ramieniu. Później nachylił się i obdarzył pocałunkiem przygnębioną, chorą z pijaństwa żonę. Był przekonany, że kocha ją miłością, na jaką nigdy dotąd nie potrafił się zdobyć żaden mężczyzna.

– Który to dom? – zapytał. – Nie mogę poznać.

– Ale ja mogę – odpowiedziała. – Nie wszystkie są do siebie podobne.

Na zachód od cmentarza ogromne chmury powlekały niebo; atakowały ziemię długimi cieniami, a drzewa podmuchami wiatru. O kilka mil dalej padał deszcz; głucho grzmoty przetaczały się nad polami kukurydzy i szosami. Widać też było błyskawice – odległe, ale już złowrogie – jasne smugi przeszywające niekiedy nawałnicę. Dolly zdawała sobie sprawę ze stanu pogody i z lodowatego deszczu, który odczuła nagle. Szczelniej otuliła ramiona płaszczem nieprzemakalnym. Wiedziała również, że siedzi sama w limuzynie, zaparkowanej przed kaplicą z cegieł barwy wysuszonej krwi. Dokoła stały nagrobki. Ohydny anioł trzymający wieniec nad nazwiskiem McCorkle spoglądał tępo na Dolly owalnymi oczami z alabastru. Przy innym grobie wiązanka uschłych róż zatknięta w drucianą podstawę zachwiała się od wiatru i z szelestem upadła na ścieżkę. Dolly wzdrygnęła się nerwowo, wytarła nos w suchy płatek ligniny Kleenex i zaczęła znów płakać. Nikt nie potrafi zgłębić jej niedoli. Jak on mógł postąpić tak okrutnie, brutalnie. Wszystko stało się szybko i nagle. „Ty zostaniesz tutaj”. Nic więcej nie powiedział.

Nowy grzmot zakończył się potężnym trzaskiem, jak gdyby ktoś gwałtownie rozdarł powietrze. Dolly podskoczyła znowu, z przerażeniem spojrzała w tylne okno. Burza zbliżała się nad polami kukurydzy niosąc przed sobą tumany kurzu i rozmaite śmiecie. Eskadra wron miotanych wiatrem starała się utrzymać kierunek. Ptaki lawirowały rozpaczliwie, wymachiwały skrzydłami, jak wiatraki, krakały posępnie. Na podwórzu pobliskiej farmy dwie krowy galopowały niezdarnie szukając schronienia. Na ścieżkę upadł z łoskotem drugi wieniec. Dolly zasłoniła twarz ręką. Między szlochami z trudnością chwytając powietrze. Omackiem poszukała klamki; chciała podnieść szybę, ale mechanizm nie działał. Odsunęła się w kąt – jak najdalej od burzy. Że też on okazał się takim potworem! Spojrzała na drzwi kaplicy, za którymi dwadzieścia minut temu – przed wiekami, jak jej się wydawało – zniknęło wszystko. Nic nie mogła zobaczyć. Nie słyszała muzyki. Nie odzywały się organy... Nie, nie! Czy nigdy już nie wyjdą? Trumna Peyton, Milton, Helena wyglądająca jak widmo, tłusty kaznodzieja, pan Casper, jego głupi pomocnik, stara Murzynka – wszyscy przepadli tam, a ją zostawili samą. Dolly zdobyła się na wysiłek wyobraźni. Pomyślała: „To tak, jak gdyby zniknęli za bramami piekieł”. Kamieniała ze strachu, robiło jej się słabo, lecz mętnie, podświadomie dodawała sobie ducha myślą, że tylko ona zachowała zdrowe zmysły. Helena oszalała, oszalał tłusty

kaznodzieja... A Milton? Jak wytłumaczyć inaczej jego zachowanie. „Ty zostaniesz tutaj”. Powiedział to dobitnie, z pasją, jak gdyby jej obecność mogła sprofanować świątynię.

Nagle odniosła wrażenie, że ciemne zasłony spowijają jej serce. Zaczęła ją dręczyć jedna jedyna obawa, coraz większa, czarniejsza od nadciągającej burzy. Nie lękała się, że Helena odzyska Milтона – coś mówiło jej, że taki finał nie wchodzi w rachubę – lecz że Milton nie wróci tego dnia do limuzyny, do niej. Była to groza ograniczona w czasie, niemniej jednak straszliwa. Dolly wiedziała albo łudziła się, że wie, o potężnym, tragicznym kryzysie, jaki przeżywa Milton. Tylko temu przypisać należy jego nieobliczalne postępy, przykre słowa, pozorną niechęć. Rzecz zrozumiała. Śmierć Peyton i inne sprawy zupełnie wytrąciły z równowagi kochanego biedaczka. Nie miała wątpliwości, że gdy to wszystko minie, Milton wróci do niej skruszony, przeprosi za dzisiejsze wybryki, za beznadziejne oczekiwanie w samochodzie. Znała przecież jego humory nie gorzej niż własne. Ale jest zrozpaczony, szalony czy coś w podobnym sensie, może więc nie wrócić dziś do wozu. Może poniżyć ją wobec wszystkich, skazać na powrót z tym kretynem przedsiębiorcą pogrzebowym i zwariowaną Murzynką. Strach, że coś podobnego nastąpi, paraliżował Dolly. Ale nie! Tego jej przecież nie zrobi.

Płakała cicho, nasłuchując zawodzenia wiatru. Na dach limuzyny spadło kilka kropel deszczu. Jedna wielka, miękka, ciepła uderzyła ją w policzek, więc Dolly przesunęła się na środek siedzenia. Tak im było ostatnio dobrze: ona coraz śmieiej pokazywała się w klubie, poznawała lepsze towarzystwo; jego rozwód miał nabrać mocy prawnej dwudziestego pierwszego października. A teraz... Ale nie! On jej nie porzuci! Nie miałby wtedy nikogo: Heleny, Peyton, małej Maudie ani „Dolki-pieszczotki”. Tak ją nazywał, kiedy nocą leżeli w jego pokoju w klubie: do cna wyczerpani nie spali, patrzyli na bluszcz drżący na tle księżycowej poświaty, a ona pieszczotliwie wsunęła palec w jego pępek. Prawie dwa lata upajające, wolne od tej przeklętej suki! A teraz znowu... Co ona robi, jeżeli Milton jeszcze raz ją opuści? Bała się o tym myśleć. Nie potrafiłaby już przesiadywać samotnie w swoim mieszkaniu i słuchać radia – jak w trakcie długich miesięcy pojednania między Loftisem a Heleną. Dosyć miała przeróżnych zespołów wcale jej niepotrzebnych, ledwie słuchanych, śpiewających z wielkim przekonaniem. Dosyć miała wieczorów wypełnionych łzami bezsilnej wściekłości, trzykrotnie przewertowanymi czasopismami, rozrzuconymi wokół, zapomnianymi pudełkami po czekoladkach. Dosyć miała tortur serca i nieśmiałych wypraw do banku albo do swojego adwokata po zmniejszające się skandalicznie alimentacyjne czeki Pookie'ego; odwracała wtedy twarz od

spojrzeń ludzi, którzy mogli zwrócić na nią uwagę, mogli powiedzieć: „Biedulka. Milton zostawił ją na lodzie”. Musiałaby wyjechać z Norfolk, Richmond, może wrócić do Emporii; siadywać tam przy łóżku matki, obserwować niszczycielskie postępy sklerozy multipleks, patrzeć na męczeńskie grymasy twarzy chorej, słuchać jej jęków, zmieniać bieliznę pościelową, kiedy zawiedzie zwieracz. Smutny to kraj – zniszczony, przytłaczający, nudny. Musiałaby przesiadywać w bawialni, patrzeć na łany orzecha o owocach przypominających wielkie palce nogi... Nie tylko orzech i czerwona ziemia, a w grudniu obrzydliwa, przesiąknięta deszczem bawełna, wyglądająca tak, jak gdyby już ją zużyto.

Zagrzmiało, Dolly podniosła wzrok znad płątka ligniny Kleenex i zobaczyła dziwny widok. W drzwiach kaplicy stała Helena z włosami rozwiewanymi wiatrem – chłodna, wyprostowana; rękę opierała lekko na ramieniu Careya. Po jej drugiej stronie Loftis mówił coś, czego Dolly oczywiście nie słyszała. Oczy miał pełne niesamowitej grozy, pełne błagania– jak przez cały czas od rana. Później serce Dolly zamarło tak, jak chyba nigdy dotąd, bo Helena spojrzała na Milтона i z uśmiechem rzuciła jedno słowo. Więcej nie widziała, bo Carey Carr zasłonił Loftisów i przeżegnał się bez zrozumiałego powodu.

Grzmot zahuczał znów, przetoczył się bliżej. Deszcz zaczął padać na dobre.

Nowojorski cmentarz dla ubogich zajmuje wysepkę w zatoce Sound, o ćwierć mili na wschód od Bronx, a więc jeszcze w granicach miasta. Nazywa się ona Wyspą Jelenia, na pamiątkę rogakza, który u schyłku angielskiego okresu kolonialnego podobno przepłynął tam z łądu stałego i zamieszkał wśród krzaczastych dębów i kęp łożyny. Według legendy jeleni został później zastrzelony przez osadnika nazwiskiem Thwaite, który przeprowił się na wyspę uzbrojony w wielką strzelbę i potężny apetyt na comber. Tenże osadnik – człowiek nadnaturalnej skromności – ochrzcił wysepkę imieniem Jelenia zamiast Thwaite'a, a następnie żył dostatnio wożąc tam wycieczkowiczów. W owe lata były tam piaszczyste plaże, piękne gaiki, kępy zarośli, jednym słowem, wysepka stanowiła idealne miejsce wypoczynku, jeżeli żyło się w osiemnastym wieku.

Jednakże wraz z rozrostem miasta wynikła potrzeba znalezienia nowego obszerniejszego cmentarza dla zwłok bez bliskich lub bez nazwiska. Do połowy ubiegłego stulecia, kiedy Czterdziesta Druga ulica znajdowała się na przedmieściu, a owce spokojnie skubały trawę wokół ronda Kolumba, zadanie spełniał cmentarz ubogich położony na części dzisiejszego placu Waszyngtona. W wielkich miastach zmarli niedługo pozostają zmarłymi albo raczej umierają powtórnie. Tak czy inaczej, usunięto tabliczki nad mogiłami, na teren zwieziono nową ziemię, urządzono chodniki. Śpiący tam snem wiecznym zostali po raz drugi zapomniani. Uprzednio, chociaż przeważnie nie posiadali nazwisk, mieli przynajmniej słoneczny kawałek ziemi. Obecnie nic o nich nie przypomina i niańki odbywające spacery wzdłuż McDougal Street, zajęte jedynie ptakami, chłopcami i blaskiem mglistego kwietniowego słońca, nie mogą nawet wiedzieć o tych, co spoczywając pod asfaltem oczekują zmartwychwstania, gdy łoskot pociągów kolei podziemnej wstrząsa ich kośćmi.

Pierwszą osobą pogrzebaną na nowym wyspiarskim cmentarzu ubogich była sierota, Luiza van Slyke, która umarła w przytułku dla biednych dzieci w roku 1869. Miała licznych następców. Na Wyspie Jelenia pochowano dotychczas pół miliona zmarłych. Wielu z nich nie posiadało nazwisk, wszyscy zostali zapomniani.

Sama wysepka jest ponura i nieciekawa. Podobne miejsca służące rozmaitego rodzaju przykrym, ale nieuniknionym potrzebom władz municypalnych znajdują się w pobliżu wszystkich wielkich miast świata: wysepki na Tamizie, Dunaju, Sekwanie i na żółtawych wodach Tybru. Wyspa Jelenia – może dlatego, że jest amerykańska – wydaje się bardziej posępna, niż nakazuje konieczność. Nie rośnie tam ani źdźbło trawy – jedynie chwasty. Na południowym cyplu znajduje się zakład oczyszczania ścieków. Północną część zajmuje miejski dom poprawczy – masyw szerniałej od sadzy cegły i żelaznych prętów – gdzie odbywają „rehabilitację” wykolejeńcy, alkoholicy i co ubożsi narkomani. Mchy i plamy szarozielonych porostów okrywają mury; w cieniu bezdrzewnych dziedzińców, na parapetach pod zakratowanymi oknami, kwitną piołuny i obrzydliwe mlecze. Jeszcze dalej na północ leży cmentarz ubogich oddzielony od więzienia ćwierćmilową wyżyną pełną kurzu i zielska. Dawno zniknęły zielone wąwozy i malownicze kępy łożyny. Nikt nie pamięta o wycieczkowiczach ani zastrzelonym jeleniu. Jeżeli stanąć na pagórku, pod prawie uschłym, zniekształconym przez wiatry cedrem – jedynym drzewem wyspy – doskonale widać cały teren, na którym zakład oczyszczania ścieków, więzienie i cmentarz przypominają, każde na swój sposób, o niszczeniu i rozkładzie.

Wieżowce Manhattanu rysują się w oddali bladoniebieskimi sylwetkami, a w letnie dnie białe żagle jachtów zmierzających ku City Island kreślą na tle wody desenie nie mniej piękne niż latawce puszczane na błękitne marcowe niebo. Na cmentarzu brzydkie chwasty rosnące gęsto brunatnymi kępami sąsiadują z opatrzonymi w numery betonowymi tablicami. Nie ma tam pomników nagrobnych. Cały teren przecinają zardzewiałe druty kolczaste, które nie służą żadnemu celowi i nikogo nie mogą zatrzymać, bo bardzo rzadko odwiedza ktoś cmentarz ubogich. Jest to miejsce posępne, obfitujące w szczury i pająki, a że leży wysoko nad wodą, ustawicznie smagają je gwałtowne zmienne wiatry.

Do przewozu zwłok z kostnicy służył niegdyś holownik czarno pomalowany i z flagą opuszczoną do połowy masztu. W każdy czwartek pojawiał się na Wschodniej Rzece, a na jego widok kapitanowie barek i marynarze odkrywali głowy, robili znak krzyża, mamrotali pacierze. Dzisiaj zadanie spełnia ciężarówka, więc zmarli są pozbawieni ostatniego błogosławieństwa, bo któż składałby pokłon ciężarówce, równie zielonej i pospolitej jak każda inna? Trumny z nie heblowanych sosnowych desek – dwadzieścia pięć do trzydziestu tygodniowo – układa się w zbiorowych grobach, po cztery jedna nad drugą. Nikt nie odprawia modłów. Funkcję grabarzy pełnią więźniowie, którym za jeden dzień pracy na cmentarzu ubogich skraca się termin kary również o jeden dzień. Trzeba radzić sobie z natłokiem dawniejszych zwłok spoczywających od lat dwudziestu. Obróciły się przecież w proch i kości, a że zajmują cenne miejsce, muszą być usunięte. Unicestwia się je trzy razy, w przeciwieństwie do dwukrotnie zmarłych leżących pod placem Waszyngtona. Więźniowie nie pozwalają im spoczywać: dobywają z ziemi żalostne szczątki – butwiejące kręgi i czaszki – wrzucają do mniejszych dołów, gdzie zwłokom starcza przestrzeń dziesięciokrotnie mniejsza niż przed dwudziestoma laty. Świeże trumny – ustawione porządnie, opatrzone etykietami, ponumerowane – mogą leżeć spokojnie w przydzielonych im grobach przez następne dwa dziesięciolecia.

Sprawa załatwiona. Więźniowie ładują szpadle i kilofy do policyjnego furgonu, sami zajmują tam miejsca, odjeżdżają. Na przylądku, tuż nad morzem, płoną stare trumny, które też trzeba zniszczyć. Tworzą piękny, samotny stos, bo są wysoko spiętrzone, a przepróchniałe drewno pali się jasno. Powietrze wokół czuć zgnilizną, ale jest to zgnilizna dojrzała i zdrowa, jak zapach zwiędłych liści. W płomieniach rozkład ulega rozkładowi. Ogień pełza po odłamkach desek, zbliża się do resztki całunu, a pukiel włosów niemowlęcia, przechowany przez tyle lat, jak w medalionie, zwija się i rozsypuje w pył od gorąca. Pomniejsze kości, które grabarze przegapili, poniewierają się wśród bujnych chwastów. Gdzieniedzie szczur wychyla łepkę z nory, węszy podejrzliwie i wycofuje się pod ziemię. Popołudnie dobiega kresu, nadchodzi wieczór. Sinawy odór spalenizny ulatuje wzwyż, lecz porwany bryzą spływa znów między groby, girlandą spowija pomnik. Jest to pomnik również zapomniany. Tajemnicą pozostało, kto postawił go i kiedy, bez wątpienia jednak stanowi jedyne epitafium na cmentarzu ubogich. Jest mały, zniszczony, prawie zarosły chwastami, ale mimo ataków niezliczonych sztormów, oczy Chrystusa płoną najczystszy ogniem. Na cokole widnieje napis przesłonięty tarniną i błękitną smugą dymu cuchnącego rozkładem:

„Jam jest imieniem twoim”.

Zapada zmrok. Spowija groby, nieszczęsny cedr i bezimiennych zmarłych. Światła migocą wzdłuż Soundu. Szczury zaczynają buszować pośród mogił i zielska. Dymy snują się jeszcze – czystsze, bardziej niewinne nocą – i wraz z ostatnim prochem bezimiennych lub zapomnianych wznoszą się coraz wyżej i wyżej, ku gwiazdom.

Trudno winić policję. Kiedy przyjechali po zwłoki, Peyton nie miała nic na sobie. Oczywiście poszli na dwunaste piętro, rozejrzeli się i znaleźli ubranie, lecz nie odkryli ani jednego świstka świadczącego o tożsamości. Kiedy Harry zgłosił się do odpowiedniego wydziału komendy policji, jegomość o wyglądzie starej panny powiedział, że inaczej nie można było postąpić. Zastosowano zwykłą w takich przypadkach procedurę. Zaleca ona czekać przez czas określony, by umożliwić rozpoznanie, a następnie wyprawić „jednostkę” (jak wyraził się urzędnik) w cuchnącą formaliną drogę na Wyspę Jelenia.

– Nikt się nie zgłosił, by rozpoznać daną jednostkę. O to właśnie chodzi. Jest pan pewien, że fotografia zwłok przedstawia pańską żonę? W porządku. Po podpisaniu formularza będzie pan mógł porozumieć się z zakładem pogrzebowym i, naturalnie na koszt własny, ekshumować ciało.

Przez cały czas Harry wyczuwał dezaprobatę urzędnika, który zapewne uważał go za jednego więcej obojętnego krewnego, ale nie zważał na to, gdyż przytłaczała go rozpacz.

Na cmentarz ubogich pojechał karawanem z przedsiębiorcą pogrzebowym i swoim przyjacielem, który miał na imię Lennie.

Wiosną 1937 roku Harry wyłowił Lennie'ego z wód Ebro. Stało się to podczas bitwy i Lennie był półtopielcem. Harry położył go pod gruszą i pracował ciężko przez pół godziny, nim Lennie zaczął jęczeć i odżył z krwawą pianą na ustach. Nie znali się uprzednio. Dopiero później odkryli, że obydwoj przyszedli na świat przy Caton Avenue w Brooklynie i obydwoj bywali w Erasmus Hall. Ratunek nie miał w sobie nic heroicznego: wybuch pocisku moździerza wrzucił Lennie'ego do wody, a szczęśliwy traf zrządził, że Harry znajdował się w pobliżu. Należeli do innych batalionów, lecz po wspomnianym wydarzeniu widywali się najczęściej, jak mogli – nie tyle z jego racji, ile dlatego, że wzajemnie przypadli sobie do gustu. Po zwolnieniu z wojska żołnierz zapomina zazwyczaj nazwiska kolegów równie szybko, jak wiadomości, że karabin wzór M.1 ma kaliber 30, działa za pomocą odrzutu, jest półautomatyczny itd. Ale Harry i Lennie razem rozstali się z brygadą, następnie ukończyli jednocześnie ten sam wydział na uniwersytecie nowojorskim. Harry był spokojny, wołał zawsze usuwać się na dalszy plan. Natomiast Lennie miał bujną marchwianorudą czuprynę, gwałtowny temperament i zmienne nastroje. Jednakże w przerwach między wybuchami był wesoły, dowcipny i życzliwy ludziom. Stanowili szczęśliwie dobraną, sympatyczną parę. Harry oceniał należycie bystry umysł przyjaciela, jego cierpki humor i naprawdę niepośledni talent jako ilustratora. Lennie

był inwalidą: ciężka rana szrapnelowa w ramię prawie go pozbawiła władzy w lewej ręce. Z tej racji zgorzkniał trochę, stał się cyniczny, lecz najczęściej liczył, że spokojny, zdrowy rozsądek Harry'ego wskazuje mu właściwą drogę.

Przez pewien czas mieszkali razem przy Cornelia Street w Village i radzili sobie doskonale. Harry był asystentem na uniwersytecie, a Lennie zaczynał otrzymywać korzystne zamówienia od rozmaitych czasopism. Kiedy wybuchła druga wojna światowa, obydwaj dostali kategorię F4, ponieważ Harry miał jakieś plamy na płucach. Nie zmartwiło ich to ani upokorzyło. Stało się, poszło w niepamięć, jak mówił Lennie. Później Lennie ożenił się z uroczą dziewczyną o jasnych oczach, Laurą Abrams, więc Harry znalazł mieszkanie we wschodnim rejonie York Avenue. I tak potrzebował więcej miejsca, bo – według określenia Lennie'ego – jego płótna stawały się nieznośnie heroiczne. We troje z Laurą miło spędzali czas w trakcie pierwszego wojennego roku.

Później Harry spotkał Peyton. Poznali się wiosną 1943 roku, na przyjęciu w domu Alberta Bergera. Albert liczył dwadzieścia sześć lub dwadzieścia siedem lat, miał chore oczy i żył z rocznej renty pozostawionej mu w spadku przez bogatą ciotkę. Mieszkał w apartamencie przy Washington Mews w towarzystwie doga i znakomitej kolekcji płyt gramofonowych. Był chudy i bardzo blady. Nosił okulary bez oprawy i troskliwie wyplamione tweedy. Miał w sobie coś – może styl ubierania się lub wyraz skłonnych do lekkiego zeza, zawsze zażawionych oczu – co nadawało mu wygląd czterdziestoletniego osobnika płci nieokreślonej. Cechowała go nieograniczona hojność i rozrzutne szafowanie whisky, ale był wyniosły, zarozumiały i mimo pozorów intelektualisty hołdował mętnie sformułowanym dogmatom. W gruncie rzeczy nie należał do ludzi szczególnie interesujących. Nie robił nic z wyjątkiem urządzania przyjęć w każdy sobotni wieczór. Apartamenty jego zapełniali wtedy Hindusi, antropologowie i szlifibruki różnego rodzaju, którzy rozprawiali z zapalem o Szeliszewie, Leninie i psychoanalizie Reicha. Ale bywali tam wszyscy. Harry nie pamiętał, jak i gdzie poznał Alberta, lecz lubił kilka osób, które spotykał u niego, i właśnie przy Washington Mews zakochał się w Peyton. Była pijana, napastliwa, arogancka. Wcale mu się nie podobała, nigdy jednak nie widział tak pięknej dziewczyny, więc niepodobanie bynajmniej nie utrudniło zakochania. Krótko

przed świtem zostali tylko we troje: Peyton, Harry i Albert, który z opuszczonymi powiekami i aureolą łez na rzęsach dowodził, że pewna nowa powieść wojenna nieporównanie przewyższa *Wojnę i pokój*. Peyton ziewnęła. Później, bez zrozumiałej przyczyny, zaczęła płakać, złożyła głowę na kolanach Harry'ego. O szarobłękitnym brzasku odprowadził ją do domu – kawalerki w okolicy placu Sheridana. Tulila się do niego, ziejąc zapachem whisky; namiętnie, rozpaczliwie całowała go w usta, Harry miał ochotę wejść do mieszkania Peyton, ale nie pozwolił sobie na to.

Następnego dnia, w niedzielę, chciał dowiedzieć się, dlaczego tak płakała. Był dociekliwy i szczery, lecz delikatny. Zapytał, co jej dolega? Odpowiedziała, że nie wie. Odbyli przechadzkę wzdłuż Ósmej ulicy, gdzie nie brakowało na chodniku słońca, oraz spacerowiczów z wózkami dziecinnymi i pudłami. Nie było tam natomiast męskich prostytutek, które z okien barów posyłały wygłodniałe spojrzenia omdlewających oczu. Pogoda była piękna, ale Peyton cierpiała z powodu kaca. Powiedziała nawet, że ma wrażenie, jak gdyby szła po dnie morskim, otoczona zewsząd przez wodę. Z niewiadomej przyczyny Harry dobrze zapamiętał to zdanie.

Na placu Waszyngtona usiedli na ławce i rzucali gołębiami orzechy. Peyton ożywiła się wkrótce, a Harry stwierdził z pewnym zdziwieniem, że ściska jej rękę. Dyskutowali, kto był większy – Cézanne czy Goya, van Gogh czy Paul Klee – spierali się trochę, ale bez zawziętości. Wreszcie Peyton orzekła, że podobne rozważania są bez sensu, bo głupio przecież „żyć porównaniami”, a Harry przypomniał sobie jej zachowanie z poprzedniej nocy i zdziwił się nieco, że jest taka rozsądna i umiarkowana. W zupełności przyznał jej rację. Następnie powiedziała, że przerwała studia, i dorzuciła lekceważące zdanie o „szkole tańców tam w Wirginii”, nie wyjaśniła jednak przyczyn tego kroku. Była wylewna, zarazem jednak zamknięta w sobie i Harry miał wrażenie, że pewnych jej spraw niepodobna przeniknąć. Poskarżyła się na ból głowy i wspomniała znowu, że dzień jest jak gdyby wypełniony wodą.

– A może to ja tonę? – dodała z czarującym ziewnięciem i skłoniła głowę na ramię Harry'ego. – Czytałeś kiedy *Kubusia Puchatka*?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo nadszedł człowiek z miotłą i gołębice uleciały w powietrze jak pierzaste rakiety. Harry pochylił się i szepnął:

- Czy wiesz, że jesteś piękna?
- Tak.
- To prawda.

– Tak. – Umilkła na moment. – Może należałoby poddać mnie psychoanalizie...

– Ja jestem tobie potrzebny – powiedział nie wiedząc czemu.

– Możliwe...

Z początku Peyton nie podobała się Lennie'emu, podobnie jak Harry'emu, i Lennie mówił o tym otwarciu z przyjacielem. Po trzeźwemu jest znośna, może trochę za cicha mętna. Ale niech no wypije kilka! Warto zobaczyć, co się z nią stanie! Do licha! Co za przewrotność! Jaki ostry język! Harry wiedział, czemu przypisać tę niechęć: był zdania, że dwoje ludzi usposobionych krytycznie i sarkastycznie rzadko się ze sobą zgadza. Ponadto Peyton czytała znacznie więcej niż Lennie i posiadała bystrą, intuicyjną zdolność oceniania sztuki i potrafiła to sprzedać. Ale nie koniec na tym. Peyton pochodziła z Wirginii, a Lennie – mimo wszystkich swoich zalet zakamieniały nowojorczyk, czasami nieco krótkowzroczny – sądził, że na południe od Waszyngtonu można znaleźć jedynie ciemnotę i ucisk. Było to uprzedzenie pozostałe z dni wczesnej młodości, lecz bardzo trudne do przezwyciężenia.

– Widzę, że nadal pasożytujesz na gorących ustach – powiedział Lennie po drugim spotkaniu z Peyton, kiedy Harry wrócił na Cornelia Street, odprowadziwszy ją do domu. – Nie gadaj tylko, że nie spędzasz nocy u tej damy.

– Dziś jest zmęczona.

– Nic dziwnego. Czy nigdy nie ma dosyć?

We czworo pili do późna sherry. Wynikła sprzeczka. Laura wspomniała coś o świeżo poznanej, bardzo niemądrej osobie z Tennessee. Peyton poczuła się dotknięta. Zapytała, dlaczego na Północy jest aż tak wielu bigotów? Czy ci ludzie nie mogą pojąć oczywistej prawdy, że Południe jest może zacofane, a tamtejsi ludzie nie bez winy, lecz na tym właśnie polega tragiczny sens kraju, który burzy się jeszcze i szarpany konfliktami podnosi się, rozwija, dźwiga z ruin, a gdy wreszcie okrzepnie, będzie wspanialszy dzięki tym właśnie ciężkim próbom? Czy nie rozumieją tego? Lennie powiedział, że nie rozumie i chciałby się dowiedzieć, jak dalece romantyczną potrafi być Peyton? Spór trwał, rykoszetował między Peyton a Lennie'em; tymczasem Harry i Laura w milczeniu pili sherry. Kiedy Peyton mówiła o Wirginii, Harry widział w jej oczach błysk pasji i miłości. Namiętnie chciała przekonać wszystkich o cudach swojej pięknej, utraconej ojczyzny.

– Powinna pani zostać w tej Arkadii – powiedział Lennie.

Peyton umilkła. Po raz pierwszy tego wieczora straciła swadę. Nerwowo poruszała wargami, szukając właściwych słów.

– Nie... – bąknęła wreszcie i zaraz powtórzyła bardziej stanowczym tonem: – Nie!

Zdawać się mogło, że zapomniała o obecności w pokoju reszty towarzystwa, że przez ściany ogląda coś smutnego lub przerażającego. Wycofała się z dyskusji. Końcami palców dotknęła czoła. Powiedziała, że jest zmęczona. Czy Harry nie zechciałby odprowadzić jej do domu?

– Tak – mówił później Lennie. – To całkiem przystojna osóbką. Przyznaję. Tylko, mój drogi, mętna, okropnie mętna. O czym właściwie chciała nas przekonać? Najprzód ta gadanina o ruchu u Cézanne'a. Zgoda! To miało ręce i nogi. Ale ona była jeszcze trzeźwa. Później przyszła kolej na Marksa. Jak żyję, nie słyszałem nic równie naiwnego. Można by sądzić, że ma już legitymację Kominternu. Na zakończenie napomponowała się sherry i była gotowa zlinczować każdą...

– Nie o to chodzi, Lennie. Nie bądź głupi. Jeżeli ktoś przekona cię częściowo wbrew twojej woli, nie możesz pogodzić się z tym stanem rzeczy. Ona jest... Zgoda! Tak jak określiłeś, mętna. Ale to nie wpływ Południa. Po prostu nie dręczy jej intelektualizm. Jest jeszcze bardzo młoda. Nie, Lennie. Chodzi o coś zupełnie innego.

– Jest niesamowita i...

– Daj spokój!

– Nie zaczynasz się kochać, Harry?

– Czy ja wiem?...

– Ależ tak! Tak, mój stary!

– Bardzo możliwe.

Harry nie wiedział, dlaczego zależy mu tak bardzo, by Lennie polubił Peyton. Może – niepewny przyczyn nagłego, gwałtownego pociągu i cokolwiek jeszcze oszołomiony–podświadomie zabiegał o moralne poparcie przyjaciela. Lennie był bystry i rozumny, chociaż więc rozkwitała jego własna miłość, nie Lennie'ego, Harry pragnął, by Lennie umacniał w nim chwiejne zapatrywania.

– Nic podobnego, Lennie. Gdzie ona niesamowita? Nie ma w sobie nic dziwnego. Jest tylko... No, trochę mętna, jak sam się wyraziłeś.

Ostatecznie jednak Lennie polubił Peyton, a nawet pokochał ją na swój sposób i kiedy małżeństwo zaczęło się rozpadać, cierpiał prawie tak samo jak Harry. To raczej on niż Harry spostrzegł w Peyton różnicę po pierwszych kilku tygodniach znajomości.

– Zmieniła się, stary – powiedział. – Jest teraz naprawdę miła. Widocznie masz na nią dobry wpływ. Ale uważaj, miej się na baczności. To typ skłonny do podlegania także złym wpływom.

To Lennie zauważył w swoim czasie, że Peyton pije ostatnio bardzo mało. Chociaż i Peyton pozwoliła sobie na nieśmiałe wyznanie w tym względzie.

– Człowiek szczęśliwy łatwo obejdzie się bez picia–szepnęła pewnego razu i pocałowała Harry'ego w nos.

To Lennie ocenił należycie nagły zwrot na gorsze, kiedy Peyton i Harry wrócili po ślubie. On również w dwa lata później powiedział przyjacielowi:

– Nigdy nie było wam lepiej niż w ciągu tamtych pierwszych sześciu miesięcy, nim zdążyliście się pobrać.

Lennie zawiózł Peyton do Newark, gdzie mieszkał jego znajomy psychiatra. A gdy po niespełna miesiącu wyjechała na tydzień do Darien z pewnym autorem powieści kryminalnych, on pocieszał Harry'ego, on mówił:

– Wiem, że ją kochasz, stary. Daj spokój gadaniu o nimfomanii. Musisz odzyskać ją, utrzymać, przekonać, że nie jesteś jej ojcem, ale sobą. Rozumiesz? Sobą! Człowiekiem, który ją kocha tak, jak ty kochać potrafisz.

Następnie, kiedy Harry porzucił żonę pełen rozpacz, a Peyton przyszła za nim na Cornelia Street, pijana, rozhisteryzowana, krzycząca, że się utopi, Lennie przystąpił do kuracji. Najprzód dał jej po twarzy dla uspokojenia, później wziął w pocziwe ramiona i mówił między braterskimi pocałunkami.

– No, uspokój się, dziecko, uspokój. I spójrz na tego gościa. Czy nie widzisz, że szaleje za tobą. Na pewno nie pozwoli, żebyś się utopiła. Cicho, spokojnie... Nie przejmuj się niczym.

Wreszcie Lennie był tym, do kogo Harry zwrócił się w żalobie i poprosił o pomoc przy sprowadzeniu zwłok z Wyspy Jelenia.

Zajmował się tym przedsiębiorca pogrzebowy – gruby, śniady Włoch nazwiskiem Mazzetti. Harry wyszukał go i zaangażował, ponieważ nie znał nikogo z tej branży. Mazzetti miał grube, wilgotne wargi, a kiedy mówił, zdradzał skłonność do uniżoności. Na szczęście jednak prawie cały czas milczał. Był upalny sierpniowy poranek. Jazda wzdłuż rzeki przez Bronx wydawała się nieskończenie długa. Trzej mężczyźni zajmowali szerokie siedzenie w szoferce. Lennie, jak zwykle, wiedział, co i kiedy mówić.

– Nie pojedziesz do Wirginii, prawda?

– Chyba nie pojedę.

– Tak też sądziłem.

– Wiesz dlaczego?

– Wiem. Wolisz nie mieć z nimi do czynienia.

Na promie był drugi karawan prowadzony przez krępego Murzyna w żakiecie. Murzyn uśmiechnął się przymilnie do Mazzettiego i dotknął palcem melonika, jak gdyby składał cechowy salut. Towarzysząca mu młoda Mulatka zerknęła załomie na załogę sąsiedniego wehikułu. Mazzetti nie zareagował.

– Takie zawsze lecą na dobrego gościa – powiedział zgryźliwie i zaraz dodał: – Który z panów zidentyfikuje szczątki?

– Ja – rzucił szybko Lennie.

„Dzięki ci, przyjacielu” – pomyślał Harry, bo nie mógł znieść myśli o widoku martwego piękna.

Na cmentarzu dławił upał. W powietrzu wirowały obłoki kurzu i niezliczone roje komarów. Trzej więźniowie zabrali się do pracy przy jednym z grobów. Harry zobaczył kant trumny i nie wiadomo czemu, był pewien, że to trumna Peyton. Odwrócił się. Lennie położył mu dłoń na ramieniu.

– Trzymaj się, stary – szepnął.

– Ach, gdybym odgadł, co się z nią dzieje... Dlaczego? Dlaczego?

– Cicho... Spokojnie...

– Mógłbym ją powstrzymać...

– Daj spokój próżnym słowom.

Harry odszedł, zatrzymał się obok pobliskiego grobu. Za nic na świecie nie chciał myśleć o Peyton. Oszołomiony skwarem i grozą posępnego cmentarza ubogich, stał bez ruchu i oblewając się potem patrzył, jak dwaj więźniowie, pouczani przez Murzyna w meloniku, otwierają jakąś trumnę. Opodał sterczał strażnik więzienny – drobny, suchy Irlandczyk w batystowej chustce na szyi i z przygotowanym do strzału karabinem.

– Okropne miejsce – zagadnął go Harry.

– Przywykłem przez dwadzieścia lat.

– Mój Boże. Podoba się tu panu?

– Cóż. Takie mam zajęcie.

– Smutne zajęcie.

– Tak. Czasami. Najbardziej biorą mnie te małe skrzynki.

Dzieci.

– Nie mogłem jej powstrzymać.

Po przeciwnej stronie grobu rozległ się krzyk. To druga trumna została otwarta. Młoda Mulatka zajrzała do jej wnętrza i oczy wyszły jej z orbit.

– Jak Boga kocham! – zawyła najczystszy akcentem z Brooklynu. – Jak on strasznie wygląda!

Harry odwrócił się. Poczł nagłę mdłości. Spuścił wzrok i patrząc na własny cień, nagą ziemię, chwasty i komary, pomyślał: „Nie, nie wiem naprawdę, czyja wina”.

Lennie ścisnął go lekko za łokieć.

– To ona, stary – powiedział.

Ach, gdyby spisać moje słowa, gdyby je wydrukować w księdze. Gdyby żelaznym rylcem i ołowiem utrwalić je wieczyście na skale! Bo wiem, że mój Odkupiciel żyje i ostatniego dnia stanie na ziemi, a choć robactwo stoczy to ciało, będę...

Czy będę?

O, ciało moje!

(Wielka moc twoja, śmiertelne ciało

Wielka moc twoja, miłości.)

– Mam za mało czasu.

Z miejsca, na którym leżałam, spojrzalam mu prosto w oczy: kolorem przypominały krople od kaszlu – takie o bursztynowym odcieniu – na białkach były niebieskie plamki.

– Mam za mało czasu, Tony – powtórzyłam.
– Nie szkodzi – powiedział. – Mnie się nie śpieszy.
– A zresztą – mówiłam dalej – nie mogę. Nic z tego dziś nie będzie.

Pomyślałam: „A zresztą, wciąż jeszcze śnię”.

Budzik wskazywał drugą dwadzieścia pięć. Cyfry i kropki na jego tarczy były zielone jak oczy kota, nawet w promieniach słońca, które ukosem przenikały zazdrostki. Tony stał, nie odzywał się, czekał. Ja myślałam, próbowałam myśleć, co przychodziło mi trudno z powodu snów. Jak długo spałam? Trzeba obliczyć: od trzeciej w nocy do drugiej dwadzieścia po południu... Nie szło. Przeszło dwanaście albo jedenaście godzin... Nieważne! Punkciki na tarczy zegara były zielone, świecące – jasne jak moje sumienie... Harry powiedział raz, że jestem pozbawiona sumienia. Powiedział: „Brak ci moralnego cenzora”. Patrzyłam nie na Tony'ego, lecz na te cyfry i kropki, słuchałam wewnętrznego tętna budzika. Śniło mi się jednego razu, że jestem w środku zegara. Równomiernie, nieustannie, zawsze miałam krążyć po głównej sprężynie. Drzemiąc patrzyłam na kamienie, rubiny, tykający wytrwale mechanizm. Wszystkie śrubki i części były wielkie jak moja głowa, niezniszczalne, lśniące – mój własny wynalazek. Wiedziałam, że przez wieki będę obracać się tak wraz z główną sprężyną – niby drewniany koń na karuzeli.

Wiedziałam, że przez wieki będę spać tak niezupełnie, po trosze świadoma czasu, zamknięta w nim, jak gdyby w spiżowej macicy. Słyszałam, że Tony ściąga koszulę.

– Straszniem się spocił – mówił. – Jak spałaś, wziąłem kąpiel – potem coś o ciężkiej pracy rozwoziciela mleka, jak zwykle. – Zmęczony jestem. Ale widzisz, jak mężczyzna nie dostanie tego, co wiesz, kiepsko się czuje.

Usiłowałam przypomnieć sobie swoje sny. Byłam lepka od potu. Kiedy poruszałam się lekko, spodnie od pizamy dziwnie mlasnęły odlepiając się od mokrych, zmiętych prześcieradeł. Za oknem dwa gołębie nadleciały w południowym blasku; waząc się w powietrzu, hamując usiadły na zewnętrznym parapecie; podniosły wir pyłu i piór z własnych wyschłych odchodów. Z ulicy dochodził hałas. Przejeżdżały autobusy, ciężarówki. Głęboko w dole przemknął pociąg kolei podziemnej – aż ściany zadygotały. Powietrze pachniało trochę spalinami, było lekko sinawe.

Próbowałam odnaleźć sny. Wyglądały mniej więcej tak. Pamiętam. Harry był człowiekiem w masce. Bębnił w kubek na śmiecie. Działo się to na skałach, w parku, gdzie niegdyś chodziliśmy na spacer. Ja przyglądałam się Harry'emu, stojąc na dole. Powiedziałam: „Harry, zejdz w tej chwili!” Ale on odwrócił się tak, że nie widziałam jego twarzy. Wrzucał coś do kubła – stare gazety, puszki po zupie, nieżywego wróbla – krzyczał: „Nie, kochanie! Nie mogę. Nie kochanie!” Przyszedł policjant. Wiedziałam, że to policjant, ale resztę „wypuściłam z widoku”, jak wyrażała się Ella. Ten wesoły, uśmiechnięty Irlandczyk spędził nas ze skał i później nie mogłam odnaleźć Harry'ego. Gdzieś niedaleko las pachniał Świerczyną. Leżałam z kimś nad rzeką. Nie wiem, kto to był: jakaś kobieta w staroświeckiej pelerynce i czepku, jak babcia, której nigdy nie widziałam – babka tatusia. Robiła na drutach kapkę, śpiewała piosenki Stephena Fostera, raz po raz powtarzała: „Nie bój się, dziecino. Nie bój się, kochana Peyton”. Nagle zjawił się policjant i znów nas przepędził. Uciekałyśmy szybko, a babcia kiwała się z boku na bok, jak pingwin; była kulawa – tatuś mówił mi raz o tym. Była Byrd z domu i bardzo bogata, ale dziadek stracił cały majątek, bo nie miał głowy do liczb.

Patrzyłam na światła przenikające przez żaluzje. Kropla potu spłynęła mi po czole; później poczułam w ustach jej smak. Na zewnętrznym parapecie okna gołębie kręciły się, rozrzucały pył i piórka. Mamrotały coś, zdawały się rozmawiać jak ludzie. Nie ruszałam się. Miałam wrażenie, że rozumiem, co gadają, a właściwie mogłam kazać im mówić wszystko; przeważnie: „Dzień-do-brry... Dzień-do-brry... Dzień-do-brry..”. Później pokręciło mi się coś w głowie, niby komuś, kto wie, że słońce zachodzi, ale jest przekonany, że to ranek. Gołębie zaczęły mówić: „Jaka głupia... Jaka głupia... Jaka głupia..”. Albo: „Ale frajerka!” – jak wyrażał się czasami Tony. Za mną brzęknęła kłamra paska, tego, który on nosił zawsze – kłamra z monogramem A.C.

– Antonio Cecchino, mój Tony. Na ulicy jakaś kobieta odkurzała drabinkę pożarową; wiatr uniósł strzępki papieru, różne śmiecie, porwał je, dźwignął ku niebu, ku dużemu obłokowi i drzemiącemu spokojnie, niby olbrzymi biały królik. Tatuś zawsze pogwizdywał przez zęby, kiedy graliśmy w krokieta; smutno kiwał głową, ale oczy miał roześmiane; mówił, że znacznie mu lepiej idzie po trzech piwach. Zawsze też klepał mnie po tyłku, jeżeli udało mu się przejść dwie bramki. Kurz zniknął pozostawiwszy błękitne niebo. Królik zmienił się w kaczkę z piórami nastroszonymi na grzbiecie. We śnie też widziałam kaczkę, nie pamiętam, małą czy dużą; w każdym razie po rzece pływał jakiś ptak. Podobno babcia zażywała tabakę. W dawnych latach uchodziło to damom. Górną wargę miała zawsze w brunatne cętki. Podczas wielkiego postu jadła jak Świnia, ale wyrzekała się tabaki. Była kochana, poczciwa – tak mówił tatuś i nigdy o tym nie wątpiłam. Czasami oglądałam jej miniaturę, a nawet podnosiłam do ust i całowałam – taka była śliczna ta babcia ubrana w koronki. Miała tkliwy, dobry wyraz oczu. Wyobrażałam sobie ślady tabaki na górnej wardze i myślałam, że gdybym usiadła na jej kolanach, babcia kołysałaby mnie do snu opowiadając różne historyjki o przygodach małych dziewczynek podczas wojny secesyjnej.

Tony nucił coś. Spojrzałam na niego, zobaczyłam, że stoi nagi pośrodku pokoju. Odwrócił się do mnie bokiem, ręce wsparł na biodrach.

– Popatrz, mała! – powiedział.

Nie patrzyłam. Odwróciłam wzrok. Spostrzegłam, że biała pierzasta kaczką na niebie zbladła, zmieniła się w coś innego; mogłabym użyć słów Poloniusza: „W rzeczy samej, istny wielbłąd. Prawda, z boku podobniejsza do łasicy. Bardzo podobna do wieloryba”.

– To dla ciebie, mała – powiedział Tony.

– Wiem. Ale nie mogę – szepnęłam.

– Dlaczego?

Uniosłam się na łokciach. Poczulałam na plecach chłodny pot.

– Po prostu nie mogę. Nie mogę, Tony.

Wtedy właśnie przyszły kurcze w dole brzucha. Wydało mi się, że wszystko we mnie – wątroba, serce, płuca – stało się obolałą macicą. Jęknęłam głośno, zaczęłam chwytać powietrze otwartymi ustami, jak ryba.

– Co się stało? – spytał podchodząc bliżej, a ja zastanawiałam się, czy już krwawię.

– Nic – powiedziałam, a on na to:

– Ostatnim razem chciałaś. Co się stało?

Położyłam się znów na wznak, spojrzałam na budzik.

Wskazywał w pół do trzeciej. Słyszałam jego prawie bezszelestne tykanie. Na skraju tarczy widziałam półksiężycowy napis: „BENRUS USA MODEL SZWAJCARSKI”.

– Nie! – powtórzyłam.

Myślałam o budziku. We wnętrzu ma czysty lśniący chrom; sprężyny, tryby pracują równomiernie cicho. Gdyby wpełznąć tam, położyć się na głównej sprężynie, wraz z nią obracać się i obracać w mroku, słuchać tykania, szelestu. Światło pada jedynie z miejsca, gdzie tkwi guzik alarmowy, połyskuje na kamieniach i rubinach jak smuga słonecznego blasku w katedrze.

Karaluch przebiegł pod oknem, zatrzymał się, nastawił czułki. Drgnęłam nerwowo. Karaluch przepadł w jakiejś szparze. Tony spostrzegł go również, pogładził ręką prawie granatowe włosy na piersiach.

– Faj, karaluch – powiedział. – Nie cierpię karaluchów. Dlaczego nie nasypiesz proszku? Nie cierpię karaluchów.

Poczułam, że ból nadchodzi znowu, lecz nie uderza – czeka jak potworna łapa z nastawionymi pazurami. Mdlić mnie zaczęło. Później uderzył – jeszcze raz wszystko we mnie zmieniło się w udręczoną macicę. Z trudności chwytalam oddech, leżałam bez ruchu. Patrzyłam, jak Tony drapie się, targa kłaki na piersiach. Ból łagodniał, ustępował, wreszcie minął.

– Podaj mi pigułki – powiedziałam.

- Jakie znów pigułki? – zapytał Tony.
- Przeciw bólow. Są w górnej szufladzie.

Leżałam spokojnie, próbowałam odzyskać oddech. Przed oczami wirowały mi jasne plamki, jak iskry rzucane na ekran. Tony stał odwrócony tyłem, myszkował w szufladzie. Na jego siedzeniu widziałam ciemne włoski i drobne różowe pryszcze. Łopatki miał też obrośnięte. Przyniósł szklanekę wody i pigułki. Połknęłam jedną, odwróciłam się znów na wznak. Tony rozpiął bluzkę mojej pizamy, położył mi dłoń na piersi. Na ekranie połyskiwały jeszcze ruchliwe iskry, na przemian z jasnymi kroplami wody, które umykały wciąż z pola widzenia. Nie mogłam skoncentrować uwagi na tym obrazie. Spojrzałam na dach domu po przeciwnej stronie ulicy. Jakiś człowiek stał tam i straszył gołębie płachtą na tyce. Na de błękitu wyglądały jak szare liście; wirowały bezszelestnie, odbłask połyskiwał na rozpostartych skrzydłach. Bałam się czegoś. Miałam ochotę pójść do łazienki, zwymiotować ze strachu. Ale Tony wsunął rękę między moje nogi, zaczął się bawić. Bolało. Czułam, że cierpienie przychodzi znowu, ale nie przyszło. Myślałam o wszystkich ptakach, jakie widziałam. W Lynchburg był wypchany jednooki kondor; miał wszy w piórach. Dick powiedział: „Spójrz, jaka to ironia losu. Na tym, który żerował dumnie w Andach, żeruje teraz wirgińskie robactwo”. Było to bardzo głębokie zdanie, jak na Dicka. W waszyngtońskim zoo struś chował głowę w piasek i jego ozdobne pióra sterczały wtedy prosto w górę, jak wojenne nakrycie głowy Indianina.

- No, śmiało, mała, zdejmi, co trzeba – powiedział Tony.
- Nie, Tony. Nie mogę.
- Dlaczego? – zapytał powtórnie.
- Bo mnie boli – powiedziałam bardzo głośno.

Nachylił się z uśmiechem. Pocałował mnie. Zamknęłam oczy i ścisnęłam zęby. Jego język sięgnął w bok, pod policzek.

- Nie! – szepnęłam. – Nie!

Kiedy to powiedziałam, jego język trafił głębiej. Tony pachniał mlekiem. Mówił, że nie może stracić tego odoru, żeby się nie wiedzieć jak kąpał. Teraz – tak blisko – cuchnął jak serowarnia, pokój dziecienny albo bar mleczny, gdzie nie ma przesadnej czystości. Mleko ogarnęło mnie jak upał. Pociłam się obficie. Wiedziałam, że pocałunek będzie długi – z językiem, uparcie cuchnący mlekiem. Myślałam o Byrdach. Babcia pochodziła z Lynchburga. Miała twarz anioła, tak często mówił mój staruszek. Mówił też, że prowadziła niemal pustelniczy żywot, a jego nazywała „staruszkciem”. Bardzo mi się to podobało i zaczęłam nazywać go tak również. To zabawne być babcią własnego ojca, pomyślałam. Mógłby siadać mi na kolanach, przytulać twarz jeszcze teraz różową. Ciekawa rzecz, czy już wtedy miał to śmieszne, często zwisające małe pasmo włosów szarych jak popiół papierosa? Myślałam tak, ale Tony zaczął suwać rękami po moich bokach – tymi mlecznymi rękami. Bolało to, lecz nie łaskotało. Czułam gorączkę, myślałam więc, że mogę mieć skórę żółtą, jak wówczas, kiedy chorowałam na żółtaczkę, bo wrażenie gorączki było bardzo podobne. Palce Tony'ego zadawały ból, nie łaskotały. W ustach czułam śliski spód jego języka – śluzówkę zwisającą luźno, jak koguci grzebień. Pozwalałam na wszystko... Raz powiedziałam Tony'emu, że jest jak próżność, jak pchła Owidiusza – potrafi wśliznąć się w każdy zakątek niewieściego dała: osiąść na czole niby peruka, całować,

jak... jak co? Pióra... ptaki. Fe! Jak cuchnie! Pamiętałam o tym, ale on nic nie rozumiał albo udawał, że nie rozumie, co dla mnie znaczy odór mleka. Przestał całować, spojrzał na mnie z góry oczami koloru kropli od kaszlu, z niebieskawymi plamkami na białkach. Raz rozplakałam się, kiedy Harry powiedział mi nad rzeką, że jestem piękniejsza niż powietrze nocy przybrane w krasę tysiąca gwiazd.

– Nuże! Do diabła! – warknął Tony.

Ściągnął ze mnie spodnie piżamy, wziął mnie pod siebie. Myślałam o piórach, ptakach. Zabolało, kiedy wszedł do środka, ale nie bardziej niż tamte kurcze utajone teraz w dole brzucha – jak szpony umykającego ptaka. Objęłam go, musnęłam palcami włosy na grzbiecie. Budzik szemrał tak blisko, że jego szelest zdawał się ocierać o moje ucho. Tik-tak, tik-tak, tik-tak... Najmniejsza wskazówka zataczała w przestrzeni idealne koła... Harry i ja... Oto leżymy rozciągnięci na sprężynach; drzemiemy, przeciągamy się, czasami ziewamy. Obracając się wraz z ruchem sprężyn patrzymy na diamenty, na rubiny szkarłatne, jak krew z przeciętej szyi gołębia, na kółka rozmieszczone w doskonałym porządku, szeleszczące cudownie, bosko. Jesteśmy odcięci od nieba, jak gdybyśmy zapadali w głąb morza, ale lepiej nam, nieporównanie lepiej: w naszym okręcie podwodnym jest słońce, żywe, ciekłe, zapalające iskry: przelotne blaski na lśniącej stali – blaski wiecznego światła w samo południe. Mamy własne słońce wśród zawilego mechanizmu i swoją trwałą miłość.

Rozpłakałam się, kiedy Tony skończył.

– Co ci znów, mała? – zapytał.

– Nic.

– No to daj spokój. Myślałby kto, że się za mało znamy, co? Może powiesz: „Ja pana nie znam” – hę?

– Ja pana nie znam – powtórzyłam, a on na to:

– Do licha! Rzygać się chce. Zabawa z tobą jak z kawałkiem drewna.

Nie płakałam już. Odwróciłam się na bok, spojrzałam w stronę budzika. Słyszałam, że Tony puszcza wodę w łazience, myje się, znów coś nuci. Próbowalam przypomnieć sobie, jak dawno się znamy... Miesiąc, może tydzień? Trudno powiedzieć. Pierwszy raz spotkaliśmy się na podeście, kiedy zadęło się coś w szybie do zrzucania śmieci. Później piliśmy piwo i rozmawiali o ptakach. Następnego dnia obudziłam się z głową na włosach porastających pierś Tony'ego. „Ptaki... – pomyślałam. – Ptaki”. Wiedziałam, że dzieje się coś dziwnego, niepokojącego. Podniosłam guzik alarmowy budzika, usiłowałam zajrzeć do wnętrza. Zobaczyłam tylko pierścień z jasnego metalu. To kopuła, przez którą sączy się światło. Na tarczy widziałam wskazówki, świecące cyfry i kropki – symbole mojego sumienia. Dobrze, że ukryjemy się przed tym wszystkim – ja i Harry. Chwała Bogu! Lenin powiedział, że nie ma Boga. Kiedy powtarzał to Albert Berger, oczy miał wilgotne, jak od gazu łzawiącego. Harry też mówił, że nie ma Boga, że należy go szukać w wiecznie trwałym instynkcie rozrodczym, w elektronach radarowego ekranu lub drobin DDT. Ale DDT to przecież śmierć, a Bóg musi być chyba życiem, miłością, wszystkim, byle nie śmiercią. Albert Berger zapytał, skąd wiem, a ja na to, że trzeba pamiętać, o... o czymś. Nie mogę sobie przypomnieć. Byłam wtedy pijana, znajdowałam się jak mówił Harry, w alkoholycznym transie żartobliwego szokowania bliźnich. Powiedziałam:

„Chrystus wstał z martwych, a owoce tego są dla uśpionych”. Powiedziałam to za głośno. Z podłogi spojrzwały na mnie mądre, pytające, psychoanalityczne twarze. W powietrzu zawisły martini, jasne jak woda górskich potoków. Wszyscy umilkli zaskoczeni, na coś czekali. „Owoce tego są dla uśpionych” – powtórzyłam i zsunawszy się z kanapy stłukłam sobie siedzenie. Nie wiem, dlaczego zrobiłam to wszystko.

Nagle przyszedł mi na myśl Carey Carr. Za oknem gołębie puszyły się, gruchały. Podgardla miały wydęte jak pęcherze: gdyby je poprzerzynać nożem, trysnęłyby krew. Dick nie mógł nigdy nic zrobić po pierwszym razie. Był załęczniony, nieśmiały. Czasami płakał, że taki z niego niedołęga. Ptaszka miał małego, wiotkiego; ale ręce Dicka były ciepłe, a kiedy leżeliśmy w ciemnościach, miło było czuć przy sobie jego żebra.

Tony wszedł do pokoju. Nie widziałam go, ale wiedziałam, że ma na sobie szorty. Zawsze ubierał się po tym. Wiedziałam też, że trzyma w ręce flaszkę piwa.

– Czego patrzysz na budzik? – powiedział. – Rzygać się chce.

Ze zdziwieniem usłyszałam własną odpowiedź, rzuconą głosem bezcielesnym, zwróconym do nikogo i dobywającym się znikąd, jak gdybym mówiła do gołębi, a może do bezkresów lazurowego powietrza.

– Obcuję z duchami zmarłych.

Zegar szemrał tuż koło mojego ucha – doskonale uporządkowany, wieczny.

– Zabawna z ciebie cizia – powiedział Tony. – No! Dałabyś całusa od serca.

Przyłożył mi butelkę do karku. Powinnam domyślić się czegoś takiego. Przeszyła mnie klinga, ale klinga odlana z lodu, wyzwoliła okrutne szpony. Wrócił potworny ból w dole brzucha.

– Ojej, mała. Wcałe tego nie chciałem – rzekł Tony.

Leżąc na wznak trzymałam się za brzuch, ugniatałam skórę. Marzyłam o termoforze miękkim, ogromnym, jak cały pokój, takim gorącym, że aż pali. Chciałam poprosić Tony'ego, by mi go przyniósł, lecz przypomniałam sobie, że mój termofor cieknie.

– Podaj mi gorący ręcznik, Tony – szepnęłam. – Pośpiesz się, proszę...

– Bardzo przepraszam, mała.

Pochylił się nade mną. W kłakach na piersiach miał białą nitkę i jeden mój włos – ciemny, długi. Spozrzegłam to, kiedy stał nachylony. Zobaczyłam też medalik ze świętym Krzysztofem, dyndający na cienkim złotym łańcuszku. Dzieciątko dusiło Chrystusowego nosiciela w drobnych, metalowych ramionkach... Morze, wichura, ciemność... „Szczęśliwej podróży” i „Prowadź mnie, Zbawicielu”. Bóle ustępowały, przenosiły się pod skórę. Dziwne, że w takich razach nie pękają w nas wnętrza...

– Teraz już dobrze – odezwałam się cicho.

– No, to ja pójdę do siebie – powiedział. – Trzeba się troszkę przespać. Dzisiaj będziemy razem całą noc. Jak tam, mała?

– Dobrze, jeżeli sobie życzysz, Tony.

Pocałował mnie w policzek. Pogłaskał pierś z dołu do góry. Znow zaleciało mlekiem – starym, skwaśniałym.

Tony wyprostował się, zaśpiewał:

Sobotnia noc, gadają ludzie,

Sobotnia noc

To najszczęśliwszy czas tygodnia...

– Pozwól mi trochę odpocząć – westchnęłam.

– Niech będzie, mała.

Nie wiem, kiedy wyszedł, bo tę część dnia pamiętam mętnie. W jakimś momencie trzasnęły drzwi i zostałam sama. Oblana potem leżałam na wznak, słuchałam miarowego tykania budzika. Długo to trwało. Mucha brzęczała sennie w pokoju. Później umilkła, bo widocznie gdzieś wylądowała. Zdawało mi się, że ją widzę: przyleciała ze straganów z owocami, więc owłosione nóżki ma tłuste od popsutych bananów, oblepione mikrobami; wysuwa i wciąga długą trąbkę, jak gdyby pompowała. Pomyślałam, że mucha kręci się koło pomarańczy, którą zostawiłam na stole. W środku mojego zegara schronimy się przed muchami – Harry i ja. Będą one brzęczeć gdzieś w górze, przysłaniać światło, pochylać nad otworem guzika alarmowego stożki brodatych twarzy. My będziemy patrzeć na to bezpieczni pod strażą chromu i niezniszczalnej w czasie stali. Coś mignęło za oknem: spadły z nieba papierek od gumy do żucia; zawirował w obłoczku kurzu i po przeciwnej stronie ulicy wzniosł się nad dachy domów. Podparłam się łokciami. Medytowałam. Słuchałam cichutkiego tykania budzika. Pociąg z kolei podziemnej nadjechał od południa, przemknął pod domem, wstrząsnął jego ścianami. Usiłowałam myśleć, ale oczyma wyobraźni oglądałam ptaki uganiane się dokoła, ptaki przywiązane do ziemi: dronty dodo, pingwiny, kazuary, strusie dumne z pięknych czarnych piór. Nie wiedzieć czemu strusie przypominały mi o tatusiu. „Dojrzałaś, osiągnęłaś pełnoletność – pisał

staruszek, jeżeli dobrze pamiętam słowa listu. – Ostatecznie w dwudziestym drugim roku życia młoda osoba powinna wiedzieć, czego pragnie. Wyrosłaś, moja śliczna, z wieku nieodpowiedzialności. Mniejsza zresztą o dojrzałość i pełnoletność. Nieporozumienia z Harrym musisz jakoś załagodzić. Jako prawnik mógłbym ci radzić jedno, jako ojciec drugie. Pozwolisz, że najprzód zabiorę głos w roli ojca. Swoimi zawodami życiowymi i zmartwieniami mógłbym suto obdzielić dziesięciu ludzi i z tej pozycji zapewniam cię, maleńka, że miłość, w której prawdziwość wierzysz w głębi serca, jest warta każdej walki. Ale czy wolno coś radzić rozbitkowi, który z tratwy miotanej bezwolnie falami spogląda na wspomniany czule brzeg dawnej, lepszej miłości, oddalający się, zacierający coraz bardziej pośród mgieł czasu..”. Próbowałam być dobrą, próbowałam... Nie wiem, czemu tak się stało. Nie wiem... Kiedy w Darien szłam do łóżka z Earlem Sandersem, on miał szklankę whisky w ręku, a ja krzyczałam: „Nie! Nie! Jestem porządna dziewczyna! Zostałam przyzwoicie wychowana!” Było to głupie, dziecinne, ale na nic innego nie potrafiłam się zdobyć. Earl Sanderson miał na ramionach wątrobiane plamy wielkości srebrnego dolara. Płakałam jak małe dziecko. Myślałam, że Harry mógłby mnie zobaczyć. Myślałam o świętej Katarzynie, Oreście i Ifigenii pod ofiarnym nożem. „Moje życie rodzica nie znało – wołała Ifigenia. – Każda droga może wieść do każdego celu...” Za

oknami samochody podjeżdżały po zwirowanych jezdniach. Była wiosna. Dzieci nawoływały się pod drzewami. Wcisnęłam guzik alarmowy, usiadłam na brzegu łóżka. Gołębie odleciały podnosząc wir pierza i pyłu. Pomyślałam o liście od tatusia, a później o tym, który do niego napisałam. Wysłałam list do domu zamiast na adres klubu. Przypomniałam to sobie i ogarnął mnie dziwny niepokój. Ale nadal myślałam o swoim liście. Może ona odeśle go staruszkowi, a może nie odeśle?... Później temat uleciał mi z głowy. Nago poszłam do kuchni, żeby postawić wodę na kawę. Chwilowo czułam się lepiej. Z przyjemnością uprzytomniłam to sobie, kiedy siedząc przy płycie śledziłam wzrokiem parę nad rondelkiem. Niby drzemiące, ale czujne wciąż i gotowe do zadania ciosu – jak ów kondor z jednym okiem – bóle cofnęły się, przyczyły gdzieś z dala od macicy. Widać pigułki trzymały je na wodzy. Podparłam czoło dłońmi, opuściłam powieki. Siedziałam zaśluchana w syczenie gazu. Widziałam teraz strusie kazuary, ogromne ptaszyska o okrągłych, garbatych grzbietach i nogach pokrytych grubą skórą, wysokich niczym szczudła. Grzebały w piasku, uganiały się dokoła, bezszelestnie, uparcie, ale mnie zostawiały w spokoju. Stanowczo czułam się lepiej. Wsypałam trochę neski do filiżanki, zalałam wrzątkiem i usiadłam na dawnym miejscu. Pod domem zahuczał znowu pociąg. Dochodziła trzecia. Włączyłam radio. Męski głos mówił, że rzucona wczoraj bomba była potężna:

równowartość dwudziestu tysięcy ton materiału kruszącego, sto tysięcy śmiertelnych ofiar... Co może ocalić Dicka i jego barkę desantową gdzieś daleko, na Filipinach? Dick miał bardzo łagodną twarz, ale jego umysł to czysta kartka papieru, na której nikt nie napisał słów wezbranych treścią i chyba nigdy nie wypisze. Mimo to nad rzeką było dobrze i pięknie. Chciałabym wrócić do dzieciństwa. Chciałabym spacerować po plaży, ręka w rękę z Dickiem, zbierać muszelki. Może popełniłam błąd? Szkarłatny brzask wstawał nad Rappahannock... Przypomniałam sobie, że krwawię, więc poszłam do łazienki, żeby założyć opatrunek. Znalazłam ostatni. Później umyłam twarz i uczesałam piękne, ciemne włosy. Myślałam, że muszę wyglądać ładnie dla Harry'ego. Zburczałby mnie, gdybym tego zaniedbała. Często mnie strofował. Mówił: „Kochanie, zawsze o wszystkim zapominasz. Czy nie potrafisz troszczyć się o dzień jutrzejszy?” Albo: „Słuchaj, nie chcę ci dokuczać, ale czy to zbyt wiele prosić, żebyś sprzątała i pod łóżkiem?” Albo jeszcze: „Podobno zazdrość jest najnikczemniejszym z uczuć. Ale co, u licha, strzeliło ci dziś do głowy?” Wspomnienie ostatniego zdania rozdrażniło mnie najbardziej. Przestałam szcztokować włosy. Pomyślałam: „Pal diabli Harry'ego! Niech go piekło pochłonie”. Byłam zła. Nie pójdę, mimo wszystkich postanowień z wczorajszego wieczora. Możemy się pogodzić, ale niech on sam przyjdzie tutaj. Nagle rozsądek błysnął jak nagle

światło. Ptaki odbiegły trzepocząc bezradnie skrzydłami. Jak wiatr pomknęły przez piaski w stronę widnokągu. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia w lustrze. Na czas pewien poczułam się czysta i zdrowa. Harry powiedział raz: „Przed naszym ślubem zawsze ty się skarżyłaś na to czy tamto. Mówiłaś, że cię zaniedbuję, lekceważę – pięścią uderzył w otwartą dłoń. – A ja, na Boga, nigdy tego nie robiłem! A co się dzieje teraz? Kto psuje wszystko? Kto przekracza wszelkie granice?” Bolesnie dotknęły mnie te słowa, bo wiedziałam, że Harry ma słuszość. Ale Harry nie wiedział o moim planie ucieczki do wnętrza zegara. Nie mogłam zdradzić się wtedy przed nim; nie mogłam i nie chciałam. Byłam zła, bo on przecież mówił prawdę. A kiedy w Darien poszłam do łóżka z Earlem Sandersem, kiedy leżałam pod nim i pociłam się w upalne popołudnie, widziałam za oknami tandetnego niby to pałacu miliony zielonych liści. Gryzłam Earla w ucho wmawiając sobie, że to znenawidzony Harry, a gdy on krzyknął z bólu, byłam kontenta, bo przecież Harry'ego ugryzłam. Earl Sanders skończył, włączył radio. Dzieci nawoływały się pod drzewami przy wtórze muzyki symfonicznej. Myślałam o Mozarcie konającym podczas deszczu...

Schowałam szczotkę do szuflady. Z pewnością wydam się ładna Harry'emu. Tylko nie trzeba myśleć o Earlu Sandersie: takie myśli smucą mnie i zaciemniają obraz Harry'ego. No i ptaki wracają dziwnie szare, ocienione, jak gdyby z dnia wyparowała znaczna część światła. Nadchodzą przez mroczne piaski, okrążają mnie w łazience, wyglądają zza zwodniczego lustra. Odwróciłam się, ubrałam po ciemku, zgasiwszy światło. Później będzie czas na ułożenie włosów grzebieniem. Kawa zdążyła wystygnąć, ale wypiłam ją i zjadłam kruche ciastko. Mój staruszek mówił, że babcia piekła sama kruche ciastka. Szkoda, że jej nie znałam, nie siadywałam na jej kolanach. Później umyłam naczynia: filiżankę i dwa spodki. Harry będzie zadowolony, kiedy wieczorem wrócimy tutaj razem. Wszystko zostanie czyste. Już ja pokażę, co umiem. Zaczęłam uwijać się po pokoju, ścierać kurz z biblioteki, regałów na książki, samych książek. Zabrał wszystkie swoje obrazy. Zostawił tylko jeden – mój portret, piękny, zielonooki, w stylu Renoira, jak mówił Harry, lecz znacznie lepszy. Namalował go dwa lata temu. Odkurzyłam go starannie, spojrzałam w swoje oczy. Były tkliwe, odzwierciedlały chyba moje ówczesne uczucia. Dlatego Harry zostawił mój portret, nie chciał oglądać mnie taką, jaką byłam dawniej. Mówił, że to piekielnie przykro, jeżeli na płótnie żyje nadal ktoś, kto odszedł i jest teraz daleko, zupełnie inny, zniszczony doszczętnie, zagubiony. Wtedy właśnie próbowałam mu wytłumaczyć wszystko o

zegarze. Pytałam, czy nie rozumie tak prostej sprawy? Odpowiedział, że jestem pijana i pomyłona. „Robiłem, co mogłem, żeby pomóc ci, Peyton, ale dłużej nie wytrzymam”. Spojrzałam teraz w swoje oczy, zamglone jak światło brzasku. Potarłam je ściereczką i mgła zniknęła. Głos z radia mówił o Nagasaki, jakichś grzybach i panu Trumanie. Powiadał, że teraz wszędzie w powietrzu są atomy. Wyjaśniał to jakoś, ale niewiele zrozumiałam. Oczy miałam teraz czyste, wolne od atomów opadających szybko czy też z wolna. Mogłam oglądać słońce, mogłam oglądać systemy zmieniające formę. Harry powiadał, że Lukrecjusz miał serce wielkie niby cały świat, ale on również rozplynął się w wiecznotrwałym, nieprzeniknionym wirze – jak imperia, lądy, morza. Zdawałam sobie sprawę, że trzeba wyjść. W pokoju było nieznośnie gorąco; czułam na plecach spływające strumyczki potu. Papierową serwetką oczyściłam popielniczki, ustawiłam je porządnie w zlewie. Z dołu nadciągnął przewodem wentylacyjnym płynny i dźwięczny kobiecy głos, o wyraźnie sycylijskim akcencie – głos lepki niby sok mandarynki. „Vito!”... „To... To...” powtórzyło echo przenikając kraty i szpary wywietrzników, chłodne, pokryte sadzą cegły, brudne okienka łazienek, rury kanalizacyjne, druty radiowych anten, ściany... „Vi-to!”... Cisza... Ulicą przejechał samochód ciężarowy... Przez chwilę zastanawiałam się, kim może być ten Vito. Opakowanie kruchej ciastka wyrzuciłam do wiadra na

śmiecie. Włączyłam radio. Symfonia zrobiła na mnie wrażenie czegoś uporządkowanego, bardzo na miejscu, ale z innej ziemi – skargi niewidzialnych ludzi albo bardzo odległego, fantastycznego świtu oglądanego przez mgłę. Na innej stacji odezwał się chór Murzynów, dziwnie słaby i daleki przy niesamowitym wtórze fletów, obojów i coraz wyższych tonów instrumentów muzycznych. „Uzdrow ich, o Jezu, uzdrow!” – i odległy, nieartykułowany jęk nagi i smutny jak murzyński kościół w jakimś lichym, spalonym słońcem gaju. „Uzdrow ich, o Jezu!” Zamknęłam radio... Może to był znak czy coś w podobnym sensie? I ten mój sens... Znowu poczułam się zmęczona. Bóle wróciły, ale dawały o sobie znać mniej gwałtownie. Pokój wyglądał schludnie. Na pewno spodoba się Harry'emu. Już przy drzwiach przypomniałam coś sobie, więc zawróciłam do okna i stojący na parapecie budzik ukryłam w dłoni; w półmroku cyfry i kropki połyskiwały zielonawym światłem. Spoglądając w otwór guzika alarmowego, pomyślałam, że źle nas wychowano. W takiej słonecznej grocie, między niezawodnymi osiami, sprężynami, zębatymi kółkami, łatwo znaleźlibyśmy trwałą spokój. Harry czułby się tam dobrze. Uwielbia przecież rubiny, a na tych promienie słońca załamują się szkarłatem takim jak czerwone kapelusze tancerki Brueghla. Słuchałam dostojnego, równomiernego szmeru, zegar podniosłam do ucha, żeby przeniknąć głębiej tę doskonałą, skończoną, idealnie rytmiczną harmonię.

Później wsadziłam budzik do torebki, otworzyłam drzwi i wyszłam na podest. Poczulałam kuchenne zapachy – spaghetti i natrętny czosnek. Dzień zasepił się znów, pociemniał. W szybie do zrzucania śmieci zadudniła puszka. Mrok pełzał po ścianach jak pędy pnączy. Spojrzałam na swoje ręce pograżone w cieniu, wzdrygnęłam się lekko na wspomnienie domu i Port Warwick. Wiedziałam jednak, że do takich spraw nie należy wracać... Cicho zamknęłam drzwi i usłyszałam stłumiony szelest. To one – śpieszą moim tropem – bezlotne ptaki, o nastroszonych piórach i nieruchomych martwych oczach, ptaki, których nie mogę dostrzec, nadciągają przez piaski spokojne, niegroźne, bezdźwięcznie poruszające lotkami. Miałam ochotę płakać. Omal nie krzyknęłam głośno: „Nie! Nie chcę!” Zeszłam wszakże po schodach myśląc nie o rodzinnym domu, ale znowu o babci.

– Kiedy pani zapłaci komorne? – spytała na dole pani Marsicano.

– Zapłacę, pani Marsicano, zapłacę.

Uśmiechnęłam się do niej. Miała wąsy i dwie brodawki.

Pachniała przejmująco, słodkawo jak cokolwiek nadpsuta cielecina.

– Właśnie mam się spotkać z mężem – ciągnęłam.

– Razem wrócimy wieczorem. Mąż zamieszka znów ze mną, zapłaci komorne i...

– Ciągle to samo w kółko – przerwała pani Marsicano.

– Jak można pani wierzyć? Pana Millera nie widać już dwa miesiące. A pani mówi tylko, że on zapłaci. Czy ja wiem? Dała mi już pani czek bez pokrycia. Należy się sto osiemdziesiąt dolarów.

– Zapłacimy pani – powiedziałam i uśmiechnęłam się znowu. – Niech pani będzie spokojna, pani Marsicano. Postaram się, żeby mój czek miał pokrycie i...

– Zawracanie głowy!

Poczłapała w głąb hallu. Jej pies, biały kundel z oczami w różowej oprawie, zadarł nogę i podlał schody. Patrzyłam, jak kobieta odchodzi drapiąc się w ramię, niknie w ciemnościach, a pies ciągnie leniwie śladem swojej pani. Pani Marsicano miała rację – dobrze zdawałam sobie z tego sprawę. W hallu zaszeleściły znowu kroki ptaków. Przestraszyłam się trochę, ale byłam pewna, że wkrótce Harry otoczy mnie opieką. Potem przemknęło mi przez myśl, że bank jest pełen pieniędzy – moich pieniędzy. Jednakże uprzytomniłam sobie, że wydałam wszystko, co staruszek przysłał mi na urodziny. Wspomniałam patefon, płyty i budzik Benrusa, moją bezpieczną pieczarę ozdobioną klejnotami. Kosztował trzydzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów – za dużo jak na budzik. Chciałam jednak, by ten był dobry i ładny, z pięknie świecącymi wskazówkami. Gdzieś, w jakiejś sztuce ktoś powiedział: „Zbrukana dłoń godziny dobiega zenitu tarczy...” Harry miał słuszość. Razu jednego zapytał, kto odebrał mi dziewictwo? Powiedziałam, że jeden bubek, Dickie... To tak, jak gdybym straciła cnotę na rowerowym siodełku. Kiedy leżeliśmy tamtego popołudnia, słyszałam we śnie śpiew Papageno. Widziałam tancerzy na jakimś fantastycznym zielonym trawniku, pustynię i piramidy. Po raz pierwszy przyśniły mi się ptaki nadchodzące spokojnie przez piaski. A kiedy obudziliśmy się, Dick nie mógł wejść we mnie. Zajrzałam do torebki, aby przekonać się, że mój

budzik jest na miejscu, bezpieczny. Później minęłam hall i wyszłam na chodnik. Od betonu buchnęła wielka fala upału, prawie widoczna na tle murów kamienic, przezroczyista i dymna. Przepocone ubranie przylgnęło mi do pleców. Debil, Charles Marsicano, spojrzął na mnie ciemnymi, pustymi oczami półgłówka; pot powlekał mu twarz jak warstwa smalcu. Usta miał zawsze otwarte, wargi spierzchnięte, popękane.

- Gdzie idziesz, Peyton? – zapytał.
- Na Cornelia Street – odpowiedziałam.
- Po co, Peyton?
- Po Harry'ego, Charles.
- Może ci wynieść śmiecie, Peyton?
- Nie, dziękuję, Charles. Mogą zostać do poniedziałku.
- Niech będzie, Peyton – zgodził się Charles Marsicano.

Został na progu, w słońcu, gdzie zlany potem bawił się w jo-jo. Oczywiście miał zupełnie takie same jak Maudie. Doktor Strassman z Newark powiedział: „Spokój, przede wszystkim spokój. Do tego właśnie spodziewamy się dojść wspólnymi siłami”. A ja na to: „Nie bardzo mi się pan podoba”. Jego gabinet odpowiadał w pełni moim wyobrażeniom: był antyseptyczny, czysty, z metalowymi żaluzjami w oknach. Doktor Strassman miał nos zaczerwieniony z chłodu: – „I widzi pan – dodałam – myślę, że jestem od pana inteligentniejsza”. „Być może, ale mniej zrównoważona” – powiedział. „Być może – odrzekłam – ale z pewnością lepiej znam przyczynę moich zaburzeń”. Być może... Być może... Taka wymiana zdań trwała przez czas pewien. Wreszcie doktor Strassman powiedział: „Wolałbym, by pani jeszcze nie odchodziła. Cierpliwości, proszę pani, więcej cierpliwości”. Później gadał coś jeszcze, nie pamiętam co. Był głupi, nieokrzesany. W każdym razie zaopiniował, że w grę nie wchodzi poczucie winy z racji mojej siostry, ale jakiś inny, zewnętrzny powód. Kiedy pozwoliłam Maudie upaść, patrzyłam, jak siniec ciemniejszy od wylewu drobnych podskórnych naczynek krwionośnych. Ale Maudie nie bardzo płakała. Pewnego razu byłam na spacerze z nią i z tatusiem. Posprzeczałyśmy się wtedy o ptaka. Ja twierdziłam, że to drozd pospolity, on, że wielogłosy. Był martwy: jakiś chłopiec zastrzelił go z wiatrówki. Maudie podniosła ptaka i trzymając w ręce głaskała po skrzydłach.

Doktor Strassman powiedział, że jestem nieskoordynowana i nieszczera. Uważał, że moje roztargnienie jest bardzo niepokojące, i dopytywał o te ptaki ze snów. Bardzo się nimi zainteresował, ale wolałam nic nie mówić.

Szłam chodnikiem po cieniach kładących się ukosem na wschód od kamienic. Mocno przyciskałam do piersi budzik i torebkę.

– Słyszała pani o bombie? – zaczął mnie mały chłopiec, krzyknął coś jeszcze i wbiegł do kawiarenki, gdzie stary Włoch, wymizerowany i blady, sprzedawał lody cytrynowe. W każdy sobotni wieczór pijaliśmy tam kawę „espresso”. Nie mieliśmy wtedy zegara i nie potrzebowaliśmy go wcale. Ściany były nagie, krzesła z drutu. Harry recytował Dantego po angielsku: – „Słuchaj, jak wielce była uwielbiona (Patrz mi w oblicze) Sam go widziałem: okrzepły jak skała – na klęczkach przy niej nieruchomej, jasnej, wzrok w niebo wznosił, bo tam w gwiezdnych stronach jest miłość, która (za jej życia) miała dom w jej urodzie promiennej, już zgasłej. O Beatrycze”.

– Czy to proroctwo? – zapytałam.

Wziął mnie za rękę i w tym momencie stary Włoch przydreptał, by zetrzeć ze stolika rozlaną kawę.

– Ty nie umrzesz nigdy – powiedział Harry. – Jesteś miłością, co w ruch wprowadza słońce i inne gwiazdy.

Skąd mu później przyszło do głowy, że ja nie potrafię kochać? Powinien przecież wiedzieć wszystko o moim zegarze.

Weszłam w cień, pod markizę kawiarenki. Wyjęłam z torebki budzik, uniosłam go pod światło.

– Dlaczego pani patrzy na zegarek? – zapytał mały chłopiec; twarz miał w cętki sadzy, spoconą, żółtą od soku cytrynowego.

– Bo go dopiero kupiłam i bardzo mi się podoba – wyjaśniłam.

– Ile kosztuje?

– Trzydzieści dziewięć dziewięćdziesiąt pięć, już z podatkiem federalnym.

– A gdzie go pani kupiła?

– U Macy'ego.

– Moja mamusia...

Nie słuchałam dalej. Wydawało mi się, że światło nie przenika do wnętrza zegara przez otwór guzika alarmowego. Może tam w środku bywają także dnie i noce, widno i ciemno na zmianę? Może leżąc rozciągnięci na sprężynach, półsenni, będziemy oglądać świty i zmierzchy. Pośród mroków czarniejszych niż najczarniejszy węgiel będziemy poruszać się we śnie, marzyć, wyciągać do siebie ręce poprzez poruszające się miarowo i stale zębate kółka. Nocami wcale nie będzie światła i dlatego właśnie monotony szelest stanie się jeszcze bardziej kojący, usypiający, pełen pociechy, głośniejszy. Później świt przyniesie purpurowy blask słońca i lazur nieba; a Harry zbudzi mnie ze snu pocałunkiem. Może tam przyjdą na świat nasze dzieci? Harry powiedział raz: „W twoim stanie nie chcesz niczego, co w życiu jest najbardziej naturalne. Więcej: stanowisz zaprzeczenie takich spraw. Trudno, nie będziemy mieli dzieci”. Byłam innego zdania, więc poszłam do lekarza przy Sutton Place. Wsunął mi do środka jakąś metalową rurkę z gorącą żarówką. To był Węgier. Kiedy krzyknęłam, ponieważ instrument parzył, lekarz powiedział: „Drażni, co? To nic. Ja tylko sonduję”. Sondował dalej, a mnie robiło się coraz goręcej, gorąco nie do wytrzymania. Patrzyłam na upudrowaną twarz Węgra, zawadiackie wąsiki, bezczelną, cyniczną minę... Nagle pojawiły się ptaki... Szły szeleszcząc nogami po piasku, wyciągały długie szyje, zwracały w dal obojętne, nieruchome oczy... Leżałam

wśród pustynnego krajobrazu własnych myśli... Tylko że to był szezlong lekarza. Drżałam z oburzenia i poczucia winy, a on mówił trzymając mnie za rękę: „Już dobrze, dobrze! Nie trzeba się wstydzić. To bardzo nieprzyjemny aparacik”.

Schowałam budzik do torebki. Ułożyłam go teraz na płask, pod zieloną jedwabną chusteczką. Nad kratą wentylacyjną tunelu kolejki podziemnej powstał kłęב dymu, cuchnący siarką, gorący, zupełnie dla mnie niepojęty. Pomyślałam, że ktoś umiera. Spoglądałam na rozpraszający się tuman, przez który mały chłopiec umknął przyskajac wokół sosem stopniałych lodów cytrynowych. Gdzieś daleko odezwały się dzwony kościelne. Przypomniały mi dom, o którym nigdy, nigdy nie powinnam myśleć. Idąc chodnikiem patrzyłam pod nogi, głośno stukając obcasami. Staralam się nie myśleć o niczym, lecz przychodziło mi to z trudnością. Było gorąco i pachniało morzem. W powietrzu unosiły się mewy, szybowały ku południowi w stronę rzeki. Jedna miała w dziobie rybę; upuściła ją; później wszystkie odleciały. Pić mi się chciało, więc pomyślałam, że warto by wstąpić do baru, przypomniałam sobie jednak, że to nie tylko pragnienie i z rozkoszą wypiłabym więcej niż jednego. Ale w takim przypadku zaczęłabym znowu tonąć, upał i alkohol nie przemknęłyby nade mną łagodnie jak fala. Nic podobnego.

Zacząłyby mnie wciągać w głąb powoli, bezlitośnie, niby ośmiornica. Znowu musiałabym przeżyć dzień topielicy „Nie! – powiedziałam sobie bardzo stanowczo – Nie...” Za wszelką cenę chciałam uniknąć wrażenia, że tonę... No i przez wzgląd na Harry'ego. Niech mnie zobaczy taką, jaką jestem teraz: trzeźwa, wesoła, godna szacunku, ładna. „Nie!” – pomyślałam raz jeszcze mijając fronton kina. „Na sali o dwadzieścia stopni chłodniej” – obiecywał niebieski plakat z lodowcowym krajobrazem. Kasjerka uśmiechnięta w swojej zaopatrzonej w klimatyzację klatce, spoglądała na upał z chłodnym rozmarzeniem; przypominała storczyk w oszklonej witrynie kwiaciarni. „Nie!” – powtórzyłam w myśli, ale na szyldzie przeczytałam „BAR” i niemal bezwiednie pchnęłam drzwi. W tej chwili wyszło z baru dwu młodych Murzynów dźwigających deskę. Z wnętrza dobiegało postukiwanie młotków. Jeden z Murzynów powiedział:

– Stary każe mi zawsze harować w najgorszy upał.

Mówił to z uśmiechem pod wąsem zupełnie takiej barwy jak jego skóra. Poczułam zapach ostry, przypominający cebulę wyrosłą dziko pod szopą. Miałam wielką ochotę dotknąć tego chłopca. Helena mówiła mi nieraz, że o Murzynkach nie należy mówić „panie”, tylko „kobiety”. Czasami odnosiliśmy z tatusiem pranie do La Ruth. O zmierzchu kury grzebały w przydrożnym kurzu. Spoglądałam wtedy na chromoniklowane okucia wnętrza samochodu i czułam podobny zapach. Murzyni mają prawie granatową skórę. Dziwnie musi być ich malować... Wahadłowe drzwi zamknęły się za mną. Pchnęłam drugie i znalazłam się w barze, gdzie było chłodniej nie o dwadzieścia, lecz o trzydzieści lub czterdzieści stopni¹⁷. Kichnęłam. Plecy przestały mi się pocić. Salka była prawie pusta. Bufetowy o twarzy pstrąga milczał, ścierką wycierał ladę. Zadrżałam z zimna i kichnęłam znowu.

– Proszę martini – powiedziałam.

Usiadłam na wysokim stołku, czerwonym i bardzo chwiejnym. Pachniało dżinem. Z zaplecza dochodziło stukanie młotków. Radio było włączone. Głos tragiczny niby bezgwiezdna noc przerwał jakąś muzykę – chyba *Schlage doch, gewünschte Stunde* – zaczął mówić o bombie. Nie słuchałam go wcale. A więc Harry i ja... Przez torebkę dotknęłam budzika, wyczułam palcami guziki i uchwyty nieodzowne, by funkcjonował. Pomyślałam: „Czy nie dałoby się zbudować zegara nakręcanego raz na zawsze? Przecież możemy zasnąć na czas zbyt długi, a w takim przypadku ustanie ruch wszystkich kółek, trybów, sprężyn, dźwigni, zapanuje złowróżbna cisza, a my zaczniemy opadać ku ziemi zamiast ulatywać w górę”. W drżącej powierzchni koktajlu zobaczyłam odbicie swojej twarzy. Później wszedł jakiś żołnierz i usiadł na sąsiednim stołku. Nie miałam wrażenia, że tonę. Widać tak było dawniej, a teraz przeszło, minęło.

– Chyba my się znamy – zagadnął mnie żołnierz.

– Nie mieszka pani czasem gdzieś niedaleko Prince? Myślę, że już panią widziałem.

Był przystojny, śniady, ale kiedy otworzył usta, okazało się, że ma popsute zęby i obrzydliwie cuchnie czosnkiem. Milczałam. Usiłowałam myśleć. W lustrze nad bufetem przyglądałam się sąsiadowi. Pociągnęłam pierwszy łyk i poczułam, że coś się dzieje we mnie, w dole brzucha. Kiedy byłam podlotkiem, myślałam, że to krwawa biegunka. Wyszłam na ganek, usiadłam obok Maudie i patrząc na zatokę medytowałam o rychłej śmierci.

– Myślę, że już panią widziałem – powtórzył żołnierz.

Spojrzałam na niego.

– Bardzo możliwe – powiedziałam. – Mieszkam przy tej ulicy.

– Ale skąd pani pochodzi? Akcent jakby południowy. Służyłem dawniej w Fort Bragg. To Północna Karolina.

– Myli się pan. Jestem Angielką. Pochodzę z południa Anglii. Wyrażając się ściślej z Dorset.

– Ale akcent ma pani południowy. Hm... Tak jakby...

Położył dłoń na ladzie. Miał brud za paznokciami. I te popsute zęby! Że też wzięli go do wojska...

– Nie. To akcent angielski – powiedziałam.

– Zimno pani? Tak się pani trzęsie. Mogę dać moją bluzę.

– Nie. Dziękuję. Zupełnie mi ciepło.

Pociągnęłam znów martini. Oczy mi zwilgotniały. Pomyślałam, że stanowczo pić nie powinnam.

– Czy ja nie widywałem pani z Tonym... Jakże się nazywa?... Aha! Cecchino. Razem chodziliśmy do szkółki parafialnej.

– Nie – odwróciłam głowę i powtórzyłam dobitniej:

– Nie! Nie znam Tony'ego Cecchino. Jestem tu obca. Przyjechałam z Anglii... z Dorset w odwiedziny do wujostwa. Nazywają się Lacorazza.

– Nie wygląda pani na Włoszkę. Powiedziałbym raczej, że jest pani z Irlandii, może nawet z Niemiec.

– Pochodzę z Toskanii. Tam, widzi pan, mamy jasną kompleksję. Urodziłam się w Perugii, a jak miałam cztery lata, rodzice wyjechali do Dorset w Anglii.

– Perugia nie leży w Toskanii, a Lacorazza to sycylijskie nazwisko.

– Czy to ważne? – znów odwróciłam się do sąsiada.

– Nie kręć gitary, mała – podjął żołnierz bardzo przyjaznym tonem. – Widywałem cię z Tonym Cecchino. Znasz go, co?

Wszystko zaczęło wracać: znowu spiętrzyła się woda, zaszeleściły skrzydła. Na moment utraciłam zdolność myślenia. Co? Kiedy? Może on spostrzegł, że drżą mi palce? Boże, czemu mam aż tak cierpieć? Moje biedne, bez lotne ptaki nadciągają dostojnie przez ciemniejące piaski. Czemu mają popsuć ten dzień? Niepilno im. Za ścianami kroczą sztywno, chrzęszcząc piórami równie bezużytecznymi jak włosy. Wzdrygnęłam się, pomyślałam: „Nie! Nie!” – a później przyszły niewymówione słowa, których rozpaczliwie unikałam od rana w mowie i w myśli: „Czy on nie wróci do mnie? Czy nie wróci nigdy?” Nie! On nie żyje. Ale mogłam powiedzieć tylko:

– Nie. Tony? Nie znam żadnego Tony'ego.

Nic podobnego. Mój staruszek nie umarł. Szelest bezskrzydłych piór, bezlotnych skrzydeł. One maszerują, maszerują uparcie przez gęstniejący zmierzch. Harry powiedział raz: „Jak możesz, Peyton, zachowywać się w taki sposób? Nie widzisz, jaką robisz nam krzywdę? Nie zdajesz sobie z tego sprawy? Czego ode mnie wymagasz? Nie jestem twoją pokojówką. Chodzi przecież o harmonijne współzycie, nie o twoją zależność przeciw mojej, tak zwanej żelaznej ręce. Czasem wydaje mi się, że kłujesz nie gorzej niż oset”. Później zapytał, co miałam na myśli, mówiąc, że wygłupiał się z tamtą dziwką. Nie mogłam ścierpieć takiego gadania po tym, co się poprzednio zdarzyło. Upiliśmy się ostro u Alberta Bergera. Miałam wrażenie, że tonę w odmętach letniej nocy. Albert pociągał nosem, przecierał zapotniałe okulary, obracał w palcach szklanekę. Mówił: „Nie czytałaś nigdy Ernesta Haeckla! Szkoda. Wcale niezły. Przy nim Spencer wygląda na osła, tchórza i pętaka. Kto, jeśli nie stary Ernest zgłębił absolut. Bóg to automat do modłów, mgławica...” Czułam, że tonę bez ratunku w upale i dżinie. Słyszałam dzwony, przypominałam sobie słowa: „Jak długo, o Panie, będziesz ukrywał swoją postać? Czy twój gniew musi palić niby płomień?” „Pamiętaj – zwróciłam się do Alberta – że mam mało czasu”. Wstaliśmy i przez pokój pełen rozgadanych twarzy w okularach poszliśmy na poszukiwanie Harry'ego. W kuchni całował tamtą dziewczynę, uciekinierkę z Niemiec. Nazywała się

Marta Epstein. Znienawidziłam Żydów, kiedy zobaczyłam rękę Harry'ego na jej tyłku. Później prosił o przebaczenie, błagał o nie na klęczkach. Ale kuranty dzwonów huczały w moim mózgu, tonęłam nadal, myślałam, że źle się dzieje na tej ziemi. We mnie też źle się działo. Czułam, że nie potrafię zapomnieć. Nigdy... Nigdy! Powiedziałam: „Robiłeś takie rzeczy, a ja topiłam się właśnie. To okropne. Nigdy ci nie wybaczę”. Tonęłam istotnie. Upał tamtego lata był jeszcze bardziej zjadliwy niż teraz. Podchodził do gardła, dławił. Na widok ręki Harry'ego na zadku tamtej dziwki mogłam umrzeć, ale nie przebaczyć. Czy to nie więcej? Wreszcie Harry powiedział: „Cóż, sprawy, które tak cię wytrącają z równowagi, trudno nawet nazwać sprawami. Chodzi o ciebie i twoją zawziętą mściwość”. Wiedziałam, że mam rację. „Jedno drobne wykroczenie – jak wyraził się Harry – nie powinno zranić tak boleśnie”. Miał słuszość i dlatego właśnie nienawidziłam go jeszcze bardziej. Wewnętrzna uraza posługiwałam się niby maczugą, zadając ciosy bardziej samej sobie niż jemu. Rękę Harry'ego na tamtym kościstym tyłku opiętym w czarny atłas... Na knykciach palców włosy sztywne jak różki motyla... Tych jego palców nie mogłam przepędzić z wyobraźni dniem i nocą. Gdybym nie tonęła w tym czasie, nie uległabym nienawiści, potrafiłabym przebaczyć. Ale upał i dżin... Zdaje mi się, że później całowałam jakiegoś zaspanego pijaka, a Harry przyglądał się nam spod oka, jakoś dziwnie. Obydwoje

byliśmy zupełnie urzędnicy. Coś mi chodzi po głowie, że pchałam język w usta tamtego pijaka... Teraz dręczyło mnie coś podobnego: nie Marta Epstein, lecz wrażenie, że tonę. Utraciłam zdolność myślenia.

– Co się z tobą dzieje, mała? – zapytał żołnierz.

Pióra chrzęściły znowu, długie nogi rozgarniały piasek obojętnie, bezszelstnie. Nie byłam w stanie myśleć, tylko pamiętać. Pamiętałam, że w Darien leżeliśmy z Earlem Sandersem, rozciągnięci nago na balkonie. Mieliśmy w zapasie całą kwartę likieru miętowego i rozmawialiśmy o Dorothy Sayers. Później on nie zczekał, aż będę gotowa, i to mnie zabolalo. Pierwszy raz zobaczyłam wtedy ptaki – na jawie, nie w marzeniach sennych. Sztywne, niby pierzaste wycieraczki do kurzu, sunęły tłumnie trawnikiem pod klonami.

Zamknęłam oczy, by odciąć się od paskudnego blasku słońca Connecticut. Wiedziałam, że płacę teraz Harry'emu za „jedno drobne wykroczenie”. Tonęłam na tamtym tarasie, a kiedy potem usnęłam, śniło mi się również, że tonę.

Dałam znak podniesioną ręką i bufetowy podał mi drugi martini.

– Pozwolisz mała, że ja zapłacę? – powiedział żołnierz zionąc czosnkiem.

– Nie. Dziękuję.

– Nie bądź taka... Powiedz, laleczko, jak ci na imię.

– Mary... Mary Ricci.

- Miło mi cię poznać, Mary.
- Mnie również.
- Nazywam się Mickey Pavone.
- Bardzo mi przyjemnie, Mickey.
- Co robisz dzisiaj wieczór?
- Mam spotkanie z Harrym.

Ząb mnie rozboleł od martini. Zastukały gdzieś młotki; ze ściany opadł kawałek tynku. Znow poczułam, że tonę, lecz woda nie przenika we mnie, jak gdybym ją połykała; jest na zewnątrz, chociaż mnie nie dotyka; przypomina raczej mętne, lepkie światło. Czepia się szyb okiennych, lustra, nasyca powietrze czymś galaretowatym, mlecznym... Boję się własnych myśli bardziej niż tej wody, która jest obca, obojętna jak moje ptaki, jak podmorska ściana nieruchoma i nie stanowiąca groźby.

Wolałam o tym nie myśleć.

– Mam spotkanie z Harrym – powtórzyłam, jak gdybym odpowiadała na pytanie, które nie padło. – Mam spotkanie z Harrym.

- W porządku. Wierzę ci, laleczko. Kto to jest Harry?
- Mój brat. Harry Ricci.
- Aha... Masz brata.
- Tak. Nawet trzech.
- A ja pięciu – powiedział żołnierz. – Co robi Harry?
- To makler giełdowy z Filadelfii. Bardzo bogaty facet.

– Ja też mieszkałem kiedyś w Filadelfii, w Darby. Diabelna tam wilgoć. A w jakiej dzielnicy mieszka ten Harry?

– W Shaker Hights – odpowiedziałam i przymknęłam oczy, żeby nie widzieć wody; pomyślałam: „Nie! Nie!”

– Mnie nie zbujasz, laleczko – roześmiał się żołnierz.

– Przed wojną pracowałem w Cleveland. Shaker Hights to przedmieście Cleveland.

– Wiem. Harry mieszka teraz w Cleveland. Mówiłam przecież, że jest z Filadelfii.

– Strasznie kręcisz, laleczko. No, śmiało! Powiedz Mickeyowi, jak to naprawdę wygląda. W jakim gmachu twój brat pracuje, jeżeli rzeczywiście jest w Cleveland?

Odwrociłam wzrok od widoku ciemnych dziąseł i niewielu ocalałych zębów. Zaczęłam znowu myśleć. Prawie usłyszałam głos Harry'ego: „Dlaczego kłamiesz, Peyton, systematycznie i wytrwale. Dlaczego mówisz o Greenwich, skoro wiem, do diabła, że byłeś w Darien..”. Spojrzałam na żołnierza. Nie wiem dlaczego omal się nie rozplakałam. „Nie” – pomyślałam raz jeszcze.

– Harry nie pracuje w żadnym gmachu, tylko w domu... No i... – umilkłam.

– I co, mała?

– I to nie twój interes.

Żołnierz przechylił się do tyłu, klepnął po kolanie, wybuchnął śmiechem. Widziałam jego otwarte usta i zęby, jak okruchy kości słoniowej, czarne dziąsła, mięsisty język.

– Strugasz ze mnie wariata, Mary – zawołał. – Fajna z ciebie blagierka!

– Zgadza się – powiedziałam i jednym dużym, palącym łykiem dopiłam martini. – Teraz muszę się śpieszyć. Mam spotkanie z Harrym.

Żołnierz rechotał jeszcze.

– Z Harrym! Jak Boga kocham. Powiem Tony'emu Cecchino, że go wystawiasz do wiatru.

Miałam na końcu języka: „Lepiej nie mów”, ale nic nie powiedziałam, bo przypomniałam sobie, że muszę zapomnieć o Tonym.

Poczucie winy ma pióra jak moje ptaki, które nadchodzą z tajemniczym szmerem rozpościerając bezłotne skrzydła. Nie chciałam o tym myśleć. Tony mówił coś o dzisiejszym wieczorze. Na łopatkach miał kłaki, sztywne jak druty. Harry! Zrobiłam to, ponieważ kochamy się wzajemnie. Raz nie spaliśmy przez całą noc. Leżąc obok mnie Harry mówił: „O boska Beatrycze! Widzę nad tobą, o pani girlandę z najpiękniejszego uwitą kwiecia”.

– Czego znów beczysz, Mary? – powiedział żołnierz.

– Daj spokój. Nie nagadam na ciebie.

Spojrzałam na niego przez wodę. Przestałam nagle płakać.

– Lepiej nie mów, Mickey. Bardzo cię proszę.

Pomyślałam, że mi wszystko jedno. I tak skończy się z Tonym, jak Harry wróci. Tylko trzeba się przeprowadzić, bo Harry i Tony nie mogą przecież mieszkać drzwi w drzwi. No i ta pani Marsicano. Mniejsza o nią... Harry zapłaci komorne. Będzie zadowolony, że tak starannie posprzątałam.

– Dobrze. Powiedz o wszystkim Tony'emu – zwróciłam się do żołnierza. – Tylko...

– Tylko co, Mary?

– Zaczekaj do jutra.

– Zgoda, laleczko.

Wstałam przyciskając mocno do piersi torebkę i zegarek. Uspokajało mnie to trochę. Blisko serca słyszałam czysty szelest mnóstwa kamieni i sprężyn. Mgła atomowa... Spiker mówił właśnie, że jak świat światem nie było równego zniszczenia.

– Czego tak stoisz, mała? – zapytał żołnierz.

– Słucham radia... Obcuje z duchami zmarłych.

– Chyba masz niezłego kota, co?

– Do widzenia, Mickey.

– Na razie, Mary.

Za drzwiami weszłam jak do kuchni, w której pali się gaz w piekarniku i pod wszystkimi fajerkami. Żar kolosalny, dławiący przesycił różne wyziewy. Czułam piekarnię, prażoną kukurydzę, spaliny, fabryczne dymy i ścieki. Usiłowałam myśleć i – dziwna rzecz – straciłam pół minuty, może minutę, by zdecydować, w którą pójść stronę: na prawo czy lewo. Co najmniej tysiąc razy byłam w mieszkaniu Lennie'ego, wiedziałam, że należy iść na północ. Ale zdawało mi się, że ten bar leży w jakimś obcym kraju. Może odeszłam już za daleko ku północy? Ostatecznie zapytałam o drogę jakąś dziewczynkę. Pochłonięta była lizaniem porcji lodów, którą obsiadły czarne muchy.

– Tędy – wskazała w kierunku północnym. – Druga przecznica.

– Na pewno?

– Ma się rozumieć.

– Bardzo dziękuję – powiedziałam.

Ruszyłam z miejsca spoglądając na beton chodnika, zataczając się trochę. Trudno było poruszać się tak w wodzie... Ale bóle przycichły, prawie zupełnie zanikły. W tym miesiącu miałam szczęście: ból głowy i lekkie mdłości. Nagle pomyślałam, że gdybym nawet zaczęła naprawę tonąc, gdyby ten dzień rzucił na mnie wszystkie masy wód oceanu, i tak Harry utrzymałby moją głowę na powierzchni. To moja radość i duma... Do licha z Tonym! Z drogerii zapachniało chłodno coca-colą i lekarstwami, ale poszłam dalej. W oknie wystawowym, między poplamionymi sadzą białymi i niebieskimi szarfami z bibułki widniał napis: „LAXATEEN – Trwale usuwa nieregularność trawienia”. Albert Berger miał hemoroidy. Zatrzymałam się, przez chwilę stałam pod markizą zamyślona. O Harry! Harry! Nie... Powiedział raz: „Żądasz niemożliwości, Peyton, zupełnej niemożliwości. Coś odziedziczyłaś po matce, tylko na odwrót. Jesteś Heleną z jej obsesjami skierowanymi w przeciwną stronę. Mówisz o moich nieregularnościach umysłowych. A co powiedzieć o twoich. Pieką cię majtki i tyle”. Odpowiedziałam tylko... Działo się to dwa miesiące temu. Czy on nie widział, jak bliska byłam utonięcia? Odpowiedziałam tylko: „Harry... Najdroższy!” Zwróciłam się też do Lennie'ego: „Namów go do powrotu. Obiecuję poprawę. Ja tonę”. Ale oni nic nie widzieli, nie mogli widzieć. Harry powiedział: „Wracaj do swojego włoskiego przyjaciela”. Nie potrafiłam im wytłumaczyć, że z Tony'm

to zupełnie inna sprawa. Zawinił upał, dżin i to, że zaczynałam się topić. Przepychaliśmy szyb do zrzucania śmieci. Wtedy zobaczyłam wśród włosów na jego piersi medalik ze świętym Krzysztofem. Był ze złota czy jakiejś imitacji... Tyle dżinu wypiałam... Tony objął mnie i... Wszystko, co trzeźwe, krzyczało we mnie, ale... Mój Boże! Krzyki nie przenikają wody. Czy Harry nie może tego pojąć? Ręka Tony'ego była już we mnie... Harry powiedział: „Nie chodzi o jedno drobne wykroczenie. To wielka różnica klepnąć kogoś po dupie czy zaraz iść na siano z mleczarzami”. Czy on nie może zrozumieć? „Nigdy już tego nie zrobię! – zawylałam. – Ja tonę! Jesteś mi potrzebny!” Czy on nic nie rozumie? Powiedział: „Jesteś pijana, i koniec. Dałem ci wszelkie szanse. To samo plotłaś, kiedy wróciłaś z Greenwich... Cos, Cob, Darien czy gdzie tam byłaś z tym pisarzyną. Idź do diabła!” Mój biedny, biedny Harry. Nic nie potrafił dostrzec. „Potrzebny, potrzebny! – syczał. – Mogę być potrzebny pod warunkiem, że będę również kochany. Idź do diabła!”

Pod markizą było trochę chłodniej. Nadeszły dwie tęgie zakonnice w letniej bieli. Kiedy mijały mnie, jedna szepnęła poufnie po francusku:

– *Monseigneur O'Toole... la la... gros comme un moine...18*

Były spocone. Przypominały biało lukrowane bułki maślane. Zniknęły za rogiem ulicy.

Dzwony jęknęły w mojej tonącej duszy. „Nie! – pomyślałam. – Na Boga, nie! Przecież on wróci ze mną”. Podniosłam do ucha torebkę, w której budzik tykał miarowo, spokojnie, jak dawniej. Tam znikną wszelkie nasze winy, pośród regularnego systemu dźwigni i kółek, w wodnistych, połyskujących rubinowo blaskach słońca.

– Niech pan mi pomoże! Proszę – odezwałam się nagle, a drogista, który stał we drzwiach swojego sklepu, zapytał:

– Co się panience stało? Czy ucho boli?

Był stary, bardzo niski; włosy wyrastały mu z nozdrzy.

– Tak – powiedziałam.

Trudno się połapać na tym świecie, jak nieraz mówił Harry. Ten człowiek chciał mi pomóc tylko dlatego, że go poprosiłam.

– Tak – powtórzyłam. – Ucho mnie bardzo boli. O, tutaj...

Przycisnęłam torebkę do skroni.

– Lepiej niech pani pójdzie do doktora – podjął drogista.

– Niebezpieczna historia. Infekcja może przenieść się do mózgu i koniec z panią.

– Aha... Okropnie boli.

– Proszę zaczekać chwilę. Przyniosę pani dwie tabletki aspiryny – powiedział drogista i wszedł do sklepu.

Stałam wśród skwaru. Torebkę przyciskałam do skroni. Słuchałam kojącego szmeru sprężyn i kólek. Wiedziałam, że on wróci, więc próbowałam myśleć o czymkolwiek – muzyce, poezji, budziku, o muzyce i poezji zawartej w budziku– o wszystkim, byle nie o Tonym i wyprawie do Darien z Earlem Sandersem i o innych swoich złych uczynkach. Mój Harry jest czuły, wyrozumiały... Trzeba go ugłaskać, sprowadzić do domu... Ale to przecież postanowione, osądzone nieodwołalnie, że ja nigdy go nie odnajdę. Raz, kiedy byłam mała, rozboleło mnie ucho. Tatusz trzymał mnie za nogi, sąsiad, pan Lewis, za ręce, a doktor Holcomb wsunął mi do ucha jakiś instrument i coś tam przebił. Strasznie wrzeszczałam, a ona powiedziała: „Biedactwo. Biedna moja Peyton. Czy to naprawdę tak bolało? Czy musisz robić tyle krzyku?” Później posprzeczali się z tatusiem, a ja usnęłam. Miałam gorączkę. Śniła mi się tłusta kobieta, która siadała na mnie, i mały chłopiec zbierający na łące fiołki.

– Proszę połknąć te tabletki i pójść prosto do lekarza. Słyszysz panienka?

– Tak – popiłam aspirynę wodą z kubka, który mi podał drogista.

– Trzeba pójść prosto do lekarza. Rozumie pani? Niech się infekcja rozszerzy, a będzie z tego zapalenie opon mózgowych. Doktor się panią zaopiekuje.

– Dziękuję – powiedziałam. – Bardzo panu dziękuję. Którędy na Cornelia Street?

– Tędy. Druga przecznica. Proszę pójść prosto do doktora – poruszał nosem zabawnie jak królik.

– Dziękuję panu. Do widzenia.

– Do zobaczenia, panienko.

Odeszłam chodnikiem piastując troskliwie torebkę i budzik. Byłam spocona. Wiedziałam, że nie spodoba się to Harry'emu. Szkoda, że zapomniałam o Odorono... „ODORONO – Oszczędza ubranie – Zapobiega plamom”. Byłam ładnie ubrana. Jedwabna sukienka w kremowe i błękitne paski szeleściła przyjemnie. Chyba Harry będzie kontent ze mnie. Ze skrzyżowania, czekając na zmianę świateł, prawie widziałam koniec Cornelia Street, gdzie mieszkał Lennie. Ale widok zasłaniała słynna gwiazda sceny, ekranu i radia. Jeanette MacDonald. Jej drewniana makieta wyblakła i odrapana trzymała w jednej ręce papierosa. Druga, amputowana, leżała opodal w trawie. Siadali na niej, żeby odsapnąć trochę, chłopcy grywający w baseball w pobliskim cieniu. Pochyliłam się i wyjrzałam zza makiety. Ale na trzecim piętrze zobaczyłam tylko jedno okno z zieloną pasioną. Nie było w nim Harry'ego. Zastanawiałam się, co powiedzieć należy. Oczywiście budzik zostanie na koniec, jako swojego rodzaju niespodzianka. Może Harry będzie sam? Najprzód naciśnę dzwonek. Później wejść wolno na trzy kondygnacje schodów. Z góry dobiegnie jego głos: „Kto tam? Czy może?..”. Nie odpowiem. Zaczekam na moment. Wreszcie, trochę zdyszana, zastukam do drzwi. On otworzy. „Dzień dobry – powiem. – Dzień dobry. Z pewnością jesteś zdziwiony, że mnie widzisz”. A Harry na to: „Nie. Wiedziałem, że przyjdiesz”. „Bardzo mi przykro, Harry –

powiem i zaraz dodam: – Kocham cię, Harry”. Drzwi zamkniemy na klucz i zasłonimy okna. Będziemy leżeć razem w upale i półmroku popołudnia, będziemy patrzeć na zmierzch zapadający późno, wygodnie rozciągnięci na sprężynach, półsenni. Będziemy ścisnąć sobie ręce przez ustawicznie ruchome, ustawicznie tykające kółka... Ciemność, ciemność tak doskonała jak we wnętrzu ziemi, rozjaśniona jedynie połyskiem rubinów, diamentów połyskujących samorodnym światłem, nieskazitelnym, boskim... „O Beatrycze, to blask tak uroczy – mówił niegdyś Harry – tak sercu miły, że odwrócić oczy nim urzeczony byłoby zaiste czymś ponad siły”. Raz w Richmond on niósł mnie na piętro; płynąc tak pod górę rozkołysana w jego ramionach czułam się swojsko jak w domu. Nagle położył mnie na nieznanym łóżku... „Tatusiu! – krzyknęłam. – Tatusiu!” Nie nazywałam go jeszcze staruszką. Jeszcze nie. Ale o tamtych sprawach nie wolno myśleć. Przycisnęłam budzik do piersi, zeszałam z chodnika, by spojrzeć ku górze, w okno. Wtem usłyszałam za sobą potworny, ogłuszający zgrzyt opon, tak bliski, że prawie zobaczyłam iskry, umęczony asfalt, podarty kauczuk. Odwróciłam się, aby naprawdę zobaczyć metalowe uśmiechnięte oblicze chłodnicy ciężarowego wozu i jeden wyraz „CHEVROLET”, który naciera na mnie, grozi, rośnie szybko i wreszcie zatrzymuje się o niespełna dwa cale od moich oczów.

– Wariatka! Pilno ci na tamten świat?

Z okna szoferki wychyla się głowa: przełamany, zapadnięty nos, jak przydeptana łyżka, wyłupiaste oczy pełne pasji, pod nimi rude plamy dawno nie golonego zarostu.

– Wariatka! – ryczy kierowca. – Nie widziałaś, że jadę? Przecież patrzyłaś w moją stronę, co?

– Na pewno nie patrzyłam – powiedziałam. – I proszę na mnie nie krzyczeć.

Ale kierowca gadał i gadał dalej, a ja stałam tuląc do piersi budzik. Za ciężarówką poczęły się odzywać klaksony innych samochodów.

– Taką to doktor powinien zbadać. A jak bym cię potrącił, głupia, to co?

– Proszę na mnie nie wrzeszczeć – powiedziałam spokojnie. – Nie jestem głucha.

W tym momencie zjawił się policjant z brunatnymi plamami potu na koszuli.

– O co tu chodzi?

– O tę pomyloną paniusię. Zeszła na jezdnię przy czerwonych światłach. Mało co jej nie przejechałem. Z takimi tylko zawracanie dupy...

– No, no! – przerwał policjant. – Uważaj pan, co gadasz.

Był to głos z Mayo, Down lub Antrim. Przypomniiał mi bujną zieloność i jakiś bardzo odległy fantastyczny trawnik.

– Proszę powiedzieć, panienko, jak szybko ten gość jechał?

– Szybko jak wiatr. Nawet prędeej.

– Prędeej od wiatru, powiada pani?

– Tak.

Policjant spojrział na mnie przebiegle, podejrzliwie.

– No to może panienka powie, jak prędko będzie prędeej od wiatru?

– Nie wiem – odpowiedziałam cisnąc do piersi torebkę i budzik; miałam ochotę rozplakać się, ale nic z tego nie wyszło. – Nie wiem. W każdym razie bardzo prędko.

– Aha... Trzeba uważać, panienko. Trzeba uważać. Nie robić ludziom niespodzianek, bo może ich to diabelnie wystraszyć.

Klaksony porykiwały zawzięcie z obydwu stron skrzyżowania. Wzmagał się chromatyczny chór chrapliwych dźwięków. Policjant dał ciężarówce znak, że może jechać. Zgrzytnęła skrzynia biegów. Kierowca, blady jeszcze ze strachu, spojrział na mnie z odrazą.

– Trzeba uważać, panienko – powtórzył policjant.

– Będę uważać – obiecałam tuląc wciąż budzik do piersi.

Spojrział na mnie spod oka, pociągnął nosem.

– Wypiła pani trochę, co?

– Tak – przyznałam. – Wypiłam dwa martini w „Barze Neapolitańskim”.

– Niech się pani nie boi. Nic złego nie zrobię. Wolno zapytać, dokąd pani idzie?

– Muszę się spotkać ze staruszką.

– Ze staruszką? – powtórzył zdziwiony.

– Nie... To jest... Z Harrym.

– Aha... Bardzo dobrze... Może mógłbym pani znaleźć drogę? Wygląda na to, że pani zabłądziła.

– Nie. Idę na Cornelia Street... O, tam.

Pod rękę prowadził mnie na drugą stronę ulicy.

– W Nowym Jorku trzeba bardzo uważać – podjął.

– Kierowcy jeżdżą jak szatany.

Widziałam wodę wzbierającą na jezdni, czystą, przejrzystą. Znów zaczynałam tonąć. Bóle także wracały.

– Rzeczywiście, jak szatany – przyznałam. – U nas w Wirginii tak nie jeżdżą.

– A, to pani z Wirginii?

– Tak. Z Port Warwick. Harry to mój stryj. Też z Port Warwick. W Nowym Jorku zatrzymał się przy Cornelia Street, u Lennie'ego.

– A kto to jest Lennie?

– Lennie? Nasz kuzyn.

– Wolno zapytać, co pani niesie tak ostrożnie w torebce?

Podniosłam wzrok. Uśmiechnęłam się do policjanta.

– W zeszłym tygodniu obrabowaliśmy z Harrym bank przy Dziewiątej ulicy. Jeszcze nikt o tym nie wie. W torebce mam całą forszę.

Byliśmy na krawężniku. Policjant zadarł głowę i roześmiał się głośno.

- Niezły numer z pani! – poklepał mnie po ramieniu.
- Ale proszę uważać.
- Dobrze, będę uważać. Bardzo panu dziękuję.
- Nie ma za co.
- Do widzenia.
- Do widzenia.

Po drodze do Lennie'ego znowu chwyciły mnie bóle. Ledwie zdołałam powstrzymać torsje. Oparłam się o słup latami i poplamiałam rdzą rękę. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, że staję się coraz bardziej niemoralna. Przez cichą, jasną wodę nadchodziły ptaki z rozpostartymi skrzydłami. Chmura zdawała się przesłaniać światło – jak wachlarz mrozić pot na moich plecach. Stałam oparta o słup. Bóle w dole brzucha wzmagaly się wciąż, narastały. Pomyślałam, że jedna kropla alkoholu mogłaby uratować życie nieszczęsnej, potępionej Peyton. Taka byłam niemoralna... Może mimo wszystko on powie w końcu „nie”, jak raz już powiedział, chociaż był wtedy bardziej niż ja zrozpaczony. „Nie, tego nie rozumiem. Słyszałem o mężczyznach, którzy dziwaczejają zupełnie w ciągu roku czy dwu lat. Ale żeby tak się załamała młoda dziewczyna dobra, przyzwoita, o szlachetnych popędach... Nie! Tego nie rozumiem, Peyton, i myślę, że ty nie rozumiesz. Co się z tobą dzieje?” Cóż, Harry nie wiedział, że często tonę, ani o ptakach. Nigdy mu o tym wszystkim nie mówiłam. Nie wiedział o ptakach. Nie wiedział, jak zabolala mnie przygoda z Martą Epstein i „jedno drobne wykroczenie”. Czy potrafi wybaczyć to, że nie mogłam mu wybaczyć i wszystko inne? Czy zrozumie, jak dotkliwie cierpiałam z powodu własnej nienawiści i własnej rozpaczny? Nie zgłębi tego. Nigdy nie zgłębi niczego. Kiedy byłam w Darien z Earlem Sandersem, staliśmy raz w kabince natrysku. Nagle

zaszeleściły pióra, ptaki stłoczyły się za przezroczystą, żółtą zasłoną. Pod strumieniami pianistej wody przyłgnęłam do Earla Sandersa, lecz myślałam o Harry'm. Myślałam: „O moje ciało! Biedny, zgłodniały wiecznie okruch Boga. Nieszczęsna istota ludzka”.

Bóle minęły. Wyprostowałam się pod słupem latami. Później wzięłam torebkę i poszłam dalej chodnikiem. Światło nad dachami domów ciemniało. Ludzie wychodzili z domów, by odetchnąć chłodniejszym powietrzem – leniwi, ociężali jak zaspane koty. Pomyślałam o jeszcze jednym martini, ale przed kamienicą, w której mieszkał Lennie, wywietrzało mi to z głowy. Serce biło mi mocno. Przystanąłam na chwilę. Na którymś tam piętrze, u wyjścia na drabinkę pożarową, jakaś kobieta trzepała koc, podnosząc tumany kurzu. Gdzieś darło się niemowlę. Na ogół jednak ulica była pusta i spokojna. Wiedziałam jedno: nie wolno mi myśleć o domu.

W sieni nacisnęłam guzik i dzwonek odezwał się na górze– cicho, jak odległy sygnał telefonu słyszany przez sen. Raz, drugi, trzeci... Ulicą przejeżdżały ciężarówki i autobus. Wyraźnie słyszałam syk drzwi otwieranych na przystanku i drugi, kiedy się zamykały, później oddalający się pracowity łoskot silnika. Przez moment zdawało mi się, że jestem też w przepełnionym autobusie cuchnącym wewnątrz spalinami i rozgrzaną skórą siedzeń. Jechałam w kierunku centrum miasta – coraz dalej od swoich trosk, od bicia udręczonego serca. Naprawdę jednak stałam nadal w sieni – sama, z twarzą zroszoną potem. Dzwonek brzęczał już pięciokrotnie. Jeszcze raz nacisnęłam guzik – bez rezultatu. „Ach, Harry...” – pomyślałam, usiadłam na ławce koło drzwi i wyjęłam budzik z torebki. Nie! Nie! Zrozumiałam, że pocieszam się niemądrze, jak dziecko. Tyle rzeczy dobrych okazało się ostatecznie dymi... Nie chcę! Nie chcę myśleć nawet o kojącym zmroku i wiecznym ruchu zębatych kółek. Strzegłam tych marzeń dla Harry'ego, ale on... Ach, Harry! Czy nie wróci do mnie? Schowałam budzik i położyłam rękę na torebce, by czuć ustawiczny ruch sprężyn i dźwigni. Za drzwiami rozległ się tupot kroków i grad uderzeń obcasów. Dwa błyski światła na rozwianych włosach i kobiecy głos:

– Dzieci! Do domu! Dorothy, Tommy! Do domu!

Siedziałam cicho, prawie bez ruchu. Myślałam o swojej ostatniej, zaprzepaszczonej miłości. Boże! Dziś muszę umrzeć, lecz później, kiedyś stanę na tej ziemi czysta znowu i nieskalana. Próbowałam modlić się bez łez, ale płakałam, kiedy się modliłam, bo nie potrafiłam powiedzieć, kogo i o co proszę. Mówiłam, że nie ma Boga. Że Bóg to mgławica... Jak można modlić się do czegoś, co przypomina meduzę? Nie warto. Z torebki wydobyłam bibułkową serwetkę, otarłam oczy. Będę dobrą dziewczynką, jak mówił zawsze mój staruszek. Raz w szkole było przedstawienie i ja dostałam rolę ducha światłości. Miałam na sobie srebrzystą szatę, prawie przezroczystą. Później staruszek wziął mnie na kolana. Kiedy zarzuciłam mu ręce na szyję i spojrzałam w twarz, była skupiona i czerwona jak buzia niemowlęcia, które robi w pieluszki. „Musisz być grzeczną dziewczynką, kochanie. Nie przejmuj się tym, co ja robię. Nie przejmuj się tym, co ona mówi. Moja babcia powtarzała często: «Bądź dobry, a w niebie znajdą się ciasteczka dla ciebie»”. Staruszek lubił cytować te słowa babci. Innym razem wypłynęliśmy z tatusiem żaglówką. Chwytałam dłonią wodorosty, obserwowałam kraby na mieliznach. To zawikłana historia. Matka uderzyła mnie szczotką czy czymś takim. Była zła, bo namówiłam staruszka, by pozwolił mi ostrzyć krótko, *à la* Marlena Dietrich, te moje śliczne włosy. Później wypłynęliśmy z nim żaglówką. Myślałam o babci, która

miała zawsze ślady tabaki na górnej wardze... *Schlage doch, gewünschte Stunde...*

Dzieci wracały do domu. Mijały drzwi z poważnymi minami, bez pośpiechu. Chłopczyk niósł pod pachą małą blaszaną polewaczkę. Był uroczo nadąsany. Na ulicy gołębie gruchały w słońcu jak szalone. Zadudnił samochód do wywózki śmieci. Nie wiedziałam, co robić. Jeszcze raz pokusiłam się o modlitwę. „Rozjaśnij moje mroki, błagam cię, o Panie. Uczyni mnie znowu czystą, niepokalaną, bezgrzeszną. Zwróć mi Harry'ego, Boże, wróć mi Boga, Harry, bo w wędrówce splątały się moje ścieżki. Niechaj będę znów taka, jaką byłam dzieckiem, gdy przechadzałam się nad morzem i zbierałam muszelki. Amen”. Wtedy otworzyłam oczy i spostrzegłam kartkę: zwitek papieru wyglądający ze skrzynki na listy. Była zaadresowana do Laury, więc rozwinęłam ją i przeczytałam kilka słów nagryzmołonych charakterem pisma Lennie'ego: *Idziemy do A. Bergera. Nie wiem, po co. Chyba z czystych nudów. Harry ma do ciebie prośbę: gdyby przyszła P., powiedz, że wyjechał do Peru. Moc ucałowań.* Trzykrotnie odczytałam to zdanie. Chciałam upewnić się, że istotnie znalazłam ocalenie, że przynajmniej dowiedziałam się na pewno, gdzie ich szukać. Troskliwie zwinęłam kartkę, wsunęłam w otwór skrzynki. W tej chwili drzwi skrzypnęły i do sieni wkroczył Tommy Givings w tweedach, z fajką i poczciwymi, niebieskimi oczami: doskonały model Anglika.

– Oo... Peyton! Co tu robisz?

– Czytam kartkę. Albo wyrażając się ściślej, przeczytałam kartkę.

Tommy Givings miał łysinę, którą maskował pasmami rzadkich siwiejących włosów. Przyglądał je nerwowo. Pocziwy Tommy! Wgnaniec jak ja, a ponadto zadowolony z życia cygan o zacięciu naukowym.

– Co się z tobą dzieje, kochana. Wyglądasz, jak gdybyś miała poważne kłopoty.

– Nic mi nie jest. Po prostu przeczytałam kartkę.

– Aa... Rozumiem... – Przygryzł cybuch fajki, zmierzył mnie poważnym wzrokiem.

– Szukam Harry'ego, ale nie zastałam go tutaj – wyjaśniłam.

– Aha... – Wyciągnął z kieszeni ogromną lnianą chustkę.

– Całą twarz masz umorusaną. A co znaczą te łzy? Tommy doprowadzi to do porządku.

Wycierał mi twarz, nucąc półgłosem, rozsiewając dokoła zapach tytoniu.

– Posłuchaj, kochana. Może byśmy kropnęli po jednym, co? Na Harry'ego możesz poczekać u mnie.

– Nie. Dziękuję za zaproszenie, Tommy. Muszę znaleźć Harry'ego. Wyszedł z Lennie'em.

– Kochana! Czy aby dobrze się czujesz. Bo wyglądasz okropnie. Co ty wyprawiasz, Peyton? Lepiej wstąp do mnie i...

– Nie, Tommy – przerwałam. – Dziękuję. Muszę go koniecznie odszukać.

Cofnęłam się i przyciskając torebkę do piersi spojrzałam na Tommy'ego. Fajkę trzymał teraz w palcach, uśmiech na jego ustach wyrażał zakłopotanie i niepokój. Wyciągnął kościstą rękę:

– Kochana...

Pociągnęłam drzwi i wyszłam na ulicę. Upał buchnął na mnie jak żywy ogień. Odeszły dokądś dzieci i ich matka. Gołębie przeniosły się na dachy domów. Minął mnie drobny, stary Włoch. Ginął pod brzemieniem wielkiego fotela; pocił się, postękiwał. Przy końcu ulicy hydrant buchnął srebrzystą fontanną i trzech mali chłopcy w szortach zaczęli wokół niej podskakiwać: przysuwali się i oddalali, krążyli niby brunatne pszczoły opodal śnieżnobiałego kwiatu. Krzyczeli piskliwie, a w górze warczał silnik samolotu. Poza tym cicho było na ulicy. Wolno nadjechała taksówka, więc podniosłam rękę. Kierowca otworzył drzwi sięgając w tył ze swojego miejsca.

– Washington Mews czterdzieści – powiedziałam.

Torebkę postawiłam obok siebie na siedzeniu, nie wypuszczając jej z palców. Taksówka miała numer 6808, a kierowca nazywał się Stanley Kosicki. Odczytałam to przez mocno zakurzone szkiełko.

– W radio powiadają, że ta bomba w mig skończy wojnę– odezwał się kierowca.

Nie odpowiedziałam. Sięgnęłam po kosmetyczkę, by zatrzeć pudrem ślady łez i umalować usta.

– Byłam na tamtej wojnie. We Francji. Argonne, Las Belleau, Champs de Tiery. Wie pani, ile razy byłem ranny? No, proszę zgadnąć?

– Nie wiem.

– No, ile razy? Proszę zgadnąć – powtórzył.

– Czy ja wiem?... Trzy razy.

Spojrzałam w okno. Staliśmy pod światłami sygnałowymi na szerokiej alei. Zaczęłam przyglądać się przechodniom. Goniec z urzędu telegraficznego, bliźnięta w dzieciennym wózku i ich matka popijająca coca-colę, mocno urozowana, chyba sześćdziesięcioletnia Żydówka w zielonej woalce gęstej jak siatka na ryby. Żydówka miała zatroskaną minę, a pocili się wszyscy, nie wyłączając rumianych, piegowatych bliźniąt. Nadeszły dwie lesbijki w spodniach; ich niskie głosy smutno zabrzmiały w dławiącym ciężkim powietrzu. Błysnęło zielone światło. Wóz ruszył z miejsca.

– Jakie trzy razy! – obruszył się Stanley Kosicki.

– Niech pani jeszcze raz spróbuje zgadnąć.

– Dwa – bąknęłam.

– Cztery, proszę pani. Więcej, niż ktokolwiek z mojej kompanii.

– Aa... Bardzo ładnie.

– Wszystko widziałem. Argonne, Las Belleau, Champs de Tiery. Zacząłem jako zamazany rekrut. A wie pani, do czego doszedłem? Proszę zgadnąć.

– Nie wiem.

– Proszę zgadnąć.

– Do majora.

Kierowca miał krople potu za uszami, pod szczotką siwiejących włosów.

– Nie... Jeszcze raz.

– Nie wiem. Do kapitana.

– Nie. Zakończyłem wojnę jako starszy sierżant. W mojej kompanii nikt nie dosłużył się takiej szarży. Znaczący się z tych, co zaczęli ze mną jako rekruci.

Nie byłam w stanie myśleć. Zmęczył mnie płacz i modlitwa i wstydziłam się, że Tommy Givings mnie widział. Dlaczego muszę zawsze wspominać dom, kiedy się modłę? Dlaczego są to sprawy nierozłączne i tak bolesne? Przez pewien czas sunęłam bezmyślnie aleją. Z zadowoleniem przyjmowałam chłodny powiew, słuchałam gadaniny kierowcy. Opowiadał coś o Champs de Tiery. Minęliśmy Czwartą ulicę i w tym momencie przyszła myśl – nagła jak błyskawiczne olśnienie – że Harry spotka mnie u drzwi Alberta Bergera. „To ja – powiem. – Ja Peyton, twoja ukochana. Chodź ze mną do domu. Powróć do krainy żywych”. Zupełnie zrozumiała chwila wahania: twarz mu sposepnieje przelotnie, ale będzie to tylko przygrywka do serdecznego uśmiechu. Później weźmie mnie za rękę, wprowadzi do hallu. „Kraina żywych! Masz rację! – porwie mnie w ramiona, zakręci tak, że obcasy zastukają o ściany. – Kraina żywych!” Chyba nie wejdziemy dalej? – Tak. Nie wejdziemy. Po co oglądać Alberta Bergera i jego bandę zdemoralizowanych libertynów, jak Harry zwykł nazywać tę kompanię. Dosyć klimatyzacji, dywanów, koktajli, oślizłych freudowskich dusz. To też słowa Harry'ego. „Uciekajmy stąd małeńka” – powie, a ja na to: „Uciekajmy tam, gdzie jest trawa”.

Harry weźmie wóz Lennie'ego i o zmroku popędzimy w stronę trawy, drzew, skał; może na Long Island, do domu jego wuja, albo do Connecticut, gdzie mamy znajomy hotelik. Ale przede wszystkim budzik – jeszcze w hallu. A może później, w ciemnościach? „Najdroższy – powiem – kupiłam ci prezent. Jest bardzo drogi. Kosztuje trzydzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów. Nie masz mi tego za złe, prawda?” Zabezpieczeni od atomowego pyłu, spoczniemy w szeleszczącej nocy, pośród dźwigni, drogich kamieni, wirujących pewnie jasnych, cudownych kółek. Naszym posłaniem staną się zwoje sprężyny miększe niż lotki nasion mlecza, chronione stałą przeciwko piekłu i wszystkiemu, co złe na tym świecie. Będziemy leżeć zasłuchani w ćwierkanie cykad, które zawsze śpiewają podczas pełnych mgieł i zapachu sosny nocy w Connecticut. Tak było w naszym hoteliku, gdzie z Harrym... Kłamstwo! Tylko ja wiem, że to wcale nie był Harry!

Kierowca odwrócił głowę. Spojrzał na mnie przez zieloną przeciwodblaskową szybę. Pewnie usłyszał, że się dławię, bo zapytał niespokojnie:

– Co się stało, proszę pani?

Tylko ja wiem, że to wcale nie był Harry. Kiedy wyjechałam do Darien z Earlem Sandersem, drugiej nocy nie spędziliśmy w Darien, ale w tym hoteliku pod Torrington. Noc pachniała sosnami, hałasowały cykady. Earl Sanders odrzucił prześcieradła, powiedział: „Dobra jesteś do tego, duszko”. Czułam przy sobie jego miękkie, tłuste cielsko. Na dole szafa grająca wydała: „Dziś noc da miłość nam, przy księżycowym blasku...” Wtedy w mojej tonącej duszy pojawiły się ptaki. Szły przez równinę szeleszcząc bezlotnymi skrzydłami do wtóru tragicznej, mroźnej dreszczem muzyki cykad. Jak długo, o Panie, będziesz ukryty na wieki?

– Co się stało? – zapytał znów kierowca. – Może pani chora, bo trzęsie się jak liść?

W lusterku spojrzałam mu prosto w oczy.

– Pamiętać trzeba, że mam bardzo mało czasu.

– Nie stanąć przed apteką, co? Ma pani taką minę, jakby dostała kolki.

– Nie, dziękuję. Czuję się zupełnie dobrze. Tylko bardzo się śpieszę.

Kierowca wyprzedził śmiało autobus, skręcił w Ósmą ulicę.

– W porządku. Za dwie minuty będziemy na miejscu. Murowane.

Odchrząknął, splunął przez okno. W świetle późnego popołudnia przeszło chodnikiem dwu młodych ludzi: jeden miał kolczyk w uchu, obaj zielone spodnie z jedwabnego sztruksu. Czy Twój gniew, o Panie, musi palić jak płomień? Znów utraciłam zdolność myślenia, ale po chwili myśli nadciągnęły ze złowróbnym chrzęstem bezlotnych skrzydeł. Przypuśćmy... Właśnie! Przypuśćmy, że wszystko będzie wyglądało inaczej. Harry każe mi iść do diabła. To zupełnie możliwe. Nie pójdę wtedy do domu na południe, ale będę szła wciąż na północ, dalej i dalej. On nigdy do mnie nie wróci. Nic na to nie poradzę... Było chłodne lato. Nocą u wuja Edwarda w górach straszyły mnie tylko cykady. Ona zamknęła drzwi, skazała mnie na ciemność, w której zostało moje wrażliwe, dziecinne sumienie... Patrzyłam na złowróbne, zielonawe wskazówki i cyfry na tarczy budzika... Nie wiedziałam wtedy o ptakach ani poczuciu winy. Znałam jedynie lęk. Bałam się, że porwą mnie cykady, uniosą, kosmatymi pyszczkami będą dotykać mojej twarzy, szczypać ciało chrzęszczącymi łapkami. Bałam się, że na ich skrzydłach będę lecieć i lecieć, coraz dalej na północ, by wylądować wreszcie w obcym nieprzyjaznym kraju, nocą, wśród skał i rozchwianych na wietrze smutnych świerków, i na zawsze pozostać dzieckiem w niewoli u cykad. Bezgłośnie płakałam w łóżku, zatrwożona ciemnością, zatrwożona jej gniewem, gdybym się ośmieliła krzyknąć. Słowa więły mi w gardle, kryłam

głowę pod poduszkę i ukradkiem zerkałam na budzik.

Wróg to czy przyjaciel? Wiedziałam jedno: mimo groźnych, świecących wskazówek i cyfr z pewnością znalazłabym bezpieczne schronienie w środku zegara, pośród kojącego szmeru kółek. Niestety jednak (znałam ten zwrot, bo często powtarzał się w bajkach) zatrzymywały mnie mroczne, połyskujące zielenią oczy, wzbraniały wstępu do wnętrza budzika, a przybierający na sile chrzęst skrzydeł cykad straszyl mnie tak, że zaczęłam krzyczeć głośno: „Mamo! Mamo! Mamo!” Ona otworzyła drzwi. Miała na sobie szlafrok; w oprawie futryny zarysowała się wdzięczną sylwetką. „Wstydz się, Peyton – powiedziała. – Doprawdy to wielki wstyd”. Drzwi zamknęły się znowu. Później przyszedł staruszek od jakichś gości, którzy byli na dole. Po drodze zawadzał o meble. Poczułam zapach whisky i potu pod jego pachami. Położył się przy mnie w ciemnościach. Opowiadał o cyrku cykad. Mówił, żebym się niczego nie bała. Wreszcie zasnął, a ja położyłam rękę na jego piersi. Wyczuwałam bicie serca, słuchałam chrapania. Chyba świat nie znał miłości większej niż nasza.

– Może pani zaufać staremu Kosickiemu – ciągnął kierowca. – Znam to miasto jak własną kieszeń.

Na rogu Piątej Alei stanęliśmy znowu pod światłami sygnalowymi. Widać już było wlot Washington Mews. Postanowiłam wysiąść.

– Tutaj wysiadę – zaczęłam, ale kierowca podniósł rękę i z władczą, imponującą miną wydmął wargi.

– Nie, proszę pani. Zaraz będziemy na miejscu. Niedobrze pani wygląda. Stary Stan Kosicki zaopiekuje się panią.

Czekaliśmy pod światłami. Staralam się nie myśleć o domu. Staralam się nie myśleć, co będzie, jeżeli Harry... Czekaliśmy. Spojrzałam w okno. Wieczór się zbliżał, ale nie przynosił chłodu. Mężczyzna w białym wyplamionym kitlu sprzedawał z wózka słodczyce i napoje. Dwie małe dziewczynki w opalaczach podawały mu pięciocentówki za sok pomarańczowy. Ubrana w długie spodnie dama o twarzy równie ostrej i bezczelnej jak pysk afgańskiego charta, którego trzymała na smyczy, kupiła lody w waflu i podała psu, a ten zaczął lizać je łakomie różowym ozorem. Zmęczeni upałem ludzie poruszali się ociężale, wachlowali złożonymi gazetami. Zachciało mi się znów pić i pomyślałam o domu. Albert Berger powiedział raz: „Nie wątpię, moja ślicznotko, że cierpisz. Dotychczas wyznałaś mi nieporównanie więcej, niż ci się zdaje – oczy mu zwilgotniały. – Tak, moja ślicznotko. Ostatecznie człowiek to materiał moich studiów. Zjawiskiem symptomatycznym dla środowiska, które cię wydało, są rodziny w rozpadzie. Szszaa! Sza, moja ślicznotko. Cierpliwości. Chcesz powiedzieć, że to zjawisko symptomatyczne nie tylko dla twojego środowiska, lecz również dla całego naszego społeczeństwa, dla cywilizacji wieku maszyn. Ale arcytypowe jest Południe ze swoją niszczącą jak rak religijnością, potrzebą stawiania dobrych manier przed moralnością, negacją wszelkiej etyki... Nazwałbym to plewami cywilizacji. Dziwię się, moja ślicznotko, że w

szóstym roku życia nie zapędzają was do kopania korzonków własnoręcznie i wyłącznie dla siebie, jak to się dzieje z dziećmi niektórych szczepów na wyspach Entrecasteaux”. „Tak, tak” – bąknęłam myśląc o zielonej murawie i mewach.

– Załatwione! – oznajmił kierowca hamując przy wejściu do zaułka. – Stary Stan Kosicki dostarczył panią na miejsce cało i zdrowo.

Licznik szczęknął po raz ostatni. Kierowca zatrzymał go podnosząc chorągiewkę. Pięćdziesiąt centów. Sięgnęłam do portmonetki i znalazłam tylko trzydzieści. Bardzo się wystraszyłam. Na wstępie zirytuję Harry'ego. Nie lubił takich historii, nawet w czasach, kiedy stosunki między nami układały się wcale nieźle. „Przykro mi poruszać ten temat, ale, kochanie, z pieniędzmi należy postępować trochę ostrożniej. Jeszcze bardziej mi przykro mówić dalej, ale, kochanie, lekkomyślność to w pewnym stopniu objaw nerwicy złożonej jak śmiecie pod łóżkiem. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz właściwie”.

– Mam tylko trzydzieści centów – powiedziałam i serce zamarło we mnie z powodu nie kierowcy, ale Harry'ego; co powie, jeżeli będzie musiał zapłacić? – Niech pan zaczeka chwilę – dodałam śmiało. – Zaraz przyniosę pieniądze.

– W porządku, proszę pani. Stary Stan Kosicki to uosobienie cierpliwości.

Zapalił papierosa. Usadowił się wygodniej. To chyba... Zsunęłam się na brzeg siedzenia, sięgnęłam po torebkę. To chyba Strassman mówił o nerwicy złożonej. Mówił też, że jestem niebezpiecznie roztargniona i bardzo potrzebuję jego opieki.

– Czyste szaleństwo – powiedziałam głośno.

Kierowca odwrócił się do mnie, zachichotał.

– Całkiem słusznie, proszę pani. To szalony świat. Czasami mi się zdaje, że nawet stary Stan Kosicki ma fioła.

– Pan nie – powiedziałam i wysiadłam z samochodu.

– Za minutę wrócę.

Przez asfaltowy podjazd przeszłam do drzwi rezydencji Alberta Bergera – bido malowanych, z brązową falliczną kołatką z Maroka Hiszpańskiego. Szczupły Hindus otworzył je tak szybko, że nie miałam czasu pomyśleć, czy przyjdzie Harry ani o niczym innym. Nazywał się Cyryl Jakiśtam; miał nieodmienny uśmiech na twarzy i akcent oksfordzki, a zarazem indyjski. W rękę trzymał kieliszek martini.

– Oo... Peyton. Dzień dobry.

– Dzień dobry, Cyrylu. Jest tu Harry?

– Pytasz o pana Harry'ego Millera?

– Tak. Czy zastałam Harry'ego Millera?

Przez chwilę zastanawiał się ze zmarszczonym czołem i zaciętymi poważnie grubymi, sinawymi wargami.

– Nie... Obawiam się, że go nie ma – powiedział wreszcie.

Nie mogłam myśleć. Spojrzałam na Cyryła, później w stronę alei. Zobaczyłam stadko wróbli, które poderwały się z drzewa, jak rój os zawirowały nad liśćmi i z przeraźliwym ćwierkaniem zniknęły nad dachem pobliskiego domu. Przejechał autobus. Sześciu pasażerów na dachu przesłoniło słońce na mgnienie oka. Zrazu nie mogłam myśleć. Później pomyślałam tylko: „Ach, Harry!” Przycisnęłam budzik do piersi, pochyliłam głowę. Usłyszałam wytrwały, miarowy chrobot sprężyn i kółek. Dokąd mógł pójść?

– Co się stało, Peyton? – zapytał wolno Cyryl. – Dlaczego płaczesz?

– Ja tonę...

– Toniesz?

– Nie. Wcale nie tonę. Płaczę ze szczęścia. Bo wojna się skończyła i uratowaliśmy świat od demokracji.

– Dziwna z siebie dziewczyna... Wejdz, proszę. Albert będzie zachwycony. Wejdz.

– Dobrze.

Torebką otarłam łzy i przy okazji cały puder. W hallu spojrzałam w lustro i zobaczyłam swoje odbicie: straszną maskarę. Cyryl otworzył przede mną następne drzwi. Utykał lekko. Objął mnie w pól, delikatnie popychał naprzód.

– Nie widzieliśmy cię od strasznie dawna – powiedział.

– Widzisz, ja... – zaczęłam i pomyślałam: „Po co ja jestem tutaj, skoro nie ma Harry'ego?” Odwróciłam się, mocno ścisnęłam torebkę z budzikiem. – Nie, Cyrylu. Stanowczo nie mam czasu.

– Dlaczego, Peyton? Wolno zapytać?

Miał rzadko rozstawione zęby i mięsiste wargi przypominające poduszeczki z kauczuku.

– Bo nie ma go tutaj.

– Kogo?

Znowu udaje zdziwionego. Ach, ten tajemniczy Wschód!

– Harry'ego. Rozumiesz? Harry'ego!

– Aa... – uśmiechnął się. – Pana Harry'ego Millera. Wstąp na chwilę. Może ktoś będzie cię mógł poinformować.

– Może.

Cyryl odwrócił mnie i wepchnął do pokoju: podmorskiej grotty z klimatyzacją. Mętnie jaśniał wodnisty blask słońca, a wyżej, gdzie dym papierosów rozwijał się w girlandy, panowała ciemność. Z mroku wyłonił się Albert Berger z szekerem w ręku. Wyglądał jak Neptun ze swoim trójzębem, omijający spoczywające na podłodze głowy.

– Aa... Peyton – powitał mnie. – Moja ślicznotka. Wróciłaś do nas.

– Wróciłam. Gdzie Harry?

– O to, moja ślicznotko, musisz zapytać Lennie'ego. Jest w pracowni z baronową du Louialles.

– Aha... – bąknęłam.

Albert Berger pochylał się nade mną. Miał zapadniętą klatkę piersiową, oczy łzawiące alergicznie za szklami okularów i cerę białą jak rzepa.

– A Harry'ego nie ma u ciebie?

– Nie. Zajrzał tylko na chwilę. Ma jakąś pilną pracę. Nieszczęsny wyrobnik. Chodź, moja ślicznotko, usiądź koło mnie.

Głos miał wysoki, głuchy – bez płci, wieku, niemal martwy jak pobrzękiwanie metalu.

– Albo pójdziemy razem, moja ślicznotko – podjął po namyśle i wziął mnie za rękę palcami zimnymi od szekera i od jakiegoś innego, wewnętrznego chłodu, jak gdyby jego serce pompowało nie krew, lecz lodowatą, ciemną, podziemną wodę.

Ruszyliśmy przez pokój. Kurczowo ścisnęłam torebkę z budzikiem, myślałam o domu. Po drodze poznawałam różne twarze. Daphne Gould, z którą raz jeździłam konno; Mario Fischer, syn milionera; Dirk Schuman, Louis Pesky i Schuyler van Leer, trzej studenci antropologii; Pierre Liebowitz, bogaty kwiaciarnik z farbowanymi włosami; dwaj bardzo młodzi milczący Murzyni, których nie znałam; zakochane w sobie Pamela Oates i Lily Davis; czterech zabłąkani żołnierze, którzy oszacowali mnie szybkimi spojrzeniami i zaraz odwrócili się. Nagle uprzytomniłam sobie, że siedzę obok Alberta na ławie w okiennej wnęce: trzymam w palcach martini, on gada. Prawie go nie słuchałam. Patrzyłam, jak pogodny dzień dogorywa w żółtawej łunie. Po drugiej stronie zaułka łupkowe dachy tonęły w słońcu, a cień spowijał ściany domów. Niebawem mrok pochłonie również dachy, facjatki, ptasie gniazda, zwoje zielonego bluszczu... Wyżej sunęła leniwie ku wschodowi pierzasta chmura – zaróżowiona lekko, podobna w kształcie do Afryki. Afryka: kraje, których nigdy nie zobaczę, odległe wybrzeża, zmierzchy o barwie flaminga i złociste, wilgotne poranki w dżungli.

– Piękny mieliśmy dzień – powiedziałam.

– Istotnie śliczny i taki romantyczny. Czy, jak dawniej, medytowałaś o zaklętych lasach, krainach czarów i tomach baśni? Czy myślałaś o wszystkich nieprawdopodobnych sprawach?

– Myślałam o jutrzence niewidzialnej dla ludzi. Myślałam o dalekich fantastycznych brzaskach...

W tej chwili wróciły bóle. Zgięłam się w pół. Pociemniało mi w oczach. Wśród mroku usłyszałam jeden głos – ochrypliwy, arogancki, podnoszący się z podłogi:

– Malinowski! Zastanów się, stary Bronisławie! Jak można pleść podobne głupstwa?

Przycisnęłam torebkę do brzucha, jak gdybym chciała zdusić pulsującą mękę, gorszą tym razem niż kiedykolwiek. Przygryzłam język i opanowałam się trochę.

– Bardzo przepraszam – szepnęłam. – Powinnam zostać w domu.

Siedziałam teraz wyprostowana. Patrzyłam nie na Alberta, lecz na słoneczne blaski za oknem.

– Biedna ślicznotka! – westchnął. – Cóż, nawet najpiękniejsze z pięknych muszą znosić to dwanaście razy do roku. Muszą pogodzić się z cierpieniami menstruacji. Powinienem spłodzić tomik sonetów o udręczonych pięknościach. Myślę, że Kleopatra używała zmiażdżonych płatków róż, a Helena, jak sądzę...

Nie mogłam go słuchać. Myślałam o Harrym... Najprzód była Helena, później boska Beatrycze... Helena dała mi nieśmiertelność pocałunkiem... Raz siedziałam w kucki pod krzakiem róży w pobliżu kuchni. Było też lato. Słuchałam podśpiewywania Elli i nieustannego brzęczenia pszczoł. Nagle spostrzegłam, że woda cieknie spode mnie małym strumyczkiem w stronę ogrodu. Helena porwała mnie na ręce wśród zapachu róż. „Nie wolno! Rozumiesz? Nie wolno. Czy ty nigdy nie nauczysz się porządku? Pan Bóg gniewa się na nieporządne dzieci”. Później przyszedł tatuś. Siedzieliśmy na balustradzie nad morzem i tatuś czytał: „James James Morrison Morrison Weatherby...”¹⁹

– To musi być trudne, ślicznotko – powiedział Albert Berger.

– Co jest nieprzyzwoite? – zapytałam.

– Słucham? – zdziwił się; w znikającym świetle dnia wydawał się coraz to bledszy.

– Co jest nieprzyzwoite? – powtórzyłam.

– Lube dziewczę! Masz strasznie nieskoordynowany umysł. Mówiłem, że to trudne, nie nieprzyzwoite.

– Co?

– Twoje życie na naszym rozpaczliwym świecie. Jesteś obecnie sama. Brak ci właściwego oparcia intelektualnego. Słyszałaś o bombie?

– Słyszałam.

Pochylił się do tyłu, wybuchnął stłumionym, bezpłciowym śmiechem.

– Hi-hi... Triumf człowieka! Przepowiadałem coś podobnego od długich miesięcy. Louisowi i Schuylerowi. Teraz są przerażeni. To czarujący chłopcy, ale umysły mają miątkie, odporne. Czują się dobrze tylko w łonie swojej antropologii socjalnej. Socjalnej! Zwróć uwagę na ten przymiotnik. Nauka wypuszcza obecnie tyle pędów, że zaczyna przypominać włosy meduzy. A więc czują się dobrze tylko w łonie swojej antropologii socjalnej i nie chcą przyjąć determinizmu historycznego, tragicznego zapewne dla ducha neohumanizmu. Cóż, są na tyle nieprzyzwoici, by użyć twojego wyrażenia, że nie potrafią uznać czystego faktu w całej jego krasie. Triumf człowieka! Hura! No i robi się marmoladę z dzieci Nipponu... A jednak... a jednak... – oczy mu zwilgotniały, pociągnął delikatnie łyżeczek martini.

– Nie wymagam wcale, żeby Louis i Schuyler przyznawali mi rację. Nie muszą. Moje poglądy na świat są surowe, brutalne. W każdym akcie tworzenia, od erotycznego uniesienia najprostszego zamiataacza ulic do wybuchu atomu, człowiek przyczynia się do ostatniego ogniwa cyklu ewolucyjnego. Mam na myśli śmierć lodową, okrutną, nieodwołalną. Nie wymagam, moja ślicznotko, abyś wierzyła wraz ze mną, że zło w człowieku jest zarazem piękne i predestynowane. Nic podobnego! Socjalnie jestem nad wyraz umiarkowany i mam umysł najbardziej tolerancyjny pod słońcem. Pozostań równie ładna jak teraz, bezpieczna w swojej krainie, gdzie uśmiechnięty słodziutko Chrystus prowadzi za rączkę Kubusia Puchatka alejką kwitnących śliw. Będiesz zawsze... Co się stało, moja ślicznotko? Widzę łzy w twoich pięknych, ciemnych oczach. Płaczesz?

– Tak. Pamiętaj, że mam bardzo mało czasu.

Poczułam na dłoni jego rękę – dziwnego polipa z wód arktycznych.

– Mój Boże! – powiedział. – Przepraszam, Peyton. Doprawdy, niewymownie mi przykro. Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

Zajrzałam do torebki, żeby znaleźć coś do wytarcia nosa. Zobaczyłam budzik i przykryłam go spiesznie. Albert Berger podał mi chustkę. Wytarłam nos. Młody człowiek, który opodal leżał na wznak na dywanie, przewracał oczami spoglądając na jednego z żołnierzy. Dobiegł mnie jego głos:

– Widzisz, jestem szczęśliwy dzięki swojej perwersji. Mój związek z Anielem jest doskonałością, skończoną doskonałością.

– Tak – odpowiedziałam Albertowi Bergerowi. – Możesz mi pomóc. Powiedz, gdzie jest teraz Harry.

– Moja ślicznotko! Kochane, zagubione dziecię. Chcesz odzyskać swojego chłopca, prawda?

– Tak. O, tak! – zawołałam.

– Dzielna, mała dziewczuszka! Widzę, że wiele się spodziewasz. Czy mógłbym jednak zasugerować... Oczywiście do wysunięcia takiej sugestii skłania mnie to, co słyszałem od małej Laury, nie Harry'ego. Czy mógłbym jednak zasugerować, abyś przede wszystkim pozbyła się mleczarza... No i karaluchów. Wtedy twój Harry zająłby niewątpliwie odmienne stanowisko. To uroczy chłopiec i osobiście łączę z nim wielkie nadzieje, ale...

„Nie – pomyślałam. – Nie!”

W drugim końcu pokoju dzwignęła się na nogi Edmonia Lovett, pękata w zimowym kostiumie z tweedu, z włosami umalowanymi henną.

– Czego on z nią chodzi? – zawołała piskliwie. – Może przecież mieć osobę taką jak ja, po psychoanalizie, która potrafi wznieść się na najwyższe szczyty.

Podeszła do patefonu, założyła płytę: *Wang-Wang Blues*. Przez chwilę przyglądałam się jej ze swojej podmorskiej groty, przez zatapiającą mnie powódź. Widziałam w jasnym, wodnistym świetle postacie karłów rozciągnięte na podłodze. Głosy podnosiły się jak gdyby z dna morskiego. Albert Berger radzi, abym przepędziła mleczarza. Ale on nic nie wie. Nie słyszy, jak ja, nie może słyszeć szelestu piór i kroków moich ptaków, tuż za zwisającymi obok mnie portierami. Należałoby go zapytać, czy zdaje sobie sprawę, co to znaczy leżeć w obcym łóżku, z obcym mężczyzną, w obcym kraju? Ich okrutny marsz nie zawiera groźby. Na sztywnych, długich nogach kroczą przez pociemniałe piaski, wyciągają szyje. Są dostojne, królewskie, dumnie stroszą pióra. Czepiając się jego gorącego, wrogiego ciała niepodobna odnaleźć spokoju o brzasku. Mocno zaciska się powieki, szuka na jego piersi medalika ze świętym Krzysztofem. Ale nawet wtedy one suną przez równinę – nieciekawe niczego, znudzone, niby pierzaści monarchowie. Na Boga! Ty nie znasz, Albercie Berger, mojej męki i mojej hańby. Ileż razy grzeszyłam dla zemsty. Mówiłam sobie: on nie chce mnie kochać, znalazłam więc innego, który zechciał. Zasypiać, śnić o ptakach, budzić się i spoglądać jednym okiem na mętny, posępny brzask, myśleć: „Moje życie nie znało ojca. Wszystkie drogi wiodą do wszelkich celów” – myśleć o domu. Nie chcę modlić się do polipa ani do meduzy, ani do Jezusa Chrystusa, tylko do tej mojej

cząstki, która niegdyś była czysta, a teraz została utracona. Niegdyś chodziliśmy plażą w stronę Hampton, zbieraliśmy muszelki. Raz on wziął mnie na ręce i dał napić się piwa. Wtedy pod mimozami zabrzmiał jej głos: „Wstyd! Wstyd doprawdy”.

– Wstyd. Wstyd, moja ślicznotko – mówił Albert Berger znad kieliszka martini. – Dlaczego dręczysz tego uroczonego chłopca? Przecież Strassman mówił, że jesteś niebezpiecznie roztargniona, a może konstytucyjnie niezdolna do wierności seksualnej...

– Cicho bądź!

Albert Berger podniósł blady palec, gotów ferować wyrok, ale w tej chwili nadszedł Lennie. Miał podwinięte rękawy koszuli i różowe, mocno opalone ręce.

– Dzień dobry, kochanie – zwrócił się do mnie życzliwie.
– Co się stało? Wyglądasz okropnie.

– Lennie! Proszę, błagam, powiedz mi, gdzie jest Harry.

Wyciągnęłam do niego rękę i w tej chwili moja torebka upadła na podłogę z nagłym, ogłuszającym terkotaniem. Z podłogi zwróciły się ku mnie wszystkie spojrzenia jak powłóczyście wodorosty; przez mętne, wodniste powietrze, przez kłęby dymu widziałam nieruchome, pełne grozy oczy ryb wyrzuconych na brzeg. Torebka odgrywała rolę tłumika, mimo to jednak dzwonek brzęczał głośno. Przy wtórze wzbierającego z wolna chóru śmiechu szukałam po omacku guzika alarmowego. Wreszcie znalazłam go, nacisnęłam i hałas ustał. Lennie usiadł obok mnie ze śmiechem.

– Co tam masz, kochanie? – zapytał. – Bombę zegarową?

– Nie. Zegar. Dla Harry'ego i dla mnie. To prezent.

– Aha... – bąknął Lennie. Uśmiech zniknął z jego twarzy; spojrzał na mnie przyjaźnie, ale podejrzliwie.

– Chciałabyć dzisiaj ofiarować go Harry'emu. Prawda Peyton?

– Tak. O, tak! Powiedz, gdzie go szukać. Bardzo cię proszę, Lennie.

Śmiech w pokoju przycichał, milknął. Twarze w okularach przyglądały mi się z zainteresowaniem. Słyszałam szepty. Ktoś westchnął: – Dobry Boże! – i zerknął w moją stronę. Oni nie mają Boga. Jeszcze mniej niż ja wiedzą o automacie do modłów, ukrytym w jakimś obcym kraju, którego nigdy nie zobaczę. Albert Berger odpłynął przez mgliste fale.

– Posłuchaj, Peyton – mówił Lennie. – Najlepiej pójdź na Cornelia Street, zostań na pewien czas u Laury. Wyglądasz okropnie, jak gdybyś była pijana od dwu tygodni. Co ty wyprawiasz, kochanie? – Zrobił krótką pauzę.

– Obiecałem Harry'emu, że ci nie powiem. Prosta sprawa, co? Najlepiej zostań na pewien czas u Laury, a później...

– Nie! – przerwałam ciągnąc go za rękaw. – Nie! Powiedz, gdzie jest Harry! Proszę cię, błagam.

– Nie mogę.

– Powiedz!

– Nie mogę. Musisz być potwornie głodna. Tak przynajmniej wyglądasz. Laura robi jaja na bekonie i...

– Nie! – przerwałam mu znowu. – Laura już mnie nie lubi.

– Trudno powiedzieć, że cię nie lubi. Jest rozczarowana, zła na ciebie, jak wszyscy...

– Daj spokój, Lennie...

A więc nikt, nawet Lennie nie może mnie zrozumieć. Dobrze! Powiem mu o mojej męce.

– Bardzo żałuję, Lennie, wszystkiego, co zrobiłam. Jeszcze dzisiaj przepędzę mleczarza i moje grzechy.

Czy on nadal nie widzi niczego?

– Ratuj, Lennie! – zawołałam. – Ja tonę!

Wziął mnie za rękę, spojrzał w oczy. Jego wzrok wyrażał rozczarowanie wolne już od gniewu, nie pozbawione jednak spokojnej odrazy.

– Na Boga, Peyton. Nie urządź dzisiaj nowej sceny. Doprawdy, moja droga...

– Przecież ja...

– Słuchaj! Jego nie możesz winić. Przyznasz mi chyba rację. Robił dla ciebie więcej, niż to możliwe. Zamartwiał się, tracił na wadze, był bliski kompletnego załamania. Kiedy wracałaś do niego, za każdym razem wierzył ci i wybaczał. A ty znów zaczynałaś od nowa z jakimś typem spod ciemnej gwiazdy: ze swoim Tonym albo tym łobuzem Sandersem. Nawet słuchać nie chciałaś Strassmana. A najgorsza w tym sprawa, Peyton, że on kocha cię jeszcze. Kocha cię, ale dłużej wytrzymać nie może...

Lennie zawsze rozumiał wszystko pierwszy, ale dziś nie mógł zrozumieć. A nie mogłam mu przecież powiedzieć o moich racjach. Kiedy byłam w Darien z Earlem Sandersem, brzydziłam się tym wszystkim. Leżeliśmy na kocu, na tarasie, a ja ledwie słyszałam kroki ptaków i szelest piór, bo dręczyły mnie inne kwestie. Przykro mi było, że aż tak ukarałam Harry'ego za jedno drobne wykroczenie. Później świeżo malowana balustrada tarasu zapachniała farbą i to przypominało mi pewne lato, dawno minione. Zeszliśmy raz na plażę, gdzie jacyś ludzie malowali łódź. Powietrze pachniało drażniąco chemikaliami. W morzu widać było pływaków, na tle błękitu kołowały mewy. On ścisnął mnie za rękę. Pamiętam jego dłoń, piasek przesypujący się między moimi palcami nóg. Pamiętam. Zapamiętam na zawsze.

Ktoś zastukał do drzwi. Hindus Cyryl otworzył i w jasnym prostokącie zobaczyłam kierowcę, Stanleya Kosickiego.

– To ta pani – powiedział. – Winna mi pół dolara.

– Ach, Lennie! Zapomniałam. To kierowca taksówki. Należało mu się pięćdziesiąt centów, a miałam przy sobie tylko trzydzieści. Masz. Dopłać resztę, bardzo cię proszę.

Lennie zmierzył mnie wzrokiem pełnym przygany i niechęci.

– Zmiłuj się, Peyton – powiedział. – Bierzesz taksówkę, a ledwie cię stać na bilet kolei podziemnej, a później każesz człowiekowi czekać. Co cię znowu napadło?

– Strasznie mi przykro. Lennie. Naprawdę zapomniałam. Masz te trzydzieści centów. Dopłać resztę. Na pewno ci zwrócę.

– Brednie!

Lennie wstał, podszedł do drzwi i zasłonił ramionami złą, naburmuszoną twarz kierowcy. Poruszyłam wargami. Bardzo chciałam rzucić „przepraszam” pod adresem starego Stana Kosickiego, ale nie mogłam dobyć głosu. Drzwi trzasnęły.

Siedziałam bez słowa. W podniesionej ręce trzymałam torbę. Słuchałam miarowego, nieustającego szelestu kółek. Spostrzegłam, że gdzieś w końcu pokoju Albert Berger rozchyła usta w bezgłośnym śmiechu, jak gdyby ziewał. Przypomniała mi się paszcza rekina.

– Co za ironia! – dobiegł mnie jego głos. – My, ludzie, żywimy głęboką odrazę do ciała i wszelakich jego soków żywotnych, wydzielin, do obrzydliwej plazmy, a mimo to nawet najgłupszy tarzają się chętnie w cuchnących małżeńskich uściskach. Co za ironia! A przecież...

A przecież coś silniejszego niż dotychczas, coś we mnie kazało mi wypełznąć znowu do wnętrza budzika. Leżeliśmy tam z Harrym, bezpieczni wśród sprężyn i doskonale uregulowanego ruchu kółek, aby marzyć niby we śnie o kramie wiecznego dzieciństwa, śnić o cudownych łąkach, snuć kojące wizje, takie, jakie przychodzą u progu świadomości; mogą to być psy naszczekujące we wrześniowych lasach, kaczki na tle nieba albo wspomnienie chwili, gdy on niósł mnie po schodach na piętro... Boże! Byłam wtedy Duchem Jasności!

Lennie stał przed ławą. Spoglądał na mnie z góry.

– Proszę cię, Peyton – mówił – zrób tak, jak radzę. Wstąp do Laury, powiedz, żeby cię nakarmiła. Masz minę, jak gdybyś umierała z głodu. No i wróć do siebie. Później pogadam z Harrym. Może...

– Nie! Nie mogę czekać. Powiedz, gdzie szukać Harry'ego. On ze mną wróci. Chodzi o zegar.

– O co?

Nie odpowiedziałam.

– Co znowu wymyśliłaś? Dlaczego nosisz ze sobą budzik?

– Dlaczego? Po prostu go kupiłam.

– Aha... Widzisz, najlepiej będzie...

– Nie, Lennie – wstałam z ławy. – Posłuchaj mnie, proszę. Musisz powiedzieć zaraz, gdzie jest Harry.

– Nie.

– Musisz! Rozumiesz! Musisz. Jeżeli nie powiesz...

Delikatnie wziął mnie za ramiona.

– Cicho, kochanie – podjął. – Spokojnie. Nie można się tak przejmować. Co będzie, jeżeli nie powiem?

– Nie wiem – odwróciłam wzrok. – Chyba...

– Co zrobisz?

– Nie wiem. Chyba się zabiję.

Lennie chwycił mnie za łokieć.

– Wiesz co, dziecinko – powiedział. – Wydaje mi się, że jesteś w bardzo złym stanie. Mój wóz stoi przed domem. Zaraz zatelefonuję do Strassmana. Wstąpimy po Harry'ego, razem pojedziemy do Newark i...

– Nie! – przerwałam. – To wariat. Mówię o Strassmanie. Miał katar.

– Co miał?

– Mniejsza o to. Chciałabym... – zaczęłam szarpać jego rękaw. – Lennie! Powiedz, gdzie jest Harry. Musisz! Rozumiesz? Musisz!

Objął mnie wpół, delikatnie popchnął w stronę drzwi. Ludzie rozrzućeni na podłodze, jak podmorskie płazy, odprowadzali nas spojrzeniami agatowych oczów przez mętne, wodniste światło i girlandy dymu. *Wang-Wang Blues* umilkł.

– Niech będzie – podjął już w hallu. – Ale musisz obiecać, że wrócisz tutaj albo do Laury, jeżeli Harry nie zechce cię przyjąć. Wymagasz opieki. Ktoś musi zająć się tobą.

– Dziękuję, Lennie – zawołałam. – Z serca ci dziękuję i bardzo, bardzo przepraszam. Myślisz, że ze mną naprawdę niedobrze?

– Nie... – odrzekł z pewnym wahaniem. – Nie, kochanie. Ale musisz wziąć się w garść. Dlaczego...

– Dlaczego co? – podchwyciłam żywo.

– Nie mówmy o tym.

– Dlaczego co? – powtórzyłam.

– Dlaczego robisz to wszystko? Dlaczego na zakończenie musiałaś puścić się z tym jakimś Tonnym? To ostatecznie wzięło Harry'ego. Przyznaję, że i mnie również. Dlaczego, Peyton? Dlaczego?

Głos Lennie'ego dźwięczał łagodnie, serdecznie. Chciałam, pragnęłam wytłumaczyć mu wiele, ale nie byłam w stanie, bo tuż za nami w palami, pośród mebli w stylu regencji, mosiężnych okuć, nieskazitelnie czystych lusterek, zaszeleściły nakrapiane pióra moich bezlotnych, biednych, pogardzanych. Ptaki kroczyły dostojnie, niegroźnie... Przypominały mi się różne zdania... Harry nie kocha mnie, bo gdyby kochał, nie mógłby tak na mnie krzyżeć z powodu czeków bez pokrycia, śmieci pod łóżkiem ani dlatego, że pojechałam do Darien z Earlem Sandersem, poddając się torturom zemsty... Trudno wytłumaczyć, że nie mogłam pozwolić, by Harry krzychał tak na mnie, więc musiałam pójść z kimkolwiek do łóżka, zagubić się we własnej nienawiści, słuchać odległych ech. Harry mówił: „Co ty opowiadasz, Peyton? Ja cię nie kocham! Kocham cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Ale nie jestem podobny do twojego ojca. Nie potrafię tolerować wszystkiego”. Później odezwało się echo mojej winy, zabrzmiało pośród szelestu piór i mroków. Jak mu to wytłumaczyć?

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Nie wiem.

– Nie płacz – Lennie wyjął z kieszeni wielką czerwoną chustkę, otarł mi oczy. – Nie płacz, kochanie. Posłuchaj, Harry maluje. Marschall Freeman pożyczył mu pracownię na dzisiejsze popołudnie. Jest tam teraz. To niedaleko, za najbliższym rogiem ulicy, przy University Place. Napiszę ci adres – wydobyl portfel i kartkę papieru, nakreślił kilka słów. – Masz. Ale pamiętaj. Obiecałaś, że gdyby Harry nie chciał cię przyjąć, wrócisz tutaj albo zatelefonujesz do mnie, albo pójdziesz do Laury. Mogę zaręczyć...

– Dobrze... Dobrze! – przerwałam. – On zechce mnie przyjąć. Kochany jest mój Harry i wyrozumiały.

– Nowa droga życia, co?

– Właśnie. Bardzo dziękuję, Lennie.

Zamknął za mną drzwi. Spocona znowu stałam przez chwilę w skwarze późnego popołudnia. Później mszyłam z miejsca. Po przeciwległej stronie zaułka domy tonęły w cieniu; odbłasku słońca nie było już na ich dachach.

Gdzieś daleko, na rzece, okrętowe syreny odzywały się nie głośniej niż klaksony samochodów. Widać jest przypływ. Statki wychodzą w morze. Tam, w domu, jest również przypływ. Między nadmorską balustradą a falami pozostało nie więcej niż dwie stopy piasku. Niegdyś spacerowałam tam ostrożnie, uważnie, stopą potraçałam muszelki, odłamki wyrzuconego przez morze drewna. W upalne sierpniowe popołudnia Ella przychodzi po suszące się na słońcu pranie. Przesłania oczy ręką, patrzy na okręty wyruszające w jakieś rejsy. Razu jednego wędrowaliśmy wolno przez trawnik z Ellą i Maudie; pachniało morzem, pszczoły brzęczały nieustannie nad krzakiem róży. Innym razem... Nie pamiętam, ale wiem, że było to pod mimozami, innym razem. „Ty pozwoliłaś upaść Maudie! Ty pozwoliłaś jej upaść”. Ona wciąż do tego wraca. W sierpniowym skwarze mimozy wyciągają ku niebu pędy jak blade ręce wody. „Ty pozwoliłaś jej upaść”. Strassman zapytał: „Ptaki?” „Nie – odpowiedziałam. – Nie ptaki”. Przecież ptaki to inna sprawa, inna wina. Przychodzą, kiedy się kładę z wrogimi mężczyznami. „Nie ptaki. Więc co?” – pytał dalej Strassman. Nie mogłam mu powiedzieć, nie mogłam sobie przypomnieć specyficznej rozpaczyny utajonej w zapachu mimozy i morskiej wody, gdzieś poza kręgiem mojej świadomości. „Ty pozwoliłaś jej upaść”. Przecież nie zrobiłam tego. „Może pani nie zrobiła – powiedział Strassman. – Ale jest pani niebezpiecznie roztargniona”.

Później bawił się ze mną ten skurwysyn psychoanalitik. Powiedziałam mu, że wszelkie nadzieje sięgają dalej niż pamięć, bo leżą w gładkim, ciemnym wnętrzu macicy. A on na to: „Właśnie dlatego mówię o pani roztargnieniu”. Doktor Irving Strassman także nic nie widział, nie rozumiał. Dlaczego myśląc o niej muszę jednocześnie myśleć o boskiej Beatrycze? Tego chciałabym się dowiedzieć. Panie doktorze! Proszę odjąć płatek Kleenexu od tego swojego idiotycznego nosa. Może dlatego, że raz, kiedy płynęliśmy przez lata naszej niewinności jak płatki kwiatów, on powiedział, że mieszkają we mnie bliźniacze heroiny: jedna piękniejsza niż wieczorne niebo odziane w krasę tysiąca gwiazd; druga boska Beatrycze, Wieczysta Światłość, co objawia się sama i własnym jaśnieje blaskiem. Coś w tym sensie, ale chyba wszystko pokręciłam. Później powiedział: „Słodka Heleno, uczyni mnie nieśmiertelnym swoim pocałunkiem”. Wtedy zaczęłam płakać. Strassman mówił: „Nie widzę tu żadnego związku”. Jak wytłumaczyć takiemu mimozy, światła zapalające się o zmroku w domu i pszczoły, co żeglują ciężko przez słone powietrze? „Ty pozwoliłaś upaść Maudie” – powiedziała Helena. Odeszłam i sama stanęłam przy nadmorskiej balustradzie. Później zjawiał się mój staruszek, wziął mnie za rękę. Patrzyliśmy na zmierzch zapadający nad zatoką. Myślałam o babci i śladach tabaki na jej górnej wardze... *Schlage doch, gewünschte Stunde...*

– Czy pani chora?

Stałam oparta czołem o jakąś furtkę. Stara kobieta z psem na smyczy dotykała mojego ramienia.

Nic nie odpowiedziałam.

– Chciałabym pani pomóc, moje dziecko.

Podniosłam wzrok. Spojrzałam w szeroką pogodną twarz o niebieskich oczach.

– Czy pani chora? – powtórzyła nieznajoma.

– Tak. Strasznie mnie boli głowa.

– Biedactwo. Proszę potrzymać pieska. Dam pani aspergum.

Wzięłam smycz w rękę, w której trzymałam torebkę.

– Wygląda to jak guma do żucia, ale zawiera aspirynę. Proszę. Trzeba tylko włożyć do ust. Powinna pani pójść do domu, położyć się, odpocząć.

Wsunęłam gumę do ust. Zaczęłam żuć. Miała smak pepermentu.

– Zaraz to zrobię – powiedziałam. – Bardzo pani dziękuję.

– Nie ma za co. Teraz do domu, położyć się, odpocząć.

O tak... Pomogę pani odejść od tej furtki.

Stałam na chodniku. Pies zaczął obwąchiwać moje obcasy.

– Proszę posłuchać tylko mojej rady – powiedziała stara kobieta z pocziwym uśmiechem.

– Z pewnością posłucham. Jeszcze raz serdecznie dziękuję. Do widzenia.

Wyplułam gumę do rynsztoka. „KOBIETA MASAKRUJE KOCHANKA – PATRZY NA JEGO KONANIE” – przeczytałam na strzępku plakatu reklamowego jakiejś gazety uczeponym do kraty ogrodzenia. Wiatr powiał, zwinął świstek papieru, uniósł go dalej. Przeszłam jezdnię przy zielonych światłach; bryza od morza swawoliła z moją spódnicą, ale była to bryza gorąca, ciężka od jakichś duszących wyziewów i zapachu piekarni. Pociłam się coraz bardziej. Nagle wiatr ustał. Rzuciłam okiem na adres zanotowany przez Lennie'ego. Numer domu 15. Szłam przed siebie, odczytywałam malejące liczby: 21, 19, 17... Oto dom numer 15... Stałam. Nagle przyszło mi do głowy: przypuśćmy, że mój budzik... Przypuśćmy, nie opłaci się cena ofiary: trzydzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów za nasz przytułek absolutnie bezpieczny, ozdobiony drogimi kamieniami. Przypuśćmy... Wolałam nie myśleć na ten temat. Weszłam na trzy ceglane schodki, pchnęłam drzwi i w sieni przeczytałam na skrzynce do listów: FREEMAN – pierwsze piętro od podwórka. Nacisnęłam guzik dzwonka, czekałam... Ale nim zdążyłam pomyśleć, automat bzyknął pod moją ręką bezosobowo, sucho, jak grzechotka. Weszłam do hallu. Minęłam fryz z kafelków, stół zarzucony pocztą, lustro, w którym spostrzegłam z przerażeniem własne sińce pod oczami i potargane włosy. Przez tapetę w chryzantemy wdychałam zapach życia obcych ludzi. Znowu odniosłam wrażenie, że

tonę. Przystanąłam na moment. Niechaj on powie: tak! Postąpiłam kilka kroków do drzwi. Dotknęłam palcem przycisku... Bim-bam-bam... Jak gdyby gdzieś z dala od mojej duszy zadźwięczały kuranty kościelnych dzwonów.

– Kto tam?

Nie odpowiedziałam. Z głową opartą o drzwi stałam zasłuchana w gwałtowne, trwożne bicie swojego serca. Przy moich piersiach tykał budzik – symbol porządku i bezpieczeństwa.

– Kto tam, u licha? – odgłos kroków na skrzypiącej podłodze. – Kto tam?

Milczałam nadal. Bałam się. Przypuśćmy, że on... Czy nie potrafi pojąć mojego cudownego wynalazku? Ciemny schowek dla dusz, oświetlony wśród bezkresnej nocy wyłącznie klejnotami... Oddzielona od niego tylko cieniutkim dębowym filunkiem, myślałam przez sekundę w uniesieniu o naszym nie zmaconym niczym, podgwiezdnym locie przez czas, o tykaniu piękniejszym niż muzyka pośród kamieni i kółek, w przestrzeni zabezpieczonej na wieki od słońca i od śmierci.

– Kto tam, u wszystkich diabłów? Odezwiży się.

Wstrzymałam oddech, ale... Oto Harry! Gwałtownie otworzył drzwi i na mój widok zeszywniał dziwnie, spochmurniał. Na jego szyi zobaczyłam pulsującą żyłę.

– To ja – powiedziałam z uśmiechem. – Wróciłam do krainy żywych.

– Trafiałś pod zły adres – odburknął. – Nikogo nam tu nie po trzeba.

Za nim widziałam w pokoju sztalugi, rozpoczęty obraz, otwarte szeroko okna, blednące światło przedwieczne. Harry miał na czole smugę błękitnej olejnej farby i maleńkie paciorki potu.

– Dlaczego nie idziesz sobie? – zapytał, ale na to byłam przygotowana.

– Przyniosłam ci prezent.

– Chciałaś powiedzieć, łapówkę.

– Nie. Prezent. Mogę wejść?

– Nie. Pracuję.

Zrobił taki ruch, jak gdyby chciał zamknąć drzwi. Serce skoczyło mi do gardła.

– Nie przeszkodzę ci – powiedziałam. – Będę bardzo spokojna.

– Nie. Wracaj do swojego Włocha.

– Ja tonę – szepnęłam dotykając jego ramienia.

– Mój Boże! – cofnął się. – Idź do Strassmana, czy gdzie ci się podoba.

– Harry – podjęłam. – Zechciej mnie wysłuchać. Proszę...

Przepuścił mnie, odwrócił się plecami, podszedł do sztalug. Drzwi trzasnęły za mną. Stałam pośrodku pokoju, przyciskając budzik do piersi. Harry malował w szarych i głęboko niebieskich tonach starca – sędziwego mnicha lub rabina o pomarszczonej, ogorzałej twarzy – który wznosił ku niebu oczy dumne i tragiczne. Za nim ruiny miasta, bezładne stosy zdruzgotanego betonu i kamienia połyskiwały w rudawym blasku, tak posępnym, jak gdyby to był ostatni zmierzch na ziemi. Trupi, ponury krajobraz miał w sobie nieokreśloną glorię majestatu, a na jego tle najbardziej zwracały uwagę dostojne oczy starca zwrócone ku górze, do Boga albo może zachodzącego słońca.

– To piękny obraz – powiedziałam.

Harry milczał. Sięgnął po pędzel i rzucił szarą smugę na ruiny miasta.

– Cudowny – dodałam.

Nie było odpowiedzi. Harry malował dalej. Buty skrzypiały, gdy przestępował z nogi na nogę. Usiadłam w fotelu i zaczęłam go obserwować. Za oknami, w ogrodzie, rajska jabłoń drżała prawie niedostrzegalnie w spokojnym powietrzu. Wróble buszowały ćwierkaniem między jej liśćmi. Dalekie głosy dzieci zdawały się czymś dobytym z głębi pamięci.

– Wróć, najdroższy – podjęłam wreszcie, a gdy nie doczekałam się odpowiedzi, powtórzyłam: – Wróć, najdroższy. Przepraszam za wszystko złe, co zrobiłam.

Nie odzywał się nadal. Malował pilnie. Ruiny były teraz jak gdyby bliższe, lecz bardziej stonowane. Przypomniałam sobie budzik i wyjęłam go z torebki.

– Patrz, kochanie. Spójrz na ten zegar. Kupiłam go dla nas. Często skarżyłeś się, że stary źle chodzi. Spójrz, kochanie.

Znów ani słowa.

– Spójrz, kochanie – podjęłam. – Drogie kamienie zdobią jego bezpieczne wnętrze...

„Bezpieczne? – pomyślałam. – Dlaczego bezpieczne?”

Odwrócił się. W palcach trzymał pędzel, z którego spłynęła na podłogę kropla zimnego błękitu. Przelotnie zerknął na zegar. Wśród ciszy słyszeliśmy tykanie wraz z wróblim gwarem i odległymi krzykami dzieci.

– Kupiłaś go u Macy'ego za trzydzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów. Zgadza się?

– Tak.

– I zapłaciłaś czekiem.

– Tak.

– Naturalnie czekiem bez pokrycia – powiedział odwracając się do sztalug. – Bardzo ci dziękuję za taki prezent. Ja musiałem zapłacić za niego z naszego wspólnego rachunku... To znaczy byłego rachunku, bo nic tam nie zostało.

– Aa... – westchnęłam. – Aa...

Mówił do mnie przez ramię, więc nie widziałam wyrazu jego twarzy. Słyszałam tylko słowa zawzięte, pełne odrazy. Wydało mi się, że przez moment płyniemy razem ku wschodowi, a następnie padamy pośród rumowisk rozbitych, rzuconych bez ładu dźwigni i trybów.

– Aa... Bardzo mi przykro, Harry. Nie wiedziałam... Ja... To miał być prezent dla ciebie. Widzisz... Dostanę trochę pieniędzy od tatusia...

Znowu bezpieczni – on i ja. Budzik odzyskał równowagę... Suniemy w przestrzeni. A tak niewiele brakowało...

– Dlaczego? – Harry odwrócił się w moją stronę. Twarz miał gniewną. W rękę kurczowo ścisnął pędzel.

– Dlaczego, Peyton? Dlaczego? Dlaczego?

– Dlaczego co, kochanie?

– Dlaczego robisz to wszystko? Rozmyślnie, bez najłżejszego poczucia winy. Jak możesz?

– Nie wiem. Zapomniałam.

– Powiadasz, że twój tatuś zapłaci za budzik. Bardzo ładnie! Ale zrobił to już ktoś inny. Musiałem pokryć czek. Zapożyczyłem się u tego osła Bergera.

– Przepraszam, Harry. Nigdy nie powtórzy się coś podobnego.

– A nie powtórzy się! – wrócił do sztalug. – Z całą pewnością.

Omijając go podeszłam do okna i koszmar zaczął odradzać się we mnie. Nie byłam w stanie myśleć. Liście rajskiej jabłoni ledwie szeleściły; zwracały pobielone spody ku gasnącemu słońcu. Kot przeszedł cicho wzdłuż ogrodzenia. Jakaś kobieta zawołała na niego? „Toby!” Skurczona, owinięta szalem stała w ogródku, pośród floksów, róż i karminowych cynii. Nie byłam w stanie myśleć. Wieczór wpłynął na ścieżkę, dosięgnął połowy. Wydawało mi się, że słychać odległe grzmoty. Ale to było coś innego: pociąg kolei podziemnej, a może ciężarówka lub dalekie salwy armat. Bez zastanowienia powiedziałam przez ramię, nie odwracając się od okna:

– Harry, wróć ze mną.

– Trójkącik, co? Bardzo będzie przytulnie. No i pod gwarancją o każdej porze świeże mleko.

– Czy ty nic nie rozumiesz, najdroższy – podjęłam bardzo wolno. – Tony jest dla mnie niczym, zupełnie niczym. Bardzo mi przykro. Naprawdę. Nieraz już to mówiłam. Wściekłam się na ciebie, ponieważ miałeś słuszną rację, a ja wiedziałam o tym. Zdawałam sobie sprawę, że od ciebie zależę pod każdym względem, że jestem tylko rozkapryszonym dzieckiem. Wściekłam się na ciebie, bo nie wątpiłam, że to wszystko prawda. Rozumiesz, Harry? Odszedłeś w gniewie, więc poszukałam marnej zemsty. Postąpiłam źle, okrutnie. Wiem o tym i... i bardzo cię przepraszam.

– Już to słyszałem. – Odczułam, że jego głos nabiera siły, staje się coraz bardziej surowy, zjadliwy. – Posłuchaj, Peyton. Muszę pracować przy resztkach światła. Dlaczego nie idziesz sobie?

– Harry, ach, Harry! Przecież możemy mieć dzieci i...

– Łzami niewiele u mnie wskórasz. Posłuchaj, mała. Dzieci mogliśmy mieć rok temu. Ale wtedy gadałaś, że jestem nieodpowiedzialny, więc nie potrafię być dobrym ojcem...

– W swoim czasie... – zaczęłam.

– W swoim czasie – podchwycił – odkryłem prawdę i nie tałem jej przed tobą. Powiedziałem, że jesteś absolutnie niezdolna do miłości. Tak czy inaczej, niech to wszyscy diabli wezmą – rzucił pędzel na podłogę. – Może jednak zechcesz łaskawie...

Tym razem ja przerwałam:

– Dzieci, Harry! Możemy mieć...

Nie dokończyłam zdania, bo za obitym tynkiem na ścianach, nad sufitem z zaciekami, obok stosu próżnych ram bez obrazów, usłyszałam znów szelest bezlotnych skrzydeł. Nadchodziły przez piaski...

– Broń mnie – zawołałam głośno, ale urwałam znowu, gdyż przypomniała mi się wina, o której nie mówiłam nigdy Harry'emu: temten lekarz, badanie, instrument z gorącą żarówką, moje wewnętrzne drgawki.

– Ach, Harry – podjęłam. – Za wszystko cię przepraszam.

– Bronić cię? Przed kim? Mleczarzem czy specjalistą od powieści kryminalnych?

– Nie! – zawołałam opadając bezwładnie na parapet okienny. – Przede mną!

Złagodniał jakoś. Zaczął mówić spokojniej:

– Gdzie wynalazłaś ten swój dziwaczny kodeks etyczny? Co się z tobą dzieje? Byłbym zadowolony, gdybym potrafił wspominać cię taką, jaka byłaś w swoim czasie. Co najmniej mógłbym panować nad sobą. Ale na takie wspomnienia chyba się nigdy nie zdobędę. Niegdyś zdawało mi się, że masz kilka poglądów zaczerpniętych nie z mitologii lub zbioru czarnoksiężskich bajek. Pozowałaś mi wtedy, a ja, głupi, myślałem, że dziewczyna o tak pięknej twarzy i pięknym ciele musi być również piękna wewnątrz. Gdzie się podziała tamta epoka, o moja utracona pani, moja boska Beatrycze?

– Daj spokój, Harry. Nie mów takich rzeczy.

– Byłem szalony! Szalony mimo dręczących mnie podejrzeń. Lekceważyłem wszelkie podszepty nieufności, wszelkie obawy. Nie ocknąłem się nawet, kiedy zaczęłaś mi wytykać moje tak zwane umizgi do innych kobiet. Byłaś tak diabelnie piękna, że fizycznie bolało przebywanie z tobą w jednym pokoju. Ale jak miałem cię przekonać, że nie żywię złych zamiarów wobec innych osób płci pięknej, wobec tej idiotki Epstein? Nie potrafiłem, nie mogłem. Przysięgam jednak, że miewałem różne złe zamiary w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Chcesz wiedzieć, ile razy spałem...

– Nie, Harry! – przerwałam. – Nie chcę wiedzieć.

– Dostałaś pałką po głowie, co? Rozumiesz teraz, że but z lewej nogi był na prawej. Chyba to nie najgorsza metafora!

– Tak.

Harry opanował się trochę. Drżał lekko. Bezwiednie bawił się pędzlem. Obserwowałam go, usiłowałam myśleć w ciągu pięciu sekund, kiedy milczeliśmy obydwój. Czy on nie zrozumie, czy nie zdołam go przekonać, że leżąc w mroku z innymi wrogimi mężczyznami zamiast rozkoszy doznawałam męki, że był dżin, poczucie winy, szelest piór w ciemnościach i to wrażenie, że tonę. Mogłabym przecież powiedzieć:

Harry, najdroższy, utracony! Cudzołożyłam w mrokach nie z ochoty i dobrej woli, karałam siebie za to, że ciebie karzę. Ale coś odleglejszego, ciemniejszego niż marzenie senne lub pamięć zmuszała mnie do tego i ty nie wiesz, Harry, że niegdyś obudziłam się, w półśnie odsunęłam mówiąc: „Nie, staruszkule!” Ach, to przerażenie!

– Nie gniewaj się dziś na mnie, najdroższy – odezwałam się wreszcie. – Nie zniosę tego. Mój staruszek zapłaci za budzik.

– Budzik, budzik! Niech go diabli wezmą. Chciałbym jednak wiedzieć, czy będę musiał zapłacić komorne twoje i Tonny'ego?

– Nie... Nie mów tak do mnie.

– Wcale nie mam ochoty tak mówić. Stokrotnie wolałbym mówić o czymś innym. Wolałbym siedzieć z tobą tak, jak wydaje mi się, że siadywaliśmy dawniej, rozmawiając o barwie i formie, o El Greco albo po prostu, w której drogerii są najlepsze lody. Tak było dawniej, boska Beatrycze...

– Daj spokój! – powiedziałam, ale on mówił dalej:

– Jest wiele spraw, które należałoby poruszyć. Czy uprzytamniasz sobie, do czego świat doszedł? Czy uprzytamniasz sobie, że w tym tygodniu wspañiała wspólnota amerykańska zmiotła z powierzchni ziemi sto tysięcy niewinnych istot ludzkich? W swoim czasie myślałem z jakiejś racji... Czy ja wiem z jakiej? Może pragnąłem zachować twoją niezrównaną urodę? Wyobrażałem sobie, że potrafię spędzić całe życie zaspokajając twoje potrzeby, znosząc twoje podejrzenia i brak ufności, a na dobitkę patrząc, jak puszczasz się bez troski, gdy cię coś ukłuje. Mam co innego do roboty. Przypomnij sobie to zdanie z Biblii, które często cytowałaś: Jak długo, o Panie... czy coś takiego...

– Przypomnij sobie, jak niewiele mam czasu – podchwyciłam.

– Właśnie! Ja czuję coś podobnego. Wyobrażałem sobie, że przy twojej pomocy daleko zajdę. Ale ty nie chciałaś mi pomóc. Teraz zostałem sam. Nie mam pojęcia, co przyjdzie z tego komukolwiek oprócz mnie samego, ale pragnę tylko malować, malować, malować, bo jestem przekonany, że świat przeżywa jakąś mękę. Możesz mnie nazwać rozczarowanym naiwniakiem, zaprzańcem, jak sobie chcesz. Chcę jednak zmiażdżyć własnymi rękami tę całą mękę, odmienić w piękno, a mam na to niewiele czasu...

– Ja ci pomogę, Harry! – zawołałam. – Pomogę ci!

– Brednie! Gdyby się to trafiło po raz pierwszy... Ha! Być może. Ale to przecież czwarty raz, piąty, może szósty... Wykoleiłem się...

– To piękny obraz – powiedziałam.

W przyćmionym świetle tragiczna twarz na tle gruzów i zgliszczy, dumna i nieulekła, spoglądała wciąż w niebo, przez ostatni, dogasający zmierzch. O, mój Harry! Kto zna kres istot wyrzuconych z orbity wszechświata w mroczną, wiecznotrwałą przestrzeń? Mój Harry powiedział raz, że jak maleńkie, ślepe żyjątka morskie wijemy się na suchej skale życia, czekając ostatecznej, pochłaniającej wszystko fali. Kto potrafi zrozumieć człowieka, spoglądającego nieustannie w górę, śladem własnego wzbijającego się ducha.

– Jest w nim wiara – podjęłam – może coś więcej. Jest w nim...

– Nadszedł czas wiary – przerwał. – Nie sądzisz, Peyton? Ty powinnaś o tym wiedzieć.

– Tak. Niegdyś miałam wiarę. Dawno. Kiedy spacerowaliśmy po plaży i zbierali muszelki.

– Kto? Ty i Sanders w Rye?

– Nie. Mój staruszek i ja.

– Aha! Twój przeklęty ojciec!

– Tak – przyznałam bezmyślnie i podjęłam zaraz:

– Chcę, żebyś przyjął ten zegar, jeżeli nawet sam za niego zapłaciłeś. W jego wnętrzu... Czy ty nic nie rozumiesz?

Chwyciłam go za rękaw, przyciągnęłam bliżej. Poczułam zapach farb, potu, uwielbianego ciała.

– Spójrz tutaj – ciągnęłam wskazując otwór guzika alarmowego. – Spójrz, Harry! Wiesz co? Możemy schronić się tam i wesoło, radośnie krążyć i krążyć dokoła – roześmiałam się bardzo głośno, nie wiedząc czemu. – Harry i ja pośród sprężyn i kółek. Bezpiecznie będziemy wirować tak wiecznie, leżeć na głównej sprężynie... Sprzedawca mówił, że wewnątrz są klejnoty... Podobno piętnaście kamieni. Będzie wspaniale! Zrozum wreszcie, Harry...

W tym momencie poczułam na ramieniu mocny uścisk jego dłoni.

– Peyton! – powiedział. – Lepiej nie mów nic więcej. Co się z tobą dzieje, kochanie! Widać, że ci niedobrze. Drżysz cała.

– Tak... Ten budzik...

– Usiądź! – przerwał mi. – Usiądź. Odpocznij trochę.

– Ostrożnie posadził mnie na krześle. – Zaraz... Marshall ma gdzieś phenobar... Zaczekaj chwilkę.

Spróbował odejść, lecz chwyciłam go za rękę.

– Nie! Nic mi nie jest. Zaraz wszystko będzie dobrze. Przestraszyłam się tylko.

– Czego? – zapytał.

- Nie wiem.
- Czy się narkotyzujesz?
- Nie. To jedyny nałóg, którego nie praktykowałam.
- Uspokój się. Odpocznij trochę.

Później powiedział:

- To straszne, straszne, straszne.

Odszedł tymczasem ode mnie. Usłyszałam za sobą jego głos pełen grozy i niespokojny tupot kroków na skrzypiącej podłodze. Ból wzbierał znowu we mnie, jak w kleszcze ujmował wewnętrzne organy – żołądek, nerki, wszystko. Siedziałam pochylona, zapatrzona w światło za oknami, coraz to ciemniejsze, bardziej purpurowe, w jakąś prowizoryczną wieżę ciśnień i oszalałe, wirujące gołębie. W oddali zahuczał grom, a może odezwały się działa.

- To straszne – powtórzył Harry.

- Co? – zapytałam.

Ból ustępował, odchodził.

- To, co się z nami stało. Straszne, straszne...

- Powinna chyba pójść do Strassmana.

– I ja tak sądzę – podchwycił. – Oczywiście! Umów się z Lennie'em, żeby cię tam zawiózł. Na przykład w poniedziałek...

- Będzie za późno – przerwałam.

- Co? – Usiadł, wziął mnie za rękę.

– Mówię poważnie... Najdroższy, potrzeba mi nie tego, ale... ale...

- Spokojnie, spokojnie – mocniej ścisnął moje palce.
- Dobrze – szepnęłam, a on na to:
- Jestem przy tobie, maleńka – znowu pogładził mnie po dłoni. – Jestem przy tobie, maleńka.
- Na mnie ciąży klątwa – powiedziałam.

Mimo słów „jestem przy tobie, maleńka”, odczuwałam tę samą rozpacz, ani lepszą, ani gorszą. Dziwne! Czegoś podobnego nie oczekiwałam. Liczyłam na olśniewający rozkwit szczęścia, kiedy pocałujemy się lub zaczniemy wirować we wnętrzu budzika zostawiwszy za sobą wszelką obawę, grozę, mękę. Światło szarzało na niebie, spowijało cieniami ogród, gdzie kot spał rozciągnięty wygodnie, a kobieta w szalu chodziła tu i ówdzie, zrywała kwiaty – zdaje się goździki. Młody mężczyzna wyszedł z jednego z domów, spojrzął na niebo, ziewnął, przetaił okulary i wrócił. Powietrze było gorące od pocucia winy. Pociłam się obficie. Mogłabym powiedzieć: Harry, czemu tak mnie traktujesz? Powodem mojej zawziętej zemsty było nie jedno drobne wykroczenie, lecz to, że nigdy nie rozumieliśmy się wzajemnie. Dla mnie... Tak! Wszystko zaczęło się od twojej ręki na zadku Marty Epstein, więc tamto, późniejsze, było dla mnie słodką zemstą. Ale zawsze przychodziło poczucie winy... Na Boga! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, Harry, jak okrutnie cierpiałam z racji własnej tortury i własnej zbrodni? Dlaczego nie potrafisz mnie zrozumieć, Harry? Dlaczego? Dlaczego? Naprawdę strach miałam tylko przed tym, nie, że nie zechcesz pogodzić się z moimi postępami. Mógłbyś powiedzieć, że żaden mężczyzna... Ale skoro już raz się stało, powinienes zdobyć się na zrozumienie, na próbę zrozumienia. Przecież to sprawy dalsze, mroczniejsze niż marzenia senne lub pamięć. Raz,

kiedy złościłeś się na mnie, bo w ubikacji nie było papieru toaletowego, mogłabym wyskoczyć z okna, taka czułam się zagubiona, bezdomna, pognębiona. Podobnie było, kiedy przychodziłam do ciebie i wołałam, że tonę, a ty nigdy nic nie rozumiałeś. Musiałam wracać, przy nim się żalić w dusznym fetorze mleka. Mogłabym powiedzieć: „Nie rozumiałeś mnie, Harry. Ja nie przez zemstę popełniłam ciężkie grzechy, ale dlatego, że w głębi duszy zawsze czułam się bliska zgonu. Chciałam pogrążyć się w mroku i pośród labiryntu wizji sennych znaleźć nowego ojca, nowy dom. Mniejsza o ptaki. Nawet w połowie nie były tak okropne jak twój brak zrozumienia”.

Wysunęłam rękę z jego dłoni.

– Nigdy nie spróbowałeś nawet spojrzeć na zagadnienie z mojego punktu widzenia – powiedziałam. – Nie pokusiłeś się o to, prawda?

Długo milczał. Myślałam, że nic mi nie odpowie.

– Do czego zmierzasz? – zapytał wreszcie.

Tak często żałowałam już cierpkich słów, które usta wyrzekły bez współudziału świadomości – słów zrodzonych z tego, nad czym nie miałam władzy: z mojego poczucia winy.

– Do czego zmierzasz? – powtórzył szorstko, chłodno.

– Chodzi o to... – wiedziałam, że muszę brnąć dalej, bo nie ma drogi odwrotu. – Chodzi o to... Czy ty nie widzisz, Harry? Wszystko złe, najgorsze to przecież rezultat prostego faktu, że nigdy mnie nie rozumiałeś. Nawet nie próbowałeś...

Harry zerwał się z miejsca.

– Nie próbowałem! Co ty opowiadasz? Nie próbowałem! Dobre sobie! Dwa lata poświęciłem próbom zrozumienia ciebie.

Pomyślałam: „O Boże! Rzuciłam słowa, których rzucić nie chciałam. Teraz nie ma ratunku”. Musiałam jednak brnąć dalej.

– Chodzi o to... – ciągnęłam. – Tylko nie gniewaj się, kochanie... Chodzi o to, że wszystkie moje złe postęпки nie wynikały z mojej jedynie winy. Przypomnij sobie Martę Epstein...

Zadrżałam słysząc własne słowa, a później jego gniewny pomruk:

– Słowo daję, Peyton! Niedobrze się robi. Czy przyszłaś po to, by mi znowu wymawiać tamto głupstwo?

– Ach, nie! Nie, najdroższy – powiedziałam śpiesznie.

– Chodzi o to... Rozumiesz? Jestem przekonana o swojej winie. Miałam tylko na myśli, że postępowałam źle nie bez powodu z twojej strony. Kiedy czułam, że na tobie nie można polegać, albo kiedy stawałeś się cyniczny...

– Cyniczny! – krzyknął. – Kto z nas był cyniczny? Próbujesz mi dziś wmówić, że miałas prawo przyprawiać mi rogi, niemal w moich oczach, ponieważ od czasu do czasu nie chciałem ulec twoim nieobliczalnym kaprysom, nie rozpieszczęłem cię bez sensu? A niech to wszyscy diabli...

– Harry! – szepnęłam. – Nie gniewaj się. Błagam.

– Nie do wiary! – wołał. – Ale to prawda. Ty nie potrafisz kochać. Przyszłaś tu pod pretekstem rozpacz, skruchy. A w gruncie rzeczy chcesz mi tylko powiedzieć, że to ja powinienem paść na klęczki i prosić ciebie... Mój Boże! CIEBIE! O wybaczenie grzechów, których nie popełniłem. Może nie mam racji? Co? Może nie mam racji?

– Tak... To jest... Chciałam powiedzieć... Nie, Harry! Możesz mi wierzyć...

– Czego tu jeszcze siedzisz? – krzyknął. – Wynoś się!

– Ach, Harry! Ty nie rozumiesz...

– Obetrzyj łzy kochanie. Na mnie nie podziałają. Wynoś się!

– Nie!

– Wynoś się! Możesz pójść stąd prosto do piekła. Ty kurwo!

– Ach, Harry! Zaczynasz znowu. Wcale nie jestem taka. Gdybyś zechciał zrozumieć...

– Właśnie zrozumiałem. Zrozumiałem, że masz zamiar wznowić procedurę, do której mnie zmuszałaś przez długie miesiące. Chcesz, abym cię wziął na kolana, otoczył krzepkim ramieniem, powtarzał, że wszystko złe to moja wina... Wszystko: śmiecie pod łóżkiem, wymówki z powodu twoich ekstrawagancji, pragnienie, żebyś nie była rozkapryszonym, głupim dzieckiem. Cóż, jesteś w błędzie, moja droga. Idź do wszystkich diabłów!

Wyciągnęłam do niego ręce, ale powtórzył raz jeszcze:

– Wynoś się!

Na skraju mojej świadomości pojawiły się znowu one, bezlotne ptaki – emu, dodo, strusie, moa – rozpościerały skrzydła w pustynnym oświetleniu krainy snu, gdzie drzemałam wśród piasków i drzemać miałam wiecznie. Czy on nie wróci nigdy? Nie obroni mnie przed moim grzechem i moją winą? Sunęły godnie z najdalszych kątów pokoju, pod ścianami, obok bezładnego stosu próżnych ram bez obrazów – poważne i niegroźne w zdławionym, zamierającym zmierzchu. Za oknem wróble ćwierkały, trzepotały skrzydłami. Ktoś nawoływał w oddali. Wyciągnęłam ręce do Harry'ego.

– Idź do licha! – rzucił.

– Ja tonę! Ratunku, Harry!

– Wynoś się!

– Już nigdy nie będę mogła wrócić – powiedziałam wstając.

– To dobrze.

Minęłam sztalugi, miasto w ruinie, szary zmrok, tragiczne wzniesione ku niebu oczy.

– Nie wypędzaj mnie – podjęłam. – To piękny obraz. Chcę ci pomóc.

Nie było odpowiedzi. Harry stał w progu pokoju, nieświadomie uroczysty, w pozie, którą pierwszy uznałby za śmieszną. Jedną rękę trzymał na kłamce otwartych drzwi, drugą wskazywał w dół, w kierunku hallu. Istny ojciec z komiksu wypędzający marnotrawną córkę w ciąży. Zdawał się wołać: „Precz! Nie będziesz kłaść więcej mojego domu!” Ale powiedział tylko:

– Wynoś się!

Twarz miał szkarłatną, zawziętą, nieubłaganą.

– Tobie nie można pomóc – rzucił. – Próbowałem, ale zbyt wiele razy powtarzało się to samo.

– Dobrze – odparłam ja lub raczej moja duma, a potem: – Myślałam, że postarasz się zrozumieć. Przecież zrobiłam to tylko...

Wziął mnie za ramię, popchnął w kierunku schodów.

– Dosyć! – powiedział. – Tony cię zrozumie. Możesz opowiedzieć wszystko Tony'emu. Albo swojemu staremu: weźmie cię na kolana, będzie tłumaczył, jaka to dobra z ciebie, grzeczna dziewczynka. Jeżeli o mnie chodzi, mam tego...

Drzwi trzasnęły za mną. Zostałam sama na podeście schodów. W rękach ścisnęłam torebkę. Ostatnie słowa Harry'ego: „... wyżej uszu”, zabrzmiały zgłuszone przez ściany. Wytarłam nos. Przez chwilę stałam zasłuchana w odgłos kroków na skrzypiącej podłodze; oddalały się, później wróciły. Wstrzymałam oddech. Harry otworzył drzwi.

– Masz. Zabierz swój budzik – powiedział.

Poczułam w złożonych dłoniach krągły, polerowany metal, regularnie funkcjonujące sprężyny, kółka... Drzwi znów trzasnęły, przycichły kroki. On odszedł... Zaczęłam dobijać się do drzwi.

– Harry, wpuść mnie! Wpuść!

Tłukłam pięściami, odzierałam skórę z knykciów.

– Wpuść mnie, Harry! Zobaczysz, jaka będę dobra!

Nie odpowiadał. Zeszłam do hallu, na ulicę i ruszyłam ku północy. W oknie kwiaciarni czerwone kanny wyglądały jak sztandary. Wewnątrz sklep był już oświetlony. Za pięć centów kupiłam żonkil i przypięłam do stanika. Sprzedawczyni była niska i krępa; na rękach miała piegi.

– Może pożyczyć pani grzebień? – zapytała.

– Nie... Nie... Dziękuję. – Wyszłam z kwiaciarni.

A więc straciłam wszystko, nie wyłączając budzika. Przystanęłam na krawężniku, nad studzienką ściekową. Nachyliłam się, sięgnęłam po zegar do torebki; podniosłam go do ucha, by usłyszeć ostatnie tyknięcie... Mój ład i moja pasja, ochrona przed atomową mgławicą, wieczyste, przyćmione światło... Wrzuciłam to wszystko do studzienki: stuknęło o żwir czy jakiś zator śmieci; później utonęło z pluskiem gdzieś znacznie niżej, głęboko. Wyprostowałam się. „Wyżej uszu... wyżej uszu”. Odniosłam wrażenie, że widzę starca, który o zmierzchu łowi ryby, a linkę jego wędki, połyskliwą i giętą, odbija czyste zwierciadło wody. A może starzec łowi w piwnicy pieniądze przez okratowane okienko? Żebrak podsunął mi kapelusz; śmierdział brudem i whisky. Miałam jeszcze dwadzieścia pięć centów, więc dostał dwie dziesiątki.

– Bóg panienkę wynagrodzi – powiedział.

– Nie wątpię. – Poszłam dalej.

Zaczynałam być śpiąca: brat śmierci tropił mnie jak grobowe memento. Tatuś zrozumiałby wszystko, może nawet moje postępowanie. Nie pozbywając się poczucia winy, można wziąć rozbrat z życiem. Wróciłabym do niego, ale ona nie pojmie tego nigdy, nie pozwoli. Przy rogu Czternastej ulicy zesłam do tunelu kolei podziemnej. Zostało mi pięć centów – dosyć do automatu przy kołowrocie na peron. One postępowaly za mną, pewnie, na sztywnych nogach, bezszelestnie, rozkładały dropiate skrzydła... Odwróciłam się i krzyknęłam...

– Precz! Wynoście się!

Nie posłuchały. Za to jakaś kobieta roześmiała się głośno mówiąc do towarzysza, który ugiął się i pocił pod istną wieżą paczek:

– Ale zalana!

Otworzyłam już usta, by powiedzieć: „Wcale nie jestem zalana”, ale nic nie powiedziałam. Zeszłam po schodach. Pociąg przejeżdżał właśnie z ogłuszającym łoskotem. Zasłoniłam oczy rękami, patrzyłam śladem umykającego oddechu światła i jak gdyby lasu ramion wzniesionych w górę, szarpanych potężnym wichrem. Myślałam: „Nie on mnie odtrącił, ale ja jego. Przez cały dzień wiedziałam, że to musi nastąpić, a odrzucenie stanie się pierwszą częścią mojego upragnionego i wytęsknionego aktu śmierci. Mam teraz głowę na katowskim pieńku, topór zawisł nade mną; czekam jedynie końcowego, krwawego ciosu. O Boże mój, czemu Cię opuściłam? Czy złe dziedzictwo naszego smutnego wieku odcięło mnie od Ciebie na zawsze? Czy tylko śmierć może dać mi ostatnią, żalostną nadzieję, iż wkroczę w mrok, aby się w nim pograżyć, wśród wizji sennych przemogę własne grzechy i w jakimś odległym, fantastycznym brzasku ocknę się w innej krainie? Nie powinnam, o Panie, marzyć tak o śmierci i tej ostatniej, żalostnej nadziei, bo młoda jeszcze jestem, piękna i odważniejsza, niż Ty sądzisz, o Boże! Serce me bije gorąco i mocno, a więc pragnęłoby krwawić z miłości, nie tej bezbrzeżnej rozpacz, w chwili gdy ja ulatuję ku Tobie, Boże, z otchłani mojego prochu”. Odmawiałam taką modlitwę, chociaż wiedziałam, że on nie słucha, że dostrzec może wróbla, ale nie mnie. A więc do piekła! Byłam spragniona, lecz jeszcze bardziej chyba głodna. Chciałabym

pić wodę, całe galony wody, najprzód jednak zaspokoić głód. Zajrzałam do torebki. Nie bez pewnej nadziei jęłam szukać pieniędzy, ale nic nie znalazłam. Wtedy sięgnęłam do kieszonki bluzki i spod szwów wydobyłam małą cynkową monetę: jednego centa. Na peronie stał automat z czekoladą: cztery odmiany i lusterko pośrodku. Nie spoglądając w nie, żeby nie widzieć siebie, sprawdziłam, że za centa mogę dostać gorzką, orzechową, czystą i mleczną. Wybrałam gorzką. Wsunęłam pieniążek przez szparę i wyciągnęłam szufladkę, ale nic nie znalazłam. Szarpnęłam drugi raz, pięścią uderzyłam automat. Wszystko na próżno. Tymczasem nadjechał pociąg z zielonymi i czerwonymi światłami na powietrznej i nawietrznej – jak okręt zawijający na redę. Weszłam do wagonu medytując o oszukańczej maszynie. Zająłam miejsce obok Kreola z Puerto Rico, który czytał gazetę. Cuchnął, lecz zapewne nie gorzej niż ja obecnie. Spostrzegłam nagłówek: *Traficanta marijuana*. Odwróciłam głowę. Zaczęłam myśleć o wodzie, o galonach wody i o domu. Jechałam ku północy ekspresem z Lexington Avenue do Woodlawn Avenue, chociaż wcale nie chciałam jechać tam, tylko do domu – gdyby babcia żyła teraz, nie w jakimś bardzo odległym, jaśminowym czasie. Ledwie pamiętam tamten dom w Richmond, bardzo stary dom, jak zawsze mówił tatuś. Dokoła stały dęby. Przypominam je sobie – i pnące róże. W parne letnie popołudnie on niósł mnie wysoko, w ramionach, a później w

cienistym, tajemniczym pokoju położył na obcych, wilgotnych prześcieradłach. Drzemałam trochę. Słuchałam miarowego tupotu końskich kopyt na kamieniach bruku i odległego murzyńskiego głosu: „Wi-ee! Wi-ee!” Miałam wtedy trzy lata, może cztery czy pięć, ale potrafiłam wyobrazić sobie tego Murzyna. Nawiedzał moje myśli, moją półsenną fantazję. Widziałam go za garbatym zadem leniwej kłaczy: był kruczoczarny, w rękę trzymał packę na muchy, pot występował mu na czoło zmarszczone gniewnie, gdy patrzył na sztywny, ruchliwy koński ogon. Za koniem i woźnicą chwiały się pod płóciennym parasolem begonie, bzy, ostróżki tkwiące wygodnie w doniczkach z lepką gliniastą ziemią. „Wi-ee! Wi-ee!” i cichnący tupot kopyt pod kopułą cienistych cedrów zanika, aby wrócić do wizji sennych, które snują rozkosznie w obcym łóżku, w obcym kraju.

Później pomyślałam: „Staruszkule, co stało się ze mną, że tak nienawidzę dziś siebie? Albert Berger mówił, że tkwię we własnym kręgu seksualnym. Ale ja wiem coś więcej, tatusiu, i stać mnie na odpowiedź Albertowi. Powiem: pamiętaj, że nie wychowano nas dobrze, a moja pamięć o kwiatach, lecie, ostróżkach jest również zaprawiona bólem jak całe moje umieranie. Kiedy leżałam w Richmond w łóżku babci, widziałam zawieszony na ścianie jej portret tak dobrotliwie uśmiechnięty; słuchałam, jak milknie pod cedrami tupot klaczy ogrodnika. Ale nawet wówczas kręciłam się niespokojnie i w półśnie spoglądałam spod przymkniętych powiek na twarz, co ocierała się niegdyś o brodę Longstreeta²⁰, zachowaną tak dobrze pod zmętniałym szkłem, pogodną i jak gdyby przyprószoną śladami tabaki na górnej wardze – spoglądałam na tę twarz i bezgłośnie wołałam: Mamo! Mamo! Mamo! – do wizerunku, którego model odmienił się przed dwudziestu laty w proch i kości”.

20 James Longstreet (1821-1904) – generał Konfederacji; w ostatniej fazie wojny secesyjnej obrońca Richmond.

Pociąg stanął na stacji. Spostrzegłam, że w ostatnim wagonie pozostał tylko Kreol z Puerto Rico. Ale i on wysiadł. Pociąg zagłębił się w tunel – mroczny loch z szynami, pełen mrugających czerwonych oczów. Podparłam głowę dłońmi. Myślałam o pragnieniu, galonach wody do picia i widzianej gdzieś dawno chłodnej rosie. Myślałam o wypoczynku na murawie, w cieniu mimoz i dalekich głosach mew– może grzmotów lub armat. Nie byłam w stanie myśleć. Wagon trząsł niemiłosiernie, unosząc mnie ku północy, a ja modliłam się wśród potów, gorączki, nagłych bólów, które omal nie rzuciły mnie na podłogę. Ale moje modlitwy nie zwracały się już chyba do Boga, lecz do Alberta Bergera, lotnej mgławicy płaczącej dziwnymi, szkarłatnymi łzami nad całym zwiewnym wszechświatem. Pociąg zatrzymał się przy Sto Dwudziestej Piątej ulicy. Wysiadłam w tłum wystrojonych świątecznie Murzynów i z wysiłkiem zaczęłam piąć się na zaśmiecone schody. Po drodze upuściłam torebkę.

– Hej, pani! Pani! – ktoś zawołał za mną. – Zgubiła pani woreczek!

Ale nie odpowiedziałam. Szłam dalej mozolnie i wkrótce znalazłam się na chodniku, pośród gęstniejącego zmierzchu. Świetlny szyld jakiegoś teatru zakwitał purpurowymi i błękitnymi kulami. Dwudziestostopowy van Johnson uśmiechał się głupkowato do wieczornego powietrza. Szybko ruszyłam chodnikiem, wyprzedzałam tłum, by jak najrychlej trafić w cień, gdzie jest mniej hałasu. Podniosłam wzrok. Dokoła mnie piętrzyły się wieże porośnięte sadzą kamienic. Odwróciłam się i w perspektywie ulicy znowu je ujrzałam: kroczyły całym stadem – bezskrzydłe, bezlotne, jak pierzaste balony wleczone na sznurkach przez mętny, wodnisty półmrok.

– Nie! – powiedziałam tak głośno, że stara Murzynka przystanęła obok mnie i otworzyła szeroko wielkie, białe, zaciekawione oczy.

Odwróciłam się znowu, przebiegłam kilkanaście kroków. Ale było za gorąco. Zaczęłam pocić się, dyszeć. Wróciły bóle w dole brzucha. „Chryste – myślałam – okaż dziś miłosierdzie biednej Peyton nie dlatego, że utraciła wiarę, lecz przez wzgląd na nią samą”. Nikt nigdy nie mógł znaleźć żadnej rady... Przestałam biec. Ochłonęłam trochę.

– Okaż miłosierdzie – powiedziałam.

Zobaczyłam wysoki gmach, zwrócony frontem do zaułka.

Przed otwartymi szeroko drzwiami sieni były trzy schodki. Weszłam na nie ujmując mocno poręcz. Stopnie uginały się, trzeszczały, pachniały próchnem. W rogu sieni stary Murzyn drzemał na stołku pod słabą żarówką w kabince windy. Mole krążyły wokół jego głowy. Zmierzając w kierunku schodów minęłam go ostrożnie, na palcach. Później, kiedy wspinałam się wyżej i wyżej, myślałam, że jedynie poczucie winy mogło uwikłać mnie w ten ostateczny paradoks. Myślałam, że wszystkie dusze muszą zejść w dół, by następnie ulecieć ku wyżynom; tylko my najzatwardzielsi grzesznicy mozolnie wędrujemy pod górę, aby wyzwolić nasz grzech w finałowym, samobójczym upadku. Po siedmiu kondygnacjach przystanąłam dla odpoczynku. Oparta o ścianę wachlowałam się dłonią. Na podeście pachniały jakieś tkaniny. Dalej była szwalnia, gdzie niezawodnie pracowali czarni. Pustka, a nad tą pustką i ciemnością ulatywał zapach przędzy i ostry, kwaśny fetor potu. Stałam wyprostowana. Czy miałam towarzysza? Czułam, że patrzy na mnie ktoś – może tylko ja? Wreszcie uprzytomniłam sobie, że nie jestem sama. Ptaki zniknęły na razie, lecz byłam pewna, że spowija mnie i obserwuje z mroku czyjaś myśl – wroga lub przyjaciela z dawnych czasów, mężczyzny lub kobiety, a może nawet psa. A... Mniejsza o to! Jakaś obcość utajona w kącie szwalni, pośród manekinów i maszyn zarysowanych niewyraźnie na tle miejskich świateł, zwraca ku mnie posępne oczy.

Odwróciłam się, poszłam znów na górę. Mijałam ściany opadające z tynku, pełne zacieków, pomazane ołówkiem. Coraz wyżej i wyżej, wraz z ostrym, kwaśnym odorem, przypominającym pokój kredensowy, gdzie La Ruth przebierała się zwykle. Czuć tam było pikle i cytryny, i prawie dotykalny upał, ale tworzyło to w sumie zapach mojego kraju utraconego bezpowrotnie, którego nie zobaczę nigdy. Na każdym podeście wisiały nie osłonięte żarówki, a wokół nich krążyły roje moli, jak gdyby ciągnących nieustannie do światła, co dało im początek. Nigdy nie widziałam ich tyle i równie zasobnych, tłustych, obżartych wełną przędzy i ścinków. Na każdym podeście tłukły o moją twarz jak błada zawierucha niesionych wichrem kwiatowych płatków.

– Koniec! – powiedziałam głośno na ostatnim piętrze i dodałam w myśli: „Niech przyjdzie śmierć”.

Zapuşciłam się w długi, cieńmy korytarz. Idąc potraçałam bele marynarek, czułam dotknięcia szorstkich, wełnianych ramion. Czułam ten sam odór koców, przędzy czy wełnianych tkanin. Będzie mi już towarzyszył wiecznie. Wreszcie napotkałam drzwi w miejscu wystarczająco widnym, by odczytać: DLA KOBIET. Pchnęłam je pewnie i weszłam dotykając palcami pokrytej kaflami ściany. Gdzieś bulgotała woda. Postąpiłam kilka kroków, usiadłam na kaloryferze pod oknem. Spojrzałam ku bezgwiezdnemu niebu rozjaśnionemu rudawą łuną nad gorejącym jak piekarski piec miastem. Po chwili wstałam. Głęboko w dole usłyszałam jeden długi, natrętny ryk samochodowego klaksonu: śmiertelny obłęd wyrażony dźwiękiem. Odczułam cudowną ulgę, kiedy zaczęłam się rozbierać. Najprzód zdjęłam suknię i zaniósłam ją na korytarz, gdzie zauważyłam kosz do śmieci. Podarłam jedwab tak, że przypominał inne szmaty. Strzępki wsunęłam pod stos ścinków. Później wróciłam do toalety i podszedłszy do okna zdjęłam resztę ubrania, rzuciłam na posadzkę. Wreszcie uwolniłam się od pończoch i pantofli, które wepchnęłam pod kaloryfer. Stałam teraz naga, czysta, chociaż spocona – jak przyszłam na świat. Nieodparcie ciągnęła mnie przestrzeń. Jeszcze raz usłyszałam za najodleglejszym widnokregiem grzmot, może huk armat – w każdym razie coś nad Jawą czy też palcami Laccadive Islands, na bezdennych, skąpanych w słońcu morzach. Nieodparcie

ciągnęła mnie przeszłość, nie miałam jednak czasu na wspomnienia, bo gnało mnie poczucie winy dawniejsze i mroczniejsze niż pamięć lub marzenia senne. Modliłam się, ale moje modlitwy wzbijały się ku niebu, chwiejnie, niby kolumna dymu. „Umieram, o Panie!” Tylko tyle wiedziałam, a miłość i tęsknota dodały: „Ojczy mój! Ukochany!” Rzucam się w twoje objęcia... „Peyton, musisz być dobrą, grzeczną dziewczynką. Pamiętaj, Peyton”. Ja? Czy mam zdruzgotać siebie i tę czarowną muszlę własnego ciała? Może powstanę z martwych w innym czasie, chociaż pogrążę się w mroku i własną światłość pogrzebię w popiołach. Spojrzałam w stronę drzwi i na tle kafli zobaczyłam je znowu. Kroczyły sztywno, godnie, rozpościerały nakrapiane skrzydła. Moje biedne, bezlotne ptaki, cierpiałyście nie wznosząc się nad ziemię! Za mną, do lotu! Nadchodziły przez pociemniałe piaski niezdarne i łagodne, szeleszczące piórami. Za mną, do lotu! Stało się. Jeden po drugim mijaly mnie, szeptem piór muskały moją rozpaloną skórę. Widziałam je! O Chryste! Moje biedne, bezlotne ptaki wznoszące się do rajy przez dławiący skwar letniego wieczoru. Umieram, mój staruszk, umieram... „Ty musisz być zawsze na miejscu”. Na miejscu... Musisz... Brednie. Musisz być najporządniejsza... Najpotężniejsza.

Najpotężniejsza...

Musisz...

Wyglądało na to, jak gdyby powietrze odmieniło się w ocean: nie deszcz, lecz masy wody spadały na cmentarz. Niknąc szybko w drzwiach kaplicy Carey objął spojrzeniem zatopione nagrobki, trawę przybitą do ziemi strugami ulewy i wreszcie za ociekającymi szybami limuzyny Dolly z szeroko otwartymi oczyma, podobną do rybki teleskopa w szklanej kuli. Zagrzmiało. Piorun uderzył w pobliski lasek. Pastor odniósł wrażenie, że słyszy łoskot padającego drzewa. Odwrócił się, miał przed sobą krótki korytarzyk pachnący wilgotnym betonem – przygnębiające miejsce, słabo oświetlone, z pustymi niszami wzdłuż obu ścian. W głębi tego przedsionka schronili się pan Casper i Barclay. Ella Swan stała na tle drzwi właściwej kaplicy i głośno, rozpaczliwie płakała zasłaniając oczy chustką. Wraz z deszczem przyszedł chłód. Pan Casper podniósł kołnierz marynarki; od czasu do czasu zacierał ręce i zerkał z bogobojnym lękiem w kierunku burzy.

Kiedy rozpętała się burza, Loftis wciągnął Helenę do małej poczekalni. Carey widział tę scenę. Helena miała łagodny wyraz twarzy, uśmiechała się, nawet objęła w pół prowadzącego ją męża. Jednakże przed zamknięciem drzwi Loftis odwrócił się na chwilę i Carey dostrzegł wtedy tę samą udręczoną twarz. Minęła minuta – z pewnością nie więcej. Przez ścianę dobiegał stłumiony głos Loftisa – wysoki, żalony, histeryczny. Głosu Heleny pastor nie słyszał. Nagle drzwi poczekalni otworzyły się szeroko. Wyszła z nich ona, a za nią on z rozpostartymi ramionami i jasnym szklistym wzrokiem.

– Dlaczego cię chciałem? – wołał. – Bo tylko ty mi pozostałaś! Właśnie dlatego. Nie rozumiesz, na Boga! Obydwoje jesteśmy chorzy. Powinniśmy wzajemnie...

Helena wzięła pastora pod rękę.

– Carey, czy nie można wyjść zaraz? Miltonie – zwróciła się przez ramię do męża – proszę cię, nie urządź sceny.

Loftis podszedł do nich półprzytomny, z rozwianym włosiem. Chwycił żonę za ramię. Carey poczuł, że robi mu się słabo z obrzydzenia i strachu. Spod drzwi przedsiönka wypłynęła struga wody.

– Mówisz o scenie! – krzyczał Loftis. – Scena! Scena! Niech cię Bóg skarże! Czy nie widzisz, co robisz? Nic nie zostało! Nic! Nic!

– Czy ona chciałaby tego?

– Ona?

– Tak – odpowiedziała Helena.

– Jaka ona? Kto?

Helena otrząsnęła z ramienia dłoń męża.

– Tak – szepnęła. – Myślę, że chciałaby jednak.

– Chciałaby? – zawył Loftis.

– Miltonie, powiedziałam, że wszystko, czego chcesz lub potrzebujesz ode mnie, możesz dostać. Z wyjątkiem... – uśmiechnęła się, zrobiła krótką pauzę. – Z wyjątkiem... Cóż, to już za nami, prawda? Ona ma swoją dumę...

Później zaszło coś, czego Carey nie był w stanie przewidzieć, a nawet – jak mówił później Adrienne – wyobrazić sobie, że może zajść między cywilizowanymi ludźmi w dojrzałym wieku. Często opowiadał o tym żonie – przy fajce i zazwyczaj czymś do picia: sherry albo kropelce whisky. Opowiadał ze smutkiem, wolno i w strapieniu, nie bez swojego rodzaju poważnego niedowierzania. Ale w bezpiecznym zaciszu plebanii nie potrafił odtworzyć grozy, która obezwładniła go i oblała potem, i kazała mu szepnąć w duchu: „O Panie mój! Obyś mi się nigdy nie objawił!”

Loftis szarpnął Helenę, odwrócił twarzą w swoją stronę i począł ją dusić.

– Przekłęta! – ryczał. – Ja mieć cię nie mogę!... I ty... Nie! Nie!

– Ludzie! Ludzie! Ludzie! – wołał Carey, lecz stał jak skamieniały.

– Zdychaj! Przekłęta! Zdychaj!

Wszystko minęło równie nagle, jak się rozpoczęło. Szkarłatna luna szaleństwa zgasła niby błyskawica na tle burzy. Loftis zwolnił uścisk na szyi żony i drżący, zapłakany stanął w słabo oświetlonym przedsionku cuchnącym wilgocią, deszczem, śmiercią. Helena wsparła się o pastora ciężko, bezgłośnie, a dalej, w kaplicy, gdzie spoczywały zwłoki Peyton, coś poruszyło się, drgnęło. Może spadł okruh deszczu albo za gulgotała rura ściekowa wezbrana deszczem? Kto wie? Carey mówił później przy fajce i kropli whisky, że ów dźwięk wydał mu się upiorny, złowróżbny i ostatecznie poraził jego umysł oszołomiony straszliwym obrazem takiej ruiny i bezbożności. Minęło wszystko. Loftis podniósł ręce do twarzy nagłym, gniewnym, niemal dziecinnym gestem, jak gdyby bił się pięściami po oczach. Później odwrócił się i wybiegł w ulewę. Nie przystanął obok limuzyny, ale ocierając się o nią rzucił Dolly jedno przelotne spojrzenie. Tak się przynajmniej zdawało, lecz Carey mógł być w błędzie. Pośród deszczu i zawieruchy widział tylko jego oddalające się plecy, gdy Loftis pędził w kierunku szosy, przeskakując żałobne wieńce, bukszpanowe żywopłoty, mogiły.

Helena wyprostowała się, wsparła na ramieniu pastora, czoło przycisnęła do ściany.

– Peyton! – jęknęła. – Wielki Boże! Peyton, moje dziecko. Nic nie zostało. Nic! Nic!

Pod koniec dnia, kiedy zmrok był bliski, Ella, La Ruth i Stonewall stali przy rogu ulicy w Północnym Port Warwick i czekali na autobus. Niebo było już czyste; burza przeszła, potoczyła się daleko ku zachodowi. Pobliskie drzewa ociekały wodą. Na pnących różach lśniły krągłe, białe perły rosy. Na szosie było pusto i spokojnie. Nad zachodnim widnokregiem weszła gwiazda wieczorna i wraz z cieniutkim sierpem młodego księżyca stanowiła jedyny ornament bezchmurnego, głęboko lazurowego nieba. Ella i La Ruth miały na sobie białe chrzestne szaty, włosy ich spowijały białe turbany. Stonewall był ubrany tak samo, tylko w zmniejszeniu i nie nosił turbanu, co pozwalało mu drapać się w skąpą wełnistą czuprynkę. Nie było teraz łez, biadania, żałoby, a w każdym razie jej zewnętrznych objawów. Ella miała wyraz twarzy kogoś, kto widział wszystko, przecierpiał wszystko, poznał wszystko i niewiele mógł oczekiwać od radości lub smutków. Była stara, a jeżeli od czasu do czasu posępny grymas zakłócał wzniosłą powagę jej zoranej zmarszczkami twarzy, działo się tak dlatego, że Ella Swan ogólnie zapatrywała się na życie tragicznie, nie z racji jakichś przelotnych gniewów lub goryczy. La Ruth miała nadąsaną minę; nie była na pogrzebie Peyton, więc jej żal został w pewnym sensie nie donoszony, nie mógł osiągnąć przesilenia, ponieważ nikt nie zaprosił jej na cmentarz. Ponadto w sercu La Ruth kłębiły się inne braki i rozczarowania, których za nic nie potrafiłaby

określić lub nawet pojąć. Niekiedy zaczynała pojękiwać, tulić Stonewalla do brzucha, kiwać się w przód i do tyłu, wyrażając w ten sposób bezosobową i podświadomą boleść. Ale za każdym razem Ella dotykała ramienia córki i mówiła, że ma być cicho. Stonewalla zajmowały własne sprawy.

– Mama – odezwał się. – Christine mówi, że chce się ze mną ciupciać... Co to znaczy?

La Ruth dała chłopcu klapsa.

– Cicho, brzydalu! Trzeba więcej niż chrztu, żeby uratować twoją diabelską duszę.

Zaczęła znów zawodzić, kołysać się w półmroku, tulić Stonewalla.

– Zmiłuj się nad nami, o Fanie! Mamo, szatan krąży dzisiaj w pobliżu i kusi do grzechu, a Bóg zamknął wrota niebios przed swoim ludem.

– Nie jęcz! – Ella ścisnęła córkę za łokieć. – Miej ufność w Panu.

Na wzgórze wjechał z łoskotem autobus z wywieszką „Dodatkowy”. Wsiedli do niego. La Ruth wrzuciła do puszki dwie pięciocentówki.

– Ile lat ma dziecko? – zapytał kierowca, spoglądając na pasażerkę chłodnymi, niebieskimi oczyma.

La Ruth odwróciła się o trzy kroki od wejścia.

– Pięć i jedenaście miesięcy, sześć skończy we wrześniu.

– Na pewno?

– Ma się rozumieć, że na pewno. Mama mówi, że zawsze trzeba mówić prawdę, jak człowiek pyta. To moje dziecko i...

– Dobrze już, dobrze – przerwał kierowca.

Autobus ruszył. Trójka nowych pasażerów zajęła miejsca na ostatniej ławce, między innymi Murzynami.

– Aa, siostra Ella! Jak się czujesz? Wyglądasz doskonale – powiedziała mała, pulchna kobieta o brunatnej cerze. Miała na sobie szatę z koronkowymi rękawami naszytymi paciorkami, którymi pobrzękiwała głośno i ostentacyjnie, poprawiając co chwila włosy pod turbanem.

– Ale słyszałam od siostry Moreen – ciągnęła godnie – że macie żałobę w rodzinie.

– A pewnie, pewnie – westchnęła Ella. – Stwórca zgasił żywot najpiękniejszego swojego stworzenia.

– Jak Stwórca gasi żywot, to gasi – wtrącił suchy, drobny człeczyzna z rzadkimi, siwymi wąsami.

Był bardzo stary, ale dziarski. Kiedy mówił, akcentował słowa przytupując obydwoma stopami. Zamasyście wachlował się fularową chustką.

– A pewnie, pewnie, bracie Andrew – przyznała łagodnie Ella. – Pewnie, że jak gasi, to gasi.

– A człowiek biada, co? – odezwała się inna Murzynka.

– A pewnie, pewnie – powtórzyła jeszcze raz Ella.

– Więcej biadać nie mogłam, siostró Adelfio. – Więcej nie mogłam.

– To dobrze – powiedziała siostra Adelfia. – Ojczulek Wiernych mówi, że żałoba to źródło ruczaju, a jak wysycha, przychodzi czas, kiedy należy wznieść ręce i chwalić Pana za jego mnogie łaski, czas dziękczynienia...

– I krwawej ofiary – dokończył brat Andrew stukając obcasami.

– I krwawej ofiary – powtórzyła siostra Adelfia.

– Amen – dodała Ella.

W półmroku autobus mijał pola, gaje, piaszczyste drogi. Na każdym skrzyżowaniu przystawał i zapełniał się nowymi pasażerami, samymi Murzynami. Jedyne biały, robotnik kolejowy, stał tuż za kierowcą, zdenerwowany widocznie i jak gdyby nie na miejscu. Na ogół panowała świąteczna atmosfera oczekiwania i nadziei. Czarni potracali się wzajemnie, deptali sobie po nogach, śpiewali pobożne pieśni. Przy samych drzwiach stara kobieta popadła przedwcześnie w histerię; zaczęła wrzeszczeć, kurczowo obmacywać ścianę. Wreszcie kierowca zwolnił i unosząc się na swoim fotelu, powiedział, żeby się uspokoiła, bo raz po raz naciska dzwonek. W Niggertown, Aleja Jeffersona wyglądała jak w czasie parady, gdyż zapełniał ją tłum w białych szatach i turbanach, ciągnący ku wschodowi, w stronę wody. Niektórzy dęli w trąbki. Z dala dobiegały dźwięki bardzo hałaśliwej orkiestry: triumfalne tony puzonów, klarnetów, ksylofonów i łoskot bębnow. Autobus ugrzązł w korku, stał przez czas pewien, ruszył z gwałtownym szarpnięciem. La Ruth zaczęła nowy lament:

– Zmiłuj się, Panie! Ulituj nad nami! Co oni poczną. Biedna, biedna Peyton. O Boże, Boże, Boże...

– Cicho, La Ruth – Ella dotknęła palcami dłoni córki.

– Nie jęcz. Stało się. Pan przyjmie ją do swojej chwały.

– Amen – dorzucił brat And rew.

– Jeszcze dziś będę z tobą w raju – powiedziała siostra Adelfia kiwając w takt głową. – Tako Pan rzecze. Czy ci to nie wystarczy, siostró La Ruth? – brzęknęła paciorkami i uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie, lecz surowo, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że nie myśli tolerować niedowiarków.

La Ruth posadziła sobie Stonewalla na kolanach.

– Wiem... wiem... – westchnęła. – Ale tyle na raz... Biedna Peyton i pani Helena jak szalona, i wszystko... O mój Boże!... Już nic nie wiem... – Głos się jej załamał, spojrzała w okno.

Z tego punktu szosy widać było rzekę przy ujściu do zatoki: srebrzystą, nieruchomą smugę. Na przeciwległym brzegu słońce zachodziło za kępę drzew; przypominało jaskrawe złote półkole koloru żółtka. Bliżej rozciągały się moczary. Wśród bezwietrznego zmięzchu sitowie i trzciny stały zakrzepłe, sztywne. Był właśnie przypływ, więc od zatoki ciągnął zapach morza, słony i lekko siarkowy od zgnilizny bagien, lecz czysty. Przy przejeździe kolejowym jedyny biały pasażer wysiadł. Autobus jechał teraz szybciej. Z jego okien wychylały się czarne ręce wzniesione ku niebu, Bogu, ku niczemu w bezprzedmiotowym upojeniu. Bardzo daleko zahuczał ostatni grzmot, jak gdyby burza tonęła w oceanie. Ella siedziała wyprostowana, kołysała się wraz z wstrząsami pojazdu; powieki miała przymknięte. Zdawać się mogło, że nie przyjmuje do wiadomości wypełniającego autobus gwaru: modlitw, śmiechu, śpiewania. Jej twarz nosiła wyraz nie smutku czy pobożnego skupienia, lecz głębokiej świadomości czasu, który minął, mija i ma nadejść – wyraz równie tajemniczy jak spokojny.

– Babcia – pisnął Stonewall i pociągnął ją za rękaw szaty.

Jednakże Ella nie zareagowała, tylko nadal kołysała się miarowo wraz z wstrząsami pojazdu.

Wreszcie autobus zboczył na drogę wijącą się przez moczary. Jeszcze raz przeciął tory kolejowe, zwolnił na błotnistym odcinku drogi, umocnionym poprzecznymi dylami. Przechylał się, podskakiwał, błotnikami rozgarniał sitowie. Okna zaatakowały roje komarów, które ludzie tłukli pozostawiając krwawe ślady na ciemnej skórze. Ktoś zaintonował:

Szczęśliwy jestem
W moim Odkupicielu...

Nim autobus dotarł do plaży, wszyscy pasażerowie przyłączyli się do chóru. Tylko Ella siedziała nadal spokojnie, z przymkniętymi oczyma; nie śpiewał również Stonewall, bo nie znał słów.

Autobus stanął, zarył się w piasku. Pasażerowie wysiedli – La Ruth ostatnia. Wszędzie na plaży widać było dziesiątki ludzi. Niektórzy siedzieli w sypkim suchym piasku na skraju moczarów. Jedli arbuzy, smażone kurczęta i zielone kwaśne winogrona rozmiaru śliwek. Nad pobliskim strumieniem wznosił się łuk wiaduktu kolejowego, w którego cieniu zastawiono długie stoły. Uginały się pod półmiskami, a wokół nich sok z porzuconych skórek arbuzów wyglądał na piasku jak ślady krwi.

Jednakże prawie wszyscy podziwiali tratwę. Gromadkami tłoczyli się nad brzegiem zatoki, obserwowali tratwę, rozprawiali o niej żywo. Była zakotwiczona na płyciźnie i chwiała się łagodnie w rytmie fal. Wzniesiono na niej coś w rodzaju estrady czy sceny, osłoniętej z czterech stron kotarami ze złocistego muślinu, haftowanymi w przeróżne wzory: smoki, krzyże, korony, emblematy masońskie, dziwaczne, nieznanne zwierzęta – cudowny amalgamat mitologii, pogańskich rytuałów i symboliki chrześcijańskiej. Wszystko to połyskiwało na tle kotar czerwienią, zielenią, szafirem i w literalnym sensie olśniewało oczy. Zasłony podtrzymywały w rogach wysokie, złoczone pręty, uwieńczone kulami z przezroczystego szkła. W kulach świeciły żarówki i dobywały na jaw szkarłatno malowane litery tworzące jedno proste słowo: MIŁOŚĆ. Czterej starsi, w czarnych szatach i czarnych mnisich piuskach, stali po pas w wodzie i dozorowali tratwę. Co prawda niewiele mieli do roboty: musieli jedynie pilnować, by nie chwiała się z nadto na gładkiej płyciźnie, i od czasu do czasu rzucać wyniosłe spojrzenia tłumom zalegającym plażę. Nad samą wodą zgromadziło się już co najmniej tysiąc osób. Wszyscy przestępowali z nogi na nogę, popychali się szukając miejsc z lepszym widokiem, niektórzy dogryzali kurczęta. Ella w otoczeniu rodziny, brata Andrew i siostry Adelfii znalazła się na samym skraju plaży. Stonewall brodził w wodzie,

zajadając kraba. La Ruth z wielkim hałasem piła coś z butelki.

– Bardzo piękna tratwa – powiedziała siostra Adelfia i z Bogu ducha winną miną podniosła ręce, aby zademonstrować swoje paciorki.

– Amen! – powiedział brat Andrew i nieporadnie tupnął o piasek. – Tak i trzeba.

La Ruth czknęła głośno.

– Stonewall – powiedziała. – Wylaż z wody. I nałóż zaraz treпки. Jeszcze skaleczysz sobie nogę o ostrygę.

Chłopiec posłuchał; grzecznie ruszył w kierunku brzegu maczając szatę w wodzie. Niebawem znalazł towarzyszkę zabawy, czteroletnią dziewczynkę z buzią umazaną dżemem. Ella pochyliła się nad nią i zapytała:

– Jak ci na imię, dziecko?

– Doris – pisnął cieniutki głosik.

– A gdzie twoja mama? Może się zgubiłaś?

Doris zachichotała, wzięła w ząbki rąbek swojej szaty, ale nie odpowiedziała.

– No to pilnuj się Stonewalla – powiedziała Ella.

– Zaopiekuje się tobą. A mamę prędko znajdziemy.

Wszyscy spojrzeli znów na tratwę, gdzie coś się zapowiadało. Czarna ręka wyjrzała zza kotary i skinęła na jednego ze starszych, a ten wdrapał się na pokład i zniknął w sanktuarium. Szmer przebiegł plażą od końca do końca. Tłum przysunął się bliżej. Jął szeptać, snuć rozmaite domysły.

- Teraz ON się pokaże. Tylko patrzeć.
- Racja. Ja wam to mówię.
- A skąd wiesz?
- Wiem. Jak starszy tam wchodzi, to już.
- Nie ma jeszcze orkiestry.
- Zaraz będzie. Ciekawe, gdzie się chowa.

Jak gdyby na dany znak trąbka odezwała się pośród moczarów, za plecami tłumu: zabrzmiała jedną, przeciągłą, donośną nutą. Odwróciły się wszystkie głowy, otwarło się przejście i orkiestra – dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn w jasnoszkarłatnych szatach wkroczyło na plażę, aby wykonać sprawny wojskowy zwrot i wejść do płytkiej wody. Wszyscy byli zadowoleni. Poczęli klaskać. Tu i ówdzie słyhać było okrzyki uznania.

- Pierwsza klasa wyglądają.
- To się nazywa orkiestra.

Muzykanci w powłóczystrych szatach i sandałach brodzili w stronę tratwy, z jakimś trudem utrzymywali równowagę, podnosili wysoko puzony i klarnety, które rzucały na drobne falki złotawe refleksy. Wreszcie orkiestra odwróciła się i podzielona na dwie grupy stanęła po bokach tratwy. Niezmierna cisza ogarnęła ciżbę. Nie było słychać szeptów ani oddechów. Zamęt robiły tylko dzieci, ale rodzice uspakajali je przy pomocy klapsów lub targania za uszy. Nadszedł moment ostatecznego wyczekiwania. Dalej na brzegu prom zsunął się z pochylni; silnik zaterkotał, aż głos poniósł się po wodzie, lecz rychło przycichł. Drobne falki zaatakowały brzeg plaży. Ktoś stęknął z podniecenia, ale go rychło uciszono. W górze samolot przemknął prawie bezszelestnie. Na zachodzie niebo poróżowiło, później oblekło się ciemną purpurą i jak gdyby pożarem ogarnęło zatokę. La Ruth zaczęła znowu kołysać się i biadać:

– O Jezu, Jezu! Biedni ludzie. Co oni teraz poczną? Biedna, kochana Peyton! Nie ma jej. Odeszła.

Ella dała jej sójkę w bok.

– Cicho, La Ruth!

Córka uspokoiła się. Płakała teraz w milczeniu, mocno ścisnęła ramię Stonewalla. Ella zapatrzyła się w tratwę oczyma pełnymi znowu tajemniczości i spokoju. Poruszyła się kotara, tłum wydał zdławiony okrzyk i na skraju tratwy stanął nie Ojczulek Wiernych, lecz jego majordomus, herold i pierwszy zastępca, Gabriel – mężczyzna o surowej, wyrazistej twarzy i wylupiastych, szklistych oczach. Pochodził widać z lepszej, subtelniejszej rasy, bo miał cienkie wargi i orli profil, który chętnie demonstrował z obu stron bez fałszywej skromności, a nawet z pewną nonszalancją. Nikt w tłumie nie widział uprzednio tego człowieka, więc wszyscy spoglądali na niego z potulnym zachwytem. Miał na sobie błękitną szatę, przylegającą pod szyją jak ornat i ozdobioną godłem o niejasnym wzorze, wyhaftowanym srebrem na szerokich piersiach w miejscu, pod którym bije serce. Przez mniej więcej minutę Gabriel stał bez ruchu, wciąż tylko arogancko kręcił głowę, ukazując swój profil to z prawej, to z lewej strony. Nadciągnęła łagodna bryza, poruszyła rąbkiem jego szaty. Tratwa zachwiała się lekko. Wreszcie Gabriel przemówił:

– W górę serca... O, wy... Wrota! – zawołał.

Pauza. Nikt nie słyszał dotychczas podobnego głosu. Był potężny, pełny, silny niby łoskot gromu albo poszum huraganu; miał w sobie pełnię nieskończoności, grozy, majestatu, piękna. Gabriel milczał, a jego wzniesione ramiona połyskiwały wśród zmierzchu niby spalony słońcem heban. Wreszcie przemówił znowu:

– W górę serca... O wy... Wrota – druga pauza.

– A także wy, o podwoje wieczności!

Szmer przebiegł cizbę. Ludzie zwracali się do siebie, szeptali:

– Warto takiego słuchać.

– Dobrze mówi.

– Cicho! Słuchaj lepiej.

Gabriel zabrał głos:

– A Król Chwały wstąpi w was.

Opuścił ręce majestatycznie, wolno, jak gdyby podtrzymywały je niewidzialne sznury. Woda kołysała tratwą, ale on stał surowy, niewzruszony; jego błękitna szata rysowała się na tle szkarłatnych tarcz, zielonych kabalistycznych znaków i pełzających smoków. Nagle zaszła w nim nieuchwytna zmiana. Nie znaczy to, by wyglądał teraz mniej monarszo i surowo, gdyż nadal miał na twarzy ten sam, aż nazbyt ostentacyjny wyraz aroganckiego lekceważenia. Raczej przytłaczająco władczy majestat zniknął z jego głosu, który nabrał łagodniejszych, niemal serdecznych tonów.

– Kto jest Królem Chwały? – przemówił znowu Gabriel.

Oto pytanie. Nikt nie odpowiadał. Rzesze milczały w spokojnym oszołomieniu, trwożnym, pełnym szacunku podziwie. Ella stała, jak gdyby jej sandały przyrosły do sypkiego piasku plaży; jej twarz miała dawny wyraz tajemniczości i spokoju; z oczu spływały łzy na zryte bruzdami policzki. Poruszała wargami, lecz nie dobywały się z nich słowa. Nad wodą zabrzmiał raz jeszcze głos piękny i dostojny:

– Kto jest Królem Chwały?

Wówczas Ella odpowiedziała pierwsza: krzyknęła głośno, wyrzuciła w górę ramiona, oczy wzniosła ku niebu.

– Ojczulek Wiernych! – zawyła. – Ojczulek Wiernych! O Jezu, Jezu! On jest Królem Chwały!

Zdawać się mogło, że wystrzeliła pierwszą z długiego łańcucha petard i spowodowała dalsze eksplozje. Tłum podchwycił okrzyk, jak gdyby potrzebował jedynie wrzasku Elli, by zawrzasać również:

– Ojczulek Wiernych! Ojczulek Wiernych! On jest Królem Chwały. Wyjdź Ojczulku! Wyjdź! Wyjdź!

Później zapadała stopniowo cisza, którą Gabriel nakazał wymownym gestem. Ostatnia umilkła Ella. Aż do ochrypnięcia krzyczała opętańczo:

– Tak! Tak! Ojczulek Wiernych! O Jezu! Jezu! On jest Królem Chwały! Ojczulek Wiernych!

Wreszcie siostra Adelfia, sama bliska hysterii, uspokoiła ją, mówiąc:

– Szszaa, siostró, szszaa! Niejedno jeszcze nas czeka.

Ella ucichła, zaczęła skubać nerwowo swoją szatę. Pierś jej falowała, łzy zalewały nadal twarz.

Nad wodą zabrzmiał znów wspaniały głos:

– Tak! On jest Królem Chwały!

Gabriel skinął głową szybko, gwałtownie i powiewając szatą zstąpił po drabinie do wody. Ciżbie wydało się to aktem ostatecznej, bezgranicznej pokory. Ten człowiek był już dla niej symbolem absolutu, cudowności, a więc mniej by się zdumiała, gdyby w tej chwili Gabriel rozpostarł skrzydła i uleciał ku niebu. Ale mimo majestatu swojego głosu i postawy herold stanowił tylko preludium nadchodzącego dziwu: jego zejście do wody nie było poniżeniem, tylko przykładem stosownego zachowania. Dalsze oczekiwanie, które trwało ledwie minutę, lecz pozornie miało wagę długich godzin, cechowało napięcie jeszcze bardziej dramatyczne niż to, co poprzedzało ukazanie się człowieka w błękitnej szacie. Na moment podniosły się znów szepty:

– Było na co popatrzeć.

– Dobrze mówił.

– Popatrz, popatrz! Jak tam stoi!

Stopniowo jednak ludzie uprzytamniali sobie, że Ojczulek Wiernych nie pojawił się dotąd.

– Czemu Ojczulek nie wychodzi?

– Czemu?

Szepty milkły. Wierni przestępowali z nogi na nogę. Czas mijał. W górze krążyły mewy. Duży krab wyszedł na skraj wody, podniósł sine kleszcze i cofnął się ku płyciźnie. Ella stała zapatrzona w tratwę. Podziwiała piękne smoki, krzyże, dziwa haftowane na kształt krzyża, dziwacznie przycupnięte lwy. Jej oczy trochę żółtawe od reumatyzmu wyrażały bezbrzeżny spokój i oderwane od rzeczywistości zrozumienie. Stonewall wplątał we włosy Doris skorupkę po zjedzonym krabie i dziewczynka zaczęła płakać. La Ruth bez słowa usunęła skorupkę. Ktoś zapytał głośno:

– Gdzie jest Ojczulek?

Stało się to przy dźwiękach fanfar. Ramię w purpurowym rękawie wystrzeliło ku niebu i nad wodą popłynęła jedna przeciągła nuta. Ramię opadło, rozdzieliła się kotara i na estradzie stanął Ojczulek Wiernych. Tłum poruszył się, zaczął wymieniać uśmiechy, ale milczał ze spokojnym respektem. Oto on, krępy, okrągły mężczyzna, najczarniejszy, jak człowiek być może, ubrany nie inaczej niż wszyscy, w prostą, białą szatę. Stał na skraju tratwy – promienny, dobrotliwy, jak zacny wujaszek. Gdyby był biały, można by wziąć go za senatora z powodu zagadkowych i nieśmiałych, ale życzliwych oczów i przyjaznego uśmiechu. Nie miał turbana, a jego bezwłosa głowa połyskiwała jak działowy pocisk. Ręce o dłoniach małych, nie większych niż dziecinne, wyciągnął przed siebie gestem raczej błagalnym niż władczym. Następnie zaczął mówić. Jego słowa wypowiedane głosem ochrypłym, ale słodkim i kojącym, spływały na tłum niby rajska ciecz, pieśczołliwa i boska, przejmowały dusze niemal fizycznym dreszczem.

– Pociesz się! – zaczął cicho i umilkł na chwilę, aby spojrzeć na zgromadzenie z uśmiechem i poczciwym przymrużeniem powiek.

– Pociesz się! – powtórzył szybko i na pozór szorstko, ale słowa zadźwięczały nad wodą czule i melodyjnie; zrobił znów pauzę, wzniosł ku niebu ręce zwrócone dłońmi na zewnątrz.

– Pociesz się, o mój ludu!

Ojczulek Wiernych uderzył się w pierś otwartą dłonią, co wydało się również gestem bynajmniej nie władczym, lecz właściwym, zrozumiałym, wybornie zharmonizowanym z łagodnym uśmiechem. Stuknięcie odezwało się echem nad wodą i Ojczulek Wiernych przemówił znowu:

– Chwal swojego Boga!

Opuścił ręce, spojrzał na lud dobrotliwie, pogodnie. Wszyscy zastygli w niemym oczekiwaniu kolejnych słów. Orkiestra kręciła się niespokojnie w wodzie, zanurzony po biodra starszy w błękitnej szacie stał u stóp mistrza i mierzył tłum płomiennym, wzgardliwym wzrokiem.

Ojczulek Wiernych zabrał znów głos, a że wszyscy wiedzieli, co powie, chór odpowiedzi rozbrzmiał, ledwie słowa zapytania spłynęły z jego warg.

– Kto kocha cię, o mój ludu?

– Ty! Ojczulek! Ojczulek Wiernych! Ty nas kochasz!
Ojczulek!

Ella wrzeszczała wraz z innymi, ręce wznosiła ku niebu, z jej gorejących oczów płynęły łzy. Zdawać się mogło, że czystym aktem woli porwie Ojczulka Wiernych w ramiona, mimo utrudniającego to pasa wody.

– Ty! Ojczulek Wiernych! O Jezu! Jezu! Ty nas kochasz!

Ale Ojczulek Wiernych rozłożył ręce i tym uprzejmym gestem zalecił ciszę. Później roześmiał się głośno. Wszyscy słyszeli to, widzieli jego ręce wznoszące się skromnym, zwyczajnym gestem do podbródka. Ojczulek Wiernych chichotał wesoło i spoglądał na lud życzliwym, pogodnym wzrokiem.

– Słusznie – powiedział wreszcie, roześmiał się znowu i po niedługiej przerwie powtórzył: – Zupełnie słusznie!

Nie śmiał się już, ale dobry uśmiech trwał na jego twarzy. Pokręcił głową, jak gdyby ubawiony czymś i po trosze zdziwiony:

– Zupełnie słusznie – powiedział.

Z kolei ciżba wybuchnęła śmiechem. Gdzieś daleko ryknęła syrena okrętowa. Było już prawie ciemno. Z zatoki zesłała purpurowa łuna, pozostał tylko seledyn zmierzchu zabarwiony różowo od pozachodniej zorzy. Ojczulek Wiernych wyprostował się i począł mówić zrazu bezpośrednio, przyjaźnie, jak dobry wujaszek lub gawędziarz zajęty rozmową z dziećmi. Parę razy przerywał, by spojrzeć na zegarek, lecz jego głos nabierał stopniowo mocy, wzbierał dostojną melodią triumfu. Tłum słuchał, przestępował z nogi na nogę grzęznąc w piasku. Niektóre starsze niewiasty – w ich liczbie Ella – modliły się z opuszczonymi powiekami.

– Widzieliśmy, mój ludu, złe czasy. Widzieliśmy złe lata. Przeżywaliśmy wojny, zarazy, wygnania. Nawiedzały nas plagi, jęczeliśmy w kajdanach niewoli. Izrael cierpiał w kraju faraonów i w kraju Nabuchodonozora. Lud padał na pustyni i wołał: „Biada nam, bo męki znosimy i rany, a nadziei nie ma przed nami. Odejść nam przyjdzie do wrót otchłani, a spoczynek znajdziemy w prochu”. I lud zawodził głośno: „Panie nasz, czemu nas opuściłeś”. Bolał od srogich ran i powiadał: „Dziedzictwo nasze popadło w obce ręce, ojcowie nasi grzeszyli, a na nas padły brzemieniem ich nieprawości”. I lud pragnął ujrzeć czystą rzekę wody życia, jasną jak kryształ, tryskającą u stóp tronu Pana nad Pany i Baranka Bożego. Lud stał na drogach niedoli i mówił: „Panie, ukaż nam objawienie, gdy nie będzie nocy ani potrzeby świec, ni blasku słońca. Okaż nam cud, o Panie, bo męka nasza jest sroga, a droga zagrodzona i ciemność zalega nasze ścieżki, więc nie możemy kroczyć dalej”.

– I oto lud Izraela zakończył boje – podjął po krótkiej pauzie Ojczulek Wiernych i wsparł się o jeden ze słupów tak, że lampa błysnęła nad nim w mroku słowem „MIŁOŚĆ”.

Ella drgnęła i nie odmykając oczu jęknęła słabo:

– Amen!

Gdzieś w tłumie kobiecy głos odpowiedział jak echo:

– Amen! – i dalej: – Lud zakończył boje! O Jezu!

– I oto lud Izraela zakończył boje i zrzucił bombę atomową na Krainę Wschodzącego Słońca, a żołnierze wracają do domu, z piersią wezbraną dumą, przy głosach trąb i biciu w dzwony.

Umilkł znowu, oczy mu posmutniały i spojrzenie ich dotknęło ciżby jak pieszczota.

– Ale, mój ludu, wydaje mi się, że długa jeszcze droga przed nami. Prawica Pana zwróciła się przeciwko grzesznym i nieprawym, a pochodnia złego przygasła. Atoli nadejdzie czas, gdy lud ujrzy gniew Wszechmogącego i pić będzie z gniewu tego krynicy. Ujrzy czas nienawiści i wojny i jako rzecz kaznodzieja, posłyszysz zgiełk bitewny i zobaczysz niezmiernie zniszczenie. „O Panie! – podniesie się tedy wielki głos. – O Panie! Uciśnionym jest, więc ulituj się nade mną! Biadam w żałobie, a wzrok mój wznosi się w stronę niebios. Niechaj modlitwy moje trafią do Ciebie i racz ich wysłuchać, o Panie. Nie odbieraj mi wolności po raz wtóry, nie odbieraj, o Panie!” I lud zawoła: „O Panie, pyszny powstał przeciwko mnie i rzesza gwałtowników czyha na moją duszę! Jak długo, o Panie, będziesz zagniewany na mnie, a Twoja złość będzie paliła niczym ogień?”

Ochryply głos powiedział w mrokach:

– Amen! O Jezu!

Cienie na moczarach wydłużały się, sięgały wody, kładły się na niej. Odezwało się zawodzenie rozhisteryzowanego głosu jakiejś kobiety:

– Prawda! Ojczulku! Prawda! Prawda!

Ojczulek Wiernych rozłożył ręce o drobnych dłoniach ruchem współczucia i tkliwości.

– Pociesz się – przemówił ciszej. – Pociesz się, o ludu mój. Czy nie wiesz, że pokropię cię wodą oczyszczenia i dam ci nowe serce, i tchnę w ciebie nowego ducha? Upredziłbym cię, o ludu mój, gdyby miało stać się inaczej.

– Prawda, Ojczulku! Prawda!

– Alleluja!

Ojczulek Wiernych wznosił ręce i zwrócił wzrok w stronę ciemniejszego nieba. Jego głos zabrzmiał nutą niezmiernego smutku – słuszną, stosowną, zrozumiałą.

– Nie lękaj się, o ludu mój. Płacz wielkim głosem i nie pytaj: czemu ja płacę. Trawa zielona jest i usiana kwieciami, ale trawa i kwiecie więdną niekiedy pod tchnieniem Pana. Lud jest jako ta trawa – jeszcze raz zrobił niedługą pauzę, spojrzął na tłum dobrotliwie. – Wierzajcie mi, lud jest jako ta trawa.

– Prawda, Ojczulku! Prawda!

– Chwała mu! Chwała!

Ojczulek Wiernych uciszył wrzawę podniesieniem ręki, lekko uderzył się w piersi, uśmiechnął promiennie.

– Trawa u więdnie i zblaknie kwiecie – powiedział – ale słowo Boga waszego będzie trwać wiecznie.

Po chrzcie Ella i La Ruth wyostały się na plażę zmęczone, wlokąc za sobą Stonewalla i Doris, która nie odnalazła matki. Przez piasek poczłapały w kierunku stołów ustawionych pod wiaduktem i tam zasiadły. Ella oszołomiona nastrojem obrzędu pamiętała bańki powietrza dobywające się z jej nosa, gdy zanurzyła głowę w słonej wodzie. Ale jeszcze wyraźniej zachowała w pamięci bliską omdlenia słabość, gdy on uśmiechnął się do niej i przez turban poczuła nieziemską słodycz dotknięcia jego dłoni. Wycisnęła wodę z fałd swojej szaty i sięgnęła po porcję smażonego kurczęcia, ale drżała wciąż z zimna i od wspomnienia tych rąk.

– To się nazywa chrzest przez zanurzenie – powiedziała, ale La Ruth nie zareagowała; twarz miała zasłoniętą plastrem arbuza.

– Wielki dzień! To się nazywa chrzest przez zanurzenie – podjęła Ella.

Do towarzystwa przyłączyli się siostra Adelfia, brat Andrew i młoda kobieta o bardzo jasnej cerze. Niewątpliwie była to matka Doris, bo porwała ją z kopczyka piasku, na którym bawiła się ze Stonewallem.

– Kto słyszał tak uciekać? – Dała dziecku klapsa, a gdy zaczęło płakać, całowała je, póki się nie uspokoiło. – Mały głuptasek! Mały głuptasek! – mówiła sama bliska łez.

– Kto słyszał tak uciekać? Myślałam, że się gdzieś utopiłaś... Dziękuję, siostrze – rzuciła pod adresem Elli i odeszła plażą prowadząc Doris za rączkę.

Siostra Adelfia starannie wyżeła szatę i z flaszką piwa w rękę usiadła obok Elli.

– Widziałam niebo, siostrze – powiedziała.

– Amen – dorzucił brat Andrew.

– A pewnie, pewnie – przyznała Ella. – Było na co patrzeć. Niebo zeszło na ten świat.

Czuła, że dotknięcie dłoni Ojczulka Wiernych oczyściło ją ze wszystkich grzechów, położyło kres walce, przyniosło win darowanie.

La Ruth wypuściła z palców skórkę arbuza i znów zaczęła biadać:

– Nie wiem, nie wiem, jak przyjdzie myśleć o tym wszystkim. Biedna Peyton! O Jezu! Biedna Peyton! Nie ma jej. Odeszła.

Zakryła twarz rękami, rozkraczyła nogi, kichnęła w mokry rękaw chrzestnej szaty.

– Nie wiem... Nic nie wiem, mój Boże...

Siostra Adelfia parsknęła gniewnie, zabrząkała paciorkami.

– Czy nie zostałam ochrzczona, siostrze? – zapytała zjadliwie.

Mrok gęstniał. Niebo lśniło gwiazdami. W oddali orkiestra huczała triumfalnie, połyskiwały słowa miłości na palach, rozkwitały ogniste kwiaty pochodni. Ella myślała o dotknięciu jego dłoni i zmywających winy wodach morza. Władzało nią jeszcze oczarowanie.

– Prawda, o Jezu! – szepnęła podnosząc się z wysiłkiem.

Siostra Adelfia klasnęła w dłonie:

– Prawda, siostro! Prawda!

– Amen! – dorzucił brat Andre w.

– Widziałam GO!

Pociąg zbliżał się do wiaduktu z łoskotem, od którego drżały talerze na stole. Ella jęła wirować na piasku, unosząc w górę czarny palec.

– Prawda, o Jezu! Prawda! – wołała. – Widziałam GO! Widziałam! Widziałam!

Pociąg huczał, drżał, był coraz bliżej i bliżej. W nieznośnym zgiełku Stonewall zatykał uszy palcami. Inni mieli twarze zwrócone w kierunku morza.

– Prawda! O Jezu! Prawda! Prawda! – krzyczeli, lecz głosów ich prawie nie było słychać.

Wiadukt zatrzęsł się i jęknął. Wśród pióropuszków pary rozbrzmiał gwizdek.

– Prawda! Prawda! Prawda!

Jeszcze jeden gwizdek, potężny ryk, łoskot, wiadukt drży nad głowami. Zdawać się może, że stają otworem wrota furty wieczności... I zgiełk cichnie stopniowo... Pociąg odjeżdża szybko ku północy, w kierunku Richmond i gęstniejących mroków.

POSŁOWIE

Williama Styrona poczytywano zazwyczaj za prozaika związanego z literaturą amerykańskiego Południa. A właściwie– z gwałtowną eksplozją tej literatury, która przypadała na koniec lat dwudziestych, na lata trzydzieste i czterdzieste. Styron miał stanowić niejako przedłużenie, ciąg dalszy jej dotychczasowego rozwoju.

Oczywiście, nie odnosiło się to do całej twórczości pisarza. W skład literatury amerykańskiego Południa nie włączono przecież *Na pastwę płomieni* (1960) ani *Wyboru Zofii* (1979). Natomiast ponad wszelką wątpliwość w obręb takiego pisarstwa wciągnano Styronowski debiut. A było nim właśnie *Pogrążyć się w mroku*.

Ukazało się ono w roku 1951. Styron miał wówczas dwadzieścia sześć lat i wiązał się z tymi poetykami, które odgrywały zasadniczą, dominującą rolę w amerykańskiej prozie fabularnej tego czasu. Równały się one nowoczesnym wersjom mimetyzmu, kształtowanym przez Roberta Penn Warrena i Saula Bellowa, przez Carson McCullers i Trumana Capote, przez Normana Mailera, Jerome'a Davida Salinger'a i Wrighta Morrisa. Może nawet w sferze rozwiązań narracyjnych to, co proponował Styron, wykazywało silniejsze związki z tradycją, niż działo się to wówczas zazwyczaj. Posługiwał się przecież opowieścią tzw. wszechwiedzącego narratora. Owszem, zszywała ona ze sobą relacje prowadzone z punktu widzenia określonej postaci – Milтона Loftisa, jego żony Heleny, jego przyjaciółki Dolly czy wielebnego Careya Carra. Wmontowywała w to jedyny monolog wewnętrzny obecny w całej powieści, monolog wewnętrzny Peyton. Ale też opowieść wszechwiedzącego narratora nie ograniczała się do tego rodzaju czynności. Bezpośrednio dochodziła do głosu, udzielając informacji spoza obszarów wiedzy poszczególnych postaci, co sprawiało wtedy wrażenie staroświeckiego rozwiązania. Od niego zresztą Styron później odstąpił, wprowadzając w *Na pastwę płomieni*, w *Wyznaniach Nata Turnera* i *Wyborze Zofii* osobowego narratora, a czasem ich kilku.

Pogrążyć się w mroku przyniosło pisarzowi natychmiastowy rozgłos. Wzmagał się on aż po lata sześćdziesiąte. Pozycja Styrona stawała się coraz mocniejsza, coraz znaczniejsza, mimo że niczego prawie nie publikował. Owszem, w roku 1953 wydał bezspornie interesujące opowiadanie *Długi marsz*. Niemniej nie bardzo mogło ono zaważyć na nieustannie potęgującej się renomie pisarza. Nie zdołała jej podważyć następna jego powieść *Na pastwę płomieni*, którą przyjęto nader niechętnie. Towarzyszyły jej nieprzyjazne recenzje i niepochlebne omówienia. Jednakże nie pociągnęły one za sobą rewizji dotychczasowych ocen *Pogrążyć się w mroku*. Debiut Styrona był nadal głównym tytułem do jego chwały. Powiadano o nim – aż do ogłoszenia drukiem *Wyznań Nata Turnera* – że był on autorem jednej książki, że stanowił wielkość, która spełniła się całkowicie w pierwszej jego powieści, by później już nie znaleźć dla siebie wyrazu. Nie sądzę, by opinie te odpowiadały prawdzie. Ale rzeczą ciekawą i dość ważną dla początków pisarstwa Styrona okazuje się ich geneza.

Na czym więc polegał zadziwiający sukces *Pogrążyć się w mroku*? Otóż w moim mniemaniu wiązał się on z nabierającym coraz większego rozmachu procesem odkrywania twórczości Williama Faulknera. Zjawiskiem w tej dziedzinie względnie doniosłym, być może nawet przełomowym, stał się esej Malcolma Cowleya, stanowiący wprowadzenie do antologii tekstów tego największego z pisarzy Południa, która ukazała się w roku 1945. Zarówno ów esej, jak i owa antologia wpłynęły na rewaloryzację, na dowartościowanie Faulknerowskiej prozy. Proces taki z kolei rzutował na przyjęcie przez amerykańską krytykę *Pogrążyć się w mroku*. To bowiem powieść Styrona odczytywano jako bezpośrednie powtórzenie pomysłów autora *Absalomie, Absalomie...* Zapewne, w jakiejś tam mierzą się nie mylono. Zbieżności są tu oczywiste. Trudno ich nie zauważyć. Przecież przyciągają one wzrok. Czyż Styronowska Peyton nie przypomina Tempie Drake z Faulknerowskiego *Azylu*? Czyż transportacja zwłok i pogrzeb nie przypominają zarysu fabuły *Kiedy umieram*? Czyż wreszcie pewne elementy *Pogrążyć się w mroku* nie są pogłosem analogicznych składników *Wściekłości i wrzasku*? Czyż nie jest nim motyw incestu i motyw zidiocenia albo motyw samobójstwa czy pełniące funkcję kodu religijnego przeżycia czarnych?

Naturalnie, tego rodzaju związkom niepodobna zaprzeczyć. Są one jednak dość powierzchowne. Powieść Styrona stanowi bowiem nie tyle przedłużenie Faulknerowskiej prozy z końca lat dwudziestych i pierwszej połowy lat trzydziestych, ile swego rodzaju negację założeń myślowych twórcy *Wściekłości i wrzasku*. Z tym, że negacja owa przebiegała w obrębie pod wieloma względami zapożyczonyj struktury powieściowej. Styron powtarzał Faulknerowskie rozwiązania. Ale jak gdyby po to, by przeciwstawić się wizji, którą zdawały się dźwigać. Odśloni to już jego stosunek do metafizycznej ekstazy murzyńskiej służby. We *Wściekłości i wrzasku* zmienia się on w akceptację. Na stronicach *Pogrążyć się w mroku* stanie się znacznie bardziej wieloznaczny. Właśnie Styron spogląda z niejakim sceptycyzmem, a nawet z niejaką podejrzliwością na ferwor religijny, który wznieca obecność Ojczulka Wiernych i rytuał chrztu przez zanurzenie.

We *Wściekłości i wrzasku* Faulkner szkicował obraz rozpadu. W *Pogrążyć się w mroku* Styron czyni to również. Jednakże przede wszystkim stara się nakreślić pejzaż degradacji. Jest to degradacja określonych wzorów osobowych, określonych schematów społecznych. A rzecz biorąc ściślej – jest to degradacja tych, którzy próbują wzory te reprezentować, niejako sobą ucieleśniać. Postaci te bowiem okazują się nie tym, do czego roszczą sobie pretensje. Godnego dżentelmena z Południa pozoruje Milton Loftis. A jest przecież zapijaczonym utrzymankiem swej żony. Ta z kolei zamiast być zrównoważoną i ujmującą damą, która próbuje udawać, okaże się fanatyczną i oszalałą z nienawiści i neurozy jędzą. Wreszcie Peyton niby to odwzorowująca schemat „piękności z Południa” w istocie będzie nimfomanką naznaczoną kazirodczymi skłonnościami.

Ale nie tego rodzaju degradacja społecznego stereotypu jest dla powieści Styrona rzeczą szczególnie ważną. Istotną staje się tu konstrukcja „drugiego dna”. „Drugie dno” stanowi określony wątek zazwyczaj mitologiczny czy religijny nie wskazany palcem, lecz jak gdyby przeświecający przez anegdotę utworu. Faulkner odwoływał się do takich konstrukcji. Sięgał do Biblii czy zgoła do Ewangelii. Styron natomiast drugiego dna poszukiwał pośród greckich mitów. Sygnalizował już to przejazd promem Peyton i jej męża. Przypominał on przeprawę przez Styks wskazując zarazem na rodzaj stosowanych w powieści symbolicznych odniesień. Przywołują one fragment powieści o Atrydach, przyrządzony niejako w *quasi*-Freudowskim sosie. Otóż układ głównych postaci odpowiada tu układowi Elektra-Agamemnon-Klytajmestra, przy czym relacja Elektra-Agamemnon z obu stron ociera się o incest. Nasuwa to podejrzenie, iż Styron rejestrował na kartach *Pogrążyć się w mroku* określone układy międzyludzkie, uznając je za niezależne od czasu i powtarzające się poprzez dzieje. Szkielet tedy historii tu opowiadanej stawał się strukturą supratemporalną, naturalnie jedną z takich struktur, bo przecież nie jedyną...

Zachowania postaci Faulknera, niektórych przynajmniej, określa Gracz. W *Sartoris* natrafiamy na rozmyślania ciotki Jenny i tam czytamy: „A jeśli ta przeszłość dość mocnym lśniła blaskiem, musiał w niej być Sartoris, a wtedy musiała być i zguba Pionki na szubienicy. Ale Gracz i gra, którą On rozgrywa... Musi przecież mieć imię dla swoich pionków. A może Sartoris to właśnie sama gra – gra przebrzmiała i rozgrywana pionkami zrobionymi za późno, wedle dawnego, przestarzałego wzoru, gra, która samego Gracza zaczyna już nudzić... Bo jest śmierć w dźwięku tego imienia i blask fatalizmu niby srebrna chorągiewka rozbłyskująca po raz ostatni o zachodzie słońca albo głos rogu konającego na drodze do Roncevaux”. Tymczasem Styron obywa się bez Gracza. Wystarcza mu przeszłość. W *Pogrążyć się w mroku* terażniejszość jest zaledwie wąziutką warstewką. Obejmuje jeden dzień – przejazd pociągu transportującego ciało Peyton, ceremonie pogrzebowe, skandal na cmentarzu, kiedy to Milton próbuje udusić swą żonę, i wreszcie kazanie Ojczulka Wiernych połączone z chrztem przez zanurzenie. Niemalże cała fabuła Styronowskiego debiutu rozgrywa się w przeszłości. Uzmysławiają nam jej przebieg raz po raz pojawiające się retrospekcje. To zrozumiałe. Pisarz bowiem nie tylko wierzy w przeszłość, w realność wydarzeń doświadczanych pośrednio. Zakłada on również, że to, co było, określa każdą z jego postaci. Każda z nich okazuje się więzaniem wcześniejszych uwarunkowań i wcześniejszych

fragmentów własnej biografii. Oczywiście, w pewnej mierze w pewnym dość rozległym przedziale... To, co przedtem, wyznacza jednak powrót Milтона do Heleny i skandal na cmentarzu. Wyznacza też niemożność miłości Peyton poza kazirodczymi pragnieniami, nawroty bezpodstawnych żalów do Millera i odwetów stanowiących niejako odpowiednik relacji jej matki do jej ojca.

Wszystkich bohaterów Styronowskiego debiutu określa więc przeszłość. Ustanawia ona przed każdym z nich pole zachowań i przeżyć, poza które nie mogą już wykroczyć. To właśnie spotyka i Milтона, i Helenę, i Peyton. Peyton nie może znaleźć sobie miejsca w tak pomyślanym świecie. Skazana jest na samobójstwo. Podobnie jak i inne postacie pisarza próbuje uniezależnić się od przeszłości. Nic z tego nie wychodzi. Nikomu się to nie udaje. Czas dokonany wyznacza tu bowiem dalszą biografię bohaterów. Rzutuje na ich późniejsze losy.

Jak więc widać *Pogrążyć się w mroku* z pozoru tylko nawiązuje do dziedzictwa Faulknerowskiej prozy końca lat dwudziestych i początku lat trzydziestych. W gruncie rzeczy jest dziedzictwa tego zaprzeczeniem. Ale ukrytym, zamaskowanym pozorami imitacji, które niejednego potrafiły wprowadzić w błąd. Tymczasem na rzekomym nawiązaniu do *Wściekłości i wizasku* i rzeczywistej negacji zawartej tam wizji polega znaczenie debiutu Styrona, znaczenie *Pogrążyć się w mroku*.

Lech Brudecki